3 1761 08822277 3

Dostałam od wujcia Antka
Z. 18 listopada 1911 r
12 lat

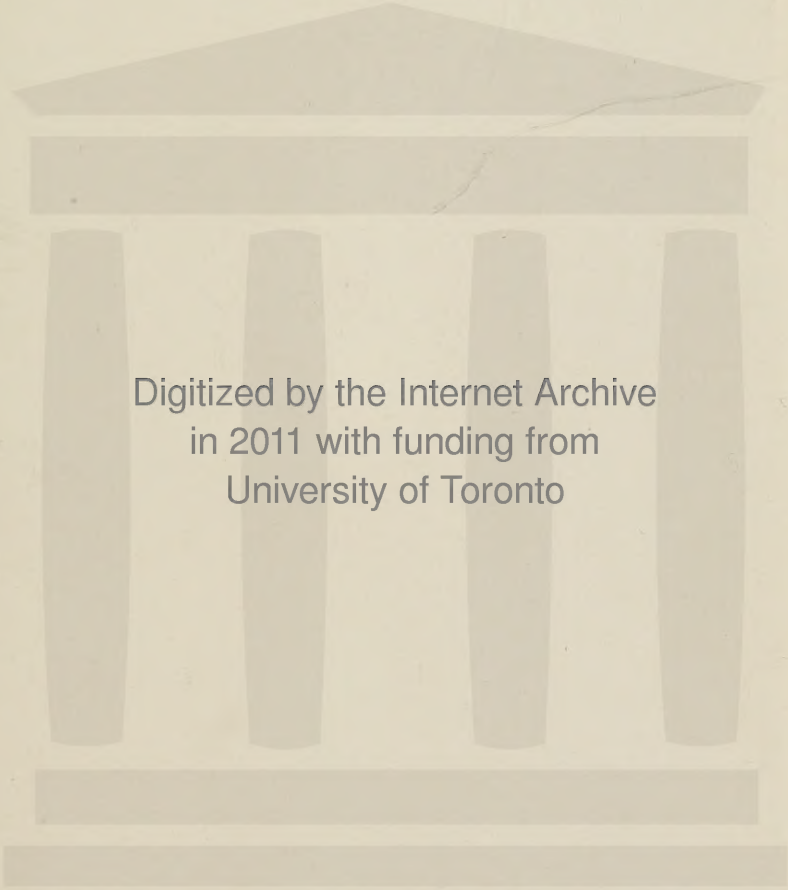
Digitized by the Internet Archive
in 2011 with funding from
University of Toronto

http://www.archive.org/details/pismazygmuntakra04kras

ZYGMUNT KRASIŃSKI

W SZÓSTYM ROKU ŻYCIA.

K8965K Krasiński, Zygmunt, Hrabia

PISMA
ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

ZA ZEZWOLENIEM RODZINY POETY WYDAŁ

TADEUSZ PINI

WYDANIE KRYTYCZNE ZUPEŁNE

ze słowem wstępnem

PROF. DRA JÓZEFA KALLENBACHA

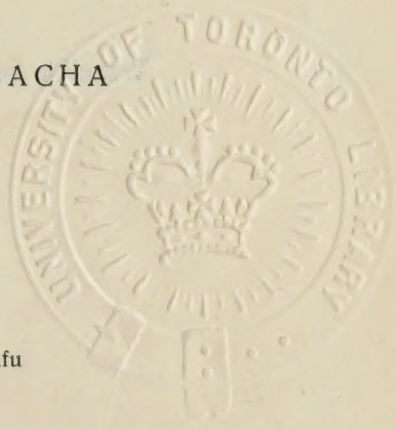

TOM IV.

(1828—1829)

z portretem Poety i podobizną autografu

499056

26.10.49

WE LWOWIE

NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO.

WARSZAWA E. WENDE I SP.

1904

Wszelkie prawa własności zastrzega sobie wydawca.

W drukarni Uniw. Jagiell. w Krakowie, pod zarządem J. Filipowskiego.

Tom IV.

(1828—1829).

SPIS RZECZY.

Pan Trzech Pagórków . . . . . str. 1
Grób rodziny Reichstalów . . . . . » 32
Władysław Herman i dwór jego . . . . . » 87
Sen Elżbiety Pileckiej . . . . . » 403
Odmiany tekstu . . . . . » 415
Objaśnienia wydawcy . . . . . » 439
Dostrzeżone omyłki druku . . . . . » 449

1.

Znane ci, Oyce, przynoszę życzenia.
Szczęście i zdrowie niechaj ci daty,
Nie będę może wspominać ich pienia
Życzę więc dalej nieśmiertelnej chwały

2.

Chwała coś honorem wyni pierś niezłomną
Co sprawia że serce świętym ogniem płonie
Ah! ta wyszła tylko że nas niezapomną
Że w sercach ziomków odżyjem po zgonie

3.

Oparty mieczem na grobie oyczyzny
Całun jej rozbandaż zmieniłeś zwycięski
Świadczą ciebie złożone niedawnej blizny
Wyryte wieczny pomnikiem klęski —

4.

[illegible]

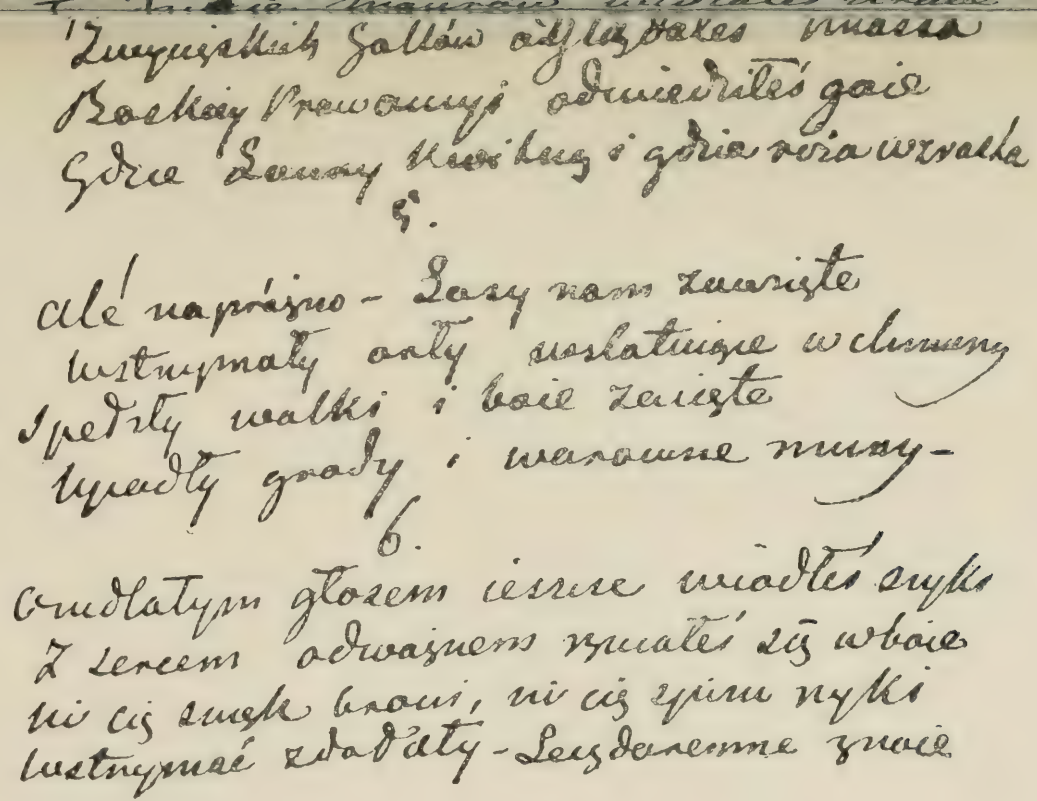

Podobizna autografu »Pana Trzech Pagórków«.

Compliments à Mme
Troianowska et à Mr.
Girardot. Je vous embrasse
de tout mon coeur
et vous prie d'arriver
bientôt. Napoléon Sigis-
mond Krasinski
le 17 août 1821
Opinogára

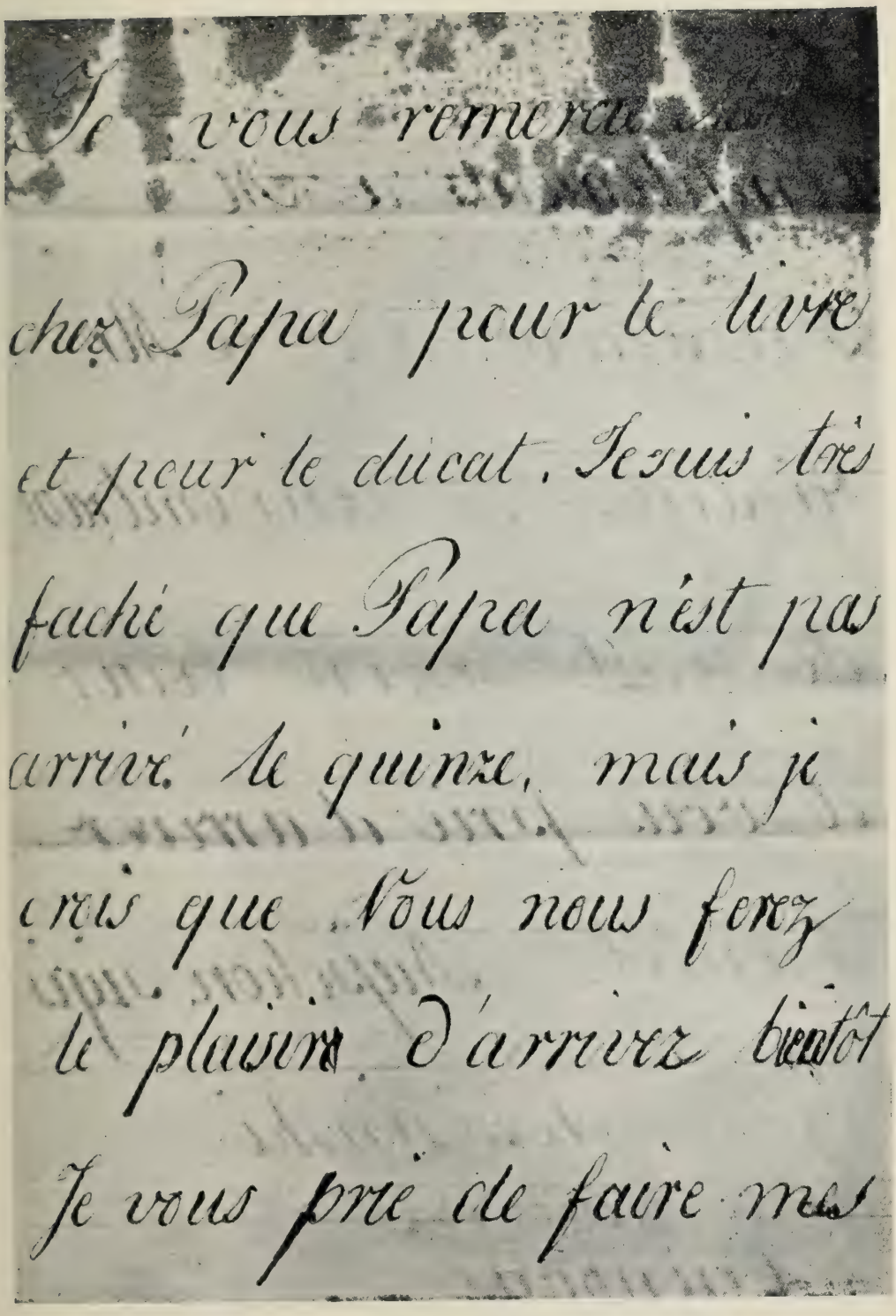
Je vous remercie
chez Papa pour le livre
et pour le ducat. Je suis très
fachè que Papa n'est pas
arrivé le quinze, mais je
crois que vous nous ferez
le plaisir d'arriver bientôt
Je vous prie de faire mes

Podobizna listu Z. Krasińskiego do ojca
(z r. 1821).

PAN TRZECH PAGÓRKÓW

(UŁAMKI ZE STAREGO RĘKOPISMU)

1.

Szczere ci, ojcze, przynoszę życzenia;
Szczęście i zdrowie niebiosa ci dały,
Nie będą moje wspominać ich pienia,
Życzę więc tobie nieśmiertelnej chwały.

2.

Chwała! Cóż bowiem czyni pierś niezłomną?
Co sprawia, że serce świętszym ogniem płonie?
Ah! ta myśl tylko, że nas nie zapomną,
Że w sercach ziomków odżyjem po zgonie!

3.

Oparty mieczem na grobie ojczyzny,
Całun jej w sztandar zmieniłeś zwycięski,
Świadczą oschłe z krwi niedawnej blizny
Wytrwane wojny, poniesione klęski. —

4.

Ty dzikie Maurów widziałeś kraje,
Zwycięskich Gallów oglądałeś miasta,
Boskiej Prowancyi odwiedziłeś gaje,
Gdzie laury kwitną i gdzie róża wzrasta.

5.

Ale napróżno! — losy nam zawzięte
Wstrzymały orły, wzlatujące w chmury,
Spełzły walki i boje zacięte,
Upadły grody i warowne mury! —

6.

Omdlałym głosem jeszcze wiodłeś szyki,
Z sercem odważnem rzucałeś się w boje,
Ni cię szczęk broni, ni cię spiżu ryki
Wstrzymać zdołały. — Lecz daremne znoje!

7.

Niechaj więc świetny wawrzyn pamięci,
Uwity w świetne, urocze sploty,
Wdzięczna ci kiedyś przyszłość poświęci
Za twe męstwo, za Polaka cnoty. —

8.

Bo kto się pięknej dobijał chwały
Przez groty, przez krwi potoki,
Ten wzlatując nad niwy, skały,
Wzbija się w górne niebios obłoki.

9.

Tam, go płomieniste słońca,
Tam gwiazdy czekają złote
I tam go sława bez końca
W boską przemienia istotę. —

10.

Szczere ci, ojcze, przynoszę życzenia;
Szczęście i zdrowie niebiosa ci dały,
Nie będą moje wspominać ich pienia,
Życzę więc tobie nieśmiertelnej chwały.

I.

1.

W Mazowszu jest miejsce zwane Opinogórą. — Trzy pagórki wznoszą się wśród rozległej równiny — lasy zdala czarnym ją okrążają wieńcem — gaje zielone, po niej rozsypane, przyjmują w swoje zacisza różnopióre ptaki lub trwożliwe zające — krzaki gdzieniegdzie z błot i trzęsawisk wznoszą gałęzie, wiatrem na wszystkie nachylane strony. Ileż razy tam się uganiałem za szybko lecącym bekasem, ileż razy broń morderczą podnosiłem na szarą kuropatwę — ileż razy na tych błoniach hasałem i, uniesiony namiętnością, pędziłem za uciekającym zwierzem! Poznałem ciągłem zwiedzaniem najmniejszy krzaczek na rozległej równinie. Ledwie, że każdego kwiatku nie pamiętam. Tu strąciłem z górnych niebios okrutnego jastrzębia, tu przepiórka umierając rozciągnęła swe skrzydła przed mojemi nogi. Tam znowu wystrzał mej broni nie trafił celu. Tam dziką kaczkę aż pod chmurami raniłem. — Każde drzewo poznałoby mnie — niema kamienia na tych polach, któregoby moja nie trąciła stopa — niema strugu, przez którybym nie przeskakiwał. Wody Sony unoszą na sobie liczne ptaki i niema fali, którejby krew nie zarumieniła — krew, płynąca z razu, zadanego moją ręką. —

2.

Różne wsie, cztery miasta towarzyszą na tych równinach Opinogórze. Ale ona się wznosi z powagą, jak

olbrzym zwycięski, i wszystkim zagraża płaszczyznom. Czerniec, Pomorze, Płońsk, blizkie miejsca urodzenia nieśmiertelnego wieszcza, naokoło jej rozrucone. Lidynia, błękitnawemi wody spokojnie płynąc, cichą falą podmywa ciechanowskiego zamku ostatki. Tam kiedyś dzielni rycerze na dziarskich rumakach walczyli za piękność. Tu hoże dziewice obdarzały miłym wzrokiem mężnych wojowników. Nieraz odpadły mosty zwodzone, nieraz połyskujący świetnymi pancerzami męże wychodzili z tych wież, obwijanych teraz kręcącym się bluszczem. Trawa gdzieniegdzie się zieleni na murach, deptanych żelaznemi nogi. Gdzie chorągiew z herbem tęczowe rozwijała farby, tam dzisiaj krzak porasta, a na jego gałązkach kołysze się wróbel lub samotna pliszka. Gdzie huczne odbywały się biesiady, gdzie wino bursztynowym lało się strumieniem, gdzie wieńce z róż zdobiły niewinności skronie, gdzie błyszczące szyszaki świetniały na głowach walecznych, tam dzisiaj — samotność i głuche milczenie. — Okrzyki wolności nie odbijają się już teraz o zczerniałe sklepienia, nie tętnią kopyta, nie dźwięczą puhary, nie krzyżują się już żelazne pałasze. — Ręka, która je ujmowała, spoczywa w grobie — zimny głaz wstrzymuje jej zwycięskie zapędy — mech wije się nad niezwalczonym bohaterem — sławy tylko pamięć została — a te mury, te baszty, skropione rannemi jutrzenki łzami, zdają się płakać nad zbiegłemi laty, nad dzielnemi pany. — Codzień kamień odpada, codzień część wieży runie na ziemię; — nieprzebite razami nieprzyjaciół warownie w proch się rozsypują, a ten proch się miesza z popiołami dawnych panów, z ostatkami zerdzewiałej broni. Dumałem ja w tym zamku, zmęczony biegiem kładłem broń na ziemię, a wlepiając oczy w naddziadów siedliska, przypominałem sobie dzieje ojczyzny. — Wiatr czasem przerwał milczenie — czasem kruk złowieszczym głosem przypomniał obecne nieszczęścia. Księżyc, wschodzący z za chmury, zastał mię nieraz opartym o głaz nieczuły, zgłębiającym dawne czasy. Promienie pochodni niebios zlewały się na mnie i, żałobnym

światłem oblewając ostatki dawnej chwały, trącały o leżące kamienie, o wijące się rośliny, a kiedy natrafiały na ułamki miecza lub zbroi, w promienistych rozlewając się strumieniach zdawały się radować, że na niewolniczej ziemi spotkały ślady dawnej wolności. —

II.

Półtora tysiąca lat zbiegło od czasu, kiedy Opin panował równinie, otaczającej trzy pagórki. — Jeszcze światło nauki Chrystusa nie przebiło się do tych krain. — Dzierzanie, horda sławiańska, zamieszkiwała płaszczyzny, a Opin, pan trzech pagórków, władał nad niemi. Jego szeroki namiot czerniał się na górze, a nad nim powiewała czerwona chorągiew, znak śmierci i spustoszenia. Bóg piekieł nie miał tak strasznego wzroku, nie miał tak okrutnej duszy. — Srogi Opin uciskał poddanych, nie znał tamy swoim namiętnościom; niedostępny, ponury, ciągle przebywał w namiocie, a kiedy z niego wyszedł, to na wojnę i rzezie; krew wtenczas zalewała ziemię, śmierć czarnemi skrzydły zakrywała jaśniejące słońce. Maczuga Opina siała rzeź i rany — miecz ciężki druzgotał głowy wrogów, powalał na ziemię niewiasty i starce, męże i niemowlęta — nikt jeszcze nie wyszedł żywy z walki, z nim odbytej. — Uśmiech szyderczy siadał mu na ustach, kiedy spoglądał na trupy, zalegające szerokie pola, a radość piekielna jaśniała w oczach, kiedy ostatki życia wydzierał obalonemu wrogowi. —

Wszyscy się bali tak okrutnego pana, wszyscy drżeli przed nadludzką jego siłą, przed wzrokiem ponurym, przechodzącym aż do głębi serca. — Żaden śmiertelnik nie mógł naciągnąć łuku, wiszącego w jego namiocie — nikt nie podniósł ciężkiej włóczni, przy ognisku leżącej. — W mnogich wojnach nabył sławy, a na skinienie jego posłuszni służalcy roznosili ogień i mordy. —

Pogardzał on ludźmi. — Pochlebstwo jego łask zjednać nie mogło — uważał wszystkich za niższych od siebie, nie dbał o ludzi i przestawał na posłuszeństwie. — Posłuszeństwo trzymało u niego miejsce przyjaźni i miłości. — Serce jego tchnęło wojną i mordem — ręka roznosiła śmierć i żałobę. — Wzrok przerażał bojaźnią, a głos, rzadko wychodzący z głębi piersi, nigdy jeszcze nie wymówił przebaczenia, nigdy łaski nie oznajmił. Przy nim Horak dniem i nocą zostaje. — Podobny do pana, z niewzruszonem sercem, z niezwalczoną prawicą, słucha rozkazów Opina — wykonywa okrucieństwa, broczy ręce w krwi niewinnych, zabiera dostatki, majątki zagrabia — ale nic dla siebie nie bierze — znosi wszystko pod namiot Opina, gdzie go czeka wzrok, pełen wzgardy, i ręka, darami napełniona. — Jak dwaj duchy złego, wznosząc się oba nad równiny, napełniają kraje postrachem. — Pan Trzech Pagórków pogardza Horakiem, bo niema człowieka, którymby nie gardził, — Horak zasługuje się Opinowi. — Pierwszy jest zbrodniarzem, ale zbrodnie wykonywa dla siebie: nie dla zysku pustoszy pobratymskie ludy, nie dla zysku zatapia mordercze żelazo w serca krewnych i sprzymierzeńców, ale dla własnej przyjemności, ale dla nienawiści, którą przeciw ludziom pała. — Drugi przyjął jarzmo i nie śmie go zrzucić. — Pierwszy ma coś wielkiego w samych zbrodniach, bo zbolałe serce go wiedzie do złego, bo doznawszy niechęci ludzi, mści się teraz nad niemi. — W młodości żebrał względów ludzkich, w młodości chciał pozyskać szczęście — zamiast radości gorycz dni mu napełniła. — Objął w ręce berło i dobył miecza zemsty nad całym rodem ludzkim. Drugi nie mógłby być wzniosłym w cnocie. Opin, gdyby łączył z nieustraszonem sercem łagodne uczucia, wzniósłby się nad innych, napełniłby wszystkie usta swojemi pochwały; mógł być Lwem — wolał zostać Tygrysem. —

Sam opuszczony od ludzi, lubi on rozmyślać nad przeszłością lub w samotnym namiocie bawić się obrazami wojny. — Często, oparłszy głowę o rękę, przypomina sobie staczane walki, poległych mężów, zasłane trupami pola. — Bezsenne pędzi noce, szerokiem prze-

chadza się krokiem, czasem słowo wyrzecze, czasem lekki cień wzruszenia odbije się na twarzy, ale to tylko przez chwilę. — Nie cierpi zwróconego na siebie wzroku — nie cierpi, żeby badano jego zamiary. — Ucieka od wesołych igrzysk, nie patrzy na biesiady i wesołe uczty. Radości okrzyki nieznośnym przeszywają go bolem. — Wyraz wesołości, upatrzony na twarzy innego, w rozpacz go pogrąża. — Chciałby wszystkich zasmucić, chciałby własnego serca smętność przelać w serca innych. — Chciałby pozbyć się otaczających, sam zostać na świecie lub też, zgiąwszy wszystkich pod jarzmo niewoli, naśmiewać się dniem i nocą z ich nieszczęścia. — Słowika śpiewy dręczą jego umysł — pogoda dnia wiosennego w ponurość go wprawia, jakgdyby się lękał, żeby jeden z milionowych jaśniejącego słońca promieni nie przebił się aż do jego serca i strasznych nie odkrył tajemnic. — Pogardza wszystkiem, w nic nie wierzy. — Nie uznaje Boga, bo sam chce być Bogiem dla ludzi. — Pioruny czarnej nocy nie przerażą jego duszy. — Naśmiewa się z kapłanów i z ich obrzędów. — Srebrna Dziedzilia nigdy go jeszcze przed swoim nie widziała ołtarzem — nigdy jeszcze nie prosił Marzanny o szczęśliwe łowy. — Nie broni ludowi korzyć się przed panami świata, ale sam jeszcze dumnej nie schylił głowy, a patrząc na poddanych, modły gorące wznoszących do nieba, naśmiewa się z prostoty. — Gdyby przed jego ołtarzem się korzyli, śmiałby się jeszcze, ale dumie stałoby się zadosyć, bo w skołatanem burzami sercu władnie jeszcze duma — i duma, żadnych nie mająca granic.

Dziwią się ludy, że szczęście sprzyja temu, który Bogów ma za nic. — »Moim Bogiem, z szyderskim uśmiechem pomyślał Opin, jest ta maczuga«. — Tak więc Pan Trzech Pagórków, gardząc wszystkiem na świecie, rządził Dzierżanami, trzymał w rękach berło, z którego krew, wołająca pomsty, się sączyła. — Wszyscy przelękli tarzali się w pyle u stóp strasznego władcy i nie było człowieka, któryby śmiał spotkać wzrok straszny Pana Trzech Pagórków lub straszniejszą jeszcze prawicę. —

III.

1.

W niezbyt odległem miejscu od góry Opina, w szerokim namiocie wesoła odbywa się uczta u starego Mieczyna. — Pan mnogich trzód i rozległych gruntów, władca kilkuset namiotów, Mieczyn wyprawia wesele synowi. — Młody Sławan dwudziestą dopiero widzi wiosnę — nikt lepiej koniem nie kieruje, maczugą nie włada, łukiem nie strzela, wiosłem nie robi — siłę nadzwyczajną łączy z męską postacią, z twarzą, na której wyryty zapał i męstwo — serce otwarte dla przyjaciół, dostatki rozdaje uboższym, prowadzi poddanych na wojnę i na polu sławy zastępuje zsiwiałego ojca. Zjednał sobie serce młodej Żulisławy — ona dzisiaj w jego progi wstępuje. — Anielskie wdzięki, oczy żywe, włosy w czarnych rozlewające się splotach zapaliły miłość Sławana. — Zapragnął krasnej róży, w nią się wpatruje, dla niej tylko żyje. — Żelazna szabla rdzawieje od roku, psy spoczywają, niecierpliwe łowów. — Darmo wyją u nóg pana — nic on nie słyszy prócz głosu Żulisławy, myśli dniem i nocą o nadobnej kochance. — Wiosna wszystkie wdzięki rozlała w dniu poświęconym na ślub Sławana — słońce żywiej jaśnieje — kwiaty przyjemniejsze rozsyłają wonie i woda w świetniejszych rozbija się kroplach o brzeg ukochany — słowik radośniej się wita z odrodzonem przyrodzeniem — liście, poruszane miłym wietrzykiem, milej się kołyszą — wszystko zda się radować z sercem Sławana i Żulisławy — wszystko odpowiada ich duszy uczuciom. —

2.

Zaproszeni goście złożyli oręże, zsiedli z prędkich rumaków. — Stół ugina się pod zabitą zwierzyną. — Tu jeleń, niedawno wznoszący pośród borów promienisty swój wieniec, tam znowu dzik, wiele razy niezwalczony, stają się pastwą biesiadników. — W czaszkach poległych wrogów krąży napój — okrzyki i śpiewy napełniają powietrze: — »Chwała Sławanowi, szczęście nadobnej Żulisławie!« — Skromna dziewica płonie się i rozpływa w miłosnych uniesieniach — Sławan siedzi przy niej, ściska kształtną rękę — wlepia oczy w błękitne kochanki oczy, poprawia spływające na jej ramiona pierścienie i z uśmiechem na ustach raduje się z osiągnionego szczęścia. — Przy Sławanie stoi młody jego przyjaciel Nadar. — Doszedł on już lat trzydziestu — o głowę niższy od towarzysza — włócznia, nieraz w krwi zbroczona, spoczywa w jego ręku — wzrok ognisty umie upatrywać na łowach kryjącego się zwierza, na wojnach czyhającego wroga. — Przezwali go Dzierzanie »Sokołem równin«, Sławan nosi imię wzniosłego »Orła«. — Oba, nieodstępni od dziecinnych lat w boju czy w igrzyskach, przysięgli sobie braterską miłość i nikt nie śmie ścierać się z bohaterami. — Mówią nawet, że Nadar walczył z niezwyciężonym Opinem. W nocy jesiennej, przy pochmurnem niebie, wracał z łowów — strzały spoczywały w kołczanie, pałasz błyszczał u boku. — Wychodził z ciemnego lasu, kiedy stawił mu się olbrzym z maczugą w ręku. — Stoczyli walkę zaciętą — »Sokół równin« wytrzymał z odwagą razy przeciwnika i nie upadł pod niemi. — Jutrzenka walczących rozdzieliła — znikł olbrzym, ale po śmiechu szyderczym i przerażającym wzroku poznał Nadar Pana Trzech Pagórków. — Jeden więc nadludzkiej nie przeląkł się siły, jeden tylko wyszedł żywy z boju, stoczonego z władcą Dzierzanów. — Ale napróżno szukałby kto w jego sercu łagodności Sławana. — Dziki, nie zna uprzejmości, nie umie darować życia obalonemu wrogowi — ale kiedy komu przysięże wierność i przyjaźń, żadna siła nie zdoła go z nim rozłączyć. — Teraz spoglądał na Sławana i, często podnosząc pełne czary, pił zdrowie przyjaciela: — »Życzę

ci szczęścia, twojej żonie mężnych synów, a nam wszystkim śmierci Pana Trzech Pagórków«. — Na to straszne imię zbladły biesiadników lica — każdy odjął od ust puhar, każdy z trwogą przypomniał sobie Opina. — Stary Mieczyn starał się przywrócić radość w swoim namiocie; — nowe zastawiono pokarmy, nowe przyniesiono konwie — sam zachęcał gości, przemawiał i prosił, by smutkiem syna nie zatruwali godów. — Ale daremno Mieczyn zachęcał, darmo Sławan powstawszy pełne nalewał kielichy — darmo piękna Żulisława śliczną ręką roznosiła wianki z niezapominajek i ruty swoim towarzyszkom — wszyscy milczeli, już nawet oddychać nie śmieli. — Wspomnienie Opina zgasiło ich radość, w niwecz obróciło męstwo, ustały krzyki, ucichły śpiewy i rzadko kiedy kto cichym głosem przemówił do sąsiada.

3.

Jeden tylko Nadar przechadzał się wzdłuż i wszerz — trwoga nigdy nie miała jeszcze przystępu do jego serca; widać było na jego ustach uśmiech pogardy dla otaczających go towarzyszów, którzy na samo imię Opina zbledli i z rąk wypuścili wesołości puhary. — »Nikczemnicy, myślał Nadar, nie warci nosić zbroi ani mieć miecza!« — »Sokół równin« lubił się naśmiewać z słabości innych i urągać się z nieznanej mu trwogi — porwał więc drugi raz czarę i głośno zawołał: »Życzę wam wszystkim śmierci Opina!«

»Przestań, zawołał Mieczyn, nie mieszaj naszej radości!« i powstał starzec z siwą brodą i wzniósłszy czarę: »Szczęście wam, rzekł, szczęście, moje dzieci!«

Umilkł Nadar, szanował bowiem starość, ale schylił się do ucha Sławana: — »Niewiasty tu tylko siedzą, nie widzę mężów! — Strach ich opanował na wymówienie imienia zbrodniarza! — Chciałbym, żeby tu sam przybył!«

4.

Ale jakiż to zgiełk i hałas miesza spokojność biesiadników? Jakież głosy miotają przekleństwa i srogie obelgi? Czyjeż miecze błyszczą przy wejściu do na-

miotu? — Otoczeni goście hufcami zbrojnych — Sławan daremnie broni Żulisławy — daremnie Nadar wstrząsa swoją włócznią. — Wróg niewinności i cnoty, nieprzyjaciel wesela stanął między szczęśliwemi i rozdzielił ich strasznym wzrokiem. — Pan Trzech Pagórków przybył — wszyscy upadli na kolana przed nim — Sławan tylko i Nadar, oparci na pałaszach, śmieją się wpatrywać w zbrodniarza. — Stary Mieczyn, zwątlony wiekiem, pozostał na siedzeniu z skór dzikich zwierząt. Patrzy Opin naokoło — wszędzie widzi podłość i uniżenie — wszędzie postrach i przymuszone go spotykają hołdy. — Raduje się ze spodlenia rodu ludzkiego. — Ale jakiż widok uderzył obłąkane jego oczy? Krew lica mu zalała czerwonym potokiem — ale nie jest to rumieniec młodzieńczego wstydu — nie jest to rumieniec szlachetnego gniewu — jest to rumieniec wściekłości. Trzech tylko śmiertelnych śmie się opierać władzcy Dzierzan — trzech tylko znosi z niezmienną twarzą błyskawice, z jego ócz wylatujące! — Chce mówić Opin — ale zamiast słów piana mu z ust wypływa — chce sięgnąć po miecz, ale ręka drżąca odmawia pomocy. — Gniew silny zwątlił moc jego i musi czekać chwilę, nim przejdzie osłabienie. — Przez tę chwilę spotyka wzrok nieustraszony Sławana i Nadara — ta chwila jest piekłem dla niego. — Nareszcie rzekł do Horaka: »Zabierz tę dziewicę — niech dzisiaj pod moim spocznie namiotem!« — Na te słowa róże zwiędły na licach Żulisławy — upadła zemglona w ręce Sławana. — Nic niema okropniejszego nad zemglałą dziewicę — nad tę walkę życia i śmierci — kiedy na zbladłej twarzy wyraz zgonu przyciemnia anielskie wdzięki — kiedy coraz słabnie oddech. — Za każdem poruszeniem piersi zdaje się, że serce bić przestanie — że już żelazna ręka śmierci przymyka powieki i wydziera życie. — Ogień młodości, w żywych przygaszony oczach, już odlatuje do niebios, z których wziął początek. — Wszystko się waha, wszystko jest w niepewności. — A życie z śmiercią, jak gdyby dwa przemożne duchy, ścierają się, ulatując nad martwem ciałem. — Jeśli zwycięstwo przy pierwszym, wracają wdzięki, znowu głos pieszczony różane umila usta, znowu nadobny rumieniec ukrasza lica. — Ale jeśli

śmierć przeważy, wtenczas zniszczenie rozprzęga ciało, wtenczas godowa suknia zamienia się na pogrobowy całun — kwiaty, wieńczące czoło, odpadają z dziewiczych skroni — dusza ulatuje, a piętno spustoszenia i smutek zostają się na ziemi . . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

5.

Ciemna i burzliwa noc zasępiła niebo — Poświst na tronie z chmur unosi się po przestworzu. — Trzy razy rzucił się i wstrząsł ogromną prawicą, a trzy razy odpowiedziały mu wiatry, odpowiedziała mu ziemia. — Upadły przed nim w kurzawę dęby i wysokie sosny, zieloną uwieńczone jemiołą — chaty ludzi w drobne rozsypały się szczątki — słabe zboża schyliły się po polach, a kwiaty nazawsze zawarły swoje kielichy. — Góry wstrząsły się w posadach, bałwany jezior i rzek wzniosły się ku niebu, jak gdyby chciały wymawiać i wyrzucać Panu pioruna zniszczenie jego stworzeń. — Jeden tylko namiot Opina, czerniąc się wśród mroku jako znak klęsk i mordów, nieugięty, jak dusza pana swego, wytrzymywał walkę z nacierającemi wiatry i zwycięsko z niej wyszedł. —

Ale cóż robi Opin? — Czy nad wojną przemyśla? czy u stóp Żulisławy szuka przebaczenia winy? — Radość Sławana, szczęście dziewicy, gorycz wlały w duszę Opina. — Nie mógł znieść szczęścia podobnego sobie i zatruł jego życie. — W namiocie Opina piękna Żulisława łzy roni — okrutnik z uśmiechem w nią się wpatruje. — Każda łza przymnaża mu radości — każda oznaka smutku duszę jego unosi. — Najmniejsze śledzi poruszenie, najmniejszą zmianę na twarzy nieszczęśliwej, okropnym wzrokiem wszystkie jej niszczy nadzieje i, sam wśród walki i burzy żywiołów, opuszczony od wszystkich, pastwi się nad swoją ofiarą — a uśmiech piekielny wydaje radość, godną szatana. —

Ale czy już Bogi sprzysięgły się na Pana Trzech Pagórków? — Czy już nieszczęsna dla niego wybiła

godzina, a sen, nie mogący nigdy obciążyć jego powiek, zwarł je teraz ołowianą ręką? — Schylił głowę i upadł na łoże. — Pierwszy raz nie mógł się oprzeć uśpieniu — pierwszy raz słabe przyrodzenie człowieka zwyciężyło w nim niezgiętą wolę — ale obrazy, towarzyszące nocy, otaczają jego łoże — rzuca się, jęczy, a nie może stargać więzów, przez sen narzuconych. — Raz zdaje mu się, że Sławan wchodzi do jego namiotu. — Skóra z dzikich żbików obwija młodzieńca — kołczan z brzozowej kory, najeżony strzałami, grozi tyluma zgonami, ile pocisków w sobie mieści. — Łuk w lewej ręce, a w prawej błyszczy szabla. — Zdało się jeszcze Opinowi, że Nadar, Sokół równin, szedł za przyjacielem. — Wzrok jego okrutny zwracał się na leżącego Pana Trzech Pagórków — już nawet miecz zemsty zajaśniał nad jego głową. Wstrząsł się Opin, dobył sił wszystkich — ale próżne usiłowania — nie mógł zerwać się z łoża i ciągle miecz zemsty grozi mu niechybnym razem. — Nadar urąga się z niego, jak on się ze wszystkich urągał — przedłuża jego męczarnie. — Błyszczący oręż, jakby mściwy piorun niebios, w tysiącznych rozlewa się płomieniach nad jego głową. Otacza go morzem ognia, męstwo odejmuje, siły wydziera i jedno tylko uczucie bojaźni zostawia. — Ale ręka Nadara opada: — Sławan zabronił mu zbrodni nad bezsilnym wrogiem. — Sławan porwał Żulisławę w swoje objęcia i unosi ją z namiotu, za nim Nadar. — Znikło wszystko — tentent tyko koni, oddalających się od góry, uderza uszy Opina. — Zebrał jeszcze raz wszystkie siły Pan Trzech Pagórków — oparł się szeroką prawicą o łoże — chciał się rzucić, ale jakby przykuty pozostał na miejscu. —

Ale nagle zmieniła się postać rzeczy. — Biesiada zastawiona w namiocie Opina — na około stołu z dębu czarnego siedzą białawe i wybladłe postacie — niektóre, do mgły lekkiej podobne, kształt tylko ludzki mają — inne, oparte na włóczniach i mieczach, zwracają wzrok okropny na Opina. — Chciałby on odwrócić oczy, ale nie może — chciałby zamknąć powieki, ale nieznana siła nie pozwala mu ich zawrzeć — musi patrzeć,

musi, jak głaz nieczuły, spoglądać na otaczające widma, ale serce czuje, duszę rozrywają boleści, a bojaźń pierwszy raz posępnemi go pokrywa skrzydły. —

Wybladłe i suche ręce wyciągają do potraw biesiadnicy — puhary z czaszek ludzkich krążą po szerokim stole. — Ale kogoż-że poznaje Opin? Czyjże wzrok przeraził go trwogą? Czyjaż twarz przypomniała mu przeszłość? Człowiek wysokiego wzrostu, wspaniałej postawy stoi na pierwszem miejscu. Czarna broda obwija się naokoło pogrobowej twarzy — zmarszczki na czole, bladość lica, posępność, po całej twarzy rozlana, nie zdołała jeszcze zatrzeć znaków dawnej powagi i godności. — Berło nawet żelazne w lewej ręce dowodzi, że był poprzednikiem Opina. — Ale w miejscu, pod którem bije serce, znać szeroką ranę — krew z niej kroplami się sączy i już okropnym strumieniem dosięga łoża Pana Trzech Pagórków. — Wzdrygnął się Opin, poznał twarz, srogie przywodzącą pamiątki. — Nagle morze czarnej krwi oblało kamienną pokoju podłogę — purpurowe bałwany zbroczyły uginający się pod wiatrem namiot. — Opin ze śmiercią w sercu, niewzruszony, leżał na łożu, jak gdyby na małej wyspie, wznoszącej się wśród ogromnego oceanu. — Zbliżyły się do niego wybladłe biesiadników postacie — tłum ich stanął wieńcem naokoło Pana Trzech Pagórków — podali sobie dłonie i wszyscy wlepili wzrok przeszywający w Opina. — Jak wśród tysiącznych błyskawic wypadający piorun oświeca pół nieba, tak wśród tylu wzroków jeden tylko wlał rozpacz w serce leżącego zbrodniarza. — Był to wzrok tego samego, który, berło trzymając, pierwsze zajmował miejsce.

Jeszcze raz Opin chciał się podnieść, ale nadludzka potęga zniweczyła jego usiłowania. — Chciał zakryć oczy rękoma, ale zawsze widział okropny obraz, zawsze trupy otaczały łoże, a postać, z okropnym wzrokiem schyliwszy się ku ziemi, puhar krwią napełniła i, podając go Opinowi, cichym, ale przerażającym wyrzekła głosem: — »Pij krew własnego ojca!« — Wszystkie cienie powtórzyły słowa: »Pij krew własnego ojca!« — nieznajoma siła zmusiła Pana Trzech Pagórków — wyciągnął rękę, przyjął

czarę, przytknął ją do ust i wychylił do ostatniej kropli. — Znikło wtenczas wszystko oprócz krwi, zalewającej komnatę. — Bystre jej strumienie coraz się wyżej wznosiły, coraz zbliżając się do łoża już go zajmowały pod swoje panowanie. — Tonął Opin wśród fali krwi ojca, przyjaciół i krewnych. Już jednej tylko nie dostawało kropli, kiedy sen uleciał. — Wstrząsł się Opin — pojrzał wokoło, ale nigdzie krwi nie zobaczył — a jednak zdawało mu się jeszcze, że czuje na ustach okropny napój we śnie mu podany. — Ale cóż się stało Panu Trzech Pagórków? Porwał za maczugę, wyskoczył z namiotu, zawołał Horaka. — »Niema Żulisławy — piorunnym głosem krzyknął — zginiecie wszyscy! — Zniknęła śród nocy — Sławan ją.....«

Darmo szukają dziewicy, niema Żulisławy. . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

IV.

1.

Chcecie wiedzieć, co się stało z nadobną dziewicą? Chcecie słyszeć, co się stało z odważnym Sławanem? Ledwo jutrzenka w kroplach jaśniejących na kwiatach i krzewach obraz swój różowy odbiła, aliści Sławan z Żulisławą przybyli pod niedaleki lasek góry Opina. — Dziewica rzuciła się na szyję swemu wybawcy — Nadar szedł za niemi . . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

2.

Zeszli się na równinach Sławan i Nadar, Opin i Horak. — Walka zacięta między niemi powstała — Żulisława patrzała na bój i mordy. — Sławan toporem uderzył Horaka — Horak upadł bez życia. — Rzucił Sławan broń swoją i patrzał z założonemi rękoma na walkę Nadara z Opinem, bo uważał za zdradę, niegodną męża, dwom łączyć się na jednego. — Pan Trzech Pagórków walczył zręcznie — walczył, jak na bohatera przystało — Sokół Równin utrzymał swoją sławę; — oba byli sobie równemi — oba z równą zaciętością nacierali na siebie. — Nareszcie skoczył Opin, jak tygrys na swą zdobycz, silnemi ramiony objął Nadara i chciał powalić na ziemię. — Ale przyjaciel Sławana pozostał na ziemi. — Dwa razy usiłował go obalić Opin, dwa razy, podobny do skały wrytej w ziemię, Nadar utrzymał się na nogach. Ale trzeciego razu stracił równowagę i runął na ziemię. — Opin

podniósł maczugę, ale nim ją mógł skierować na głowę wroga, Nadar wyjął nóż żelazny, zatknięty u pasa, i tak silnie i zręcznie go rzucił, że ten aż po rękojeść zanurzył się w serce Opina. — Upadł Pan Trzech Pagórków. — »Godny byłeś walczyć ze mną — zawołał do Nadara — i umieram radośny z tego, że jeszcze między ludźmi człowieka znalazłem.« — Takie były ostatnie słowa Opina, uśmiech nie wściekłości, ale wesela i szczęścia, zajaśniał na jego twarzy, ścisnął rękę Nadara, jak gdyby żegnał się z przyjacielem i, oparłszy głowę o szeroki kamień, skonał. —

DOKOŃCZENIE.

Właśnie przeszłej jesieni kilka dni przebywałem w Opinogórze. — Łowy mojem były zatrudnieniem — jednak inna jeszcze rzecz przychodziła często na myśl: — skąd nazwisko »Opinogóra«? Nigdzie nie mogłem znaleźć początku lub powodu takiego imienia. —

Jednego wieczora późna w lesie zaskoczyła mię pora. — Cały dzień goniłem za lisami i zającami, nie zważając na schylające się ku zachodowi słońce. — Właśnie już teraz ostatnie światła promienie złociły iglastych sosen wierzchołki i szczyty poważnych dębów, ptaki rozliczne ostatnim śpiewem modlitwę wieczorną wznosiły do Boga, gdzieniegdzie liść zaszeleścial pod lotną stopą zwierza, wracającego do nocnego łożyska, czasem kraska lub różnobarwna sójka przeleciała nad głową i, pociągnąwszy dalej, siadła na jakiem drzewie — tam, oblana promieńmi słońca, zdawała się unosić po falach złotego potopu. — Wietrzyk raz, nizkie poruszając rzewy, igrał z każdym liściem i kwiatem, drugi raz, okręcając się na około stuletnich lasu olbrzymów, nachylał ich gałęzie na wszystkie strony. — Czasem też zupełna panowała cisza. — Błękit niebios, w purpurze ku zachodowi ginący, rozweselał oko, a milczenie i samotność wzywały duszę do dumania. — Psy daleko się zagoniły, myśliwcy zapędzili się za niemi. — Niekiedy jeszcze daleka trąbka słyszeć się dawała, ale na chwilę jej głos tylko poruszał powietrze, tak, że często można było wątpić, czy dźwięki, dopiero co słyszane, były rzeczywistemi, lub też wyobraźni skutkiem. — Już pierwsza gwiazda, od starożytnych ubóstwiana ludów, wstąpiła na safirowe przestworze — już

coraz bardziej fale światłości ustępowały przed nocą i czerwonawy kolor nieba zastępowały już czarne cienie. — Daleko było do domu — przyspieszyłem więc kroku, ale postrzegłem, że już nie idę po ścieżce, że moje nogi nie torowaną postępują drogą, ale na miękkiej i wilgotnej chłodną rosą murawie się znajdują. — Daremno obracałem się wokoło, daremno szukałem straconej drogi. — Przebijałem się więc dalej przez krzaki i ciernie, głogi i krzewy. — Noc już całkiem owładła niebem. — Po długim dosyć czasie wyszłem na miejsce otwarte, zewsząd jednak lasem otoczone. — Kilka tam ogromnych bielało kamieni. — Ujrzałem we środku białą postawę — stała niewzruszona na miejscu — w jednej ręce trzymała coś czarniawego — drugą kazała mi się zbliżyć. — Z odwiedzionym kurkiem, z biciem serca, z pilnemi oczyma, ze wstrzymanym oddechem przybliżyłem się do niej. — Twarzy rozeznać nie mogłem, ale pamiętam, że blade jej lica zgadzały się zupełnie z lekkiemi jej szaty. — Podała mi pergamin, trzymany w ręku. — »Tu, rzekła, znajdziesz powód imienia Opinogóry.« — Po tych słowach oddaliła się — ja chciałem gonić, ale rękopism upadł na ziemię — schyliłem się, żeby go podnieść — a kiedym go z ziemi ujął, wszystko już było znikło. —

Nazajutrz przebiegłem oddane mi pismo. — W wielu miejscach zepsute przez wilgoć — znać, że w jakimsiś lochu leżało — nie mogłem więc, jak ułamki powieści o Opinie podać do wiadomości, co też uczyniłem. —

1828 R. 6-GO KWIETNIA, OPINOGÓRA.

GRÓB RODZINY REICHSTALÓW

POWIEŚĆ ORYGINALNA

Z DZIEJÓW WOJNY TRZYDZIESTOLETNIEJ.

I.

Jéj twarz, jak róży blade zawoje,
Skropione jutrzenki łezką,
Jako mgła lekka, tak lekkie stroje
Obwiały postać niebieską.

A. Mickiewicz: — Świtezianka.

Tydzień już był upłynął od bitwy, wygranej pod Pragą 8-go listopada 1620 r. przez Maksymiliana, księcia bawarskiego, nad Fryderykiem V., Palatynem Renu.— Wojsko cesarskie, zwycięskie i uradowane z nadziei odpocznienia po trudach wojennych, rozgościło się po całych Czechach. — Rozmaite jego oddziały pod dowództwem Tyllego ścigały broniących się jeszcze protestantów, inne zaś rabowały miasta, żadnego im niestawiające oporu. Niektóre pułki rozłożyły się po miasteczkach poblizkich Pragi; między temi był pułk hr. Wallensteina, który stanął w Egrze. Najświetniéj on swoją waleczność okazał w bitwie pod Pragą, a zachęcony przez młodego a męstwem pałającego dowódzcę, najbardziej się do zwycięstwa przyłożył. Po wygranéj dostał rozkaz zajęcia miasta Egry i tam w największéj spokojności i porządku się zachował. Żeby dać poznać ówczesny stan rzeczy, przytoczymy tu rozmowę dwóch żołnierzy, stojących przed domem, w którym mieszkał młody ich pułkownik, hrabia Wallenstein.

— Do milion szatanów, Maksie, — rzekł z nich jeden, młody i żywy — muszę leciéć teraz, kiedy już się ściemnia i deszcz padać zaczyna, do tego dyabła czyli

uczonego, astrologa czyli alchimisty, jak tu go nazywają. Niech go czarny myśliwiec lub upiór porwie; nasz dowódzca upodobał go sobie, muszę leciéć.

— Nie masz czego tak narzekać — odparł drugi, nad którego ustami już się wąs siwy zakręcał — ja muszę całą noc tu stać i znosić pod tym dziurawym płaszczem niepogody i słoty. Zniósłbym to jeszcze, wytrzymałbym i deszcze i śniegi, nie zważałbym na wodę, lejącą się z tych czarnych chmur, jakem i na kule nie zważał, gdyby pułkownik pozwolił nam, starym, zadawniałym, powszechnym, wszędzie używanym zwyczajem, porabować trochę. Ale od czasu, a już będzie tydzień, jak tu stoimy, ani zdobyczy, ani łupów nie widzę; niema nawet nadziei. Nie tak, do pioruna, zdarzało się dawniej. Pamiętam w wojnie z Turkami, pamiętam przeszłego roku, kiedy służyłem pod Tillim, ah, to rozkosz była, to uciecha! Przybyliśmy do wsi lub miasta; prędko ognia, prędzéj pochodni; zapaliliśmy, wywróciliśmy, zburzyliśmy, złupiliśmy i daléj na nieprzyjaciół! Tak bywało, a teraz pod tym Wallensteinem i bić się trzeba i nie można rabować. Prorokuję, nic z niego nie będzie; bo pierwszą cnotą żołnierza jest: nie przymrużać oczu, kiedy kula leci, a drugą: dobrze rabować.

— Alboż to Wallenstein nigdy nie rabował? — rzekł młody — nie znasz go chyba; prawda, niedawno pod nim służysz, ale zaręczam ci, że przedtem większego nie było rabusia. Ale ten dyabeł czy astrolog, ten czarownik zawrócił mu głowę gwiazdami i mnóstwem rzeczy, których nie rozumiem.

— Młodyś jeszcze, Walterze, nie znasz świata. Nie gwiazdy, choć dosyć w nie wierzy nasz pułkownik, tam go przyciągają, ale czarne oczy córki astrologa.

— Nie może być, to niepodobne do niego, taki dumny!

— Wierz, Walterze, słowom starca! Jeśli to miasto jeszcze nie spłonęło, dzięki powinni złożyć jego mieszkańcy astrologowi lub raczéj jego córce.

— Ale z czemże cię posyła pułkownik?

— Kazał powiedzieć, że dzisiaj, nawet niezadługo, przyjedzie odwiedzić astrologa.

— Czyli jego córkę! — dodał Maks z uśmiechem, pokazującym radość z docieczenia tajemnicy — idź więc, spiesz się, bo Wallenstein nie lubi, kiedy nie spełniają żwawo jego rozkazów!

— Żegnam cię, rzekł młody żołnierz i wśród lejącego deszczu wyleciał szybkim krokiem z dziedzińca. Szedł między dwoma rzędami wysokich domów, z których potoki wody spływały. Ale im mocniejszy był wicher, im gwałtowniejszy deszcz padał, z tem większą siłą opierał się Walter wzburzonym żywiołom i mężnie stawiał im czoło. W prędkim biegu rozmiękła ziemia, bo jeszcze wtenczas bruk nie zdobił Egry, okrywała płaszcz i buty żołnierza, ale nie zważał na to i wśród błota pędził, jak strzała, do domu alchimisty. Przeszedł kilka ciasnych i krętych ulic i przybył do stóp wzgórka, na którym się wznosił dom nizki, ale tak długi, że wziąćby go można z początku za obszerny pałac. Znikało jednak to złudzenie za zbliżeniem się do niego. Jedna część zupełnie była pusta, okna bez szyb, a nieliczne kawałki szkła, pod niemi leżące, dowodziły, że już wiatr rozwiał inne na wszystkie strony. Belki, niedobrze spojone, uginały się pod wichrem, a deszcz rzęsisty dokonywał dzieła niedbałości i czasu. Druga jednak strona w lepszym była stanie, a nawet gdzieniegdzie spostrzegano ozdoby. Ganek podpierały cztery kręcone kolumny, na wzór świątyni Salomona, nad nim wznosiła się kula ziemska, miedzianemi zdobna kołami, których płowy kolor już się był na ciemnozielony zamienił.

Wysoka wieża z cegieł rozmaicie, pomalowanych, dopełniła dziwacznego obrazu, który rozśmieszał Waltera, ile razy tamtędy przechodził. Wszedł więc do budynku środkowego i przez kilka korytarzów dostał się do pokoju astrologa. Dwie lampy oświecały szeroką komnatę, ale ich światło z trudnością się przedzierało przez gęsty dym, który dopiero się zmniejszył, kiedy Walter drzwi otworzył. Ogromne szafy z półkami opierały się o ściany pokoju, na nich leżały szklanne banie i naczynia wszelkiego rodzaju, to z gliny, to z kruszcu wyrabiane. Nad szafami zaś wisiały, jakby trofea nauki,

czaszki i kościotrupy zwierząt i ludzi obok różnokształtnych narzędzi. W głębi, pod zaginającem się sklepieniem, stały na wysokim kominie misy i miednice, piecyki i retorty, gdzieniegdzie porozrzucane żarzące się węgle, flaszki pełne różnokolorowych płynów, sztaby żelaza i miedzi. W środku obszernéj komnaty był szeroki stół, pokryty księgami rozmaitej wielkości. Na jego środku stały dwa globy ziemi. Naokoło nich przypatrzyć się można było rozłożonym cyrklom, szkiełkom, medalom. Na obu końcach stołu dwie trupie głowy strzegły leżących na nim skarbów, a między niemi wznosił się mały szkielet z kości słoniowéj, który trzymał srebrną lampę w oschłéj prawicy. Bladawe jéj promienie zlewały się na twarz starca, siedzącego przy stole. Liczne zmarszczki na czole, śnieżne włosy i krótka, biała broda dowodziły wieku sędziwego. Wpatrując się w niego znać jednak było żywość bystrego wzroku, zatopionego w téj chwili w księdze, zamykającéj dziwaczne obrazy i rozliczne systemata astronomów starożytnych. Ubiór jego składał się z szerokiéj sukni, podszytéj połyskującem futrem, a mała, aksamitna czapka, okrywała mu głowę. W jednéj ręce trzymał cyrkiel rozwarty, a drugą opierał się na długim teleskopie, który był daleki jeszcze od tegoczesnéj doskonałości.

Blizko niego na krześle, dwoma sfinksami miedzianemi podpieranem, siedziała niewiasta wysokiéj kibici i kształtnéj postawy.

Zdawało się, że dopiero osiemnasta wiosna jéj bladawe skronie uwieńcza. Ogień młodości, ogień do błyskawicy podobny, świetniał w jéj czarnych oczach, ukrytych pod długiemi rzęsy, a smutek, po nadobnych licach rozlany, bladość, zamieniająca na lilie róże, kwitnące niegdyś na twarzy, wydawały uczucia zbolałego serca. — Jéj włosy w wijących się splotach spadały naokoło szyi, otoczonéj pięknie wyszytą chustką. — Biała wstążka otaczała głowę. Lekka suknia w spływających fałdach zlewała na ziemię, a niebieska przepaska ściskała dziewicę. — Sprzączka złota, grzebień, błyszczący się srebrem, dopełniały pięknego ubioru. Trzymała w ręku małą książkę. — Jéj piękne oczy szybko ją

przebiegały, ale zadziwiłby się każdy widząc, że dzieło, czytane przez osiemnastoletnią dziewicę, było rozprawą o śmierci, niedawno wydaną przez pewnego protestanta i dowodzącą, że nie jest zbrodnią zginąć z własnéj ręki, żeby uniknąć hańby lub nieszczęścia.

Za ukazaniem się Waltera podniósł się astrolog i znowu zagłębił się w myślach. — Dziewica opuściła na jego widok książkę i jakby wryta czekała, aż żołnierz przemówi, tak, jak obwiniony czeka na czytanie swego wyroku.

— Na wszystkich dyabłów piekła, lub jeśli pani się bardziéj podoba, na wszystkich aniołów nieba — rzekł Walter — słowo daję, że łatwiéj się dostać do nieprzyjacielskiego zamku, niż do waszego domu. Słuchajże, mości, nie wiem szczerze, jak cię nazwać, mości astrologu czy alchimisto, czy też mości uczony, postaw kogo na warcie, żeby otwierał drzwi pukającym, ale dzisiejszéj nocy nie potrzeba tego, bo bramy waszego pałacu wszystkie teraz stoją otworem.

— Jakto? — obudzając się jakby ze snu, krzyknął alchimista. — Jakto? co chcesz, cóż rozumiesz przez te słowa?

— Rozumiem to — odparł Walter — że wybiłem drzwi tym mieczem — i uderzył z pewnym rodzajem dumy o rękojeść miecza.

— Ale niewielka szkoda, bo już były na pół zgniłe, a kiedy nowe sprawisz, wiatr nie tak łatwy będzie miał przystęp. — Zresztą hrabia Wallenstein, nasz pułkownik, przysyła mnie z doniesieniem, że tu zaraz sam przybędzie.

— Pułkownik Wallenstein? — powtórzył alchimista — dobrze; — czekam na niego; otworem mu stoją te przybytki nauk, te skarby, zebrane moją pracą, niezmordowanem przez czterdzieści lat staraniem. — Użyczę mu mojego światła, nauczę poznawać gwiazdy, słuch jego przyzwyczaję do harmonii sfer niebieskich, rozłożę przed jego oczyma promienie słońca, pokażę mu pierwiastki wszystkiego — nic mu nie utaję. — Wszystko, co wiem, jego będzie, wszystko co mam, oddam jemu.

— Nie, nigdy to być nie może! — wyrzekła wtenczas głębokiego smutku głosem dziewica — Ojcze...

— Dobrze, dobrze, to są niedorzeczności, które, mam nadzieję, że wyjdą ci z głowy, moja Minno.

Powstawszy chodziła dziewica, kiedy ojciec kazał jéj siąść przy sobie — a potem rzekł do Waltera:

— Powiedz pułkownikowi, że go czekam z radością w sercu!

II.

Nieszczęśliwy, kto próżno o wzajemność woła.
Adam Mickiewicz: — Sonety.

— Kochane moje dziecię, ulubiona Minno, córko najdroższa! — rzekł astrolog do dziewicy po wyjściu Waltera — już temu trzeci dzień upływa, jak książę Liechtenstein, znając moją obszerną naukę, przysłał mi kamień, którego nazwiska nie wiedział i prosił, bym doszedł przez moje wiadomości, z jakich części się składa i jakie jego imię. Włożywszy go w miedziane naczynie, zacząłem ogrzewać, ale ogień mały nie pomógł, większy roznieciłem. — Ale kamień jeszcze się nie chciał rozkładać; wtenczas dobyłem ostatnich sił alchemii, nareszcie zwyciężyłem przyrodzenie. Podobnież, Minno, teraz nie chcesz ustąpić; gardzisz ręką Wallensteina, gardzisz jego ofiarą, ale kiedy lepiéj go poznasz, zmiękczysz się. — Umie on także skrytemi miłości drogi ująć sobie serce i, równie jak ja z tym kamieniem, on coraz bardziéj nalegając, prosząc, coraz bardziéj odkrywając tobie swoje zalety, cnoty, bogactwa, zniewoli cię do ślubu. — A nakoniec pomyśl, Minno, że ta nadzieja jest całem mojem szczęściem!

Tu zamilkł alchimista i czekał odpowiedzi córki. Ale żadne słowo z jéj wdzięcznych ust nie wyszło. Promień tylko lampy odbił się o łzę w jéj czarnem oku.

— Nic nie mówisz? — znów ozwał się astrolog, — nic nie odpowiadasz? Niczе więc cię wzruszyć, niczе przekonać nie zdoła? A więc ostatniego już się chwycę sposobu. Słuchaj, córko, słuchaj! Gwiazdy, te narzędzia

woli boskiéj, te oznaki jéj gniewu lub dobroci, rozkazują ci oddać rękę hrabiemu Wallenstein. Ty i on pod jedną gwiazdą urodziliście się. — Wasz los jest nierozdzielnym. Nie ojciec, nie względy ziemskie przeznaczyły cię jemu od urodzenia, ale same niebiosa, ale Bóg wszechmogący. —

To mówiąc, podał jéj papier, na którym wyciągnął jéj i Wallensteina horoskop. Wyobraził tam planetę, wspólnego obu, i wiele innych porobił znaków, mających przekonać dziewicę. Rzuciła mimowoli na papier smętne oko i położyła go po chwili na stole. Obraził się tem jéj ojciec.

— Czy za nic nie masz — rzekł — mojéj nauki? czy sądzisz, że słaba wola dziecka może zmienić niebios wyroki i naruszyć postanowienie boskie? Los nami rządzi i jemu podlegamy. Twoje łzy ani jęki go nie zmiękczą. Przynosi ci Wallenstein w darze sławne imię, mężną prawicę i chwałę, w bitwach nabytą. Gwiazdy zgadzają się na wasze zamęźcie, a ty odmawiasz. Uważaj, córko, same gwiazdy...

— Tu jest najpierwsza gwiazda, — przerwała Minna, wskazując na serce.

— A więc to serce nie chce Wallensteina?

— Nie chce, nie cierpi, nienawidzi, znieść nie może. Nigdy jego żoną nie będę.

— Smucisz mnie swoim uporem, kochana córko! Powiedz przynajmniéj, jakie masz do tego przyczyny?

— Drogi ojcze! — odpowiedziała Minna — życiebym dała dla ciebie. Ale za wielką jest ofiara pójść za Wallensteina. Znam tego człowieka, duma i zemsta panują w jego umyśle, a tymczasowa miłość prędko ustępuje tym dwom namiętnościom. — Nigdy z nim szczęśliwą nie będę.

— Będziesz, będziesz, Minno. Poznaj go lepiej! — Musisz być jego żoną!

Nie odpowiedziała już dziewica, ale jéj oczy mówiły, że wolałaby umrzeć, niż połączyć się z Wallensteinem.

Wtem wszedł do pokoju mąż wysokiego wzrostu. Kapelusz, strusiemi ocieniony pióry, okrywał mu głowę. Na pół odwinięty płaszcz, srebrną klamrą spięty, od-

krywał bogaty ubiór hiszpański. Szpada, na której rękojeści wyrabiane były ze złota herby rodziny Wallensteinów, strzegła jego boku. Twarz, potem oblana i żywym rumieńcem okryta, dowodziła, że się spieszył ujrzeć cel swoich pragnień i miłości. Wysokie czoło, na krórem rudawe unosiły się włosy, wielką duszę oznaczało. Oczy błyszczały świetnym ogniem, który się podwoił za ujrzeniem Minny. Wyraz wytrwałości w zamiarach i męstwa rozlany był po całéj twarzy. Ale razem znać było na niéj nienasyconą dumę. Gwałtowne namiętności, często rozrywające jego serce, wyryły swe piętno na bladych zwyczajnie licach i zatarły znaki młodości. Liczył bowiem wtenczas hrabia Wallenstein dopiero trzydzieści kilka lat.

Przybliżył się do stołu i zatrzymał odchodzącą Minnę, zdjął kapelusz i usiadł naprzeciwko astrologa. Oczy jego zwracały się ciągle na dziewicę, ale nikt nie przerwał przez długi czas milczenia. Nareszcie powstał alchimista i poważnym rzekł głosem:

— Błogosławię was i życzę jak najdłuższego szczęścia. — To mówiąc, rozciągnął nag nimi swoje ręce i wzniósł oczy do nieba, jak gdyby chciał wezwać jego łaski i opatrzności nad osobami tak drogiemi.

Uradowany Wallenstein, porwał się z krzesła i wziął rękę Minny. Ale dziewica odwróciła łzawe oko i w rozpaczy mocnym wyrzekła głosem:

— Nie masz, nie będziesz miał nigdy mego serca. Przymuszą mie być twoją żoną, ale czyż miło ci będzie pędzić życie z niewiastą, która cię niecierpi i nienawidzi?

Na to zapytanie stanął Wallenstein jak wryty i najgwałtowniejsze namiętności zawrzały w jego duszy. Smutek i gniew, miłość i wściekłość napełniły jego serce. Nareszcie:

— Nieczuła Minno — rzekł — chcesz mojéj śmierci, bo bez ciebie żyć nie mogę.

A po chwili silnym zawołał głosem:

— Mówisz, że mnie poznałaś. Nie, nie znasz, nie znasz jeszcze gniewu Wallensteina. Jedno moje skinienie może ciebie i twojego ojca w proch zmienić. A nie

myśl, żeby to były próżne słowa! Zapytaj się Czech całych, a odpowiedzą, że zemsta Wallensteina wszystko pożera! Moja miłość dla ciebie jest bez granic, ale kiedy zemsta zajmie jéj miejsce, niebo samo, sam Bóg nie wstrzyma mojéj prawicy.

— Minno! każe ci ojciec usłuchać prośb Wallensteina — zawołał Alchimista — nie stawaj się naszéj zaguby przyczyną.

— Minno! — krzyknął Wallenstein, zbliżył się do dziewicy i pałasz złożył przed jéj stopami, — nie odmawiaj téj ofiary, przyjmij tę szablę, dopóki leży przed tobą, nie czekaj, aż podniesie się mściwa prawica! Oddaję się tobie. Ja hrabia Wallenstein, ja, któremu gwiazdy przepowiedziały zawód najświetniejszy, którego męstwo w tysiącznych już się wsławiło walkach, ja, przed którym kiedyś świat cały, wojska i kraje drżeć będą, przychodzę prosić cię i błagać, być zwróciła łaskawe na mnie spojrzenie. A za to ci obiecuję szczęście i zaszczyty bez granic.

Tu stanął Wallenstein, rozjaśniło się jego czoło i porwawszy szablę, wyjął ją z pochwy, wzniósł do góry.

— Tak, zaszczyty! obiecuję ci królestwa i państwa, hołd ci złożą dumne pany. Ten miecz kiedyś zabłyśnie nad wszystkiemi Europy koronami, wzniesie się nad wszystkich trony mocarzów. Na jego widok cesarze zbledną i przed nim uniżać się będą! I możesz się jeszcze wahać, o Minno? Możesz jeszcze gardzić mojemi ofiary?

Takim sposobem przepowiadał Wallenstein przyszłe swoje losy wieszczym duchem. W największem uniesieniu zdawało mu się, że już widzi świat cały klęczący przed sobą. Nie wątpił już, że Minna przystanie na jego żądania.

Okropnem było położenie dziewicy.

Z jednéj strony widziała ojca proszącego, błagającego, z drugiej człowieka, którego namiętności żadnéj tamy nie znały i w którego sercu szeroko panowała zemsta. Pewną była, że odmówienie ręki Wallensteina będzie wyrokiem śmierci i zguby, nie tylko dla niéj, ale i dla ojca i dla wszystkich mieszkańców Egry.

Urodziła się Minna z pięknemi przymioty, z sercem czułem na męki innych, ale jéj dusza nie miała téj mocy, któréj trzeba na poświęcenie się wiecznym cierpieniom i boleściom, żeby ratować i zapewnić szczęście drugich. Przekonała się z czynów i słów Wallensteina, że sercu jego prawdziwa miłość niedostępną była, że jedna w nim tylko władała duma i pycha, niczem niewstrzymana, żadną przeszkodą, żadnym niezrażona oporem. A pędzić życie z takim człowiekiem, zdawało się jéj, że to jest zmienić złudzenie i błogie chwile młodości na męczarnie bezdennego piekła. Wtem nowy zamiar urodził się w jéj myśli, zbliżyła się do rycerza i słabym odezwała się głosem:

— Wallensteinie, jeśli prawdziwie mnie kochasz, uczyń zadość mojéj prośbie, poczekaj jeszcze tydzień, a po jego upłynieniu, przysięgam, że nigdy mojéj ręki innemu, jak tobie, nie oddam.

— Nie, to być nie może — krzyknął alchimista.

— Minno — rzekł Wallenstein — zezwalam na twoje żądanie i, żeby dowieść ci mojéj miłości i poświęcenia bez granic, jeszcze tydzień jeden w najsroższéj niepewności dla mnie upłynie, ale potem żadna władza boska ani ludzka nie zdoła mnie wstrzymać.

Po tych słowach oddaliła się dziewica.

Astrolog przez chwilę stał niewzruszony, nareszcie wziął swój teleskop, porwał Wallensteina za rękę i spiesznym krokiem zaprowadził go na wysoką wieżę, z któréj zwykł był wpatrywać się w niebo i uważać bieg światów.

Ustała burza, księżyc wydobył się z za chmur, powoli ustępujących z nieba, jak pobite wojska, których męstwo jeszcze nie ostygło, zwolna z pola krwawych mordów się cofają.

Zachodnia część nieba błyszczała rozsypanemi gwiazdy. Całe miasto, u stóp wzgórka leżące, ukazało się Wallensteinowi w cichości i milczeniu nocy. Dachy świetniały odbitemi promieniami księżyca o wody, w srebrzystych kroplach z nich spływające.

Z przeciwnéj strony wznosił się zamek Egierski na niebotycznéj górze. Straże stały po jego wałach i go-

tyckich wieżach. Gdzieniegdzie błyszczały kopije w ręku mężnych wojowników i działa strzegące warowni.

Spokojnie usiadł astrolog i patrzył na niebo przez swój teleskop. Z tyłu stał pułkownik z założonemi rękami, dumał, wpatrując się w gwiazdy, które uważał za najpewniejsze przewodniki w życiu człowieka. Zmieniała się powoli twarz Adalberta de Reichstal. Coraz żywiéj iskrzyły mu się oczy i coraz mocniejszy rumieniec pokrywał jego lice. Wstał nareszcie, mocno scisnął prawicę rycerza, drugą rękę wyciągnął ku gwiazdom, wzrok wlepił w błękity niebios i jakby uniesiony nadludzkim duchem, w takie ozwał się słowa:

— Po wielekroć ogłaszałem ci, Wallensteinie, przyszłe twoje losy, powielekroć mówiłem, że twoja gwiazda jest najświętniejszą i najżywszym ze wszystkich pali się ogniem. Jeszcze raz powtarzam:

— Powtarzam, że pan świata, przeznaczył cię do wysokich dzieł i zaszczytów. Twoje ramię pokona najsroższych wrogów, zrzuci z szczytu wielkości wielkich panów ziemskich, wielu innych wyniesie. Twoje imię głośne na późne wieki zagrzmi w przyszłości, jak trąba anioła, mającego kiedyś obudzić śmiertelnych ze snu śmierci.

— Szczęście skrzydłami cię okryje. Na twój rozkaz całe Niemcy uklękną, a śmierć i rzeź, postrach i przerażenie ciebie otaczać, tobie splatać wieniec nieśmiertelności będą. Cały twój zawód stoi teraz przed moją myślą. Widzę, jak twoja gwiazda rzuca płomienie złote. Zalewa niemi pół nieba, wszystkie inne giną w tym potopie sławy i zwycięstw. Widzę koronę cesarską blizko twéj głowy.

Tu wyraz smutku okrył twarz astrologa.

— Ale nigdy jéj nie okryje. Już rękę wyciągniesz po nią, ale wymknie ci się z prawicy, a zabójcze żelazo twój zawód ukończy. Właśnie w tem miejscu spostrzegam bledniejącą gwiazdę przeznaczenia twego, krew zagasza jej świetny ogień. Bladość śmierci po niej się rozlewa. Skończyłem, Wallensteinie. Witam się, bohaterze, witamcię, zadziwiający człowieku.

— Dzięki ci składam, mój ojcze — krzyknął z ra-

dością Wallenstein. — Nie dbam o ostatnie moje chwile, nie dbam o to, czy skonam w purpurze królewskiéj lub pod ciosem wroga, dosyć mi na tem, że życie moje świetne, że mój zawód nadzwyczajnym będzie. Bylebym się wsławił, byleby moje imię dobiło się nieśmiertelności, zgadzam się na śmierć okropną i na koniec nieszczęśliwy. Za tydzień wrócę tu po twoją córkę. A potem rzucę się w wojny i zamęt świata i śmiałym zmierzać będę krokiem do korony lub śmierci. — Żegnam cię.

To mówiąc, opuścił astrologa, zszedł z wysokiej wieży i wrócił do swego mieszkania.

III.

Kędy jest miłe latek dziecinnych wesele?
Gdzie miłe burzliwego wieku niepokoje?
Kędy jest Laura moja, gdzie są przyjaciele?
Wszystko przeszło, a czemuż nie przejdą łzy moje?

Mickiewicz: Sonety.

Żeby rozumieć wypadki naszéj powieści, musimy się cofnąć o piećdziesiąt lat i wystawić Adalberta de Reichstal, okrytego już teraz śnieżnym włosem, w kwiecie młodości i nadziei. Herald de Reichstal, jego ojciec, odumarł go w młodym jeszcze wieku, a przez ciąg życia rozproszył po młodych dworach Europy i świetnych turniejach majątek swych dziadów, wsławionych wieloma czynami. Aż do dwudziestego roku przebywał w Wiedniu Adalbert i wraz z matką starał się dawny majątek do pierwszéj wrócić świetności. Wtem matka jego nagle umarła. Smutek ogarnął umysł przywiązanego syna. Porzucił swe włości, które wkrótce zajęli wierzyciele, a sam puścił się w podróż. Z początku nie cierpiał życia i wzywał śmierci. Nie uważał na otaczających go ludzi, a zbolałe serce nie biło ani dla miłości, ani dla przyjaźni. Powoli jednak zmniejszać się zaczął smutek, a coraz nowe okolice, coraz nowe ludzi namiętności zajęły jego umysł. Poznał jednak, że nie będzie mógł w świecie się odznaczyć, że nigdy sławy nie uzyska, jeźli nie posiędzie skarbów, nauk i wiadomości. Przybywszy do Florencyi, zapoznał się z signorem Riccioli, sławnym alchimistą. Oddał się zupełnie

téj nauce, która zapalała żywą jego wyobraźnię i zaostrzała ciekawość. Uczył się także astronomii, ale nie mógł przestać na stałych i niewzruszonych prawach nadanych przez Stwórcę; odwieczne prawdy bez związku z człowiekiem wydały mu się suchemi, a chcąc dojść do ważnych odkryć, do wyższego światła, cofnął się i wpadł w przesądy.

— Gwiazdy są wskazówkami mego życia, rzekł do siebie i zaczął uważać te ogromne sfery, te słońca, rozlewające światłość i promienie, te światy nieskończone za przewodników człowieka. Doszedł nawet w téj nauce do wielkiéj biegłości, a kilka jego proroctw, trafem sprawdzonych, potwierdziły go w wierze w astrologię. Przebywając długo na ziemi, nad którą kiedyś ulatywały orły rzymskie, spotykając co krok ślady tych panów świata, co krok depcąc popioły wielkich mężów, nie mógł być nieczułym na te ostatki zgasłéj wielkości, wielkości, panującéj kiedyś światu i korzącéj dumnych mocarzów. Każdy kawałek marmuru, każdy grobowiec, każdy napis zwracał jego uwagę; i zagłębił się w przeszłe i dalekie wieki. Nauczył się języka, którym niegdyś Homer opiewał ostatnie walki ludu, poświęconego na srogą niewolę. A takim sposobem został alchimistą, astrologiem i antykwaryuszem.

Po dwunastu latach opuścił Florencyą i wrócił do Niemiec. Zwiedził Czechy. Zakupił pagórek i dom, w którym go widzieliśmy, upodobawszy sobie położenie Egry. Wystawił wieżę, z któréj miał uważać nieskończoność. Ale długo nie mógł zostawać na jednem miejscu. Chciwy sławy i nauki, chciał jéj szukać po rozległym świecie. Zamknął swój pałac. Przyłożył na jego bramach pieczęć z herbem Reichstalów. Opuścił Egrę. Dziesięć lat nie słyszano o nim; raz tylko jakiś podróżnik, przybywszy do Pragi, mówił, że go spotkał w pustyniach Arabii i że tam nawet poślubił sobie muzułmankę. Właśnie dziesiąty rok dochodził, jak porzucił Egrę, kiedy dnia jednego siedem koni stanęło przed warownią na wzgórku. Właśnie wiosna w całéj swéj piękności rozwijała kielichy świetnych kwiatów i liście w zieleniejących się ogrodach, słońce, jak bo-

hater po zwycięstwie, wzbijało się w górne niebiosa i wszystko zalewało potopem złotych promieni. Piękna pogoda rozweselała orszak, w którym mieścił się astrolog. Przy jego boku, na pięknym koniu arabskim ukazywała sie młoda niewiasta. Jéj twarz spalona od gorąca pustyni, jéj oczy pełne ognia; zawój głowę jéj okrywa, a bogaty ubiór wschodni jéj ród oznacza. Na trzecim koniu niewolnik czarny trzymał szeroki kosz, w którym leżało uśpione dziecko. Czwarty rumak, niezmiernie mały, trzymał na sobie syna astrologa, którego wiek sześciu lat nie przechodził. Mała szabelka wisiała o boku, a kołczan i łuk spoczywał na dziecinnych barkach. Za temi osobami jechało dwóch zbrojnych muzułmanów na koniach, pakami i szkatułami obładowanych.

Astrolog zsiadł z konia, zerwał pięczęć, otworzył drzwi, wprowadził do domu muzułmankę z dziećmi. Paki i szkatuły w ukrytéj sali zamknął.

Niewolnicy, odpocząwszy kilka godzin, dosiedli koni i jak strzała puścili się ku wschodniéj stronie.

Wkrótce w tumanie kurzu zniknęli.

Mieszkańcy Egry nie wiedzieli, co myśleć o tem zdarzeniu; w kilka dni przybył arcybiskup pragski ze stolicy Czech i w kościele egierskim muzułmanka przyjęła chrzest święty wraz z dziećmi, z których jedno było Minną de Reichstal. Drugie otrzymało imię Alana. Spokojnie potem pędził dni szczęśliwe Adalbert de Reichstal z piękną Fatymą. Często mówił o swoich podróżach w Palestynie, Arabii, w pustyniach Azyi.

Często wspominał o swojéj miłości ku pięknéj małżonce, ale nigdy nikt się nie dowiedział, jakim ją poznał, jakim zaślubił sposobem. Codzień jednak słabło zdrowie Fatymy, codzień większa bladość rozlewała się po jéj licach, Żwolna postępowała do grobu, podobnie jak kwiat przeniesiony z lubéj ziemi w odległe strony więdnieje, schyla niegdyś świetną głowę i usycha. Patrzył na to nieszczęśliwy Adalbert. Gwiazd się poradził. Wróżyły mu nieszczęście. Od téj chwili pewnym już był, że utraci ulubioną Fatymę i że ta perła wschodu niezadługo przestanie razić swym blaskiem.

Całe nocy przepędzał przy łożu ukochanéj żony. —

Krokodyle, rośliny, mumie, wydobyte z pak i rozwieszone po ścianach, nie zwróciły już jego wzroku. Oczy łzawe zatapiał ciągle w umierającéj żonie, w téj pięknéj córce dzikiéj Arabii, któréj ani jego miłość, ani nauka zachować nie mogła. Zmieniała się stopniami piękna pora. Deszcze, wichry i śniegi przybycie zimy obwieszczały. Wkrótcie pola i miasta śnieg zaległ białym całunem. Czarne chmury zasępiły niebo. A Fatyma, zwyczajna widzieć zawsze jasne słońce, widzieć rozkoszne łąki i doliny okolic Mekki, nie mogła znieść widoku obumarłéj natury. Wspomnienie ojczyzny tak dalekiéj łzy jéj wycisnęło i w ostatniem westchnieniu usłyszano słabo wymówione słowa: »Bóg jest jeden, a Mahomet jego prorok«.

Padł bez zmysłów Reichstal przy ciele Fatymy i długo nie mógł wrócić do spokojności. Wiele lat upłynęło, nim się trochę smutek w jego sercu zatarł. Tymczasem Alan de Reichstal wzrastał w siły i męstwo. Zrzucił kołczan i łuk, chwycił za szablę i puklerz. Już ciężka zbroja kryła jego piersi, a nikt lepiéj nie kierował koniem, nikt lepiéj nie siekł żelazem. Minna, podobna do matki, ulubioną żonę ojcu przypominała. Nie pamiętała téj, która jéj dała życie, ale często mówił jéj o Fatymie Adalbert de Reichstal.

— O, jakbym chciała widzieć i znać moją matkę — rzekła Minna.

— Chciałabyś? — odparł Reichstal — chodź więc — i silną ręką porwał ją Adalbert i zawiódł do podziemnéj komnaty.

Lampa drżącym ją oświecała płomieniem. Na wysokim krześle siedziała niewiasta, czyli raczéj ciało niewiasty. Fałdzista suknia je obwijała. Twarz blada, oczy zawarte żelazną ręką śmierci.

— Oto twoja matka, Minno — rzekł astrolog — oto Fatyma, zachowana moją sztuką. Sądź po piękności umarłéj, jaką musiała być za życia!

Widok ten przeraził Minnę i odtąd czarna smętność opanowała jéj duszę, wszystko jéj ponurem się wydawało. Astrolog codzień odwiedzał ciało żony, ale w tajemnicy zachowała to jego córka; sam nawet Alan

o tem nie wiedział. Kilka lat później wszedł do wojska i był już teraz kapitanem. W wielu walkach odznaczył się się męstwem, a imię młodego Reichstala wszędzie głośnem było. Gwałtowny gniew często zapalał jego duszę, a wtenczas nicby go nie wstrzymało; ale zwyczajnie dobrego i usłużnego był serca. Najmniejsza jednak obraza w wściekłość go wprowadzała i niejeden już zginął z jego mściwéj ręki w krwawych pojedynkach.

Astrolog przestał odwiedzać ciało Fatymy, nad którem ciągle paliła się srebrna lampa, podsycana najczystszą palestyńską oliwą. Zatopił się już sędziwy Adalbert w naukach. Otoczył się wszystkiemi księgami i narzędziami alchemii i w rozważaniu natury ulgę ciężkich znajdował boleści.

Wielu możnych panów go znało, a Wallenstein, chcąc pojąć jego córkę za żonę, nie zniżał się, bo ród Reichstalów świetniał zawsze blaskiem męstwa i sławy, ich potomek Adalbert szeroko słynął nauką, a nadewszystko młoda Minna anielskiéj była piękności.

IV.

A wy dla znaku pierścień tylko nieście,
Nie trzeba więcej, skoro ujrzy godło.
Pozna, kto jestem . . . . . .

A. Mickiewicz: Grażyna.

Kapitan Alan de Reichstal wracał spokojnie na dzielnym koniu do wsi Leitmeritz, gdzie stał pułk, w którym służył. Zrana jeszcze wyjechał na łowy, a zmęczony, spieszył do niedalekiego pomieszkania. Już noc oblekła niebo i księżyc bielił swemi promieniami ciężkie chmury zimowe. Naokoło ziemia śniegiem błyszczała, a gdzieniegdzie szronem ubielone drzewo wznosiło się wśród pola. Jechał Alan zatopiony w myślach. Przy siodle dwa zabite zające wisiały, a kordelas strzegł boku. Igrał wiatr z piórem czarnem, wznoszącem się nad czapką. Częsami powstawał wicher i tumanami śniegu oczy konia i jeźdźca zasypywał. Zimno wzrastało stopniami. Wtem chmury, złączywszy się, zakryły księżyc. Niedaleka wieś Leitmeritz znikła z oczu Alana, a śnieg gęsty padać zaczął. W téj saméj chwili usłyszał za sobą tentent rozpędzonego konia; odwrócił głowę i rozeznał wśród ciemności jakąś czarną postawę, zbliżającą się do niego. Mimowolnie prawie dotknął się kapitan pistoletu i wyjął go z za pasa. W tych bowiem czasach nieszczęść i wojen, na każdego zwracało się podejrzenie, osobliwie jeszcze, kiedy noc i burza sprzyjały zamiarom zbrodniarzów. Stanął po chwili przy Alanie człowiek wysokiego wzrostu, obwinięty futrem i silnym zawołał głosem:

— Kto jesteś? czy przyjaciel poczciwych ludzi, czy zbójca lub protestant?

— Jestem wojskowym — odparł Alan — i chciałbym wiedzieć, czego się tak błąkasz po nocy?

— Czy daleko do wsi Leitmeritz?

— Nie mogę o tem sądzić, bo znikła mi z oczu, ale zdaje mi się, że niema więcej, jak ćwierć mili.

— Czy tam stoisz, mości panie wojskowy?

— A tobie cóż do tego? twoje pytania już mnie nudzą. Jedź naprzód lub obierz sobie inną drogę.

— Moją drogą jest droga wiodąca do Leitmeritz, ale przebacz mi, jeszcze jedno zapytanie: Czy nie wiesz, w jakiéj stronie wsi stoi kapitan Alan de Reichstal?

— Kapitan Alan de Reichstal? — powtórzył zdziwiony młodzieniec. — A z jakiemiż do niego jedziesz zamiarami?

— O tem ani słówka więcéj, mości wojskowy. Ale oddaj mi, proszę, usługę, którą każdy uczciwy człowiek bliźniemu wyświadcza, to jest: wskaż mi drogę do wsi i powiedz, gdzie w niéj mieszka kapitan Alan de Reichstal.

Nie mógł już wytrzymać niecierpliwy Alan i krzyknął:

— Ja nim jestem! — a porwawszy za cugle konia towarzysza, zatrzymał go i pytał się, czego po nim żąda?

— Trzeba mnie jeszcze o tem przekonać — odparł spokojnie nieznajomy, nie mam zwyczaju we wszystko i wszystkim na ślepo wierzyć.

— Do tysiąca piorunów, uparty człowiecze, mówię ci, że jestem Alanem de Reichstal, kapitanem pułku Lichtensteina, synem Adalberta de Reichstal, mieszkającego w Egrze? Cóż chcesz więcéj?

— Zaczynam już wierzyć, ale to jeszcze nie dosyć. Proszę mi powiedzieć, jaki jest herb Reistalów?

— To już zanadto, żeby mnie nie wierzyć, że ja jestem sobą samym! — zawołał rozgniewany młodzieniec.

— Patrże niewierny, patrz! i to mówiąc, wyciągnął lewą rękę, na palcu któréj miał bogaty pierścień z swoim herbem, prawą odwiódł kurek u pistoletu, a przyłożywszy go blisko twarzy nieznajomego, wystrzelił. Przy chwilowéj światłości, sprawionéj przez ogień wybucha-

jący, poznał nieznajomy trzy topory, godło rodziny Reichstalów i wyczytał imię Alana na pierścieniu.

— Poznaję cię teraz, i twarz, już dawno niewidzianą, i herb twych mężnych przodków. Witam cię, kapitanie, ale spieszmy się, nie mamy ani chwili do stracenia, lećmy do Leitmeritz, żebyś tylko prędzej mógł przeczytać list od siostry.

— Od Minny? — zawołał Reichstal — mam nadzieję, że nic jéj się nie stało.

— W wielkiem jest niebezpieczeństwie i zaraz mam odjechać z odpowiedzią twoją, ale spieszmy się do wsi!

— Nie trzeba wsi na przeczytanie jéj listu — krzyknął Alan. Zeskoczył z konia, wyjął z worka wiszącego przy siodle trochę suchego siana, otoczył niewielką stojącą przy drodze sosnę, a dobywszy drugiego pistoletu, w nią wystrzelił. Przybitka rozogniona padła na siano, które się zajęło jasnem płomieniem. Z początku wilgoć i śnieg odpierały moc ognia, ale jednak wkrótce zapalił się pień przepełniony żywicą i oświecił szeroko pole naokoło siebie. Wyrwał Alan list siostry z rąk towarzysza, zdarł pieczęć i czytać zaczął. Wzywała dziewica jego pomocy. Zaklinała, żeby przybył ją uratować i wyrwać z rąk Wallensteina. Ale poznał z daty listu i z opowiadania siostry, że właśnie dzisiejszego dnia minął nieszczęsny tydzień. Odwrócił się do towarzysza i rzucił się na niego.

— Niegodziwy! już zapóźno! — zawołał — czemuż prędzéj mi nie doniosłeś tych nieszczęśliwych nowin? W jednym dniu mógłeś tu przyjechać, a cały tydzień upłynął od czasu, jak cię moja siostra wyprawiła.

— Nie sądź tak porywczo, mości kapitanie. Wszystkich bram Egry strzegą żołnierze Wallensteina i przetrząsają wszystkich przejeżdżających. Kilka dni zeszło, nim znalazłem sposobność przejścia tajemnie przez austryackie straże. A zresztą zdaje mi się, żem i tak dosyć się dla was poświęcił.

— Przepraszam cię — odpowiedział Alan, skoczył mu do szyi, — dziękuję ci tysiąc razy za to, coś zrobił dla niéj. Ale może już ją przymusili? Nie mogę tracić czasu.

To mówiąc, oderwał kawał papieru czystego z listu siostry, napisał na nim kilka słów ołówkiem i oddał towarzyszowi.

— Weź mego konia — rzekł rozkazującym głosem. — Twój nie tak zmęczony, mnie służyć będzie. Ale się obrócisz na lewo, pojedziesz do Leitmeritz i oddasz tam pismo pułkownikowi Lichtenstein. Ja zaś polecę do Egry wyrwać siostrę z rąk niegodziwych. A teraz żegnam cię i dziękuję raz jeszcze. Dokończając tych słów, rzucił mu sakiewkę uapełnioną złotem. Wzdrygnął się ją przyjąć nieznajomy.

— Ubogi jestem — rzekł — ale Robert Dojuz nie potrzebuje nagrody za czyn cnotliwy. Nieraz twój ojciec już świadczył....

— Weź Robercie, weź — krzyknął Alan — bo inaczéj rzucę te pieniądze w rów ten głęboki. — To mówiąc, nabił pistolety, skoczył na dzielnego rumaka i w jednéj chwili zniknął z oczu Dojuza.

V.

Ach! i to jest widok srogi,
Kiedy piękność w życia kwiecie,
Ledwie wschodząca na świecie,
Żegnać się musi z lubym jeszcze światem.

A. Mickiewicz.

22 listopada 1620 roku skończył się tydzień, po którego upływie miała córka Adalberta de Reichstal oddać rękę hrabiemu Wallenstein. Nazajutrz wieczorem mieszkańcy Egry zdziwili się niespodziewanym widokiem.

Pułkownik Wallenstein na czele 40 dobranych ze swego pułku żołnierzy jechał przez miasto. Czapka z wybijającemi się ku niebu pióry okrywała mu głowę. Płaszcz podbity sobolowem futrem ulatywał naokoło. Szabla błyszcząca drogiemi kamieńmi wisiała u złotolitego pasa. Złote ostrogi strzegły nóg, opierających się na srebrnych strzemionach. A na szyi obwijał się złoty łańcuch, utrzymujący medal cesarza Niemiec.

Koń biały w przepysznych, lśniących się szafirami i szmaragdami rzędach, zwolna postępował, dzielną kierowany prawicą. Za nim żołnierze na pięknych rumakach jaśnieli świetnemi ze stali kirysy. Z ich środka wznosiła się chorągiew rozwita i puszczona na igrzysko wiatrom.

Dwóch zaś jeźdźców w srebrnych hełmach, w srebrnych pancerzach jechało obok pułkownika. Jeden z nich na miedzianéj tarczy utrzymywał koronę świetną połyskującymi dyamenty i wieniec z róż kolorowych uwity,

drugi zaś na aksamitnéj poduszce miał drogie zausznice, perłowe naszyjniki i inne ozdoby. Z takiemi więc dary jechał Wallenstein po piękną oblubienicę. Za tym orszakiem ukazał się sędzia Egry w długiéj, czarnéj sukni. Czworograniasta czapka kryła sędziwą głowę. W prawéj ręce trzymał laskę z jabłkiem złotem, a w lewéj pargamin, zawierający układy przedślubne, na którym z jednéj strony była pieczęć Wallensteinów, a z drugiéj Reichstalów.

Wszyscy zatrzymali się na wzgórku przed domem astrologa. Żołnierze uszykowali się w półkole. Skoczył na ziemię niecierpliwy ich dowódca. Porwał za rękę sędziego i wszedł w podwoje Adalberta. Za nim szli dwaj towarzysze, niosący dary dla Minny. Sędziwy Reichstal przyjął ich w tym dniu uroczystym z powagą, przyjął z twarzą przypominającą więcéj świetność i sławę swego rodu, niż alchemię, gwiazdy i starożytności greckie lub rzymskie. Ale w wielkiéj sali nie było jeszcze Minny.

Opuścił więc Adalbert gości i przyspieszonym krokiem udał się do komnaty córki.

Miał czas Wallenstein przypatrzyć się odmianom, zaszłym w szerokiéj komnacie. Nie widać było już na jej murach ani kościotrupów, ani naczyń alchemii. Ale wszędzie herby i zbroje Reichstalów świetniały. Tu rogi jelenie dźwigały tarczę i szyszaki, tu znowu na niedźwiedzich skórach błyszczały groty i miecze. Serce mocno biło pułkownikowi. Stary sędzia spokojnie zasiadł w szerokiem krześle, rozłożył pergamin na stole, przysunął pióra i kałamarz. Wtem wrócił astrolog z córką. Ale niktby nie pomyślał, że się ona gotuje do ślubu. Nie wesele, nie słodkie uczucia radości, nie miłości uniesienia, ale smutek, ale śmiertelna rozpacz malowały się na jéj twarzy, odbijały się w ogniu ponurym jéj czerwonych oczu.

Wiódł ją ojciec za rękę, jak za dawnych wieków kapłan prowadził do ołtarza ofiarę, przeznaczoną bogom. Stanęła naprzeciwko Wallensteina. Nie miała na skroniach ślubnego wianka. Rozpuszczone włosy wiły się bez porządku naokoło śnieżnéj szyi. Jedna tylko suknia

biała bez żadnych ozdób, mogłaby być znakiem godowéj uroczystości, gdyby w pół ją nie obejmowała czarna przepaska. Długo wlepiał w nią oczy Wallenstein i nie mógł w téj dziewicy wybladłéj poznać pięknéj, boskich niegdyś wdzięków Minny. Nareszcie zbliżył się, ukląkł i ofiarował przepyszne dary. Pomieszanym okiem rzuciła na nie córka Adalberta, ale nie wyciągnęła ręki, nie schyliła głowy na znak podziękowania. Podobną była do pięknego posągu z marmuru, tylko, że na martwym kamieniu rozpacz się nie maluje. A rozpacz władała jéj sercem, władała już nie zdrowym rozumem. Znikały powoli wszystkie jéj nadzieje. W każdym świście wiatru słyszała z początku głos Alana, w każdéj osobie upatrywała brata, ale brat nie przybywał i sto razy na dzień omylona, już nie śmiała spodziewać się pomocy. Postanowiła jednak w głębi serca, że nie będzie żoną Wallensteina i dochodziła już godzina, w któréj miała śmierć obrać lub rękę znienawidzonego męża. Widząc jéj oziębłość, Wallenstein, sam rozłożył swe bogate dary na stole, a ojciec zaprowadził ją do bliskiego krzesła.

Powstał wtenczas sędzia i oświadczył, że nie godzi się przypuszczać niewiasty do ślubu. Ale w téj chwili silna ręka Wallensteina ścisnęła go za ramię i w oddalony kąt pokoju zawiodła. Pośpieszył za nim Adalbert.

— Obieraj! — po cichu lecz mocno rzekł Wallenstein, a prawicą uderzył w pałasz, lewą zaś ręką podawał ciężki worek. Nie długo wahał się sędzia, a wkrótce ręka pułkownika nie spoczywała już na rękojeści miecza, ale też i w drugiéj nie było złota. W téj chwili wszyscy odwrócili się od dziewicy. Leżał na stole przed jéj oczyma nieszczęśliwy pargamin. Na ten widok jéj rozpacz nie znała już granic, a na nieszczęście postrzegła na kominie zapomnianą flaszkę przy wynoszeniu alchemicznych narzędzi. Porwała ją dziewica. Na długim papierze, przy niéj wiszącym, były słowa: »Trucizna«. Ledwo je przeczytała, już do ust przytknęła śmiertelny napój. Potem spojrzała w stronę komnaty, w któréj naradzał się jéj ojciec z sędzią i Wallensteinem; dziki uśmiech wydał jéj myśl okropną: »Już nie jestem w wa-

széj mocy«. Po chwili Adalbert wrócił do stołu. Zasiedli przy nim sędzia i pułkownik. Porwał Reichstal zimną ręką Minny i połączył ją z ręką Wallensteina.

— Błogosławię was — rzekł — błogosławię, moje dzieci. Doczekajcie późnych lat...!

— Nie doczekamy ich oboje — przerwała mu dziewica i znów do dawnego wróciła milczenia.

Nie wiedział, co począć, astrolog, kiedy Wallenstein porwał za pióro i podpisał się na pargaminie. Poszli za jego przykładem Adalbert i sędzia. Teraz koléj przychodziła na nieszczęsną Minnę, która już zaczynała cierpieć bóle, śmierć poprzedzające. Z obłąkanemi oczyma wzięła pióro, ale zapomniała go umaczać. Astrolog odebrał pióro, zanurzył w kałamarz i oddał córce. Ale Minna nie miała dosyć mocy do podpisania się. Ojciec więc wziął jéj rękę i nią kierował. Nareszcie nieczytelne dziewicy imię zaczarniało na pargaminie. Właśnie kończyła ostatnią literę, kiedy usłyszano tętent prędko biegnącego konia, a wkrótce potem kroki w sieni i głos silny.

— To on! — krzyknęła Minna i pióro wypadło jéj z ręki.

Drzwi się otworzyły i wszedł kapitan Alan de Reichstal. Pióra połamane na czapce, cały ubiór w nieładzie, buty okryte śniegiem, pot cieknący z twarzy dowodziły prędko odbytą podróż. Jego ukazanie się wszystkich zadziwiło. Astrolog nie mógł pojąć, dla czego syn przybywa na ślub siostry, kiedy o tem nawet go nie uwiadamiał, bojąc się, by wzruszony łzami Minny nie wyzwał Wallensteina na śmiertelną walkę. Pułkownik nie znał Alana i z gniewem w sercu porwał się z siedzenia i pobiegł ku niemu.

— Kto jesteś? — silnym zawołał głosem. — Jak śmiesz tu stawać przed hrabią Wallenstein?

— Jestem jéj bratem — krzyknął wściekle Alan — i twoim wrogiem śmiertelnym!

— Ty moim wrogiem? — odparł z uśmiechem wzgardy Wallenstein — jéj bratem, szaleńcze? Odejdź, bo cię każę pojmać!

— Nikogo się na świecie nie boję. Jestem bratem téj dziewicy. Kiedy wszyscy ją opuścili, mój pałasz zabłyśnie na jéj obronę. Chcesz ją gwałtem poślubić?

— Któż ci o tem, najpodlejszy z ludzi, któż ci o tem doniósł?

Nie mógł już takiéj zniewagi wytrzymać Alan, dobył szabli i piorunnym zawołał głosem:

— Gdyby nie ten list, jéj oczy, jéj twarz byłyby mi to powiedziały. Broń się, Wallensteinie!

Krzyknęła przeraźliwie Minna, a na ten krzyk upadła żelazem zbrojna ręka Alana. Podniosła się wtenczas z trudnością dziewica i tak do otaczających przemówiła:

— Wstrzymaj się, Alanie, bo przybyłeś zapóźno! — Wstrzymaj się, Wallensteinie, bo już spełzły twoje nadzieje! — A teraz, mój ojcze, dowiedz się, że ja napisałam list do brata, że ja mu doniosłam o mojem nieszczęściu! Ale spóźnił się Alan, a ja już uczyniłam wybór między śmiercią a tobą, Wallensteinie. Przysięgłam, że nikt oprócz ciebie mojéj ręki nie otrzyma. Święcie dochowałam danéj wiary. Wypiłam truciznę. — To mówiąc, wskazała ręką na komin i upadła na krzesło. — Żegnam was — dokończyła głosem przerywanym częstemi jęki — żegnam was. Ojcze, daruj winę! Mój bracie, zachowaj Minnę w twojem sercu, kiedy już jéj przy tobie nie będzie! Módlcie się za mnie!

Alan przez chwilę wahał się, czy utopić żelazo w piersi Wallensteina, który stał głęboko zamyślony, czy pobiedz do siostry.

— Później zdasz mi z tego rachunek — rzekł nakoniec do pułkownika. — A teraz wychodź stąd! Nie zatruwaj jéj chwil ostatnich twoją przytomnością!

— Nie, zostanę, żadna siła nie zdoła mnie wyprzeć.

— Zostań więc, do szatana! — krzyknął Alan, i rzuciwszy dobytą szablę, pobiegł do siostry, którą ściskał stary Adalbert. Tonąc we łzach, żegnali się oba z ulubioną Minną. — Ale nareszcie kapitan porwał ojca za rękę.

— Ojcze, czy nie posiada twoja nauka sposobów uratowania jéj?

— Nie, synu. Trucizna, rozdzierająca jéj wnętrzności, nie da się niczem uśmierzyć. Utraciłem w młodym wieku matkę, w późniejszych latach patrzyłem na śmierć Fatymy, a teraz ginie moja nadzieja, moja Minna.

Takie moje przeznaczenie! Takie skutki nieszczęśliwéj gwiazdy!

Ale umysł Adalberta de Reichstal nie miał już dosyć siły do zniesienia tych nieszczęść. Upadł bez zmysłów na ziemię, a Alan kazał go zanieść do jego komnaty. Sam zaś z Wallensteinem został się przy siostrze. Za kilka chwil już miała Minna ten świat porzucić. Już niedobrze słyszała słowa brata, już niedobrze rozpoznawała rysy Wallensteina, stojącego przed nią. Zatapiał on wzrok w umierającéj oblubienicy, śledził na twarzy każdą oznakę boleści, uważał najlekse jéj poruszenia, ale żadna łza nie zaświetniała w jego oczach, żadne pomięszanie nie wydało się na jego licach. Boleść rozrywała duszę, ale panem był Wallenstein swoich namiętności i, kiedy chciał je ukryć, darmo szarpały jego serce, daremnie w piersiach się ścierały; nigdy westchnienie, nigdy ogień oczu, nigdy bladość twarzy go nie zdradziła. Alan drżące siostry ręce trzymał w swoich ręku. W okropnéj rozpaczy prosił ją, aby nie opuszczała téj ziemi, jak gdyby mógł człowiek śmiertelny swoją wolą oprzeć się wszystko niszczącéj śmierci. Wallenstein zbliżył się do Minny.

Alan chciał go odepchnąć.

— Dozwól mu widzieć ofiarę — rzekła dziewica — już się teraz go nie boję! Prawdaż, nie będę jego żoną? zostanę przy ojcu; nie opuszczaj mnie, Alanie.

To mówiąc, powstała; zdawała się walczyć ze zgonem i, konając, nie przestała mówić o szczęściu. Zbłąkane zmysły stawiały jéj w najpiękniejszych farbach umajone kwiatami łąki, pola rozkoszne, pogodę bez końca, słońce, rozlewające czyste promienie, ale nagle zmieniła wyraz łagodności, który dotychczas boleści nie mogły zatrzeć w jéj oczach, na wyraz gniewu i szaleństwa; wyciągnęła rękę do Wallensteina, ścisnęła jego prawicę.

— Nieprawdaż? — rzekła do brata — pomścisz się na Wallensteinie mojéj śmierci? Nieprawdaż? utopisz mściwe w jego łonie żelazo? Pamiętaj, że on mnie zabił, że wlał truciznę w moje serce!

Na te słowa zmieszał się pułkownik, ale nie oderwał prawicy i, nawzajem ściskając rękę dziewicy, jakby go mogła rozumieć:

— Nie ja — odpowiedział — sprawiłem twe nieszczęście, bo świadczę się niebem, że twoje tylko szczęście miałem na myśli.

— Nie usprawiedliwiaj się — zawołał Alan — przed Minną, kiedy już jéj grób się otwiera; zostaw mnie przy siostrze!

Wtem krzyknęła najsroższych cierpień głosem córka astrologa; nagły rumieniec zastąpił śmiertelną bladość, oczy zaświetniały strasznym ogniem, ale ten ogień, do błyskawicy podobny, znikł w téj saméj chwili. Jeszcze chciała wyrzec pożegnanie Minna, jeszcze jéj usta się otwierały, jeszcze oczy zwracała ku bratu, ale śmierć nie dozwoliła jéj ostatni raz ścisnąć ręki Alana; schyliła głowę, zamknęła powieki i padła bez życia. W téj saméj chwili wszedł do sali stary Adalbert de Reichstal. Smutek najgłębszy wyrył swe piętno na jego licach; zbliżył się do ciała córki, przy któréj stał Alan, położył rękę na zimnéj twarzy ulubionéj Minny:

— To jest Minna de Reichstal — rzekł poważnym głosem — ja jestem jéj ojcem i nikt prócz mnie nie ma do niéj prawa. Jéj ciało po śmierci do mnie należy. Wallensteinie, oddal się stąd! Idź na wojny i walki dokonywać świetnego przeznaczenia i zostaw tyle już razy nieszczęśliwego starca! Nie mam ku tobie żadnéj nienawiści. Sam jestem przyczyną..... Błogosławię ciebie, idź...!

— Błogosławię! — ciszéj powtórzył Alan i napół dobył pałasza.

— Synu, schowaj oręż! Zostaw nas, to jest zostaw mnie z córką, a jutro rano czekam ciebie w mojéj komnacie!

Na te słowa ustąpił Alan, ustąpił Wallenstein. Spojrzenia ich się spotkały, a te spojrzenia wróżyły nieszczęście. Na czele żołnierzy wrócił pułkownik; kilkoma godzinami wprzódy jechał do ślubu, teraz wracał ze spuszczoną głową, ze smutkiem w sercu, wracał od grobu oblubienicy.

VI.

Gomez:

Wielbię cię, żeś odważny, żałuję, żeś młody.

Rodryg:

Który to raz, nie pytaj i wychodź! a w téj dobie,
Jak ta ręka zaczyna, doświadczysz na sobie.

Cyd. — przekł. L. Osińskiego.

Sen nie nawiedził powiek Alana; smutek go dręczył, a czarne widma otaczały jego łoże. Zemsty piekieł i niebios wzywał nad Wallensteinem, nad mordercą ukochanej Minny. Raz zrywał się z łoża i, chwytając za miecz, w okropnych wyrazach groził pułkownikowi, drugi raz upadał na ziemię i bez czucia zostawał, a kiedy mocno bijące serce i krew wzburzona znowu go do życia wracały, tonąc w łzach tysiąc razy powtarzał imię siostry.

Mówią nawet, że w téj pamiętnéj nocy ukazał mu się szatan w całéj potędze. Płomienie wieńczyły skronie dumnego anioła. Twarz była anielską, ale w oczach odbijało się całe piekło, w oczach, które wyrażają ludzkie namiętności, znać było pychę, piorunami Pana niebios nie startą i pragnienie złego. Stanął więc szatan przed oczyma Alana. Kapitan nie przeraził się jego widokiem, bo dla zbolałego serca nie ma bojaźni na świecie. Ofiarował mu pan nieszczęścia wykonanie zamiarów, obiecał nieszczęśliwy zgon wroga.

Przystał wtenczas syn Adalberta na oddanie duszy w ręce jego i na własną śmierć, mającą zaraz nastąpić po śmierci Wallensteina. Ledwo ukończył przysięgę,

ścisnął go za rękę anioł ciemności. — »Moim jesteś już teraz« — rzekł grobowym głosem, rozśmiał się szyderskim śmiechem i zniknął.

— Zginie nieprzyjaciel! — zawołał Alan.

Choć trudno wierzyć téj pogłosce, pewną jednak jest rzeczą, że Alan de Reichstal nigdy już od tego czasu radości nie doznał. Nigdy miły uśmiech nie osiadł mu na ustach, nigdy łza wesela nie odwilżyła powiek. Ponury, niedostępny, poświęcony na wieczną zgubę, pogardzał ludźmi; nie znalazł na téj ziemi serca, coby go mogło zrozumieć. Nigdy nie ścisnął prawicy przyjaciela, nigdy słodkie uczucia nie przerwały boleści, serce mu rozdzierających. Z nieszczęść w nieszczęścia, z błędów w błędy wpadając, pewnym krokiem zbliżał się do przepaści. A kiedy stanął u jéj brzegu, nie wahał się ani chwili w nią rzucić.

Nazajutrz przypomniał sobie ojca rozkazy. Wychodząc z pokoju porwał za miecz i ścisnął go z uniesieniem, jak gdyby w nim tylko jedynego widział przyjaciela, jedyną upatrywał nadzieję. Przeszedł przez salę, w któréj skonała Minna. Zaćmiło mu się w oczach i mało nie zemglał. Przebiegł długi korytarz i pchnął drzwi pokoju Adalberta. Otworzyły się podwoje, upadł Alan na progu, okropnym rażony widokiem. Ojciec stał przy ciele córki. Czarna suknia ją okrywała, a płaszcz ciemny, spięty sprzączką, wystawiającą trupią głowę, aż do jéj stóp spadał. Korona, z srebrnych liści uwita, wieńczyła martwe czoło, na którem znać było piętno śmierci gwałtownéj. Ogromne dyamentowe kolczyki zdobiły jéj uszy, a naszyjnik z drogich kamieni skamieniałą szyję obwijał. Ręce miała złożone, a w nich spoczywał krzyż z kości słoniowéj. Łzawe oko zwrócił Adalbert na syna i pospieszył go podnieść. — Z trudnością powstał kapitan, ścisnął ojca prawicę i rzucił się w jego objęcia.

Po chwili poważnie rzekł astrolog:

— Synu! tyś ostatni z rodziny Reichstalów, zatrzymuję cię tylko na chwilę. Potem wrócisz, gdzie cię powinność i sława wzywają. Wprzódy mam ci odkryć tajemnicę. W podziemnych tego domu sklepieniach jest

miejsce, przeznaczone na grób naszéj rodziny. W nim spoczywa Fatyma, moja żona i matka twoja, nie podlegając zepsuciu czasu; równie ocaliłem zwłoki mojéj córki. Przetrwają one wieki, podobne do mumii starożytnego Egiptu.

Kończąc te słowa, uderzył astrolog nogą w podłogę. Drzewo się na kilka stóp rozstąpiło, ukazały się kręte z kamienia schody. Objął w silne ręce ciało siostry Alan de Reichstal i, przyciskając go do piersi, szedł za ojcem, dobrze znajomym drogi, kręcącéj się wśród różnych kolumn i galeryj. Dosyć długo zstępowali na dół. Zewsząd ciemności nacierały na mały kaganiec, trzymany przez Adalberta, jak gdyby nienawidząc światło, chciały wroga zakryć swemi cieńmi! Nareście otworzył astrolog drzwi żelazne i wszedł z synem do szerokiego lochu. Srebrna lampa posępne po nim rozsyłała promienie. Siedziała Fatyma na wyniosłem krześle. Przy niéj przygotowane było niższe siedzenie, obite w czarny aksamit, nad którem wznosiła się tarcza z herbem Reichstalów. Tu Alan złożył ciało młodéj Minny. Klął astronom przed Fatymą i, biorąc jéj rękę, tak przemówił:

— Przyprowadzam ci towarzyszkę, Fatymo, mój upór sprowadził ją do ciebie. Ja ją do grobu wtrąciłem. Spoczywajcie tu spokojnie! O wielki Boże, zwróć twój gniew na mnie, ale nie odwracaj oblicza od Wallensteina!

Tak się dręczył smutny starzec. Alan nie mógł ścierpieć, żeby się ojciec oskarżał i wzywał jeszcze łaski niebios na Wallensteina, krzyknął więc:

— Zaczekaj, ojcze, pozwól synowi pomodlić się u gróbu matki i pożegnać się z siostrą!

To mówiąc, ukląkł, dobył błyszczącego miecza.

— Przysięgam — rzekł — na wielkiego Boga, na Boga mych naddziadów i na to krwi pragnące żelazo, że całe moje życie, że wszystkie chwile poświęcę zemście nad Wallensteinem. Ścigać go będę, krok w krok za nim postępować i nie ustanę, nim występnéj dusz mu nie wydrę. Serce jego skrwawione tu przyniosę w ofierze, tu złożę przed twojemi stopy, ulubiona Minno, a jeśli

mi się powiedzie, dziś go jeszcze zamorduję. Oby twoja śmierć, oby zbrodnie Wallensteina na mnie spadły, oby moję głowę przeklął ojciec, obym nigdy usnąć nie mógł, jeśli danego tu słowa nie dotrzymam, jeśli wszędzie zbrodniarza ścigać nie będę! Śmierć jedna wstrzyma moje ramię, a oprócz niéj żadna siła ludzka zemsty zabronić mi nie zdoła. Miałem piękny zawód przed sobą. Ale ja go teraz zamieniam na zawód krwi i rzezi, pomsty i śmierci, a świadczę się Tobą, o Boże, świadczę się tobą, o matko i siostro, że to czynię z mojéj woli, nie z czyjego natchnienia lub rozkazu. Więc niech kara moich czynów mnie tylko dosięże, na mnie tylko się zwali. Niech mnie piekło pochłonie, niech mnie piorun zdruzgoce, bylebym dokonał zemsty, bylebym zabił Wallensteina.

Skończył młodzieniec, wzniósł dobyte żelazo.

— Wstrzymaj się synu — zawołał Adalbert — wstrzymaj się! — Ale już tych słów nie słyszał kapitan, już szybkim krokiem wyleciał z ciemnego grobu i zmierzał do mieszkania Wallensteina. Z mieczem błyszczącym, z gniewem i wściekłością w sercu i na twarzy leciał wyzywać wroga.

Pułkownik Wallenstein siedział zamyślony przy szerokim stole, na którym leżał jego pałasz i pistolety. Przed nim był papier, na którym czytał przed chwilą rozkaz wyruszenia tego samego dnia jeszcze z Egry. Smutek duszę jego przejmował i wrażenia dnia wczorajszego zajmowały serce. Wtem silna ręka porwała go za ramię. Obrócił się i poznał Alana. Natychmiast ściągnął rękę do szabli, ale zaraz rzucił broń porwaną i pytał się kapitana o zdrowie ojca.

— Nie pytaj się o zdrowie człowieka, którego poznałeś na nieszczęście mojéj siostry — krzyknął Alan — a mam nadzieję i na twoje nieszczęście! Nie odrzucaj téj broni! Owszem weź ją i chodź za mną!

— Kapitanie — odparł, wstając, Wallenstein — dosyć już nieszczęścia z mojéj przyczyny spadło na twoją rodzinę. Nie chciéj, bym ręce zmaczał w krwi ostatniego jéj potomka. Opuść mnie raczéj i nigdy nie potykajmy się na drodze życia, lub kiedy się spotkamy, wskaż swoją, a ja przeciwną obiorę!

— Do stu piorunów, wychodź, zbrodniarzu, wyzywam cię na pojedynek! Nie trać czasu na słowach, bierz pałasz i pistolety!

— Mości kapitanie! — krzyknął z iskrzącemi się od gniewu oczyma Wallenstein — mówię ci raz jeszcze, byś mnie zostawił i nie przymuszał do zadania ci śmierci, boś zapewne musiał słyszeć, że téj ręki nikt jeszcze nie mógł zwalczyć.

— Chwal się teraz, chwal się, podły występco, z twojéj odwagi! Umiesz zatruwać życie kobiety, umiesz ją do grobu wtrącać, a nie masz dosyć męztwa, byś z jéj mścicielem walczył. Ostatni raz ci mówię: wychodź, bo wyzywam cię na śmiertelną walkę!

— To już zanadto! Gotów już jestem, gotów. Idźmy się zabijać. Ale świadczę się niebem, że nie ja do tego powodu dałem, żeś mnie przymusił, niech więc twoja krew nie na moją głowę spływa! Zresztą, rzekł, bądź pewny, że darmo się silisz, bo nie mogę teraz i z twojéj ręki zginąć!

Uśmiech, oznaczający wzgardę, zabłysnął na twarzy Wallensteina. Dokończając tych słów, wskazał na niebo.

— Tu — rzekł — jest moja gwiazda i nie przyszła jeszcze chwila, w któréj ma zblednąć. Ale idźmy, mości kapitanie!

Nie czekał długo Alan i wyskoczył z pokoju. Szedł za nim Wallenstein na śmiertelną walkę.

Ledwo minęli ostatni dom Egry, stanął pod kilkoma drzewami syn Adalberta de Reichstal.

— Nie mamy po co iść daléj — krzyknął do Wallensteina — i tu możemy śmierć znaleźć.

Stanął Wallenstein i oba szabel dobyli.

Spotkały się ich pałasze, jak dwa błyszczące pioruny.

Jeden i drugi nastaje i siecze. Jeden i drugi napada, broni się, naciera i cofa.

Wallenstein z zimną rozwagą odbijał żelazo wroga. Alan wściekle nacierał, ale zawsze jego pałasz spotykał pałasz przeciwnika, a za każdem uderzeniem tysiączne iskry się sypały. Wiedli dosyć długo walkę i Wallenstein poznał moc prawicy Reichstala. Alan nie mógł znaleźć mieczem drogi do serca wroga, rzucił więc broń nieużyteczną.

— Dosyć już tego, mości pułkowniku — zawołał — tą bronią za długo śmierci byśmy szukali! Lepiéj kulom powierzmy nasze życie!

— Dobrze — odpowiedział Wallenstein i dobył pistoletu.

Alan pierwszy wystrzelił, kula przeszyła kapelusz pułkownika i zrzuciła go na ziemię. Wallenstein podniósł pistolet i widocznem było, że mierzył do drzewa, stojącego przy Alanie. Ale w téj chwili zmienił swoje położenie młody Reichstal i raz odebrał w piersi. Upadł bez przytomności.

Wtem ukazał się przebywający na miejsce walki stary Adalbert. Spiesznie odszedł Wallenstein i wrócił do miasta. Zastał już pułk pod bramą, skoczył na konia, ściągnął wodze i zawołał żołnierza, blizko stojącego.

— Walterze — rzekł naprzód głośno, a potem mowy pocichu dokończał. Skłonił się żołnierz, a kiedy wszyscy wyruszali, on jeden się w Egrze został.

Kilka dni późniéj pułkownik Wallenstein w zadumaniu już nad wieczorem siedział przy ognisku w wieśniaczéj chacie. Nagle usłyszał tętent biegnącego konia. Zatrzymał się jeździec przed chatką.

— Czy tu stanął hrabia Wallenstein? — zawołał, a za daną odpowiedzią skoczył na ziemię. Drzwi się otworzyły. Wszedł Walter i, zdjąwszy szyszak, zbliżył się do wodza.

— A cóż? — zapytał się Wallenstein.

— Żyje, pułkowniku, żyje! Ojciec go tajemnemi swéj nauki sposobami uratował od zgonu. Ale wczoraj uzbrojony wyjechał z Egry.

— Do pułku Lichtensteina zapewnie?

— Nie, przeciwną udał się drogą, ale zdrów i żyje.

— Dzięki niebu — krzyknął Wallenstein — już mniéj o jedną zbrodnię!

VII.

Nowy jego towarzysz nakształt czarnéj chmury
Smutny, jak noc jesienna, jak księżyc ponury,
Uśmiech opuścił usta, tylko zapał w łonie,
Tylko dzika chęć zemsty w zgasłych oczach płonie.

Bezimienny.

Piętnaście lat już było upłynęło od sławnéj bitwy pragskiéj. Wiele odmian tymczasem zaszło w Niemczech, ciągle mieczem i ogniem pustoszonych. Cesarz Ferdynand z początku doszedł do najwyższego szczytu potęgi, poskromił buntujących się panów, starł dumę królów i książąt. Wielkich wodzów liczył w swoich wojskach: Tyllego, księcia Bernarda Bawarskiego, ale nad wszystkich wznosił się Wallenstein — Wallenstein, postrach i śmierć protestantów. Mnogie jego zwycięstwa nadgrodził cesarz zaszczytami i mnogiemi dary. Hrabia Wallenstein dostał łupem część kraju książąt meklemburskich, a późniéj mianował go admirałem mórz północnych i księciem Frydlandzkim. Jednak po tylu świetnych czynach coraz wzrastająca naszego bohatera duma i przyczyna, którą dał do wojny z Gustawem Adolfem, znienawidziła go w oczach Ferdynanda. Utracił dowództwo. Pogardził pyszny Wallenstein obmowami nieprzyjaciół zazdrosnych nieśmiertelnéj chwale, ale zarazem otworzył serce zemście, którą miał nasycić, zrzucając z tronu cesarza i zasiadając na jego miejscu. Pomimo jednak tych niechęci przyjął jeszcze raz książę Frydlandzki dowództwo nad wojskiem cesarskiem i pospieszył uratować chylące się już ku upadkowi państwo.

Zwycięztwa Gustawa Adolfa wszystkich przeraziły strachem, ale to właśnie obudzało męstwo Wallensteina. Wystąpił więc w pole i spotkał się ze strasznym przeciwnikiem. Niepewne zwycięztwo raz jednéj, znów drugiéj sprzyjało stronie.

Ale nakoniec w krwawym boju pod Lützen starł się z całą swoją potęgą bohater cesarstwa z bohaterem wolności. Gustaw Adolf zginął na polu sławy. Odtąd nie upatrywał już nikogo Wallenstein, z którymby się mógł pomierzyć. Wrócił więc do dawnego zamiaru i, rozgniewany postępowaniem cesarza, pracować usilnie zaczął nad jego upadkiem. Cesarz nie zwiódł się na zamysłach Wallensteina i powtórnie go okrył swoim gniewem. Zemsta najgwałtowniejsza zapaliła serce bohatera i przysiągł zgubę dumnego pana, zawdzięczającego niełaską zbawienie Niemiec i utrzymanie tronu. Opuścił wojsko cesarskie, a ze swojem własnem i z dworem, mogącym wiedeńskiemu się równać, osiadł w Egrze. Zamieszkał w zamku tego miasta, wystawionym na niebotycznéj górze. Stąd jak orzeł bystremi spoglądał oczyma na całe Niemcy, śmiało wpatrywał się w słońce, panujące nad niemi, w słońce, świecące przez jego zwycięstwa, i ściskał już szpony na jego zagubę.

Właśnie wtenczas kończył się rok piętnasty od bitwy, pod Pragą stoczonéj, i od czasu, w którym pułkownik Wallenstein pierwszy raz poznał Egrę. Wracając do tego miasta, Wallenstein zaledwo przypomniał sobie zdarzenia, których niegdyś był tu świadkiem. Tyle bowiem przypadków, tyle zdarzeń widział od tego czasu, że śmierć Minny, rozpacz jéj ojca, pojedynek z bratem jak przez mgłę mu się przypomniały. Ale kiedy ujrzał na wzgórku dom astrologa, kiedy poznał wieżę, z któréj Adalbert de Reichstal prorokował mu przyszły zawód, wzruszyło się jego serce i ledwo że łza nie zabłysła w oku. Ważne sprawy, w późniejszych dniach zachodzące, nie dały mu czasu spytać się o astrologa. Cały dzień bowiem dwieście paziów wprowadzało lub wyprowadzało od księcia Frydlandzkiego książąt, panów i posłów ze wszystkich niemieckich krain. Ci mu swe hołdy przynosili, ci dary pod jego składali stopy, tamci

przybywali tajemnie się z nim naradzić, inni, wyprawieni przez dwór wiedeński zdradzać wielkiego męża przychodzili, a pochlebiając jego dumie, śledzić skryte zamiary i knujące się na Ferdynanda spiski. Przyjmował wszystkich Wallenstein z dumą panującego. Dworzanie, lśniący się złotem i srebrem, wprowadzali posłów do szerokiéj sali zamku Egierskiego. Tu czekał na nich zbawiciel cesarstwa. Na wysokim tronie siedział z twarzą zasępioną. Ręka najczęściej spoczywała na rękojeści bogatego pałasza. Odpowiadał krótko na przełożenia, a często ruchem głowy lub skinieniem ręki wolę swą oznajmiał, rozrządzał narodami i królestwy. Ponurym wzrokiem spoglądał na otaczających, ale tym wzrokiem zgłębiał duszę każdego, czytał na twarzach poruszenia serca i wyśledzał najmniejsze duszy uczucia. Jednéj zdrady nie mógł poznać, bo jéj się nie bał, bo nie zadawał sobie nawet pracy do jéj wykrycia. Nie lękał się bowiem zdrajców, nie lękał się najzaciętszych wrogów. Ufny w swoją gwiazdę, pogardzał ludźmi i, jak gdyby sam nie był człowiekiem, nie chciał się zniżać aż do nich. Wiek i podjęte trudy swe piętno na jego twarzy wyryły. Blade lica, ścięte usta, smętne oczy, nie zgadzały się z pysznym ubiorem. Ale Wallenstein był zawsze wielkim i wola jego, jakby piorun rzucony z niebios, wszystko przynaglała, a opierających się druzgotała. Nie namowami, nie podarkami, nie pochlebstwem postępował do swego celu, ale rozwagą, ale sławą nabytą przez wieloletnie zwycięstwa i wojny. Ciało jego już osłabło, siły osłabły, ale rozum, wszystko podgarniający pod siebie, nie zagasł. Owszem, rozwijał się w całéj swéj mocy, z nową trudnością nowe wynajdywał sposoby i, wszystko przezwyciężając, torował sobie drogę do potęgi i chwały. Drżeli wszyscy przed bohaterem, nikt jawnie podnieść miecza nie śmiał na niego i w ciemnościach tylko nocy ostrzyły się sztylety, mające ugodzić w piersi księcia Frydlandzkiego. Naokoło niego stali zbrojni męże w ozdobnych zbrojach, a zewsząd sypały się roje dworzan i paziów, kornie bijących czołem przed panem, pysznym z swojéj wielkości, który ją teraz nie cesarzowi, ale sobie samemu był winien.

Między dworzanami Wallensteina odznaczał się pułkownik Lesle, powiernik jego i największy przyjaciel. Od kilku lat już się przywiązał do księcia Frydlandzkiego i nawet w bitwie pod Lützen uratował mu życie. — Od téj chwili polubił go Wallenstein i ciągle obsypywał dobrodziejstwami. Lesle miał już trzydzieści i kilka lat. Ogromne wąsy i bródka hiszpańska czerniły się naokoło ust jego, twarz miedzianéj barwy świadczyła podróże w dalekich krajach odbyte i walki stoczone w Afryce, o których często mówił. Rodem miał być ze Szkocyi. W młodym wieku puścił się na morze i popłynął do Afryki. Tam z Anglikami walczył przeciw tamecznym ludom. Ale nareszcie zachciało mu się wrócić do Europy. A jak tylko stanął na brzegu ojczystym, usłyszawszy o wojnie, wrzącéj w Niemczech, wyprawił się na nią, poznał wielkiego wodza i połączył swój los z jego losem. Takie było opowiadanie pułkownika. Zresztą wszyscy znali moc jego ramienia i odwagę, którą świadczyły blizny, krzyżujące się na twarzy. Nie używał on wpływu swego na serce Wallensteina, żeby szkodzić drugim, ale uważał, że często rady, dawane przez niego księciu Frydlandzkiemu, nie były najlepszemi. Kochał go jednak dumny Wallenstein i wszyscy, idąc za przykładem pana, kochali go lub udawali, że mu sprzyjają. Wpadał czasem Lesle w czarną posępność. Wtenczas nienawidził świat i ludzi. Zdawało się, jak gdyby pamięć jakiego nieszczęścia wszystkie jego zatłumiła uczucia i serce tylko zemście otwierała. Z nikim nie obcował, nigdy uśmiechem nie powitał przyjaciela, nigdy oka nie zwrócił na hoże dziewice. Sam w sobie znajdując świat cały, głuchy był na wesołość pienia, na uniesienia radości. Zimne jego serce niczem się nie wzruszyło, chyba kiedy wlewało w niego gorycz, przeszłych zdarzeń przypomnienie. Wtenczas zdawał się odchodzić od zmysłów. Oczy jego, zawsze martwe, żywym zapalały się ogniem, podobnym do błyskawicy, która wśród czarnéj nocy rozdziera chmury i ogłasza światu grzmot strasznego pioruna. — Chodził po długich zamku korytarzach. Jęczał i wzywał zemsty niebios na wroga. Przysięgając jego zgubę, dobywał

miecza i miotał przekleństwa. Sam Wallenstein szanował te uniesienia i nigdy nie przerywał słów, bez porządku wymawianych, między któremi zemstę najczęściéj słyszano. Zresztą pułkownik Lesle wykonywał rozkazy Wallensteina z nadzwyczajną szybkością. Daremnie nieraz pytał go książę Frydlandzki o przyczynę czarnego smutku. Nic nie odpowiadał Lesle lub mówił: »Nie czas jeszcze, najjaśniejszy książe«.

A wtenczas włosy jeżyły mu się na głowie, drżał cały, zwracał wzrok ognisty na Wallensteina, a ręką dotykał się sztyletu lub miecza. Nie uważał na te oznaki bohater, ciągle łaskami obsypywał Leslego, powierzał mu tajemnice i często powiadał, że wkrótce Ferdynand jeszcze się uniży przed tem, który go utrzymał na tronie, a za to doznał jego gniewu i niełaski.

VIII.

Ryszard:
Zabij, złoto ci trudy nagrodzi sowicie!
Arnold:
Co! jabym miał tą zbrodnią splamić moje życie?
Nigdy . . . . . .

Szekspir.

Dnie upływały, a Wallenstein, ciągle trapiony chęcią panowania i pragnieniem zemsty, nie mógł się nasycić swoją wielkością i jeszcze świetniejszych żądał zaszczytów. Jednego wieczora, otoczony dworzanami, mając przy boku Leslego, pułkownika Butlera, służącego w jego gwardyi, patrzył z wysokiej zamku Egierskiego wieży na miasto i okoliczne pola, oświecone ostatniemi zachodzącego słońca promieńmi.

Zielone drzewa i kwiaty w ogrodach uprzyjemniały obraz, rozwijający się szeroko przed oczyma.

Zdala czerniały się lasy i Czech niebotyczne góry. Lekki wietrzyk przynosił aż do Wallensteina ulatujące po powietrzu wonie. Wszystko szczęśliwem i wesołem było. Wszystko się uśmiechało. Ale piękne przyrodzenie nie było w zgodzie z sercem księcia Frydlandzkiego. Przypomniał sobie, jak piętnaście lat przedtem podobnież spoglądał z wieży na Egrę. Przypomniał sobie proroctwo astrologa, lecz kiedy stanęły mu ostatnie słowa w pamięci, mimowolny dreszcz po nim przeszedł i zbladły mu lice. Ale prędko ukrył to pomięszanie. W téj chwili czerwonawy promień słońca odbił się od wieży domu astrologa.

— Pułkowniku Lesle, widzisz tę wieżę?

— To wieża mego... To wieża — odparł żywo Lesle — to wieża astrologa.

— Nie wiedziałem, że znasz jéj pana — rzekł spokojniejszym głosem Wallenstein.

— Słyszałem niedawno o Adalbercie de Reichstal.

— I imię nawet? a, to już zanadto!

— Szczególnym dowiedziałem się sposobem.

— Wyjaw mi go! — to mówiąc, skinął książę Frydlandzki, a dworzanie i Butler go opuścili.

— Wyjaw! — powtórzył Wallenstein. — Wątpię, żeby jeszcze pamiętali.

— Żeby jeszcze pamiętali! — krzyknął Lesle z iskrzącemi się od gniewu oczyma. — Jest serce, co pamięta i co za każdą krwi kroplę odda jéj strumienie.

— Cóż znaczy ta mowa, pułkowniku? — zawołał książę porywając Leslego za rękę i silnie nią wstrząsając. — Obudź się, bo widzę, że znów w szał zwyczajny wpadasz!

— Prawda, najjaśniejszy książę, często pamięć nieszczęść mięsza mój umysł. Przebacz tej krótkiéj zapomnienia się chwili! O Adalbercie de Reichstal i córce jego słyszałem od tutejszych mieszkańców.

— Więc jeszcze nie zatarła się pamięć jéj śmierci, po piętnastu leciech zaburzeń i wojen? Lesle, ty, który jeden możesz zrozumieć moją duszę i objąć moje zamiary, przyszedł czas objawić ci zdarzenie, które goryczą napełniło kilka dni w mojem życiu.

Tu siadł Wallenstein i zaczął opowiadać swoją miłość ku Minnie i jéj nieszczęśliwe skutki. Za każdem słowem zmieniała się twarz pułkownika, za wymówieniem imienia Minny drżały mu usta i piekielny ogień żarzył się w oczach. Nie mógł zostać na miejscu, chodził wzdłuż i wszerz, ciche wymawiał słowa i zdawał się walczyć sam z sobą. Wallenstein przyzwyczajony do tego ciągnął powieść i trzymał oczy wlepione w wieżę Adalberta de Reichstal, która się jeszcze czerniała wśród mroku, jak pamięć zbrodni w przeszłości, nie widział przeto, jak Lesle dobył sztyletu, wtenczas kiedy opisywał gniew młodego Alana i pojedynek z nim odbyty i jak go znów do pochwy schował. Nareszcie temi słowy zakończył:

— Mimo największych starań, nigdy się nie dowiedziałem, gdzie uszedł lub gdzie przebywa.

— Może dowiesz się kiedy, najjaśniejszy książę — rzekł pułkownik i z uśmiechem szyderczym na ustach pytał się Wallensteina, czy żadnych nie ma do wydania mu rozkazów.

— Lesle — krzyknął książę — chcę odwiedzić dom astrologa, w którym pierwszy raz uczułem miłość — i ostatni, mogę powiedzieć, bo później cała moja miłość w tem była. — To mówiąc, uderzył o rękojeść miecza. — Nie kochałem nawet córki Starracha, nie, to nie była Minna de Reichstal. Chcę jeszcze raz zobaczyć starego Adalberta, jeśli żyje, a pznajmniéj wejść jeszcze na wieżę, skąd mi świetne przepowiedział przeznaczenie. Świetne! Tak, usłałem pod mojemi nogi trony i mocarze, zwalczyłem wszystkich, pokonałem wszystkich. Zostaje się jeszcze jedna część proroctwa, która jeśli się spełni, Adalbert był największym i najuczeńszym astrologiem.

— A jakaż to jest?

— Lesle, powiem ją tobie jednemu: że żelazo zabójcze wytrąci z moich rąk koronę cesarską.

Na te słowa spojrzał na sztylet pułkownik, jak gdyby chciał powiedzieć: »Już to żelazo gotowe«.

— Ale może pomylił się Reichstal — daléj mówił Wallenstein. — A zresztą, powtarzam, że sława pierwszem była mojem życzeniem. A dosyć jéj mnie otacza, koronę w drugim już kładę rzędzie; jeśli nią ozdobię moje skronie, tem lepiéj; jeśli nie, to i tak przejdę do nieśmiertelności. Ale słuchaj, Lesle, chcę dziś jeszcze wieczorem odwiedzić astrologa! Pójdziesz ze mną.

— Nie mogę.

— Ja chcę! — krzyknął książe Frydlandzki.

— Więc niech i tak będzie! — odparł Lesle i rozeszli się.

Już zegar zamkowy dziewięć razy swe brzęki powtórzył. Niebo jaśniało rozsypanemi na jego błękitach gwiazdy. Księżyc na wozie z chmur złotych wznosił się po lazurowem przestworzu. Upał dnia letniego zwalniał się powoli. Słodka rosa odwilżyła podnoszące się głowy świetnych kwiatów, a lekki wietrzyk poruszał liście

drzew, otaczających wały zamkowe. Przechadzał się po nich żołnierz, zbrojny w świecący szyszak, w stalowy pancerz, ciężki pałasz i parę pistoletów, wiszących u skórzanego pasa. Twarz jego zamyślenie wydawała; promienie księżyca oświecały ją zupełnie. Czoło zmarszczone, owoc trudów wojennych, i poczerniałe lica oznaczały walecznego wojownika. Wyraz poczciwości jaśniał w oczach, ale łatwo było poznać we wzroku smutek połączony z zadziwieniem. Wtem zbliżył się człowiek w szerokim płaszczu, z kapeluszem, czarnemi ocienionym pióry. Skłonił się żołnierz na jego widok.

— Dobry wieczór, Walterze, cóż tak zamyślony chodzisz wzdłuż i wszerz warowni?

— Zamyślony! mości pułkowniku, a może mam przyczynę do tego? — odpowiedział oddawna znany nam Walter.

— Cóż to może być?

— Oto niedawno widziałem księcia, wychodzącego tą bramą z towarzyszem, którym, zdało mi się, że jest pułkownik Lesle.

— Lesle? — powtórzył zdziwiony nieznajomy. — Pewno cię wzrok omylił. Książę nigdy o takiéj nie wychodzi godzinie.

— Znam ja dosyć Wallensteina — odparł, pokręcając wąsa — wiele razy widziałem go na polu sławy. Widziałem, jak on, podobny do lwa wściekłego, ścierał się z heretykami. Zaręczam ci, pułkowniku Butlerze, że się nie zwiodłem. O Leslem nie mogę twierdzić, bo nie często go widzę.

— Gdzież więc się udali, w jaką stronę?

— Do domu astrologa.

— Do domu astrologa? cóż to za astrolog?

— Zdaje mi się, że słyszałem od Leslego o jakiejś Minnie.

— Od Leslego! — krzyknął zdziwiony Walter. — Ach, to już takiemu dyabłu książę tajemnice powierza.

— Nie gniewaj się na mego towarzysza! Ale słuchaj, mam z tobą do mówienia! — I schylił się pułkownik do ucha żołnierza.

— Mów głośno, pułkowniku Butlerze! Nie mam nic do ukrycia na tym świecie. Racz mówić głośno, pułkowniku Butlerze, przecież nikt nie słucha, a ja nie cierpię tych szeptów, tych tajemnic! Prosto, otwarto, szczerze powiedzieć, to ja lubię. To przystoi na poczciwego żołnierza; a potem nikogo się nie boję, bo mam przyjaciela u boku, który wiele razy największéj dał mi dowody przyjaźni.

— Tu mury słuchają — rzekł Butler — tu drzewa w każdym liściu natężone mają ucho. — Nagle ze zwyczajnego głosu przeszedł do najsłabszego, ale cichą mowę żywemi wyrażał poruszeniami; znać było, że do czegoś namawia żołnierza. Głośniejsze czasem dawały się słyszeć słowa. — Wierz mi, to nie zdrada! To usługa dla monarchy. Dumny człowiek. Przysiągłeś na wierność cesarzowi. Obsypie cię bogactwami. Zaufaj mnie! Potrzeba dla spokojności państwa.

Twarz żołnierza podczas téj rozmowy rozmaitym podlegała odmianom. Gniew, oburzenie, pogarda, szybko w jego oczach przemijały.

Nareszcie lice jego ognistym pokryły się rumieńcem. Oczy zajaśniały najżywszym płomieniem.

Odepchnął Butlera.

— Milcz — krzyknął — nikczemniku, milcz, szatanie, pokusicielu! Przysiągłem na wierność nie Ferdynandowi, który jak słabe dziecko chwieje się na tronie, ale księciu Frydlandzkiemu. Ty sam niedawno w Pilzen tę samą składałeś przysięgę. Za Wallensteina życie-bym oddał. Milcz, jeśli nie chcesz, żebym cię zrzucił z tych wałów! Śmierć jego! Ty śmiesz o tem myśleć? drżyj, nikczemniku!

— Uspokój się, Walterze, uspokój się. Ocal siebie, ocal pułk cały, a za to obiecuję ci nagrodę! Oto masz zadatek wdzięczności cesarza. — To mówiąc, wyciągnął Butler sakiewkę pełną złota i podał ją Walterowi.

Żołnierz porwał pieniądze i rzucił je ponad wysokie zamku egierskiego mury.

— Nie przekupisz mnie, zbrodniarzu! — krzyknął w gniewie. — Odejdź, bo przysięgam, że tym pistoletem życie ci wydrę!

Wyjął broń z za pasa i przyłożył ją do serca Butlera. Cofnął się o kilka kroków zmięszany pułkownik.

— To wszystko żartem było — zawołał, wyciskając śmiech udany na drżących ustach — chciałem doświadczyć twojéj wierności. Dobrze, Walterze, dobrze, widzę, żeś wierny księciu.

— Nie tak łatwo mnie oszukać — odparł Walter. — Wallenstein o tem jutro będzie wiedział. Nawet i dzisiaj.

To mówiąc, skoczył z wału i jak strzała pobiegł ku domowi astrologa. Butler odwiódł kurek u pistoletu, skierował broń na żołnierza i wystrzelił. Ale po śmiechu usłyszanym i podwojonej szybkości kroków poznał pułkownik, że jego kula nie trafiła Waltera.

Żołnierz prędko mijał domy Egierskie i po niedługim czasie przybył na wzgórek.

Miłość ku Wallensteinowi sił mu dodawała. Wszedł do domu niewstrzymany, jak niegdyś, zamkniętemi bramy i w cichości długi przeszedł korytarz. Słabe światło uderzyło go w oczy i ujrzał drzwi dawnego pokoju astrologa napół otwarte. Chciwy usłyszeć rozmowę Wallensteina, stanął przy nich i wszystko pilnem przebiegł okiem.

Słaby płomień lampy, w bladawych rozlewając się promieniach, oświecał Wallensteina, stojącego z Leslem przy łożu, na którem jęczał zgrzybiały starzec z długą śnieżną brodą. Księgi różnéj wielkości leżały po stołach, szafach i posadzce. Wallenstein obrócił się ku drzwiom.

— Zostań się tutaj, Lesle — rzekł do pułkownika — i ostatnie jego chwile osłódź twoją przytomnością! Skłonił głowę Lesle, a Wallenstein odszedł. Jak tylko ujrzał go na dziedzińcu, Walter wyskoczył z domu i silnym zawołał głosem:

— Najjaśniejszy książę, racz zatrzymać się przez chwilę i posłuchać wiernego żołnierza!

— Kto śmie mnie wołać? — odparł Wallenstein. — Kto śmiał śledzić moje kroki w pośród cieni nocy i badać moje zamiary?

To mówiąc dobył pałasza, ale poznał zbliżającego się Waltera.

— Któż ci pozwolił opuścić straż wałów?

— Twoje niebezpieczeństwo — po cichu odparł Walter; to mówiąc, klął przed bohaterem i rzekł do niego:

— Najjaśniejszy książę, znasz wierność Waltera, wiesz, że zawsze jego męztwo odznaczało się na polu bitew. Przysiągłem tobie na wierność, przysiągłem nie mieć innego pana nad ciebie. Dzisiaj oto, niedawno, pułkownik Butler przybył do mnie, pełną złota ręką chciał namówić do zdrady, do zbrodni. Radził, bym cały pułk odwiódł od ciebie.

Nareszcie zakończył odkryciem największéj zbrodni.

— Tak, najjaśniejszy książę, on chce twojéj śmierci.

— Mojéj śmierci? Butler! mojéj śmierci? — krzyknął zdziwiony Wallenstein. — Jam go dobrodziejstwy obsypał, łaskami obdarzył. Nie, moje dziecko, mylisz się, wierny mój przyjacielu. Zapewne chciał doświadczyć twojéj wierności lub żartować. Ale zresztą dziękuję ci, Walterze, za ostrzeżenie i za to masz ten worek. — Ale dodał ostrym głosem: — Wracaj prędko na swoje stanowisko, bo żołnierz żaden opuszczać go nie powinien, żeby gwiazdy nawet padały na ziemię. Szczęście twoje, żeś spotkał samego Wallensteina, a nie księcia Frydlandzkiego, bo wtenczas musiałbyś zginąć za karę niedbałości. Wracaj więc, Walterze, i niech nikt się nie dowie, że Wallenstein mógł przebaczyć komu!

Usłuchał rozkazu wodza żołnierz, ale ze spuszczoną głową, ze smutkiem w sercu spiesznie wracał na stanowisko. Ledwie tam przybył, alić ujrzał Wallensteina wchodzącego w bramy zamkowe.

IX.

Viens donc, viens détacher mes chaînes corporelles,
Viens, ouvre ma prison; viens, prête-moi tes ailes;
Que tardes-tu? Parais, que je m'élance enfin
Vers cet être inconnu, mon principe et ma fin.

Alph. de Lamartine.

Tymczasem pułkownik Lesle z założonemi rękoma w głębokiem zamyśleniu stał naprzeciwko łoża boleści, na którem umierał, srogą znękany chorobą i podeszłą osłabiony starością, Adalbert de Reichstal.

Adalbert podniósł się trochę, wyciągnął rękę ku Leslemu i rzekł często przerywanym głosem:

— Jutro już mnie nie będzie; ale powiedz mi, śmiertelny człowiecze, czy to nie marą, nie snem było? Zdało się osłabionym oczom, że widzą Wallensteina. Ah! jakże się zmienił! Dawniéj czoło bohatera jaśniało boską pogodą, teraz smętność i zmarszczki go szpecą. — Jednak, choć osłabiony wiekiem, choć trapiony boleściami, poznałem jeszcze te oczy, ten wzrok pełen ognia, który tyle razy zwracał się na Minnę. Słyszałem, że wiele zwycięstw odniósł, a zapewnie teraz pnie się do tronu.

— Do tronu — powtórzył Lesle — do tronu! a któż ci to odkrył? Czyż człowiek przy śmierci może zgłębiać najskrytsze śmiertelnych myśli? czyż dusza, mająca się wkrótce oderwać od ciała, unosi się nad sercami innych?

— Nędzny prochu, słaby człowiecze — znów odezwał się Adalbert — spojrzyj w to niebo, a tam poznasz myśli i zamiary ludzi! Przed piętnastoma laty już

wiedziałem, że Wallenstein pokona, zwycięży, wzniesie się wyżéj, ale upadnie. Powiedz mu odemnie, jeśli jego przyjacielem jesteś, powiedz mu, że już kres życia dla niego się zbliża, lub lepiéj nic nie mów, gdyżby cię nie usłuchał, niech losowi stanie się do woli!

Wtenczas Lesle zbliżył się do Reichstala.

— Przyjmuję — rzekł po cichu — tę wróżbę i tem śmieléj postępować będę.

— Dlaczegóż — rzekł po chwili Adalbert — zostajesz się przy umierającym starcu, dlaczegóż pilnujesz osłabionego człowieka?

Nic nie odpowiedział pułkownik.

— Ostatnia moja chwila się zbliża, wszyscy mnie opuścili; żona, córka, syn może w zimnym spoczywa grobie; tyś jeden ulitował się nademną; zawdzięczę ci za to sposobem, który jeden mi tylko pozostał. Bogactwa złupili protestanci, siłę wiek odjął, ale wiek rozumu i nauki nie wydarł. Wesprzyj mnie ręką, zaprowadź do okna, niech raz jeszcze spojrzę na niebo, a powiem ci, co cię czeka, powiem ci, jak daleka śmierć od ciebie!

Usłuchał Lesle starca; podniósł się Adalbert i, wsparty na ręku pułkownika, słabym krokiem zmierzał do okna, przy którem stało jego krzesło i ogromny teleskop, dawno już nieużywany. Usiadł i drżącą ręką przysunął astronomiczne narzędzie. Gasnące oczy przyłożył do szkła, przybliżającego oku śmiertelnemu gwiazdy i nieskończone światy. Długi czas patrzył na niebo, nareszcie pchnął teleskop, który padł na ziemię i na drobne roztłukł się kawałki.

— Tyś już mi niepotrzebny — silnym zawołał głosem — nieszczęścia same mi tylko wskazujesz.

Potem porwał z nadzwyczajną siłą rękę pułkownika i dość długo po niéj linie się krzyżujące rozważał; nareszcie powstał, dobywając sił ostatnich, rzucił się w objęcia Leslego i zawołał:

— To ręka Alana, nikt inny nie miał takich znaków! Zginiesz wraz z Wallensteinem. Wasze gwiazdy się spotkały, ale na śmierć waszą. Umieram, wiesz, gdzie grób naszéj rodziny, pochowaj mnie z żoną i córką!

Ostatnie to były słowa Adalberta de Reichstal; jeszcze raz podniósł oczy ku niebu, jeszcze raz ścisnął rękę przerażonego pułkownika i upadł na krzesło. Łzy, płynące z oczu jego, zatrzymała ręka śmierci, a dusza astrologa wzbiła się ku światom, które za życia rozważał.

— I ciebie już niema — cichym głosem rzekł Lesle — wkrótce więc i ja zginę, ale zemszczony.

Całą noc przepędził pułkownik przy Adalbercie, nazajutrz rano wyszedł z pustego już teraz domu. Łza samotna spłynęła na jego lica, ale to ostatnia była, którą miał wylać za życia.

Ciała astrologa nie znaleziono w jego komnacie, a sąsiedzi, zgromadzeni na pogrzeb Reichstala, rozeszli się, mówiąc pocichu, że zapewne Wallenstein kazał go przed śmiercią swoją pochować; niektórzy zaś, wierzący w czary, twierdzili, że duch ciemności przywłaszczył sobie Adalberta.

Ale wkrótce już nie mówiono o tem zdarzeniu, bo chodziła pogłoska, że książę Frydlandzki nie lubi, żeby wspominano o Adalbercie.

Pamięć bowiem nieszczęść, które z jego ojczyzny na rodzinę Reichstalów spłynęły, truła jego spokojność, a nieraz za wymówieniem imienia Minny bladły mu lica. Przestali więc mówić o Adalbercie de Reichstal, a pułkownik Lesle ani słowa nigdy nie wyrzekł o nocy, którą przepędził obok konającego starca.

X.

I w zemsty srogiéj okupie
Pastwić się będę na trupie.
Horald. — Tragedya.

Tygodniem późniéj siedział pułkownik Lesle w ubogiéj chacie, wśród czarnego lasu leżącéj. Stały przed nim na stole puhary i konwie, pełne węgierskiego wina. — Kilku wojskowych przechadzało się po komnacie, któréj okopcone i czarne mury posępność w serce wlewały. Już się zaczynało ciemnieć, a po kilku słowach, niecierpliwość oznaczających, zdawało się, że czekają na kogoś. Lesle oparł głowę na ręku i zarzucił szeroki płaszcz naokoło siebie.

Blada twarz, zmarszczone brwi i ponurość czoła boleści duszy oznaczały. Wlepiał wzrok w drzwi chaty, ale ten wzrok nie miał już dawnéj żywości. Martwe oczy, jakby u trupa, już się świetnym nie paliły ogniem, ale serce za to stokroć gwałtowniejszym wrzało. Serce wrzało namiętnościami, a rozpacz nie mogła się utrzymać we wzdętych piersiach; częste jęki z nich wychodziły, często ręką uderzał o stół dębowy, ale na żadne zapytanie nie odpowiadał i czasem się pogrążał w dumanie tak, że można było wątpić, czy żyje, lub czy jego dusza ciała nie stargała więzów.

Już noc ciemna zupełnie pokryła niebo. Już liczne pochodnie zaświetniały w chacie. Wiatr silny starodawne dęby uginał, a przeciskając się przez szpary niedobrze spojonego drzewa, z przeraźliwym świstem

na wszystkie strony poruszał płomienie pochodni. Już niecierpliwość osób, będących w chacie, do najwyższego doszła stopnia. Często dawały się słyszeć wyrazy: »Chyba go szatan porwał«. »Już dziś nie przybędzie«. »Nie wiedzieć, po co tuśmy się zebrali«. »Jedźmy!« — i już nawet chcieli wychodzić z chaty i wsiąść na konie, kiedy Lesle rozkazującym rzekł głosem:

— Czekajcie jeszcze! Zaręczam, że niezadługo tu będzie.

Ledwo słów tych dokończył, otworzyły się drzwi i wszedł pułkownik Butler. Na jego widok skłonili się wszyscy. Niósł w rękach małą szkatułkę, lśniącą się złotem i drogiemi kamieniami, i złożył ją na stole. Lesle nie ruszył się z miejsca i najmniejszego znaku uwagi na zdarzające się wypadki nie dawał.

Butler wystąpił na środek chaty, obtarł pot z czoła i rzekł do przytomnych:

— Towarzysze! przysięgliśmy na śmierć Wallensteina. Ferdynand, nasz prawy czesarz, powoływa nas do czynu, mającego nam zjednać chwałę nieśmiertelną i względy monarchy. — Tu krzyki radości: »Niech żyje Ferdynand, nasz cesarz!« przerwały mowę pułkownika, ale kiedy wróciło milczenie, znów daléj mówił:

— Wszyscyśmy gotowi śmierć i niebezpieczeństwo ponieść, byleby spełnić wolę panującego. Towarzysze! nie kryję przed wami, że Wallenstein włada sercami żołnierzy, że wojsko kocha go, jak ojca. Jednak udało mi się przekupić dwa pułki jego gwardyi i przyłączyć do naszego spisku większą część oficerów, którzy przysięgli mu na wierność niedawno w Pilsen. Kilku tylko nie można namówić, ale ci jutro zginą. Zaprosiłem ich na wielką biesiadę. Wśród okrzyków: »Niech żyje książę Frydlandzki!« — śmierć znajdą, a ich krew popłynie zmięszana ze strumieniami wina. Wśród puharów i radości, wśród śpiewów i poklasków upadną. Sam Wallenstein miał zginąć podczas tych godów, — ale na nieszczęście odmówił moje zaproszenie. Dumny książę Frydlandzki nie raczył zasiąść u stołu pułkownika Butlera, ale za to śmierć mu obiecuję. Tak, bracia! śmierć niech jemu będzie za dumę, za spiski, knowane na

Ferdynanda. Pewnym jest korony cesarskiéj, ale zamiast tronu znajdzie zimną śmierci rękę. Kiedy jutro u mnie na biesiadę sproszeni wszyscy jego dworzanie radować się będą, trzeba, żeby który z was poszedł i własną ręką zamordował Wallensteina.

— Pułkownik Butler! Pułkownik Butler!

— Odważny nasz pułkownik! — krzyknęli otaczający go wojskowi.

Zbladł Butler na samą myśl zadania śmierci wielkiemu mężowi.

— Nie mogę — rzekł — żadnym sposobem nie mogę. Muszę biesiady pilnować. Już biorę na siebie zamordowanie jego przyjaciół i jenerałów przywiązanych do niego. Ale ciągnijcie na los, czyja ręka ma utopić żelazo w piersi nienawidzonego człowieka! Niech los rozstrzygnie, komu przyjdzie oddać tak ważną ojczyźnie i dworowi usługę!

Na te słowa skoczył Lesle z krzesła, jak gdyby obudził się ze snu głębokiego.

— Ja — krzyknął — ja mu serce tym żelazem przebiję; on ją wtrącił do grobu; ja zemszczę się na nim; towarzysze, wyświadczcie mi łaskę, towarzysze, powiedzcie: »Twoja ręka niech się w krwi jego zbroczy!« — a najwyższe szczęście moim będzie udziałem!

— Pułkowniku Lesle — odparł Butler — nie odmawiamy ci tego. Niech więc twoja ręka w jego krwi się zbroczy!

— Tegom pragnął, tegom żądał — zawołał Lesle — to moim przez tyle lat było celem; nie spuściłem go z uwagi ani w pustyniach Afryki, ani w krwawych z Indyanami walkach. W Anglii myślałem o śmierci Wallensteina; w Azyi myślałem o śmierci Wallensteina. Pod Lützen, kiedy życie mu ocalałem, myślałem o jego śmierci, moją ręką zadanéj. Ciesz się, Minno! już blizka zemsty chwila; on cię zabił, on wlał truciznę w twoje serce. Twój brat go zabije i rozedrze jego piersi żelazem.

Skończył Lesle, usiadł i znów do dawnego wrócił milczenia. Butler wtenczas obrócił się ku niemu i rzekł:

— Pułkowniku, jutro, jak posłyszysz u mnie okrzyki radości i pochwały dla Wallensteina, wymkniesz się z biesiady, a niech się nie omyli twoja prawica, niechaj twoje żelazo nie chybi, ale niech się zanurzy po rękojeść w piersi Wallensteina! Masz wolny przystęp do jego pokoju. Tem łatwiej wypełnić ci ten czyn szlachetny. Ale teraz mam ogłosić wam, towarzysze, że cesarz po śmierci Wallensteina każdego z was wyższym stopniem obdarza. Posłaniec, dziś przybyły z Wiednia, oddał w moje ręce tę szkatułę. W niéj mieści się nagroda dla tego, który nieustraszonem sercem pójdzie ocalić monarchę, zrzucając Wallensteina ze szczytu potęgi. Ta nagroda jest wielka i godna cesarza Niemiec, szczęśliwie nam panującego Ferdynanda.

To mówiąc, wziął Butler szkatułę, złożył ją przed Leslem, otworzył i wyjął order złotego runa, wiszący na łańcuchu złotym, lśniącym się złotem i dyamenty.

— Tobie się ten zaszczyt należy, pułkowniku, tobie cesarz go przeznaczył, a wkrótce stopień jenerała...

— Stój, Butlerze! — krzyknął piorunnym głosem Lesle — stój, nie dla złotego runa, nie dla Ferdynanda moja ręka wzniesie się na Wallensteina! Śmierć jego najlepszą dla mnie będzie nagrodą. Zemsta mi nakazuje zabić księcia Frydlandzkiego, nie chcę ani złota, ani zaszczytów. Nie dla złota błąkałem się tyle lat, nie dla złota zniósłem burze morza i spiekłe wschodu słońca, nie dla złota bezsenne pędziłem noce, myśląc o zgonie wroga, nie dla złota daleko od ojczyzny w rozpaczy młode strawiłem lata. Wy nie wiecie, co to zemsta. Was złoto, was zaszczyty, was skarby poruszają. Mnie nic prócz zemsty nie wzrusza; wre ona w mojem sercu. Po śmierci Wallensteina wszystko mi jedno, czy zginę, czy na najświetniejszem tronie zasiędę.

To mówiąc, porwał za łańcuch, ofiarowany przez Butlera, rzucił go pod stopy i zdeptał.

— Gardzę tobą, gardzę cesarzem, który cię przysłał, gardzę wami, gardzę światem. Tym jednym nie gardzę — i uderzył o rękojeść miecza — bo w tym jedyna moja nadzieja.

Wyrzekłszy te słowa, wyszedł z chaty.

— On szalony! — krzyknęli wszyscy.

— Tem lepiéj — ozwał się Buttler — kto szalony, nie trwoży się, stojąc nad przepaścią. Ale, bracia, pamiętajcie dobrze nagotować szable, bo jutro nietylko Wallensteina krew popłynie!

To mówiąc, wyszedł z chaty a za nim inni. Wkrótce tętent ich koni szum wiatru przygłuszył.

XI.

Któżby to był powiedział, któżby się spodziewał,
Kiedy jego tryumfy wschód i zachód śpiewał.

Trembecki. — Powązki.

Dnia następującego jedno skrzydło zamku egierskiego tysiącznemi jaśniało pochodniami. Liczni słudzy ustawicznie wychodzili i wracali w świetne pokoje, zamieszkane przez pułkownika Butlera, a w których teraz wesoła odbywała się uczta. Siedzieli przy długim stole, uginającym się pod dzbanami srebrnemi i puharami ze złota, wodzowie i oficerowie wojska księcia Frydlandzkiego. Większa ich część już za obiecaną nagrodą przeszła na stronę spiskowych czyli dworu wiedeńskiego, kilku jeszcze wiernych zostało, nie wiedzących nawet o zamachach podłych zdrajców.

Zanadto Butler znał ich cnotę i przywiązanie do wodza, żeby śmiał przed nimi o spisku napomknąć. Wolał ich się czarną pozbyć zdradą. Na lśniącej się sali bogatemi obiciami stali żołnierze, gotowi na skinienie pułkownika, a miecze błyszczące już dobyli z pochew.

Tymczasem okrzyki: »Niech żyje książę Frydlandzki, nasz pan i dobroczyńca!« — odbijały się od wklęsłych sklepień, a za każdem krążeniem puharów podwajały swojéj mocy. Kilka razy Butler nie chciał wziąć w ręce złotéj czary, ale kiedy coraz mocniéj nalegać zaczęto, kiedy już stronnicy Wallensteina, dobrze winem zagrzani, wyrzucali mu nieżyczliwość ku księciu Frydlandzkiemu, wziął nareszcie w ręce świetny roztruchan,

wzniósł go do góry i silnym zawołał głosem: »Niech tak krew Wallensteina popłynie!« i wylał pieniące się wino. Na te słowa powstali wierni Wallensteinowi. Ale biesiada zwątliła ich siły. Daremno drżącą ręką szukali rękojeści pałasza. Inni udźwignąć tyle razy zwycięskiego w ich prawicach miecza nie mogli. Nogi odmawiały pomocy, oczy dobrze zdrajców rozeznać nie mogły. A choć w sercu wrzała miłość ku wielkiemu wodzowi, napój, bez miary użyty, nieszczęśliwe skutki na nich wywierał.

Na znak, dany przez Butlera, u wszystkich drzwi komnaty ukazali się zbrojni żołnierze z dobytym orężem, a wkrótce miejsce, gdzie przed chwilą śpiewy i lejące się zewsząd wino radość i wesele ogłaszały, zamieniło się na miejsce mordu i rzezi.

Jednak nie bez bronienia się padali mężni. Niejeden z walecznością się opierał, niejeden śmierć własną przeciwnika zgonem pocieszył, ale mała ich liczba wkrótce uledz musiała. Komnata, zasłana trupami, o ich wierności świadczyła i o przywiązaniu do wodza. Krew, pomięszana z winem, miecze, rozrzucone wśród puharów i stalowych naczyń, stawiały widok tem sroższy, że dwie w nim były ostateczności. Polegli, rozciągnieni na posadzce, oblani napojem i krwią własną, przypominali prawdę, że wesela i biesiady, pycha i okazałości tego świata kończą się na trumnie i że grób wszystko pożera oprócz nieśmiertelnéj chwały. Ten z wyrazem męstwa na twarzy ściskał jeszcze pałasz w nieżywéj ręce, jak gdyby i po śmierci nawet nie chciał ostatniego opuszczać przyjaciela. Drugi trzymał jeszcze złotą czarę w skościałéj prawicy i zdawał się wzywać radość na miejsce wesela i godów. — Ale wszyscy głębokie mieli rany to w piersi, to w głowę zadane, z których krew się sączyła i oblewała cały pokój purpurowym potokiem.

Tymczasem Wallenstein w swojéj komnacie zabierał się już do spoczynku. Samotny, nieprzystępny nikomu, przez cały dzień pisał i układał w myśli zamiary i sposoby zaczęcia wojny z Ferdynandem.

Dumne widoki, obrazy sławy i nieśmiertelności, stawiała mu gorejąca wyobraźnia. Już widział swe sztandary, powiewające na murach Wiednia, już lud i kapłani,

witając go z drżeniem, słali u stóp zwycięscy. Tu znowu Ferdynand zstępował z tronu i oddawał rządy tych narodów własnemu wodzowi, pogardzonemu wodzowi, który podniósł się z zapomnienia i ciemności, mieczem zwycięskim rozstrzygnął w jednéj chwili, czego ciągła od osiemnastu lat już wojna dokazać nie mogła. Najwięcéj zaś działała na namiętności Wallensteina myśl, że pokaże światu, iż cesarz Niemiec nic nie może działać bez niego. Wystawiał sobie książę Frydlandzki zbladłego Ferdynanda, zdejmującego koronę, składającego berło, zstępującego z tronu naddziadów i żebrzącego litości u stóp tego, z którego tyle razy się naśmiewał. Pochlebiały takie obrazy dumie naszego bohatera, zemsta jego lubiła niemi się nasycać.

— Piorun mojéj ręki zdruzgoce wrogów — zawołał z uniesieniem, przybliżając się do okna. — Czasem odgłosy hucznéj biesiady, odbywającéj się u Butlera, uderzały go w uszy. Blask rażący setnych pochodni oświecał cały dziedziniec zamkowy. Wpatrywał się jeszcze w mieszkanie Butlera Wallenstein, kiedy okrzyki i szczęk broni dały się słyszeć. Pomyślał Wallenstein, że zapewne spór jaki wszczął się między biesiadującymi Zawołał więc na żołnierza, strzegącego bram, pod oknem będących:

— Idź, Walterze, zobacz, co się tam dzieje i rozkaż im w mojem imieniu broń złożyć i zaprzestać kłótni!

Pobiegł Walter wypełnić rozkaz wodza, który sam się został.

Wtem usłyszał Wallenstein kroki po schodach i ktoś w klamkę uderzył. W téj saméj chwili wypadły wybite podwoje z trzaskiem, a Lesle wleciał do komnaty. Blade lica, najeżone włosy, pomięszane oczy wydawały okropny zamiar, a miecz zemsty błyszczał w jego prawicy.

— Lesle! — krzyknął z początku Wallenstein surowym głosem.

— Nie Lesle, ale Alan de Reichstal — odparł pułkownik — Alan de Reichstal, szukający przez wiele lat zemsty! Umieraj!

Wallenstein wzruszył się na ten widok, wzruszył się, widząc człowieka, którego obsypywał dobrodziejstwy,

na jego godzącego życie. Ale to wzruszenie zamieniło się na wzgardę. Nie mógł się bronić bohater, stał osłupiały, bo nigdy nie myślał, żeby ręka śmiertelnika śmiała podnieść się na niego, który się sam tak wzniósł nad innych ludzi, który postrachem świat napełnił i ludźmi pomiatał, jak ziarnkami drobnego piasku. Nie wymówił żadnego słowa. Z początku szukał oczyma wiernego miecza, ale nie znalazł go nigdzie. — Rozciągnął więc ręce, jak gdyby chciał się rzucić w objęcia przyjaciela, ale zamiast przyjaźni spotkał żelazo przeciwnika i słowa: »Umieraj z ręki Alana!« ostatniemi były, które słyszał na tym świecie.

Wściekły zabójca rzucił się na Wallensteina i wydarł z drżących piersi bijące jeszcze bohatera serce.

Oblany krwią wyleciał z zamku i pędem błyskawicy przebiegł Egrę. Wdarł się na wzgórek, wszedł do domu ojca, spuścił się do grobu rodziny Reichstalów, niepewnym krokiem zstąpił w czarne otchłanie, drżącą ręką otworzył żelazne kraty i wszedł do cichego grobu. Stało tam naczynie z czarnego marmuru, przyniesione niegdyś z dalekiego Egiptu przez Adalberta de Reichstal, w nie złożył jego syn serce bohatera i, podnosząc urnę, klął przed Minną i u jéj stóp ją postawił.

Żadnéj zmiany nie zaszło w tem miejscu, poświęconem śmierci, od czasu, jak je Alan po pierwszy raz odwiedził. Jedna tylko osoba tam przybyła własnemi jego złożona rękami. Było to ciało Adalberta. Na wysokiem siedzeniu obok Fatymy tu już od kilku dni spoczywało. Obrócił się do niego Alan. Ścisnął zimną rękę, przyłożył ją do ust drżących i cichym wyrzekł głosem:

— Ha! co? nie mówiłem, zemsta — jest zemsta, zginął!

Po chwili silniejszym zawołał głosem:

— A teraz cóż się ze mną stanie? Dla ciebie, o Minno, zostałem zbrodniarzem. Przyjm wydarte z jego piersi serce! Ale ja gdzież tułać się będę? Spada krew bohatera na mnie, obmierzłego Bogu i ludziom. Krew dobroczyńcy rumieni się na mojéj prawicy, uciekać trzeba.

— Zatrzymaj się! — zawołał głos do pioruna podobny; obrócił się Alan i ujrzał męża zbrojnego, który powtórzywszy wyrazy: »Zatrzymaj się, Lesle!« — dobył oręża.

W pierwszéj chwili pułkownik nie poznał przeciwnika, ale wkrótce rozeznał rysy Waltera. Walter bowiem, jak tylko zobaczył zabitych stronników Wallensteina i krwią zbroczonego Lesle, pospieszył za nim, domyślając się strasznéj prawdy, a chcąc się zemścić za ulubionego wodza, nie spuścił go z oka. Przybył za nim do domu astrologa, a kiedy Alan zapomniał zasunąć podłogi, która się na jego przyjęcie rozstąpiła, wszedł do grobu i usłyszał słowa wyrzeczone przez ostatniego z Reichstalów.

— Broń się, Lesle, czy raczéj szatanie! — krzyknął żołnierz. — Jeśli wszyscy opuścili księcia Frydlandzkiego, przynajmniéj mnie zdasz sprawę ze strasznéj zbrodni.

— Broń się!

— Zabijaj — odparł, odsłaniając piersi Alan de Reichstal — zabijaj, a wyświadczysz dobrodziejstwo!

— Nie! — krzyknął żołnierz — nie tak poczciwy katolik postępuje, nie tak żołnierz Wallensteina. Dobądź miecza, a wtenczas Bóg rozsądzi, kto z nas ma słuszność!

— Dobrze! — dobywając pałasza, rzekł Alan — pewno zginę, bo to ramię w krwi bohatera całą siłę straciło. Ale naprzód o jedną cię łaskę proszę.

— O żadną, zbrodniarzu! — zawołał Walter.

— Więc nie będę walczył — rzekł Alan i rzucił pałasz.

— Mów, mów — krzyknął żołnierz — co chcesz?

— Walterze, przysięgnij, że po zgonie, ciało moje złożysz obok rodziców i siostry i że tym kluczem zamkniesz drzwi grobu i że nikomu nie wydasz tajemnicy, nie powiesz, że tu nasza rodzina spoczywa! Niech przynajmniéj spokojnie to czoło, tyle przez ciąg życia skołatane, w tem ciemnem miejscu po śmierci spoczywa!

— Zrobię, co żądasz, przysięgam na Boga, ale zabieraj się do walki!

Podniósł oręż Reichstal i stanął naprzeciwko Waltera.

Za trzeciem ułożeniem pałasz żołnierza aż po rękojeść zanurzył się w piersiach Alana. Upadł pułkownik. Walter ostatnią wolę wroga wykonał, a potem wyszedł z grobu, zamknął drzwi kluczem oddanym przez Alana i z rozpaczą w sercu odszedł od domu, w którym tyle nieszczęść przez pół wieku blizko się zdarzało.

Już dzisiaj niema domu na wzgórku, niema nawet śladu żadnego zabudowania. Ale mieszkańcy Egry twierdzą, że grób rodziny Reichstalów zachowuje się dotąd we wnętrzu ziemi i że tam Adalbert, otoczony rodziną, we śnie śmierci oczekuje na dzień, w którym trąba anioła, wskrzeszając śmiertelnych, ma uwieńczyć cnotę lub ukarać zbrodnię.

WŁADYSŁAW HERMAN
I DWÓR JEGO.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z DZIEJÓW NARODOWYCH
XI. WIEKU.

ROZDZIAŁ I.

Biada, o biada wam, nadobne kwiatki!
Straszliwa żmija wkradła się do sadu,
A kędy piersią prześliźnie się błędną,
Usechną trawy i róże powiędną
I będą żółte, jako piersi gadu.

Wallenrod.

Dzień 8. maja 1089 r. był jednym z najpiękniejszych dni wiosny. Niebo czyste, żadną nie pokryte chmurą, odbijało się w wodach, licznie po błoniach rozlanych. Wschodzące zboża zieleniły szerokie Mazowsza pola, a Płock wznosił się z ich środka z swojemi wieżami i niebotycznym zamkiem. Słońce błyszczało po srebrzystych strumieniach i kopule kościoła katedralnego stolicy. Wszystko oddychało szczęściem i odświeżoną pięknością natury, ale serca ludzi wśród tych pięknych łąk, wśród tych gajów rozkosznych, przy potokach światłości, przez gwiazdę dnia rozlewanych, srogiemi szarpane namiętnościami, nie umiały cenić dobrodziejstw Boga. Wszystko w przyrodzeniu było zachwycającem, a tymczasem srogie gotowały się burze i walki pośród mieszkań ludzi.

O pół mili od miasta wznosił się wzgórek, kilkoma drzewami ocieniony. Z pomiędzy nich wystawał krzyż drewniany z wizerunkiem Zbawiciela, u którego nóg pełno zawieszonych kwiatów i wianków świadczyło o pobożności mieszkańców. U stóp krzyża leżał kamień, na którym mech już zaczynał pokrywać wyryty

napis. Przy nim stał mąż, zbrojny od stóp do głowy, z założonemi na piersiach rękoma, kopia spoczywała przy jego stopach, koń dzielny rżał, przywiązany do drzewa, a u siodła wisiał szyszak, po którym białe spływały pióra.

Twarz rycerza wydawała głębokie zamyślenie, męstwo, na niéj wyryte, mieszało się z wyrazem okrucieństwa, nie odpowiadającym czarnym, żywym oczom, w których najsłodsze uczucia i najgwałtowniejsze namiętności z równą łatwością malować się mogły. Czasem zwracał on bystry wzrok na drogę, do miasta wiodącą, jak gdyby się kogoś spodziewał z téj strony, ale ciągle w największem pogrążony zadumaniu, rozmyślał nad ważnym zapewne przedmiotem.

Lekki wietrzyk rozwijał, to znów skręcał czarne jego włosy, krótka broda tego samego koloru przy bladości twarzy przypominała godło smutku i żałoby, a miecz, u boku wiszący, ogromem swoim dowodził, że nie słaba zwykle go dźwigała ręka. Wtem ukazał się zdaleka białawy tuman kurzu, który coraz się przybliżał; wkrótce blask stali wydobył się z jego środka. Pojrzał mąż zbrojny i nagle ruszył się z miejsca. Leciał ku niemu na rozpędzonym koniu człowiek ze spuszczoną przyłbicą; niezadługo stanął u wzgórka i skoczył na ziemię, a oddawszy pokłon, zbliżył się do rycerza, który niecierpliwy śpiesznie zeszedł z góry na jego przyjęcie.

— A cóż? — zawołał — jest czy niema?

Te jedyne tylko wyrzec mógł słowa. Zamilkł i czekał w najsroższéj niepewności, aż nowoprzybyły się odezwie. Ten ostatni wysokiego był wzrostu i w bogatéj zbroi, na puklerzu nosił węża z wyrzuconem na nieprzyjaciela żądłem, z temi słowy: »*Śmierć temu, który się mnie dotknie*«.

— Mestwinie! — powtórnie krzyknął rycerz — czy ci piekła przymknęły usta? Mów, bo już daléj wytrzymać nie zdołam!

Odkrył wtenczas Mestwin przyłbicę i okazał twarz, któréj rysy dowodziły, że stał na środku drogi życia, równie oddalony od burzliwéj młodości, jak od zgrzybiałego wieku.

Są ludzie, którzy, nic nie mając szpetnego w twarzy, nieprzyjemne jednak czynią wrażenie.

Do ich rzędu należał Mestwin. Pomimo wysokiego czoła, ognistych oczu, orlego nosa, było coś okropnego w jego obliczu. Zdawało się, że podstęp i zdrada obrały swoje siedlisko na jego twarzy, a usta tak nawykły do szyderczego śmiechu, że ciągle zachowywały piętno pogardy i natrząsania się z innych. Otarł naprzód pot z czoła i, jakgdyby z upodobaniem patrzał na niecierpliwość towarzysza, kilka chwil jeszcze pozostał w milczeniu, nareszcie powtórzył swój ukłon.

— Gierda — rzekł — uwiadomił mnie, że w tem miejscu będziesz czekał na mnie. Przybyłem więc i donoszę ci, żem ją przywiózł i że jest w twojéj mocy.

Na te słowa rycerz rzucił się w jego objęcia, ścisnął mu kilka razy rękę i z głębokiego zamyślenia do najwyższéj przeszedł radości.

— Żałuję — ozwał się — że nie mogłem tam być przytomnym, ale wiesz, żem musiał walczyć z tym rycerzem Pomorskim, z Ottonem z Strontheim; zabiłem go, opuściłem zaraz mój zamek pomorski i przyleciałem tutaj; ale opowiedz mi wszystko!

— Tak — daléj mówił Mestwin — tak, mój panie i książe. Dostałem się do niéj w nocy, oszukałem czujne czaty, przebrnąłem przez szerokie wody, wdarłem się na wieżę. Czekała już, gotowa rzucić się w objęcia miłości.

— Zeszła po giętkiéj drabinie, ale kiedy byliśmy na pół drogi, zawieszeni między szumnemi jeziora falami i pochmurnem niebem, nagle rozruch wszczął się w zamku. Do oręża porwali się męże. Tłumne krzyki obiły nam się o uszy. Przez jednę chwilę tylko, przez jednę chwilę wahała się i chciała wrócić do swojéj komnaty, już cofała lekkie kroki, ale ja, pomnąc na ciebie, pochwyciłem ją w silne ramiona i z miłym tobie ciężarem pośród ciemności zeszłem na dół.

— Wskoczyłem w łódkę z kilkoma towarzyszami, uderzyłem wiosłem dwa razy i już byłem na przeciwnym brzegu. Słyszeliśmy jeszcze przez chwilę wrzaski i wołania zbrojnych ludzi Wszebora, ale wkrótce wysokie

Ciechanowa wieże znikły nam z oczu. Leciałem, co koń mógł wydołać, a ona pytała mi się o Zbigniewa; twoje imie sto razy w jéj ustach było.

— Nad rankiem przybyliśmy do Płocka, a gotowe mieszkanie przyjęło twą kochankę. Czeka teraz na ciebie; ale, panie, trzeba tu nam tajemnicy, trzeba skrytości! Bo już wieść się rozchodzi, że Wszebor z Ciechanowa na czele swych przyjaciół i panów jedzie na skargę do twego ojca.

— Niech sobie jedzie! — odparł Zbigniew. — Znasz mnie dobrze. Nie ulegnę trwodze, ani krzyki szlachty mazowieckiej, ani dumnych panów zażalenia i skargi nie wyrwą jej z rąk moich. Kocham ją, ją pierwszą kocham, a taką miłością, że wszystkobym dla niéj poświęcił i oddał. Ona wzajemnie mnie tylko polubiła, gardzi moim bratem. Niech tam sobie Mieczysław teraz gryzie wargi, niech zobaczy, jak przychylnego ma we mnie brata!

— Ale upamiętaj się, książe i panie mój! — rzekł Mestwin głosem, w którym już nie znać było tyle uszanowania, ale raczéj przekonanie, że słuchający ulegnie danéj radzie — upamiętaj się! Dla dogodzenia twym żądzom naraziłem się na setne niebezpieczeństwa, nie pierwszą już porywam dziewicę, nie jednego już zabiłem rycerza. Dopóki widziałem, że dopełnienie twych chęci może tylko przyjemność i rozkosz ci zjednać, wszystkich twoich słuchałem rozkazów. Nie straszyły mnie przeszkody, ni liczne trudności. Ale nadszedł teraz czas pełen zamieszania i kłótni. Ojciec nieprzychylnym na ciebie patrzy okiem, a mały Bolesław z swoją szabelką i zbroją wszystkie jego chwile zajmuje. Panowie Mazowsza dają się codzień słyszeć z głośnemi skargi. A któż jest celem tych żalów, tych przekleństw? Książe Zbigniew i zawsze książe Zbigniew. Teraz już przepaść bezdenna otworzy się pod twojemi kroki, jeśli sędziwy Wszebor i rozkochany Mieczysław dowiedzą się, że piękna Hanna, nadzieja ojca, podpora jego starości, uwiedziona przez pana mego i księcia, przemieszkuje w Płocku i tam w ukryciu dni pędzi ze szczęśliwym kochankiem.

— Mężem, mów lepiej — przerwał mu Zbigniew — spodziewam się, żeś nie zapomniał na dzisiejszą noc uprzedzić kapłana! Bo postanowiłem oddawna, dzisiaj jeszcze się z nią na wieki połączyć.

— Nie zapomniałem — odparł Mestwin — ale choć twoje rozkazy tkwiły mi w pamięci, nie uczyniłem im zadość, bom sądził, że nie mogę ich wykonać bez ujmy czci i sławie mego pana i księcia.

— Od jakiegoż to czasu — zawołał gniewnym Zbigniew głosem — śmiesz sprzeciwiać się méj woli? Jeśli mogą się wasale w Niemczech lub na Pomorzu przeniewierzać panom swoim lennym, wiedz, że nie taki jest u nas zwyczaj, nie taki, na Boga i Najświętszą Pannę, nie taki, na wszystkich Świętych! Bo u nas, panów polskich, miecz zawsze jest przy boku i prawica skora do jego wydobycia!

— Poskrom gniew niepotrzebny! — odparł Mestwin.— Na ileż przykrości, na ileż niebezpieczeństw odważyłem się dla ciebie! Czym kiedy nie był posłuszny najmniejszym twoim chęciom? Ale wszystko nam teraz grozi. Władysław, pan tego kraju, nie jest panem, ani królem, ani książęciem. Zasiada na tronie, ale na tem kończy się jego władza. To Sieciech, wojewoda krakowski, to Wszebor, to Skarbimir z Gulczewa rządzą jego umysłem, a wszyscy tobie nienawistni. Jakże chcesz w takiéj chwili pojąć za żonę córkę Wszebora, narzeczoną brata? Ojciec się twój dowie, a Wszebor podszepnie mu przekleństwo na ciebie, a tysiąc mieczów, skierowanych w pierś twoją, wzniesie się na głos Mieczysława. Znasz go dobrze, wiesz, jak dzielny, jak zakochany w Hannie. Zachował dumę wygnanego ojca, a ręka jego przypomina prawicę, która odnowiła szczerb na złotéj bramie Kijowa.

— Stój! czyś zapomniał, że i w Zbigniewie krew bohaterów płynie? czyś zapomniał moje walki i zwycięstwa? Dopiero 24. rok życia mego liczę, a mógłbym ci nierównie więcéj narachować rycerzy, poległych pod mojemi ciosy.

— Panie — ozwał się znów Mestwin — i komuż

opowiadasz swe czyny? Temu, który je widział i dziwił się nad niemi? Ale posłuchaj mojéj rady, ona cię zbawi, nie rzucaj się na sztylety nieprzyjaciół!

— Cóż więc mam czynić?

— Chcesz się ożenić? — odparł Mestwin ze śmiechem szyderczym — pocóż? Zrób kilka obietnic dziewczynie, kilka słów miłosnych wyrzecz, a posiędziesz przedmiot najgorętszych pragnień! Tym sposobem unikniesz gniewu ojca i tysiącznych nieprzyjemności; bo ona cię nie wyda, a nikt ciebie do wyznania nie będzie mógł przymusić. Po kilku miesiącach zostawisz ją, a...

— Precz mi, szatanie! — przerwał piorunnym głosem Zbigniew — precz mi z taką radą! Takież to wam dają nauki w szkole rycerstwa w Niemczech? takichże to zasad się uczycie po dworach najświetniejszych Europy? Prawda, że moje serce skażone, że moja dusza wieloma obciążona zbrodniami, prawda, zdradą i otwartym bojem zabijałem podobnych sobie, prawda, uwodziłem dziewczyny, zrywałem ugody! Ale została się iskra cnoty w mojem sercu. Nie, nigdy nie pójdę wskazaną od ciebie drogą! Ona mnie tak kocha, ona tak niewinna! Jażbym miał pogrążać ją w nieszczęściu, okrywać hańbą najcnotliwszą, najpiękniejszą Mazowsza dziewicę? Nie, tak mi dopomóż Boże i szablo moja, nigdy Zbigniew, książe polski, tego nie uczyni!

To mówiąc, klął przed krzyżem, złożył ręce, zbrojne w żelazne rękawice, i wzniósł oczy do nieba. Była to chwila, w któréj Zbigniew najszlachetniejszym był może w ciągu całego życia. Stał za nim Mestwin i szyderczym wzrokiem poglądał na schylonego księcia. Oczy jego zdawały się mówić: »Darmo wzywasz Boga, musisz mnie posłuchać!«

Powstał po chwili Zbigniew i rozkazującym rzekł do Mestwina głosem:

— Jeśli chcesz dłużéj pozostać w naszéj łasce, wykonaj spieszno nasze rozkazy! Niech dzisiaj wieczorem w kaplicy mego zamku czeka na nas kapłan i Hanna! Bo takeśmy postanowili i nie cofniemy na krok na-

szego zamiaru. A później nie odzywaj się, rycerzu, z tak nieroztropnemi mowy!

— Nie są nieroztropne i owszem — odparł do żywego tknięty Mestwin. — Władysław, twój ojciec, musiał pójść za podobną radą przed 24-ma latami.

— Szatanie podły — krzyknął Zbigniew i rzucił się na Mestwina z rozognionem okiem, z rumieńcem na twarzy — obmierzły sługo, i ty będziesz przymawiał panu, z którego łaski żyjesz!

To mówiąc, szeroką prawicą ścisnął tak silnie Mestwina za garło, że aż zgięła się zbroja, pokrywająca mu szyję. Usunął się Mestwin, z początku chciał dobyć miecza, ale po chwili namysłu odjął rękę od szabli i tak się z gniewem odezwał:

— Zatrzymaj się, mości książe, ani kroku daléj, bo poczujesz ostrze niemieckiego żelaza! I ja, rycerz Mestwin z Wilderthalu, takiéjże miałem się spodziewać nagrody za zasługi i poświęcenie bez granic? I ja, pasowany na rycerza przez cesarza rzymskiego, przybyłem do Polski, żeby znosić obelgi od Zbigniewa? Nie myśl, że przestałem być wolnym człowiekiem i żem się zamienił na twego sługę lub niewolnika! Karć ostremi słowy lub żelazem poddanych lub wieśniaków, ale nie tak porywczo wpadaj na rycerza, wsławionego po turniejach Europy! Nie myśl, bym szukał mojemi słowy czynić krzywdę twojemu rodowi! Niedawnemi jeszcze laty ów sławny Wilhelm wyprawił się z brzegów Francyi i posiadł tron angielski, a czemże on był? Podobnym do ciebie księciem, a nie brał sobie tego za obelgę. Owszem, potężny pan Normanów, zasiadłszy na tronie, mianował się nieprawym synem ojca swego i gardził obmowami słabszych lub dumnych panów. Szczerze i otwarcie postępowałem z tobą. Szukałeś mojéj rady, dałem ci ją, a teraz odchodzę, bo nie potrzebuję opieki książąt polskich, bo o tęż opiekę nie chcę się starać, bo w tym mieczu znajdę dla siebie opiekę i sławę. Byłem twoim przyjacielem, zerwałeś wszystkie nasze związki, żegnam cię. Nie pomogą ci obelżywe słowa, ni groźby, bo widziałem już w życiu gniew mocarzów, a jednak przed nimi nie cofnąłem kroku.

To mówiąc, położył nogę na strzemieniu, ale, wsiadając na konia, oglądał się na Zbigniewa wiedząc, że ten bez niego obejść się nie zdoła.

Zbigniew bowiem, choć walecznego był serca i nie słabéj duszy, nie mógł pozbyć się Mestwina. Uważał go oddawna za najlepszego przyjaciela i najwierniejszego doradzcę. Trzeba tu oddać sprawiedliwość rycerzowi niemieckiemu; kochał on swego pana, o ile jego serce kochać go mogło, serce, zbrodniami i brzydkiemi skażone namiętnościami. Pragnął nadewszystko swego wywyższenia, a zatem i potęgi Zbigniewa, któréj część zawszeby się na niego zlała. Dlatego teraz odradzał księciu zamęście z Hanną, upatrując w tem przyczynę gniewu Władysława Hermana i zgubnych zamachów Mieczysława i Wszebora.

Zresztą we wszystkich okolicznościach dopomagał Zbigniewowi to radą, to orężem, nakłaniał jego umysł to do podstępu, to do szlachetności, to do cnoty; ale niedobrze teraz wyrachował swój wpływ na księcia, bo syn Władysława Hermana, choć w późniejszych czasach niejedną skalał się plamą, choć już teraz nie jednę popełnił zbrodnię, zachował jeszcze część szlachetności dzielnych pradziadów i brzydził się zdradą tem bardziéj, że najgorętsza miłość wymownie mu ją pod najbrzydszem wystawiała światłem.

Mestwin więc zabierał się do podróży. Ostatni raz rzucił wzrokiem na Zbigniewa, niewzruszenie stojącego na miejscu, a ten wzrok, biegły w sztuce udawania, przeszył wyrzutami serce księcia. Ostatnie to pożegnanie przyjaźni, choć nieme, zniszczyło gniew w jego duszy; rzucił się i zatrzymał Mestwina.

— Rycerzu! — rzekł — jakem cię obraził, tak gotów jestem, jak to każdy czynić powinien, spróbować się z tobą. Może w mojéj krwi znajdziesz ulgę poniesionéj krzywdzie. Wyznacz miejsce i godzinę, a mój pałasz zetrze się z twoim!

— Książe i panie mój — zawołał Mestwin — dosyć mi na tem, żeś poznał niesprawiedliwość swojego uniesienia. Przebaczam ci z głębi duszy i gotów jestem na twoje rozkazy.

— Więc daj mi radę, ale nie tak szkaradną!

— Milczę, mości książe, nie chcę twojego ponawiać gniewu.

— Słuchaj Mestwinie, powiedz mi kogo mam zabić, a zabiję, wskaż zamek i rzeknij:» Niech będzie spalony!«, a wnet pochłoną go płomienie. Bo wiem, żeś do mnie przywiązany, jak klinga do rękojeści, bo wiem, że radzisz mi dla dobra mego, ale w tym jednym przypadku nie usłucham cię. Stała jest moja wola, jak kamień grobowy, leżący pod tym krzyżem. Nie uwiodę Hanny, będzie ona moją żoną, przysięgam na Boga i na krew św. Biskupa! Nie dlatego, żebym, jak słabe dziecko lub niewiasta, cofał się przed zbrodnią, ale dlatego, że moje serce pierwszy raz kocha i kocha niebieskim ogniem. Nie chcę piekielną zdradą niszczyć anielskiego szczęścia. Tak, Mestwinie, wyrzekłem i niech się stanie mojéj woli zadość! Przywiedź kapłana! Wobec nieba przysięgnę jéj niezłomną wiarę.

— A potem ogłosisz przed całą Polską i wobec ojca, żeś pojął za żonę córkę Wszebora, pana Ciechanowa i znacznych posiadłości?

— To co innego, przyjacielu. Zaczekam, aż, przygniotłszy za twoją pomocą dumnych panów, miłości ojca nie pozyskam. Wtenczas wobec świata całego, przed zuchwałymi lennikami, wyprowadzę Hannę. U stóp tronu odbiorę błogosławieństwo Władysława, a lud uradowany wołać będzie: »Długie życie księciu Zbigniewowi i nadobnéj Hannie!«

— Marzenia młodości! — przerwał Mestwin. — Ale ponieważ to ma twe szczęście ustalić, wykonam dane mi rozkazy. Dzisiaj w nocy przy ołtarzu czekać na ciebie będą: kapłan, Mestwin i Hanna. Ale jedźmy do Płocka, pokaż się ojcu! Wszebor już pewno zaniósł swe skargi do niego. Mieczysław lata po zamku z dobytym orężem. Nie daj się przestraszyć!

— Przestraszyć? — zawołał książe, brwi marszcząc i rękę kładąc na pałaszu. — Bóg chyba, kiedy w dzień sądu ostatniego zejdzie na chmurach pośród piorunów i burzy, zdoła mnie przestraszyć.

— Chciałem powiedzieć — odparł Mestwin — bądź

ostrożnym, ale siadaj na koń i jedźmy! Powiesz zapewne ojcu, że wracasz z swojego zamku i że cię łowy zatrzymały, bo nie radziłbym wspominać o tym Ottonie de Strontheim.

Zbigniew ścisnął rękę towarzysza, dosiedli koni. Przeżegnał się przed krzyżem książe polski, niemiecki rycerz się rozśmiał i oba wyruszyli.

ROZDZIAŁ II.

. . . . . Wcześnie się zasłona rozdarła
I ojczyzna i wdzięczność w twem sercu umarła;
Idź, ani pragnę w dalszych zarzutach się szerzyć,
Ni przywodzić . . . . .

Władysław pod Warną.

W zamku Płockim, w niewielkiéj komnacie, siedział sędziwy Władysław Herman na szerokim krześle, złotemi poręczami opatrzonem.

Piękne rysy, żadnym nie ożywione ogniem, zdaleka go czyniły podobnym do martwego posągu. Broda biała spływała na piersi. Suknia z czarnego aksamitu szerokiemi aż do nóg obwijała go fałdy, a obraz Najświętszéj Panny, zawieszony na łańcuchu złotym, błyszczał mu na piersiach. Na blizkim stole leżało berło, miecz i korona, wśród mnóstwa rozrzuconych obrazków świętych i drogich relikwii.

Pokój nie lśnił się złotem ani bogatemi obiciami. Rozwieszone po ścianach krzyże i obrazy świętych świadczyły o bogobojności króla polskiego (choć go bowiem późniejsi dziejopisowie już księciem mianują, Polacy, żyjący za niego, nie przestawali go darzyć imieniem króla). Ciasne, wysokie okna rzadkie promienie słońca przepuszczały przez malowane szyby, wystawujące śmierć i mękę Zbawiciela. U stóp królewskich, na aksamitnéj poduszce, siedział mały Bolesław, późniéj Krzywoustym przezwany.

Czasem wstawał i, biegnąc po pokoju, małą wywijał szablą. Z prawéj strony krzesła królewskiego stał mło-

dzieniec nadobnéj twarzy, świetnego ubioru, płomienistych oczu, z lewéj zaś starzec, którego twarz, okryta bliznami, pełną była grozy i surowości. Choć wiekiem sterany, ciężki miał pancerz na piersiach, pomimo zmiany, zaszłéj za Bolesława Śmiałego w uzbrojeniu rycerstwa. Miecz wisiał u boku, a w ręku trzymał podługowatą czapkę, podbitą wewnątrz żelazną blachą. Do niego król najczęściéj się obracał i w te przemówił słowa:

— Wierny nam Wszeborze, zaręczamy ci słowem królewskim, że zbrodniarz odbierze należytą karę i że wszystkich środków za pomocą Boga i Najświętszéj Panny użyjemy do jego odkrycia. Nie masz żadnych śladów? Czy nie wiesz, z jakiéj strony przybył i gdzie się udał? Rzeknij, a natychmiast rozpoczniemy śledztwa i poszukiwania!

— Najjaśniejszy panie, nie mogę nikogo oskarżać. W ciemnéj nocy porwali moje dziecię i, ledwo głos »do broni!« rozległ się po dziedzińcu zamkowym, już jéj nie było. Skoczyli moi do oręża, ale nikogo nie ujrzeli. Wszystko nieprzyjaciel przewidział z szatańską przezornością. Łódki przyjęły zbrodniarzy i znikły, do mgły zwodnéj podobne. Ach, miłościwy królu, jednę tylko miałem córkę, dziedziczkę dawnéj sławy i zamożnych włości! Twój synowiec, a tu przytomny książe Mieczysław, o jéj ubiegał się rękę. Miałem nadzieję, że przed zgonem ujrzę spełnione szczęście mojéj Hanny, ale Bóg ukarał mnie za grzechy i straciłem najdroższy skarb po ojczyźnie.

— Stryju mój! — zawołał młody Mieczysław — nie trzeba tu zwlekać, rycerzy i moich ludzi zebrać kazałem; na czele ich pójdę szukać wyrwanej z rąk moich narzeczonej, a śmierć i zaguba temu, który ją śmiał wydrzeć synowi Bolesława!

— I ja pójdę z tobą — przerwał mały Bolesław.

To mówiąc, dobył szabelki, stanął naprzeciwko ojca, a w oczach dziecinnych znać było już męstwo, które później w czterdziestu bitwach zgromiło nieprzyjaciół Lechii.

— Jeszcze dosyć będziesz miał czasu przypatrzeć się klęskom i mordom — rzekł Władysław — a ty,

synowcze, zanadto porywczy jesteś. Czyż nie możesz poczekać na przybycie Zbigniewa, którego co chwila się spodziewam? Roztropny jego towarzysz, Mestwin, dobrą zapewnie nam da radę.

— Zbigniew! — powtórzył Mieczysław.

— Zbigniew! — powtórzył Wszebor, a na twarzy ich obu malowała się niechęć i nieufność.

— Nie lubię Zbigniewa — zawołał syn królewski — nie dawno prosiłem go, ażeby mi pożyczył sztyletu na kilka godzin, a on pojrzał na mnie i odmówił téj broni, zowiąc mnie dzieckiem. Ale pokażę mu — dodał przyszły bohatyr, uderzając o rękojeść małego pałasza — pokażę mu, kiedy dorosnę, czy tak z bratem się obchodzić trzeba!

Słaby król pozostał na chwilę w milczeniu i smutku, widząc niechęć, którą otaczający go pałali ku synowi, choć wiedział dobrze, że jest zasłużona. Wtem otwarły się drzwi pokoju i wszedł Zbigniew z Mestwinem, oba w zbrojach i okryci kurzem.

— Witam cię, najjaśniejszy panie i ojcze, dobry dzień, bracie! Witam cię Wszeborze! — Po tych słowach przysunął krzesło Zbigniew i usiadł, ocierając pot z czoła. Mestwin stanął za nim.

— Dawnośmy cię nie oglądali — rzekł Władysław — i wcale nie wiemy i domyślać się nie możemy przyczyny nieprzytomności twojéj, mimo często posyłanych do ciebie gońców z rozkazem, żebyś natychmiast tu stanął.

Dotąd chciał słaby ojciec i słabszy król jeszcze utrzymać swoją powagę, ale, widząc twarz kochanego syna, wyrażającą wewnętrzne boleści i długie znużenie, łagodniejszym dodał głosem:

— Nie chcemy cię jednak o to winić, ulubiony synu, bo wiemy, że ważne często zajmują cię sprawy.

Odpłacił dobroć ojca Zbigniew zimną odpowiedzią:

— Byłem na łowach, a wiesz ojcze, że kiedy moje psy gonią jelenia lub dzika, nic mnie od boru oderwać nie zdoła.

— Ale teraz nie o łowach mowa, bracie! — zawołał srogim głosem Mieczysław. — W wielkiéj jesteśmy

niepewności. Zdarzył się wypadek, mogący wielkie ściągnąć klęski; ponieważ przybyłeś z Mestwinem, waszéj wymagamy rady.

— Co wam po moich lub Mestwina radach — odparł Zbigniew, domyślając się, o czem będzie mowa — kiedy tak często bez nich obejść się możecie?

— Ale teraz nie chcemy się bez nich obchodzić — przerwał mu Wszebor — bo tu idzie o zhańbienie domu i rodziny, zasłużonéj na Mazowszu, bo tu idzie o śmierć, sławę i życie!

— Słucham więc — rzekł Zbigniew, pokrywając najsroższą mękę pozorem lekkomyślności — słucham téj tak ważnéj sprawy.

Wszebor i Mieczysław opowiadali więc Zbigniewowi, jak niecni zbrodniarze porwali i unieśli Hannę. Mieszali do swego opowiadania tysiączne przekleństwa i pogróżki; to gniew, to zawiść miotały jego sercem, czuł jednak, że trzeba udawać dla ocalenia siebie i Hanny.

Ale kilka razy, podczas długich skarg i użaleń Wszebora, już mu nie stało cierpliwości, i gdyby nie Mestwin go wstrzymał, wstałby i, pogardzając nieprzyjaciołmi, z dumą na czole wyznałby czyn popełniony i oświadczył, że gotów jest bronić oblubienicy do ostatniéj krwi kropli.

Nareszcie ozwał się Władysław Herman:

— A my, synu, postanowiliśmy dołożyć wszelkich starań dla wykrycia złośliwych i szkaradnych ludzi, którzy śmieli taki gwałt popełnić. Spodziewamy się, że i radą i orężem dopomożesz wykonaniu naszéj woli i wyprawie twego tu przytomnego brata, a naszego synowca, który sobie zamierza ścigać ogniem i mieczem podłych i zbrodniczych wykonawców czynu, pogrążającego w smutek najgłębszy i księcia naszego domu i zacnego znacznych posiadłości pana.

Ale widząc, że Zbigniew brwi zmarszczył i ścisnął wargi:

— Nie chcemy cię jednak przymuszać, synu. Możeś słaby na zdrowiu. Możeś długą zmęczony podróżą. Zostań, bo dalecy jesteśmy od wszystkiego, coby mogło szkodzić naszemu Zbigniewowi!

— Anim znużony, ani słaby na zdrowiu, najjaśniejszy panie i ojcze mój! — odparł Zbigniew, powstając i pozierając okiem pogardy na Mieczysława i Wszebora. — Ale dziwi mnie, że tak długo poważnego brata zajmować może porwanie jakiejś dziewczyny. Z początku sądziłem, że idzie tu o dobro kraju, o ocalenie Polski, sądziłem, że niebezpieczeństwo grozi naszéj ojczyźnie, i już gotowy byłem do dobycia miecza w obronie kraju i ojca mojego. Ale teraz dowiaduję się, że celem téj narady, że zatrudnieniem syna Bolesława Śmiałego jest jakaś dziewczyna, porwana przez niewiedzieć kogo i niewiedzieć kiedy! Niechże ją sobie ojciec szuka po Polszcze, ale niech nie przychodzi zatrudniać próżnemi skargami umysł króla, ważniejszemi zajętego sprawy!

— Jakaś dziewczyna! — powtórzył Wszebor i najżywsze uniesienie, żal najżywszy, twarz mu zachmurzył. — Cóż to, mości książe, czy sądzisz, że życie i sława córki są obojętną dla ojca, że życie i sława Polki są obojętną dla króla rzeczą? Gdzieżeś takich uczył się nauk? Czy dzicz pruska lub pomorska w twoim sercu tak piękne zaszczepiła uczucia? Wiedz, Zbigniewie, że król sprawiedliwy winien się ująć za pokrzywdzonym poddanym i oddać mu sprawiedliwość, choćby wyrokiem téj sprawiedliwości była śmierć własnego syna!

To mówiąc, rzucił Wszebor tak przenikającym na Zbigniewa wzrokiem, że ten się zmieszał i oniemiał.

— Bracie — ozwał się Mieczysław — nie waż się na dalszy czas z takiemi oświadczać się słowy, bo wiedz, że dziewica, przedmiot naszych smutków i poszukiwań, miała być moją żoną! Z większém więc o niéj winieneś mówić uszanowaniem! Z większém, na Boga, bo nie wiem, co mnie wstrzymuje, że cię jeszcze za tak bezczelne nie skarciłem zuchwalstwo!

— Niechże cię więc nic nie wstrzymuje! — zawołał Zbigniew, zapominając o przytomności ojca i o wszystkiem, i dobył napół miecza.

— Synowcze, Zbigniewie, Wszeborze! — przerwał im nieszczęśliwy rozterkami krewnych i przyjaciół Władysław. — Czyż zawsze kłótnie i zatargi najmilszemi wam

będą? Kiedyż przestaniecie wzajemną niechęcią smucić dni moje i własne zatruwać szczęście?

To mówiąc, przycisnął do ust z pobożnością obraz Najświętszéj Panny i podniósłszy oczy do nieba: — Królowo niebios — zawołał — i ty, święty Pietrze i Pawle, wdajcie się do Syna Bożego za nami, wdajcie się do Boga świata! Niech kłótnie, zajazdy i niezgody przestaną rozrywać Polskę, niech wszyscy moi poddani, połączeni węzłem pobożności i cnoty, dla Twojéj tylko chwały, o Boże, żyją, dla Twoich Świętych chwały! — Przez chwilę trzymał jeszcze oczy wzniesione do nieba, potem obrócił się do Mestwina i rzekł: — Rycerzu, twojéj rady roztropnéj tu trzeba! Pozwólcie mu mówić, proszę was, moi mili!

— Jeśli taka twoja, najjaśniejszy panie, wola, to dobrze — odparł Wszebor.

— Ja cię wyratuję — po cichu szepnął Zbigniewowi do ucha Mestwin i wystąpił na środek komnaty, ukłonił się naprzód, a potém dźwięcznym głosem, z ułożoną postawą przemówił:

— Najjaśniejszy królu, i ty, książe Mieczysławie, i ty, stroskany ojcze, jedyną macie w pośpiechu i orężu nadzieję. Daleko już zapewnie za Płock unieśli twą córkę zbrodniarze. Każcie więc osiodłać konie i weźcie się do szabel! W szybkiéj pogoni, w dzielném natarciu cała wasza otucha. Ślady bezwątpienia znajdziecie po drodze, a zdrajca legnie pod waszemi ciosy. W Płocku darmobyście jéj szukali, bo jakże można myśleć, aby zbrodniarze przybywali wobec króla i walecznych, otaczających go, rycerzy, przechwalać się z podłego i karygodnego czynu? Powtarzam więc jeszcze raz: pośpiech jeden tylko w téj sprawie waszą sławę i najdroższy skarb ocalić potrafi.

Zamilkł Mestwin, ale mówił z takim pozorem szczerości, że Mieczysław zbliżył się do niego i podziękował, że Wszebor rękę mu ścisnął. Wszystkie podejrzenia na Zbigniewa znikły na chwilę z ich myśli, kiedy przekonali się, że jego towarzysz i powiernik tak się ujmuje za ich krzywdy i tak zbawienne daje rady.

Pożegnali się z królem książe Mieczysław i ojciec Hanny, idąc gromadzić zbrojnych ludzi.

— Naszą jest wolą — rzekł słabym głosem Władysław — żeby uniknąć, o ile będzie można, krwi rozlewu i oszczędzać życie naszych poddanych.

— Ja zaś, mój stryju — odparł żywo Mieczysław — wyrwę, choćby po krwi strumieniach, oblubienicę z rąk wrogów.

— Żegnam cię, miłościwy mój królu — ozwał się Wszebor — i przyrzekam ci, że jako Polak przeciw Polakom walczyć nie pozwolę, chyba, że sława corki wymagać niezbędnie tego będzie. Mam nadzieję, że wkrótce ją do twoich stóp przywiodę.

— Czy Zbigniew się z wami także oddala? — zapytał Władysław.

— Jak chce — krzyknął Mieczysław.

— Jeśli tak, to nie chcę — odparł Zbigniew — i zostanę z Mestwinem przy zmartwionym ojcu.

Długo milczał król polski; Zbigniew, siadłszy blizko niego, założył ręce na piersiach i spuścił głowę, a Mestwin w oddalonym kącie bawił się z małym Bolesławem.

Nakoniec Władysław Herman do syna swą mowę obrócił:

— Zbigniewie, synu ukochany, ilem-że już razy cię upominał, ilem razy błagał jako ojciec, rozkazywał jako król polski! Czyż nigdy nie przestaniesz gwałtów i krwi rozlewu, czyż zawsze będziesz postrachem dla ziomków, hańbą dla ojca, wrogiem dla niewinności? Prawda, Bóg ci dał odważne serce i prawicę, do bojów nawykłą, ale dla bronienia ojczyzny i cnoty, nie dla napadania na braci, na krewnych, na współobywateli. Gorzkim żalem zatruwasz mą starość i muszę przeklinać dzień, w którym poznałem twą matkę; upamiętaj się Zbigniewie, przestań zdzierstw i kłótni! Stań się prawym mężem, godnym ojca, króla Lechii, godnym dziadów walecznych i cnotliwych! Widzisz, do czego namiętności brata i poprzednika mego przywiodły. Bolesław, tułacz z mocarza, przeklęty z błogosławionego, zginął marnie wśród

najpiękniejszych nadziei i najświetniejszych powodzeń. Czyż i ty chcesz podobnego doznać losu?

Na te słowa żywym rumieńcem pokryła się twarz Zbigniewa. Powstał i, przechodząc się po komnacie, urywane wymawiał słowa:

— Do szatana, czyż nigdy tych kazań nie zaprzestanie? Czy bierze mnie za mnicha lub niewinną dziewczynę? Na Boga, jakżem znudzony!

— Znudzonyś, wyrodny synu! — zawołał król rozgniewany. — Znudzonyś łagodnemi rady, kiedy surowe mogę ci dać rozkazy, kiedy na mój głos tysiąc mężów się uzbroi na twoję karę i zagubę!

Zamilkł Władysław, widząc iskrzące się od wściekłości oczy Zbigniewa, bo czuł aż nadto, że z trudnościąby mu przyszło uiścić wyrzeczone groźby.

— Zbigniewie, Zbigniewie, czyż przyjdzie mi — daléj ciągnął Władysław — jak królowi Hebreów zawołać na ciebie: »Absalon! Absalon!« i oddać cię wściekłości nowego Joaba? Upokorz się, dopóki czas jeszcze, bo jakiś głos mówi mi w duszy, że porwanie Hanny nie bez twojego zaszło udziału!

— Upokorzyć się, najjaśniejszy panie — odparł zmięszany Zbigniew — jest nieznaną mi rzeczą. Ale daję ci słowo, że nic nie wiem o Hannie.

— Wierzę — przerwał mu król rozczulony — słowo syna i rycerza, pasowanego mieczem, tu obok leżącym, dostatecznem jest dla mnie.

Zbigniew, widząc dobroć ojca, oniemiał. Smutek i zgryzoty szarpały mu serce. »I ja — pomyślał — który tylekroć oparłem się burzom i gniewom, teraz kłamię, jak słabe dziecko, dla uniknienia chłosty: ale taka rada Mestwina, cóż robić?«

— Chodź, synu, w moje objęcia, niech będzie zgoda między nami! Wtenczas nikt czoła podnieść się nie ośmieli i oba, węzłem zgody połączeni, straszni będziemy wrogom...

Rzucił się Zbigniew na pierś ojca i z prawdziwem uniesieniem ściskał rękę królewską.

— Chodź, Bolesławie — zawołał Herman — pogodzić się z bratem!

— Nie chcę — odpowiedziało dziecię — dawniéj go o pożyczenie sztyletu prosiłem. Teraz, jeśli mi go daruje, może się z nim pogodzę.

— I ty także wszczynasz kłótnie! — zawołał nieszczęśliwy monarcha i łza smutku spłynęła na głowę Zbigniewa, który po chwili, pożegnawszy ojca, wyszedł z Mestwinem.

ROZDZIAŁ III.

Walter pojął Aldonę; Niemcy, wy pewnie myślicie,
Że tu koniec powieści; w waszych miłośnych romansach,
Gdy się rycerze pożenią, kończy trubadur piosenkę.

Wallenrod.

Zamek księcia Zbigniewa niedaleko Płocka wznosił się nad brzegiem szerokiéj Wisły. Znacznie oddalony od królewskiego, wystawiał widok warowni, opatrzonéj we wszystkie wojenne porządki. Z jednéj strony rozległa rozciągała się równina. Z drugiéj zaś toczyły się fale poważnéj rzeki, w oddaleniu ukazywał się środek miasta, z którego wieże zamku królewskiego i kopuła kościoła katedralnego, jak dwa olbrzymy panujące, wznosiły się. Nie oszczędził niczego Zbigniew w własnym zamku, coby mogło służyć ku obronie. Dowodziły tego wysokie mury, szerokie baszty, liczne strzelnice, ogromny rów, opasujący zamek, most zwodzony, brama, opatrzona kratami żelaznemi i z dębowego drzewa zrobiona. Tą bramą wchodzono na obszerny dziedziniec, na którym stały stajnie dla koni orszaku księcia i budowle, na skład broni wszelkiego rodzaju i ubiorów służące.

Na środku dziedzińca wznosiła się szubienica, ostrzegająca każdego o losie, nań czekającym, gdyby się oparł woli możnego tych miejsc pana. Daléj ukazywał się wysoki gmach, w którym liczne pokoje służyły to dla Zbigniewa, to dla jego przyjaciół i znaczniejszych gości.

Wieże z ciemnemi lochy i okropnemi więzieniami strzegły obu stron gmachu i wszystko dowodziło, że,

choć wśród pokoju, zawsze książe Zbigniew gotów był do walki i odparcia napaści, które mogły nań kiedyś sprowadzić jego postępki i duma. Nie dziwiono się jednak temu, gdyż to było zwyczajem wtenczas w Polszcze, że pośród nędznych domów drewnianych, składających miasta, często przedniejsi panowie i książęta zamki i gmachy warowne budowali.

I tak w Płocku oprócz zamku króla Władysława, księcia Zbigniewa i kościoła katedralnego wszystkie inne domy, do chat wieśniaczych podobne, były drewniane.

Pośród ciągłych kłótni i rozruchów nie miał czasu ani panujący starać się o upiększenie miasta, ani mieszkańcy o to się nie ubiegali; owszem, panowie, chcąc utrzymać swoją powagę i potęgę, niechętném patrzyli okiem na tych, którzy przy ich dumnych zamkach lepsze i porządniejsze wznosili domy.

Ale zamek księcia Zbigniewa teraz był pusty, choć już noc ciemna i pochmurna pokryła ziemię. Nie widziano w nim żadnego światła, tylko w jednem oknie migał się kaganiec i małą część murów przeciwległych bladawo oświecał i jeden tylko człowiek przechadzał się po dziedzińcu, uderzając pałaszem o kamienie, po ziemi rozrzucone. Słyszał on dzwony kościoła katedralnego, ogłaszające czas, przeznaczony na spoczynek, a jednak pozostał i wciąż szerokiemi kroki w różnych kierunkach dziedziniec zamkowy okrążał.

Wtem silny, choć cichy głos zawołał: — Gierdo! — a natychmiast się odwrócił, pobiegł do bramy, mniejsze drzwi w murze otworzył i wpuścił męża wysokiego wzrostu i pięknéj postawy.

— Stój na warcie, Gierdo — rzekł — a ktokolwiek tu przyjdzie, możesz go posłać do piekła!

— Dobrze, potężny mój panie — odparł sługa i podniósł ciężki topór — nieraz on mi już podobne wyświadczał usługi. Wypełniłem twoje rozkazy, córkę moją Katarzynę posłałem na usługi téj urodziwéj pani, którą tu przywieźli. Ale gdyby szło, potężny panie, o jakie morderstwo lub otrucie lub zdradę, mnie wyznacz, córki mojéj nie namawiaj, bo serce jéj dotąd czyste, jak serce anioła niebieskiego!

— Milcz, nie myślę nawet o tem! — odparł Zbigniew, którego czytelnicy zapewne poznali. Oddalił się, rzuciwszy kilka sztuk srebra usłużnemu mordercy i wszedł do zamku. Doskonale znał drogę i pomimo ciemności doszedł bez żadnego przypadku do komnaty, którą smutny kaganiec oświecał. Nie zastał tu nikogo, a zapaliwszy pochodnię, szedł daléj. Bladość, jego licom zwyczajna, zamieniła się w żywy radości i spełnionych życzeń rumieniec. Ogniste czarne oczy pałały miłością, kształtny i bogaty strój, na pół ciemnym zakryty płaszczem, dodawał mu jeszcze piękności. Miał on na głowie aksamitną czapkę, okręconą kilka razy łańcuchem złotym, spiętym drogim nad czołem kamieniem, z pod którego białe wznosiły się pióra. Na piersiach nosił kolczugę, aż do kolan spadającą, której pierścienie, ze świetnéj wyrobione stali, błyszczały tysiącznemi połyski. U pasa, wytwornie tkanego złotem i srebrem, wisiał z jednéj strony miecz, nigdy nie opuszczający boku pana, z drugiéj tkwił sztylet z kosztowną rękojeścią. Złote ostrogi zdobiły buty z giętkiéj skóry, pokrywające stopy, które nieraz wśród pocisków i szczęku broni wdarły się na wysokie wały i najeżone rycerzami mury. Złoty łańcuch, oznaka godności rycerskiéj, błyszczał na piersiach. W takim więc ubiorze szedł książe Zbigniew na spełnienie czynu, usprawiedliwiającego po części porwanie córki bez zezwolenia ojca.

Liczne komnaty, któremi przechodził, smutny wystawiały widok. Znać było, że już nikt ich nie zamieszkał oddawna, a nawet w téj części swego zamku nigdy nie przebywał Zbigniew i nigdy nie przyjmował gości. Te pokoje smutne, niezamieszkane, bronią i orężem, rozwieszonym po ścianach, nie zabawy ani wesele, ale srogie mordy i klęski przypominały. Tu szyszak, rdzą pokryty, z żalem odpierał promienie pochodni, nie mogące, jak dawniéj, płomieni z niego wydobyć, tu zbroja, okryta kurzem, na rogu jelenim wisiała. Tam znowu miecz poszczerbiony dowodził, że wytrwał długie wojny, tam kopia, oparta o ścianę, zdawała się żałować, że teraz w nieczynności, zapominając o bojach, musi się stawać pastwą zepsucia i czasu. Przybył nareszcie

nasz bohater do szerokiéj komnaty, żadnego nie mającéj wyjścia, ale dobrze znajomy tajemnic swego zamku, zbliżył się do ściany i pchnął silną ręką żelazny gwóźdź, na którym wisiały rycerskie rękawice. W mgnieniu oka otworzyły się drzwi, tak przystające do ściany, że niepodobna było ich rozeznać. Odkryły się wschody, na dół zstępujące; poszedł niemi Zbigniew i po niejakim czasie dostał się do komnaty, błyszczącéj świetnemi obiciami i mnóstwem lamp srebrnych, u sklepionego sufitu zawieszonych.

Siedzenia, krzesła, stoły, największym wyrobione kosztem, ozdabiały salę, podpartą rzędem marmurowych filarów, za któremi ukazywało się łoże, purpurowemi zasłonione firanki, które, w lekkich fałdach spadając na ziemię, kończyły się złotemi brzegami. Przy nim, na stole z dębu czarnego, stały pyszne naczynia, ozdobne drogiemi wschodu kamieniami. Kołowrotek z kości słoniowéj z śnieżną wełną, do jedwabiu podobną, dowodził, że to było pomieszkanie Hanny, kochanki, a za kilka chwil żony Zbigniewa. Z téj pierwszéj komnaty, przeszedł książe do drugiéj, równie świetnéj, w któréj wszystko nagromadzono, co się oczom kobiety podoba. Kosztowne ozdoby, naszyjniki, drogie pierścienie zewsząd błyszczały, piękne obicia, tkane w złoto i srebro, pokrywały ściany, a Pismo święte, największa rzadkość w tym wieku, oprawne w skórę, leżało na hebanowéj półce pod obrazem Najświętszéj Panny. Dwie jeszcze podobne komnaty przeszedł książe i stanął wreszcie u drzwi żelaznych, na których wyrobiony był kształtnie wieniec cierniowy nad trupią głową. Za ich otwarciem ukazała się kaplica, oświecona rzęsistem światłem i strojna w obrazy świętych i pyszne narzędzia kościelne. Ołtarz z marmuru dźwigał ogromny krzyż srebrny, a przy nim stał kapłan w zakonnym ubiorze, ze wzrokiem, ku niebu wzniesionym, z założonemi rękoma na piersiach. Przy drugich drzwiach, wiodących wprost na brzeg Wisły, bo kaplica stała nad samą rzeką, opierał się o filar Mestwin w bogatym stroju ówczasowych rycerzy niemieckich, a po drugiéj stronie ołtarza klęczała najpiękniejsza Mazowsza dziewica.

— Przebacz, Hanno, moje kochanie! — zawołał książę — nie mogłem przyjść pierwéj, bo mnie ojciec zatrzymał w swoim zamku. Ale zapewnie z radością się dowiesz, że przychodzę połączyć się z tobą na wieki, pogodziwszy się z moim rodzicem i królem.

Na głos, tak dobrze znany, odwróciła się Hanna z Ciechanowa i okazała oblicze, godne zazdrości aniołów. Bladość, je pokrywająca, była skutkiem gwałtownych wzruszeń, doznanych od dni kilku, ale już z tą bladością mięszał się powracający rumieniec, który zwyczajnie boskie jej wdzięki umilał.

Słodycz nadludzka odbijała się w niebieskich oczach i nadawała uśmiechowi jéj twarzy powab, wszystko pociągający. Znać jednak czasem było we wzroku, że duma nie opuściła córki Wszebora i że pani Ciechanowa, że przyszła żona księcia polskiego, czuła swoją godność, czuła, że jéj się należą hołdy i poszanowania, i to jéj spojrzenie nieraz odparło lekkomyślne słowa Mestwina, nieraz pokryło zmięszaniem bezwstydne jego czoło. Za ujrzeniem Zbigniewa powstała, zdało się, jak gdyby chcąc się rzucić w jego objęcia; wstrzymała się nagle i poważnym wyrzekła głosem:

— Zbigniewie, wykonywam, com ci obiecała, oddając ci rękę, i świadczę się niebem, jak i tobą szanowny kapłanie, że z własnéj to czynię woli. Niech więc kara moich grzechów na mnie tylko spada!

To powiedziawszy, zbliżyła się do Zbigniewa i, poglądając na młodzieńca okiem pełnem miłości: Za chwilę będę twoją żoną — rzekła — za chwilę Hanna wieczną przysięgnie wiarę, którą ci oddawna w sercu przyrzekła.

— Hanno! — zawołał książę — podaj mi rękę i klęknijmy u stóp ołtarza, odtąd nic nas nie rozłączy!

Podczas obrzędu ślubnego stał Mestwin niewzruszony. Przewidywał on nieszczęścia, mające wypłynąć z tego kroku, i niechętnym patrzał okiem na czyn Zbigniewa. Ale kiedy zwracał wzrok na kapłana, oczy jego wyrażały coś zgubnego i okropnego, choć nie znać było w nich ani niechęci, ani gniewu, owszem, zdawało się, że zimny rozmysł jego zamiarami kierował. Przy

końcu modlitw, podczas ślubu odmawianych, wyjął sztylet i oglądał go z spokojną rozwagą, potem zbliżył się do księcia i Hanny, odchodzących od ołtarza, i, oddawszy głęboki pokłon:

— Przyjm pani — rzekł — moje usługi, przyjm usługi téj ręki, nawykłéj do bronienia twego męża!

Ale podczas tych słów nie mógł wstrzymać szyderczego uśmiechu, który tak był wydatnym, że Hanna odwróciła głowę. Tymczasem Zbigniew, wyjąwszy worek pełen srebra, oddał go swemu powiernikowi.

— Te pieniądze mogą mnie zapewnić o milczeniu. Jest to pewny sposób zachowania tajemnicy.

— Znam ja pewniejszy — odparł po cichu Mestwin i, znów się ukłoniwszy, wyszedł wraz z kapłanem drzwiami, wiodącemi nad brzeg Wisły.

W kilka chwil późniéj usłyszano słaby krzyk i wkrótce potem łoskot, podobny do tego, jaki sprawia ciężkie ciało, wrzucone w wodę. Zadrżała córka Wszebora, Zbigniew mimowolnie cofnął się kilka kroków.

— Idź, moje kochanie — rzekł do żony — idź do swojéj komnaty, ja zaraz za tobą pośpieszę!

Posłuszna radzie Hanna niepewnym oddaliła się krokiem, a Zbigniew sam został w kaplicy. Są chwile w życiu, kiedy człowiek, otoczony weselem i szczęściem, wśród przyjaciół, po osiągnieniu celu najgorętszych życzeń, przypomni nagle swoje winy, przypomni nieszczęścia, mogące nań runąć, a wtenczas smutek okropny jest jego udziałem; trwa tylko przez jedną chwilę, ale ta chwila zatruwa radość serca, ta chwila jest piekłem. Właśnie w podobném był Zbigniew położeniu. Sam wśród nocy, u stóp ołtarza, otoczony przepychem i bogactwami, po dopełnieniu najżywszych pragnień, czuł jakiś ciężar na sercu.

Wszystkie klęski i niebezpieczeństwa, mogące nań się zwalić, stanęły mu na myśli, a choćby w innym czasie nie wzdrygnął się na ich wspomnienie, uczuł teraz nieznośną, nadzwyczajną trwogę. Ujrzał przeklinającego ojca, ujrzał postawę Wszebora, wyrzucającego mu porwanie córki i widział Mieczysława pałasz, na swoją podniesiony głowę. Zobaczył najzaciętszych wrogów,

przesuwających się przed oczyma, dawne, zatarte pamiątki ozwały się groźnie, popełnione występki tłumnie się gromadziły w jego umyśle. Chciał kilka razy wyrwać się z tego przykrego położenia, ale, jak gdyby przykuty, pozostać musiał na miejscu, głowę oparł o ołtarz, przy którym niedawno najżywsze czuł szczęście i pogrążony w rozpaczy zapomniał o żonie. Zamknął oczy, nie mogąc znieść światła, błyszczącego w kaplicy, oświeconéj licznemi lampami, których blask podwoił się, odbity od bogatych naczyń i bogatych krzyżów. Dopiero usłyszane kroki Mestwina wróciły mu przytomność i wstydząc się słabości, porwał się z miejsca, a udając najżywszą radość, poszedł ku niemu.

— A cóż — zawołał — czy pomogło srebro, czy nie wyda tajemnicy?

— Na co — odparł ze zwyczajnym uśmiechem Mestwin — na co tak drogiego używać kruszcu, kiedy nierównie podlejszym można wymódz milczenie, i wiecznie milczenie? — To mówiąc, pokazał panu swemu sztylet, z którego krew, świeżo wylana, kroplami spływała.

— Niepotrzebna zbrodnia — rzekł ozięble Zbigniew, który już odzyskał był moc duszy.

— Niemałą jest rzeczą życie człowieka — rzekł Mestwin — i gdyby nagła nie wymagała tego potrzeba, nie byłbym dni jego skracał.

— Mestwinie, zazdroszczę ci tak zimnéj krwi, tak zimnego serca!

Po tych słowach roześmiał się Mestwin i pytał Zbigniewa o rozkazy, mówiąc, że zapewnie teraz zechce sam pozostać.

— Wyszlij natychmiast gońców, Mestwinie — zawołał książe — do moich ludzi, do moich zamków, do moich przyjaciół; niech zaraz siadają na koń i tu przybywają! Trzeba nam się przygotować na wszelki przypadek. Może za kilka dni krew na tych dziedzińcach lać się będzie.

— Jużem wszystko przewidział i wszystko poczynił. Jutro, najdaléj pojutrze, ten zamek napełni się ludźmi, gotowemi umrzeć za księcia mego i pana. Ale najlepiéj

trzymać wszystko w skrytości i nikomu nic nie wyjawiać, może przejdzie burza i nie rzuci piorunu, o czem jednak bardzo po wczorajszych pogróżkach wątpię.

— Nieoszacowany przyjacielu! — krzyknął Zbigniew, rzucając się w objęcia Mestwina — odprowadź mnie do pokoju żony!

Książe polski, wziąwszy za rękę rycerza, udał się do pięknéj Hanny. Zastał ją klęczącą przy obrazie Matki Zbawiciela. Za przybyciem męża powstała i pośpieszyła na jego przyjęcie.

— Zbigniewie, nieznana trwoga opanowała me serce, całą mą duszę przeraziła. Czy nie spotkało jakie nieszczęście sługę bożego, który przed chwilą połączył nas na zawsze?

— Nie wiem — odparł Zbigniew — słyszałem jakiś łoskot.

— Zapewnie, pani — przerwał Mestwin — łoskot sprawiony rzuconemi pieniędzmi do Wisły przez tegoż sługę bożego, który mi powiedział, że nie potrzebuje zapłaty dla zachowania tajemnicy.

Słowa Mestwina, szyderczym wyrzeczone głosem, nową bojaźnią napełniły serce Hanny. Wtem zbliżył się do niéj rycerz niemiecki i, uklęknąwszy przed nią:

— Witam cię, księżno — zawołał — witam cię moją panią! — i śmiałą rękę wyciągnął po rękę córki Wszebora.

Odskoczyła w tył o kilka kroków Hanna, ale Zbigniew prosił ją, by dała ten dowód łaski najwierniejszemu przyjacielowi.

— Chyba dla ciebie uczynię tę ofiarę — odparła księżna, oddając swą rękę rycerzowi, który ją z taką siłą do ust przycisnął, że aż krzyknęła przerażona Hanna, ale w tym krzyku znać było przerażenie, pomięszane z pogardą. Zrozumiał ten głos Mestwin, ścisnął usta, powstawszy oddał głęboki pokłon i odszedł. Została się Hanna sama ze Zbigniewem.

— Odszedł już — po chwili rzekła, jak gdyby ciężar jaki spadł z jéj serca — odszedł — po tych słowach zamilkła, ale nagle porwała się z siedzenia, zbliżyła się do Zbigniewa i, porywając go za rękę, z okiem, pełnem

rozrzewnienia, głosem przenikającym do duszy, z zapałem cnoty i miłości zawołała:

— Mężu mój, oddal chytrego powiernika, odrzuć zdrady i obłudę, dopóki czas jeszcze, odepchnij od piersi węża, nim w swoje zamknie cię kłęby, z których się już nie będziesz mógł wydobyć! Zbigniewie, uwierz przeczuciom mojéj duszy! Mestwin grozi ci zagubą i nieszczęściem. Mestwin jest twoim najzaciętszym wrogiem. Zbierz całą moc twoją i uwolnij się od tego szatana, który pod pozorem przyjaźni mami twoje serce; wróć do spokojności i cnoty! Czy myślisz, Zbigniewie, żem nie postrzegła twojego zadumania? Czy myślisz, że kiedy cię pierwszy raz poznałam, że kiedy przychodziłam do ciebie w borach ciechanowskich, czy myślisz, żem nie postrzegła burzy, miotającéj tobą? Ileż razy widziałam cię niespokojnym, błędne wymawiającym słowa! Ileż razy niepewny wzrok zwracałeś na mnie, a w tym wzroku znać było srogie wspomnienia i srogie przyszłości przewidywania! Tak, mężu mój, Hanna wie, żeś wiele złego popełnił, wie, żeś przekroczył po wielekroć granice, nakazane ludziom od Boga, a jednak oddała ci serce i rękę, bo cię kochała nadewszystko, bo wiedziała, że jesteś szlachetnym i wielkim, bo wiedziała, że źli doradcy, że obłudnicy i podstępni doprowadzili cię do przestępstw i gwałtów. A któż do tego czasu nieprawne ci wskazywał cele? Kto wiódł twe kroki dotąd po drodze skażenia i zepsucia? Mestwin, Mestwin, on cię zamieniał, często szlachetnego i wzniosłego, na nizkiego i niezgodnego rodu i sławy naddziadów!

— Hanno — odparł uroczystym głosem Zbigniew — nadszedł czas wyznania ci moich przestępstw i odkrycia serca, bo nie myśl, że chcę cię zwodzić! Nie, wystawię ci wszystko w prawdziwem świetle. Jednę tylko kochałem na świecie kobietę. Ty nią jesteś, a ta, dla któréj wszystko poświęciłem, dla któréj naraziłem się na przekleństwo ojca i mordercze zamachy wrogów, nie będzie nigdy miała prawa wyrzucać mężowi, że krył się pod pozorem cnoty i sprawiedliwości. Tak, Hanno, słuchaj mnie uważnie i nie przerywaj słów,

które jedna tylko na tym świecie usłyszysz i raz tylko w życiu!

Tu zamilkł Zbigniew i, jak gdyby coś sobie przypominał, dosyć długo dumał, oparty o filar, podpierający bogatą komnatę; nareście w te się odezwał słowa:

— Kochanko mego serca, żono ulubiona, jestem zbrodniarzem! Choć jeszcze młody, uniesiony namiętnościami, daleko już zaszedłem w drodze niesprawiedliwości. Raz podsycała mnie chęć sławy, to znów żądza zaszczytów i wielkości. Nie jednegom już tą ręką strącił z tego padołu nieszczęść. Zdradą pozbywałem się wrogów, głuchym byłem na jęki niewinności lub prośby pokonanego nieprzyjaciela. Wśród burzy i nocy zatapiałem mój sztylet w serca podobnych sobie, wśród biesiad i radości, w lśniących się puharach posyłałem śmierć w darze zawziętym na mnie. Ale przyjaźni, dopóki mi wierną była, nigdym nie zdradził. Dla tego kocham Mestwina, bo nigdy mi się ani słowem ani czynem nie przeniewierzył. Tak, Hanno, tak, córko Wszebora, truchlejesz, ale jużeś wyrzekła przysięgę, już moją jesteś, a choć trwoga twą duszę napełnia, widzę w twych oczach miłość dla Zbigniewa. Odtąd nasz los nierozłączony; jeśli zstąpię do piekła, i ty pójdziesz za mojemi ślady, jeśli zasiądę na tronie, i twoje czoło świetna okryje korona. A chociaż twój Zbigniew był mordercą, zbrodniarzem, chociaż wszystko, co może ciężyć na duszy człowieka, obarcza moje sumienie, musisz kochać mnie i kochać bez granic, musisz wszystko dla mnie znosić. Twe serce pała ogniem, wszystko pożerającym. Zapomnij o zbrodniach i oddaj się miłości! Dopełniłem mego obowiązku, znasz teraz Zbigniewa, a wiem jednak, żebyś mnie nie opuściła i za nic w świecie nie chciała rozłączyć się ze mną.

To mówiąc, przyłożył do ust żony gorejące usta i przycisnął ją do piersi z całem uniesieniem najgwałtowniejszej namiętności.

— Zgadłeś, mężu mój — zawołała Hanna — zgadłeś, miłość moja wszystkie względy przemaga, a choć może teraz wieczności brama zamyka się przedemną, nie odstąpię Zbigniewa! Ale możesz nas oboje jeszcze urato-

wać, wracając do cnoty, poskramiając burze, miotające szlachetnem sercem. Upokorz się przed Panem niebios — dodała, wznosząc oczy i ręce ku niebu — zawołaj: »Panie, Panie!« a usłucha cię Bóg i okiem litości spojrzy na grzesznika!

— Już zapóźno, Hanno — odparł Zbigniew — już zapóźno! Zadalekom się posunął. Zbrodnia żadna mnie nie straszy, rzadko odzywają się zgryzoty sumienia, bo w ciągłéj wrzawie, wśród wojen i bojów, zapominam o własnych winach, by nowe popełniać lub zaniedbane dokonywać jeszcze. Ale jeśli Bóg zechce, to spojrzy na mnie, jeśli to Jego wola, wyratuje mnie z téj toni, jeśli nie, niech się dzieje wola boża! Poświęcony-m na wszystko, na téj ziemi nieraz znosiłem rany i okropne boleści, nie przestraszyły mego serca zbrojnych wojsk tysiące ni miecze, na moją wzniesione zagubę.

Podczas tych słów jakiś rodzaj dumy rozjaśnił mu czoło, zaświetniał w oczach; a po chwili klął na ziemi, złożył ręce i głosem, w którym odbijała się najżywsza wiara i największa pobożność, zawołał:

— Niech się dzieje wola twoja, o Boże!

Tak więc ten nieszczęśliwy młodzieniec brał za wolę Boga własne skażenie i pociąg do złego.

— Zbigniewie, Zbigniewie, cóż się z moim ojcem stało? — krzyknęła Hanna, nagłem uderzona wspomnieniem — Ojcze! ojcze! — i padła na krzesło, obfite łzy lejąc.

— Twój ojciec, moje kochanie, szuka cię teraz z dobrym naszym bratem, księciem Mieczysławem, po okolicach Płocka, ale nie smuć się, Hanno, przyjdzie czas, w którym twój ojciec przyjmie cię na swoje łono i pobłogosławi córce!

Wtem nagle porwała się Hanna i upadła do nóg mężowi.

— Zbigniewie, znam przewagę twéj ręki i gniew gwałtowny twego serca. Ale zlituj się nad starcem, chcącym uratować córkę, on może myśli, że ją rozbójnicy porwali, że jest blizką utraty czci iub życia! Zlituj się, mój mężu, i przysięgnij, że nigdy, uniesiony gniewem lub zemstą, nie podniesiesz miecza na siwą

głowę ojca twojéj żony! — Pobiegła Hanna do półki i podniósłszy księgę: — Przysięgnij! — powtórzyła mdlejącym głosem w najsroższem oczekiwaniu.

Zbigniew zbliżył się do stołu i położył prawicę na księdze.

— Przyrzekam ci przed Bogiem, na miłość, którą czuję ku tobie, że przytłumię w sercu zemstę, że poskromię gniew i że nigdy nie podniosę ręki ani dam rozkazu na uczynienie najmniejszéj krzywdy ojcu méj żony.

— Zbigniewie, szlachetny mój mężu, otwórz boską księgę, a na każdéj jéj karcie znajdziesz, że Bóg rozkazał ludziom złe dobrém odpłacać! Jeszcze jest jeden człowiek, ku któremu pałasz nienawiścią. Zacznij od tego dnia powracać do cnoty i przyrzecz podobnież, że nie będziesz go ścigał, że krewnego, że członka własnéj rodziny nie zamordujesz!

— O kim chcesz mówić? — zapytał Zbigniew z dzikim spojrzeniem.

— O bracie twoim, o Mieczysławie.

— Lepiejbyś nigdy nie wymówiła jego nazwiska! — krzyknął książę, a w oczach jego odbijała się wściekłość i gniew najsroższy. Odepchnął daleko od siebie książkę, uderzył o rękojeść miecza. — Zapomnij — dodał srogim głosem — że Mieczysław żyje na świecie, bo wkrótce żyć przestanie! Pierwszemu człowiekowi od urodzenia darował swoje krzywdy Zbigniew za twoją prośbą, boś podobniejsza do anioła, niż do ziemianki, ale drugi raz już to się nie powtórzy. Zapomnij o nim, bo ile razy powtórzysz jego imie, o tyle chwil śmierć jego przyśpieszysz!

— Daruj mu, o Boże — zawołała Hanna — daruj mnie, żem się stała nieszczęść bliźniego przyczyną! Ale nie, nie tak źle sądzę o sercu Zbigniewa, usłucha on głosu i żony i cnoty.

— Nie, zginie Mieczysław. Śmierć jemu i wieczna zguba; — odparł książę — dopóki miecz mi wierny będzie, dopóki ta ręka zdoła udźwignąć oręż lub czarę, pełną trucizny, żadnéj niema dla niego nadziei.

— Bądź jednak pewny — rzekła nakoniec Hanna — że nigdy nie przestanę wołać na ciebie: »Nawróć się, mój mężu, i pokochaj cnotę!« bo mi same nieba ten obowiązek wskazują!

— Dosyć już na tem, moja luba Hanno! — zawołał Zbigniew, przyciskając nadobną żonę do łona.

ROZDZIAŁ IV.

Gdzie ona, mów prędzéj, gdzie ona?
Odyniec.

Musimy teraz opuścić Zbigniewa i przenieść naszych czytelników do jednéj z komnat zamku królewskiego, w któréj kilka dni późniéj siedział książę Mieczysław z Wszeborem przy stole, zastawionym dzbanami i puharami, pełnemi węgierskiego wina. Ich twarz oznaczała smutek i znużenie, pochodzące z męczącéj wyprawy, odbytéj w zamiarze szukania we wszystkich okolicach Płocka i Ciechanowa śladów Hanny, ale, jak łatwo się domyślić, nadaremnie.

— A teraz cóż począć? — rzekł smutnym głosem Wszebor. — Gdzież znaleźć, gdzież wyśledzić zdrajców? O Boże, Boże, czyż nie ześlesz anioła dla wskazania drogi i odzyskania jeszcze nadziei opuszczonemu ojcu? Biedna moja Hanna bezwątpienia wzdycha teraz za wolnością w czarnem więzieniu! I ja po tylu trudach takiéj miałem pociechy się spodziewać? Po życiu, ojczyźnie poświęconem, po usługach, królowi oddanych, nie przyszło mi spokojnie umrzeć. W naddziadów moich zamku nie przyszło patrzeć na szczęście córki. Muszę się o jéj życie, o jéj sławę obawiać. Taki koniec przeznaczony był ostatnim dniom moim, ostatnie chwile miałem przepędzić w smutku i rozpaczy.

— Powziąłem już stały zamiar — odparł młody Mieczysław. — Pójdę z wiernym mieczem, na lotnym moim koniu, szukać jéj po Polszcze, po całym świecie, jeśli

tego będzie potrzeba, nie zdejmę zbroi, nie odkryję twarzy z pod ciężkiéj przyłbicy, dopóki nie wynajdę najdroższéj mi na świecie istoty; jeśli zginę, pocieszą mnie łzy twoje, wylane na przyjaciela grobie.

To mówiąc, ścisnął rękę starca, a błogosławieństwo stroskanego ojca spłynęło na jego głowę.

— Sam szatan, sam duch ciemności musiał w to się wmięszać — rzekł po chwili Wszebor. — Tylu mam przyjaciół, tylu poddanych, którzyby mi donieśli, gdyby odkryli najmniejsze światło w téj ciemnéj sprawie, a dotąd żadnego od nich nie odebrałem uwiadomienia. Milczenie i nieszczęście wszystko pokryło. Dzielna straż mego zamku tyle razy dała mi dowody męstwa, a teraz żadnego nie zabiła z przeciwnéj strony, żadnego w niewolę nie pojmała zbrodniarza. Powtarzam, władzca piekieł musiał wdać się w tę sprawę.

— Choćby i tak było, choćby tysiące złych duchów sprzysięgło się na nasze nieszczęście, nie opuszczę twéj córki i mam nadzieję, że Bóg litościwy nie będzie chciał mnie karać za przestępstwa ojca. Choć jednak — dodał ponurym głosem — poznałem już oddawna, że jakiś los okrutny niweczy wszystkie moje zamiary, niszczy najpiękniejsze nadzieje. Czyż jęki Stanisława niebiosa na mnie oburzyły? Czyż Rzymu przekleństwa z ojca nieszczęśliwego na syna się zlały? Ale czemuż mam uledz trwodze? Czemuż mam odstąpić szczęścia i pomyślności? Nie, z sercem odważnem, z sercem ufnem w Bogu, pójdę ją ratować i uratuję, lub nie posłyszysz więcéj o Mieczysławie.

— Nie myśl, książe — rzekł wtenczas Wszebor — żebym ja córkę opuścił; i ja osłabłe ciało powlokę za tobą, i ja osłabłą ręką dobędę jeszcze szabli na obronę córki! Ale pierwéj jeszcze z królem się nam widzieć trzeba, odkryjemy mu nasze zamiary, a potem puścimy się na niebezpieczeństwa i walki.

— Zaiste, trzeba mi wprzód stryja zobaczyć, niech się tylko przebiorę!

Ale wtem wszedł człowiek zbrojny i oznajmił, że Skarbimir z Gulczewa na czele licznego orszaku przybywa odwiedzić księcia.

— Dałbym wszystko — zawołał niecierpliwy Mieczysław — żeby się nie widzieć z tym chytrym króla doradzcą, ale trzeba go przyjąć. Będę się starał jak najprędzéj go pozbyć.

Po tych słowach usiadł książe na krześle, kazał zabrać wino i z należytą powagą przyjął wchodzącego Skarbimira, jednego z dwunastu radzców królewskich i podskarbnika Władysława Hermana. Miernego ten pan był wzrostu, a choć jeszcze zgrzybiała starość ciężarem go nie przygniotła, schylone miał ciało ku ziemi i wydawał się długiemi pracami strudzonym. Twarz wcale za nim nie przemawiała; w małych, żywych oczach znać było chęć zysku i zręczną przebiegłość. Do włosów czarnych już siwe mieszać się zaczynały, ubiór nie odpowiadał wysokiéj jego godności i licznym dostatkom, rdza pokrywała rękojeść pałasza, suknia była wytarta, a obraz króla Władysława, zawieszony na miedzianym łańcuszku, spadał na piersi. Pierścień tylko złotem i drogiemi kamieńmi błyszczał na wyschłéj jego ręce.

— Siadaj, potężny panie z Gulczewa i innych włości! — rzekł Mieczysław, wskazując niższe od swojego siedzenie. Wszebor powitał go prawie nieznacznem schyleniem głowy, a Skarbimir, głęboki oddawszy pokłon, usiadł z uniżonością, dowodzącą, iż czuje, że jest w przytomności księcia krwi królewskiéj; ale w chwili, kiedy Wszebor i Mieczysław od niego wzrok odwrócili, żywe jego oczy pokój przebiegły, uśmiech chwilowy zbladłe rozszerzył usta i najwyrachowańsza chytrość odbiła się na źwierciadle duszy — na zwiędłéj jego twarzy.

— Najjaśniejszy książe! — ozwał się nareszcie — za dobry jesteś na sługę swego, wołając nań tak pysznem imieniem. Ubogi jestem i łaska tylko króla mnie wywyższyła. Zato też codzień, pomimo lichego majątku, daję na mszę, prosząc niebios o zachowanie tak dobrego i mądrego pana.

Uśmiech niedowiarstwa był jedyną odpowiedzią Mieczysława.

Skarbimir drugi, jeszcze głębszy pokłon oddał Mieczysławowi, który znowu nic nie odpowiedział, a Wszebor brwi zmarszczył i poszedł do blizkiego okna.

— Ale — dodał Skarbimir — niebo usłuchało gorących próśb grzesznika i dzisiaj jeszcze raczyło mnie oświecić. Tak, mam pewne wiadomości o Hannie z Ciechanowa.

Te ostatnie słowa tak cicho wyrzekł, oglądając się na wszystkie strony, że ledwo je Mieczysław usłyszał; ale jak tylko imię kochanki obiło się o jego uszy, skoczył do pana Gulczewa i, zapomniawszy o znanéj jego obłudzie, ścisnął mu rękę i zawołał:

— Mów prędzéj, co wiesz!

— Mów — powtórzył Wszebor — mów jasno i bez niepotrzebnych przydatków, a nadewszystko nie mijaj się z prawdą, mości podskarbniku królewski!

— Jeśli książe mi pozwoli zawołać człowieka z mego orszaku, on najlepiéj całą tę rzecz wyłuszczy.

— Zawołaj! zawołaj!

— Bardanie, do mnie! — krzyknął Skarbimir, a natychmiast wszedł człowiek zbrojny, wychudłéj i posępnéj twarzy. — Mów, coś słyszał i coś widział — rzekł Skarbimir — ale pierwéj drzwi przymknij!

— Naco ta ostrożność? — rzekł Wszebor — kto nam może mieć za złe, że chcemy znaleźć...

— Kto? ja wiem, kto — odparł podskarbnik, zmieniając swój głos na rozkazujący, bo wiedział, że trzyma w swéj mocy słuchaczy. — Przymknij drzwi, zarygluj drzwi, Bardanie, zatknij dziurkę czemkolwiek, kawałkiem, oddartym od szaty, za którą ci książę Mieczysław wynadgrodzi, bo ja za ubogi jestem!

— Masz — zawołał Mieczysław, rzucając mu kilkanaście sztuk srebra — tylko mów prędzéj, prędzéj, przyjacielu, jeśli dbasz o moje życie!

— Najjaśniejszy panie — rzekł żołnierz — i ty potężny rządco zamku Ciechanowskizgo, pan mój Skarbimir, władzca Gulczewa i Kościelca...

— Prędzéj tylko, prędzéj! — przerwał mu Mieczysław.

— Racz mi przebaczyć, wielmożny i potężny panie i książe, ale trzeba zawsze od początku zaczynać, tak przynajmniéj nam ksiądz mówił na nauce w kościele gulczewskim, wystawionym przez mego pana, Skarbimira z Gulczewa...

— Prędzéj, prędzéj, co mi po twoim kościele! — zawołał zniecierpliwiony młodzieniec.

— A toż, najjaśniejszy książe, ponieważ mówiłem, że trzeba zacząć od początku, powiem ci, że tego samego dnia świętéj Agnieszki, w którym porwano córkę wysokiego i możnego pana Wszebora z Ciechanowa, przyjechałem na moim siwym koniu do Ciechanowa, bo różne tam sprawunki miałem, a wyznając wszystko szczerze, najjaśniejszy panie, córka Bartłomieja Krzywonogiego jest ładną dziewczyną, a ojciec jéj wziął mnie pod brodę, pogłaskał i rzekł...

— Przeklęty gadułło — krzyknął Mieczysław — mów, kto ją porwał, opuść wszystko, bo ci inaczéj łeb zdruzgoczę!...

— Przepraszam Wielmoż...

— Nie przepraszaj, tylko mów, ale prędzéj, prędzéj! — i stanął o dwa kroki od żołnierza.

Przestraszony Bardan zaczął więc zwięźléj trochę swą rzecz opowiadać.

— Więc przyjechałem do Ciechanowa i, stanąwszy u Bartłomieja Krzywonogiego, bawiłem się z Małgorzatą; wtem wszedł człowiek i prosił o czarę miodu, którą spełniwszy za zdrowie — i tu Bardan za znakiem, danym przez Skarbimira, głos znacznie zniżył — księcia Zbigniewa, położył pieniądze na stole i wyszedł mówiąc, iż dobrze, że pokrzepił siły, bo wieczorem będzie miał wiele do roboty. Zbroja jego była podobną do zbroi żołnierzy tego księcia; a zatem Bartłomiéj...

— Zbigniew, niema wątpliwości! — przerwał Mieczysław — Zbigniew, ale niech teraz się spowiada i żegna z tym światem, bo niedługie mu dni zostały! Hej, giermku mój, podaj mi zbroję i szyszak, Henryku, prędzéj!

Wyszedł nadobny młodzieniec w kwiecie wieku i podał księciu żądaną zbroję.

— Zatrzymaj się! — rzekł Wszebor — pierwéj pójdziemy do króla, a potém pomyślimy o środkach odebrania z rąk Zbigniewa córki mojéj.

— Niema co myśleć — zawołał Mieczysław — naco mi króla, naco mi myśleć, kiedy wiem, gdzie znajdę wroga, i mam wierną szablę w ręku!

— Nigdy nie zezwolę na to — rzekł poważnym głosem Wszebor — by dla mojéj córki zaszło rozdwojenie w rodzinie panującéj, by brat podniósł oręż na brata; usłuchaj zdrowéj rady, Mieczysławie, zmiękcz się mojemi prośby! Chodź raczéj do Władysława! On synowi swemu rozkaże oddać mi córkę.

— Nie znasz Zbigniewa, starcze, nie znasz. Twoja córka może teraz... — i tu zatrzymał się Mieczysław, ani słowa daléj nie mógł wymówić, oczy jego zabłysły zapalczywym gniewem, a dobywszy miecza skoczył do drzwi, ale nim je mógł otworzyć, powstał Skarbimir, a Wszebor zatrzymał księcia.

— Książę Mieczysławie — zawołał Wszebor — nie sądź, by ci Hanna droższą, niż mnie była, ale przez długi przeciąg lat, strawionych na usłudze krajowéj, nauczyłem się przekładać ojczyznę nad najmilsze uczucia! Cóż stąd wyniknie? Walka między tobą a bratem, śmierć jednego z was, klęski dla Polski i żal ciężki dla króla. I któż jeszcze wie pewno, że Zbigniew porwał moją Hannę? Czyż słowa żołnierza, pijącego zdrowie swego pana, są dostatecznym dowodem? Upamiętaj się, panie, nie wszczynaj niezgód i rozterek w Polszcze, już i tak nieszczęśliwéj! Przekonaj się pierwéj, a potem znajdziesz sprawiedliwość u króla!

— Musi zginąć z mojéj ręki! — przerwał cichym głosem książe, ale schował miecz do pochwy, a ochłonąwszy nieco z gwałtownego gniewu, usiadł. Wtenczas Skarbimir ponowił swe ukłony i prosił, by mu pozwolono dać radę. Za zezwoleniem Wszebora i księcia zaczął płynnie mówić i znać było w jego słowach wyćwiczonego na dworach i biegłego doradzcę.

— Wyjdź, Bardanie! Najjaśniejszy książe, widziałem cię małym i na moich nosiłem rękach. Twój ojciec nieraz łaskawem na mnie rzucił okiem, a teraz nas panujący Władysław Herman przypuścił do swego boku. Ośmielam się więc podać wam radę. Bez wątpienia Zbigniew trzyma w swojéj mocy Hannę, ale nie można mu tego zarzucić, bo nie mamy pewnych i niczem niezbitych dowodów. W ich niedostatku możemy sobie przywieść na pamięć gwałty i łupiestwa, mordy i grabieże,

które ten książe często popełniając, stał się klęską dla narodu. Dotąd go miłość króla ochroniła, ale teraz przyszedł czas zrzucenia go ze szczytu potęgi. Temu kilka dni przysiągł Władysławowi, że nic nie wie o Hannie, a kiedy się ojciec przekona, że przeniewiercę i krzywoprzysiężcę ma za syna, odepchnie go od łona, w czem twój najniższy sługa, teraz mówiący do ciebie, najjaśniejszy książe, będzie ci się starał dopomódz.

— Nie potrzebuję wcale tego — przerwał Mieczysław. — Nie przystoi mi cichemi podszepty, zdradnemi słówkami, oburzać serce mego stryja na syna, choć ten syn całego mego gniewu jest godzien. W otwartych szrankach się spotkamy, ale nigdy nie zezwolę na ukryte drogi, na ciemne ścieżki, któremi chcesz mnie prowadzić; ale mów daléj, mów, jednéjbym tylko pragnął rzeczy, żeby można Zbigniewa o zbrodnię zupełnie przekonać, a wtenczas śmierć mnie lub jemu!

— Tego chcesz? — rzekł Skarbimir. — Nic łatwiejszego; tylko króla poproście, by zwołał swoich panów radnych i urzędników do tronowéj sali; tam niech na księdze świętéj poprzysięgnie ścigać zdrajcę, niech każe przejrzeć wszystkie domy w Płocku, a odkryje się zbrodnia!

— Na to się zgadzamy — odparł Mieczysław wraz z Wszeborem.

— Ale byłoby lepiéj — ciągnął daléj Skarbimir — naprzód królowi zdaleka dać poznać, że Zbigniew należy do téj sprawy. Potém coraz bardziéj zbliżać się do celu, powoli niszczyć w jego sercu miłość ku synowi, a nakoniec odkryciem wszystkiego zupełnie ją wyrugować. Potrafiłbym to uczynić, bo moje poświęcenie się dla ciebie jest bez granic.

— Milcz z takiemi zamiary! — krzyknął Mieczysław. — Syn Bolesława Śmiałego otwartą drogą idzie, nikogo na świecie się nie boi, zawady nie zdradą, ale dzielną przełamuje ręką, wrogów nie tajnemi sposoby, ale mieczem pokonywa; milcz, mówię ci, Skarbimirze, jeśli nie chcesz się wydać przedemną z podłością serca i nizkością duszy!

— Źle sądzisz o mnie, najjaśniej...

— Dziękuję za radę, a teraz nie mam więcéj cię słuchać czasu i żegnam.

To mówiąc, zawołał na pazia, kazał sobie podać płaszcz książęcy i, wziąwszy czapkę z czarnemi pióry, wyszedł do króla z Wszeborem, który w milczeniu taił głęboki smutek duszy, sądząc, że niegodnem jest męża słabość okazywać.

Skarbimir został sam w komnacie.

— Piękna nagroda — szemrał — za rady moje, ale przyjdzie czas, że i ty uznasz moją wyższość. Tymczasem już jeden upadnie, już groźny Zbigniew się ukorzy. Gińcie, przepadajcie wszyscy, niech się sam Skarbimir zostanie! Czołga się teraz przed wami, ale kiedyś jego łaski żebrać będziecie, a on wasze zajmie miejsca! — a potém obracając się do pazia: — Czy tak zawsze żegna się z przyjaciołmi twój książe, mój chłopcze?

— Książę, mój pan — odparł młodzieniec — szanuje tylko tych, którzy są godni tego. Z wszystkiemi innemi podobnie się, jak z tobą, żegna.

Po tych słowach wskazał drzwi podskarbnikowi, który z nienawiścią i zręcznie ukrytym gniewem wyszedł z komnaty.

ROZDZIAŁ V.

Królu mój, straszną twoja powinność!
Twoje święte przeznaczenie
Jest: karać zbrodnie, pomścić niewinność,
Cierpiącym podać ulżenie.

Serbska Duma.

W przedpokoju królewskim zastał Mieczysław z Wszeborem Sieciecha, wojewodę krakowskiego, hetmana Władysława i wodza jego straży. Siedział on, otoczony zbrojnem rycerstwem, i nie powstał za zbliżeniem się księcia, choć bowiem jeszcze wtenczas nie nabył téj ogromnéj na dworze przewagi, która się stała późniéj przyczyną wielu kłótni i niezgód, dumny jednak z swego męstwa i znaczenia nikomu kroku nie ustępował. Jeszcze młody, choć już pożegnał się z wiosną życia, wysokiego był wzrostu i męskiéj postawy. Wiele usług oddał królowi, a choć często poświęcić był gotów dobro powszechne własnéj chwale, umiał cenić szlachetne uczucia i nieraz im się jego serce poddawało. W lekkiéj zbroi i świetnym szyszaku rozmawiał z swojemi żołnierzami, których umiał przywiązywać do siebie hojnemi podarunki i przepuszczaniem największych bezprawiów. Z drugiej strony komnaty siedział w szerokim krześle człowiek otwartéj i wesołéj twarzy, na blizkim stole leżała czapka z czaplemi pióry, torba borsukowa ze srebrnemi guzikami i nóż myśliwski; na lewéj ręce trzymał ogromnego sokoła, który, do tego przyzwyczajony, snem twardym ujęty, spuścił był głowę.

— Wolimirze z Moskorzewa, jak się masz? — rzekł Wszebor, wchodząc do pokoju.

— Jakem sokolnik króla Władysława, tak to Wszebor z Ciechanowa! — zawołał Wolimir — a cóż, gdzie córka? czy puścić za nią mego sokoła? — i to mówiąc, wzniósł rękę. Ptak roztoczył skrzydła, jak gdyby gotował się do lotu, i bystrym wzrokiem szukał zdobyczy, ale za słówkiem, wymówionem przez Wolimira: »Niżéj, niżéj z piórami!«, znów do dawnéj wrócił ospałości.

— Niema córki mojéj i na nieszczęście idę teraz mojemu królowi i panu to oznajmić.

— Nie można się teraz widzieć z najjaśniejszym panem — rzekł Sieciech, udając, że nie poznaje Wszebora ani Mieczysława.

— A ja mówię, że można, mój Sieciechu — odparł książę z uśmiechem pogardliwym na ustach i, nie dbając więcéj na słowa wojewody, wszedł do Władysława, prowadząc za sobą Wszebora.

— Odpłacisz mi to »mój Sieciechu!« — zawołał gniewny hetman i tak ściął usta gwałtownie, że aż mu krew z dolnéj wytrysła wargi.

Nie słyszał téj groźby książę, bo już był przy krześle, na którem król siedząc oglądał przyniesione pergaminy i podpisywał się na nich znakiem krzyża, bo nie było wtenczas zwyczajem, żeby monarcha swoje imię kładł na jakim przywileju lub nadaniu.

— Witamy was, moi mili — ozwał się Władysław. — Ale cóż widziemy? czoło twoje zachmurzone, synowcze, a łzę smutku napróżno usiłuje wstrzymać wierny nasz Wszebor. Czyż Hanna dotąd nie wrócona ojcu?

— Miłościwy królu i stryju mój, nie mogliśmy odkryć zbrodniarzy, nie odpoczęliśmy ani dniem ani nocą. Po wszystkich okolicach Płocka daremnieśmy błądzili.

— Królu mój — zawołał Wszebor i rzucił się do nóg Władysława — sprawiedliwości, sprawiedliwości się domagam, królu, wyrwij mnie z toni nieszczęść, ocal cześć i życie mojéj córki!

— Wszystko zrobiemy w tym względzie, co będzie w naszéj mocy, i na to dajemy ci nasze słowo królewskie. Może chcecie ludzi zbrojnych? Każemy wam ich z własnej dać straży, poślemy z wami Sieciecha, rozgłosiemy po całem królestwie, żeby wszyscy wzięli się do broni i siedli na koń dla szukania twojéj córki; nie powiedzą, że Władysław, król Polski, opuścił poddanego w nieszczęściu.

— Powiedz mu domysły nasze o Zbigniewie — rzekł po cichu Wszebor do Mieczysława — bo ja się nie mogę odważyć na zmartwienie tak dobrego pana!

— A ja nie chcę oskarżać, kiedy tylko same mam domysły — odparł Mieczysław — ale pójdźmy za radą Skarbimira, bo choć chytry i niegodziwy, w téj okoliczności nic nie mamy inszego do uczynienia! Gdybyś mnie nie był wstrzymał, możebyś już teraz błogosławił córkę.

— Dobrze — rzekł Wszebor i znów się obrócił do króla. — Najjaśniejszy panie, mam prośbę do ciebie, której wykonanie może ci przykrem będzie, ale mam nadzieję, że nie odmówisz mi tego, co może wrócić mi szczęście i zgon mój niedaleki przytomnością córki pocieszyć.

— Nie, zapewnie, że nie odmówię — odparł Władysław, ale znać było na twarzy, że się lękał przyrzekać.

— Królu Polski, wzywam więc twojéj sprawiedliwości i zanoszę do podnóża twego tronu pokorne prośby, byś kazał zebrać się panom twoim radnym i rycerstwu i wobec wszystkich oświadczył, że srodze ukarzesz sprawcę niesłychanéj zbrodni, tę obietnicę przysięgą stwierdził i rozkazał wszystkie domy w Płocku obejrzeć i przetrząść, bo może w tych murach jęczy moja Hanna w mocy tak potężnego zbrodniarza, że go własny monarcha i... — ale zatrzymał się tu Wszebor, bo chciał już wymówić: »i ojciec«, ale po chwili dodał: — własny monarcha i pan nie ustraszy.

— Boże! — zawołał nieszczęśliwy Władysław, domyślający się przyczyny chwilowego zamilknienia Wszebora, i łza boleści na siwą brodę spłynęła. — Boże!

dodaj mi mocy, pokrzep mój umysł! — To mówiąc, wstał z krzesła, poszedł do blizkich drzwi, za których otwarciem ukazał się mały ołtarz, oświecony srebrną lampą. Klęknąwszy przed nim, krótką modlitwę odmówił. Obrócił się potem do Wszebora i z powagą prawdziwie królewską: — Zadosyć się stanie — rzekł — twojéj prośbie, Bóg dobrotliwy udzielił mocy méj duszy. Oddam ci sprawiedliwość. Jutro zasiądę na tronie i ogłoszę to, o coś mnie prosił. Czuję, że to moja powinność i dlatego ją wypełnię.

Nie mógł daléj mówić i upadł na krzesło, a Wszebor i Mieczysław, ucałowawszy mu rękę, wyszli z komnaty.

— Synowcze — zawołał król osłabionym głosem za odchodzącym młodzieńcem — powiedz Sieciechowi, by jeszcze dzisiaj rozkazał uwiadomić panów moich i biskupa płockiego o jutrzejszéj naradzie, bo Bóg zesłał na mnie ciężkie bóle i nie mógłbym teraz z nikim rozmawiać!

Ukłonił się Mieczysław i, przymknąwszy drzwi królewskiego pokoju, poszedł do Sieciecha.

— Hetmanie królewski, Władysław Herman, król i stryj mój, każe ci przez moje usta powiedzieć, żebyś uwiadomił natychmiast wszystkich panów radnych, biskupa płockiego i znakomitych rycerzy o wezwaniu królewskiem stawienia się jutro, tutaj w zamku, i zgromadzenia się w tronowéj sali.

— Nie zwyczajny-m odbierać rozkazy pana mego i króla przez trzecią osobę, więc...

— Więc przyzwyczaj się teraz — przerwał groźnie Mieczysław — i wypełnij, co ci powiedziałem!

To mówiąc, wyszedł. Sieciech wstał z miejsca, a choć go Wolimir z Moskorzewa chciał wstrzymać, wyszedł i dognał księcia u bram zamkowych.

— Synu przeklętego ojca — zawołał — wstrzymaj swe kroki, bo mam kilka słów ci powiedzieć!

— Sieciechu, do kogóż się tak odzywasz? — rzekł Wszebor — czy nie wiesz, czyś zapomniał, że to książe Mieczysław?

— Właśnie dlatego, żem nie zapomniał — odparł

dumny wojewoda — mianuję go synem mordercy i świętokradzcy.

— Nie wymówiłbyś ani słowa więcéj — krzyknął Mieczysław, z trudnością poskramiający gniew gwałtowny — gdyby te mury zamku królewskiego nie przypominały mi, że jest zbrodnią na tym dziedzińcu potykać się z wrogiem.

— Krokiem daléj postąp, a już nic cię nie wstrzyma — zawołał Sieciech, dobywając miecza.

— Stój, wojewodo! — odparł z zimną krwią Mieczysław. — Owszem, byłoby zasługą uwolnić króla mego i monarchę od tak bezczelnego sługi, co późniéj, spodziewam się, że przy pomocy Boga i mojéj szabli uczynię. Ale ważniejsza sprawa nad wszystkie względy ziemskie zajmuje teraz mój umysł. Po jéj ukończeniu, po uwolnieniu najcnotliwszéj i najpiękniejszéj dziewicy, spotkam się z tobą, jak na rycerza i Polaka przystoi. Ale pierwéj nie więcéj pomogą twoje krzyki i obelgi, od skowyczeń małego psa, którego podróżny kijem z swojéj drogi odpędza. Milcz więc, jeśli prawy z ciebie rycerz, i czekaj, aż pan i książę twój zniży się do walczenia z tobą!

— Dobrze, będę milczał, ale głos mój, kiedy się odezwę, będzie do pioruna podobnym; legniesz pod mojemi ciosy.

To mówiąc, z dumą na czole wrócił do zamku, a Mieczysław i Wszebor z zasępionem obliczem oddalili się.

— Wojewodo krakowski i hetmanie króla Władysława — rzekł do wchodzącego Sieciecha Wolimir. — Nie udało ci się polowanie, bo ani zwierza, ani nawet farby na mieczu nie widzę. Podobno lepszy mój sokół.

Nic nie odpowiedział Sieciech, usiadł w milczeniu, a Wolimir zaczął ulubionego ptaka nakarmiać kawałkami mięsa, które z świetnéj torby wyjmował.

ROZDZIAŁ VI.

Usiadły wodze. Troski na wszystkich wyryte;
Powstał król..., lejąc łzy obfite,
I gęstym przerywane jękiem słowa rzecze.

Iliada, XIX księga.

Salą tronową czyli naradną nazywano obszerną komnatę w zamku płockim, wystrojoną prawdziwie z królewskim przepychem. Obicia z aksamitu purpurowego lśniły się, pozawieszane po ścianach, wyrobionemi na nich ze złota i srebra kwiatami. W środku zginającego się sklepienia wymalowany był pierwszy król chrześciański, przyjmujący chrzest z rąk świętego biskupa, a przy nim jego żona, piękna Dąbrówka, i Polacy z dobytym orężem. Choć za naszych czasów niezgrabnym i niekształtnymby się wydawał ten obraz, wzbudzał on wtenczas podziwienie i uwielbienie rzadkich i nieumiejętnych miłośników sztuk pięknych. Gdzieniegdzie wisiały nabijane złotem zbroje i stalowe kolczugi, pomieszane z szablami i tarczami, po których świetności można było poznać, że więcéj ku ozdobie, niż do boju służyły. Sam tron, szkarłatnem obity suknem, stał w głębi sali pod pokryciem niebieskiem, nad którem wznosił się herb polski, orzeł biały z srebrzystemi pióry; pięć marmurowych stopni prowadziło do niego, a trzy rzędy filarów z obu stron podpierało wysokie sklepienie, na każdym filarze widziano bogatą koronę, wznoszącą się nad dwoma, w krzyż złożonemi berłami. Żelazna krata oddzielała tron od drugiéj połowy sali. Przy siedzeniu królewskiem było kilka niż-

szych, przeznaczonych dla książąt krwi i znakomitszych urzędników. Okna, różnemi malowaniami zdobione, sięgały od podłogi do początku sklepienia, przy każdym z nich paliły się najdroższe kadzidła w alabastrowych naczyniach.

Teraz cała sala napełniona była mnóstwem osób, czekających ukazania się monarchy; świetne ubiory zgadzały się z przepychem miejsca. Przy tronie królewskim stał Zbigniew, a za nim wierny Mestwin, poblizkie siedzenie z drugiéj strony zajmowali Wszebor, Skarbimir, Sieciech, Wolimir z Moskorzewa z sokołem na prawicy, inni panowie radni i Stefan, podówczas biskup płocki.

— Patrz — rzekł Wolimir Sieciechowi do ucha — jak na to zgromadzenie przybył Zbigniew w zupełnéj zbroi i z szyszakiem żelaznym na głowie, jak gdyby, poczuwając się do porwania kuropatwy, obawiał się jakiego niebezpieczeństwa, kiedy my wszyscy i ty nawet, wodzu straży królewskiéj, jesteśmy bez pancerzy, bez hełmów! Patrzże, jak brwi zmarszczył, kiedy teraz zbliżył się Mestwin do niego i coś mu po cichu powiedział, patrz, jak się nagle wzruszył i położył rękę na sztylecie! Na Boga, zdaje mi się, żem na łowach. My wszyscy jesteśmy psami, król dojeżdżaczem, Wszebor myśliwym, a książę Zbigniew dzikiem osaczonym... A co, czy-m nie trafił?

— Ale wiele psów legnie pod jego kłami, nim się podda — odparł Sieciech — lubię Zbigniewa, dzielny, a choć czasem popełni zbrodnię, lubię go jeszcze. Trudno obejść się bez gwałtów na tym świecie. Jaka postać rycerska, jakie męskie rysy, jaka piękna na nim zbroja! Lubię go za to....

— Ale co to się znaczy — rzekł sokolnik królewski — że naszego wysokiego i wielce miłościwego pana dotąd nie widać, czy nie zasłabł czasem?

— Może się boi przyjść do nas, lub jeszcze nie pokończył pacierzy — odpowiedział Sieciech.

Lecz w tem ucichły rozmowy i żarty, a król Władysław wszedł do sali.

Czoło Sieciecha pokryło się chmurą, wszyscy po-

wstali. Wszedł król drzwiami, blizkiemi tronu, opierając się na ręku synowca; zbliżając się do tronu, lekkim ukłonem zgromadzonych panów powitał. Twarz jego nosiła piętno boleści i rozdzierających duszę smutków; szedł powolnym krokiem, z koroną na głowie, z berłem w ręku, szerokim, białym otoczony płaszczem, na którym srebrne błyszczały orły. Podawał mu rękę Mieczysław w kształtnym, niebieskim stroju; nie miał pancerza na piersiach, zamiast ciężkich rycerskich rękawic białe z giętkiéj skóry pokrywały mu ręce. Łańcuch złoty, oznaczający godność rycerza, spadał mu na piersi. Płaszcz książęcy w lekkich fałdach spływał mu z ramion, a zamiast czapki z piórami, stosownéj do tego ubioru, miał na głowie ciężki hełm stalowy ze spuszczoną przyłbicą, wskutku uczynionego ślubu, że nie odkryje twarzy, dopóki nie wykryje śladów lub nie dowie się o losie Hanny z Ciechanowa.

Szmer, dotąd panujący w sali, zamienił się na głośne okrzyki: »Niech żyje król Władysław! niech żyje Herman! chwała jemu i błogosławieństwo!«

Ale kiedy król usiadł na tronie, wrzawa ta, pochodząca bardziéj ze zwyczaju, niż z przywiązania do monarchy, ucichła. Wszyscy oczy zwrócili na Władysława, wzrok i słuch natężając. Jeden Zbigniew został niewzruszony przy tronie; za zbliżeniem się króla kroku nie postąpił ani cofnął, żadnego znaku wzruszenia nie okazując. Czasem tylko za przelatującem wspomnieniem lekki rumieniec występował mu na lica, które wkrótce potem wracały do grobowéj bladości. I gdyby nie to jedyne znamie życia, można go było raczéj wziąść za martwy posąg, niż za żyjącą istotę. Mestwin stał za nim, ale ile razy chciał mówić, nieznacznym prawie ruchem ręki nakazywał mu książe milczenie i musiał rycerz niemiecki przestawać na szyderskim uśmiechu, który nigdy jego ust nie opuszczał.

— Panowie, tu zgromadzeni — rzekł król słabym głosem — i dzielni rycerze, zebrani za naszym rozkazem, postanowiliśmy dzisiaj roztrząsnąć sprawę, przyczyniającą nam wiele zmartwienia i smutku; bo nasze serce ojcowskie ubolewa nad nieszczęściami naszych

poddanych, nad kłótniami i niezgodą naszych panów, nad gwałtami i zdzierstwami naszego rycerstwa. — To mówiąc, pomimowolnie rzucił okiem na Zbigniewa, ale książe stał na tem samem miejscu i najmniejszej zmiany w téj chwili nie można było dostrzedz na jego twarzy. — Dniem i nocą w własnym zamku i w kościołach błagaliśmy Boga o wrócenie pokoju, o oddalenie zamięszań i rozbojów. Ale ciężkie musieliśmy popełnić grzechy, kiedy Pan niebios nie raczył się do naszych próśb przychylić; owszem, widzimy ze smutkiem najgłębszym, że codzień złe się wzmaga, codzień szerzą się kłótnie i łupiestwa, codzień ponawiają się mordy, zajazdy, łupiestwa i klęski, pogrążające naród w nędzy i porządek społeczny wywracające. Niema zakątka w Polszcze, gdzieby zacięte nie odbywały się walki między ziomkami, między synami spólnéj ojczyzny. Krew się leje, a nasza powaga królewska nie może jéj wstrzymać ani namową, ani prośbą, do której król nigdy nie powinien się zniżać; nie zdołamy skrócić namiętności poddanych i burzliwych poskromić gniewów. Czyż piekło nasłało hufce złych duchów na naszą ziemię? czyż dzikie, otaczające nas narody przelały swe uczucia w serca naszych panów i naszéj szlachty? A jednak bywały dawniéj czasy porządku i wewnętrznego pokoju! Za Bolesława Wielkiego, założyciela naszej chwały i potęgi, w pierwszych latach panowania nieszczęśliwego mego brata, nikt nie śmiał dobywać na braci oręża i wszystkie szable polskie skierowane były w pierś wrogów. Ale teraz ojciec w niezgodzie z synem, stryj zagrabia synowca majątki, brat podnosi oręż na brata, wszędzie zamięszanie i szczęk broni, a tymczasem kościoły puste daremno wzywają na modlitwę rycerzy dźwiękiem niesłuchanych już dzwonów, groby świętych opuszczone i w pogardzie miane. Sami tylko kapłani zapełniają przybytki pańskie, a wszędzie naokoło krew rumieni ziemię i Polak ściera się z Polakiem. Nie, poddani moi, nic nie przesadziłem w tym opisie. Samiście tego świadkami i sumienie wasze zgadzać się musi z naszemi słowy. Przykład tego właśnie teraz się wydarzył. Oto....

Ale w tem miejscu król zamilkł; wystawił dotąd ogólne zarysy, ogólnie do wszystkich przemawiał, ale kiedy przyszło do opowiadania wypadku, dotykającego tak blizko przytomnych i mogącego ściągnąć na syna nieszczęśliwe skutki, (dowiedział się bowiem Władysław od Skarbimira o opowiadaniu Bardana) nie czuł już w sobie potrzebnéj do tego mocy. Myśl, że wypełnia świętą powinność, nakazaną przez niebiosa, utrzymywała go dotąd w zamiarze, ale teraz jakiś ciężar przycisnął mu serce, głos ustał i przymknęły się usta.

Przez kilka chwil głębokie panowało milczenie; nareście nabrał więcéj siły i często przerywanym głosem się odezwał:

— Wszebor, pan Ciechanowa, zasłużony w ojczyźnie, dzielny w boju, mądry w radzie, z łzami w oczach przybył nam oznajmić przed tygodniem, że mu córkę nadobną, Hannę z Ciechanowa, któréj wdzięków i cnoty sławą całe brzmi Mazowsze, porwali w nocy zbrojni ludzie i że to tak prędko i niespodzianie się zdarzyło, że nie mogli ledwo ze snu obudzeni jego żołnierze schwytać ni ujrzéć nikogo z porywających. Obiecaliśmy mu, że jeśli pogoń i wyprawa, którą zamierzył, bezskutecznemi będą, wtenczas dołożymy wszelkich środków za pomocą władzy, od Boga nam nadanéj, na wyśledzenie, odkrycie i ukaranie zbrodniarzy. — Tu ciężko westchnął Władysław i znów się zatrzymał.

Ale Wszebor, widząc, że w jednéj chwili wszystko stracić może przez słabość i niestałość króla, klął przed tronem i głośno: »Sprawiedliwości się domagam!« zawołał.

— I otrzymasz ją, wierny nasz sługo. Wrócił po kilku dniach — mówił daléj Władysław — na próżnych staraniach i zabiegach strawionych, do nas oto przytomny Wszebor, a my, dopełniając obietnicy i w niczem nienaruszonego słowa królewskiego, zgromadziliśmy was, panowie i poddani, żeby przed wami ogłosić i oznajmić naszą wolę królewską i, co następuje. Słuchajcie więc uważnie, słuchajcie, a kto się poczuwa do zbrodni, niech wyzna przestępstwo, bo za chwilę nie czas już będzie!

Tu znów umilkł król polski i czekał, czy jaki głos się nie odezwie; ale grobowe milczenie nieprzerwanem zostało. Zbigniew tylko rzekł po cichu do Mestwina:

— Idź do mego zamku, uzbrój wszystkich żołnierzy, rozstaw ich po murach i basztach! Niech każdy z gotowym do boju orężem czeka na mnie!

— Książę i panie mój, nie rzucaj się dobrowolnie w sidła nieprzyjaciół, tajemnica i milczenie wszystko pokryć może, przysięga i słowo książęce uwolni cię od poszukiwań i śledzeń!

— Wykonaj moję wolę, przyjacielu — odparł Zbigniew — bo już nadchodzi czas i niezadługo błyśnie wierna moja szabla!

— Do śmierci wiernym ci będę, ale powtarzam...

— Ani słowa więcéj, wykonaj moje rozkazy!

— Już nic, nic cię nie wyratuje: zgubionyś! — były ostatnie słowa Mestwina, wychodzącego z sali, co niemało wszystkich zdziwiło. Wtenczas Stefan, biskup płocki, z powagą do tronu przystąpił, zdjął z swojéj szyi bogaty relikwiarz, zawierający kość z głowy świętego Wojciecha, i, złożywszy go w ręce królewskie, uroczyście wyrzekł:

— Władysławie, królu Polski i panie mój, wypełń teraz powinność, nakazaną od nieba i świętego Kościoła! — a widząc pomięszanie monarchy, dodał — a za to Bóg ci przez moje usta obiecuje szczęście i nagrodę w życiu przyszłem. Wezwij na pomoc anioła stróża, świętych męczenników, którzy krwią własną dowiedli nienaruszonéj wiary, i dwunastu apostołów Zbawiciela naszego! Wypij kielich goryczy w tem życiu, a po śmierci wieniec nieśmiertelnéj chwały niebieskiéj okryje ci skronie! Wypełń więc obowiązek i powinność swoją, Władysławie, królu Polski!

Całe zgromadzenie odpowiedziało: »Amen«.

Zebrawszy wszystkie siły, powstał Władysław Herman, a choć bliżéj tronu stojący postrzegli łzę, toczącą się w oku, dość silnym odezwał się głosem:

— Wzywamy wszystkich naszych poddanych, tak panów i rycerzy, tak wolnych jak niewolnych ludzi, żeby

wszystkiemi środkami starali się wykryć zbrodniarzów, którzy porwali Hannę z Ciechanowa. Wzywamy i rozkazujemy, aby nasi rycerze wsiedli na koń i dopomogli ojcu do szukania straconego dziecięcia, a to pod utratą względów i łaski naszéj. Daléj wzywamy naszego hetmana i wojewodę Sieciecha, by na czele przybocznéj naszéj straży uczynił przegląd wszystkich domów miasta Płocka dla wykrycia, czy czasem nie jęczy w srogiem więzieniu Hanna z Ciechanowa... Ktokolwiek się dowie o Hannie z Ciechanowa, a nie doniesie natychmiast o tem nam i Wszeborowi, jéj ojcu, tego czeka kara, żadnemi nieodwrócona prośby; a teraz pozostanie nam jeszcze ogłosić wolę naszą, żeby występny i winowajca porwania Hanny ukaranym był śmiercią, co następną stwierdzamy przysięgą.

W tem miejscu wszyscy przytomni powstali i, dobywszy z pochew oręże, głośnemi okrzyki świadczyli się niebem, że wszelkich dołożą starań dla wybawienia Hanny. Łzy radości zakręciły się w oczach Wszebora, kiedy zobaczył, że taki zapał wzbudziła jego sprawa. Twarzy Mieczysława pod przyłbicą nie można było dostrzedz, ale równie, jak inni, dobył miecza i wzniósł go w powietrze; jeden tylko Zbigniew milczał i niewzruszony pozostał na miejscu.

Po przywróceniu milczenia król, wznosząc z pobożnością święty relikwiarz i odebrawszy błogosławieństwo biskupa Stefana: »Przysięgam« — rzekł...

— Nie przysięgaj, ojcze, śmierci własnego syna! — przerwał mu Zbigniew głosem, do pioruna podobnym, i postąpił o kilka kroków, a założywszy ręce na piersi, tak zawołał z uśmiechem pogardy: — Ja Hannę z Ciechanowa porwałem. U mnie, tu, w Płocku, w moim przemieszkuje zamku. A teraz niech kto wystąpi, niech kto poważy się na mnie powstać!

Zamilkł, a czoło jego zajaśniało dumą i ręka, gotowa do boju, spoczęła na rękojeści miecza. Wszyscy w zadziwieniu nieporuszeni stali. Władysław upadł na krzesło i schylił głowę, zleciała z niéj świetna korona i wraz z berłem, przez słabą rękę opuszczonem, runęła aż do stóp tronu. To się wszystko stało w mgnieniu

oka i w téj saméj chwili Mieczysław podniósł przyłbicę i skoczył do Zbigniewa, ale kiedy wściekły rzucał się na wroga, widok konającego prawie króla i stryja wstrzymał go, a szlachetny książe, zapomniawszy o własnéj zemście, pobiegł do Władysława Hermana i starał się go wrócić do zmysłów. Podniósł powoli król polski oczy i, wracając do życia, ujrzał przy sobie Mieczysława, a pamiętny na samo tylko niebezpieczeństwo Zbigniewa, wszystkiemi siłami uchwycił się ręki synowca podobnie, jak tonący rzuconéj liny, w któréj jedyną pokłada nadzieję. Darmo usiłował się wyrwać Mieczysław i musiał, stojąc o kilka kroków od śmiertelnego nieprzyjaciela, patrzeć na jego postać dumną, nie mogąc do niego się posunąć. Widział przed sobą sprawcę wszystkich swoich nieszczęść i uciemiężyciela Hanny i spokojnie przypatrywać się musiał wyrazowi pogardy, który na licach Zbigniewa się odbijał. Czuł mocniéj książe bijące serce, czuł oręż, zawieszony u boku, w każdéj chwili czuł wzrastający gniew na wroga, a nie mógł na niego się rzucić, nie mógł krwią się jego nasycić i wobec wszystkich pomścić się krzywdy i zbrodni, przed wszystkiemi wyznanéj. Władysław Herman tymczasem pozostał w milczeniu i błędny wzrok, pomieszanie duszy oznaczający, rzucał na przytomnych.

Wszebor zaś, klękający u stóp tronu, znów:

— Sprawiedliwości, najjaśniejszy panie, sprawiedliwości się domagam! — zawołał, ale nie słyszał go król Władysław, bo wciąż miał wzrok wlepiony w Zbigniewa. Gniew bowiem i sprawiedliwe oburzenie ustąpiło miłości ojcowskiéj, trwożnéj o syna, otoczonego mnóstwem nieprzyjaciół.

Zbigniew patrzał na wszystkich spokojną twarzą, wzrok jego tylko zdawał się mówić: »Niech się zbliży ten, który śmie mnie wzywać!« Nareszcie obrócił się do ojca:

— Najjaśniejszy panie, oddalam się stąd, bo wszędzie widzę wrogów. Czekam na nich na murach mego zamku. Tam zobaczymy, komu Bóg przeznaczył zwycięstwo. Mieczysławie, tam ze mną będziesz mógł się

spróbować. Wszeborze, nie masz po co wychodzić, bom przysiągł, że nigdy się ciebie nie dotknę, chyba, że chcesz widzieć szlachetny zgon narzeczonego kiedyś twojéj córki. Żegnam was, panowie i rycerze. Kto się chce ze mną rozmówić, niech się pierwéj w dobrą zbroję i miecz niezłomny opatrzy! — To mówiąc, szedł Zbigniew po stopniach, do tronu prowadzących, na szeroką salę.

— On ją uwiódł, on ją hańbą okrył! — zawołał Wszebor.

— Zatrzymajcie go! — krzyknął Mieczysław, darmo usiłujący opuścić rękę królewską.

— Śmierć Zbigniewowi!

— Długie życie księciu Zbigniewowi!

— Nie puszczajcie go!

— Kto go zatrzyma, mnie z tego zda sprawę! — wołało rycerstwo, na dwa podzielone stronnictwa.

Poszedł syn Władysława powolnym krokiem wśród dwóch rzędów rozstępujących się przed nim panów i szlachty.

Miecze dobyte, podniesione sztylety zatrzymywały się w powietrzu za zbliżeniem się jego. Nikt nie śmiał przystąpić, wszyscy, zdziwieni bohaterską męża postawą, w osłupieniu stali, odpowiadając na krzyki to przyjaznym, to pogardliwym uśmiechem. Mając wychodzić, obrócił się raz jeszcze i ujrzał przy sobie pana z Gulczewa.

— Najjaśniejszy książe, w trudnem jesteś położeniu, wszyscy moi ludzie do ciebie należą, jeśli za poniesione koszta odstąpisz mi zamek w....

— Precz mi z taką usłużnością! — krzyknął Zbigniew i odepchnął podłego Skarbimira. Potem raz jeszcze rzucił wzrokiem na całe zgromadzenie, przez chwilę jeszcze patrzał na błyszczące otaczających go oręże, przez chwilę jeszcze przysłuchiwał się ich wrzaskom. Nareszcie: — »Żegnam was — dodał — i zapraszam na biesiadę, gdzie wino krwi strumienie, a potrawy trupy zastąpią«. — Po tych słowach, gardząc długiem usprawiedliwieniem się i oznajmieniem, że Hannę pojął za żonę, wyszedł z radością w sercu,

ciesząc się, że wkrótce z wież swego zamku upokorzy nieprzyjaciół i niecierpliwemu Mieczysławowi śmiercią się odpłaci. Tymczasem wrzawa i największe powstało zamieszanie. Jedni drugich wyzywali. Krzyki nie ustawały, choć już Wszebor i Sieciech prosili o uspokojenie się burzliwéj szlachty. Już nawet dawał się słyszeć szczęk orężów, uderzonych o siebie. Dopiero teraz król Władysław puścił synowca, który natychmiast, roztrącając otaczających, wybiegł z sali i bez zbroi i szyszaka, z mieczem dobytym rzucił się w pogoń za Zbigniewem. Ale Wszebor poszedł za nim i zatrzymał zapał młodzieńczy roztropną radą.

— Książe, gdzie lecisz bez pancerza i hełmu? Zbigniew już zapewnie bezpieczny w swoich murach.

— Prawda! — odparł Mieczysław. — Ach, gdyby nie mój stryj, gdyby nie to ściśnienie ręki konającego prawie brata mego ojca! Ach! ale za to dzisiaj jeszcze oblężemy jego zamek. Władysław da nam posiłki.

— Na własnego syna? — rzekł Wszebor. — Książe, znać, że nie masz jeszcze dzieci.

— To sam bez nikogo rozwalę żelaznym toporem bramę do jego jaskiń, wydrę mu życie z piersi, wydrę z rąk jego Hannę.

— Ale nie bezemnie — odparł Wszebor. — Teraz już pewni jesteśmy. Dotąd nie chciałem się stać wojny domowéj przyczyną, ale kiedy jedyna nadzieja w orężu... Ale wróćmy, mości książę, do króla!

Za wejściem do sali z trudnością im przyszło przecisnąć się przez tłumy rycerstwa. Setne błyszczały miecze i straszne groźby odbijały się o wklęsłe sklepienia.

Szlachta, przeczuwając wojnę, na dwie strony się już przedzieliła. Jedna Zbigniewa wielkość i czyny w tłumnych głosiła wrzaskach, druga z uniesieniem witała Wszebora i księcia Mieczysława. Najwięcéj sędziwych, w bojach wyćwiczonych rycerzy ujmowało się za potomkiem Bolesława Śmiałego i, przypominając głośno dzielność i hojność walecznego ojca, najpochlebniejsze sypało pochwały synowi, kiedy znowu młodzież, lubiąca łupiestwa i gwałty, wynosiła pod nie-

biosa Zbigniewa i bohatyrskie jego męstwo. Z trudnością Sieciech, wojewoda krakowski, mógł podnieść głos wśród téj wrzawy, a dopiero kiedy biskup Stefan zabrał się do mówienia, ucichło zgromadzenie, opadły zbrojne ręce i schylone głowy dowiodły uszanowania dla poważnego sługi Boga.

— Chrześcianie i Polacy, czyż tak dowodzicie uszanowania dla monarchy, zesłanego od niebios? Widzicie go zbladłym, osłabionym na siłach, a ten widok stroskanego ojca przestępstwami syna nie wzrusza zatwardziałych serc waszych. Przestańcie nieprzystojnych krzyków i w milczeniu posłuchajcie woli królewskiéj, bo władza królów daną im jest od Boga, a obrażając władzę najwyższą na ziemi, obrażacie tem samem najwyższą w niebie! Uciszcie się więc, schowajcie oręże, bo nie powinniście ich wydobywać, jak za rozkazem panującego wam króla lub świętego Kościoła!

Te słowa wróciły spokojność i milczenie głuche, milczenie, podobne do cichości niebios przed burzą i rykiem pioruna. Wtenczas odwrócił się Stefan i zbliżył do króla:

— Dokończ — rzekł — zaczętego dzieła i dopełnij świętego przyrzeczenia! Wszebor z Ciechanowa wzywa cię przezemnie, byś rozkazał wojewodzie krakowskiemu, jakeś to dawniéj, miłościwy królu, obiecał, dać mu pomoc w zbrojnych ludziach i rynsztunkach wojennych.

Władysław słabym odpowiedział głosem:

— Róbcie, co chcecie; bierzcie, oddawajcie, walczcie, zawierajcie pokój, ale nie zmuszajcie ojca, by powstawał na kości swoich kości i wnętrzności swoich wnętrzności!

— Królu! — zawołał nieubłagany biskup — przed sprawiedliwością ojca narodu polskiego znika syn własny, a zostaje się zbrodniarz. Nie odrzucaj zesłanego kielicha goryczy! Znieś, jak na chrześcianina przystoi, smutek za karę grzechów swoich! Spełń obowiązek monarchy, a za to zbawienie czeka cię w wieczności! — A widząc, że Władysław Herman niewzruszony zabierał się do odejścia: — Zbawienie — dodał — lub wieczna zguba! Obieraj królu, zaklinam cię na bło-

gosławieństwo nieba i Kościoła, wyratuj duszę, dopóki czas jeszcze! Zbawienie lub piekło!

Te straszne wyrazy przeszyły bojaźnią słabe serce Władysława, przywołał Sieciecha i zaledwie dosłyszanemi wyrzekł wyrazy:

— Wojewodo, weź straż moją, wiesz, co robić, wiesz, rozumiesz mnie; bo nie mogę wymówić tego strasznego rozkazu! Nie zabijaj go, bo zginę!

— Miłościwy panie i królu mój — odparł wzruszony tym widokiem Sieciech — nic mnie nie przymusi do walczenia z twoim synem, dopóki nie wyrzeczesz rozkazu; gotów jestem go nawet bronić, jeśli żądasz. — Ciszéj dodał: — Książę Mieczysław dziś jeszcze legnie pod mojemi ciosy!

— Nie, nie chcę — zawołał przerażony monarcha, — rób, co ci biskup rozkaże!

— Czy-m u ciebie, miłościwy królu i panie mój — odparł Sieciech — czy u biskupa wojewodą krakowskim?

— Sieciechu — zawołał głos cichy — wyznacz godzinę i miejsce, a dzisiaj jeszcze spotkam się z tobą, jeśli zechcesz połączyć się z Wszeborem i dać mi słowo, że, jeśli zginę, nie złożysz oręża, dopóki Hanny nie uwolnisz, bo jéj szczęście nad własne życie przekładam.

Odwrócił się wojewoda i ujrzał za sobą Mieczysława. Szlachetność księcia wzruszyła serce Sieciecha, który, choć dumny bez granic, umiał jednak cenić piękne uczucia i bohaterskie poświęcenie się.

— Temi słowy — odparł — zmieniłeś mnie, książe, zupełnie. Odtąd twoim jestem przyjacielem. Pójdę z tobą dobywać zamku śmiałego Zbigniewa. Ale nie sądź, bym to czynił dla ślepego posłuszeństwa, bo nikogo niema na świecie, któryby przymusił Sieciecha do wydobycia miecza, kiedy go chce mieć w pochwie, lub do schowania, kiedy go chce mieć dobytym, bo chwilę przedtem mówiłem królowi, żem gotów zamordować ciebie! Ale czynię to z własnéj woli, uwielbiając szlachetność i wspaniałość twego serca.

Odpowiedział na te słowa Mieczysław ściśnięciem ręki Sieciecha.

— Zbawienie lub piekło! powtarzam raz jeszcze

i ostatni! — zawołał przekonany Stefan, że jest jego obowiązkiem czuwać nad wykonaniem surowéj sprawiedliwości.

Usłyszawszy tę groźbę, powstał król z trudnością:

— Sieciechu! — zawołał — rozkazujemy ci pomagać we wszystkiem Wszeborowi z Ciechanowa. Panowie, tu zwołani, wierni nasi poddani, tu zgromadzeni, skończyły się nasze obrady.

— Synowcze! — dodał, znów opadając na siłach — oszczędzaj Zbigniewa, przysiąż mi, że...

— Przysięgam, że go zdradą nie zabiję, królu i panie mój! — przerwał syn Bolesława Śmiałego.

— Więcéj żądać nie mogę, niepodobna! — rzekł król konającym głosem. — Ojcze niebieski, daruj Zbigniewowi, daj mu długie życie dla upamiętania się i odpokutowania za grzechy! Boże, widziałeś moje poświęcenia dla Ciebie! Nie karz nieszczęśliwego zgonem syna!

ROZDZIAŁ VII.

Bezpieczni tarczą hasła: »Zginę lub zwyciężę«,
Na żelazie oparci spoczywają mężе.
Noc cichość na uspioną rozlała naturę,
Mnie tylko sen wspomnienie przerywa ponure.

Tymowski: Dumanie żołnierza polskiego w Hiszpanii.

Przywilejem, pisarzom powieści właściwym, musimy znów zmienić scenę naszych działań i z sali naradnéj przenieść się do zamku Zbigniewa, który teraz wcale inszy wystawiał widok od tego, w którym go pierwszy raz przedstawiliśmy czytelnikom naszym; napełniały go bowiem hufce zbrojne, składające straż i wojsko Zbigniewa, które ściągnął z rozmaitych swoich zamków i włości. Gotowy zawsze do napaści lub odporu, ciągle utrzymywał po swoich dobrach żołnierzy, poświęconych sobie. Męstwo dzikie, najczęściéj przechodzące w okrucieństwo i przywiązanie do wodza jedynemi ich przymiotami były. Zresztą chęć grabieży i łupiestwa wszystkie u nich tamowała uczucia. Zbrodnia jakakolwiek dla takich ludzi małą była rzeczą, pożary i mordy najpiękniejszym widokiem, a przyszłe nieszczęścia i klęski najmilszą nadzieją. Umiał ich trzymać w porządku Zbigniew i do woli mógł rozpuszczać lub skracać ich namiętności.

Tak wielkiéj nad niemi nabył przewagi, że na głos jego drżeli, że na skinienie ręki uciszali tłumne gwary i, z uszanowaniem słuchając woli księcia, schylali głowy, które wkrótce wśród bojów podnieść mieli. Przy pomocy Mestwina urządzał ich teraz Zbigniew, rozstawiał po murach i wieżach. Każdemu obiecywał nagrodę,

zachęcał do waleczności i groził karą w przypadku nieposłuszeństwa. Wszyscy, należycie uzbrojeni w pałasze, łuki, tarcze i topory, z jednakowemi szyszakami i pancerzami, stanęli na swoich miejscach niewzruszeni, czekając chwili, w któréj zabrzmi trąba, wzywająca ich do walki, a w każdego oku znać było pragnienie krwi i mordów.

Gierda, już nam znajomy, wielkie miał między niemi znaczenie i największą łaskę u księcia, bo serce jego nigdy nie zadrżało przed nikim, bo ręka jego nigdy się jeszcze nie cofnęła, kiedy szło o wykonanie zabójstwa. Przechadzał się teraz szerokim krokiem po murze i patrzał na nadciągnienie wojska nieprzyjaciół.

Długim snuły się rzędem bitne Sieciecha szeregi, z pośród których wznosiła się chorągiew królewska. Daléj Wszebor z swojemi postępował ludźmi, a obok niego na białym koniu, w błyszczącéj zbroi odbitemi słońca zachodzącego promieniami jechał książę Mieczysław. W mgnieniu oka podnosiły się na polu namioty dla żołnierzy i wodzów. Obszerna bowiem równina otaczała z jednéj strony zamek Zbigniewa, z drugiéj płynęła Wisła. Kilka chat, rozsypanych po polu, należało jeszcze do Płocka, którego najładniejsze ulice otaczały zamek królewski i katedralny kościół, znacznie oddalony od zamku, ku którego oblężeniu zabierały się teraz liczne nieprzyjaciół roty. Na samym końcu przybył Skarbimir z Gulczewa z wielkim orszakiem, dowodzącym uzbrojeniem i ubiorem skąpstwo pana, wielu bowiem z jego ludzi nie miało nawet pancerzy, a jeden tylko Bardan nosił stalowy szyszak, wszyscy inni skórzane mieli czapki. Skarbimir nie myślał sam dowodzić swoim ludziom, bo jego ręka, skora do liczenia pieniędzy, niezdatną była do oręża, kazał jednak wystawić swój namiot przy namiotach Wszebora, Sieciecha i księcia Mieczysława.

Tymczasem Zbigniew, ukończywszy swoje rozporządzenie i przewidując, że dopiero nazajutrz rozpocznie się walka, wyszedł na wysoką wieżę, z któréj w milczeniu poglądał na obóz, rozwijający się przed oczyma. Pod jego stopami wszystko już ucichło, rozstawieni po

basztach żołnierze z bronią w ręku czekali spokojnie na hasła do bitwy, tylko czasami słyszany był turkot wozów, obładowanych żywnością, które, przez Mestwina sprowadzone z miasta, gromadziły się przed spichrzem i piwnicami księcia, ale wkrótce i ten łoskot się uciszył.

Namioty zaczynały już mieszać się w zmroku, chorągwie i znaki, na nich zatknięte, w różnofarbnych powiewały fałdach, nad wszystkiemi wznosił się sztandar Mieczysława z książęcą koroną, niżéj trochę widziano znany topór Sieciecha. Krzyki i gwar żołnierzy, niesiony na skrzydłach zrywającéj się burzy, dochodził do uszu Zbigniewa, jak gdyby wyzwanie do boju. Co chwila przesuwały się na równinie trudne już do rozeznania to męże, to konie, tam błyszczała kopia przy obozowem ognisku, tu znów stalowa migała się tarcza. Wodzowie dawali rozkazy do jutrzejszéj walki i powoli jeden za drugim do swego wchodził namiotu, a podczas tego giermkowie, siedząc na murawie, czyścili przy ogniu zbroje i oręże swoich panów; można było uważać, jak stopniowo strudzeni, schylając głowy na piersi, z początku chcieli walczyć ze snem, na powiekach ciężącym, po chwili znów zabierali się do pracy, ale zwolna z ich ręki wypadał świetny hełm lub ciężki pałasz, patrzeli jeszcze przez niejakiś czas niewzruszeni na broń leżącą, a potem, sami przy niéj rozciągnięci na ziemi, zapominali o bojach i powinności; niektórzy jednak, nie opuszczając swojéj roboty, układali w porządku rycerzy swoich zbroje. Przy końcu zaś obozu, przy każdym wodza namiocie, stały czujne czaty, a krzyk przeciągły, którym dowodzili pilności, jeden już teraz przerywał milczenie.

Ten krzyk mięszał się do świstu coraz bardziéj wzrastającego wichru. Czarne chmury pozazdrościły ziemi srebrzystego światła księżyca i zasępiły niebo. Smutna i zbrodni sprzyjająca ciemność pochłonęła cały obóz. Gasnące tylko ogniska, czasem za przelatującym wiatrem, znów w czerwonawych płomieniach wzbijały się w górę, oświecając poblizkie namioty, ale wkrótce już konające, ostatnim promieniem żegnały się ze zbrojami,

leżącemi naokoło, i krwawem je oblewały światłem, jak gdyby przepowiednią mordów i rzezi, nastąpić mających.

Poglądał na to Zbigniew z spokojnem sercem, bo, zaufany w własne męstwo i dzielność nieraz doświadczonych towarzyszy, żadnego nie obawiał się niebezpieczeństwa. Ale kiedy wspomniał na ojca, srogie uczuł boleści; przekonał się bowiem, o ile Władysław go kochał. Myśl, że może w téj chwili w srogiéj niespokojności gorzkie łzy leje, rozrzewniła syna i książe usiadł na szerokim kamieniu, pogrążony w zadumaniu i smutku. Dosyć długo pozostał niewzruszony sam z swojemi myślami. A tymczasem burza wzmagała się coraz więcéj.

Wiatr, dotąd czasami tylko wiejący, przybrał siły i, wznosząc się ponad dumne wieże, wirem swoim porywał liście i kurzawę. Ogromne chmury, na jego skrzydłach przyniesione, z hukiem ścierać się zaczęły, a blade błyskawice chwilowo ziemię oświecały. To wzburzenie przyrodzenia, ten zamęt zgadzał się z burzą serca Zbigniewa. Z pewnym rodzajem uniesienia i przyjemności przypatrywał się temu obrazowi.

Ciemność, go otaczająca, świsty wiatru, przedzierającego się przez puste zamku korytarze, huk odległego piorunu, przejmowały jego duszę to smutkiem, to wzniosłym zapałem. Wyobrażał sobie, że sam na téj ziemi walczy z siłami natury i nie ulega ich zapędom, wszystko przezwyciężającym.

Z okiem, w niebo wlepionem, z założonemi na piersiach rękoma urągał się z usiłowań wichru, wstrząsającego murami, na których dumnie, jak gdyby pan przyrodzenia, przypatrywał się jego niemocy. Śmiało myślał, wyzywał wszystkie świata siły i, gdyby w téj chwili ozwała się trąba anioła ostatniego sądu, zapewnieby jego serce nie zadrżało. Ale nareście słodsze uczucia zstąpiły w jego duszę, miłość potężnym ozwała się głosem, a obraz Hanny, któréj nie odwiedził jeszcze od swego powrotu, całkiem umysł mu zajął. Obrócił się więc, chcąc iść do ukochanéj żony, ale wtem ujrzał stojącego za sobą męża wysokiéj postawy; nie mógł go z początku rozeznać i silnie zapytał się:

— Kto jesteś? czego chcesz?

— Dziwno, żeś mnie nie poznał, mości książe! — odparł Mestwin ze zwyczajnym uśmiechem. — Głębokoś musiał dumać, kiedyś o kilka kroków nie mógł rozeznać przyjaciela.

— Prawda, żem głęboko dumał i nie myślałem, że przyjdziesz śledzić moje kroki i najskrytsze duszy uczucia.

— Im to częściéj czynię — odparł rycerz niemiecki — tem lepiéj uczę się poznawać ludzi, a trzeba mi ich znać, trzeba mi umieć odkrywać najmniejsze wzruszenia i serca zakątki, żeby wiedzieć, komu rękę mam podać, a kogo odrzucić; ale pomimo nabytego w tem doświadczenia darmo starałem się domyślić przyczyny, która przynagliła ciebie do odkrycia ojcu i wszystkim tego, co najbardziéj przed kilkoma dniami chciałeś mieć ukrytem.

— Kiedym cię przyjmował do służby mojéj, nie pamiętam, rycerzu, żeby zaszła jaka między nami ugoda odkrywania uczuć serca. Tyś tylko przyobiecał mi być wiernym i dopomagać orężem i radą, ja zaś łask ci moich i względów nie odmówiłem.

— Zapewnie, dobrą masz pamięć, panie — odparł urażony Mestwin — ale nie przypominam sobie, żebym się obowiązał na twoje skinienie porywać dziewicę, zabijać rycerzy; miałem cię tylko w boju bronić, a w domu wypełniać nie zbrodnie, ale rozkazy, zgadzające się z chrześciańskiem sumieniem — a tu głośno się rozśmiał — nie wynajdować coraz nowsze zdrady, ale wiernie i cnotliwie rozrządzać twoją strażą i majątkiem.

— Za śmiało często nam odpowiadasz, rycerzu, a chociaż dobrze ci w pamięci stoją warunki naszéj ugody, zdaje się, żeś zapomniał, z kim ją zawarłeś.

— Z tym — przerwał żywo Mestwin — któremu poświęciłem się z duszą i ciałem, dla którego naraziłem nieraz i sławę i życie, któremu dotąd wiernym byłem, jak przyjaciel przyjacielowi, z tym, który zawsze wspomina o swoich zaszczytach, a nigdy o moich usługach, który sprowadza na siebie nieszczęścia, nie słuchając dobréj rady, a potém gniewem odstręcza najprzywiązańszego do siebie człowieka. Jeśli tak daléj będzie, łatwo mi przyjdzie osiodłać konia i opuścić zamek księcia Zbigniewa.

— Mestwinie, przebacz, drogi przyjacielu, bo teraz tyle ciosów ugodziło w moje serce!

— Mogłeś ich uniknąć....

— Nie chciałem i nie potrzebowałem ich unikać — odparł dumnie Zbigniew. — Z początku sądziłem, że Mieczysław i Wszebor po daremnéj wyprawie uspokoją się, a wtenczas zaczekałbym z ogłoszeniem mojego ślubu dogodniejszéj pory; ale kiedy ujrzałem wszystkich oczy zwrócone na mnie, kiedy się przekonałem, że domysły, wkrótce w rzeczywistość mogące się zamienić, mnie za sprawcę tego czynu ogłaszały, postanowiłem, przyznając się do niego, upokorzyć nieprzyjaciół, którzyby za kilka dni powiedzieli, żem ich się przeląkł, a wolałbym śmierć i wieczną zagubę od hańby. Ja, który tyle razy mieczem sobie drogę wśród wrogów torowałem, ja, który na trupach pośród rzezi z spokojną twarzą na zgon szlachetny czekałem, ja teraz, jak słabe dziecko, miałem przerazić się widokiem kilku panów radnych i zgrzybiałego biskupa! Daleki od tego, ogłosiłem, żem porwał Hannę, o ślubie nie wspominałem i słowa, bo pierwéj chcę ich pobić i zwyciężyć i po ich ciałach zawieść moją żonę do ojcowskiego zamku. Niech poznają szablę Zbigniewa, niech zadrżą nikczemnicy przed tym, na którego śmieli wznieść krzyki i obelżywe słowa! Tak osiągnąłem cel życzeń i przyśpieszyłem szczęście moje. Nie przeciągiem czasu i trwożliwem zwlekaniem, ale mieczem poniżę ich dumę, a depcąc po hardych karkach, pokażę światu i męstwo moje i wyższość moją. Takie powody nakłaniały mnie do nieroztropnego napozór czynu. Ani słowa więcéj, Mestwinie, bo nie cofniesz tego, co się stało, ani przekonasz Zbigniewa, że lepiéj było w nędznem milczeniu i poniżającéj spokojności tajnemi drogi pracować nad zwycięstwem, niż śród szczęku broni i srogich bojów nabywać chwały, równać się z sławą z dzielnemi naddziady. Cała moja nadzieja spoczywa w téj szabli, a jeśli jeszcze wyrok niebios nie padł na moją głowę, zabłyśnie ona i zdruzgocze wrogów. Zostaw mnie, idę do Hanny, po długich dnia tego trudach potrzeba mi szukać osłody w jéj miłości!

— A ja tu się zostanę, bo mogę stąd śledzić wszystkie ich obroty; może dzisiaj w nocy zechcą nas napaść.

— Zaręczam ci, że nie, bo choć szalony Mieczysław, bitny Sieciech, roztropny Wszebor i hojny Skarbimir zagrażają mi swoją nienawiścią, nie sądzę, by chcieli w nocy tak ciemnéj odważać się na niepewne spotkanie; możesz pójść do swojéj komnaty.

— Nie, zostanę się tutaj; lubię czasem patrzyć na noc pochmurną i, słysząc ryk burzy, przyzwyczajać mój umysł do piekła, które, podług świętéj naszéj wiary, zapewnie kiedyś prawo do mnie rościć będzie.

— Jeśli tak — rzekł Zbigniew — to nie przeszkadzam — i poszedł do żony.

Hanna z Ciechanowa przez cały dzień nie widziała męża, a jednak dowiedziała się przez Katarzynę, córkę Gierdy, która zwyczajnie dnie całe z nią przepędzała i, starając się przerwać smutek pani, usłyszane powtarzała wieści, o wypadkach dnia tego; wielu bowiem rycerzy, przytomnych na zgromadzeniu w sali tronowéj, przybyło do zamku Zbigniewa i bronić go przysięgło, od nich więc słyszała Katarzyna wszystkie szczegóły i śpiesznie opowiedziała je Hannie sądząc, że jéj tym sposobem przyjemność uczyni, a w rzeczy saméj pogrążyło to córkę Wszebora w smutek najgłębszy. Gniew ojca, rozpacz Mieczysława, boje, mające się zacząć, niebezpieczeństwa, na które wystawił się Zbigniew, wszystko to razem stanęło jéj na myśli, a w tem wszystkiem jedyną tylko widziała przyczynę, to jest siebie i zawsze siebie; ale kiedy Zbigniew, wróciwszy ze zgromadzenia, nie przyszedł ją zwyczajem swoim powitać, kiedy upłynęły liczne godziny, a mąż się nie ukazał, w najsroższéj męce martwa i zbladła, klęcząc w kaplicy, błagała niebios o przebaczenie winy i odwrócenie klęski. Katarzyna, widząc smutek pani, opowiadała wszystkie przygotowania do odporu, powtarzała słowa ojca i, znów wracając do zgromadzenia, mówiła, że książę Zbigniew uniknął grożącéj śmierci, stawiając nieugięte męstwo i niewzruszoną spokojność przeciw wściekłości wrogów; nareście zakończyła dowodząc, że wszystko to jest rzetelną prawdą, słyszaną od kilku rycerzy, a osobliwie od

Henryka, giermka księcia Mieczysława, z którym się widziała chwilą przed rozkazem, danym od Zbigniewa, zawarcia bramy zamkowéj. Wśród takich rozmów i ciągłego oczekiwania przepędziła Hanna z Ciechanowa dzień cały, aż wieczór nie nadszedł; słyszała słabo do niéj dochodzące krzyki żołnierzy, słyszała oddalone kroki, raz zbliżające się, znów oddalające się od jéj ukrytych komnat. Za każdem poruszeniem usłyszanem biło jéj serce żywiéj, bo miała nadzieję, że to może Zbigniew przybywa, a choć tysiąc razy omylona, zawsze wpadała w błąd ten sam i nadzieję tęż samą.

Nareście, kiedy już noc ciemna zastąpiła jasność dnia świetnego i kiedy zabłysła lampa wieczorna, poznała zdaleka jeszcze Hanna kroki męża i, drżąca zarazem i uniesiona radością, poszła naprzeciw niemu i rzuciła się w objęcia Zbigniewa. Przez chwilę zapomnieli o wszystkiem i prawdziwe szczęście zstąpiło w ich serca i, choć tak krótko trwałe, nagrodziło za długie cierpienia i smutki.

— Zbigniewie, czyż prawda, com słyszała? Książe Mieczysław i mój ojciec oblegają ten zamek?

— I cóż z tego — odparł Zbigniew — kiedy czuwam nad tobą i tysiąc wiernych mi mieczy tych murów bronią?

— Ale, mężu mój, oni Polacy, a ja córka Wszebora...

— Tyś żona Zbigniewa — przerwał książę z zapałem — a przed tem imieniem wszystko upada i niknie; przysiągłem ci wiarę, dochowam ją do grobu i dla ciebie teraz będę walczył i zwyciężał.

— Ale, Zbigniewie, jakaż chęć ich uniosła, jakiż dziki zapał, że, dowiedziawszy się z twoich ust, żeś mnie pojął za żonę, chcą mnie wyrwać z rąk męża? Czyż nie wierzą twojemu słowu?

— Któż ci mówił, że wiedzą, żeś moją żoną? Nie, Zbigniew nie myślał usprawiedliwiać się przed niemi, niegodnem to jego było; nie żebrząc przebaczenia, ale nakładając warunki, zwycięstwem nauczę ich mojéj woli, pokażę, com uczynił, kiedy u nóg moich schyleni prosić będą o pokój, wezmę cię za rękę i całéj Polszcze ukażę. Ale przedtem nikt się nie dowie, że Hanna z Ciechanowa

zawarła ze mną małżeńskie śluby. Niech się wysilają, niech padają pod wieżami mego zamku, a kiedy, z potężnego wojska w małą przemienieni garstkę, poznają własną słabość, wtenczas się dowiedzą, że próżne były ich zabiegi, że darmo poświęcali życie na wyrwanie z rąk moich uwiedzionéj, jak mówią, dziewicy! Widzę już ich żal i rozpacz, patrzę już na ich zbladłe i posępne twarze. Poznacie, co to jest targnąć się na Zbigniewa!

Podczas téj mowy Hanna niewzruszona stała, z początku kilka łez spłynęło po anielskich licach, ale przy końcu nabrała więcéj siły i rzekła do męża:

— Niech wola Boża dzieje się na ziemi, odbieram karę grzechów i nieposłuszeństwa! Człowiek, któremu poświęciłam wszystko, mnie zhańbił; kiedy jednem słowem mógł swoją i żony sławę ocalić, wolał jednak, uwiedziony widokiem niepewnéj i niegodnéj chrześcianina zemsty, pokryć żałobą i goryczą życie swojéj Hanny. Ale przebaczam ci, Zbigniewie — dodała głosem rozrzewnienia, a w jéj oczach ogień niebieski zajaśniał — przebaczam ci i korzę się przed wolą Boga!

Zmarszczył brwi książę i pozostał niewzruszony na miejscu. Ale po chwili rzekła Hanna:

— Choć niesława jest najgorszą życia trucizną, zniosłabym ją dla ciebie, gdyby mój ojciec nie myślał, że jego córka mogła opuścić cnotę i zostać kochanką księcia Zbigniewa.

— Moja miła — zawołał Zbigniew z nadzwyczajnym zapałem — wszystkobyś poświęciła dla mnie, znam twoją miłość, wiem, że, gdybym był chciał, zapomniałabyś o ojcu, rzucając się w objęcia miłości. Nie zapieraj się, Hanno! Wszystkobyś uczyniła dla Zbigniewa, oddawna poznałem, że moje słowa, że twarz moja pociąg mają zwodniczy; ileż to dziewic nadobnych cnotę dla mnie porzuciło, ileż to razy jednem słowem, jedynem spojrzeniem pokonałem wyrzuty sumienia i przyciągnąłem niewinność na bijące me serce! Tak, Hanno, łatwoby mi przyszło uwieść ciebie i twą cnotę w zbrodnię zamienić, a teraz śmiej mi wyrzucać, żem cię zhańbił, zniesławił, kiedy, mogąc cię rzucić w przepaść, a sam

zostać się u brzegu, wolałem losy nasze połączyć! Kiedym tyle dla ciebie uczynił, możesz pozwolić, byś, przez kilka dni pogrążona w ciemności, wyszła z niéj świetniejszą otoczona sławą męża. Hanno droga, Hanno! wyrzuty twoje niesprawiedliwemi były.

— Nie chcę już wspominać, Zbigniewie — odparła. — Wyznawam ci szczerze, że dziwnemi dowodami nie przekonałeś mego rozumu, ale jedno twoje słowo już uspokoiło me serce, a choć ojciec może teraz córkę przeklina, ona, dochowując przysięgi, ciebie kochać i tobie się poświęcać będzie.

— Porzuć więc smutki, żono moja, rozjaśnij czoło, przeznaczone do radości, wstrzymaj łzy, któreby nigdy z twoich oczu płynąć nie powinny! Wkrótce piękniejsze zabłysną nam chwile, chwała moim stanie się udziałem, a wśród całéj Lechii jeden tylko bohater wzniesie swoją głowę nad zgromionemi wrogami.

ROZDZIAŁ VIII.

Już w czystych błoniach tej nowej Farsali
Stanęły szyki braterskie,
Gotowe sobie ostrzem krwawéj stali
Zadawać ciosy morderskie.

Śpiewy Historyczne.

Za pierwszem ukazaniem się wschodzącego słońca na niebie, złotemi obsypanem chmurami, dał się słyszeć głos księcia Mieczysława, zwołujący do broni wiernych towarzyszów. W jaśniejącéj zbroi obiegał na koniu hufce zbrojnych, zachęcając wszystkich i nagląc z całym zapałem młodego wieku i wrzących namiętności, przyśpieszał uzbrojenie żołnierzy i dawał rozkazy. To z Sieciechem, to z Wszeborem rozmawiał.

— Do broni, Bardanie — krzyknął, widząc ociągającego się zastępcę Skarbimira — do broni! Jeśli twój pan niezdatny do bitwy, ty przynajmniéj popraw jego sławę! Wojewodo krakowski, każ swoim ludziom się uszykować! Wszeborze, panie Ciechanowa, niech kilku twoich żołnierzy przysposobi drabiny do murów, bo, na Boga, zdobędziemy jego zamek, odbierzemy Hannę! Bardanie, cóż to się znaczy? czy twoi żołnierze zwyczajni walczyć w czapkach? czyż ich głowy tak twarde, że zdolne stal i żelazo zastąpić?

— Najjaśniejszy książe — odparł Bardan, — pan nasz, Skarbimir z Gulczewa, dowódzcą mnie mianował, mówiąc: »Słuchaj, Bardanie, jeśli dobrze się sprawisz, to ci nową dam zbroję, choć taki jestem ubogi, bo mi Pan Bóg odmówił dostatków!«

— Dajże pokój! — przerwał Mieczysław — ale nim pan twój da ci nową zbroję, możesz tysiąc razy zginąć w tym dziurawym pancerzu i pogiętym szyszaku. Pójdź do mojego giermka Henryka, da ci całkowitą zbroję, pamiętaj tylko odważnie się potykać!

Schylił się prawie do ziemi Bardan, dziękując księciu. Mieczysław go opuścił i wrócił do Sieciecha, szykującego swoich ludzi z Wszeborem.

— Zwyciężemy, panie wojewodo — zawołał — bo Bóg zawsze dobréj błogosławi sprawie. Coś mi powiada w głębi duszy, że jeszcze dzisiaj ten zamek przed nami bramy otworzy.

— Wątpię o tem — odpowiedział Sieciech, głaszcząc sobie brodę — bo choć Zbigniew jest zdrajcą, mordercą, słowem zbrodniarzem, nie słabe serce bije mu pod zbroją, a potem ta brama wytrzyma mnogie razy, te mury oprą się taranom. Tylu zbrojnych stoi po wałach i basztach, a w każdego ręku łuk spostrzegam i sądzę, że każdego oko niemylne wysyła ciosy. Mestwin także zna się na sztuce wojennej, a nadewszystko nasz główny nieprzyjaciel, książe Zbigniew, dzielnie walczył w licznych potyczkach. Nie jedno on już widział oblężenie, nieraz już i bronił i dobywał zamków. Niechże więc próżna cię nie łudzi nadzieja! Dzisiaj, ani jutro, ani w tym tygodniu nie zdobędziemy tej warowni, jednak spodziewam się, że z przeciągiem czasu, za pomocą wytrwałości i męstwa, dostaniemy się do tych dumnych wież i przełamiemy te wysokie mury.

— Wszystkiego dokazać można z szablą w ręku — przerwał z żywością Mieczysław.

— Prawda, że wszystkiego — odpowiedział wojewoda — dlatego Zbigniew nie tak prędko się nam podda. Zapewnie, Wszeborze, jednego ze mną jesteś zdania?

— Boli mnie — rzekł, podnosząc głowę, Wszebor głosem głębokiego smutku — że dla mojéj córki tylu synów jednéj ojczyzny walczyć będzie, że tylu poczciwych ludzi krew popłynie. Dopóki mogłem, starałem się uniknąć wojny domowéj, ale świadczę się Bogiem,

że okoliczności zmusiły mnie do wzniesienia oręża na syna mego króla, do przynaglenia mego monarchy, żeby, oddając mi sprawiedliwość, najświętsze, najmilsze wyrugował z serca uczucia. Nie możecie pojąć, jak to mnie martwi. Spędziwszy długie lata w usłudze ojczyzny, nauczyłem się walczyć z Rusinem, to z dzikim Prusakiem, to z nieuległym Czechem, ale trudno mi teraz przychodzi, osłabłemu i styranemu pracą i wiekiem, dobywać miecza na Polaków i braci. Wolałbym upadek domu mego, zniszczenie majątków, śmierć samą. Ale córki opuścić nie mogę, sława jej droższą mi jest nad wszystko. Trzeba się potykać z niemi, ale matki i siostry moich przeciwników na moim grobie łzy nie uronią, owszem, będą miały prawo powiedzieć: »On zabił swoich braci«.

— Nie troszcz się o to, panie Ciechanowa! — krzyknął Sieciech. — Owszem, lepiéj, kiedy czasem wojsko sobie wojnę przypomni, bo w ciągłéj spokojności drętwieje i staje się podobnem do sokoła, któremu strzelec za długo oczy kapturem zakrywa. Wierz mnie, takie cząstkowe walki przynoszą pewną korzyść dla kraju; żołnierze, szlachta, rycerze, nawykają do miecza i sposobniejszymi się stają do odparcia zewnętrznych nieprzyjaciół, a potem szczerze ci wyznam, żem niezmiernie rad tej wojnie, czyli raczej temu oblężeniu, bo już moi ludzie gnuśnieć zaczynali. Teraz mają co robić i daj Boże ci za to zdrowie, panie Ciechanowa! — dodał Sieciech z uśmiechem, ściskając rękę smutnego starca. — Jaroszu z Kalinowy! — po chwili zawołał do człowieka wysokiego wzrostu i twarzy, napiętnowanéj szczerości wyrazem, stojącego przed szeregami — kiedy zaczniemy oblężenie, pamiętaj zawsze i ciągle ich napadać z lewéj strony, blizko kaplicy przy brzegu Wisły, bo tam najsłabsza ich strona; spraw się dobrze, nie zważając na nic, z szablą w ręku naprzód się posuwaj, za tobą pójdą inni, a zawsze wołajcie: »Król! Mieczysław! i Wszebor!« — jeśli zaś czasem moje będziesz mógł wsunąć imię, krzyknij i »Sieciech!«

— Na Boga, wodzu mój — odparł Jarosz — będę

całemi piersiami krzyczał i całemi siłami rąbał pałaszem! Ale wolałbym na otwartem potykać się polu, bo w tych przeklętych murach nie można dostrzedz wroga. Świśnie strzała z ręki, ukrytéj za kamieniem, i już po człowieku; najlepiéj, kiedy widzę przeciwnika: przez chwilę oko w oko spozieramy na siebie, a potem do oręża, tak to najlepiej, ale te baszty, niech je Pan Bóg piorunem zrzuci! Wypełnię zresztą twoje rozkazy i zobaczę, ile tych sów na nas z poza murów patrzących dziś poszlę na cmętarz.

— Prawda — rzekł po chwili, jak gdyby zamyślony, Sieciech — prawda, nie myślą wyjść na pole, niewzruszeni stoją zakryci warowniami, głowy im tylko wystają. W każdéj strzelnicy dostrzegam łuk napięty i strzałę. Książe Mieczysławie, ginąć będziemy pod ich ciosami, kiedy tymczasem oni bezpieczni w żart nasze usiłowania obrócą. Na Boga! sądziłem, że za naszem zbliżeniem się nie wytrzyma Zbigniew, że wypadnie na pole zetrzeć się z nami, ale ten szatan niemiecki musiał tak roztropnie obronę urządzić. Wszeborze! książe! trzeba nam szyk zmienić! Ale co widzę, zbliża się do nas Skarbimir, bogaty i hojny właściciel Gulczewa. Zobaczycie, jak z niego zażartuję! Wszeborze, trzeba się trochę pocieszyć; książe, nic lepszego przed bitwą, nad żarty i śmiechy!

Po tych słowach zbliżył się do starego skąpca i tak silnie ścisnął go za rękę, że wyraz boleści skrzywił usta Skarbimira.

— Najbogatszy z Polaków, najhojniejszy z panów, mam nadzieję, że nam dasz dzisiaj waleczności dowody. Dobrześ obeznany z kopią i mieczem, sztyletem i toporem, jak to głoszą wszystkie narody, z któremiś kiedykolwiek walczył, a choć lubisz trochę rabunek i zdobycz, zawsze ci to przepuszczają przez wzgląd na nieugięte męstwo. Dzisiaj spodziewamy się, że dopomożesz nam dzielnie; cała nadzieja nasza jest w twoich skarbach i w twojej prawicy.

Poznał chytry Skarbimir zamiar wojownika, a oczy jego zaiskrzyły się wściekłością, bojaźń wkrótce potem jéj miejsce zajęła, kiedy o skarbach swoich usłyszał,

a wreście przytłumił gniew wewnętrzny i ze zwykłą uniżonością odpowiedział:

— Jakżeżbym chciał, żeby twoje słowa prawdą były, potężny wojewody krakowski! Zapewniebym wtenczas wszystkie dostatki poświęcił tak świętéj sprawie i na nieszczęście, a może i na szczęście, bo często bogactwa cnotę w zapomnienie podają, ubogi jestem, najuboższy ze wszystkich panów, a nazbierane pieniądze z łaski boskiéj obracam na kościoły i ubogich, odmawiam sobie wszystkiego dla dawania jałmużny; co tylko mogłem uczynić, już dla was uczyniłem. Ludzi moich tu przywiódłem, sam się stawiłem; choć nie mniemam, abym mógł wam wiele dopomódz własną osobą. Wiek i choroby wycięczyły ostatek sił w mojem ciele.

— Ale gdzież tam, Skarbimirze — przerwał mu Sieciech — wyglądasz na młodego rycerza. Przy moim boku dzisiaj się bić będziesz, zobaczemy, kto z nas dzielniejszy, choć zawsze gotów jestem ustępować przed wsławionemi bohaterami. Więc zgoda, będziesz, panie Gulczewa, dziś walczyć przy mnie.

Nie mógł odmówić przerażony Skarbimir bez wystawienia się na największą hańbę. Z ściśnionem więc sercem, z bladością na licach, przystał na żądanie wojewody, obiecując mu za to w duszy skrytą i nieubłaganą zemstę.

— Zdaje mi się — zawołał Mieczysław, litując się nad starcem — że nie można tego wymagać od podskarbnika mego stryja i króla, kiedy chory, osłabły, znużony...

— Choćby z łoża śmierci — krzyknął Sieciech — prawy rycerz powstać powinien, kiedy go król lub przyjaciele wzywają! Więc naprzód, Skarbimierze, dzielnie się potykaj, bo jeśli mi zechcesz uciekać — dodał po cichu, schylając się do ucha człowieka, którym pogardzał — sam ci pierwszy tym toporem głowę rozwalę! Jaroszu, stawaj na czele swojego oddziału! Wszeborze, wypada ci się oddalić do swoich ludzi. Książe Mieczysław niech będzie łaskaw to samo uczynić! Pan Gulczewa i Kościelca i kościoła, tam wystawionego, z nami się zostanie!

— Ale jakiż to hufiec do nas się zbliża od strony miasta? — zawołał Mieczysław, który sokolim wzrokiem dostrzegł zdaleka na polu błyskanie stali i tuman kurzu.

— Może przyjaciele, może nieprzyjaciele — odpowiedział spokojnie Sieciech. — Na wszelki przypadek, stójcie w pogotowiu żołnierze, dobądźcie mieczy z pochew, strzał z kołczanów! Zdaje mi się, że niewielki orszak. Niech mi tylko kto powie, kto to jest? — zawołaj głośniéj — czy nikt lepszych oczu nie ma od nas?

— Może król — rzekł Wszebor — przybywa przerywać boje.

— Do szatana z taką myślą! — krzyknął wojewoda. — Gdybym był tego pewny, natychmiast szturmbym rozpoczął.

— To biskup Stefan! — zawołał młodzieniec w lekkiéj zbroi i świetnym hełmie.

— Mylisz się, Henryku — przerwał książę Mieczysław.

— Książe i panie mój, jakem wierny tobie, tak prawdą jest, że się biskup płocki do nas zbliża; widzę przed nim jadącego kapłana z krzyżem świętym, z tyłu zaś straż jego przyboczną. Powtarzam, że to biskup Stefan.

— Chwała niech będzie Tobie, o Boże! — rzekł Wszebor — możeś go natchnął, może przeszkodzi wojnie z Polakami!

— Żeby go Bóg był zabrał do chwały swojéj — rzekł Sieciech do Jarosza — nim taka myśl wpadła mu do głowy!

Po kilku chwilach wszyscy się przekonali, że giermek księcia Mieczysława miał prawdę, bo za zbliżeniem się orszaku doskonale już można było rozeznać sędziwego Stefana, jadącego na spokojnym koniu, księdza, niosącego przed nim krucyfiks, i rycerzy, za nim w świetnych zbrojach postępujących, bo było zwyczajem w tych wiekach duchownych osób wysokiego dostojeństwa, żeby trzymali przy sobie ludzi zbrojnych i rycerzy. Ten widok różne sprawił wrażenie na róż-

nych umysłach. Mieczysław z niecierpliwością czekał przybycia leniwo jadącego biskupa, a nawet wyraz nieukontentowania malował się na jego twarzy; bo choć kochał ojczyznę i ze smutkiem patrzał na klęski, ją rozdzierające, pragnął nadewszystko walki i wyrwania z rąk wroga narzeczonéj.

Sieciech, lubiący rozlew krwi i boje, zmarszczył brwi, domyślając się, że Stefan przychodzi z warunkami pokoju, bo uparty wojewoda i dumny z przyrodzenia nie cierpiał, by się kto mieszając w jego sprawy, przeszkadzał dokończeniu rozpoczętego dzieła, a wreście sława, którą sobie obiecywał z pokonania Zbigniewa, droższą mu była nad wszystkie korzyści kraju i współobywateli. Wszebor, poświęcając własne pożytki szczęściu ojczyzny, miał nadzieję, że biskup spór załagodzi, oddalając wojnę domową. Skarbimir cieszył się także, ale dla podlejszych powodów; myślał, że może potrafi uniknąć walki, w której miał przed sobą dwie równie przykre ostateczności: strzały żołnierzy Zbigniewa lub topór Sieciecha, gdyż wiedział, że wojewoda krakowski zwykł był podobnych dotrzymywać obietnic.

Tymczasem przybył Stefan i, zsiadłszy z konia, z przynależną powagą zbliżył się do wodzów, kiedy jego rycerze witali się ze znajomemi i przyjaciołmi.

— Przewielebny biskupie! — zabrał głos przed wszystkiemi Sieciech — opuściłeś spokojne przybytki Pańskie dla przeniesienia się na pole, które wkrótce krew ludzka obleje; zapewnie chcesz nam dać święte twoje błogosławieństwo przed bitwą?

— Jeśli do niéj przyjdzie — odpowiedział sędziwy kapłan — nie omieszkam tego uczynić. Ale teraz posłuchajcie mnie uważnie!...

— Może chcesz nam zabronić sprawiedliwéj zemsty — przerwał Mieczysław, uniesiony obrazem uwięzionéj Hanny — ale, choćby cię wszyscy usłuchali, jeden tu się zostanę i będę walczył, dopóki siebie lub wroga pod gruzami tego zamku nie zagrzebię.

— Synu Bolesława — rzekł Stefan — wstrzymaj gwałtowność, która twego ojca zgubiła, i posłuchaj słów człowieka, którego obowiązkiem jest przywracać

pokój i dzikie łagodzić zapędy! Słuchajcie mnie wszyscy, bo wszystko, co wam ogłoszę, zgadza się z przepisami Boga, Kościoła i cnoty!

Po tych słowach zamilkł na chwilę Stefan i przywitał się z każdym wodzem.

— Czyby nie lepiej było pójść do jakiego namiotu, niż tu przed wszystkiemi się wynurzać? — rzekł Skarbimir.

— Wszyscy mogą słyszeć moje słowa — odparł biskup — bo nic złego w nich się nie mieści; na cóż dla niewinnej narady udawać się do namiotu, kiedy jak najprędzej nam ją odbyć potrzeba? Albo? — dodał z uśmiechem — nie jesteśmy pod szerokim namiotem, rękami Stwórcy rozbitym? a to świetne słońce czyż nie weselsze myśli pokoju i szczęścia w nasze wlewa serca od ciemnych mieszkań ludzi, w których często odbywa się zbrodnia i kryje się obłuda? Zaczynam więc moje przełożenia i proszę o uwagę. Wczoraj, kiedy szło o sprawiedliwość, zachęcałem króla, by ją wymierzył z całą uroczystością, jakiéj wymagało zgromadzenie przedniejszych panów narodu. Stało się podług moich chęci i życzeń. Ale dzisiaj, widząc sposób oszczędzenia smutku i żalu dobremu panu, przybyłem was prosić, byście mnie w swojem imieniu pozwolili udać się do Zbigniewa. Tam jako poseł i sługa boży na ziemi wystawię mu ciężką niemocą złożonego ojca, ciężką klęską zasmuconą ojczyznę; przełożę mu wasze żądania, aby oddał córkę Wszeborowi z Ciechanowa i przysiągł, że zachowała zapełną niewinność, bo mam nadzieję, że Bóg nie dozwolił, by syn naszego monarchy tak ciężką zbrodnią swoje sumienie obarczył. Ale nie myślcie — dodał, widząc zachmurzone czoło Mieczysława — bym przystał na warunki, sławie lub czci waszéj ujmę przynieść mogące, bo znam powinność rycerza i Polaka! Może zmiękczę skamieniałe jego serce wyliczaniem popełnionych zbrodni i mam nadzieję, że téj ostatniéj nie będzie chciał dodać do przeszłych. Wypełnię obowiązek, który sam na siebie wkładam, jak gdybym był waszym przyjacielem, obrońcą, powiernikiem, jak gdybym jutro miał składać przed Panem świata rachunek

z moich czynności. Nie obawiam się śmierci, a jeśli odważy się podnieść rękę na mnie, z Stanisławem razem błagać będziemy Boga, by odwrócił nieszczęścia i klęski od naszéj ojczyzny, od Polski. — To mówiąc, wzniósł oczy w górę, ogień nadludzki, jak gdyby promień przyszłéj nieśmiertelnéj chwały, oświecił twarz, zmarszczkami okrytą, i zdawało się, że anioł pokoju zstąpił z nieba na uszczęśliwienie ziemi. — Skończyłem i sądzę, że będziecie woleli ukończyć tę sprawę, jak na cnotliwych ziomków przystoi, niż pluskać się w krwi współbraci, rozrywać przyjaźń bratnią, zapominać o uczuciach, w którycheście wzrośli, i srożyć się na synów wspólnej matki.

Taką była powaga biskupa i tak powszechne dla niego uszanowanie, ze nikt nie śmiał się jego słowom sprzeciwiać, chociaż Sieciech zawołał:

— Daremna praca!... Zbigniew nikogo nie usłucha!... A Jarosz z Kalinowy dla przypodobania się wodzowi krzyknął: »Do broni, towarzysze! do broni!«

— I ja pójdę z tobą do zamku, szanowny kapłanie — ozwał się Mieczysław — w téj zbroi, ze spuszczoną przyłbicą lub przebrany wkradnę się do niéj.

— Nie, młodzieńcze, poświęcam siebie dla was i ojczyzny, ale nie zezwolę na to, by książe Mieczysław narażał się na niebezpieczeństwa. Stefana inny biskup zastąpi, zgonu syna Bolesława nikt nie zastąpi, bo Zbigniew jest zbrodniarzem, a jego brat dzieckiem.

— Przeklęty starzec — pomyślał książe — i téj już nie mam nadziei! Wszystko ułoży, oddadzą Hannę, a Zbigniew przy życiu zostanie. Nie, na Boga, muszę się o niéj czegoś dowiedzieć, muszę zabić wroga. Henryku! — zawołał.

— Pójdę do zamku — odparł młodzieniec, zgadujący pana swego chęci — dowiem się o Hannie z Ciechanowa, bo mam tam znajomych. Może zginę, a w tym przypadku po zdobyciu zamku każesz moje ciało pochować, jeśli go do Wisły nie wrzucą, i siostrze mojéj powiedzieć, żem do ostatniéj chwili wiernie i mężnie tobie służył.

Łza zabłysła w oku Mieczysława.

— Zostań się, dobry mój Henryku, zostań się!

— Na Boga, nie zostanę, książe i panie mój! — i to mówiąc, odbiegł księcia. Tymczasem radzono, kogoby posłać przed bramę zamkową dla oznajmienia Zbigniewowi zamiaru Stefana.

— Nikt do tego zdatniejszym nie jest — rzekł Sieciech — od naszego szanownego Skarbimira, bo z rzadkiem męstwem umie łączyć rzadszą jeszcze roztropność.

— A więc, panie Gulczewa — ozwał się biskup — polecamy ci oświadczyć stojącym nad bramą zamkową, że Stetan, biskup płocki, żąda posłuchania u księcia Zbigniewa.

Poszedł, chwiejąc się na nogach, z bijącem od strachu sercem zmuszony Skarbimir, ale za każdym krokiem wzmagała się bojaźń tak, że prawie bez duszy przybył do miejsca, dosyć jeszcze dalekiego od bramy. Tu stanął i, obtarłszy zimny pot, cieknący z czoła, ledwo mógł wymówić kilka słów, które nie doszły uszu stojących na straży nieprzyjaciół.

— Bliżéj — zawołał Sieciech — bliżéj przystąp, potężny władco Kościelca, nie obawiaj się niczego, a potem nic to nie szkodzi, kiedy dla dobra ojczyzny strzała w sercu lub w mózgu utkwi!

— Niech cię piekło pochłonie! — rzekł słabo Skarbimir, słysząc dolatujące go jak piorun słowa Sieciecha. Zebrał ostatek sił, wsparł się na mieczu i postąpił dalej. Tu, jak najprędzej mógł, spełnił poselstwo, a nie czekając odpowiedzi, szybkim biegiem uciekł, jak gdyby wszystkie wojska nieprzyjaciół go ścigały, i wrócił do swoich.

— Jakaż więc odpowiedź? — krzyknął Sieciech napół żartobliwym, napół groźnym głosem.

— Jakaż odpowiedź? — zapytali wszyscy.

Ochłonął z bojaźni Skarbimir i wściekle pojrzał na otaczających.

— Możecie posłać — zawołał — jakiego giermka lub żołnierza po odpowiedź, bo pewno wam jéj nie przyniesie Skarbimir, pan radny i podskarbnik królewski! Od jakiegoż to czasu wysyłają do bram nie-

przyjacielskich ludzi, najwyższemi dostojeństwy zaszczyconych? Ale na ten raz zgoda. Skarbimir z Gulczewa poniósł wasze przełożenia; niechaj Sieciech, wojewoda krakowski, odpowiedź przyniesie!

— Jaroszu — przerwał Sieciech — idź po odpowiedź! Niezmierną chęć czuję rękojeścią pałasza usta mu przymknąć; biegnij, Jaroszu!

— Znowu kłótnie, niesnaski! — ozwał się biskup i z smutną twarzą czekał na powrót posłańca, który odważnie, śpiewając piosnkę wojskową, szedł do warowni nieprzyjacielskich, a chcąc swemu wodzowi dogodzić zawstydzeniem Skarbimira, stanął o dwa kroki od ogromnego rowu, zamek opasującego. Wkrótce ukazał się nad brawą Mestwin i odpowiedział, że pan jego, książę Zbigniew, nie może przenieść na sobie odmówienia posłuchania biskupowi płockiemu.

— Jeden tylko mały warunek zastrzegamy — dodał rycerz niemiecki — żeby nikt oprócz Stefana nie wszedł do zamku, czynimy zaś to z obawy niepotrzebnych kłótni przed walką, mającą się zacząć, a nie ze złych i zgubnych na osobę szanownego kapłana widoków.

Po usłyszeniu téj odpowiedzi wzniósł ręce do nieba biskup i, klęknąwszy, gorącemi modły błagał Boga zastępów. Poszli za jego przykładem wszyscy przytomni, a kiedy Mieczysław z schyloną głową ku ziemi, przemyśliwał nad ocaleniem Hanny, uczuł rękę, lekko dotykającą się jego ramienia; odwróciwszy się, ujrzał przy sobie młodzieńca, uzbrojonego na wzór żołnierzy Zbigniewa.

— Skąd dostałeś téj zbroi? — zapytał książe.

— I ja mam Hannę w tych murach — odparł Henryk z nieznacznym uśmiechem. — Żegnam cię, panie.

Po tych słowach wmięszał się do ludzi biskupa, którzy ze spuszczonemi dzidami, ze smutkiem na twarzy, odprowadzali pana, jak gdyby żadnéj już na téj ziemi dla niego nie pozostało nadziei, bo znali wszyscy gwałtowność Zbigniewa, wiedzieli, jakich miał doradzców i trzeba było całéj biskupa odwagi, wzmocnionéj wiarą i przekonaniem, że obowiązek wypełnia, na ośmielenie się do kroku, mogącego najnieszczęśliwsze skutki

ściągnąć na jego osobę. Henryk zaś, uniesiony przywiązaniem ku Mieczysławowi, miłością ku Katarzynie, rzucał się na widoczną zgubę z tą nadzieją i ufnością, młodości właściwą, choć dobrze wiedział, że Zbigniew, jeśli go odkryją jako szpiega i gwałcącego warunki zawartéj umowy, stracić rozkaże.

Za przybyciem Stefana do bramy spuszczono most zwodzony, a kilkunastu żołnierzy wystąpiło z zamku i, broniąc przystępu przeciwnéj stronie, puściło tylko samego biskupa. Powstały wrzaski i groźby. Przez chwilę trwało zamięszanie, już nawet brano się do oręża, ale na skinienie Stefana opadły ręce, wzniesione na jego obronę. Nie stracił tymczasem z oczu Mieczysław młodego giermka i dostrzegł, jak, wmięszawszy się zręcznie do ludzi Zbigniewa, wraz z Stefanem wszedł do zamku. Ale w téj chwili zawarto bramę i podniesiono na skrzypiących łańcuchach most szeroki, który oddzielił dwóch tych śmiałych ludzi od reszty przyjaciół i towarzyszy.

ROZDZIAŁ IX.

Nie oddam jéj, przysięgam na ostrze téj stali.
Feliński, Barbara.

Dwa rzędy ludzi zbrojnych stało z obu stron dziedzińca, przez który przechodził biskup. Dzikie ich spojrzenia i srogie twarze wróżyły nieszczęścia. W rozmaitych ubiorach, z różnych stron i okolic ściągnieni, nie znali się jeszcze dobrze między sobą, bo Zbigniew z mnogich swoich zamków, po całéj Polszcze rozsypanych, zebrał żołnierzy do bronienia Hanny. Wszyscy jednak mieli jednostajne szyszaki i puklerze, a Henryk za pomocą zbroi, od Katarzyny udzielonéj, podczas zgiełku i wrzawy łatwo mógł się wsunąć pomiędzy orszak, odprowadzający Stefana do sali posłuchalnéj księcia. Od nikogo nie poznany, szedł z odwagą w oczach i bez okazania powierzchownie najmniejszéj trwogi. Odzywał się nawet do towarzyszy, rozśmiewał ich żartami i obiecywał, że zapewne kapłan, przez nich otoczony, nie wróci do obozu oblegających. Chwalił hojność Zbigniewa, a czasem cichszym głosem śpiewał dumki i piosnki, ale umilkł i zaczął się ukrywać, kiedy ujrzał Mestwina, przyjmującego biskupa na wnijściu do gmachu, starając się, by przenikliwy wzrok Niemca nie spotkał jego twarzy, bo rycerz z Widerthalu, jak wieść niosła, znał wszystkich Zbigniewa żołnierzy. Henryk nie pierwszy raz już był w zamku syna Hermana, bo dawniéj często w nieprzytomności księcia przychodził tu odwiedzać Katarzynę, a oprowadzony przez nią po

wszystkich zakątkach, miał nadzieję, że potrafi, przechodząc przez jaką ciemną galeryę, zostać się z tyłu, a potem udać się do pokojów Hanny lub Katarzyny, koło których, sądził, że nikogo nie spotka, gdyż wszyscy byli zanadto ciekawi rozmowy biskupa, by w inną podczas niéj udawać się stronę. Nie wiedział zresztą, jakim sposobem uda mu się wyjść z zamku; ale kiedy ta myśl nagle się w nim obudziła, spojrzał mimowolnie na pałasz i nabrał odwagi młodzieńczéj, odwagi, nie mierzącéj liczby wrogów, ale idącéj na ciosy śmiertelne z nieustraszonem sercem.

— Szanowny kapłanie — rzekł Mestwin napół szydzącym, napół poważnym głosem — chodź za mną, zawiodę cię do księcia mego i pana! Żołnierze, postępujcie za nami, żeby oddalić natrętnych, którzyby może chcieli ucałować nogi lub kraj szaty sługi bożego! Bo choć się to u nas, szanowny biskupie, nie często zdarza, jednak chcę ci jak najbardziéj uprzyjemnić pobyt w tych miejscach i nie ścierpię, by kto przerywał twe pobożne myśli, a osobliwie w zdarzeniu, w którem mi dobrą ich i dobraną liczbę mieć w głowie potrzeba. Proszę za sobą!

— *Super aspidem et basilicum ambulabis et conculcabis leonem et draconem* — zawołał mocnym biskup głosem i pewnym krokiem wszedł do sieni.

Zdaje się, że Mestwin miał upodobanie oprowadzać kapłana po ciemnych galeryach, ukrytych przejściach, krętych, raz w górę się wznoszących, znów na dół zstępujących schodach, aby przerazić jego duszę widokiem miejsc, do których nie dochodziły promienie słońca i gdzie łatwo było, daleko od wszelkich świadków, pozbyć się wroga lub niepotrzebnego gościa. Szli żołnierze z zapalonemi pochodniami i Henryk ciągle z zwyczajną śmiałością postępował z niemi, upatrując wszędzie jakiegoś przejścia, któremby mógł, oddzieliwszy się od nich, bezpiecznie dojść do celu swoich zabiegów. Przybyli nareszcie do małéj komnaty, mającéj kilka drzwi, od których rozchodziły się galerye na różne strony zamku.

Giermek Mieczysława nieznacznie się odsunął od towarzyszów i, stanąwszy w ciemnym kącie, miał nadzieję,

że nie spostrzeżony sam się potrafi zostać w tem miejscu, a potem udać się do Katarzyny. Z początku Mestwin nie postrzegł tego, ale kiedy już miał wychodzić z komnaty, jak gdyby uderzony jakim domysłem, nagle porwał od żołnierza, z tyłu idącego, pochodnię i, obróciwszy się, wzniósł ją wszystkim ponad głową. Henryk poznał niebezpieczeństwo i udając, że coś poprawia u szyszaka, z zimną krwią został na tem samem miejscu.

— Jak się zowiesz? — zawołał Mestwin — jakie hasło dzisiaj?

Nie mógł odpowiedzieć na to zapytanie młodzieniec, a gniew, że, już tak blizki dokonania przedsięwzięcia, widział się odkrytym, zawrzał w jego duszy i z zapalczywością odpowiedział:

— Śmierć tobie i twojemu panu, takie moje hasło!

— Stójcie wszyscy! Niech się żaden pod karą śmierci z miejsca nie ruszy! Stój, biskupie płocki, stój, boś nas zdradził! Zuchwalcze — daléj zawołał — próżne tu kłamstwo i wybiegi; skąd jesteś? jak się zowiesz? kto cię przysłał?

— Jestem twoim wrogiem, przybywam z obozu, ale nie tak blizko przystępuj, bo, na Boga, zginiesz z mojéj ręki!

To mówiąc, dobył Henryk z prędkością błyskawicy szablę, rzucił się na Mestwina i przeważnie go orężem w piersi uderzył, ale jego żelazo na drobne się rozleciało kawałki, a zbroja przeciwnika nawet się nie zgięła.

Mestwin nie okazał żadnego znaku zmięszania, zmarszczył brwi naprzód, a potem głośno się rozśmiał:

— Lepszy mój pancerz norymbergski od wszystkich waszych mieczy; związcie go i prowadźcie za mną! Przedstawcie tego gościa naszemu panu i księciu! Nabożny biskupie, przybywasz ofiarować pokój, a za sobą morderców prowadzisz; ale prawda, wszystko wolno Kościołowi, matce naszéj wspólnéj. Ani słowa, milczenie, idźmy daléj!

Po przejściu kilku jeszcze pokojów i korytarzów, otwarły się przed niemi drzwi ogromnéj sali, w któréj zastali Zbigniewa, siedzącego na wzniesionym krześle. Kilku zbrojnych rycerzy go otaczało.

Za ukazaniem się biskupa skłonił głowę Zbigniew.

— Choć już wszystko gotowem jest do bitwy, szanowny Stefanie, jednakeśmy postanowili z uszanowaniem, winnem twojemu wiekowi i wysokiéj godności, którą piastujesz w Kościele bożym, wysłuchać twoich przełożeń lub rady i z niecierpliwością ich oznajmienia czekamy.

Wtem zbliżył się Mestwin do księcia i kilka słów rzekł mu do ucha. Czoło Zbigniewa pokryło się chmurą, oczy zaiskrzyły gniewem ,ale po kilku chwilach bladość zwyczajna spędziła z jego twarzy gwałtowny rumieniec.

— Po wysłuchaniu biskupa płockiego zajmiemy się tą sprawą — zawołał — a teraz go prosimy, aby niezwłocznie odkrył zamiary — ten wyraz wyrzekł z przyciskiem — które go do nas sprowadziły.

— Zamiary moje — ozwał się biskup — są czyste i nieskażone. Ufny w potęgę Boga, który zamienił niegdyś twarde opoki w ciekące strugi i umie zmiękczać serca grzeszników, przychodzę tu ci wystawić, czego się po tobie spodziewa Polska cała i jéj monarcha; przybywam prosić cię, byś, pamiętny na słowa Zbawiciela, przed którym staniesz w dniu sądu ostatniego, zaniechał zgubnych przedsięwzięć i wrócił na drogę cnoty. Otwiera się teraz przed tobą pole poświęceń i pokuty za długie gwałty i występki. Może Bóg dozwolił, byś przez długi czas zapomniał o Nim, ażebyś z większą świetnością, porzuciwszy błędy, napowrót do Niego się udał. Książe, porwałeś dziewicę, zasmuciłeś jéj rodzinę, własnego ojca i króla zbliżyłeś swojem postępowaniem do grobu, opuściłeś i w niepamięci zagrzebałeś przepisy świętéj religii. Głuchy na prośby niewinności, na głos doświadczenia, popełniłeś gwałty i morderstwa. Zakończ teraz nieprawne działania, skróć burzliwe chęci i stań się posłusznym Bogu, który do ciebie przez moje usta przemawia! Ojczyzna oczekuje wypadku dzisiejszéj naszéj rozmowy. Same niebiosa na nią uwagę zwracają, bo tu idzie o uratowanie duszy, zanadto długo pogrążonéj w ciemności i zapamiętałości. Nie urażaj się, książe, jeśli z taką do ciebie przemawiam śmiałością, bo nie ja, ale sam Bóg się do ciebie odzywa i poznajesz za-

pewnie, że moje słowa są powtórzeniem tego, co ci bez wątpienia już oddawna wyrzuca sumienie! Przybywam więc ofiarować ci pokój i zgodę braterską, przybywam natchniony miłością chrześciańską. Zgromadzone wojska czekają hasła do boju — podzieleni Polacy gotowi są do rozlewu krwi bratniéj. Wystąp więc, oddaj ojcu córkę, przysięgnij, że zachowała niewinność, przysięgnij, że odtąd Polska mieć w tobie będzie bohatera, nie zawziętego na własnych współobywateli, ale gotowego jéj bronić własnemi piersiami, a tym sposobem pogodzisz się z Bogiem, z monarchą, z Kościołem i sumieniem! Późne wieki zapomną o błędach młodości, lub, jeśli jeszcze staną im w pamięci, będzie to lekka mgła tylko, za słaba na przyćmienie świetnych słońca promieni.

Tu zamilkł biskup i wpatrywał się w Zbigniewa, jak gdyby z jego twarzy chciał skrytość serca przeniknąć. Na czole posępnem księcia znać było to niecierpliwość, to zamyślenie, a pomimo milczenia Stefana zdawał się go słuchać jeszcze. Słowem, wystawiał obraz człowieka, dumającego bardziéj o przeszłości, niż gotowego do zrzeczenia się dumy i zaniechania najmilszych uczuć, by osięgnął szacunek ludzi i nagrodę życia wiecznego. Mestwin, widząc wtenczas, że książę nic nie odpowiada, obawiając się, by słowa biskupa zanadto mocnego wrażenia na nim nie sprawiły, wyrzekł po cichu:

— Nieszczęśliwy kraj, gdzie męże, do walki gotowi, spuszczają miecze, składają zbroje na głos starca, nawykłego do klasztornéj spokojności, nie do dzielnych bojów lub rycerskich igrzysk! Książe i panie mój, nie daj się przerazić! Czy dusza twoja za słaba? Czyż zbroja, znosząca groty i razy, silniejsza od serca, które pokrywa? Obudź się, Zbigniewie — dodał ciszéj jeszcze — bo już gaśnie twoja chwała! Zginąłeś, jeśli....

— Nie zginąłem — zawołał oburzony Zbigniew, porywając się z siedzenia, rzucił okiem na otaczających i zatrzymał go na Stefanie. — Nie, krzyknął, nie, nigdy raz dobytego nie schowam miecza, nie, na Boga i Najświętszą Pannę, kończ daléj swą mowę, biskupie! Chciałeś

mnie zdradzić, morderców wiedziesz za sobą. Mów daléj, słucham! Mówże, dopóki słucham jeszcze! — Znów usiadł i, schyliwszy głowę, skrył czoło w dłonie, ale można było poznać niecierpliwość ze wszystkich jego, choć nieznacznych ruchów.

Stefan nie stracił odwagi, z pogardą słyszał się obwinionym o zdradę, od któréj tak był dalekim, że nawet na ten zarzut nie odpowiedział, ale daléj już i groźnym głosem swéj mowy dokończał.

— Przełożenia i warunki, które ci podałem dotąd, były łagodne, przemawiałem do ciebie, jak ojciec do grzeszącego syna; ale teraz posłuchaj cięższych rozkazów Kościoła i Boga, słuchaj ich z uszanowaniem i wypełń, jeśli dbasz o ocalenie występnéj duszy! Książe Zbigniewie, każę ci imieniem Kościoła, byś natychmiast broń złożył i rozpuścił wojsko!

Tu biskup zamilkł na chwilę.

— Cóż daléj? — odparł Zbigniew, podnosząc głowę i ściskając usta, a twarz zapłonioną od gniewu znów skrył między ręce.

— Byś oddał Hannę z Ciechanowa jéj ojcu i błagał jego przebaczenia za tak ciężką wyrządzoną mu krzywdę!

— Nigdy! — krzyknął Zbigniew i znów zamilkł.

— Byś złożył na zawsze oręż, przywdział suknię zakonną i bosemi nogi udał się do naszego płockiego kościoła....

Tu stanął znowu biskup.

— Dobrze, cóż daléj? — zawołał Zbigniew, wszystkiemi siłami wstrzymujący wściekłość w swych piersiach.

— Byś, zrzekłszy się pychy tego świata, rozdał majątki ubogim, wziął różaniec i kij pielgrzymi w rękę i poszedł do Rzymu! Damy ci listy do Ojca świętego, w których go upraszać będziemy, by wysłuchał ciebie i w nagrodę skruchy wyznaczył pokutę, za uskutecznienie któréj łaskę boską odzyskasz.

— Cóż daléj? — znów ozwał się książe.

— Nareszcie, abyś odwiedził grób Zbawiciela w Ziemi świętéj, nigdy już nie wracał do Polski i zakończył ży-

cie, na nieszczęście ci dane, w klasztorze pośród modłów i żalu za zbrodnie! Takie ci teraz podaję warunki. Jeśli na nie przystaniesz, obiecuję ci w nagrodę przebaczenie ludzi na ziemi i przebaczenie Boga w niebiosach.

— Cóż daléj, biskupie płocki? Bo może jeszcze nie koniec? — zawołał Zbigniew. — Może co jeszcze masz dodać?

— Nic więcéj, tylko, żebyś kazał zdjąć okowy z rąk tego młodzieńca, który, sprawiedliwie broniąc swojego życia, schwytany został przez twoich ludzi, spólników twych zbrodni.

Tak przemawiał Stefan, otoczony wrogami, jak gdyby tysiące mieczów wzniesionych było na poparcie słów jego.

— Kiedy taka twoja wola, zatrudniemy się tą sprawą, bo, na Boga — zawołał Zbigniew — nic więcéj dla ciebie uczynić nie możemy! Wystąp, młodzieńcze! Niedługo cię tu zatrzymamy z wymierzeniem sprawiedliwości.... jak się zowiesz?

— Pozwolisz, książę — odparł śmiało Henryk — że ci moje imie zataję.

— Słusznie, nie chcesz, by się rozgłosiło za prędko, żeś uległ haniebnéj śmierci na szubienicy. Może odpowiesz na drugie pytanie. Kto cię przysłał?

— Nikt i na to przysięgam w obliczu nieba i ziemi!

— Więc już sąd nasz się skończył i jego wyrokiem skazany jesteś na powieszenie; spojrzyj przez okno, a ujrzysz gotową nagrodę za chęć zamordowania naszego powiernika! Kacie — dodał — oddaję ci tego człowieka i niech za godzinę patrzy w ziemię, a nogami jéj się nie dotyka! Zapewnie, biskupie Stefanie, wyspowiadasz go przed śmiercią, bo co do nas, nie myślimy ci téj pracy zadawać.

Wystąpił po tych słowach zbrojny człowiek z orszaku, otaczającego księcia, i stanął przy skazanym młodzieńcu.

— Zbigniewie — ozwał się Stefan — zważ ostatnie słowa, które do ciebie przemówię! Może jeszcze na sprawiedliwéj szali miłosierniejszego Boga twoje wy-

stępki nie przechyliły zarodków cnoty i szlachetności, męstwa i odwagi, które wlał w twą duszę Stwórca świata. Zbrodnia, którą teraz chcesz popełnić, kto wie, czy nie przeważy i nie weźmie góry nad twojem szczęściem, nad twoją pomyślnością.

Te słowa, uroczyście wyrzeczone, zastanowiły księcia. Nic nie odpowiedział, ale wpadł w głębokie zamyślenie. Złożywszy ręce na piersiach, bystry wzrok wlepił w Henryka, stojącego o kilka kroków, ale nie mógł dostrzedz na jego twarzy żadnego znaku wzruszenia lub trwogi; owszem, często uśmiech pogardy dla otaczających osiadał na ustach giermka Mieczysława.

— Najjaśniejszy książe — nagle przerwał milczenie rycerz, który dotąd pilnie zważał na Henryka — przysięgam, że to jest Henryk z Kaniowa, giermek księcia Mieczysława, tak, jak ja jestem Odrowąż z Górzewa!

— Mieczysława! — krzyknął Zbigniew i skoczył ze wzniosłego siedzenia — Mieczysława! Więc już niema nadziei dla ciebie. Zmów pacierze, odbądź spowiedź, bo zginiesz! Natychmiast wyprowadźcie go na dziedziniec! Widzisz tę wysoką szubienicę?

— Tem lepiéj — odparł śmiele Henryk — bo im wyższa będzie od murów twego zamku, tem lepiéj mój pan się o moim zgonie przekona, tém pewniéj jego zemsta spadnie na ciebie.

— Niema wątpliwości — daléj mówił Zbigniew — to morderca, przysłany od niego. Godziłeś na moje życie?

— Nie ma w zwyczaju książe i pan mój — zawołał Henryk — wyprawiać zbrodniarzy lub czynić zasadzki. Nie chowa się za murami. Nie przesiaduje w zamkach, kiedy dane jest hasło do boju na otwartem polu i każden rycerz w jego pierś mierzyć może.

— Zuchwalcze! — przerwał książe, przejęty burzliwym gniewem, daléj chciał coś mówić, ale głos skonał mu na ustach; kilka chwil chodził szybko po komnacie, nareszcie stanął.

— Wyprowadźcie go! — powtórzył. — Biskupie płocki, skończona nasza rozmowa. Prędko go wyspowiadaj, sami przytomni będziemy jego śmierci! Mestwi-

nie, odprowadź kapłana tego z giermkiem na dziedziniec, zaraz tam przybędę! Odrowążu z Górzewa, pójdź zobaczyć, czy wszystko do walki gotowe, czy wszędzie w porządku stoją! Sam za wami zaraz pośpieszę. Idźcie!

— Niech żyje dzielny nasz książe! — zawołał Mestwin. — Henryku, giermku księcia Mieczysława, wzywam cię, byś szedł na szubienicę, z której, na Boga, będziesz mógł widzieć wszystkie pana swego czyny. Przewielebny ojcze duchowny, podobnież cię wzywam, byś za mną postępował dla oddania ostatniéj chrześciańskiéj przysługi odważnemu młodzieńcowi, który niedobrze jednak wymiarkował twardość stali niemieckiéj. Ty, kacie, zdejm mu okowy, trzeba śmierć mu przynajmniéj przyjemną uczynić!

Na dziedzińcu zamkowym stała wysoka szubienica, wystawiona dla przestraszenia żołnierzy, którzyby chcieli zgubny przykład dawać swoją niekarnością. Otaczała ją zagroda z chróstu, u boków któréj stały dwa słupy; na jednym leżał topór, na drugim powrozy. Do téj zagrody zaprowadził Mestwin Henryka, który, klęknąwszy, zaczął się spowiadać biskupowi płockiemu. Nachylił się ku niemu Stefan, w którego oczach raz łzę można było dostrzedz, to znowu ogień żywy, ponury, jak gdyby wezwanie boskiego przekleństwa na zamek i jego pana.

Zbigniew, o kilkanaście kroków oddalony, przypatrywał się temu obrazowi; ale twarz jego utraciła piętno nieugiętéj woli i znać było na niéj pewny rodzaj wahania się. Wszyscy otaczający, przerażeni tym widokiem, nie myśleli przerywać cichości; żołnierze poglądali na siebie, jak gdyby jeden drugiemu chciał powiedzieć: »Może i nas podobny los czeka«. Niedługo trwała spowiedź skazanego młodzieńca; wzniósł oczy do nieba biskup i z sercem pełnem wiary położył ręce na głowie tego, którego dusza miała wkrótce ulecić do pierwszéj ojczyzny.

— Odpuszczam ci grzechy, synu — rzekł poważnym głosem — umieraj z pewnością, że twoja młodość zmiękczy Stwórcę za złe, które mogłeś zrządzić w przelotnem życiu na téj ziemi! Umieraj bez żalu za tym padołem nieszczęść, w którym często cnota opuszczona,

a zbrodnia na szczycie wielkości; owszem, ciesz się nadzieją, że za chwilę u stóp tronu Króla królów będziesz mógł błagać Jego miłosierdzia dla nieszczęśliwych braci!

— Ach! gdyby nie książe Mieczysław, gdyby nie Katarzyna — przerwał po cichu młodzieniec — bez żalu żegnałbym ten świat znikomy. Ale gdybym gdzie mógł dorwać się jakiéj broni, możeby jeszcze poczuli moją rękę.

— Oddal od siebie te myśli, mój synu, przebacz nieprzyjaciołom!...

— Prędzej, prędzej się tam odbywajcie! — zawołał Mestwin — czas upływa, słońce w górze, a miecze nasze jeszcze w pochwach, a krew wrogów jeszcze w ich żyłach płynie!

— Milcz — przerwał Zbigniew — milczcie wszyscy!

Słowa niemieckiego rycerza wróciły Henrykowi gniew, który na chwilę uciszył się w jego sercu, zajętem rozpamiętywaniem czynów życia i nadziei po śmierci. Nagle zerwał się z miejsca i, dobywając sił wszystkich, skoczył do żołnierza, blizko stojącego. Tak szybko się nań rzucił, że ten napół tylko mógł dobyć miecza; przeważnym razem w piersi obalił go Henryk na ziemię, wyrwał mu sztylet, u pasa zatknięty, i przyłożywszy do gardła:

— Książe Zbigniewie — krzyknął — zginie ten człowiek, jeśli mnie nie puścisz natychmiast z biskupem płockim!

— Niech zginie! — zawołał Mestwin.

— Milcz! — przerwał Zbigniew i przez chwilę patrzył z uwagą na młodzieńca, stojącego z orężem nad leżącym żołnierzem. — Henryku z Kaniowa — zawołał — daruję ci życie, ale nie myśl, bym to uczynił z bojaźni o życie tego człowieka, bo nie wart służyć u mnie, kiedy nie umie mężnie się stawić bezbronnemu nawet; daruję ci życie, boś odważny, a żeby ci prawdy słów moich dowieść, zatrzymasz się w moim zamku, dopóki ten nędzny nie zginie! Ty, kacie — krzyknął — prędko i bez spowiedzi, bo jéj nie godzien, skończ mi z tym żołnierzem!

Natychmiast Sykut z kilkoma innemi porwali się na

nieszczęśliwą ofiarę i na śmierć zawiedli. Musiał biskup i Henryk patrzeć na śmierć żołnierza. Zbladły szedł on do szubienicy. Rzucał się po wielekroć do nóg Sykuta, ale groźna postać Zbigniewa nie dozwalała nawet myśleć o jego ocaleniu. Wszedłszy do zagrody, klął i krótką odmówił modlitwę, podczas któréj związali mu ręce z tyłu; powstał i oblany łzami wstąpił na rusztowanie, z którego rzewliwemi krzykami i ręką żegnał naokoło stojących towarzyszów. Srodzy ci ludzie bez wzruszenia patrzyli na ten okrutny widok i nawet usłyszano kilka głosów, wyrzucających mu bojaźń i niewieście jęki. Zakrył twarz biskup Stefan, a kiedy po chwili znów pojrzał, już się ciało żołnierza kołysało w powietrzu. Jeszcze ruch gwałtowny nóg i twarzy oznaczał ostatek uchodzącego życia, kiedy nagle krew wytrysła mu z oczu i nosa. Głowa się schyliła, oczy zawarły, a piętno srogich boleści, zachowane na martwem czole, nie zgadzało się z stalową zbroją i hełmem, świetniejącym odbitemi słońca promieńmi.

— Teraz wolni jesteście — rzekł książę. — Biskupie płocki, moją odpowiedzią jest, że, jeśli boją się ze mną walczyć, to mogą broń złożyć i przebaczenia u stóp moich żebrać. Henryku, masz ten pałasz za odwagę! Patrzałem ciągle na ciebie, nie okazałeś najmniejszego znaku trwogi; gdybym był dostrzegł bojaźń na twojéj twarzy, nie żyłbyś już teraz. Żegnam was obu.

Po tych słowach wrócił Zbigniew z Mestwinem do swoich komnat. Ciężka brama znów się otwarła, most zwodzony na skrzypiących opadł łańcuchach, a sługa boży i dzielny młodzieniec, obronieni opieką nieba i własnem męstwem, wyszli z zamku, w którym już teraz wszystko w pogotowiu stało do nieodzownéj walki.

ROZDZIAŁ X.

Zewsząd szczęk mieczów, wrzask, chrzęsty pancerzy,
Pryskają bronie, lecą hełmy, głowy,
Co miecz oszczędzi, druzgoczą podkowy.

Grażyna.

Biskup płocki pośpieszył oznajmić czekającym na jego powrót wodzom, że wszystkie starania nadaremno łożył, żeby odwrócić Zbigniewa od wojny domowéj, i ze łzami w oczach zapowiedział, że odjeżdża uwiadomić o tem króla i pocieszyć go w ciężkich tęsknotach świętemi myślami.

— Więc już niema co zwlekać! — krzyknął Mieczysław. — Za mną, towarzysze, bracia, za mną!

Po tych słowach rzucił się na czele wojska i spiesznie przebiegł dzielącą go od zamku równinę; za nim poszli Wszebor i Sieciech ze Skarbimirem, którego twarz zbladła i napół otwarte usta wydawały przerażenie i bojaźń o życie. Nie wstrzymywały dzielnych hufców strzały, sypiące się z murów, i kamienie, na nich wyrzucone z baszt i wież wysokich, a choć niejeden, śmiertelnym ugodzony ciosem, padł bez ducha, inni, pragnący się odznaczyć pod okiem młodego księcia, za jego wodzą na śmierć i niepewną odważali się walkę.

Henryk w zupełnéj zbroi szedł za Mieczysławem, a całe wojsko garnęło się za niemi do murów. Zdawało się, że jeden zapał wszystkich ożywia, i nawet powolny Bardan podwoił kroku, choć widział kryjącego się pomiędzy rotami pana. Sieciech z zimną krwią i właściwą

sobie rozwagą urządzał bitwę; dawał znaki i hasła, zachęcał, zagrzewał do odwagi, sam się rzucał naprzód, znów ustępując szykował złamane szeregi, wracał do porządku rozerwane orszaki. Krzyżowały się w powietrzu strzały i włócznie, z obu stron rzucane. Tarany tymczasem, przez część żołnierzy niesione, powoli przysuwały się do bramy i pomimo grotów nieprzyjacielskich zapełniano fossę zamkową ziemią, darniem, kamieńmi i chróstem, do tego sporządzonym.

Na najwyższéj stronie murów widziano męża wzniosłéj postawy, w czarnéj zbroi i z odkrytą twarzą, a choć w takiéj odległości rysów jego rozeznać nie można, z rozkazów, przezeń dawanych, z nadzwyczajnéj odwagi i spokojności, okazywanéj wśród boju i grożącéj śmierci, łatwo było poznać Zbigniewa. Przy nim stał niżéj nieco rycerz, który z równem męstwem zachęcał żołnierzy i czasem, porwawszy łuk od stojących ludzi, niemylne wysyłał ciosy. Pięć razy już wymierzył w serce Mieczysława, a pięć razy głos księcia: — »Stój, Mestwinie!« — wstrzymał go, bo Zbigniew, pałając nienawiścią ku synowi Bolesława Śmiałego, sam chciał się jego śmiercią i nacieszyć i wsławić. Wrzask, krzyki, rozkazy tłumnie się mieszały, chrzęst zbroi, świstanie rozrywających powietrze pocisków, jęki ginących i rannych unosiły jego duszę; urągał się z śmierci i niebezpieczeństw. Rzucone strzały rzadko dochodziły miejsca, na którem stał, czasem tylko u stóp jego padał osłabły już pocisk; wtenczas z uśmiechem pogardy odsuwał go nogą lub też oddawał Mestwinowi, który, szczycąc się z doskonałego strzelania, natychmiast znów go wypuszczał na oblegających, a wtenczas rzadko chybiał celu. Kilku jeszcze innych łuczników otaczało Zbigniewa i, jak gdyby dla zabawy, różnych sam im okazywał rycerzy. Za jego rozkazem szybkie wylatywały groty i, podobne do piorunu, padały na wskazane ofiary.

Wtem jeden z nich zwrócił oczy na Wszebora, stojącego przy ludziach, taran do murów przysuwających. Natychmiast poznawszy po świetnym hełmie, że to jakiś wódz być musi, wyciągnął łuk, przyłożył strzałę na drgającą cięciwę; ale spostrzegł to Zbigniew i, pamiętny

danego słowa, silnie uderzył w pierś łucznika; wyleciał grot, ale już bez siły i prosto w górę, po chwili upadł przy księciu.

— Niech żaden z was nie godzi na życie tego człowieka — krzyknął Zbigniew — bo ze mną będzie miał do czynienia! — I wskazał na szubienicę, u któréj kołysał się nieszczęśliwy żołnierz. — Wszebor i Mieczysław nie są waszym przeznaczeni ciosom. Dosyć innych macie. W tego, w tego trafcie — dodał, wskazując, Zbigniew — w tego zdrajcę, który dawniéj z przyjaźnią mi się oświadczał!

Nie ukończył tych słów jeszcze, a już strzała utkwiła w pancerz Sieciecha, ale wielka odległość moc jéj osłabiła, nie mogła nawet przebić zbroi; odrzucił ją wojewoda krakowski i, dobywszy miecza, ukazał go Zbigniewowi. Zrozumiał znak ten książe i krzyknął, jak gdyby tamten mógł go usłyszeć:

— Może dadzą nieba, że się spotkamy, a wtenczas żegnaj się z życiem!

Tymczasem w niektórych już miejscach zasypano fossę, przystawiono drabiny i rzucił się na jedną z nich Mieczysław. Henryk skoczył na drugą i z kilkoma rycerzami oba wdzierali się na wysokie mury. Zbigniew chciał zaraz pobiedz naprzeciw śmiertelnemu nieprzyjacielowi, ale widząc, że wkrótce cały rów zasypią, musiał zostać na miejscu, z którego najlepiéj mógł uważać obroty przeciwników i skąd najłatwiéj mu było dawać rozkazy i rozsyłać ludzi. Posłał więc tylko Odrowąża z Górzewa z kilkoma zbrojnemi na wstrzymanie Mieczysława i na zrzucenie z drabin żołnierzy, już wierzchołka muru dochodzących. Ale nim doszedł ten rycerz do przeznaczonego miejsca, już młody książe z Henrykiem na mur szeroki wyskoczył.

Za nimi cisnęli się żołnierze, wołając:

— Górą książe Mieczysław! Górą dzielny nasz książe!

Ale w téj saméj chwili rozstawieni po innych stanowiskach łucznicy tak zręcznie zaczęli razić pociskami wrogów, że niepodobnem się stało przystawić więcéj drabin do muru, a mała tylko liczba zbrojnych mogła się wdzierać, i to powoli, na te dwie, któremi Mieczysław

i Henryk dostali się na nieprzyjacielskie baszty; przybył też i Odrowąż z Górzewa i zacięta zaczęła się walka. Spuściwszy przyłbicę, syn Bolesława Śmiałego oparł się o szeroki kamień i walecznie napadających odpierał, Henryk zaś posunął się daléj i wszelkiemi siłami starał się dojść do Odrowąża. Dopiął wreszcie celu swych życzeń i stanął o dwa kroki od rycerza.

— Poczekajże — zawołał widząc, że ten chce przerżnąć się aż do Mieczysława — nie godnyś z rąk mego pana zginąć, poczekaj, niech ci się za dzisiejszą odpłacę przysługę!

Usłyszawszy te słowa, odwrócił się Odrowąż.

— Na Boga — zawołał — czyż wniwecz obróciły się zwyczaje i prawa nasze? czyż prosty giermek już wyzywa rycerza ze złotemi ostrogi?

Nic nie odpowiadając, zaczął Henryk walkę, któréj wypadku niedługo oczekiwali otaczający; po kilku zwarciach upadł Odrowąż śmiertelnie przebity. Porwał go za hełm Henryk i zrzucił z murów w szeroką fossę.

— Macie — krzyknął — na czem oprzeć drabinę!

I wrócił do Mieczysława, który z równą potykał się odwagą. Widział Zbigniew śmierć rycerza i brwi zmarszczył.

— Na szatana, uparta bitwa! Ale niech się sam tylko wmieszam, to zobaczemy; muszę tu jeszcze zostać. Jordanie z Gozdawy, pójdź im na pomoc!

Natychmiast mąż olbrzymiéj postawy odłączył się od książęcego orszaku i pobiegł stanąć na miejsce nieszczęśliwego Odrowąża.

— Zaręczam ci, książe i panie mój — zawołał odchodząc — że wkrótce te muchy odlecą, nie takich-em ja na Pomorzu do ucieczki zmuszał.

— Dobry rycerz — ozwał się Zbigniew do Mestwina, patrzącego z uśmiechem zwyczajnym na rzeź i mordy — a choć najczęściéj chwali się z tego, co nie zrobił, w przypadku potrafi wszystko zrobić i mówi, że już tysiąc razy uczynił.

Wtem zbliżył się do księcia człowiek w szerokiéj, czarnéj sukni, bez zbroi i oręża. Broda, do któréj siwe włosy już się mięszały, spływała na piersi, w oczach

widać było spokojność, dowodzącą, że nie pierwszy raz patrzy na boje. Trzymał pod ręką kształtnie wyrobioną szkatułę, a u rzemiennego pasa wisiały klucze, flaszka, napełniona żółtawym płynem, i pomniejsze narzędzia, na które niewiadomi ich przeznaczenia i użytku z podziwieniem patrzyli żołnierze.

— Abrahamie z Hamburga — zawołał Zbigniew — już jeden z naszych rycerzy nie potrzebuje twojéj pomocy, spojrzyj w rów, pod nami będący, a tam zobaczysz jego ciało i zapewnie mimo wielkiéj nauki nie masz już nadziei wrócenia go do życia!

— Najjaśniejszy i najpotężniejszy — odparł złą polszczyzną Żyd lekarz — mam nadzieję, że Bóg Izraela pozwoli, by moje usługi przydały się innym ludziom, bo co do tego, już ciało jego się rozprzęga, opuszczone od duszy. Stąd dostrzegam sine pręgi na jego twarzy, co jest znakiem śmierci gwałtownéj, jak o tem Ben Masudi pisze w rozprawie o nieprzewidzianych zgonach.

Po tych słowach głęboko się ukłonił księciu, stanął niedaleko i, wyjąwszy długi pargamin, uważnie czytać zaczął dziwaczne na nim charaktery tak spokojnie, jak gdyby w własnym się widział pokoju; potem zwinął go w trąbkę i oddalił się, niosąc ratunek rannym.

— Dobrzem zrobił — rzekł Zbigniew do Mestwina — żem tego Żyda zamówił do siebie przed rozpoczęciem oblężenia, bo widzę, że na nieszczęście często go będziemy potrzebować. Ale patrz, tam nasi giną! Jordan z Gozdawy dzielnie się potyka.

— Dzielnie — odparł Mestwin — dzielnie, na Boga, ale coś mi powiada, że nie długo kroku Mieczysławowi dotrzyma; dobrze, że Abraham nadszedł, żołnierze nasi przypatrują mu się z uwagą, powtarzając wyrazy: »Czary, czarnoksiężnik!«

— Czy piekło się na mnie sprzysięgło? — przerwał mu Zbigniew. — Już mało naszych się opiera. — Jordan wraca ich jednak do porządku dobrze, znów zacięty bój się wszczyna. Kazałem, by żaden nie tknął Mieczysława, bo i tak niedługie mu już dni zostały; zachowuję dla siebie przyjemność zabicia go własną ręką; ale co do tego Henryka, bodaj go szatan porwał, szkoda, żem go

tu nie zatrzymał! Łucznicy — dodał donośnym głosem — lepiéj mierzcie, prosto w serca wrogów, za rzadko trafiają wasze groty!

Tymczasem Wszebor starał się ciągle o przystawienie więcéj drabin, Sieciech zaś z drugiéj strony kierował oblężeniem; kazał szeregowi swoich żołnierzy w pewnéj odległości od murów wysypać wały, z za których bezpiecznie mogliby odpowiadać pociskom, z zamku rzuconym. Tą roztropną zatrudniony pracą, nie wiedział, że Mieczysław walczy na murach nieprzyjacielskich. Długiego czasu potrzeba było na usypanie tych szańców, ale nareszcie pomimo ciężkich strat, które co chwila doznawał, potrafił obrać korzystne stanowisko i zasłonić swoich od niebezpieczeństwa walczenia na otwartem polu przeciw nieprzyjaciołom, ukrytym w strzelnicach i wieżach. Równowaga między ginącemi z obu stron się ustaliła; na każden wystrzał z zamku odpowiadała strzała z za wałów usypanych, które, z świeżéj ziemi zrobione, wkrótce pokryte zostały mnóstwem chybiających pocisków. Z równem męstwem z obu stron wytrzymywano walkę, równa zręczność odznaczała obu wojsk żołnierzy; kilka razy Sieciech usiłował zbliżyć się do murów i, zapełniwszy fossę, szturm przypuścić, ale pomimo jego odwagi, pomimo dzielności Jarosza z Kalinowy, tyle tracono ludzi, jak tylko występowano z za szańców, że musiał, zaniechawszy tego zamiaru, poprzestać na własnéj obronie, czekając pomyślnych nowin od drugiéj połowy wojska, któréj nie mógł widzieć, oddzielony od niéj częścią rozległych murów, w kąt na równinę występujących. Miał jednak nadzieję, że kiedy się powiedzie Mieczysławowi, da mu on znać o tem i że Zbigniew, przymuszony zwołać swych ludzi do najważniejszego miejsca, ogołoci z części obrońców baszty, których dobywał, i że wtenczas łatwiéj mu będzie na nie się dostać. Oczekując tego wypadku z krwią najzimniejszą, wyznaczał każdemu miejsce i powinność.

Tymczasem Jordan z Gozadwy pełnił obowiązek dzielnego rycerza: jak tylko zbliżył się do miejsca walki, zaczął zachęcać już ustępujących przed Mieczysławem.

— Górą książe Zbigniew! — zawołał — za mną, wiara! za mną, bracia! strąćmy ich z tych murów!

— Górą Zbigniew, książe i pan nasz! — krzyknęli żołnierze i z odrodzonem męstwem wrócili do bitwy.

Niejeden jeszcze tu zginął, niejeden, ciężko raniony, musiał ustąpić, ale pozostali, widząc odwagę Jordana, wstydzili się uciekać, kiedy ich wódz, nie dbając o życie, na ciosy i śmierć tak pięknie się narażał.

Poznał Mieczysław, że nie potrafi utrzymać się na zajętem stanowisku, jeżeli nie zabije dzielnego przeciwnika, i do tego zwrócił wszystkie usiłowania. Trudno mu jednak było przerżnąć się przez tłum walczących do rycerza, siejącego postrach i rzeź dokoła; powstało największe zamieszanie i, kiedy nowe posiłki nadciągały po dwóch drabinach, których nie mogli obalić pomimo największych starań żołnierze Zbigniewa, Jordan, porwawszy ogromny kamień, tak zręcznie go rzucił, że połamał kilka szczeblów u pierwszéj drabiny; runęli ludzie, po niéj wdzierający się na mury, w głęboką fossę i jęki ich pomnożyły trwogę otaczających Mieczysława. Wkrótce i druga padła z łoskotem, a z nią zdawało się, że wszelka znikła nadzieja dla młodego księcia, już nielicznym wspieranego żołnierzem. Nie zmniejszyło to jednak zapału syna Bolesława i z nową wściekłością rzucił się pomiędzy nieprzyjaciół, zasłaniając się tarczą, znów mieczem, torując sobie drogę z wiernym giermkiem, kładł trupem opierających się, ale czuł, że już słabnie i że, jeśli dłużéj tak nierówna potrwa walka, niezbędnie zginąć mu przyjdzie. Dobywając więc wszystkich sił, roztrącił kilku żołnierzy, stojących przed Jordanem i wpadł na rycerza. Skrzyżowały się ich miecze, a ogień ich oczu wydał uczucia duszy. Zwarli się wstępnym bojem, zaczynając krwawy pojedynek, w którym okazywali, że jeden drugiego jest godnym, bo oba z największem męstwem i z największą walczyli zręcznością.

— Książę i panie mój — zawołał Mestwin na Zbigniewa, gdzieindziéj patrzącego — zwarli się, ciekawy jestem, na którym z nich wieczerzać dziś będą sępy.

Pojrzał w tę stronę Zbigniew i w téj saméj chwili dobył oręża.

— Już czas to zakończyć — rzekł — wcześniéj czy późniéj trzeba go zabić! Zapomniał chyba Jordan o moim rozkazie. Jordanie z Gozdawy — krzyknął całemi piersiami, biegnąc do niego — Jordanie z Gozdawy, złóż oręż, jeśli dbasz o moją łaskę!

Doszły te słowa do uszu rycerza. Schylił pałasz i wściekle go rzucił na stronę.

— Przez duszę Eryka Steifroka, któregom zabił w Prusiech, wolałbym zginąć z rąk kata, niż takie słyszeć rozkazy!

Szlachetny Mieczysław nie korzystał z téj chwili, żeby zamordować wroga, i, spuściwszy oręż, z najżywszą niecierpliwością czekał na Zbigniewa, wprost ku niemu lecącego.

— Dziękuję ci, Jordanie, za posłuszeństwo — rzekł książe przybiegając — teraz z tobą będzie sprawa! — i wpadł na księcia. — Niechaj mi nikt nie pomaga, niechaj nas nikt nie rozdziela! Do pochew oręże schowajcie wszyscy! Teraz ja zaczynam walczyć.

Tu dopiero poczęła się walka długa, uparta, któréj przypatrywali się wszyscy z trwogą i pewnym rodzajem uszanowania. Na każdéj twarzy można było wyczytać przykre oczekiwanie wypadku, który jedną lub drugą stronę miał w smutku i zgubie najgłębszéj pogrążyć. Nietylko na murach, ale i na równinie wszyscy bitwy zaprzestali i umilkli. Wszebor podniósł oczy do góry, a za każdem uderzeniem orężów coraz większą czuł bojaźń. Sieciech niepomału się zadziwił, kiedy wszystko w milczeniu grobowem się pogrążyło; nie wiedząc tego przyczyny, darmo starał się ją wyśledzić. Skarbimir nawet podniósł schyloną głowę i na chwilę zapomniał o pieniądzach, słowem wszyscy spuścili na dół miecze, łucznicy zarzucili broń na piersi, rycerze oparli się na pałaszach i pilnie najmniejsze dwóch przeciwników uważali poruszenia.

Zbigniew dziwił się, że tak długo mu się młody przeciwnik opiera, i natężał wszystkie siły na pokonanie jego. Syn dzielnego Bolesława za każdem uderzeniem czuł podwojone męstwo i z największą zapalczywością raz odpierał, znów wpadał na wroga. Poszczerbione

pałasze, pokrysowane zbroje dowodziły obu zręczności, ale krew dotąd nie płynęła i podobną była walka do igrzyska na turnieju. Wyćwiczony w setnych bojach Zbigniew zaczął jednak mieć przewagę; jednem uderzeniem oderwał przyłbicę od szyszaka Mieczysława, drugiem przeciął pas, który zawieszony na pancerzu utrzymywał pochwę, nie mógł go jednak przymusić do odstąpienia i jednego kroku. Nareszcie po długich usiłowaniach tak dzielnie uderzył o rękojeść pałasza Mieczysława, że ten opuścił rękę na chwilę.

Radość zajaśniała w oczach Zbigniewa. I już miał utopić oręż w piersi przeciwnika, kiedy nagle zbladł, skłonił głowę na piersi i przykląkł.

Strzała, rzucona z równiny, tkwiła mu w lewem ramieniu, a potoki krwi zbroję mu oblały.

Mieczysław, choć tęgim uderzony razem, nie odebrawszy żadnéj rany, wzniósł pałasz do cięcia, ale jego żelazo, spadając, odbiło się o miecz rycerza, który rzucił się między nim a Zbigniewem, krzycząc:

— Zanieście księcia do komnat i zawołajcie Żyda!

Zbigniew, niesiony przez wiernych żołnierzy, ustępował z pola bitwy, ostatnie słowa jego były:

— Mestwinie, zakazuję ci z Mieczysławem walczyć, bo on z mojéj ręki zginąć musi!

Słyszał dobrze słowa pana swojego Mestwin, ale jednak nie zaprzestał boju i zapewnie znużonego przeciwnika byłby pokonał, gdyby rzucający się z obu stron do broni żołnierze nie byli ich przedzielili w zamięszaniu.

Coraz trudniejszem stawało się położenie Mieczysława. Osłabiony, nie mógł z równą jak pierwéj potykać się dzielnością. Razy jego padały na zbroje wrogów, ale już do ich serca przedrzeć się nie mogły. Zasłaniał go Henryk i, jak lew rozjuszony, zaścielał trupami mury, ale napróżno tak bohaterskiego męstwa dawał dowody, bo Mestwin ściągnął z innych miejsc posiłki i coraz bardziéj nadchodzące hufce tłoczyły się na przerzedzonych obrońców Mieczysława. Widział książe, jak u stóp jego padali żołnierze, i mógł już porachować nielicznych, zostających jeszcze przy życiu towarzyszy.

Jeszcze dosyć długo trwała zacięta walka, aż dopóki sam tylko Mieczysław i Henryk nie zostali, bez żadnéj wprawdzie rany, ale do szczętu znużeni. Mestwin wołał głośno na żołnierzy, by giermka zabili, a pana starali się pojmać. Ostateczna zguba już blizką była tych dwóch młodzieńców, kiedy Wszebor po długich usiłowaniach potrafił przysunąć drabinę do murów o kilkanaście kroków od miejsca, w którem potykał się książe.

— Zatrzymajcie ich, niech nie dojdą do drabiny! — krzyknął Mestwin.

I sam na czele dobranych rycerzy chciał zabiedz Mieczysławowi, ale nim to mógł uskutecznić, już dzielny książe, stanąwszy z Henrykiem przy drabinie, skoczył na nią.

— Łucznicy — zawołał Mestwin — dosiągnijcie ich, pociskami dobrze wymierzcie! Kto trafi księcia, dwanaście sztuk złota dostanie!

Na te słowa wyleciała chmura strzał, z których żadna nie trafiła schodzących bohaterów. Po chwili Mieczysław z giermkiem dostali się na równiny. W téj saméj chwili ogromny kamień, rzucony przez rycerza z Wiederthalu, zwalił drabinę. Łucznicy znowu rozstawili się po basztach i dawna wróciła się bitwa, ale nie z taką odbywana jak rano prędkością, bo znużeni żołnierze dobrze naciągać łuków już nie mogli.

Tymczasem Sieciech, dowiedziawszy się o zdarzonych wypadkach przez Jarosza z Kalinowy, którego był posłał do Wszebora, przybył natychmiast z kilkoma rotami i Skarbimirem, którego wszędy z sobą wodził, ale już zastał Mieczysława u stóp murów, na których niedawno z tak bohaterskiem spotykał się męstwem.

— Górą książe Mieczysław! — krzyknął, uniesiony walecznością młodzieńca. — Do drabin, żołnierze moi, do murów!

I sam porwał drabinę i przystawił do wysokiéj wieży, ale teraz runął na nią kamień i w kawałki potrzaskana w fossę wpadła.

— Nic im już dziś nie zrobimy — rzekł Sieciech — przecież to od rana przepowiedziałem; trzeba żołnierzom i nam samym spoczynku. Moją radą jest wrócić do

obozu i, jeśli się podoba księciu Mieczysławowi, dam znak do odwrotu.

— Nie, nigdy! — krzyknął młodzieniec.

Sieciech wskazał ręką na trupy wiernych księcia towarzyszy, które częścią jeszcze na murach, częścią w rowie leżały.

— Czyż wszyscy dzisiaj mamy tak zginąć, książe? Czyż taka twoja wola? Wprzód usypmy szańce na polu, przygotujmy tarany, drabiny, chrósty, kamienie, zaopatrzmy się w oręż i żywność, przetnijmy dowozy do zamku, poczekajmy na posiłki, z Ciechanowa przybyć mające, a wtenczas żołnierze z większą ufnością pójdą do boju! Nareszcie wszyscyśmy znużeni i trzeba nam kilka dni odpoczynku, to na wyleczenie rannych, to na pochowanie zabitych, to na pokrzepienie osłabłych; ale zresztą czekam na oznajmienie twéj woli, książe.

— Przystaję na twoją — odparł Mieczysław — uznając roztropność rad twoich, ale nim nakażemy odwrót, wprzód jeszcze świętéj wdzięczności nas wzywa obowiązek, który najchlubniéj na tem krwawem pobojowisku spełnić. Henryku, zegnij kolana!

Przykląkł na rozkaz pana giermek, a książe Mieczysław uderzył go w ramię po trzykroć skrwawionym mieczem.

— W imieniu — rzekł — Boga, Najświętszej Panny, świętego Michała i Stanisława, pasuję cię na rycerza, Henryku z Kaniowa; bądź rzetelnym, pobożnym i walecznym, a na znak swojéj godności przyjm ten upominek odemnie!

To mówiąc, zdjął świetny łańcuch złoty z piersi i zarzucił go na szyję Henryka, którego własną podniósł ręką, dodając, że mu najmiléj będzie, jeśli przy jego boku pozostać zechce.

— Ciebie bronić i tobie służyć pierwszą zawsze dla mnie powinnością będzie, książe i panie mój! — odpowiedział rycerz Henryk z Kaniowa, kiedy tymczasem grad pocisków nieustannie raził oblegających.

— Wojewodo krakowski — zawołał Mieczysław — daj znak do odwrotu!

Natychmiast zagrzmiała trąba; usłyszane to hasło

wstrzymało od bitwy wszystkie wojska szeregi. Zwinięto sztandary, odsunięto tarany, pozbierano, o ile można było, trupy i z tym smutnym morderczéj walki dowodem zaczęły ustępować hufce. Wodzowie szli za swojemi rotami. Ostatni raz strzały wysypały się na nich z zamku Zbigniewa, ale nie wielu trafiły. Wieczór się już zbliżał; słońce zapadało, otoczone orszakiem chmur złotych, jak król, odchodzący ze swojemi dworzany. Czasami odzywały się tłumne głosy, czasami słyszano piosnkę żołnierską, a wkrótce potem wojsko weszło do obozu, gdzie ze smutkiem liczyli wojownicy nader mnogą liczbę namiotów opuszczonych, pozbawionych już swoich rycerzy.

ROZDZIAŁ XI.

Turnieje, zabawy rycerskie, niech ukołyszą wzburzone serca przeciwników, niech sobie dłoń podadzą bratnią!

Stary romans.

Zboczymy teraz od głównych osób naszéj powieści, wracając do biskupa Stefana, który, odjechawszy w chwili rozpoczęcia walki, smutnie zbliżał się do Płocka.

Puściwszy wolno cugle koniowi, rozmyślał starzec nad nieszczęśliwemi skutkami domowéj wojny i niezgody i szukał jeszcze sposobów odwrócenia ich. To cichą serca modlitwą błagał Boga, to znów, pogrążony w zadumaniu, ważne odkrywał widoki i nowe przedsiebrał zamiary. Daremno towarzyszący rycerze chcieli przerwać jego czarną smętność; nie zważając na ich mowy, spokojnie w milczeniu jechał, ale kiedy już stałe powziął przedsięwzięcie, kiedy znalazł sposób, którym się spodziewał, że zaradzi nieszczęściom ojczyzny, ściągnął osłabłą ręką wodze u konia i krok jego przyśpieszył. Dostawszy się do Płocka, zsiadł przy swojem mieszkaniu, złączonem z kościołem katedralnym, i wszedł do niego; ale kiedy wszyscy sądzili, że myśli odpocząć po tak męczącej drodze, znów go ujrzeli wracającego na ganek i na koń siadającego. Ale nie ku obozowi już się teraz obrócił, udał się w najludniejszą stronę miasta i po kilku chwilach wjechał na dziedziniec zamku królewskiego. Zostawiwszy konia jednemu z swoich koniuszych, wszedł sam do sieni, znikł z oczu zdziwio-

nych dworzan, którzy nie wiedzieli, co rokować z tak nadzwyczajnego pośpiechu w osobie tak wysokiéj godności i lat tak podeszłych.

Wielki sokolnik Wolimir z Moskorzewa siedział w przedpokoju królewskim, pustym teraz, bo wiele osób, zwyczajnie go zapełniających, udało się częścią do Zbigniewa, częścią do Mieczysława. Bez wątpienia myślał o przyjemnym dla siebie przedmiocie, bo uśmiech całą twarz mu rozjaśnił, a pukiel czarnych włosów, któremu z umileniem się przypatrywał, trzymał w prawéj ręce, na lewéj zaś sokół ulubiony trzepiotał skrzydłami.

Zapewnie głęboko musiał się zastanowić nad drogim upominkiem, bo nie słyszał otwierających się drzwi za sobą i dopiero za dochodzącemi go słowy:

— Wolimirze! czy można naszego miłościwego króla oglądać?

Odwrócił się i ujrzał stojącego Stefana.

Zawstydzony, że go biskup podszedł, kiedy rozmyślał o rzeczach tak światowych, porwał się natychmiast z krzesła, schował przedmiot miłosnych dumań i odpowiedział, że, choć najjaśniejszy pan słaby na zdrowiu, zapewnie jednak nie odmówi odwiedzin biskupa płockiego.

— Oznajm mu więc, proszę cię, moje przybycie i powiedz, że ważne przynoszę nowiny!

Poprawił trochę pomięty kołnierz wielki sokolnik, otarł rękawicą buty, wziął do ręki czapkę z czaplemi pióry, przypasał pałasz, leżący na stole, i udał się do Władysława Hermana; niezadługo potem wróciwszy, wprowadził biskupa do króla polskiego, który spoczywał na łożu, osłonionym bogatą makatą, i ciężkie koił boleści ciągłemi modły.

Ledwo wszedł biskup do pokoju, aliści Władysław powstał i, opierając się na ręku:

— Co się stało ze Zbi... — zawołał i zatrzymawszy się: — Wszebor, Mieczysław co robią? Ale czegoż mam ukrywać słabość moją? Zbigniew, Zbigniew! Co się ze Zbigniewem stało, kapłanie?

— Królu i panie mój, Zbigniew jest w swoim zamku. Tam go przynajmniéj zostawiłem.

— Cóż mówił? cóż zamyślał, biskupie? czy nie ranny? czy zdrów? — zapytał król, zapominając o tem, że Stefan nie był walce przytomny.

— Starałem się — odrzekł biskup — namową odprowadzić go od nieszczęśliwych wojen, wystawiałem mu wszystko, co sądziłem być zdolnem do wzruszenia jego serca, ale chęć sławy, namiętność do bitew, przemogła nad moje rady i teraz zapewne bój się już toczy.

— Twoja to wina, krwi pragnący kapłanie! — zawołał król w rozpaczy — Tyś mię przymusił wydać rozkaz Sieciechowi do bitwy! Tyś uzbroił moją rękę na syna, ty, wyzuty z najmilszych uczuć, rozerwałeś, rozszarpałeś moją duszę, tobiem winien strapienia, zgryzoty, a wkrótce może i stratę syna! Stefanie, gdyby nie twoje namowy i groźby, teraz może przy Zbigniewie doznawałbym najżywszych miłości ojcowskiéj wzruszeń. Nie musiałbym się co chwila obawiać o śmierć mojego dziecięcia, co chwila wyobrażać sobie podniesione nań miecze lub utykające w jego piersiach strzały. Użyłeś za narzędzie swoich zamiarów słów boskich, pogroziłeś mi piekłem, obiecywałeś zbawienie; gdzież to zbawienie, kapłanie? gdzież ta nagroda sprawiedliwości? Może nazwiesz nagrodą żal, zapełniający mój umysł, boleść, przerażająca me serce, przerażenie, ściskające wszystkie moje siły? Tyś wszystko pogmatwał, tyś wszystko pogmatwał, tyś wszystko na złe obrócił, a teraz jeszcze, jak duch piekielny, przychodzisz się urągać z twojéj ofiary!

Wytrzymał tę burzę biskup z największą spokojnością od początku do końca, nareszcie, kiedy król przestał mówić i opadł na łoże, z uroczystą ozwał się powagą:

— Panie mój miłościwy, widzę z żalem, jak daleko szlachetne i chlubne twego serca przymioty mogły cię unieść; wszystko ma przeznaczone dla siebie granice, a miłość ojcowska nawet ich przekraczać nie powinna. Dla przywar i występków syna nie godzi się cały naród poświęcać i poddanym krzywdy wyrządzać! Nieszczęście zesłało na twoją głowę trudne do zniesienia

ciężary, bo przyznaję, że syn, nieposłuszny i nie odpowiadający staraniom ojca, najboleśniejszym jest ciosem; możesz go żałować, możesz opłakiwać jego błędy, ale nigdy im pobłażać, kiedy jeszcze tyle dzieci innych, poddanych przez Boga twojéj opiece, woła o sprawiedliwość. Wspomnij, królu, na tego patryarchę, szanownego sędziwym wiekiem i tyloma cnotami, wspomnij na jego syna, tak różnego od dzisiejszych synów, tak pobożnego ku Stwórcy, tak posłusznego swojemu rodzicowi! A jednak ojciec za rozkazem Pana niebios nie wahał się wznieść noża ofiarnego na głowę niewinną swojego dziecięcia. Porównaj jego położenie z twoim, jego poświęcenie z własną słabością! Królu Lechii, zbierz siły i mocny otuchą, że Bóg sprzyja cnocie, przestań narzekać na Niego, schyl głowę przed sądami Stwórcy i posłuchaj rad moich, posłuchaj, jaki sposób wynalazłem do uratowania Zbigniewa, do pogodzenia go z Mieczysławem!

— Jakiż to sposób? — zawołał król, który już, przestraszony własną śmiałością, gotów był błagać o przebaczenie biskupa. — Jakiż to sposób, święty Boga pomazańcze? Daruj mi niebaczną mowę! Uniósł mię gniew niesprawiedliwy, bezbożny, ośmieliłem się powstać na człowieka bożego. Zapomnij o tem, biskupie płocki! Król Polski przeprasza ciebie i zarazem Boga, którego jesteś pośrednikiem na ziemi; powiedz, co odkryłeś na wyratowanie Zbigniewa, na ocalenie syna mojego i ojczyzny razem!

— Miłościwy mój panie — odparł biskup — twoje uniesienie już z mojéj uszło pamięci, człowieka słabość ustąpiła przed uszanowaniem, winnem mojemu monarsze. Byłem w zamku Zbigniewa, widziałem przygotowania do bitwy, widziałem twarz jego, zachmurzoną żalem i wyrzutami sumienia, ale źli doradzcy, ale szatan, wszędzie mu towarzyszący, ten rycerz niemiecki, odwiedli jego kroki od cnoty i sławę, o którą się ubiega, wskazali mu wpośród zbrodni i morderstw. Bóg nieprzebrany w litości może go jeszcze nawrócić do siebie; spoglądałem nań z uwagą, kiedy mi przyszło twe imię wymówić, i dostrzegłem na licach uczucia

skołatanéj duszy; nazwisko ojca go wzruszyło, pamięć na ciebie wprawiła w wahanie i mam słuszne przyczyny do wnoszenia, że, gdyby łzy twoje ujrzał, napomnienia usłyszał, dobroć poznał, wtenczas-by się rozczulił i dla ojca odrzekł się niegodnych związków i niegodnych czynów.

— Biskupie — rzekł król słabym głosem po chwili namysłu, podczas któréj zdawało się, że sobie coś przypomina — kocham go nadewszystko, ale dobrze pamiętam, jak niedawno temu zaparł się przedemną występku swego, jak dał słowo, że nic nie wie o porwaniu Hanny. Syn, którego wychowałem, pieściłem w dzieciństwie, który nieraz spoczywał na mojem łonie, obrócił się przeciwko mnie samemu, oszukał moją dobroć, ufność zdradził, przysięgając, że nie spełnił zbrodni, do któréj wszystko go teraz zmusiło się przyznać. Ile razy mówiłem mu dawniej: »Zbigniewie, jeśli co złego popełnisz, przyznaj się ojcu! U niego pobłażanie i miłość znajdziesz. Chytrzy, fałszywi przyjaciele namówią cię do jakiego występku, nieostrożny wpadniesz w przepaść, ale on cię z niéj wyrwie, jego wyrzuty ciebie straszyć nie powinny, bo zawsze w pośród nich przebaczenie rozeznasz«. Ale odstąpił teraz Zbigniew odemnie, zasiadł w swoim zamku pomorskim i otoczył się cudzoziemcami. Donosili mi przyjaciele o gwałtach i ździerstwach, które popełniał. Wierzyłem czasem, najczęściej miłość ojcowska mnie zaślepiała, ale nareszcie przekonałem się o mojem nieszczęściu, rozerwana zasłona spadła mi z oczu, zniknął cel moich starań i najdroższych uczuć, a został zbrodniarz. Ach! syn mój zbrodniarzem!... Biskupie, ty tego nie czujesz, tyś nigdy nie miał dzieci, tyś nie patrzał na młode ich lata okiem pełnem nadziei, tyś nie pielęgnował téj młodéj latorośli, tyś ją nie okrywał cieniem własnych gałęzi i nie czujesz teraz, jak ona się wzniosła, okrążyła pień zastarzały, nie czujesz, jak codzień, pnąc się do góry, coraz mocniéj go obejmuje, ściska i przytłumia! Poświęciłeś się Bogu, a żadna myśl ziemska nie przerwała spokojności twéj duszy. Ale prawda jest, że grzech daje zawsze grze-

chowi początek. Grzech go na świat wydał, a zbrodnia przyjęła jeszcze w powiciu i napiętnowała cechą zniszczenia i zaguby. Ach! jakem nieszczęśliwy, biskupie!...— Tu oddech przerwany zatrzymał Władysława. Załamał ręce i wzrok wlepił w Stefana, który z trudnością łzę wstrzymywał w oku.

— Nie opuszczaj się tak, panie mój! — zawołał biskup — i jeśli ziemia dla ciebie zdrajców tylko wydała, jeśli świat znikomy zawiódł twoje nadzieje, niebo ci się zostaje, otwarte są jego bramy przed skruchą i zmartwieniem!

— Niebo, ach niebo! — odrzekł król polski — tak, niebo, ale nie będzie tam Zbigniewa! — I zalał się rzewnym płaczem.

— Może Bóg pozwoli...

— Nie, ach! Bóg jest sprawiedliwy, przebrała się miara jego przestępstw. Morderca, zbrodniarz, zatruwający starość ojca, walczący z bratem, nie znajdzie wstępu do przybytku cnotliwych.

— Królu mój miłościwy, czas upływa, chwile nam drogie na narzekaniach przepędzamy; Władysławie Hermanie, królu polski...

Ale nadaremno głos biskupa obijał się o głuche sklepienia, bo już nie dochodził do uszu przygniecionego strapieniami ojca.

Zawarł oczy Władysław, sine plamy lica mu pokryły i zdawało się, że już żelazna ręka śmierci cięży na nim.

Przerażony biskup zawołał na Wolimira. Ale wielki sokolnik, niespodzianie zaskoczony, musiał znów odzież poprawić, pukiel czarnych włosów schować i, przerywając swoje dumania, wybrać się do pokoju królewskiego; kilka chwil uszło, nim odpowiedział na głos Stefana, kilka drugich upłynęło, nim porwał sokoła. A kiedy stanął u drzwi komnaty, niebezpieczeństwo Hermana doszło do najwyższego stopnia.

— Rzuć niepotrzebnego ptaka i pomóż mi ratować swego króla i pana, opieszały sługo! — krzyknął Stefan, podnosząc głowę monarchy.

— Nie tak opieszały, jak ci się zdaje, szanowny bi-

skupie! — odparł Wolimir i, wyjąwszy z sukni flaszkę, napełnioną mocnym płynem, zaraz króla zaczął ocucać, opowiadając Stefanowi, że jeszcze nad brzegami Sekwany, które kiedyś odwiedzał, uzyskał był od damy dworu królowéj francuskiéj ten upominek, nie odstępujący odtąd nigdy jego piersi, a wielce w téj chwili przydatny Władysławowi, bo po chwili wolniéj oddychać zaczął, podniósł głowę, otworzył oczy i niezadługo potem pożegnał sokolnika, dziękując za ratunek i mówiąc, że chce sam na sam z biskupem zostać.

— Lepiéj, żebym już zginął — rzekł do Stefana — tak spokojnie, tak cicho w mojem sercu przez kilka chwil było, a teraz wrócony życiu znowu czuję i widzę moje nieszczęście!

— Stałość i moc duszy powinna znamionować tych, których Bóg za władców ziemi przeznaczył! — odpowiedział biskup. — Królu, dosyć już czasu strawiliśmy na płaczach, przystoi nam pomyśleć nad zaradzeniem klęskom krajowym i osobistym!

— Mów więc, co sądzisz być do tego przydatnem, bo ja cię słuchać tylko mogę!

— Pewny jestem — zawołał biskup — że przytomność, że głos ojca zmiękczą Zbigniewa; koniecznie rozkaż mu się stawić w tym zamku przed sobą, jedyny to sposób, inszego nie upatruję, choć uważnie okoliczności z ich powodami i skutki rozważyłem! Wśród burz namiętności, wśród uniesień szału zapalczywego, jeden tylko głos przyrodzenia powstać i utrzymać się może. Roztropność wieku sędziwego, świętość wiary, nic na hardym księcia umyśle dotąd nie zdziałały, ostatni ratunek pozostaje w tych skrytych w głębi serca uczuciach, które, długo stłumione, odzywają się nareszcie i, często błądzącego z brzegu przepaści odrywając, w postaci bohatera pod nieba unoszą. Tych się chwycić trzeba, te poruszyć należy, a niewątpliwie, że Zbigniew padnie do nóg ojcu i winy swe uzna!

— Dałby to Bóg! Ale jakże go tutaj sprowadzić? Nie zechce wyjść z swego zamku, Mestwin go zatrzyma. Ach, Boże, jakżeś srogo mię ukarał!

— Właśnie w tem cała trudność polega — rzekł

Stefan — twoja powaga powinna synowca na pewny czas wstrzymać od walki, a Zbigniew, nie mając z kim walczyć, tu się stawi. Nie będzie on śmiał stargać świętych związków, łączących go z ojcem, jak tyle innych już w życiu potargał. Trzeba kogoś wysłać do niego. W tem wybór do ciebie, królu, należy.

— Wybierz sam, biskupie, bo mój umysł osłabły do niczego nie zdolny! Ach, Boże! Ach, Zbigniewie, ty nie wiesz, co cierpi twój ojciec!

— Zdaje mi się — odpowiedział Stefan — że zdatnym jest do tego Wolimir z Moskorzewa, wielki sokolnik.

Pomyślał król przez chwilę.

— Wolimir — powtórzył — wierny jest naszéj osobie, ale zbyt często unosi się gniewem, zbyt roztargnionym i lekkim jest do takowéj sprawy. Jego więc wyszlę do Skarbimira, tego nieoszacowanego doradcy, tego roztropnego . . .

— Przepraszam cię królu mój miłościwy — rzekł biskup — że ci śmiem przerywać. Skarbimir z Gulczewa może mieć piękne przymioty, lecz na męstwie i stałości, potrzebnéj w takim razie, zupełnie mu zbywa. Ja to mówię, królu i panie mój, nie w chęci złośliwego osądzenia bliźniego, ale powodowany gorliwością w usłużeniu tobie.

— Mylisz się Stefanie, Skarbimir z Gulczewa przywiązany jest do mnie oddawna. Wszystko, co wie, co czuje, wynurza przedemną, a szczere jego serce nic skrytego przed moim wzrokiem nie zawiera. Proszę cię więc, byś zawołał Wolimira. On naszą wolę i polecenia poniesie dziś jeszcze do Mieczysława i pana Gulczewa.

— Niech więc tak się stanie, jak żądasz, najjaśniejszy panie! — Wolimirze z Moskorzewa! Wielki sokolniku Wolimirze!

Tego razu drzwi się prędzej otworzyły i wszedł Wolimir, pytając króla o rozkazy.

— Opowiedz mu wszystko, święty biskupie, bo ja nie czuję się na siłach! Ach, Zbigniew, Zbigniew!

— Wolimirze — rzekł biskup — król Władysław

przeznacza cię do ważnego poselstwa, które odbędziesz do obozu oblegających zamek księcia Zbigniewa.

— Przedziwnie! — zawołał sokolnik — przedziwnie! Gotów jestem na wszystko. Może po drodze znajdę stado kuropatw, a mój sokół...

— Zostaw sokoła, Wolimirze z Moskorzewa — daléj mówił biskup — i pilniéj zważaj moje słowa! Przybywszy, oznajmisz księciu Mieczysławowi, że jego król i stryj żąda, by wojny na krótki czas zaprzestał. To samo wojewodzie krakowskiemu powiesz, Skarbimirowi zaś z Gulczewa ogłosisz wolę królewską, by natychmiast udał się do Zbigniewa i w imieniu ojca i króla zaprosił go do Płocka, na rozmowę z naszym monarchą, ręcząc mu, że podczas tego przeciwna strona do oręża się nie weźmie.

— Na Boga i świętego Huberta przysięgam to wszystko spełnić jak najprędzéj, ale dzisiaj zdaje mi się, że już nie czas wyjeżdżać, bo zastanę wojska walczące, a głos jednego człowieka nie wróci do pokoju i porządku tysiące rozłożonych po szerokiéj równinie i pałających namiętnością do boju; jednak, jeśli rozkażesz, miłościwy królu, natychmiast wyruszę.

— Ma prawdę za sobą Wolimir — ozwał się Władysław. — Jutro rano wyjedziesz, by tylko przed świtem jeszcze.

— Drugą uczyniłbym uwagę — rzekł Wolimir — gdyby na to król mój i biskup płocki pozwolili..

— Mów, wielki sokolniku! — było odpowiedzią monarchy.

— Nie obrażaj się, miłościwy mój panie — rzekł więc Wolimir — jeśli ci przedstawię, że nie tak łatwo zwabić księcia Zbigniewa, osobliwie w takim stanie rzeczy! Skarbimir z całą swoją wymową nic nie zdziała i lis szlachetnego nie przyciągnie orła. Pamięć nawet na ciebie, wątpię, by tyle poruszyła księcia, żeby chciał na pierwsze zawołanie ojca opuszczać swoich ludzi i oblężony zamek, zostawując przed jego murami wrzącego ku sobie gniewem brata i sławnego z dzieł wojennych Sieciecha. Zdaje mi się, że lepiejby było inaczéj księcia Zbigniewa przymusić do widzenia się z tobą,

najjaśniejszy panie, ale potrzeba wtenczas przyczyny, którejby skutkiem było ustąpienie jego nieprzyjaciół z pobojowiska. Czyby jaka zabawa rycerska, turnieje naprzykład, tu się nie przydały? Dzień twoich urodzin, najjaśniejszy panie, niedaleki. Możemy łowy świetne wyprawić. Mnóstwo sokołów, psów, łowców, czeka na skinienie twoje.

— Dobra myśl — przerwał Stefan — i radzę ci, królu, byś ją przyjął. Turniej osobliwie łatwiejszemby uczynił ich pogodzenie i świetnościby mu dodał.

— Kiedy tak chcecie — odparł Władysław — urządźcie to oba; słabość, a nadewszystko smutek siły moje nadwerężył!

— Na turnieju — dodał Wolimir — łatwo ci będzie ich pogodzić, najjaśniejszy panie, bo sława wszystko tam pobudza; gdzie idzie o sławę, nikną insze namiętności, jak przed moim sokołem siwek lub kobuzów stada.

— Trafne porównanie — odparł Stefan, nie mogący lekkiego wstrzymać uśmiechu. — Więc za sześć dni igrzyska rycerskie się otwierają.

— Tak, za sześć dni, to jest we czwartek, jeśli się nie mylę, w dzień urodzin Władysława, króla polskiego, odbędzie się turniéj w mieście Płocku, na który imieniem najjaśniejszego pana Skarbimir z Gulczewa ma zaprosić księcia Zbigniewa i Mieczysława, rozumie się z innemi także. Wszystkiego zaś ma być główną sprężyną wielki sokolnik Wolimir z Moskorzewa, wyruszający jutro przededniem, wracający wkrótce potem i urządzający podług wszelkich prawideł rycerstwa ów turniéj, który pogodzi rodzinę królewską.

Po tych słowach głęboki oddał panu swemu pokłon i wyszedł z komnaty.

— Pierwszym warunkiem zaś będzie w tym turnieju — ozwał się biskup — ażeby ani Mieczysław ani Zbigniew doń się nie mięszali, a kiedy wszyscy, zabwą zajęci, ubiegać się będą o chwałę, znajdziesz czas, panie i królu mój, do pomówienia z jednym i drugim, do zbliżenia serc rozjątrzonych i załagodzenia sporu. Wiele ci zapewne trudu stąd wyniknie, ale pa-

miętaj, miłościwy panie, że to jedyny w téj mierze ratunek!

— Zrobię to, zrobię — odpowiedział Władysław — poświęcę się dla Zbigniewa, nie opuszczę syna w potrzebie, synowca uratuję, pokój, cnota...

Chciał daléj mówić, ale osłabł nagle, spuścił głowę na piersi i zalał się łzami, a kiedy biskup pocieszać go zaczynał:

— Zostaw mnie teraz — rzekł — szanowny Stefanie, udam się do modlitwy, która może zgoi ciężkie rany!

Kapłan, szacując tę pobożność, opuścił go w milczeniu, odchodząc nie omieszkał powtórzyć Wolimirowi raz już danego zlecenia.

— Zobaczysz, szanowny biskupie, jak pięknie się sprawię — zawołał wesoły sokolnik. — Nie znam się na locie ptaków, ani na łowach, jeśli nie pogodzimy tych młodzików; poselstwo z przykładną powagą odbędę, Skarbimirowi męstwa natchnę w serce, co najtrudniejszem będzie ze wszystkiego. Ale, na wszystkie sokoły w Polsce, zapomniałem, że mi jutro przed wschodem słońca wstać potrzeba i że się nie wywczasowawszy mogę zasnąć w obozie i źle się spisać. Więc żegnam cię, biskupie, i zabieram się do spoczynku; w téj komnacie noc przepędzę, gdyż dzisiaj jestem, jak to najczęściéj się zdarza, na służbie.

To mówiąc, obwinął się płaszczem i usiadł w szerokiem krześle...

— Gdyby król mocno zasłabł, natychmiast każ mi o tem donieść, Wolimirze! — były ostatnie słowa odchodzącego Stefana, ale podobno ich wielki sokolnik nie słyszał, gdyż, snem twardym ujęty, marzył już o sokołach i puklach dziewiczych.

ROZDZIAŁ XII.

Oj, nie bardzo sobie życzę
Oglądać jego oblicze.
Gotów w zapale wściekłości
Wszystkie potrzaskać mi kości.

Piosnka gminna.

— Stój! Jakie hasło? — krzyknął żołnierz, stojący przy końcu obozu, rozwiniętego przed murami Zbigniewa, na człowieka, który jeszcze przed wschodem słońca na rozpędzonym przybiegał koniu.

— Stój! — powtórzył — jeśli nie chcesz z życiem się rozstać!... Jakie hasło?

— Na wszystkie sokoły — odparł jeździec — nie znam twego hasła, puszczaj mnie, bo na Boga, spieszyć się muszę!

— Stój! — groźnie po trzeci raz ozwał się żołnierz i pikę w pierś konia skierował.

— Do szatana, na piekło i Belzebuba, człowiecze, co robisz? Przybywam od króla Władysława, puszczajże mnie, bo, na wszystkie orły gór karpackich, niemiłem ci będzie moje przywitanie! Czyż nie znasz wielkiego sokolnika Wolimira z Moskorzewa?

— Nie znam, tak, jakem Michał z Jarłuty — krzyknął zawzięty żołnierz — i choćbyś tu godzinę mi wyliczał swojéj godności imiona, nie puszczę cię, nim mi hasło powiesz, lub przez moje ciało przejedziesz!

— Piekielnieś uparty, Michale! Przysięgam ci, żem Wolimir; król nasz Władysław, o którym już musiałeś słyszeć, przysyła mnie do księcia waszego.

— Nie łudź mnie na próżno — odmruknął strażnik — bo nic dla ciebie uczynić nie mogę!

Podczas tego sporu kilku innych żołnierzy zgromadziło się wokoło towarzysza, chwaląc głośno jego pilność i ostrożność; na nieszczęście żaden nie znał Wolimira, bo właśnie wielki sokolnik trafił na hufce Wszebora, które, niedawno z Ciechanowa przybyłe, nikogo w Płocku nie znały.

Tymczasem chmury, okrążające niebo, poszły w rozsypkę na wszystkie strony i, oświecone najżywszemi farbami, zdawały się w uszanowaniu czekać wschodu słońca. Dzień coraz się jaśniejszym stawał. Lały się potoki ognia na błękitne sklepienia, a wreszcie gwiazda światłości ukazała się w całym przepychu złotych i purpurowych promieni. Ten widok podniecił gniew sokolnika.

— Do dyabła, spóźnię moje przybycie; co król, co biskup powiedzą? Żołnierzu, puść mnie natychmiast, bo przysięgam, że zdrowo nie wyjdziesz z téj sprawy! Puszczaj, bo cię zwalę pod końskie kopyta!

— Precz ztąd, zuchwalcze! — zawołali wszyscy, ujmując się za towarzyszem, ale zniecierpliwiony Wolimir spiął rumaka i rzucił się pomiędzy tłum żołnierzy; z początku odstąpili, ale potem, ścisnąwszy swe koło, zatrzymali wielkiego sokolnika, który widząc, że trzeba się chwycić ostateczności, dobył oręża. Ale nie ochroniłoby to go od grożącego niebezpieczeństwa, gdyby głos, w téj saméj chwili usłyszany, nie zatrzymał dzikich wojowników.

— Co się to znaczy? Niech każdy wraca na swoje miejsce! Precz stąd, żołnierze! — i ukazał się Jarosz z Kalinowy, który na szczęście Wolimira nadszedł przypadkiem w tę stronę.

— To szpieg, to zdrajca! Powroza! powroza! Zawlec go do najbliższego drzewa!

— Do stu tysięcy strzał i łuków, precz mi stąd, motłochu! — krzyknął Jarosz.

Natychmiast cofnęli się żołnierze, a Wolimir podziękował dobrze sobie znanemu towarzyszowi woje-

wody krakowskiego, by go zaprowadził do namiotu księcia Mieczysława.

— Ale jakim sposobem to się zdarzyło, wielki sokolniku? — rzekł Jarosz. — Prawda, że to wieśniacy, chłopi, ci żołnierze z Ciechanowa, my co innego, przecie zawsze stoimy zimą i latem w królewskim zamku.

To mówiąc, pokręcił wąsa i ukłonił się Wolimirowi, który, obtarłszy zakurzoną odzież, z wytworną postawą gotował się iść do księcia.

— A cóż chcesz? — odpowiedział — przybyłem tu, a kiedy nikt mnie nie znał, chciałem się z nimi zapoznać. Lecz ponieważ i wielcy sokolnicy nic nie mogą przeciwko tysiącom poradzić, zapewniebym bez twojéj pomocy życie i urząd postradał. Ale kiedy to wszystko teraz w żart się obróciło, macie, moi przyjaciele! — i rzucił z obojętnością pańską niedawno zawziętym na siebie garść pieniędzy. Poczem oddalił się z Jaroszem, poprawiając podczas drogi bogaty pas, na którym wisiał pałasz i kołnierz szerokiego płaszcza, spiętego złotą klamrą, którą, jak to opowiadał Jaroszowi, w Paryżu na turnieju był odebrał z rąk niezrównanéj piękności.

— Król Filip wtenczas siedział — ciągnął daléj — na tronie, a wszystkie dziewice Franków, wszystkie róże Prowancyi zgromadzone patrzały na nasze igrzyska i gonitwy; pamiętam, jak gdyby to się dzisiaj działo, żem zwalił z konia Enguerranda de Montemor, wielkiego koniuszego króla, a oklaski wszystkich i wieńce z kwiatów spadały na mnie, cudzoziemca, z dalekich krajów przybyłego. Był jeden wieniec droższym mi od wszystkich, bo rzucony ręką Eleonory de Montmorency....

— Już jesteśmy u namiotu księcia Mieczysława — przerwał mu Jarosz, który, pierwszy raz słysząc o Paryżu, królu Filipie, Enguerrandzie i Eleonorze, nie wiedział, czy te osoby na ziemi lub na księżycu przesiadują....

— Szkoda, że nie trochę daléj go książe wystawić kazał, bobym ci mój opis dokończył, ale teraz muszę cię pożegnać.

Po odejściu towarzysza przez chwilę stał przed szerokim namiotem wielki sokolnik i dał znak żołnierzowi, pełniącemu tam służbę, by go jeszcze nie wprowadzał; wyjąwszy pałasz z pochwy, przeglądał się w jego klindze, czystéj jak kryształ, która nieraz podczas boju lub łowów za zwierciadło mu służyła. Zadowolony z własnéj postawy, z ułożenia włosów i całego stroju, postąpił daléj i wszedł do namiotu, w którym właśnie odbywała się narada wojenna, złożona z księcia, wojewody, pana Ciechanowa, Skarbimira z Gulczewa i wyniesionego świeżo na godność rycerską Henryka z Kaniowa.

— Witam cię, książe, i was, panowie, z życzeniem jak najlepszego dnia, nie opuszczając najpiękniejszych nocy. Zapewnieście trochę zdziwieni mojem przybyciem? Przysłał mnie najpotężniejszy i najjaśniejszy Władysław I., król polski.

— Witamy cię nawzajem — odparł Mieczysław — i niezmiernie nas uciesza twoja przytomność. Jakże się mój stryj miewa? Jakież są jego rozkazy?

— Co do pierwszego, odpowiem, że nie najlepiéj. Co do drugiego, to właśnie będzie następnéj mowy przedmiotem, — mowy, którą proszę słuchać z uwagą, tak, jak gdybyście własnego monarchy słuchali, gdyż jego wolę wam oświadczę. Wstęp do téj mowy krótki i zwięzły, składa się z tego, że mnie król Władysław przysłał. Osnowę zaś dzielę na trzy części.

— W pierwszéj ogłaszam wolą króla polskiego zawieszenie broni, sześć dni trwać mające.

— W drugiéj oświadczam, że w przyszły czwartek, w dzień urodzin najjaśniejszego pana, odbędzie się turniéj na rynku płockim, na który zapraszam imieniem mego króla i pana księcia Mieczysława, Sieciecha, wojewodę krakowskiego, Wszebora, pana Ciechanowa, Skarbimira, pana Gulczewa i Kościelca, i wszystkich, którzy tam zechcą się stawić.

— Przystępuję do trzeciéj i ostatniéj części, w któréj pozostaje mi powiedzieć Skarbimirowi, panu Gulczewa i Kościelca, że go król Władysław przeznaczył do świetnego i chlubnego poselstwa, które ma odbyć

natychmiast do księcia Zbigniewa, żeby go zaprosić na turniéj i ogłosić mu zawieszenie broni, po którego upłynieniu, jeśli zechce, znów rozpocznie wojnę.

— Domówienie należałoby teraz uczynić, ale na wszystkie dziewice Prowancyi przysięgam, że nie czuję się więcéj na siłach i że dobre śniadanie najlepiéjby temu zaradziło.

— Żart przedziwny! — rzekł Skarbimir, drżący ze strachu.

— I ja tak sądzę! — zawołał Mieczysław.

— Wielki sokolniku, ja dodam — rzekł Sieciech — żeś źle się wybrał z takiemi żarty.

— Na wszystkie sokoły i orły, na wszystkie czarne i błękitne oczy, na krucze i bursztynowe dziewic warkocze, na ten pałasz u mojego boku, na wszystkie turnieje całéj Europy, nareszcie na przedmiot moich myśli i miłości, przysięgam, żem prawdę powiedział!

— Dajże już pokój — ozwał się Wszebor — bo wprawisz nas w mniemanie, żeś oszalał, lub zanadto winem...!

— Przysięgam słowem rycerskiem, żem przysłany od króla i że wszystko, com wam powiedział, pochodzi z woli najjaśniejszego pana, Władysława Hermana, króla i władcy mego, a ktokolwiek poważy się o tem wątpić, przekonanie o prawdzie słów moich znajdzie na ostrzu tego miecza!

— Wierzę teraz! — krzyknął Mieczysław, zrywając się z siedzenia. — Ale cóż się stało mojemu stryjowi? Czy sądzi, żeśmy dzieci, na zabawę wypuszczone, z któréj muszą wracać za rozkazem nauczyciela? Nie, na Boga, dopóki Hanna w tych murach będzie, dopóty i kroku stąd nie odstąpię!

— Gdzież ja mam iść do Zbigniewa — rzekł Skarbimir — do takiego okrutnika, do człowieka, przeklętego przez biskupa? Jego oddech, Jego słowa skażą moją niewinność!

— Jeśli tylko o twoją niewinność idzie — przerwał Sieciech — dawno po niéj śpiewano *requiescat in pace*, nie masz się czego obawiać. Ale, do pioruna, nie jesteśmy niewolnikami; kto nas przymusi, a przynajmniéj

kto mnie przymusi stąd odstąpić, kiedy nie taka będzie moja wola?

— Róbcie, co chcecie, moi przyjaciele — zawołał Wolimir — bylebym z głodu nie umarł. Jeszcze noc była, kiedym wyjechał, wszyscy spali i nic nie mogłem dostać do jedzenia. Książe Mieczysławie, zginę, jeśli...

— Lassoto — rzekł książe do stojącego pazia — każ przynieść śniadanie dla wielkiego sokolnika!

— Posłuchajcie mnie! — zawołał wtenczas Wszebor. — Dobrze umiem oceniać przyczyny, powodujące naszym królem i panem. Chce on pokój wrócić, spór załagodzić i wstrzymać krwi rozlew. Jeśliście wierni poddani, winniście mu być posłusznymi.

— Jeśliście dobrzy Polacy, wasze serca z jego rozkazów cieszyć się powinny — rzekł Skarbimir. — Ale niech kto chce idzie do Zbigniewa, ja zaś nie myślę!

— Przysięgam na mój topór — krzyknął Sieciech — że nie kto inszy, ale ty pójdziesz! — Kiedy dla posłuszeństwa broń ulubioną składamy, boje najmilsze porzucamy, ty możesz kilka kroków zrobić i jeśli nie językiem, to orężem ojczyźnie się przysłużyć.

Zamilkł podskarbi i, siadłszy w kącie, polecał się świętym i aniołowi stróżowi.

— Przez sławę i zwycięstwa mojego ojca! — zawołał Mieczysław, wpadając w gniew, niezwykły sobie — pierwéj te mury odemnie na turniej się udadzą, kiedy idzie o życie, o sławę Hanny! Król każe mi się bawić, kiedy każdem uderzeniem mogę wroga zamordować; będę musiał siły wycieńczać dla przypodobania się królowi i dworzanom, kiedy serce moje ledwo mi z piersi nie wyskoczy; sześć dni trzeba będzie przepędzić w spokojności, dać czas Zbigniewowi do uzupełnienia zbrodni. Nie, przysięgam....

— Wstrzymaj się, książe! — przerwał mu Wszebor. — Ogłaszam wam wszystkim, że usłucham woli króla. Nazwijcie mię ojcem wyrodnym, bojaźliwym, niegodnym imienia rycerza, nic to nie pomoże; pierwéj byłem Polakiem, nim rodzicem, pierwéj przysięgałem na wierność monarsze, nim doczekałem się córki. Zapewnie, złożyć broń w takim razie wielką jest dla mnie

ofiarą, ale nie straciłem z wiekiem tyle mocy i stałości, bym się na nią nie zdobył. Książe, uczynisz, co ci się podoba, ale nigdy ręka Hanny z Ciechanowa twoją nie będzie, jeśli nie przeniesiesz dobra ojczyzny nad szaloną miłość. Obieraj więc!

Usiadł w milczeniu Mieczysław, obiema rękami twarz zakrywając.

Tymczasem Wolimir nie stracił ani chwili i, przedziwną zajadając sarninę, skrapiał ją węgierskiem winem.

— Przedziwne śniadanie! Ach, twój kucharz, książe, musi przybyć na turniéj. Zdrowie twoje, Sieciechu! Na wszystkie sokoły, nigdym lepszéj nie widział zwierzyny. Piję do ciebie, Wszeborze! Nie mogę cię opuścić, giermku księcia Mieczysława!

— To jest rycerz Henryk z Kaniowa, od wczorajszéj bitwy — ozwał się wojewoda krakowski.

— A więc muszę zdrowie powtórzyć, bom się omylił. Do ciebie piję drugi raz, szlachetny rycerzu! Do was wszystkich, panowie! Niech żyje król Władysław! Uczy nas religia i o nieprzyjaciołach pamiętać, więc zdrowie Zbigniewa! Nie zapominam i o nadobnéj Hannie z Ciechanowa.

— Wielki sokolniku — rzekł, zwolna podnosząc głowę, Mieczysław — odpowiedz królowi i stryjowi mojemu, że przybędę na turniéj! Wszeborze, tyś tylko mógł mnie do tego przymusić.

— Synu mój ukochany, niech wszystkie najlitościwszych niebios błogosławieństwa spłyną na twoją głowę! — odpowiedział rozczulony pan Ciechanowa. — Choćby nawet — dodał — i król tego po nas nie wymagał, straciliśmy wielu ludzi wczoraj. Namioty zapełnione są rannemi i w takim stanie czasu najmniéj sześć dni potrzebujemy do pokrzepienia wojska nowemi posiłki i do obwarowania obozu. Własną więc korzyść połączamy z wolą monarchy. Nieprawdaż, Sieciechu?

— Zawsze z tą wolą monarchy występujesz, Wszeborze — odparł dumny wojewoda — a chciałbym, żeby czasem i naszych radzono się chęci; zresztą potwierdzam twoje wnioski dodając, że turniéj najpiękniejszą

jest zabawą i że się spodziewam spotkać na nim z księciem Zbigniewem.

— To się mylisz, wojewodo krakowski — rzekł Wolimir, nie opuszczający stołu — bo ani Zbigniew, ani książe Mieczysław podobno walczyć na tym turnieju nie będą. Chce ich król nasz pogodzić.

— Pierwéj ogień z wodą! — krzyknął Mieczysław — Pierwéj żmiję przypuszczę do łona, niż syna Władysława!

— Ależ, na wszystkie sokoły, potężny Skarbimirze, spiesz się do księcia, bo król największéj prędkości i pilności po tobie wymaga!

— Jam dotąd sądził, że żartujesz, wielki sokolniku.

— Toś się bardzo omylił; daję ci słowo, że król Władysław obrał cię do tak ważnego poselstwa, znając twą mądrość i biegłość, nieraz doświadczoną.

— To nie może być, ani mogę temu wierzyć...! Po co mnie do niego wysyłać, mnie, starca, niewiele dni mającego do grobu?

— Tem mniéj będziesz ich żałował, jeśli życie tam postradasz! — krzyknął Sieciech i, obróciwszy się do Lassoty, kazał mu przywołać Jarosza z Kalinowy.

— Skończyłem śniadanie — rzekł Wolimir — i przyznaję, że rzadko podobne w licznych nawet za granicą podróżach jadałem. Mam nadzieję, że będę mógł lepiéj osądzić jeszcze twoją kuchnię, książe, bo myślę tu się zostać na obiad. Wątpię, by wprzód wrócił z zamku pan Gulczewa.

— Zapewne ledwie na wieczerzę wróci — zawołał Sieciech, mający największe upodobanie w poniżaniu podłego Skarbimira, który całą nienawiścią chytrego i złośliwego serca odpłacał mu za częste żarty.

— A może Zbigniew do stołu zaprosi — dodał Wolimir — tylko żeby nie do nazbyt wysokiego.

— Najwyższe miejsce — odparł wojewoda — najzaszczytniejszem jest zawsze.

— Zapewnie — znów odrzekł sokolnik — i szkoda, żem mego sokoła z sobą nie przywiózł.

— A to na co?

— Boby odstraszał kruki i żarłoczne ptaki, które może będą przeszkadzać panu Gulczewa i Kościelca.

Tu powszechny śmiech, od którego nawet zamyślony Mieczysław nie mógł się wstrzymać, powstał w namiocie.

— Żeby przynajmniéj — ozwał się Skarbimir — hufiec zbrojnych ludzi mi towarzyszył! Powaga królewska nawet tego wymaga.

— Już temu zaradziłem — przerwał wojewoda — kilku zbrojnych odprowadzi cię do bramy, bobyś inaczéj uciekł, wyszedłszy z obozu, a wtenczas prawdziwyby uszczerbek poniosła. Ale kiedy wejdziesz do zamku, zostawimy cię własnym losom i przeznaczeniu.

— Dlaczegoż, wojewodo krakowski — zapytał się Mieczysław — nie mamy przystać na tę prośbę Skarbimira?

— Bo, mości książe, potrzebni są nam ludzie, a choć Henryk uniknął wczoraj śmierci, możeby to się dzisiaj nie powtórzyło.

— Więc wystawiacie towarzysza broni, podskarbiego królewskiego — rzekł pan Gulczewa głosem rozpaczy — na pastwę złoczyńców bez litości, wydajecie go wrogom za to, że wam przyprowadził własne hufce?

— Które — przerwał Sieciech — nie chciał przyjąć książę Zbigniew, wychodząc z sali naradnéj.

Zamilkł zawstydzony podskarbi trafnym wyrzutem Sieciecha, który dostrzegł był czyn jego niegodziwy. Wtem ukazał się u wnijścia do namiotu Jarosz z Kalinowy.

— Dzielny mój wojowniku — zawołał Sieciech — odprowadź na czele swojego oddziału z białą chorągwią potężnego podskarbiego królewskiego do zamku księcia Zbigniewa! U bram się zatrzymasz i, przekonawszy się, że wszedł do zamku, natychmiast się wrócisz!

Skłonił głowę Jarosz na znak posłuszeństwa, a Skarbimir, widząc nieodzowną konieczność, stanął w środku oddziału i, pożegnawszy wzrokiem napół smutnym, napół wściekłym, przytomnych, oddalił się. Słyszał jeszcze dosyć długo głośne śmiechy wojewody i wielkiego sokolnika, ale nareszcie wszystko umilkło. Minął ostatnie obozu namioty i powoli zbliżał się do zamku z równem przerażeniem, jak gdyby szedł na szubienicę. Chorą-

giew biała, z daleka jeszcze ujrzana, dowiodła stojącym na straży przy moście zwodzonym, że w zamiarach pokoju zbliżają się do nich; natychmiast uwiadomili o tem pana, który wysłał na przyjęcie gości Jordana z Gozdawy. Grzecznie ukłonił się rycerz podskarbiemu.

— Jaroszu — rzekł po cichu Skarbimir — obiecuję ci worek pełen złota, jeśli za mną do zamku pójdziesz.

— Potężny panie Gulczewa, nie potrzebowałbym nagrody dla oddania ci téj przysługi, gdyby rozkazy wojewody Sieciecha mnie nie wstrzymywały; pozwól więc, bym cię pożegnał!

To mówiąc, dał znak swoim ludziom do odwrotu i zostawił Skarbimira z Jordanem, który kazał spuścić most zwodzony, a łoskot, stąd wynikły, wydał się w uszach przerażonego starca ostatecznym zaguby wyrokiem.

ROZDZIAŁ XIII.

Pragniesz mię, widzę, zdrajco, schwycić w swoje szpony —
Zobaczysz, kto z nas lepiéj w zdradach wyćwiczony!

Bezimienny.

— Książe i pan nasz trochę słaby — rzekł Jordan, prowadząc Skarbimira do komnaty Zbigniewa. — Ale Abraham z Hamburga obiecuje, że wkrótce go uleczy z lekkiéj rany i że będzie mógł wrócić na pole bitew i sławy.

Rycerz żadnéj nie uzyskał odpowiedzi, bo Skarbimir cały drżał od strachu i wszystkie natężał siły, by nie upaść; to wszystko, połączone z niespokojnością duszy, z niepewnością, jak go przyjmie książe, w taką wprawiło go trwogę, że odrzekłby się wszystkich bogactw dla uniknienia przykrego położenia. Nagle bowiem, jak gdyby porwany z obozu i rzucony w mury nieprzyjacielskie, poglądał błędnym na otaczających wzrokiem, a słowa Jordana, choć uprzejmie wyrzeczone, groźnie w jego uszach grzmiały. Miał jednak czas do przyzwyczajenia się, bo nie zaraz za wejściem do zamku do jego pana się dostał; przechodził wiele komnat i galeryi, ale wcale inszą postępował drogą od téj, na któréj Mestwin biskupowi przewodniczył. W każdym pokoju zastał mnóstwo zbrojnych, różnie czas przepędzających. Jedni z puharem w ręku dawne opowiadali czyny, drudzy grali w kości i, uniesieni namiętnością, jednym ruchem rozstrzygali los swój przyszły, lub też, umiarkowańsi, nie wystawiali całych majątków na pastwę ślepego losu, ale pomniejsze przedmioty, jak: hełmy,

pałasze, sztylety. Słowem ożywiony zamek przedstawił oczom Skarbimira liczne hufce i wesoło bawiących się rycerzy, którzy rzadko odwracali oczy na przypatrzenie się jemu. Dostał się on nareszcie do drzwi, za których otwarciem ukazały się ogromne z ciosowego kamienia schody, wybudowane w różne zakręty, coraz bardziéj wznoszące się do góry. Temi poszedł za znakiem, danym od Jordana z Gozdawy, który znowu wszczął rozmowę opowiadaniem własnego poselstwa do jakiegoś dzikiego wodza Prusaków, ale i teraz żadnéj nie uzyskał odpowiedzi.

Skarbimir czując, iż wkrótce przyjdzie mu spełnić zlecenie Władysława, zaczął nad niem myśleć i, ochłonąwszy nieco z przestrachu, urządził w myśli tryb całego postępowania; nareszcie i miłość własna, nigdy nie opuszczająca człowieka, ozwała się w głębi duszy i, przemógłszy nad bojaźń, pomogła do ułożenia mowy, w któréj miał ozdobnemi słowy i właściwemi wybiegami wolę monarchy oznajmić, dumy księcia nie zrażając i zarazem czyniąc zadosyć rozkazom króla. Dzięki długości drogi zupełnie był przygotowanym do spełnienia odebranych zleceń podskarbi królewski, Skarbimir z Gulczewa, kiedy Jordan z Gozdawy ostrzegł go, że przybył do komnaty księcia.

Był to mały pokój z okrągłemi oknami i wysokim kominem, którego ognisko znacznie występowało. Łoże z zielonemi zasłonami stało po jednéj stronie, a nad nim widziano zawieszoną zbroję leżącego teraz Zbigniewa, któréj brakowało tylko sztyletu, położonego na stole obok łoża, przy którym siedział na aksamitnéj poduszce Mestwin z Wilderthalu. Z drugiéj strony Abraham z Hamburga obwijał ramię Zbigniewa szerokiemi taśmy.

Syn Władysława bledszym się niż zazwyczaj wydawał, a chociaż uśmiech umilał mu usta w chwili ukazania się Skarbimira, można było w nim rozeznać pewną gorycz i uczucie boleści. Powiernik jego niemiecki dzikim wejrzeniem wpatrywał się w otaczające przedmioty, a jeden tylko Abraham zachowywał piętno zwyczajnéj łagodności.

— Nie spodziewaliśmy się zaiste twoich odwiedzin, najhojniejszy z panów dworu ojca mojego — rzekł książe, odpierając zwolna lekarza — ale kiedy przyszło do tego, że cię słuchać musimy, mów prędko, co masz do mówienia, bo zapewne wiesz, że cierpliwość nigdy moim nie była przymiotem, a teraz jeszcze zmniejszył się jéj ostatek, kiedy dolega mi rana, przez was sprawiona! Tak, przez was samych. Co za hańba! Kiedym jak prawy rycerz walczył z twoim księciem Mieczysławem, kiedy wszyscy moi ludzie schowali oręż, wyleciał pocisk z równiny i zdrada dokonała tego, na coby nigdy Mieczysław się nie zdobył. Mieczysław, on, to dziecko miałoby mnie zwalczyć? Jedno moje tchnienie zmiotłoby go z tych murów! Ale sprawiaj się z swego poselstwa!

Taka mowa zastraszyłaby mężniejszego nawet od Skarbimira. Jak wryty, stanął na środku pokoju pan Gulczewa i nie mogąc daléj postąpić, ani wstecz się cofnąć, zapomniał nawet ukłonić się księciu i razem całéj swojéj mowy. Jéj okresy jeden po drugim znikały mu z pamięci, a ile razy otwierał usta, dreszcz śmiertelny, przebiegając wszystkie kości, wstrzymywał go od mówienia. Zimny pot kroplami sączył się z czoła. Wzrokiem pomięszanym patrzył na Zbigniewa i nie miał już mocy odwrócenia go w inną stronę. Zmarszczył brwi książe, ale poczekał jeszcze chwil kilka, a kiedy ciągłe panowało milczenie, postanowił go przerwać.

— Cóż więc nam masz ogłosić, panie Gulczewa? Po coś tu przyszedł? Nuż, do szatana, czyż nie otworzysz ust, jak gdyby na kłódkę zamkniętych? czyż ja mam pojedyńcze ci zadawać pytania? Gadajże więc do pioruna!

Ale to nic nie pomogło i podskarbi, coraz bardziéj upadając na siłach i nie mogąc się dłużéj utrzymać, przykląkł na podłodze.

— Czyś oszalał, tchórzu przeklęty? — krzyknął Zbigniew. — Raz przysyłają mi biskupa, któremu ust przymknąć nie można, to znowu człowieka, któremu ich niepodobna otworzyć!

— Dobry mam klucz na takie przypadki — rzekł Mestwin, wskazując na sztylet.

— Daj pokój! — odparł książę. — Ale, Skarbimirze, nie nudź mię tak długo, bo, na Boga, każę cię związać i wrzucić gdzie do lochu, w którym, przespawszy się na słomie, rozum i mowę odzyskasz! Ale, na wszystkich świętych, zobaczycie, że zemdleje. Abrahamie, nie masz jakiego lekarstwa, przydatnego podskarbiemu królewskiemu?

— Nasza nauka — odpowiedział Izraelita — zawiera ważne tajemnice; umie odwracać choroby, przewidywać ich skutki i zaradzać licznym ułomnościom, alem takiéj słabości nigdy jeszcze nie widział, choć moje stopy okryły się kurzawą ziem odległych z téj i z tamtéj strony morza, choć nie w jednéj szkole uczyłem się boskiéj sztuki uzdrawiania, bo najwięksi nasi mędrcowie w Hiszpanii i Cesarstwie Wschodniem dobrze znają Abrahama z Hamburga; jednak na wszelki przypadek będę się starał mu pomódz.

Po tych słowach wyjął z szkatułki, z którąśmy już czytelników zapoznali, kawałek z odległych stron przywiezionego drzewa i przyłożył go do skroni i nozdrzy Skarbimira.

Odskoczył w tył pan Gulczewa i uczuł rozlewającą się siłę po wszystkich żyłach; już mu nogi nie drżały, już pot mroźny nie oblewał czoła i odzyskał nagle przytomność umysłu.

— Doskonale — zawołał książę — radzę ci mieć zawsze przy sobie takiego lekarza.

— A osobliwie — dodał Mestwin — przy poselstwach zdałby się Abraham z Gulczewa.

— Kiedyś już odżył, to zaczynaj! — ozwał się Zbigniew.

— Racz darować — rzekł nareszcie Skarbimir — racz przebaczyć, nieprzebrany w łasce i litości książe! Chwała, która cię otacza, moc, nigdy nie odstępująca twojego ramienia, przeraziły moje serce. Słowa, przez ciebie wyrzeczone, wydały mi się grzmotem, upadłem na twarz przed tobą. Teraz, wróciwszy do zmysłów, dobroć twoją bez miary poznaję i ośmielam ci się oznajmić zlecenia, przez mego miłościwego króla mi dane. Brzmią one w następującéj treści:

Twoje rozkazy świętemi są dla mnie, najjaśniejszy króla nam panującego potomku, w najściślejszych obrębach rzecz moją obejmę. Władysław Herman, pierwszy tego imienia...

— Już pierwszy ten wyraz niepotrzebny — przerwał Mestwin.

— Władysław Herman uprasza cię, książe, byś pozwolił na zawieszenie broni.

— A to dziwy teraz na świecie — zawołał Zbigniew — ojciec i król uprasza syna i poddanego, ażeby pozwolił!

— Więc rozkazuje — rzekł Skarbimir, u którego dosyć często złość bojaźń przemagała — byś zawarł zawieszenie broni z księciem Mieczysławem, wojewodą krakowskim Sieciechem i...

— Domyślam się, z kim więcéj — znów przerwał Zbigniew — dalsze króla rozkazy mi ogłoś!

— Najjaśniejszy książe, zbliżają się urodziny twego ojca; zamyśla on przepyszny wyprawić turniéj dla świetniejszego ich obchodu, na który zaprasza cię przezemnie. Wszyscy twoi przeciwnicy tam będą.

— Turniéj — krzyknął Zbigniew — turniéj! Mój ojciec schorzały, wiekiem osłabiony, lubiący nadewszystko cichość i spokojność, turniéj wyprawia! Widzę, że się wszystko przewróciło od kilku dni na świecie. Już nawet zaczynałem się tego domyślać, kiedym nie mógł za drugiem uderzeniem schwytać tego Mieczysława, tego dziecięcia, niedawno wyszłego z kolebki.

— Czekam teraz z uszanowaniem i pokorą ci winną odpowiedzi, najjaśniejszy książe.

Pomyślał przez chwilę Zbigniew, a potem, obróciwszy się do Mestwina:

— Tydzień nas dzieli od urodzin ojca, rana się zgoi, a potem chcę ich widzieć. Chcę z Sieciechem kilka słów pomówić, nareszcie dlaczegoż miałbym nie uczynić zadosyć woli ojca w tak małéj rzeczy? Sześć dni późniéj czy wcześniéj zginą, wcale mię nie zastanawia. Dla nich życie jest drogie, bo już go długo posiadać nie będą. Skarbimirze, możesz upewnić mego rodzica i monarchę, że przybędę na turniéj życzyć mu szczęśliwych urodzin i pomyślnéj starości.

Po tych słowach wskazał ręką drzwi podskarbiemu, ale ten zamiast pożegnania się z księciem padł przed nim na kolana i z złożonemi rękami prosił o pozwolenie wynurzenia najszczerszych, jak mówił, chęci i pragnień.

— Znowu cud! — krzyknął Zbigniew — szczerość u ciebie! Ale mów, pozwalamy!

— Najpotężniejszy panie, Bóg mi jest świadkiem, że cię szanuję i uwielbiam nadewszystko, że Mieczysławowi nie sprzyjam, że ciebie tylko zawsze miałem na widoku. Tobie służyć najpożądańszą dla mnie rzeczą, w twojéj służbie umrzeć najmilszą byłoby dla mnie nadzieją; przyjm ode mnie przysięgę wierności, a za to żądam tylko od ciebie łaskawego wejrzenia! Najjaśniejszy książe, wymów jedno tylko słówko, jedno pozwolenie, a Skarbimir najszczęśliwszym będzie!

— Precz mi — przerwał mu z gniewem syn Władysława — precz mi z oczu, zdrajco! pochlebco! Precz stąd — powtórzył sroższym jeszcze głosem — bo twoja głowa niepewna, dopóki w tych murach przebywa! Milcz, podły zuchwalcze, milcz, skąpcze obmierzły! Słowo jedno z ust twoich już mnie w wściekłość wprawia. Niech jeszcze twój głos usłyszę, a usta, które go wydały, oniemieją na zawsze! Wracaj do swoich, powiedz królowi, jakeś pięknie spełnił poselstwo, jakeś przymusił wymową księcia Zbigniewa do usłuchania ojca, idź bezwstydnie kłamać, jakeś tu bezczelnie zdradzał! Jordanie, odprowadź tego człowieka jak najprędzéj! Mestwinie, usuń ten sztylet z pod mojéj ręki, bo mógłbym, uniesiony gniewem, zgwałcić na jego osobie uszanowanie, winne mojemu ojcu!

Natychmiast Jordan z Gozdawy silną ręką dźwignął z ziemi odchodzącego od zmysłów podskarbiego i za drzwi go wyprowadził.

Ledwo wyszedł, aliści powstał milczący dotąd Mestwin i rzekł do księcia, kazawszy naprzód lekarzowi się oddalić.

— Zdać się nam może Skarbimir niezadługo; taki człowiek w naszym zamku próżnym byłby ciężarem,

ale w obozie nieprzyjaciół nieoszacowanym jest klejnotem.

— Daj mi z nim pokój! Znam jego chytrość i podstępy, nie chcę, nie potrzebuję jego usług.

— Książe i panie mój, zaufaj mojemu doświadczeniu! Skarbimir, samemu sobie zostawiony, mógłby stać się naszéj sprawie szkodliwym pod pozorem przyjaźni i upokorzenia, ale znajdzie we mnie mistrza, w niczem mu nie ustępującego. Wykryję jego wybiegi i podstępy, wyświecę pierwszą jego myśl zdradziecką, a wtenczas któż nam zabroni zdjąć z szubienicy żołnierza i zastąpić go podskarbim?

— Rób, co ci się podoba, Mestwinie! — odpowiedział zniecierpliwiony książe. — Na dzisiaj daj mi pokój i opuść mnie! Snu potrzebuję.

To mówiąc, obrócił się do ściany, a Mestwin, uzyskawszy pozwolenie, wyleciał z pokoju szybko, dobrze znanemi skrytemi schodami zstąpił na dół i w mgnieniu oka przebiegł cały zamek, po którym tak długo Jordan oprowadzał pana Gulczewa.

Już Skarbimir z radością widział otwierającą się bramę zamkową, już most zwodzony spuszczano, kiedy nowy głos: »Stójcie!« — zawołał i w téj saméj chwili stanął przy nim Mestwin.

Na ten widok pewny śmierci starzec skłonił głowę na piersi i głęboko westchnął, ale nim podniósł oczy, uczuł przyjazne ściśnienie ręki i grzecznie wyrzeczone słowa usłyszał.

— Książę chory, trzeba mu uniesienie przebaczyć!

— Przebaczyć — powtórzył zdziwiony Skarbimir — ach! jakże nie przebaczyć takiemu bohaterowi, rycerzu Mestwinie z Wilderthalu!

— Posłuchaj mnie, panie podskarbi królewski! — rzekł Mestwin i odprowadził go na stronę.

— Gotów jestem — odpowiedział Skarbimir, poznając, że chcą go w jakieś sidła ułowić. — Ale nie tak łatwo ze mną — pomyślał. — Alboż to nie przepędziłem życia na dworze? alboż to poselstw mnogich nie odprawiłem? Alboż to nie oszukałem, nie zwiódłem tylu książąt i panów?

— Książe i pan mój — zaczął Mestwin — takiego jest ułożenia, że pierwsza myśl, co się nawinie, zawsze mu się z początku najlepszą wyda, ale potem, zastanowiwszy się, często gotów jest do rozeznania rzeczy, któremi pogardzał, do szanowania osób, na które złem okiem patrzał. Właśnie to się samo dzisiaj zdarzyło; nieprzyjemnemi pożegnał cię słowy, aleś ledwo wyszedł, upamiętał się i przysłał mię do ciebie. Skarbimirze, czy można na ciebie rachować?

Te słowa ostatnie wyrzekł stanowczym głosem i mocno ścisnął rękę podskarbiego, który po chwilce namysłu:

— Jużem się oświadczył — odpowiedział — z poświęceniem bez granic dla księcia, a choć źle przyjęto moją życzliwość, w niczem się ona nie zmieniła.

— Pozostaniesz więc w obozie nieprzyjaciół, czy tu się przeniesiesz? — zapytał Mestwin.

— Uczynię, co książe rozkaże.

— Tłómacz się jaśniéj, szczerze powiedz: czyś gotów wiernie służyć Zbigniewowi? Czy twoje usługi zdrady czasem nie pokrywają?

I patrzał się Mestwin na Skarbimira bystrym wzrokiem, chcąc przeniknąć tajniki jego serca. Ale nikt podskarbiemu nie mógł wyrównać w sztuce udawania, a w spokojnéj naradzie, w któréj nie błyszczały miecze, rzadko kto potrafił zmieszać bezwstydne czoło. Rycerzowi też niemieckiemu nie zbywało na przebiegłości, a miał on tę wyższość nad panem Gulczewa, że czy to w cichéj naradzie, czy pośród wrzawy i bojów, zawsze zachowywał niczem nienaruszoną spokojność. Wystąpili teraz ci dwaj ludzie, równie chytrzy i niegodziwi, każdy w swoim rodzaju, do potyczki; każdy starał się przeciwnika myśli odgadnąć, każdy obiecywał sobie zwycięstwo, każdy był pewnym, że drugiego oszuka, ale rozwaga i zimna krew Mestwina zapewniała mu wygraną, bo Skarbimir trwożnem okiem poglądał na rękę rycerza, opartą jak gdyby od niechcenia na rękojeści stalowego sztyletu.

— Zdrada daleka odemnie była zawsze i będzie — odparł Skarbimir — przysięgam więc.

— Nieważna przysięga — przerwał rycerz niemiecki — bom słyszał od wielu, żeś nieraz podobną naruszył i złamał.

— Kto mógł mnie oczerniać, kto oskarżać o taką zbrodnię, dzielny rycerzu? Staw mi go przed oczy, a moja niewinność zawstydzi jego potwarze!

— Przyszłoby mi wtenczas stawić przed tobą — zawołał Mestwin — panów wszystkich, którym kiedykolwiek służyłeś, przyjaciół, których zdradziłeś, całą Polskę, w któréj szeroko się rozlega pogłoska o fałszu twoich miotanych słówek i udanéj cnoty. Sam powiedz, czy w téj chwili nie zdradzasz Mieczysława? Więc pewniejszéj mi trzeba rękojmi nad twoje przysięgi.

— Ja Mieczysława zdradzam? — odrzekł podskarbi. — Alboż udzielny pan Gulczewa ma jakie dla niego obowiązki lennicze? Alboż słowo lub wdzięczność wiążą mnie do niego? Owszem, chęć serca i uszanowanie zbliżyły mnie do Zbigniewa. Nie od dzisiaj ozwały się te uczucia we mnie. Jeszcze w sali tronowéj mu je oznajmiłem, jak sam zaświadczyć może. I któż teraz tak ślepym, tak nierozsądnym będzie, ażeby mojemu słowu nie ufał, ażeby nie wiedział, że same niebiosa natchnęły mnie przywiązaniem do syna mojego monarchy?

— Wszystko to są próżne słowa — rzekł mocnym głosem Mestwin. — Nie możesz inaczéj mówić w tém miejscu; będąc w naszéj mocy, każdyby na takie same oświadczenia się zdobył.

— Więcéj ci jeszcze powiem — zawołał z żywością pan Gulczewa. — Nie cierpię, nienawidzę Mieczysława, Wszebora, Sieciecha, tego wojewodę, który, ufny w swoim mieczu, śmie mnie na śmiechy i żarty wystawiać! Choćbym nie czuł przychylności dla Zbigniewa, nienawiść ku wojewodzie jużby mnie kazała się zaciągnąć pod znaki jego nieprzyjaciół. On, wzniósłszy się na ten urząd, nie wiedzieć za co i nie wiedzieć dlaczego, mnie, zestarzałego na dworze, mnie, wiekiem i godnością szanownego, sto razy na dzień obraża! Mestwinie, wierz mi, gdybym mógł, udusiłbym go własnemi rękami!

Słuchał tych słów rycerz niemiecki z natężoną uwagą i na chwilę nie odwrócił oczu od twarzy Skarbimira,

która dopiero teraz odbijała prawdziwe duszy uczucia. Złość, długo zatajona, wybuchnęła we wściekłéj mowie, marszcząc jego rysy, a oczy piekielnym ożywiając ogniem.

Odstąpił o kilka kroków Mestwin i rzekł po cichu Jordanowi z szyderskim uśmiechem:

— Trzymam go teraz w mojéj mocy, pierwsze słowa szczere teraz wyrzekł i wpadł w zastawione sieci, dzięki miłości własnéj, która nawet nad chytrością wzięła górę u niego.

Ochłonąwszy z zapału, poznał Skarbimir, że niebacznie odkrył prawdziwy stan serca i gorzko westchnął, tak, jak wojownik widzący, że po przegranéj bitwie musi ustąpić dzielniejszemu przeciwnikowi; nie stracił jednak zupełnéj nadziei, spodziewając się, że może jeszcze potrafi złudzić Mestwina. Zaczął więc nanowo oświadczenia, powtórzył przyrzeczenia i zakończył dowodząc, że przejęty jest najżywszem do księcia przywiązaniem.

Rozśmiał się wtenczas głośno rycerz niemiecki i, z urąganiem poglądając na podskarbiego:

— Wierzę, wierzę — zawołał — ale nie wszystkiemu! Z początku i teraz na końcu bezwstydnie skłamałeś, we środku prawdęś powiedział. A cóż, czym nie zgadł?

Pozostał w milczeniu Skarbimir, gryząc sobie wargi.

— Panie Gulczewa — ciągnął daléj Mestwin — znam cię doskonale teraz, oszczędź sobie słów i zabiegów, bo nadaremnemi będą! Na świecie, gdzie tylu jest niedoświadczonych lub nierozsądnych, możesz jeszcze się pokrywać barwą cnoty, możesz jeszcze udawaniem przyciągnąć i oszukać, ale w tym zamku już nie zdołasz. Są bowiem w nim ludzie, którzy wśród najburzliwszych namiętności umieją ich uniesienia rozeznać od zimnéj rachuby i wykrywać każdego skryte chęci i żądze. Skarbimirze, bądź wiernym Zbigniewowi, a nagrodę pewną ci obiecuję, czy zechcesz poniżenia Sieciecha, czy własnego wzniesienia! Wróć do obozu, w nim ciągle przebywaj i sprzyjaj naszéj sprawie, wypełniaj nadsyłane od nas polecenia...!

— Jakież one są?

— Dowiesz się o nich w przyzwoitem miejscu i czasie, a kiedy po drugi raz ujrzysz ten pierścień w ręku drugiego, bądź pewnym, że to mój posłaniec!

— Rozumiem.

— Nie potrzebuję cię uczyć, jak masz zresztą postępować; skrytość i chytrość najmilszemi ci towarzyszami od dzieciństwa były. Wszystko uważaj i pilnie nam donoś, pamiętaj oraz o pierścieniu!

— Więc mi szpiega rzemiosło przybrać trzeba, rycerzu?

— Nie szpiega, ale poświęconego sługi mego księcia i pana; bo na wszystkie cienie pomordowanych tą szablą wrogów, gdybym kiedy odkrył chęć zdrady w tobie, nie długobyś na téj ziemi przebywał. Dopóki wiernym nam będziesz, dopótyśmy przyjaciele. Nie ośmielaj się walczyć ze mną, nie ubiegaj się o pierwszeństwo w podstępach, ostrzegam cię, nie knuj żadnéj zdrady, bo, jak dzisiaj oderwałem zasłonę z twego serca, tak zawsze to samo potrafię uczynić! Przyznaję, że przez długi czas nikt ci nie zrównał na drodze fałszu i kłamstwa, dotąd pierwszym byłeś, ale dzisiaj uledz musisz wyższemu od siebie! Znalazłeś pana, który cię utrzyma na wodzy. Porwany jego potęgą, odtąd jego tylko rozkazy wypełniać będziesz, a jeśli zechcesz mu się sprzeciwiać, zrzuci cię on w przepaść, z któréj nigdy nie powstaniesz. Idź więc, wracaj do obozu, spraw się Władysławowi z poselstwa, ale pamiętaj, że odtąd oko czujne czuwać będzie nad tobą i że ręka, zawsze gotowa spaść na twoją głowę, wiecznie ci będzie grozić zgubą!

Po tych słowach odszedł Skarbimir, złością i wstydem przejęty. Budowę chytrości, którą z taką pracą wznosił przez lat tyle, zwalił człowiek, na którego dawniéj patrzał z pogardą. Wracał więc do obozu z spuszczoną głową, z rozpaczą w sercu; czuł, że odtąd wszystkie jego kroki śledzić będzie nieprzyjaciel, skory do użycia najgwałtowniejszych środków, a sobie samemu musiał przypisywać winę tego nieszczęścia. Czegóż było wydawać się tak porywczo z żalem do Sieciecha? Czyż tysiącznych wybiegów wynaleźć nie mógł na omamienie i odurzenie Mestwina? I rycerz ten, pośród namiotu

wychowany, częściéj na koniu niż w radnem krześle siedzący, wziął górę nad przebiegłym Skarbimirem! I on nie potrafi zrzucić tego haniebnego jarzma? Takie myśli dręczyły zbliżającego się do obozu starca, jednak nadzieja zemsty nad Sieciechem pocieszyła go trochę, a potem rzekł sobie po cichu: »Nie Zbigniew, to Mieczysław upadnie i zawsze jednym mniéj będzie, potem pomyślimy i o tamtym«. To mówiąc, nagle odwrócił głowę i obejrzał się z mimowolnem przerażeniem na wszystkie strony tak, jak gdyby Mestwin go mógł słyszeć.

ROZDZIAŁ XIV.

Lecz w piersiach jego piekło zawrzało,
Zawrzała zemsty chęć wściekła,
Gdy się cofnąwszy z postacią śmiałą,
Te dumne słowa wyrzekła:
»Niedość, że ciężką znosiłam mękę,
Że jeszcze zuchwały zbójca
Śmie mi zbrodniczą podawać rękę!«

Zbrodniarz.

Wprowadzimy teraz czytelnika do jednéj z komnat zamku księcia Zbigniewa, dotąd mu nieznanéj, chociażeśmy go często i może aż do znudzenia po nim wodzili.

Żeby oznaczyć jéj położenie, wypada powiedzieć, że wszedłszy na schody, kręcące się u wieży zachodniéj, dosyć długo trzeba było iść niemi, nim się dostano do ciasnéj galeryi, oświeconéj teraz rzadkiemi pochodniami, których migające się światło z trudnością się przedzierało przez nocne ciemności. Przy końcu téj galeryi widziano wyniosłe drzwi, nad któremi zakrzywiało się sklepienie, a za ich otwarciem okazywała się wzwyż wspomniona komnata, do któréj opisu przystępujemy, o ile nam tego dozwolą mdłe i słabe promienie samotnéj lampy, stojącéj na długim stole, zajmującym cały środek pokoju. Kamienna posadzka dźwigała liczne siedzenia, czarnem obite suknem, i kilka szaf, żelaznemi obwarowanych kraty, z za których lśniły się oręże wszelkiego rodzaju. Spoczywała tam bowiem polska szabla i francuska szpada, angielski topór i włoski

sztylet, ciężki pancerz niemiecki i lekka kolczuga południowych krain, strzały, śmierć niosące z daleka, i włócznie, zblizka rzucane, kilka ogromnych kopii stało opartych o ściany, ciemnem obiciem zakryte, na których rzadkie wisiały obrazy, wystawujące morderstwa i walki. W głębi ukazywało się łoże, zasłane niedźwiedzią skórą, blizko niego zaczynały się kamienne schody, prowadzące do ciemniejszego pokoju, z którego wypływające światło, wchodząc do szerokiéj, pod nim będącéj, komnaty, konało u stóp łoża, niewyraźnie już tarczę, przy nim zawieszoną, i napis, na niéj wyryty, od innych odznaczając przedmiotów.

Wpatrywał się w ten napis rycerz Mestwin z Wilderthalu z założonemi rękoma i powtarzał czasem ze zwykłym sobie uśmiechem: »Śmierć temu, który się mnie dotknie!« Czasem też oddalał ją od ściany i, szybko przechadzając się po komnacie, pojedyńczemi wykrzyknikami: »Do szatana, jéj oczy! jéj twarz! niema nic równego w Niemczech!« poruszenie duszy odkrywał. Nareszcie usiadł przy stole i zaświstnął w srebrną świstałkę, wiszącą na sznurku, okręcającym się naokoło szyi. Natychmiast ukazała się na schodach kamiennych zbiegająca z wierzchniego pokoiku osoba, która, przystąpiwszy do rycerza, lekkim go przywitała ukłonem. Był to młodzieniec, nie więcéj nad ośmnaście lat liczący, w kształtnym paziów niemieckich stroju; twarz jego wiosenną szpeciły oznaki burzliwych już namiętności, a ogień, błyszczący w oczach, stracił znamię niewinnéj cnoty. Jakaś nawet ponurość, daleka od wesołości najpiękniejszéj życia pory, kaziła piękne jego rysy. Zresztą żywość i zręczność wydawała się w każdem poruszeniu, a włosy, w gęstych pierścieniach szyję otaczające, przydawały jeszcze powabu do oblicza, na nieszczęście zbrodnią, a przynajmniéj zimnem do niéj przyzwyczajeniem nacechowanego.

— Ulrychu — rzekł Mestwin — powiedz mi szczerze, czy kiedy w naszych bogatych miastach lub na brzegach Elby lub w górach dzikiej Szwajcaryi lub nareszcie na świetnych turniejach naszéj ojczyzny wi-

działeś równą jéj piękność, oko tak ponętne, kibić tak kształtną?

— Trudno mi być sędzią w téj sprawie, bo nie wiem, o kim chcesz mówić, mój panie.

— O niéj. Czyś nie słyszał? O Hannie!

— O księżnéj naszéj, rycerzu?

— Kto tu jest księżną? — zawołał Mestwin, podnosząc się nagle i wściekłe miotając na wszystkie strony spojrzenia. — Kto tu śmie ją tak nazywać, nie uzyskawszy wprzód pozwolenia odemnie, prawdziwego tych miejsc pana? Kto tu jest księżną? dziecie, pytam się jeszcze raz ciebie.

— A zdaje mi się — odparł zdziwiony Ulrych — jeślim nie w błędzie, że taką jest żona księcia Zbigniewa.

— Kto tu jest żoną Zbigniewa? — po drugi raz zapytał Mestwin. — Czym na to się zgodził? Czyż jedno moje słowo lub skinienie potwierdziło ten obmierzły związek?

— A czemże jest Hanna z Ciechanowa?

— Moją żoną! — krzyknął rycerz kładąc rękę na piersi — moją żoną lub trupem bez czucia, ciałem bez duszy za dni kilka!

Po tych słowach nastąpiło chwilowe milczenie, które znów przerwał Mestwin, odzywając się do Ulrycha:

— Nie chciałem wierzyć, żeby tajemnicza siła zapalała serca i w ciężkie okowała pęta. Śpiewy naszych minstrelów i zalotności współtowarzyszów broni urojeniami się wydawały; gardziłem miłością, a jeślim uwodził dziewczyny, było to raczéj skutkiem przyjemności, którąm obiecywał sobie z ich łez i westchnień w chwili pożegnania lub opuszczenia. A teraz i mój duch śmiały uległ nieznanéj potędze, która przemogła nad wiernością i przywiązaniem mojem do Zbigniewa. Ulrychu, nie wierz, śmiéj się, albo raczéj wierz i nie śmiéj się, bobyś to srogo mógł opłacić: kocham, kocham Hannę z Ciechanowa, chcę ją posiąść, przysiągłem, że albo moją będzie, albo zginie! Dwie drogi otwierają się przedemną. Jedna prowadzi do zdrady i miłości, druga do wierności księciu i zemsty; rozumiesz mnie, Ulrychu?

— Na szatana, cię nie rozumiem, drogi mój panie!

— Nie rozumiesz, ziemska istoto, prochu nikczemny! Powiadam ci, że Hanna musi do mnie należeć. Z nią ujadę w dalekie strony. Te śnieżne piersi za mną wzdychać, te czarne oczy na mnie tylko zwracać się będą.

— Niepojęte dziwy! — rzekł Ulrych. — Zamek obwarowany, mury wysokie, a serce kobiety komu innemu oddane; chyba pożyczywszy skrzydeł u sokoła, a wdzięków u Serafa, wykonać to będziesz w stanie.

— Wywrócę zamek, przejdę mury, opanuję serce; moja wymowa i mój rozum jednego i drugiego dopną. Łatwo mi stąd, z Polski nawet umknąć. Dzisiaj przyjąłem nowego sługę.

— Nowego sługę, ukochany mój panie — przerwał smutnie młodzieniec — a cóż się stanie z Ulrychem? Czyż na to ojczyste opuścił kraje, byś go zostawił w tych stronach, bez przyjaciół, bez opieki, a nadewszystko bez ulubionego pana? — To mówiąc schylił się i ucałował rękę rycerza.

— Nie rozumiesz mnie dzisiaj, niepojętne dziecię: mówię ja o innym słudze, a tym jest Skarbimir z Gulczewa, podskarbi jego królewskiéj mości. On mnie wszystko ułatwi, za wyrzeczonym rozkazem przybiegnie podesłać się pod moje stopy i wszystko wypełnić z ochotą, co zechcę. On mi szczęście zapewni, za jego pomocą Hanna moją będzie, albo też, jeśli odrzuci Mestwina, dozna jego zemsty, zemsty, której przykład zagrzmi w przyszłości, zemsty niewidzianéj dotąd!

— Czyś nie słaby czasem, mój panie? — zapytał paź, przerażony uniesieniem pana.

— Precz mi z takiemi wnioskami! — przerwał grzmiącym głosem Mestwin. — Owszem, czuję napływ sił nadzwyczajnych, sił, któremi świat-bym mógł zniszczyć, czuję ogień w piersiach, którego wkrótce wybuchną płomienie. Nigdy nic w życiu lepiéj mi nie usłużyło nad tę ranę, odebraną przez Zbigniewa. Hanna teraz sama przesiaduje w swoich komnatach. Na szatana i piekło zarazem, to moja żona, powiadam ci paziu, ona moją żoną być musi!

— Jeśliś tak postanowił — ozwał się Ulrych — to będziesz łaskaw użyć mnie do posługi w téj sprawie, wiesz bowiem, że orle mam oko i jelenie nogi, umiem się jak wąż czołgać po nieprzyjacielskich obozach i rzucić się z zajadłością na wskazane ofiary.

— Doświadczyłem często twojéj zręczności — odparł Mestwin — a teraz potrzebniejszą mi ona, niż kiedykolwiek, będzie. Wspomniałeś o obozach nieprzyjacielskich, wkrótce je odwiedzisz. Ale, Ulrychu, zdaje mi się — dodał już ciszéj i z szyderskim uśmiechem — że spokojny i wyrachowany zwyczajnie rycerz z Wilderthalu zanadto się uniósł; rysy jego zapewne przybrały cechę namiętności i prawdy, oddawna zapomnianéj. Trzeba odmienić ten wyraz twarzy i znowu wrócić do zwykłego stanu! — To mówiąc, zdjął świstałkę, a na jéj miejscu zarzucił rycerski łańcuch, szpadę z świetną rękojeścią, z szafy wyjętą, zawiesił u boku, a aksamitną czarną czapkę z długiemi pióry wziął do ręki.

— Idę — rzekł — zobaczyć, czy pierwsze natarcie mi się uda — ale rzadko od razu zupełne odnosi się zwycięstwo, wolno jednak szczęścia próbować. Wleję w jéj serce nieufność ku mężowi, tyle sideł naokoło nastawię, że nareszcie w nich uwięźnie. Ty zaś nie opuszczaj mojéj komnaty, a gdyby książe mnie kazał przywołać, o czem bardzo wątpię, wyjdź na galeryę, stań przy schodach i potrzykroć w tę świstałkę zagwizdaj!

Po tych słowach wyszedł Mestwin, tak zajęty wrzącą namiętnością, że nie słyszał słów Ulrycha:

— Zapewne oszalał, ale dobrze, że przynajmniéj teraz będzie co do roboty.

Śpiesznym idąc krokiem, znanemi sobie przechodami przybył Mestwin do wspomnionéj już dawniéj sali, w któréj za pchnięciem gwoździa część ściany się odsuwała; kilka chwil późniéj witał ukłonem i mową księżnę Hannę z Ciechanowa, która przyzwyczaiła się poniekąd do odwiedzin Mestwina, często od męża do niéj przysyłanego.

— Cóż cię o tak późnéj godzinie do nas sprowa-

dziło, rycerzu? Czy mój Zbigniew czasem nie zasłabł? czy mojéj nie potrzebuje pomocy? Książe, miłym snem ujęty, marzy zapewne o chwale?

— Chęć widzenia ciebie i uwielbienia twoich wdzięków, pani, tu moje kroki przywiodła.

Zdziwiona tak niezwykłą księżna przemową ze wstrętem odwróciła oczy od Mestwina i w milczeniu obszywała w złote i jedwabne nici rękawiczki z białéj jak śnieg skóry, dowodzące swoją wielkością, że nie miała ich nosić piękna i szczupła ręka, która ich przyozdabianiem się zatrudniała. Czasem też prosiła Katarzyny, za nią stojącéj, o podanie narzędzi, do téj pracy potrzebnych.

Mestwin nie wiedział, od czego znowu zacząć rozmowę, ale wkrótce zimna jego bezczelność wzięła górę nad chwilowem pomięszaniem i tak się odezwał:

— Nadobna Hanno, mam ci ważne odkryć tajemnice, głęboko dotąd ukryte; ważne i bardzo ważne, mające wpływać na los twój cały rzeczy ci oznajmię.

— Uwolnij mię, rycerzu, od tych wynurzeń! — odparła księżna. — Nic nie chcę wiedzieć ani słyszeć od ciebie. Możebyś zmniejszył i tak niebardzo błogie szczęście moje. Zostaw więc mnie i lepiéj uczynisz, kiedy pójdziesz obejrzeć nocne czaty w zamku!

Odpowiedź ta rozjątrzyła Mestwina. Miał jednak dosyć siły do wstrzymania gniewu i znów mowę zaczął, ale już mocniéj i dotkliwym głosem:

— Ważne, zaiste! ważne przedmioty i sprawy znagliły mnie do odwiedzenia cię, pani. Nie bądź tak porywczą i wysłuchaj człowieka, któryby całą swoją krew wylał dla ciebie!

Podniosła wtenczas oczy Hanna i z największem podziwieniem, pierwszy raz, odkąd poznała Mestwina, nie spostrzegła na jego ustach szyderczego śmiechu. Wnosząc po téj odmianie, że prawdę powiada, z obawą go się pytała o wyjawienie tajemnicy.

— Każ naprzód, piękna Hanno, odejść téj służebnicy!

Te wyrazy oburzyły księżnę i żywo przerwała je rycerzowi:

— Wśród tych samotnych murów i niebezpieczeństw, codzień grożących, znikają różnice stanu; Katarzyna tyle razy swoje przywiązanie mi dowiodła, że raczéj wypadałoby ci ją przyjaciółką, niż służebnicą nazywać!

— Pomyliłem się — odparł Mestwin — racz przebaczyć, pani, ale cię jeszcze raz upraszam, byś kazała oddalić się téj przyjaciółce!

— Czy o Zbigniewie chcesz mi mówić?

— Przynajmniéj o rzeczach, tyczących się mego pana i księcia.

— Odejdź więc, Katarzyno! — rzekła księżna i z bijącem od bojaźni i miłości sercem porwała się z krzesła i zbliżyła się do Mestwina, czegoby nigdy w innym nie uczyniła razie.

Milczał rycerz, dopóki zupełnie odgłos kroków odchodzącéj córki Gierdy nie ucichł, a wtenczas ująwszy rękę Hanny:

— Przysiąż — wyrzekł — na wszystkie świętości, przysiąż na ewangelią, że nikomu nie powtórzysz słów, usłyszanych odemnie!

Zwiedziona podstępem, drżąca o Zbigniewa, z całym zapałem kochającego serca przysięgła księżna, mnogie gotując sobie przez to nieszczęścia. Wpatrywał się w nią Mestwin wzrokiem raz ponurym, znów jaśniejącym nadzieją, ale nie była to nadzieja niewinności, kojąca cierpienia i zamieniająca ciernie życia ludzkiego na woniejące róże; była to raczéj cecha namiętności, połączonéj ze zgubnemi widokami, z obrazem przyszłości, pełnéj zbrodniczych uciech.

Po skończeniu zaklęcia ścisnął jeszcze mocniéj rękę Hanny z Ciechanowa rycerz niemiecki i nareszcie zawołał:

— Pamiętaj, niewiasto, żeś wykonała straszną przysięgę, za któréj zgwałcenie twój Kościół i religia grozi ci najsroższemi męczarniami, niech więc odtąd milczą twoje usta jak kamień grobowy, niech wieczne zapomnienie pokryje rozmowę i zdarzenia téj nocy! Zobowiązałaś się słowem, którego naruszenie zwaliłoby na ciebie i gniew niebios i gniew ludzi. Pamiętaj więc, powtarzam ci, Hanno z Ciechanowa, że jakkolwiek

twoje podziwienie lub uniesienie wielkiemi będą, nie powinnaś ich ukazywać zewnętrznemi znaki, nie powinnaś nawet myśleć o ich wykryciu!

— Znam dobrze — przerwała mu w tem miejscu Hanna — przepisy świętéj naszéj wiary i możesz być pewnym, że nie złamię przysięgi. Mów więc, Mestwinie, co wiesz, bo tu idzie o Zbigniewa, o człowieka, którego najwięcéj na téj ziemi kocham!

Takie oświadczenie wcale nie przypadało do myśli rycerzowi niemieckiemu, który odstąpił kilka kroków i szydersko patrzył na anielską twarz córki Wszebora.

— Mów, nie odwłaczaj, nie zwlekaj, rycerzu!

— A więc powiem ci wszystko — odrzekł Mestwin — kiedy sama tego żądasz. Wiedz, że roznieciłaś w moich piersiach płomień, pożerający moje serce! Ognie piekła, podsycane przez szatana, niczem są w porównaniu tego, co wre pod tą kolczugą... Tak, kocham, i ciebie kocham, Hanno, musisz być moją!

Zarumieniona księżna od gniewu i wstydu, przerwała mu tę mowę z przynależną godnością i powagą:

— Rycerzu, jako małżonka twojego pana, rozkazuję ci się oddalić! Mowa ta zuchwała nie powinna kazić moich uszu, wcale niedogodne dla niéj obrałeś miejsce; tego jeszcze nie dostawało, żeby rycerz Mestwin ośmielał się urągać z swojéj pani tak, jak z całéj ziemi i nieba samego się urąga!

— Zuchwałą mową zowiesz — krzyknął Mestwin — najżywszy obraz miłości, którą dla ciebie pałam! I kiedyż, piękna Hanno, widziałaś mnie w takim stanie? czyż kiedy błyszczały moje oczy równym ogniem? czyż kiedy twarz moja blada pokryła się takim rumieńcem, jak dzisiaj? Przyłóż rękę do moich piersi, a uczujesz, że to serce, spokojne oddawna na groty nieprzyjaciół i spojrzenia dziewic, bije z podwojoną mocą w twojéj przytomności...! Pozwól rękę ucałować, pozwól ust różanych się dotknąć, wyrwę cię z tego położenia — dodał, napół dobywając szabli — nie będziesz dłużéj jak uwięziona przebywać w oblężonym zamku! Poznasz czarowne Niemiec okolice, gdzie mi wskażesz, tam cię zawiozę, na dworach książąt i królów pierwszą będziesz,

a gdyby kto ci śmiał tego zaprzeczyć, ległby u nóg twoich, śmiertelnym uderzony ciosem. Opuść zimnego już dla ciebie męża i przejdź w objęcia człowieka, który cię tak kocha, że gotów na twój rozkaz krwią przyjaciół i krewnych się oblać i świat cały zniszczyć dla twojego upodobania! Patrz, nigdy w świątyni nie kląkłem przed Bogiem waszym, nigdy, żebrząc przebaczenia lub łaski, nie zniżyłem czoła przed mocarzami, a teraz zginam przed tobą kolana! Hanno, jeśli życie ci drogie, pokochaj mnie, bo jeśli mnie odrzucisz, biada wam wszystkim, wściekle rzucę się w objęcia zemsty i popamiętasz, jakie są groźby Mestwina!

A tu dziko się rozśmiał, schylony u stóp księżny, która z początku z przerażeniem, a teraz z pogardą i gniewem nań poglądała.

Nagle odskoczywszy, wzięła biblią w ręce i zastawiła się tą świętą od rycerza tarczą. Jeszcze chciał odezwać się Mestwin, ale Hanna przerwała mu temi słowy:

— Podły sługo, kiedyś pilnować łoża boleści twojego pana, kiedyś lekarstwa mu podawać powinien, przychodzisz do jego żony i zuchwałemi obrażasz ją mowy, o których w przytomności Zbigniewa nie śmiałbyś i pomyśleć nawet! Podszedłeś mnie piekielnym podstępem.

— Alboż, co powiedziałem ci, pani, nie tyczy się księcia Zbigniewa? — zapytał szyderskim głosem Mestwin.

— Milcz, zdrajco, nie zatruwaj powietrza zgubnym tchem twoim, precz z moich oczu, odwróć szatański wzrok od mojéj twarzy! Czyż myślisz, że, gdybym nawet kiedy mogła zapomnieć o cnocie i wierze, poprzysiężonéj Zbigniewowi, żebym na ciebie choć jedno wejrzenie zwróciła? Czyż sądzisz, że szlachetna Polka i córka pana Ciechanowa chciałaby się zniżyć do odbierania hołdów Niemca, posługacza swego? Srogą dziś popełniłeś obrazę, zgwałciłeś wszystkie obowiązki człowieka i sługi, podniosłeś oczy na własną księżnę, szkaradną zdradą zmusiłeś ją do wspomnienia świętych imion Boga i księgi, przez Niego danéj, w okoliczności,

w któréj niegodziwe twoje chęci i zbrodnicze zamiary na jaw się wydały. Przebaczam ci jednak jako chrześcianka i jako księżna polska, któréjby niegodnem było mścić się na takiéj, jak ty, istocie. Ale nie pokazuj się więcéj moim oczom, uciekaj z tych komnat i niech już twoje stopy nigdy się nie tkną miejsc, gdzie przeszły moje ślady!

— Rozważ, pani — krzyknął Mestwin, miotany najsroższemi namiętnościami — że swój własny wyrok wymówiłaś teraz, bo jeśli mną wzgardzisz, to ramię dopóty nie spocznie, dopóki cię i miłych tobie nie zagrzebie pod ciężarem klęsk okropnych! Cóż to jest cnota, o któréj tak dobrze pamiętasz? Jest to mara i widmo, nigdy nie istniejące na świecie, utworzone w głowie mędrców. Jedyną dla mnie cnotą jest ciebie posiadać, innych się wyrzekam i znać nie chcę!

— Bluźnisz, Mestwinie! — zawołała księżna, która zaczęła sądzić, że pomięszane ma rycerz zmysły. — Bluźnisz, nieszczęśliwy, ale powtarzam, oddal sie stąd, wassalu i sługo!

— Gdziesz tu widzisz, Hanno z Ciechanowa — odparł wściekły Mestwin — wassala lub sługę? Owszem, lepiejbyś mnie swoim panem i mężem nazwała, bo, na piekło, spodziewam się, że tego dopnę! Inaczéj bowiem zemsta... ale, Hanno, ostatni raz powiadam, niema słów w jakimbądź ludzkim języku na wyrażenie zemsty, którą tobie gotuję.

— Jestem w twojéj mocy — przerwała Hanna — bo krzyków moich niktby nie usłyszał, ale wiedz, nikczemny rycerzu, że choć słabą jestem i lękliwą niewiastą, wcale jednak nie drżę przed ognistym twoim wzrokiem i ręką, spoczywającą na szabli! Bo cóż możesz mi zrobić? Zabić?... Nie lękam się śmierci, ale całą potęgą nie zerwiesz miłości, łączącéj mnie ze Zbigniewem, nie zatrujesz pięknych młodości myśli i ułudzeń, a te są jedynem mojem szczęściem... Ale dosyć już o tem, odejdź — a kiedy Mestwin i krokiem nie ruszył — lub uderz i zakończ obelgi, których cierpieć nie powinna ani żona Zbigniewa, ani córka Wszebora!

— Mylisz się — odpowiedział zimno Mestwin —

sądząc, że zechcę własne żelazo w piersi twe utopić; przyjdzie czas, dumna Polko, kiedy gorzko pożałujesz, żem tego nie uczynił. Sroższe ci męki i boleści gotuję nad chwilowe konanie pod mieczem zabójcy. Z rąk ulubionych odtąd gorycze na cię spływać będą, a niespokojność i nieufność napełnią godziny życia twojego. W porównaniu z przyszłością niebezpieczeństwa, którym teraz ulegasz, codzienne troski i zgryzoty dziecinnemi igraszkami, a najprzykrzejsze chwile, dotąd przez ciebie doznane, są niebieskiem szczęściem... Ulubione ci związki potargam, nadzieję zniszczę. Łez i westchnień ci nie stanie na opłakiwanie nieszczęść, które cię otoczą i zamkną wszelką do pomyślności drogę. Kiedy zrzucisz jedną zawadę, natychmiast druga urośnie pod twojemi kroki; kiedy zerwiesz jeden cierń, tysiąc innych przejście ci zagrodzi. Opuszczona od męża, okryta hańbą, odrzucona przez ojca, nie mogąca strapień swoich powierzyć przyjaźni, boś straszną związana przysięgą, pożałujesz chwili, w któréj nazwałaś mię wassalem, sługą, w któréj nie chciałaś mojemu sercu odpowiedzieć. Taką ci przyszłość zapowiadam, Hanno z Ciechanowa, jeśli mnie odrzucisz!

— Ufna w Bogu — odparła Hanna — przyjmuję ten zgubny obraz, mając nadzieję, że się nie spełni. A gdyby to sprawdzić się miało, pocieszy mię przekonanie, żem była cnotliwą. Ale nie, ty nie możesz stać się przegrodą między mną a Zbigniewem!

Poznał wtenczas Mestwin, że gwałtowność i groźby nic nie pomogą i, zebrawszy wszystkie siły, skrócił wściekłość, nim władającą.

— Zostaw mi przecie choć małą nadzieję — rzekł zniżonym głosem — że nie zupełnie zabraniasz mi o sobie myśleć, że mi wolno będzie przyjść do ciebie!

— Milcz! — odparła księżna uroczyście. — Kiedy zechcę te rękawiczki przesłać księciu Zbigniewowi, każę cię zawołać, byś je mu poniósł. Inaczéj nie śmiéj stawić się przedemną! —

Dokończając tych słów, z taką powagą wskazała mu drzwi komnaty, że, uderzony wyższością, którą zawsze zachowuje cnota nad zbrodnią, odejść musiał;

powolnym jednak odstępował krokiem i często się odwracał. Nareszcie, mając już wychodzić, jeszcze chciał coś przemówić, ale odwaga go opuściła i, zawstydzony własną nieśmiałością, obiecując sobie, że potrafi później dokonać niegodziwych zamiarów, wyszedł, powtarzając po cichu ze zwyczajnym uśmiechem, że trudno odrazu zupełne odnieść zwycięstwo.

Hanna sama została, a wtenczas powagę i stałość dotychczasową zastąpiły rzewne łzy i jęki. Z trwogą poglądając na przyszłe nieszczęścia, utraciła męstwo. Myśl, że Mestwin może kiedyś oderwać od niéj serce Zbigniewa, w taką rozpacz ją wprawiła, że upadła bez zmysłów na ziemię. W samotnym pokoju leżała dosyć długo w tym stanie, zbliżonym do śmierci, żona księcia Zbigniewa, a odzyskując zmysły, ujrzała przy sobie wierną Katarzynę. Żal wrócił za wróconem życiem. Niemożność wyjawienia jedynéj przyjaciółce strasznych wydarzeń srodze ją bolała. Musiała zamykać w znękanem sercu gnębiące ją uczucia. Nie mogła szukać nigdzie pociechy, odtąd dni jéj życia miały upływać pośród okropnych przewidywań losu, przez Mestwina zgotowanego, i okropniejszych jeszcze z nim sporów. Uklękła nareszcie przed obrazem Matki Boskiéj.

Osłabiona, zbladła, trwogą przejęta, modlić się już nawet nie mogła i te jedynie tylko wyrzekła słowa:

— Oddal od Zbigniewa tego człowieka i zmiłuj się nad nami!

ROZDZIAŁ XV.

Jeden i drugi wnet mieczów dobywa
. . . . . .
I oto się walka zaczęła straszliwa.

Odyniec.

Na szerokiem polu, niedalekiem od Płocka, mnóstwo robotników pracowało nad wznoszeniem wysokich zagród i rusztowań. Niektórzy obalali drzewa, gdzieniegdzie łąkę ocieniające, drudzy wyrywali darninę, na jéj miejscu żółty wysypując piasek, przywieziony z blizkich Wisły brzegów na mnogich wozach. Krzyki z piosnkami mięszały się w powietrzu, a czasem słyszano zachęcania i napominania przełożonych nad robotą; szybko wznosiła się budowla w obszernym okręgu, na którym porobione siedzenia miały służyć widzom płci obojéj.

Przy jednym z końców zagrody wystawiono przeznaczone dla króla miejsce, pokryte okrągławym dachem, pod którym stało bogate krzesło, napół purpurowemi zasłony zakryte, pozłacane zaś poręcze stały naokoło tego tronu. Z czterech stron gmachu były wysokie bramy z żelaznemi kraty, przeznaczone rycerzom do wnijścia na przestrzeń, piaskiem zasypaną, w któréj mieli się potykać, a przy każdéj z nich przygotowano siedzenie dla woźnych, ogłaszających przepisy i prawa turniejów.

W tłumie tylu ludzi, pracą zajętych, rozeznać można było człowieka, szybko się przechadzającego i przema-

wiającego rozkazującym głosem. Obwinięty w zielonym płaszczu, którego fałdy z wiatrem igrały, zdawał się wszystko rozporządzać i wszystkiem się zatrudniać. Bogaty strój go okrywał i piękne pióra ulatywały ponad aksamitną czapką. Sokół, niesiony na lewéj ręce, bardziéj go jeszcze, niż ubiór, odróżniał od innych. Czasem odrywał oczy od otaczających i bystrym wzrokiem przebiegał równinę i niedalekie od niéj błoto, jak gdyby spodziewał się w nich odkryć jaką zdobycz dla ulubionego ptaka, ale zapewnie hałas i gwar nieustanny odstraszył spokojnych pól mieszkańców, bo wszystkie jego starania naderemne były i mimo czystéj pogody nie mógł znaleźć celu swych życzeń. Odzywały się wprawdzie śpiewy ukrytych w gałęziach ptaszków, ale te głosy nie poruszały szlachetnego sokoła, którego odwaga i siła straszniejszych wymagała przeciwników.

— Nuże, do roboty! — wołał Wolimir z Moskorzewa. — Dokończajcie budowli, bo jutro w miejscu waszych narzędzi dzielnych rycerzy błyszczeć tu będą zbroje i pryskać pancerze! Ten rów zasypcie, podeprzyjcie tę ścianę! Na wszystkie sokoły, leniwo się sprawiacie; prędzéjże, prędzéj!

Te napomnienia podwajały robotników ochotę. Pot, ciekący z ich czoła, dowodził pracowitości i w mgnieniu oka tu zagrody, tam znowu siedzenia podnosiły się z ziemi. Szare przed chwilą ściany żywemi pokrywały się farbami, a pyszne zasłony i obicia przyozdabiały stopniowo przygotowane dla widzów piętra, do których zewsząd liczne prowadziły schody i galerye.

Często dla zachęcenia rzucał wielki sokolnik kilka sztuk srebra pracowitszym, a ociągających się żywemi karcił słowy. Oznaczywszy każdemu miejsce i stósowne zatrudnienie, oddalił się na chwilę, zwracając kroki do blizkiego strumienia, który, sącząc się w ciasnem korycie, rozdzielał się na pomniejsze strugi, niknące wśród gęstych łóz i krzaków. Ziemia grzązka uchylała się pod jego stopami i często nawet zanurzał się w niéj po kolana, ale nie zważając na tę niedogodność, coraz się daléj posuwał w nadziei znalezienia jakiéj zdobyczy,

zmierzając do małego jeziora, którego iskrząca się od słońca powierzchnia przebijała przez otaczające krzewiny i drzewa.

Nagle rozjaśniła się twarz jego radością, bo dostrzegł coś czarnego na środku wody. Jeszcze przez czas jakiś nie mógł rozeznać, czy to należało do rzędu żyjących istot, ale za zbliżeniem się zaczęło się poruszać i wielki sokolnik z nadzwyczajnem zadowoleniem poznał długi dziób ogromnéj czapli i drogie pióra, jéj głowę zdobiące. Dotknął się więc sokoła, który, ze snu obudzony, spojrzał naprzód na pana, a potem na wskazane jezioro, a oczy mu zajaśniały podobnym ogniem do błyszczącego w wejrzeniu Wolimira, który, schyliwszy się, ostrożnie podchodził czujnego ptaka, odginając rośliny, stojące mu na przeszkodzie, i omijając zeschłe gałęzie, któreby skrzypnięciem mogły ostrzedz czaplę o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Nareszcie, kiedy już sądził, że dosyć się przysunął, powstał nagle i ukazał się ponad wierzchołkami nizkich zarośli. Natychmiast czapla porwała się z wody, a w téj saméj chwili za dobrze znanem świśnięciem roztoczył sokół pióra i, zleciawszy z dłoni Wolimira, w górę wzniesionéj, puścił się w pogoń za szybko uciekającą zdobyczą.

Założył wtenczas pan Moskorzewa ręce na piersi i z uwagą wpatrywał się w tę gonitwę z pewnością, że, czy później, czy wcześniéj, zawsze z korzyścią dlań się zakończy. Nim się jeszcze sokół wysoko wzbił w powietrze, zagrzewał go głosem i poruszeniami, a potem choć go zapewnie ptak przywiązany słyszeć już nie mógł, przeciągłem gwizdaniem. Z początku czapla, unikając walki, szerokiemi skrzydły szybko przecinała powietrze, oddalając się coraz bardziéj od zawziętego wroga. Ale i szlachetny sokół nie ociągał się w drodze, a wkrótce znacznie zmniejszyła się przestrzeń, dzieląca go od ofiary. Mieszkaniec samotnego jeziora poznał wtedy konieczność walki i obrócił czoło, ale podleciał zarazem pod nieprzyjaciela, starając się, by ten ostatni w natarciu z góry spotkał dziób straszliwy i wbił się na niego. Doświadczony sokół w tysiącznych

potyczkach, uniknął przecież zamachu czapli i ciężką jéj ranę zakrzywionemi zadał szponami.

Przeraźliwy krzyk boleści przeleciał przez powietrze i obił się o uszy Wolimira, zapewniając mu wygraną, a w téj saméj chwili ujrzał, jak wysoko nad nim spotkały się ledwo widziane dwa czarne ciała, jak przez czas jakiś krwawa nastąpiła walka, w któréj niepodobnem było odróżnić zwycięzcę od pokonanego, i jak wkrótce potem z szybkością błyskawicy wprost się ku niemu spuścił sokół, trzymając zabitego nieprzyjaciela, którego trzy pióra, wyrwane z ponad dziobu i krwią zbryzgane, obmył wielki sokolnik w jeziorze i zatknął na czapce. Nagrodził sokoła kawałkiem mięsa, z torby wyjętym, i znów go na ręce posadził, a ptak, przeniesiony z siedliska burz i gromów na dłoń wszechwładnego pana, zamknął oczy i zasnął.

Uniesiony radością, wrócił spiesznie sokolnik i, dostawszy się po krótkim czasie na brzegi przebytych trzęsawisk, niepomału się zdziwił, kiedy dostrzegł siedzącego na koniu męża, zbrojnego w pancerz, połyskujący zdaleka, który zdawał się rozkazywać robotnikom, układy jego zmieniać i opuszczone zastępować miejsce.

Skoczył więc prędko ku niemu i z gniewem w sercu dopadł rycerza, kiedy właśnie na jego nalegania obalali robotnicy dopiero co wystawione siedzenia.

— Któż ci dał prawo — krzyknął wielki sokolnik — rozrządzać tu w mojéj nieprzytomności?

— Sam go sobie nadałem — odparł mąż zbrojny — i sądzę, że nikt tego prawa nie będzie śmiał zaprzeczyć Sieciechowi, wojewodzie krakowskiemu!

— Zaprzeczam go jednak — odparł do żywego tknięty Wolimir dumnemi słowy Sieciecha — i proszę wojewody krakowskiego, by się nie mięszał do spraw, w niczem doń nienależących, od króla mu nie poruczonych!

— Gdyby tu się odbywały łowy — zawołał Sieciech — miałbyś prawdę za sobą, chociaż i w nich równą tobie biegłością poszczycić się mogę, ale ponieważ tu nie o sokołach ani o psach mowa, ale o tur-

niejach i igrzyskach rycerskich, zdaje się, że mieć w nich powinien pierwszeństwo hetman królewski nad wielkim sokolnikiem.

— Mości panie wojewodo! — krzyknął obrażony Wolimir. — Sokoły i łowy nie przeszkadzają mi wiedzieć, że miecz mi jeszcze nie przyrósł do pochwy.

— I mój też jeszcze nie zardzewiał — przerwał Sieciech, uderzając o rękojeść pałasza — ale nie masz konia.

— Broń się! — zawołał gniewem uniesiony sokolnik. — Nie potrzebuję konia dla nauczenia zuchwalca, że nie urząd hetmański, ale szlachetne serce pierwszeństwo nadaje.

— Przynajmniéj odéjdźmy od tego motłochu! — rzekł Sieciech i, zsiadłszy z konia, oddalił się na stronę.

Wolimir poszedł za nim, rozkazawszy pod karą śmierci robotnikom, aby się nie ważyli zbaczać od rozkazów, przez siebie danych.

Przybywszy nad błota, w których przed chwilą tak się Wolimirowi powiodło, stanął wojewoda, dobył szabli i natarł na sokolnika, który, złożywszy ptaka na murawie, odbił mieczem żelazo przeciwnika.

Na nieszczęście wyszło Sieciechowi, że zapomniał spuścić przyłbicy. Za drugiem zwarciem się albowiem sokół Wolimira, podobny do tego starożytnego kruka, co rzymskiego ocalił bohatera, porwał się z ziemi i rzucił na szyszak wojewody. Stamtąd dopiero szpony w czoło jego zatopił i skrzydłami oczy mu zasłonik. Zmięszany Sieciech, broniąc się jedną ręką, darmo drugą chciał odrzucić nowego nieprzyjaciela.

Nie korzystał Wolimir z tak nadzwyczajnego wypadku i przez chwilę z uśmiechem przypatrywał się téj dziwnéj walce, a potem zagwizdnął. Natychmiast posłuszny sokół opuścił Sieciecha i przyleciał do pana. Wtenczas wojewoda podał rękę Wolimirowi z Moskorzewa:

— Mogłeś mnie z łatwością zabić. Umiem cenić twoją wspaniałomyślność i winszuję ci tak przywiązanego sługi, do którego mało jest między ludźmi podobnych.

— Zapomnijmy — odparł Wolimir, głaszcząc so-

koła — o tem, co się stało! Oba-śmy się niewczesnym unieśli zapałem, a teraz wróćmy do zgody! Nie odrzucę rad twoich, choć sam wiele turniejów widziałem i niejednym wieńcem ozdobiły się moje skronia.

— Dobrze — rzekł Sieciech — ale przybyłem z obozu w zamyśle dowiedzenia się od ciebie nazwisk sędziów turnieju.

— Słyszałem z ust najjaśniejszego pana, że niemi będą: książe Mieczysław, Wszebor i Zbigniew. Bo koniecznie chce ich król pogodzić.

— Nie nazywam się Sieciechem i topór nie jest moim herbem — zawołał wojewoda — jeśli to Władysław uskutecznić potrafi... Szkodaby mi było téj wojny.

— Zobaczemy — odpowiedział Wolimir — ale jakże się miewają Mieczysław, Wszebor i pan Gulczewa?

— Mieczysław posępny ciągle, Wszebor smutny, a Skarbimir swoim zwyczajem drży na każdy łoskot i wieczorem, zamknąwszy się w namiocie, liczy z Bardanem pieniądze.

— Obmyjże, wojewodo, twarz, krwią zbryzganą, bo mój sokół nie żartem zapoznał się z twojem czołem!

— Dziękuję za przypomnienie — rzekł Sieciech, a schyliwszy się, nabrał wody w rękę i nią się oblał. Odszedłszy potem, wrócił z wielkim sokolnikiem do wznoszącéj się budowli.

— Przepraszam cię — zawołał, zbliżając się do robotników — jeśli cię ostrzegę, kochany Wolimirze, żeś zapomniał nader ważnej rzeczy: o siedzeniu dla sędziów.

— Na wszystkie sokoły, prawda; wdzięczny ci jestem za sprostowanie błędu. We Włoszech jednak podczas całego turnieju stoją sędziowie, czego przykład widziałem na rycerskich igrzyskach, wyprawionych przez księcia Sydonio del Maro.

— Znać, że wytrzymalsze mają od nas nogi — odparł wojewoda. — Ale, prawdę mówiąc, gmach potężnie się wznosi i piękną postać przybiera. Dzielnie jutro na tem miejscu gonić będziemy, a moja kopia niejednego zwali rycerza. Teraz żegnam ciebie,

bo muszę wracać do obozu, a dosyć daleka mi stąd droga.

— Bądź zdrów, wojewodo! — rzekł sokolnik, ściskając człowieka, na którego życie godził przed chwilą, a koń Sieciecha, ostrą dotknięty ostrogą, w prędkim biegu wyruszył.

Nadchodził wieczór a z nim i dokończenie budowli. Przy szerokich ogniskach piekły się dla robotników woły i beczki, pełne miodu, stały tu i owdzie na łące. Nadciągały też powoli orszaki panów, mających walczyć nazajutrz. Liczne namioty wznosiły się po całem polu, a zawieszona nad każdym z nich chorągiew z herbem i tarcza z godłem oznaczała godność i dostojeństwo rycerza. Puste przed kilkoma dniami miejsce napełniali teraz biegnący na wszystkie strony to słudzy, to robotnicy. Giermki przybywali z świetnemi zbrojami, obładowane żywnością i rynsztunkami wozy przesuwały się po dolinie, krzyki, rozkazy, nawoływania i kłótnie mięszały się z sobą. Z drugiéj strony kupcy budowali nizkie chaty, rozstawując w nich sprzęty, ubiory, hełmy, kopie i pancerze.

Ożywiona okolica przedstawiała piękny a zarazem poważny widok wzniesionego gmachu i tłoczących się naokoło tłumów. Wśród takiego zgiełku i zamięszania głos Wolimira często się podnosił. Czynny sokolnik wszystkiem się zatrudniał i przewidywał wszystko, raz w tem, drugi raz w tamtem ukazywał się miejscu, a nareszcie za jego staraniem ukończono gmach przed zachodem słońca, które ostatnim promieniem oświeciło bogato wystrojoną budowę i orła białego, wznoszącego się na niéj, z uroczystością, przyzwoitą królowi ptaków i godłu najdzielniejszego narodu słowiańskiego plemienia.

ROZDZIAŁ XVI.

Ledwo najpierwsze słońca wschodzące promienie
Padły na przestrzeń pola, w którem szranki stały,
Gdy się na wieży dało słyszeć otrąbienie,
Że się wkrótce igrzyska rozpocząć miały;
Szczęk oręża, blask hełmów, strojnych koni rżenie,
Odwagę, żądzę chwały, męstwo zapalały:
Król, hetmani i liczne płci pięknéj osoby
Pysznemu widokowi dodały ozdoby.

Tomaszewski, Jagiellonida.

Dzień 22. maja widział Władysława Hermana zasiadającego na turniejach wśród swojego rycerstwa. Przybywszy z licznym dworzan orszakiem, zajął wzniosłe, przygotowane dla siebie miejsce, z miłą w sercu nadzieją, że może uda mu się rozjątrzone połączyć serca i syna oddalić od przepaści, do któréj ślepo zmierzał. Wkrótce potem ukazał się Zbigniew z Mestwinem i kilkoma towarzyszami, ale że podług królewskiego rozporządzenia miał być tylko sędzią turniejów, nie błyszczał mu pancerz na piersiach ani świetny szyszak nie krył jego skroni. Zamiast ciężkich żelaznych, nosił dane od żony rękawice, na których złote wyszyła mu róże. W stroju, lśniącym się drogiemi kamieńmi, stawił się książe przed ojcem i rękę mu ucałował. Zabłysły łzy w oczach Władysława, kiedy ujrzał na twarzy syna dowód poniesionych cierpień i ramię, nie zagojone jeszcze, wzieszone na bogatym pasie.

— Synu — rzekł — mam nadzieję, że ten dzień wszystko zakończy, że pokój i zgoda wstąpi w wasze

serca, że poznasz swe winy, poprawisz się i podasz rękę bratu...

Zbigniew nic nie odpowiedział, ale wzrokiem pełnym wyrzutów spojrzał na ojca, a następnie na własne ramię, bezwładne dotąd i srogiemi rozrywane boleściami, potem zajął z lewéj strony tronu ojcowskiego miejsce, które mu wskazał Władysław Herman, bo dopiero później miał zejść na dół i usiąść na przygotowanem tam dla sędziów siedzeniu.

— Zbigniewie — jeszcze raz ozwał się Władysław — sądzę, że ci wolę boską dostatecznie objawił szanowny biskup płocki, że cię same nieba ostrzegły, dozwalając, by ciężka rana trapiła twe ciało, by doświadczone w tylu bitwach szczęście odstąpiło cię w téj ostatniéj, w któréj oręż na brata podniósłeś. Synu mój, otrząśnij się z pyłu światowego, wzgardź pokusami szatana, nie uwódź dziewicy, nad którą święte ma prawa Mieczysław, a świętsze jeszcze Wszebor! Zbigniewie, czyż nie piękniejszemby było z twojéj strony, żebyś zamiast bronienia niesprawiedliwości odniósł nad samym sobą zwycięstwo i błękitne oczy Hanny poświęcił przywiązaniu i miłości ojcowskiéj, a przed niemi jeszcze powinności chrześciańskiego rycerza?

— Ojcze! drogi ojcze! — rzekł Zbigniew.

I już wyznanie prawdy miało ukoić żale Władysława i syna mu wrócić, kiedy Mieczysław ukazał się na schodach, do siedzenia królewskiego wiodących, a ten widok obudził gniew i dumę Zbigniewa. Krew żywiéj po żyłach zawrzała, słodkie uczucia, zapełniające duszę, ustąpiły gwałtownéj żądzy zemsty. Ani słowa do wprzód wyrzeczonych nie dodał, ale wlepił wzrok srogi w młodego księcia, który się witał ze stryjem i królem.

Mieczysław, równie jak Zbigniew, nie miał zbroi, a ubiór, odpowiadający dostojeństwu, szeroki płaszcz obwijał. Na twarzy znać było tęsknotę i smutek, sprawiony tak wielką stratą czasu, którego każdą chwilę mógłby był użyć na uwolnienie drogiéj oblubienicy. Powiedziawszy kilka słów Władysławowi, stanął przy tronie naprzeciwko Zbigniewa, a dwóch młodzieńców, pałających nienawiścią ku sobie, przedzielił osłabły

starzec, schylony pod lat ciężarem i brzemieniem nieszczęść.

Zdało się Władysławowi, że w głosie Zbigniewa poznał prawdziwe wzruszenie, i stąd pomyślne sobie skutki rokując:

— Synu i synowcze — rzekł — macie dzisiaj wypełnić piękny i szlachetny obowiązek, macie przyznać chwałę dzielnym rycerzom i wyznaczyć nagrody zręczności! Zstąpcie więc w zgodzie z tego wzniosłego miejsca, podajcie sobie dłonie i jak dwa anioły pokoju ukażcie się otaczającemu ludowi! Zbigniewie, Mieczysławie, pomnijcie na Boga i ojczyznę, ty pamiętaj na strapienia, ty zaś na zgubę własnego ojca! Zbrodni popełnionéj, świętokradztwa, pokrywającego całą Polskę kirem żałoby, nie chciéjcie bratobójstwem powiększać, uwolnijcie wasze sumienie od przyszłych zgryzot, bo, jeśli dotrwacie w złem, każda łza moja będzie ciężyć kiedyś na waszem sercu, a odkądeście się poróżnili, nie jedną-m wylał nad wami samemi i nad tym nieszczęśliwym krajem, w którym synowie i krewni nie słuchają głosu ojcowskiego, w którym wołania cnoty giną pośród okrzyków niesfornych namiętności! Jeszcze raz was proszę, żebyście się pogodzili; pogódź się, synu mojego brata, z własnym moim synem! Równiście młodocianym wiekiem, dzielnością, pięknemi przymiotami. Dozwólcie mi się wami nacieszyć, dozwólcie pokrzepić się mojéj starości widokiem waszéj przyjaźni i zgody, nie wyniszczajcie się wzajemnie, nie poglądajcie na siebie tak dziko, niech uśmiech pokoju rozjaśni wasze lica!...

Napróżno Władysław tak czule przemawiał. Ręce obu książąt nie wyciągnęły się do braterskiego ujęcia, ale, spoczywając na szablach, wściekle ich rękojeści ściskały. Tymczasem niespokojne tłumy oczekiwały z niecierpliwością rozpoczęcia rycerskich igrzysk. Piękny widok przedstawiał ogół tylu ludzi, tak różnych stanów i ubiorów, razem zgromadzonych. Po wyższych miejscach gmachu siedzieli sędziwi panowie z żonami i córkami, dla których niejedno serce żywiej biło pod twardem żelazem, pokrywającem piersi rycerzy, sie-

dzących na koniu z opartemi o ziemię kopiami. Nim jeszcze dano znak do gonitw, można było uważać, jak spojrzenia młodzieńców, wzniesione ku górnym piętrom szerokiéj budowli, spotykały się ze wzrokiem dziewic, zachęcających ich uśmiechem lub skinieniem ręki, trzymającéj upleciony z róż i liścia dębowego wieniec, który miał być nagrodą najdzielniejszego.

Połyskujące zbroje, wysokie nad hełmami pióra, pyszne niewiast i panów ubiory zgadzały się z przepychem gmachu, świetniejącego bogatemi obiciami i zasłonami przy najpiękniejszéj dnia wiosennego pogodzie.

Drogie makaty i kobierce, wszędzie rozesłane, złocone kraty i poręcze, aksamitem pokryte siedzenia, dowodziły, że niczego król polski nie oszczędzał dla uświetnienia zgody swojéj rodziny.

Na prędkich rumakach okrążali zagrodę rycerze, schylając kopie przed królem i sławionemi z urody dziewicami. Często nawet, spiąwszy konia ostrogą, pokazywali swoją zręczność, patrząc z radością, jak bladły lica spoglądających na ich niebezpieczeństwa kochanek. Wszystko było pełnem życia i wszystkich serca z podwojoną biły mocą w oczekiwaniu na hasło, mające szerokie pole otworzyć męstwu każdego i każdego zręczności.

Podzielili się na dwie strony rycerze; jedną dowodził Sieciech, drugą dzielny Jordan z Gozdawy. Mestwin albowiem odmówił ofiarowanego dowództwa i, odszedłszy na stronę, rozmawiał z Ulrychem, który mu konia trzymał na pogotowiu.

Pośród orszaku wojewody krakowskiego odznaczał się jeden rycerz męską postawą i pięknemi rysami. Czekał spokojnie na białym koniu znaku do zwarcia się z przeciwnikami, a wzrok trzymając zwrócony ku ziemi, zdawał się żałować czegoś; i w istocie nie było między otaczającemi téj, któréj serce poświęcił. Pocieszała ona w téj chwili stroskaną panią, a Henryka z Kaniowa nie pobudzała do sławy przytomność Katarzyny. Dumający młodzieniec zawiesił na szyszaku podług ówczesnego zwyczaju wstążkę ulubionéj, kiedy

tymczasem topór dumnie się wznosił na hełmie Sieciecha, doń się zbliżającego.

— Henryku — mówił — czemuż schylasz wzrok ku ziemi? Obejrzyj się naokoło i oddaj hołd przynależny pięknościom Mazowsza! Widzisz z téj strony Zalisławę z Górki, patrz, jak tam Rodosława z Boratyna wszystkich rycerzy zajmuje! Daléj siedzi z smętnemi oczyma Sławomira, córka Żegoty z Kossowa, tu znowu...

— Choćby sto innych, jeszcze piękniejszych, było — przerwał Henryk — nie zwrócą one mojego spojrzenia; wśród tylu niewiast jednéj mi nie dostaje. Nie zdobią jéj szyi złote ni drogiemi kamieńmi sadzone ozdoby. Grzebień z kości słoniowéj nie wznosi się na włosach, ujętych w niewolnicze choć bogate pęta — rozpuszczone pierścienie spływają na śnieżne łono, a wieniec z kwiatów polnych skromnie je wieńczy.

— Szkoda, rycerzu — rzekł Sieciech — żeś zamiast pałasza, nie wziął się do lutni, bo, na Boga, nie lada wieszcz byłby z ciebie.

Chwilowym uśmiechem odpowiedział na te słowa młodzieniec, a wojewoda oddalił się i, przystąpiwszy do Wszebora z Ciechanowa, który jeden dotąd siedział na miejscu przeznaczonem dla sędziów:

— Jakże ci się ten widok podoba? — zapytał.

— Ciało moje jest tutaj — odparł starzec — ale myśl, daleka stąd, przebywa mury Zbigniewa i do córki dolata. Niegdyś w młodości i szczęściu wzruszyłby mnie ten obraz, ale teraz zanadto cierpienia przygnietły mą głowę, żeby co mnie uderzyć mogło. Walka, którą zwodzę codzień między uczuciami ojca a obowiązkami Polaka, między przywiązaniem do córki a miłością ojczyzny, zwątliła siły i czuję, że, jeśli okoliczności temu nie położą końca, to niezadługo nową trumnę wniesiecie do moich ojców grobu. Często zwracam oczy ku miejscu, w którem siedzi Władysław Herman, staram się jego słów dosłyszeć, ale twarze książąt nic mi dobrego nie rokują. Stąd choć osłabłym wzrokiem dostrzegam znaki smutku na twarzy królewskiéj. Sam powiedz, czy się mylę?

— Zdaje mi się, żeś zgadł — rzekł Sieciech — ale

nie smuć się, bo jeśli dzisiaj nie odzyskasz córki, zaręczam ci, jakem wojewodą krakowskim, że zamek Zbigniewa niedługo już nam się będzie opierał!

— Ale gdyby — przerwał ojciec — przed zdobyciem... — a tu okropność obudzonéj myśli nie dozwoliła mu dokończyć i smutno spuścił głowę na piersi.

»Na Boga, myślał Sieciech, wszyscy smutni, ten się kocha, ten płacze córki, król w rozpaczy, Zbigniew i Mieczysław patrzą na siebie, jak dwie jadowite żmije, ja tylko jeden spokojność zachowałem, ale trzeba nareszcie ten turniéj rozpocząć!«

I wrócił do swojego hufcu, kazawszy Jaroszowi z Kalinowa, by mu konia przywiódł. Kiedy ten ostatni wrócił, prowadząc dzielnego rumaka, zapytał go się wojewoda o Skarbimira z Gulczewa.

— Żadnym sposobem — odpowiedział Jarosz — nie mógłem go doprowadzić tutaj. Zrzucił zbroję, którąś go, panie wojewodo, wdziać przymusił i opuścił nasz orszak. Ależ oto na górze rozmawia z Żegotą z Kossowy.

— Szkoda — rzekł Sieciech — żeś go nie przytrzymał, bo zapewnieby mu było do twarzy z długą kopią i w ciężkim pancerzu.

To mówiąc, ubódł konia ostrogą i poleciał pod piętro, na którem siedział Władysław. Tu stanąwszy, schylił głowę na znak uszanowania, pytając króla, czy już każe ogłosić przez woźnych prawa turniejów.

— Najjaśniejszy panie, żegnam cię — rzekł wtenczas Zbigniew, milczący dotąd — urząd, który sam na mnie włożyłeś, wzywa mnie do innego miejsca.

— Do tego samego i ja dążę — zawołał Mieczysław.

Ale Władysław Herman, zebrawszy całą powagę, odpowiedział rozkazujacym głosem, co mu się rzadko przytrafiało:

— Zostaniecie się przy mnie. Po skończeniu igrzysk dość będziecie mieli czasu na osądzenie, komu się należy nagroda. Do téj chwili może was Wszebor zastąpić.

Obawiał się albowiem król polski, aby zemstą pa-

łający młodzieńcy, uniesieni widokiem gonitw, prawdziwéj i sroższej nie rozpoczęli walki, kiedyby już ich naleganiem lub prośbą nie mógł wstrzymać, a potem miał zawsze nadzieję, że potrafi zwaśnionych pogodzić i na ten koniec cichą modlitwą wzywał często Boga. Sieciechowi zaś odpowiedział, że przystaje na rozpoczęcie turniejów.

Zawrócił więc wojewoda konia, ale dostrzegłszy, że między tyloma rycerzami niema Wolimira z Moskorzewa, nie chcąc ubliżyć człowiekowi, który tak szlachetnie się z nim obszedł, czekał przez kilka chwil jeszcze na jego przybycie.

Właśnie ukazał się zdaleka na polu mąż zbrojny, przylatujący pędem błyskawicy. Przybywszy do zagrody, skoczył ze znużonego rumaka i wszedł pieszo na pobojowisko; ukłonił się wtenczas królowi i najpiękniejszym paniom naokoło. Wysoki szyszak z złotym sokołem, trzymającym w szponach kilkanaście piór czaplich, unosił się nad głową, kolczuga, nabijana złotem, i lekkie obucia ze skóry, srebrem wyszytéj, resztę ubioru składały. Prosta szpada z rękojeścią z słoniowéj kości tkwiła u boku, a na tarczy wyryta była strzała z napisem: »Serca i ptaki zarówno przebija«.

— Witam cię, wielki sokolniku — krzyknął Sieciech — ale cóż, do tysiąca piorunów, tak długo cię zatrzymało?

— Łowy, gęsi dzikie i czaple — odparł żartobliwie Wolimir. — Wróciwszy wczoraj do domu, dowiedziałem się od moich ludzi o niedalekich błotach, pełnych zwierzyny, a ponieważ chciałem wystąpić, jak na sokolnika wypada, wybrałem się o świcie z moim ptakiem, a jego zdobycz widzisz na tym szyszaku.

— Niech teraz wystąpią woźni — zawołał potężnym głosem Sieciech — i niech czytają przepisy turniejów!

Natychmiast otworzyły się bramy z obu stron zagrody, wystąpiło dwóch woźnych w krótkich, lśniących się od złota i srebra sukniach, z wyszytym herbem państwa na piersiach. Jeden obrócił się do rycerzy Sieciecha, drugi do hufcu Jordana i obadwa ogłaszali, co następuje:

— Ja, woźny króla Władysława Hermana, zastrzegam za jego wolą, żeby w mających się odbyć turniejach zachowano następującę przestrogi i prawa:

»A naprzód, żeby rycerze pamiętali, że zabawa, przeznaczona na pokazanie zręczności, nie jest krwawą bitwą.

»Powtóre, żeby ciż rycerze z wszelką szlachetnością i uczciwością z przeciwnikami się potykali. Broń, dozwolona na tych turniejach, jest: kopia i topór. Miecza można tylko za pozwoleniem króla dobywać; kiedy jaki rycerz zwalonym z konia zostanie, z nim walczący nie ma daléj posuwać zwycięstwa i powinien czekać, aż giermek drugiego konia przeciwnikowi poda. Niech zawziętość i chęć zemsty dalekiemi będą od duszy wchodzących w te szranki i niech pamiętają, że oczy patrzącéj się na nich piękności brzydzą się nieludzkością i krwią, w srogich rozlewaną bojach.

»Nagrody zwycięzcom przeznaczone są: hełm szczerozłoty ze strusiemi pióry i puhar, sadzony drogiemi szafirami. Zwycięzcą zaś będzie ten, którego oddział zwycięży, i daléj ten, który w szczególnych gonitwach pokona wszystkich współzawodników. Sędziami, przeznaczonemi do osądzenia zasług każdego, do przyznania wygranéj i udzielenia nagrody są: książę Mieczysław, książę Zbigniew i potężny pan Ciechanowa, Wszebor z Ciechanowa. Walka między dwoma rycerzami natychmiast ustać powinna za rzuceniem między nich laski któregokolwiekbądź z sędziów. A teraz: niech żyje król Władysław i hojność panów mazowieckich!«

Po domówieniu tych słów wysypał się zewsząd na odchodzących woźnych grad złotych i srebrnych pieniędzy, a trąby po trzykroć się ozwały i turnieje się zaczęły.

Zwarły się przeciwne szyki i w natarczywym pędzie zmięszały się z sobą. Przez chwilę stali niewzruszeni rycerze, ale wkrótce potem usłyszano chrzęst zbroi, łoskot żelazców, kruszonych o tarcze, i łamiących się kopii, w okamgnieniu spadły na ziemię pióra i szyszaki, dumnie przed chwilą nad tłumem się wznoszące. Rozciągały się konie na polu potyczki i potrzaskane

odłamki stali i żelaza wzlatywały w powietrze. Wodzowie obu stron, dotrzymawszy jednak siodła, gotowali się do nowéj gonitwy; kilku zbrojnych, straciwszy zmysły w szybkim z konia upadku, leżało na ziemi. Na jednych pęknięte zbroje dowodziły mocy poniesionych ciosów, na drugich całe były pancerze, ale hełm lub puklerz zdruzgotany pokazywał, że nie z słabemi przeciwnikami mieli do czynienia.

Giermki i żołnierze weszli wtenczas do zagrody, prowadząc świeże konie rycerzom, mogącym jeszcze walczyć, osłabłych zaś na siłach do własnych zanieśli namiotów.

Trąby znów zagrzmiały i rzuciły się na siebie po drugi raz waleczne hufce. Wojewoda spotkał z Jordanem z Gozdawy i tak silnie oba się zwarli, że ich konie, uderzywszy jeden o drugiego, padły bez ducha na ziemię i jeźdźców przywaliły. Jordan pierwszy się wydobył z pod zabitego rumaka, a Sieciech, choć z trudnością, wkrótce potem toż samo uczynił, ale jeden i drugi odstąpić musieli dla przywdziania innych zbroi. Podczas ich niebytności odpoczęły obie strony, znacznie na liczbie zmniejszone, ale jeszcze gorejące zapałem; oklaski i krzyki widzów, uśmiechy i wejrzenia dziewic krzepiły ich męstwo, dodawały ochoty i pragnienia sławy.

Tymczasem nadaremno Władysław Herman, nie zważając na turnieje, usiłował pojednać Mieczysława ze Zbigniewem. Milczeniem odpowiadali na jego prośby i napominania, z uszanowaniem wprawdzie słuchać się go zdawali, ale przewidywał stroskany monarcha, że za oddaleniem się od niego rzucą się na siebie z całą wściekłością, odbijającą się w ich ponurym wzroku.

Niedługo czekano na powrót wojewody i Jordana, a wtenczas po trzeci i ostatni raz spotkały się ich hufce. Okropnie było patrzeć na mięszające się kopie i puklerze, na topory, wznoszące się i spadające na przeciwników zbroje, na mężów, opuszczających wodze i z bladością śmierci padających wraz z koniem lub pod jego kopyta, a choć prawa broniły krwi rozlewu i najczulsze istoty patrzały na te zabawy, już kilku zgi-

nęło rycerzy. Henryk zwalił z konia kilku współzawodników i żelazcem nieskruszonéj dotąd kopii odpierał napadających.

Sieciech patrzał ze zgrzytaniem zębów na swoich, którzy się co chwila usuwali z pobojowiska. Jedni szli po świeże zbroje, drugich wierni odnosili słudzy, inni znowu, krwią i kurzawą okryci, sami wychodzili z zagrody, a tymczasem dzielny Jordan nieustannie nacierał i krzycząc: — »Niech żyje Gozdawa! górą Gozdawa!« — znaczne odnosił korzyści, kiedy z drugiéj strony słabe tylko i rzadkie już głosy odpowiadały: — »Górą Topór! gorą wojewoda!«

Nareszcie, kiedy na polu walki jeden tylko Sieciech z Henrykiem się został, Wszebor, powstawszy, zatrzymał bitwę, przyznając zwycięstwo Jordanowi z Gozdawy. Zapewnie smutnem było ojcowskiemu sercu chwalić człowieka, którego musiało liczyć do uciemiężycielów córki, ale uczucie sprawiedliwości przemagało nad wszystkie względy w prawéj duszy pana Ciechanowa i własnemi rękoma dał Jordanowi pyszny szyszak z świetniejącego złota.

Wojewoda wstydem okryty, rozżarzony obrażonéj dumy wyrzutami, poprzysiągł przeciwnikowi zemstę i zaczął przemyśliwać nad sposobami odzyskania przewagi i wiernéj dotąd sławy. Zapominając o prawach turnieju, o rodzaju téj zabawy i o przytomności króla, uknuł w głębi duszy śmierć Jordana i dlatego, odszedłszy na chwilę do namiotu, przywdział najlepszą zbroję i przypasał miecz doświadczony, medyolańskiej roboty.

Za swoim powrotem ujrzał, jak wielki sokolnik gotował się do skruszenia kopii z Mestwinem. Z przeciwnych stron zagrody zbliżyli się oba do siebie w najżywszym biegu; kopia Wolimira przebiła puklerz Niemca, a dzida Mestwina strąciła z szyszaku pana Moskorzewa wznoszącego się nad nim sokoła.

Następnie Henryk z Kaniowa gonił za Jordanem z Gozdawy i, choć silnie uderzony bronią przeciwnika, siodła dotrzymał, ale w drugiem spotkaniu nie był tak szczęśliwym i runął na ziemię, z której porwawszy się zręcznie, wytrącił za trzeciem natarciem stalową tar-

czę z rąk Jordana i zgiął mu pancerz przeważnym razem.

Walczyli potem inni rycerze, ale wszystkich pokonał Jordan i zwycięzcą sam jeden na pobojowisku został. Już Wszebor drugą chciał mu przyznać nagrodę, kiedy wojewoda, wsiadłszy na konia, wyzwał go do potyczki. Nie odmówił jéj Jordan, tyloma utarczkami znużony; wziąwszy kopią z rąk giermka, zanurzył ostrogi w bok dyszącego konia i rzucił się naprzeciwko Sieciecha, który doń przybiegał z wściekłością w sercu.

Wielką miał przewagę wojewoda, na świeżym siedząc koniu, i zaraz też za pierwszem zwarciem upadł rumak Jordana, a rycerz ledwo mógł się z pod niego wydobyć. Rzucił wtenczas Sieciech niepotrzebną kopię, z konia zeskoczył i cichym rzekł głosem:

— Wyzywam cię na śmiertelny pojedynek.

— Gotów jestem — odparł Jordan — choć nie po temu miejsce — i, dobywszy miecza, zastawił się od potężnego zamachu wroga.

Rozległ się po równinie okrzyk oburzenia i trwogi, król powstał i chciał przemówić, ale nie miał dosyć mocy. Wszebor cisnął buławę między walczących, ale to nic nie pomogło, a nikt nie śmiał, rozdzielając rycerzy, nadstawić się ich ciosom. Potykali się więc z sobą wśród mnóstwa przerażonego ludu, wśród jęku i płaczu niewiast, zapomniawszy o własnéj powinności i uszanowaniu, królowi należnem. Wtem Jordan słabiéj zaczął odpierać napad Sieciecha; utraciwszy siły w tylu potyczkach, napróżno starał się ich ostatki podżegnąć wspomnieniem na chwałę i na zagrażające niebezpieczeństwo. Rana, odebrana w piersi, jeszcze bardziéj moc jego zwątliła. Wkrótce potem wojewoda krakowski oderwał mu szyszak ze skroni i w obnażone czoło siekł pałaszem. Tarcza Jordana padła obok potrzaskanego hełmu, zawróciła się głowa, oczy nie mogły już rozpoznać nacierającego coraz bardziéj wroga; nareszcie przykląkł na piasku i, uchwyciwszy oręż w obie ręce, starał się ocalić życie, które upływało w krwi potokach, zbroję jego i miejsce, gdzie walczył, broczących. Wtenczas Zbigniew, widząc blizki zgon tak dziel-

nego męża, chciał mu na ratunek pobiedz, a kiedy ojciec go nie puszczał, stanął z szybkością błyskawicy na poręczach, tron otaczających, i stamtąd rzucił się na dół. Trzeba było odwagi i całego uniesienia księcia do tak rozpacznego czynu, a zarazem szczęścia, zawsze mu prawie towarzyszącego, żeby po nim ocalał. A jednakże, choć dość wzniesionym był tron królewski, bez żadnego szwanku dostał się do ziemi, skoczywszy w otwarte objęcia Mestwina, zważającego z pobojowiska na wszystkie jego poruszenia.

— Daj mi twoje rękawice i sztylet! — rzekł Zbigniew, rzucając dane od żony rękawiczki i, porwawszy broń żądaną, pobiegł do wojewody, silnem ramieniem odsunął konającego prawie Jordana, którego kilku żołnierzy wzięło, a sam z mieczem w prawéj ręce, z sztyletem w lewéj:

— Musisz teraz zginąć! — zawołał — i zaczął walkę z Sieciechem.

Najwyższe zadziwienie wstrzymało wszystkim oddech i głosy. Mieczysław dobył szabli, chcąc, pobiegłszy na równinę, stanąć na miejscu wojewody i rozstrzygnąć pojedynkiem los domowéj wojny, ale Władysław Herman zarzucił mu ręce na szyję i, przyciskając do piersi:

— Jedyna i ostatnia moja nadziejo, zostań! — zawołał — a Wolimir z Moskorzewa, Wszebor i kilku innych panów, którzy się zbiegli do króla, zatrzymali, za prośbą nieszczęśliwego monarchy, szlachetnego młodzieńca.

To się wszystko w okamgnieniu stało, a kiedy kilku rycerzy chciało rozdzielić księcia od wojewody:

— Śmierć temu, który się przybliży! — krzyknął Zbigniew i daléj ciągnął śmiertelną walkę.

Wszystko, co siła i zręczność doświadczona może, towarzyszyło razom, nawzajem od dwóch przeciwników sobie zadawanym, ale Sieciech nieprzebitą okryty był zbroją, kiedy Zbigniew oprócz miecza i bohaterskiéj odwagi żadnéj inszéj nie miał obrony. Starał się on kilka razy, zatrzymując szablą oręż nieprzyjaciela, sztyletem go, w drugiéj ręce trzymanym, ugodzić, lecz zawsze ciężąca na lewem ramieniu rana osłabiała za-

mach i bezkorzystnemi jego zapędy czyniła. Pomimo najsroższych boleści ucierał się jednak Zbigniew z tak zapalczywem męstwem, że wojewoda zaczął wątpić o wygranéj, ale nabrał otuchy, kiedy zobaczył, że wielokrotne uderzenia wroga, odbite zawsze żelazem, piersi mu strzegącym, bezskutecznemi się stawały. Możeby jeszcze i stalowy pancerz na nic się nie zdał wojewodzie naprzeciw olbrzymiéj sile i wściekłéj księcia odwadze, gdyby rana, nie dobrze zagojona, nanowo się nie roztwarła, a wtenczas Zbigniew ramie opuścił i sztylet wypadł z jego drżącéj dłoni. Radość zajaśniała na twarzy Sieciecha, podwoił natarczywość i wszystkiemi siłami rzucił się na nieprzyjaciela. Nie ustąpił jednak i teraz osłabły książę i, dosyć długo opierając się przeciwnikowi, nawet lekką ranę w nogę mu zadał. Lecz coraz bardziéj tracąc na mocy, czuł, że się zbliża chwila, w któréj mu przyjdzie zginąć, zginąć pod żelazem Sieciecha i opuścić Hannę, tyloma burzami zagrożoną. Obraz łez jéj i rozpaczy podżegnął na chwilę jeszcze cały jego zapał i wrócił utracone siły, rzucił miecz daleko od siebie, w górę podskoczył i schwycił wojewodę za szyszak, starając się go nachylić do ziemi, gdzie leżał Mestwina sztylet, którym myślił dokończyć zwycięstwa. Wtenczas Sieciech, słuchając tylko głosu zemsty i uniesienia, nową, cięższą ranę zadał synowi własnego króla, a omdlewający bohater runął na ziemię, pociągając za sobą w upadku niecierpianego wroga. Z trudnością przyszło się hetmanowi wydobyć z nieprzyjaciela objęć, ale Zbigniew już powstać nie mógł. Napróżno starał się podnieść szlachetną głowę, napróżno ściskał bezsilną ręką sztylet, nanowo uchwycony, jak gdyby z zimnego żelaza chciał przejąć nowe życia potoki, napróżno, oparłszy raz jeszcze szeroką prawicę o blizki kamień, dźwignąć się usiłował. Ciemności pokryły niebo przed tak bystrym przed chwilą wzrokiem, wzdłuż ciało się wyciągnęło i zmysły go opuściły. Zapamiętały Sieciech podnosił już żelazo, kiedy silne uderzenie z dłoni mu go wytrąciło; obrócił się, a rycerz niemiecki, Mestwin z Wilderthalu, stał przed nim z założonemi na piersiach rękoma. Nowy pojedynek jużby

się zaczął, gdyby tłumy wchodzącego do zagrody ludu ich nie przedzieliły.

Wtenczas dopiero powstało nadzwyczajne zamięszanie, krzyki i wrzaski rozległy się na wszystkie strony. Całe pobojowisko pokryte było pospólstwem i rycerzami, niewiastami i żołnierzami, bogato wystrojonemi pany i ubogiemi wyrobnikami, którzy, mięszając się w ścisku, największego zaburzenia i nieładu przedstawiali widok. Nieszczęśliwy Władysław musiał patrzeć z tronu na walkę, liczyć każdą ranę, synowi zadaną, a nareszcie widzieć jego pokonanie. Żadna już łza z ócz nie wypływała, ale znamie rozpaczy ukazało się w skościałych od przerażenia rysach.

Gorzko żałował Mieczysław, że wojewoda zajął jego miejsce i jedyny cel pragnień zniweczył, bo już nie można było wątpić, że wkrótce dobije ostatnia chwila dla księcia Zbigniewa. Leżał on na miejscu walki, krwią własną oblany, a co chwila oddech cięższym się stawał, co chwila większa bladość po jego rozlewała się licach, a sine powieki, w pół zakrywające czarne oczy, lekkiem drganiem świadczyły, jak mało już życia pozostało w tak pięknem niedawno ciele.

Nadzwyczajnem zdarzeniem nikomu wśród tylu ciekawych widzów na myśl nie przyszło ratować go jeszcze lub podnieść z kurzawy. Czy też dlatego, że w wielu sercach wrzała niechęć ku niemu, czy też, przejęci postrachem bohatera, nie śmieli się go dotknąć i niezrozumianą bojaźnią przejmował ich jeszcze umierający Zbigniew. Dopiero po niejakim czasie przerznął się przez otaczające tłumy Henryk z Kaniowa, a pamiętny darowanego przez Zbigniewa życia zmierzył okiem pogardy tych, którzy w bezczynności rachowali ostatnie wielkiego człowieka chwile, i, dźwignąwszy księcia, cucić go zaczął.

Tymczasem Sieciech, wojewoda krakowski, klęczący przed królem, w takie doń ozywał się słowa:

— Władysławie, królu i panie mój! Nie szukałem walki z księciem Zbigniewem. Wyrwał on poświęconą sprawiedliwéj zemście ofiarę, a wtedy... Ale, królu i panie mój, sam patrzyłeś na to zdarzenie. Podniósłem

oręż na twojego syna, mnogiemi rany pokryłem mu piersi, choćbym własnemi gotów zastawiać jego ojca i życie oddać za ciebie.

— Wojewodo — rzekł król — serce moje przeklina ciebie.

Zmarszczył brwi Sieciech i pojrzał na straż królewską wymownym wzrokiem; raczéj była to straż dumnego hetmana, niż straż Władysława. Zrozumiał nieszczęśliwy starzec utajone myśli Sieciecha.

— Wojewodo — rzekł — wiesz, jak cenię twoje zasługi...

Usłyszawszy taki początek, nie czekał Sieciech końca mowy słabego monarchy i rozkazującym wykrzyknął głosem:

— Zanieść księcia Zbigniewa do zamku królewskiego w Płocku!

Tysiąc głosów powtórzyło: — »Zanieść księcia do zamku!« — »Zbigniew do Płocka!« — a wojewoda rozkazał jednemu z swoich rycerzy, Spytkowi z Rytwian, by przerznął się z kilkoma zbrojnemi przez tłumy, otaczające Zbigniewa i, odebrawszy go z rąk Henryka z Kaniowa, do Płocka wyruszyli. Więc już miały się zakończyć walki i spory, wojna domowa ustaćby musiała, Zbigniew w mocy nieprzyjaciół oddałby Hannę. Mieczysław stał smutnie, oparty o poręcze tronu, bo inny zwalczył jego wroga; nie przewagą własnego oręża, nie narażeniem się na setne niebezpieczeństwa wyrwie kochankę z rąk Zbigniewa, ale przez układy, przez poniżające umowy spokojnie ją odbierze i miecz jego nie zabłysnął z pochwy wydobyty, i spokojnie przypatrywał się walce i widział krew nieprzyjaciela, od innéj przelewaną ręki; każda kropla przymnażała mu boleści i wstydu, każde uderzenie Sieciecha hańbą go okrywało. W téj chwili tak go chęć sławy uniosła, że życzył sobie, żeby Zbigniew uszedł niewoli. Gotów był nawet życie jego wszelkiemi sposobami teraz ocalić, żeby później mógł mu je sam wydrzeć i w oczach świata ukazać się godnym synem Bolesława Śmiałego.

Takie myśli snuły się w umyśle młodzieńca, kiedy Spytek z Rytwian szedł spiesznym pośród mnóstwami

ludu krokiem, zmierzając do Zbigniewa, którego usiłowania Henryka do zmysłów jeszcze wrócić nie potrafiły.

Zbliżył się rycerz, od Sieciecha posłany, i kazał żołnierzom wziąść syna Władysława. Ale w téj saméj chwili usłyszano przeraźliwe krzyki i z przeciwnego końca pobojowiska ukazał się rycerz, który na czele kilku zbrojnych z spuszczoną przybiegał przyłbicą, tratując po ciałach zwalonych przez siebie ludzi. Z dobytym pałaszem dopadł miejsca, gdzie był książe. Objął go lewem ramieniem i, porwawszy z ziemi, położył przed sobą na siodle. Spytkowi, zatrzymującemu wodze u konia, miecz w piersi utopił, a spinając rumaka ostrogą, roztrącił opierających się, w najżywszym pędzie uniósł księcia ponad trupy, któremi drogę zaścielał.

Wkrótce potem ujrzano młodzieńca, jadącego jego śladami; kilku z przytomnych poznało jeźdźca, a imię »Ulrych«, z ust do ust przechodząc, kazało się domyślać, że jego pan tak odważnym sposobem wyrwał Zbigniewa z rąk przeciwników i z hańby niewoli.

Dwoma godzinami później puste było pole turniejów. Gmach wznosił się jeszcze wśród ostatków połamanych orężów, krwią zbryzganych trupów i szlachetnych koni, na kurzawie rozciągnionych. Gdzieniegdzie wianki z kwiatów, upuszczone przez drżących piękności ręce, leżały, a róża, wpół z liści obnażona, podnosiła się jeszcze z piasku zbroczonego lub tkwiła wśród szczętów potrzaskanéj broni.

Zbigniew zaś leżał w swoim zamku, a u jego łoża stał rycerz z Wilderthalu, Abraham z Hamburga i Hanna z Ciechanowa.

ROZDZIAŁ XVII.

Wierna mężowi, lecz taka wierność prowadzi do grobu.

Szekspir.

Łzy, płynące po anielskich licach księżnéj, zatrzymały się na chwilę, kiedy Zbigniew oczy pierwszy raz otworzył i osłabionym wzrokiem pojrzał na otaczające przedmioty. Utrata krwi, uszłéj tyloma ranami, tak go osłabiła, że nie mógł z początku ani słowa wyrzec, ale w niemem ściśnieniu ręki poznała Hanna całą miłość ukochanego męża. Mestwin ponuro patrzał na to porozumienie się dwóch serc, przywiązaniem tchnących, a tymczasem Abraham ze zwyczajną powagą zaczął opatrywać księcia. Z początku nic nie mówił, a cierpienia i srogie księżnéj oczekiwanie odbijało się w każdym rysie nadobnéj twarzy, w każdem smętnem spojrzeniu, w każdéj łzie, co się z niebieskich oczu sączyła. Nareszcie ozwał się lekarz:

— Trzeba czasu, ale ręczę, że nie zginie.

Radość zabłysła na twarzy Hanny, jak promień słońca, migający między chmurami; rozjaśniło się czoło posępnego Mestwina i z wyrazem zadowolenia po cichu powtórzył:

— Trzeba czasu!

Następnie książe drżącym głosem powitał powiernika i żonę, a kiedy się dowiedział, jakim sposobem uratował go rycerz niemiecki, jak najczuléj mu podziękował.

— Nie wiem — rzekł po chwili — czego mam się spodziewać, czy życia, czy zgonu? Ale to wnet rozstrzygnę. Mestwinie, podaj mi pałasz!

Z zadziwieniem rycerz niemiecki taki rozkaz usłyszał, natychmiast jednak broń żądaną złożył w ręce księcia.

— Teraz — rzekł Zbigniew — postaw na ziemi przed mojem łożem ten szyszak stalowy!

Również i to Mestwin wypełnił. Abraham śledził z uwagą najmniejsze księcia poruszenia, a do zdumienia Hanny mięszała się jakaś bojaźń, zarówno do opisania jak do wytłómaczenia trudna.

Wtenczas Zbigniew z trudnością się podniósł i, lewą ręką oparłszy się o łoże, dźwignął miecz swój ogromny w górę, pomimo największych boleści zatrzymał go przez chwilę w powietrzu, a stamtąd spuścił na hełm, z twardéj wyrobiony stali; a choć słabsze było to uderzenie od zwyczajnych bohatera ciosów, rozpadł się szyszak z łoskotem, na dwoje przecięty.

— Nie zginę! — zawołał książę i opadł na łoże, dręczony pomnożonym przez te wysilenia bólem, nadzieję znać było jednak w żywych jego oczach, a choć chwilowy rumieniec bledniejące lica opuścił, zostawił na nich ślady życia. Wtem Abraham z Hamburga głos zabrał i oświadczył, że spokojności nadewszystko księciu potrzeba i że bez niéj nigdy go nie potrafi pomimo najlepszych chęci i największych usiłowań z tak niebezpiecznego wyprowadzić położenia.

Zapewnie uczuł prawdę tego rozumowania Zbigniew, bo, obróciwszy się do żony:

— Hanno — rzekł — wróć do swoich komnat, nie ścierpię, by widok moich boleści nieustannie cię dręczył, byś przy chorym przepędzała dni młodości, rozkoszom i uciechom przeznaczone! Wróć do siebie, moje kochanie!

— I gdzież mi lepiéj niż tutaj będzie, drogi Zbigniewie! Z radością każde twoje słowo słyszę, z uniesieniem patrzę na męża, wracającego do życia. Nie posyłaj mnie na wygnanie do tych komnat, tak bogatych

wprawdzie, ale już tak dawno twoją przytomnością nie ożywionych!

— Księżno i pani moja — przerwał lekarz — twój widok księcia porusza, niespokojnym go czyni, podwaja natężenie umysłu, wlewa ogień w osłabione żyły, a to wszystko jest niebezpiecznem. Jutro, za kilka dni, dłużéj będziesz mogła przy nim zabawić, ale dzisiaj zaklinam, oddal się pani, jeśli drogie ci są dni księcia Zbigniewa, za których całość ręczę teraz, jeśli Bóg dwunastu pokoleń pobłogosławi mojéj nauce i sztuce!

— Hanno — rzekł książe — myśl, że każdy jęk, wydarty z moich piersi przez ciężkie bóle, twoje serce zasmuca i jest najgorszą dla mnie męczarnią!

Nie mogła się już dłużej opierać księżna. Rzuciła się więc w męża objęcia i, uroniwszy łez kilka na rozdartem jego łonie, spojrzawszy jeszcze raz na ulubionego, wyszła z Mestwinem, któremu Zbigniew kazał odprowadzić żonę do jéj pokojów, a potem zebrać ludzi, rozstawić ich po wieżach i wszystko przygotować do wojny, w któréj miał dowodzić aż do wyzdrowienia księcia. Zalecił mu także Zbigniew, żeby miał staranie o dzielnym rycerzu z Gozdawy, którego niedawno bez zmysłów wniesiono do zamku.

Drżąca Hanna przebiegała lekką stopą liczne korytarze i manowce, dzielące ją od pysznych pokojów. a ile razy przy wstępowaniu lub schodzeniu z natrafiających się schodów chciał jéj podać rękę rycerz niemiecki, odpierała jego usłużność spojrzeniem, malującem pogardę i największe oburzenie. Nakoniec, przybywszy do swojego mieszkania, stanęła na progu.

— Tu kończy się twoja droga — rzekła do Mestwina — uchodź więc z moich oczu! — i wstąpiła do komnaty, lecz wkrótce potem, odwróciwszy się, ujrzała z gniewem, z bojaźnią pomięszanym, stojącego za sobą Mestwina. Chciała zawołać na Katarzynę, ale rycerz z Wilderthalu nie dał jéj czasu wymówić i słowa. Zbliżył się śmiało, porwał za rękę i cichym wyrzekł głosem:

— Milczenie!... niewiasto, pamiętaj na straszną przysięgę!

— Ach! jakżem nieszczęśliwa — zawołała księżna. — Nierozważna przysięga każe mi ukrywać występki tego zbrodniarza i słuchać miłosne oświadczenia tego potworu, kiedy może w téj chwili mój Zbigniew umiera!

— Potwór i zbrodniarz — przerwał Mestwin — stojący przed tobą, naraził dziś życie dla człowieka tak kochanego od ciebie i uniósł go wśród grożącéj zewsząd śmierci z tłumu zażartych wrogów.

— Tem bardziéj żałuję — odparła Hanna — że Zbigniew winien za to jakąkolwiek wdzięczność takiemu jak ty zbrodniarzowi.

— Czyż zawsze — zawołał Mestwin — zaślepiona lecieć będziesz w otwartą przepaść? Czyż zawsze, związana przesądami, nie wzniesiesz umysłu nad ciemności wieku i nie wzgardzisz stosunkami towarzystwa i niewolą, od nich narzuconą? Możesz zostać najszczęśliwszą na ziemi istotą, a dla kilku słów, przez człowieka równego tobie, przy stosie kamieni, który zowiecie ołtarzem, wymówionych, uzbrajasz zabójczemi grotami rękę, któréjby tak miłem było przyciskać cię do piersi. Hanno, obudź się ze snu, odpędź mary cnoty i powinności, oddal mylące cię złudzenie, bo wierzaj mi, pani, że już Zbigniew nie kocha ciebie!

Z trudnością córka Wszebora zatrzymała łzę, temi słowy wydartą jéj boskim oczom, i ze wzgardą odpowiedziała:

— Precz stąd, precz żmijo, twój jad nie wciśnie się do mojego serca, bo Zbigniew kocha mnie i kochać nie przestanie, a choćby zapomniał o Hannie, ona mu wiecznie zaprzysiężonej wiary dochowa!

— Nie, nie dochowa — przerwał ponuro Mestwin — bo wtenczas najdoskonalszy utwór Boga musiałby zniknąć z tego świata.

Wzdrygnęła się Hanna i po chwili z rozczuleniem wyrzekła:

— O Zbigniewie! gdybyś usłyszał obelgi, któremi twój powiernik mnie pokrywa, gdybyś poznał udaną przyjaźń i fałsz, pokryty barwą szczerości, czyżbyś nie porwał się z łoża cierpień, nie przybiegł na pomoc

twojéj Hannie? Czyżbyś go nie orężem, ale już samym wzrokiem stąd nie oddalił?

— Niema siły na świecie — krzyknął Mestwin — któraby mogła mnie stąd oddalić, kiedy widzę przed sobą postać ulubionéj!

— A więc — ciągnęła daléj księżna — trzeba pożegnać się ze złotemi chwilami młodości, z rajem, w wyobraźni utworzonym! Kwiaty, strojące drogę życia, więdną przed mojemi kroki, zamiast Zbigniewa, zamiast opiekuńczego anioła, duch piekielny się zjawił i, zatruwając szczęście, czarnemi smutkami powlókł me życie, zaćmił tak czystą, tak jasną dawniej przyszłość moją.

— Hanno, napróżno narzekarz. Nie znajdziesz litości w mojem sercu, dopóki nie zezwolisz na moje żądania. Wtenczas dopiero poznasz nieznane dotąd szczęście, dopiero uczujesz wdzięk panowania nad wszystkiemi. Niech cię nie trwoży odległa ojczyzna i ojciec, ja nową, piękniejszą ojczyznę ci wskażę! Ujrzysz czarujące Niemiec okolice; twoje oko spocznie na miłych łąkach, na srebrzystych strumieniach, lub, jeśli wzniosłe wolisz obrazy, dosyć jest skał i przepaści na świecie — dodał z szyderskim uśmiechem — dosyć burz i wichrów. Obierzesz, co zechcesz, czy niebo, czy piekło, czy pałac okazały, czy cichą chatkę, wszystkie żądania twoje wypełnię, wszystko, co można uczynić, uczynię, a to, co nie można, jeszcze dla ciebie uczynię.

— Rycerzu, zapominasz się zupełnie. Czy już nie wiesz, do kogo przemawiasz?

— Do mojéj żony, lub do mojéj ofiary — odparł wściekle Mestwin.

— Jeśliś matkę lub siostrę miłował, jeśliś ojczyznę lub cokolwiek na świecie kochał, w imieniu tego każę ci się natychmiast oddalić.

— I sądzisz — rzekł rycerz, nie zważając na to wezwanie — że Zbigniew jeszcze cię kocha, a przecież — dodał zręcznie — ciągle dzisiaj zwracały się jego oczy na Sławomirę z Kossowy.

Zadrżała pomimowolnie księżna; nie uszło to uwagi rycerza, który cięższe jeszcze rany gotował jéj czułemu sercu.

— Powiedział mi nawet na turnieju, że jéj piękność nierównie twoją przewyższa.

— Kłamstwo nieraz twoje usta skaziło i dotąd je kazi — przerwała Hanna. — Znam dobrze Zbigniewa, nigdy on mnie nie opuści.

— Wyrzuci cię z serca, jak wyrzucił dar twojéj ręki — zawołał rycerz, rzucając na stół dane księciu dnia poprzedniego rękawiczki, które podniósł, kiedy Zbigniew, lecąc do boju, jego własne przywdział. Ten widok przeraził Hannę i, drżąca, przycisnęła do piersi rękawiczkę, która niedawno spoczywała na dzielnéj bohatera prawicy.

— Pani — rzekł wtenczas Mestwin — zdaje się, że ten dowód musiał cię przekonać, że przed nim ustąpią wstrzymujące cię dotąd względy, że dłużéj nie potrzebuję powtarzać próśb i przełożeń — a to mówiąc, chciał namiętne zarzucić uściski na śnieżne piersi swojéj pani.

Cofnęła się Hanna.

— Rycerzu! — zawołała rozkazującym głosem — jestem bez pomocy, bez obrony. Wiara rycerska, jeśli jeszcze nie zginęła w bezecnem sercu, niech cię wstrzyma w szalonym zapędzie!

Właśnie w téj chwili wypadł sztylet, zatknięty w pasie Mestwina. Porwała broń morderczą księżna i zwracając go do własnego łona:

— Już znalazłam obrońcę — zawołała — i nie lękam się ciebie!

A w jéj oczach świetniał nadludzki ogień i zdawała się już nie być mieszkanką téj ziemi.

Stał oniemiały Mestwin, wlepiając wzrok okropny w postać anielską. Niezrozumiana przez niego cnota w całym ukazała się blasku i zwątpił o osiągnieniu szkaradnych celów.

— Ostatni raz powtarzam ci — rzekła księżna — abyś zaniechał na zawsze swoich zamiarów i nigdy nie śmiał stawiać się przedemną. Wieczna zapora między cnotą i zbrodnią dzieli nas w tem życiu, w przyszłem zaś przestrzeń niezmierzona między niebem i piekłem, jeśli skruchą i żalem nie przebłagasz Stwórcy.

Poznał wtenczas Mestwin, że mu żadna nie pozostawała nadzieja, że wszystko oprócz zemsty znikło dla niego na ziemi. Porzucił więc dotychczasową postać i nagłem przejściem z wściekłego kochanka przemienił się na wyrachowanego zbrodniarza. Ukłonił się księżnie z szyderskim uśmiechem:

— Pani, już się stało, chciałaś się zgubić i zgubiłaś się. Od téj chwili miłosne oświadczenia już o twoje uszy obijać się nie będą, ale przekleństwa i srogie wyrzuty zajmą ich miejsce. Żegnam cię, Hanno z Ciechanowa, poświęconaś na męki i boleści, nieznane dotąd temu światu, a jeśli po śmierci mam jęczyć w bezdennéj przepaści, twoje życie piekłem się stanie i tak zawsze twój los mojemu podobnym będzie.

Po tych słowach oddalił się rycerz, a kiedy stanął u drzwi, łoskot rzuconego na ziemię sztyletu obił się o jego uszy; odwrócił się i, podniósłszy broń ulubioną, odszedł do swojéj komnaty. Nim jeszcze stanął u jéj wnijścia, już miał ułożone pasmo zdrad i podstępów, któremi chciał najpiękniejszą i najcnotliwszą niewiastę doprowadzić do zguby.

Zastał w pokoju Ulrycha, trudniącego się urządzaniem broni w szafach, już czytelnikowi znajomych. Zbliżywszy się w milczeniu do stołu, rzucił spokojnie szyszak, zdjął ciężki pancerz i odpiął szpadę. Następnie z krwią najzimniejszą usiadł w szerokiem krześle, założył ręce na piersi i giermka przywołał.

— Ulrychu — rzekł mocnym głosem — ostatnia nadzieja uleciała dzisiaj odemnie, zostaję wiernym panu mojemu i księciu, ale jego żona musi porzucić tę ziemię.

Po tych słowach głośnym i przeciągłym śmiechem oznaczył dziką radość, pochodzącą z pewności, że Hanna nie ujdzie jego nienawiści.

— Tak, mój chłopcze, będziesz miał teraz dużo do roboty, ale też ufam ci, jak sobie samemu. Przyznać trzeba, żeś się dzielnie dzisiaj spisał, właśnie w stanowczéj chwili doniósłeś mnie o niebezpieczeństwie księcia. Zagadałem się z tym Skarbimirem i, gdybyś nie przybiegł, wszystkoby już zgubionem było. Teraz ura-

towałem Zbigniewa, a on na mnie polega, jak na aniele stróżu. Przewybornie, doskonale, okoliczności mi sprzyjają, zemsta gotowa, ułożona już i niechybna.

— Od jakiegoś czasu — przerwał Ulrych — nie mogę cię zrozumieć, czy to, że w Polszcze rozum straciłem, czy też, że ciemno i niedobrze się wyrażasz, rycerzu i panie mój.

— Do szatana, zaraz ci się lepiej wytłómaczę, ale wprzódy daj mi czarę wina!

Pobiegł na górę giermek i przyniósł złoty puhar, pełny szumiącego napoju, który Mestwin odrazu wychylił.

— Dobre wino, na Boga — krzyknął — kilkam kropli wypił, a już jaśniejsze przychodzą myśli, rozwidniają się zamiary i cele nie tak dalekiemi się wydają. Siądź na téj poduszce przy moich nogach i słuchaj uważnie!

Wypełnił rozkaz Ulrych i z natężoną ciekawością wpatrywał się w rycerza, sądząc, że mu wykryje ważne tajemnice. Niezmiernie zdziwił się zatem, kiedy następujące usłyszał pytanie:

— Czy dobry masz sztylet?

— Nie najlepszy — odpowiedział po chwili — bo ten piękny, darowany mi jeszcze w Niemczech przez ciebie, na łowach zgubiłem; wprawdzie drugi w Płocku nabyłem, ale nie tak już ostry i mocny.

Wstał Mestwin i, poszedłszy do szaf, jedną z nich otworzył, wyjął z niéj sztylet stalowy i dał go giermkowi.

— Weź — rzekł — jego żelazo jadem napuszczone, a kiedy nim tylko zadraśniesz wroga, natychmiast zginie!

Potem usiadł znów rycerz i daléj mówił:

— Czyś zawsze równie silny i wytrzymały w biegu?

Zdumiony młodzieniec odpowiedział, że nie stracił tych ważnych zalet.

— I czujesz się zdolnym narazić się na niebezpieczeństwa?

— Na wszystko, co rozkażesz.

— A gdyby, na przykład, i podstępu trzeba było użyć, czybyś umiał sprawę poruczoną zręcznie wykonać?

— Znasz mnie, panie — odparł Ulrych — doświadczyłeś w niejednym razie i nie widzę, do czego te wszystkie zapytania zmierzają.

— Ach! nie widzisz, zaraz się dowiesz, Ulrychu! Chociażeś tak młody, powierzę ci jednak najskrytsze myśli, a w nagrodę takiéj ufności żądam poświęcenia bez granic, oddania życia za moją sprawę i zrzeczenia się wszystkich uciech bez najmniejszego żalu.

— Gotów jestem, panie! — krzyknął młodzieniec. — Rozkaż, a pójdę na śmierć!

— Dobrze, porywcze dziecię, dobrze — odparł Mestwin i wpadł w głębokie zamyślenie, które nie prędko przerwał.

Nareszcie spokojnym tak przemówił głosem:

— Ta dumna Polka, ta księżna, jak to ją zowiesz, nie chciała odpowiedzieć na uczucia Mestwina z Wilderthalu, rycerza niemieckiego, a zatem zapadł na nią wyrok niczem niecofniony; musi umrzeć. Nie myśl jednak, żem ci dał ten sztylet dla jéj zabicia; o nie, uchowaj Boże: tak słodkiéj i prędkiéj śmierci nie dozwolę Hannie z Ciechanowa, córce potężnego Wszebora, żonie potężniejszego jeszcze księcia Zbigniewa! Jeśli nie ze smutku, to przynajmniéj z trucizny zginie. Prawdaż, Ulrychu, trucizna jest przedziwnym środkiem, osobliwie, kiedy nie wnet, ale przez kilka godzin skutki swe wymierza.

— Bez wątpienia — odparł młodzieniec — ale szkoda tak pięknéj i cnotliwéj...

Głośnym śmiechem przerwał mu Mestwin.

— Cnotliwéj! — powtórzył — a, to coś nowego! Kobieta cnotliwa! Nigdym nie słyszał, nigdym takiego cudu nie widział! A wszakże pierwszą niewiastę w kilka dni po urodzeniu szatan skusił! Wierz mi, Ulrychu, niema na świecie cnotliwéj kobiety! Każda skryciéj lub jawniéj zdradza swoje powinności. Tak królowa jak wieśniaczka woli żywe oko kochanka od poważnego męża.

— A jednak zdaje mi się — rzekł Ulrych — żeś

sam dopiero doświadczył oporu, któryby cię powinien przekonać o cnocie...

— Dziecko z ciebie, wielkie dziecko, nie masz doświadczenia! Że Hanna, powodowana cnotą, odrzuciła moje przełożenia, ja w całem jéj postępowaniu tylko dumę upatruję. Wystawia sobie, żem prosty rycerz; mniéj dźwięcznie brzmi w jéj uszach: »Mestwin z Wilderthalu« niż: »Zbigniew, książe polski« i dlatego też taką odprawę mi dała. Ale na piekło poprzysięgam, że pozna, kto jest ten Mestwin i z kim śmiała się poróżnić. Teraz, mój uczniu kochany, wyobraź sobie, że jestem mistrzem, którego nauk dobrze ci zapamiętać trzeba! Niech od dzisiejszego dnia twoje przywiązanie do mnie ma za granice ściany tego pokoju! Za niemi jesteś moim nieprzyjacielem, stajesz się sługą niewiernym, niecierpiącym swojego pana. Udajesz przed księżną, do któréj koniecznie musisz się wsunąć, i przed jéj Katarzyną, że moje okrucieństwo zniechęciło cię zupełnie, okrywasz mnie obelgami, oskarżasz o najokropniejsze zbrodnie. Tym sposobem pozyskasz ufność dowierzających najczęściéj każdemu niewiast, a wieczorem każde ich słówko, każde poruszenie donosić mi będziesz. Dalsze postępowanie później ci oznaczę. Przewiduję, że nieraz odwiedzisz obóz Mieczysława, gdzie Skarbimir poddany mi zupełnie... Rozumiesz, Ulrychu?

— Rozumiem.

— Gdybym innemu te rozkazy ogłaszał, zakończyłbym ich wyliczanie workiem pełnym srebra.

— Ale wiesz — krzyknął młodzieniec — że nie potrzebne ci srebro, kiedy masz ze mną do czynienia.

— I właśnie dlatego nic ci nie dam.

— Oprócz łaski i przywiązania do człowieka — odparł giermek — który cię pewno nie zdradzi.

— Dosyć i nauk i obietnic — rzekł Mestwin, wstając z krzesła — pójdę teraz do Jordana. Słyszałeś?

— I wykonam — zawołał Ulrych.

ROZDZIAŁ XVIII.

Rzucą się wszyscy — i razem
Płomień słupem w niebo buchnie,
Wszędzie żarzyste migają głownie,
Leją się siarki i smoły,
— — — — — — —
Chmurami wieją popioły.
Odyniec.

Nazajutrz po tej rozmowie tysiączne oręże błyszczały przed murami Zbigniewa i pomięszane wrzaski spokojną od kilku dni przerażały okolicę.

Wrzący namiętnością sławy Mieczysław podchodził z żołnierzami baszty, a Sieciech na koniu objeżdżał roty, gdyż lekka rana pieszo mu iść nie dozwalała. Wszebor również swoich zagrzewał, kiedy Skarbimir, unikając śmierci, krył się pomiędzy tylnemi hufcami — i ten sam stan rzeczy, który był przed zawarciem zawieszenia broni, wrócił na nowo. Jedna tylko w nim zachodziła różnica, że nie już Zbigniew z Jordanem z Gozdawy siał postrach pomiędzy szyki nieprzyjaciół, ale Mestwin z Wilderthalu, który co do znajomości sztuki wojennéj i nieustraszonéj odwagi, godnym był zastępować ich miejsce.

Myślał z początku wojewoda, że łatwo mu przyjdzie zdobyć zamek, sądząc, że już w nim skonał Zbigniew i że liczba obrońców, znacznie poprzedniemi napadami zmniejszona, nie długo opierać się zdoła. Lecz w tem mniemaniu zupełnie się zawiódł, gdyż podczas turnieju, na którego widzenie wszystkie hufce

Mieczysława obóz opuściły, nowe posiłki i świeże zapasy żywności dostały się do zamku.

Po krótkim czasie zaczął się prawdy domyśleć Sieciech, kiedy ujrzał, jak walecznie broniła się załoga i jak umiejętnie wszystkim rozrządzał Mestwin. Podwoił zatem własne usiłowania, bojąc się, żeby nie powiedzieli, iż rycerz niemiecki przemógł nad wojewodą krakowskim i hetmanem Władysława Hermana.

Roztropność atoli Mestwina w niwecz obróciła jego zamiary, a dziki Gierda, potrząsając ogromnym toporem, w czapce borsuczéj i niedźwiedziéj skórze, z których włosów krew zabitych się sączyła, wszystkich przerażał. Ciężkie kamienie, świszczące strzały, jadem napuszczane pociski, z obu stron wylatujące, zaciemniały słońce przed wzrokiem walczących, a krzyki, to uniesienia i zapału, to boleści i rozpaczy, przebijając tę chmurę wznosiły się do niebios, jak gdyby srogie wyrzuty tylu mąk i nieszczęść na ziemi.

Ginęli męże i, padając na kurzawę, szlachetną krew wylewali, przeznaczoną sprawiedliwym za ojczyznę bojom.

Wśród tego zamięszania odznaczał się zapalony Mieczysław, doświadczony Sieciech i żartujący z ich wysileń Mestwin, który, wzniesiony nad dolinę i głowy wrogów, kierował wystrzałami łuczników i pole trupami zasiewał.

Kiedy tak zacięta odbywała się walka, zupełnie inne uczucia zajmowały dwie osoby, rozmawiające z sobą w jednym z długich zamku korytarzów. Jedną z nich była dziewczyna z żywem okiem i świeżym licem, drugą młodzieniec, pod którego szlachetnemi rysami krył się fałsz i obłuda.

Katarzyna, przechodząc, ujrzała go wylewającym ciche łzy w ukrytym kącie, a serce osiemnastoletniéj dziewczyny wzruszyło się na widok udanych cierpień młodego giermka. Przeszła jednak szybko, ale jęki Ulrycha cofnęły jej kroki i, nazad wróciwszy, zapytała się nieśmiało:

— Cóż to znaczy? Czego płaczesz, biedny młodzieńcze?

Podniósł schyloną głowę młodzieniec i ukazał płomieniste oczy wśród rzęsistego łez potoku.

— Ah! — zawołał głosem rozpaczy — tyś szczęśliwa, pędzisz życie przy cnotliwéj i łagodnéj pani, wszystkie życia chwile umila ci anioł dobroci, nie znasz gorzkich płaczów, nie wiesz, co to jest okrutnik srogi i nieubłagany. Ah! nie wiesz, co to służyć u Mestwina z Wilderthalu!

Zadrżała na to straszne imie Katarzyna.

— Cóż ci on zrobił? — rzekła po chwili.

— Zapytaj — odparł Ulrych — wszystkich ofiar jego gniewu i zemsty, zapytaj się ich, co im zrobił Mestwin z Wilderthalu! Z początku słodki, ujmujący, zamienia się potem na gwałtownego ciemiężcę. Mnie także zwiodła jego słodycz, pokrywająca najczarniejsze występki. Oderwał mnie od ojczyzny, wyrwał z objęć matki; dla niego opuściłem piękną, czułą, jak ty, siostrę i z najmilszych wyzułem się uczuć, a teraz coraz surowszym i straszniejszym się staję! — A tu nowe łzy mowę mu przecięły i nowe westchnienia z kłamliwych piersi wydobył.

— Nie płacz tak, Ulrychu! — zawołała już sama płacząca Katarzyna. — Alboż w naszym kraju niema sprawiedliwości? Alboż nie zasiada w Płocku król nasz miłościwy, a w tym zamku syn jego, potężny książe i pan nasz, Zbigniew?

— Nic mi nie pomogą!

— Zanieś skargę, rzuć się mu do nóg, a zapewniam cię, że skarci twojego pana! Jeśli chcesz, to nawet powiem mojej pani, a ona tak dobra, tak czuła — jestem pewna, że się ujmie za tobą.

Zbladł na te słowa młodzieniec, jak gdyby wyrzuty sumienia ozwały się w duszy, ale to pomięszanie krótko trwało.

— Nie — zawołał z udanem przerażeniem — nie czyń tego, jeśli nieszczęśliwy, stojący przed tobą, ma jakiekolwiek prawo do twojej litości! Onby mnie zabił, rozszarpał, gdyby miał choć najmniejsze podejrzenie, że śmiem sprzeciwiać się jemu i żalić na postępowanie, które wkrótce do grobu mnie wtrąci! O matko,

o siostro moja, o luba ojczyzno! Czyż was nigdy już nie obaczę? Czyż nie ujrzę tych łąk, na których w dzieciństwie igrałem, tych strumieni, po których tak przyjemnie mi było pływać przy wieczornym powiewie, tych skał, pokrytych zielonemi krzewami, na które często się wdzierałem, czepiając rękoma słabe rośliny i trawy?

— Nie narzekaj tak, Ulrychu, rozdzierasz mi serce!

— Ale nie — przerwał giermek, zapalając się coraz bardziéj — nie powiedzą, żem jak niewolnicze zwierzę schylił kark pod narzuconem jarzmem! I w moich też piersiach bije serce, i w moich żyłach krew płynie. Bez obrony, bez przytułku, w obcym kraju, wydarty matce, wystawiony na okrucieństwo srogiego pana, zdołam jeszcze zebrać młodzieńcze siły i, jeśli nie pognębić, to ukarać przynajmniej wroga, który mnie wkrótce o śmierć przyprawi. Patrz, dziewczyno, na tę twarz pozbawioną rumieńca, na te oschłe i wychudłe palce, na tę schyloną, a kiedyś tak lekką i wysmukłą postawę: oto są skutki niewoli i uciemiężenia! Tajemniczy, zawzięty, samą zbrodnią oddychający człowiek to sprawił, a teraz osądź sama, czy nie mam przyczyny łzy wylewać, kiedy codzień czuję słabnące ciało, odzywające się boleści i czarne troski w miejscu dawnéj, niczem nie zatrutéj radości! Ale przyjdzie czas i podniosę się z pod stóp potworu, tłoczącego mnie ku ziemi.

Przerażona dziewczyna w milczeniu i z ściśnionem sercem poglądała na człowieka, uniesionego gniewem.

— Opowiedz mi — nareszcie się ozwała — to, co Mestwin ci wyrządził!

— Wczoraj — odparł Ulrych — wrócił do siebie niezwykłym uniesiony szałem, oderwane wymawiając słowa, pomiędzy któremi imie twojéj pani i księcia Zbigniewa najczęściéj słyszałem; ponure i okropne rzucał na mnie wejrzenia. Nakoniec, wywierając swój gniew bez najmniejszego powodu, mało co w zapamiętałéj wściekłości dni moich nie skrócił trzymanem ciągle w ręku żelazem. Wymawiałem mu w rozpaczy to niesłuszne obchodzenie się ze mną, nawet śmiałem

wspomnieć o słyszanych wyrazach i wyrzucić, że coś zamierza przeciw księżnie, któréj wdzięki i anielska słodycz pozyskały całe moje przywiązanie, a wtenczas, pieniąc się od złości, z ognistym wzrokiem, wywrócił mnie na ziemię i, piersi nogą przytłoczywszy, wymógł straszną przysięgę, że nikomu nie powtórzę... Ale zdradzam ją — dodał z oznakami trwogi — może nas podsłuchał? Zgubionym... — i oglądał się na wszystkie strony z przerażeniem na twarzy.

— Bądź spokojny, on teraz walczy na murach! Czyż nie słyszysz wojennych okrzyków i świstu pocisków?

— Prawda, wypadło mi już wszystko z pamięci, prawda, wkrótce rozum stracę! — rzekł Ulrych, zwracając ku ziemi wzrok osłupiały.

— A więc — ozwała się Katarzyna — kochasz moją panią i możnaby rachować na ciebie w razie potrzeby?

— Całą krew chętniebym za nią przelał — krzyknął giermek i wzniósłszy ręce do góry: — Przysięgam, że wypełnię wszystko, co mi rozkaże.

Nie zważając na dwójznaczność tego przyrzeczenia, z radością wyrzekła dziewczyna:

— Pamiętaj o tem, coś wymówił, i staw się w słowie, kiedy czas i miejsce będą po temu!

To mówiąc, oddaliła się, pewna, że znalazła nowego przyjaciela i poświęconego sługę Hannie z Ciechanowa.

Zadowolony Ulrych z udania się téj pierwszéj próby, poszedł na dziedziniec zamkowy dla przypatrzenia się walce, ale coś nieprzyjemnego mięszało się do jego radości.

Okropna bitwa toczyła się ciągle na murach, okrytych pomięszanemi z sobą żołnierzami Zbigniewa i Mieczysława, krwi potoki spływały po kamieniach i basztach. Poobcinane głowy, oderwane od ciała członki i drętwiejące jeszcze ostatkiem życia zewsząd się sypały. Wtem ukazał się na najwyższéj wieży rycerz z Wilderthalu z kilkoma ludźmi, którzy ogromny, tam leżący, kamień podważywszy drągami, zwalili go na drabiny i głowy wspinających się po nich wojowników. Wnet

potem zapalone pochodnie, kawały ciężkiego ołowiu, pomięszane z wrzącem wapnem, wysypały się na oblegających. Potok morderczych płynów oblał dobywających się do zamku, a natychmiast rozległ się po przestrzeni krzyk boleści i żołnierze z napół spalonych dłoni wypuścili żelaza. Strąceni z wysokich murów rycerze roztrącali się o kamienie, na dole leżące, a grad pocisków bez ustanku leciał na strwożone szeregi. Ze wszystkich stron napadane hufce straciły odwagę, walka nierówną się stała i znak odwrotu nareszcie dowiódł ciężkie nieprzyjaciół straty i przewagę Mestwina.

Podobne codzień odbywały się boje, a zawsze, odparci na końcu, oblegający z odrodzonem męstwem i nową stałością nazajutrz wracali. Zbigniew sił powoli nabierał, ale jeszcze po dwóch tygodniach nie mógł wystawiać się na niebezpieczeństwa, którychby nie był zdolnym odeprzeć. Widziano go jednak niesionego czasem na rękach wiernych żołnierzy; zasłoniony ich puklerzami odwiedzał mury, opatrywał stanowiska i dawał rozkazy. Za słaby jeszcze na dźwiganie ciężkiéj zbroi, nosił czapkę z białemi pióry i lekką kolczugę, a wypuszczone nań strzały jak gdyby z uszanowaniem naokoło padały. Tak więc bohater wyrywał się jeszcze z objęć śmierci dla bronienia żony i zjednania sobie nieśmiertelnéj chwały.

Jednego wieczoru po ustąpieniu nieprzyjaciół kazał zawołać Mestwina i, spierając się na łożu:

— Czyś nie strudzony? — zapytał.

— Jeszczebym gotów walczyć — odparł rycerz.

— A więc przygotuj sie do walki! — zawołał książe. — Jak tylko noc pokryje niebo, z dobranemi wojownikami podejdź ich obóz, a niech wtenczas noc się w dzień zamieni. Nie chcę, byś im wszystkich spalił namiotów, część tylko obejmij płomieńmi! Ja zaś wyjdę na wierzę i patrzeć będę na ten obraz, bo jednostajność teraźniejszego życia nudzić mnie zaczyna. Trzeba takiego widoku na wyrwanie mnie z słabości, na przywrócenie utraconéj mocy.

— Już oddawna — rzekł rycerz — o tem myślałem.

Dziękuję ci, książe, że taką sprawiasz mi zabawę. Na Boga, na kilka mil wokoło rozjaśnię okolicę!

Po tych słowach, ukłoniwszy się, wyszedł na dziedziniec zamkowy.

— Do broni! — krzyknął — do broni! — a wnet zgromadzili się naokoło niego dzielni żołnierze. Bystrym wzrokiem przebiegł ich szeregi i wyznaczył mających się z nim udać na krwawą wyprawę. Potem wrócił do komnaty i, pokrzepiwszy siły puharem wina, rzucił się na łoże, gdzie na chwilę zasnął.

Czarna noc zasępiła niebo, a chmury, silnym pędzone wichrem, na pomoc jej jeszcze przybyły. Obóz pogrążył się w ciemnościach, a stojący na straży żołnierze słyszeli z bojaźnią współtowarzyszów jęki, mieszające się do świstów wiatru. Z powagą przesuwały się chmury, jak orszak milczący, który smętnie postępuje za pogrzebem, i zdawało się, że samo przyrodzenie, sprzyjając zamiarom wrogów, ich wykonanie ułatwia.

Obudził się Mestwin, przywdział zbroję i na czele zbrojnych wyszedł bramą zamkową, schylając głowę przed mężem, który, zasiadłszy na wieży, czekał widoku klęsk i mordów.

W milczeniu szedł rycerz niemiecki, a on jeden tylko miał szyszak na głowie. Wszyscy inni trzymali hełmy w lewéj ręce, prawą kryli w ich wydrążeniach zapalone pochodnie. W cichości przesuwali się po równinie, jak duchy złego, natężając wzrok i słuch na wszystkie strony. Niecierpliwość i żądza walki podwajała bicie serca każdego z nich, ciemności i milczenie pokrywały ich dokoła; za chwilę potoki morderczego światła i tłumne wrzaski miały napełnić miejsca, po których stąpali z ostrożnością łowca, podchodzącego czujną zdobycz.

Kiedy zbliżyli się do obozu, dobył miecza Mestwin, a natychmiast zabłysnęły pochodnie i obok nich podniosły się oręże. Rzucili się żołnierze pomiędzy namioty, a natychmiast zajęły ich płomienie. Czerwone kłęby dymu, kręcone wiatrem, uniosły się nad równiną, a krzyki, jęki i rozkazy rozległy się wszędzie.

Obudzony ze snu Mieczysław porwał szablę i wyleciał z namiotu, Sieciech wyszedł później trochę na pole bitwy w zupełnej zbroi, Wszebor podniósł oręż styraną dłonią i również pośpieszył do walki. Napół uspieni żołnierze skoczyli do broni, ale nie wiedzieli, gdzie się udać i przeciw komu walczyć, bo nieliczni Mestwina towarzysze, podsycając ogień lub pojedyńczych zabijając nieprzyjaciół, rozbiegli się pośród namiotów i wałów.

Trudno ich było odróżnić w zamięszaniu i nieładzie, a żołnierze Mieczysława, dobywszy oręża, obracali się naokoło, szukając wroga, nie ukazującego się nigdzie. Wtenczas wściekli patrzali z rozpaczą na ogarniające ich płomienie i, słysząc dzikich napastników krzyki, nigdy z niemi spotkać się nie mogli. Mieczysław rzucał się pośród płomieni i trupów, podnosząc błyszczący pałasz, ale ani kropla krwi jeszcze nie spływała z niego. Przezorniejszy Wszebor, zebrawszy kilku ludzi, zaczął pracować około zagaszenia pożaru, ale kiedy ustawał za jego staraniem w jednem miejscu, wnet z drugiego wybuchał, niewidzianą zapalony ręką. Zdawało się, jak gdyby ziemia się otwarła i szerokiemi płomieńmi całą zagarnęła przestrzeń. Nareszcie Mestwin zwołał swój orszak i na jego czele wpadł na przerażone przeciwników szeregi; wnet przeraźliwe krzyki wskazały miejsce okropnéj walki.

Mieczysław, uradowany ze znalezienia wrogów, przedzierał się z siłą lwa przez rozognione belki, walące się namioty i ginących towarzyszy, biegnąc do Mestwina; lecz nim się mógł spotkać z niemieckim rycerzem, ozwał się po dwakroć zdala silny głos rogu, a natychmiast spuścił Mestwin skrwawiony oręż, i, obtarłszy go spokojnie, schował do pochwy.

— Nazad, żołnierze! — zawołał piorunnym głosem.

Głos rogu przerwał mu słowa.

— Wstecz, towarzysze! — krzyknął. — Słyszycie? To róg księcia, to rozkaz Zbigniewa!

Potem rzucił się szybko między popioły i trupy z małym orszakiem, wkrótce znikł odgłos ich kroków, a ich postacie pogrążyły się w ciemnościach, z pośród

których ukazywały się szczątki obozu, zniszczonego morderczemi płomieńmi.

Książe Zbigniew ledwo po czwarty raz odjął z ust ogromny róg, zdobny świetnemi ze złota okręgi, kiedy usłyszał kroki wracającego hufcu i kazał zawołać Mestwina.

Stawił się przed panem rycerz, okryty krwią i kurzawą, z poczernionem czołem od dymu i z potrzaskaną zbroją przez ułamki rozpalonego drzewa, nieraz podczas walki nań spadłe. Sześciu żołnierzy z zapalonemi pochodniami stało naokoło księcia, którego bladość przeciwny wystawiała widok od rumieńca Mestwina, sprawionego przez trudy i blizkość ognia.

Zdał sprawę rycerz z poruczonego obowiązku, a potem, wyciągając rękę:

— Nie mam co więcéj opowiadać — zawołał — niech mi ten obraz zastąpi wymowę!

— Dzielnyś zawsze, Mestwinie — rzekł książe — ale bałem się, byś uniesiony nie posunął się za daleko, gdyż nie chcę wszystkiego w jednéj nocy zakończyć.

— Przyznaję — odparł Mestwin — że, widząc tak sposobną porę, uczułem żywiéj krew biegnącą po żyłach i wydobyłem żelazo, ale głos twojego rogu odwołał mnie natychmiast.

— Jeszcze więcéj za to ci wdzięczności winienem, niż za ten pożar — rzekł Zbigniew, ściskając mu rękę — ale, na Boga, zdaje mi się, że niebo popsuje, co ziemia sprawiła.

— Raczej piekło — dodał po cichu Mestwin.

— Te czarne chmury — ciągnął Zbigniew — wkrótce w deszcz się zamienią, już kilka kropel padło na moją rękę.

Ledwo tych słów domówił, aliści obudziło się spokojne dotąd przyrodzenie hukiem blizkiego pioruna, jak gdyby hasłem do bitwy, i w okamgnieniu błyskawice rozdarły niebiosa, a deszcz rzęsisty spuścił się na ziemię.

Nie ruszył się z miejsca Zbigniew i poglądał wśród burzy na zapalony obóz, z którego jęki nieszczęśliwych jego uszów dochodziły. Ale wkrótce wzbijające się ku

niebu płomienie zaczęły się ku ziemi skręcać i czarny dym wydarł je po części patrzącemu oku, a tymczasem coraz większe potoki lały się z odwiecznych sklepień i coraz bardziej gasły zapalone ręką wrogów ognie. Wzniósł oczy do nieba książe i przez chwilę zdawało mu się po łunie, przestwór zalegającéj, że pożar nic z mocy nie stracił, bo chmury, jeszcze większym oświecone blaskiem, zamieniły się na ogniste ogromy, toczące się z hukiem po przestrzeni; lecz poznał wkrótce, że częste błyskawice zastąpiły śmiertelne ognie, a kiedy spuścił wzrok na dół, już nie ujrzał szerokiego pożaru, ale na miejscu jego czarne, blado odznaczone od ciemnéj nocy namioty, które wznosiły się nad leniwo dogorywającemi gruzy.

— Tak znikają nadzieje — pomyślał książe — jak te świetne płomienie, obwiane wichrem i zalane wodą.

Potem w głos się odezwał:

— Skończyła się na dzisiaj zabawa. Zanieście mnie do łoża! Spodziewam się, że przynajmniéj kilka dni odpoczynku mieć będziemy.

Nie ozwała się nazajutrz w obozie trąba, zwołująca do bitwy, nie zarżał wyprowadzony na boje rumak Sieciecha, ani zabłysnął pałasz Mieczysława. Grobowe milczenie zaległo pozostałe od zniszczenia namioty, czasem wybladli wojownicy w napół spalonéj odzieży przesuwali się pomiędzy ostatkami własnych mieszkań, schylając się ku ziemi, roztrącali dymiące jeszcze gruzy i szukali opuszczonych orężów w wczorajszym nieładzie. Broń znalezioną znosili na środek obozu, skąd każdy należytość swoją odbierał. Odchodził tu żołnierz z napół stopionym mieczem, tam znowu z połamanym pancerzem lub z świetnym niedawno szyszakiem, pokrytym teraz to czarnemi, to rudemi od ognia i od wody plamami. Nie słyszano jęków ani westchnień, ale zimna rozpacz malowała się w ich wzroku, pozbawionym życia.

Dotąd żaden wódz się nie ukazał, a przelękłe hufce traciły stopniami odwagę i ufność, położoną w toporze Sieciecha, mieczu syna Bolesława Śmiałego i roztropności Wszebora. Ale kiedy Mieczysław w zupełnéj zbroi,

tylko bez hełmu, ukazał się w gronie wybladłych i cierpiących towarzyszy, kiedy z nieostygłym zapałem wskazał na zamek i przysiągł, że nigdy nie odstąpi zamiaru, tysiąc głosów ozwało się w tłumnéj wrzawie:

— Niech żyje książę Mieczysław! Niech żyje syn dzielnego zdobywcy Kijowa! — a twarze, przed chwilą posępne, pokryły się rumieńcem i oczy zmartwiałe nowym zabłysnęły ogniem.

— A więc za mną, bracia! — krzyknął młodzieniec, dobywając miecza.

Ale nadchodzący Wszebor i Sieciech wstrzymali go od tak nierozważnego kroku, przekładając poniesione znoje, zmniejszoną liczbę żołnierzy i potrzebne naprawy w zniszczonym obozie. Mieczysław, poznawszy prawdę tych uwag, zaczął wszystkich do pracy zagrzewać i za jego rozkazem setne ręce, rzuciwszy oręż, wzięły się do motyki dla wzniesienia nowych wałów i ustawienia nowych namiotów.

Tak usilnie pracowało całe wojsko, że po kilku dniach naprawiło szkody, sprawione napadem wrogów, i drugi obóz wzniósł się nad ostatkami pierwszego. A wtenczas wróciły utarczki, rozpoczęły się boje i anioł śmierci znów skrzydła nad bijącemi się braćmi roztoczył.

Nowa pomoc przybyła broniącym zamku, kiedy Jordan z Gozdawy po słabości, w której długo pasował się ze śmiercią, ozdrowiał i wystąpił na czele swoich hufców. Zbigniew, choć pragnął przywdziać zbroję i porzucić spokojne łoże, nie czuł dosyć sił jeszcze do tego. A więc Mestwin i Jordan odpierali razem oblegających, wspartych nowemi z Ciechanowa zaciągi.

Trudno było przewidzieć, kogo uwieńczy zwycięstwo, gdyż obie strony odznaczały się równą odwagą, codzień równe ponosiły straty. Ale Mieczysław nagradzał je świeżemi ludźmi, kiedy Mestwin, otoczony i zamknięty w małéj przestrzeni, nie mógł znikąd zaciągnąć pomocy. Sztuką więc starał się liczbę zastępować. Krył biegłych łuczników między basztami i murami, ogromne kamienie z wysokich wież spychał

drągami, poruszanemi od niewidzianych żołnierzy. Nieprzyjaciele, idąc do szturmu, nikogo nie widzieli na przeciwnych murach, dopiero kiedy bliżéj przystąpili, grad pocisków zlatywał na ich głowy, a daremno szukali oczyma zakrytych i czyhających na najmniejsze ich poruszenia wrogów. Lecz późniéj za danym znakiem podnosiły się nagle zbrojne szeregi, z pod szarego kamienia błyszczący powstawał szyszak, z za ciemnéj baszty wysuwały się bielejące pióra, puste dotąd wież szczyty jaśniały połyskiem stali, chorągwie rozwijały się w powietrzu i zdawało się z początku, że się martwe głazy w żyjących przemieniły rycerzy, których wydobyte miecze i wyciągnione ramiona niejeden zgon wrogom zapowiadały. Wtenczas zaczynała się zwyczajna walka, a po jéj skończeniu cofały się hufce Mieczysława do obozu, załoga zaś Zbigniewa, rozstawiwszy się po murach, zasypiała, na pałaszach lub włóczniach oparta.

W tych tyle razy odnawiających się bitwach ubiegał się o świetne wawrzyny Krystyn z Mortoga, rycerz, przybyły do zamku na czele dość licznego hufcu podczas turnieju. Dawno znany Zbigniewowi, towarzyszył mu w kilku wyprawach i, jak tylko posłyszał o oblężeniu księcia, przybiegł mu na pomoc z ponad brzegów Narwi. Teraz zaś walczył z największą odwagą, ale darmoby się po nim spodziewano roztropności Mestwina lub znajomości Jordana.

Nie pytał się, czy sprawiedliwą była sprawa, któréj służył, przestawał na tem, że w niéj miecza dostać było można i męstwo swoje okazać. Ledwo wiedział, że idzie o Hannę z Ciechanowa i że Mieczysław zamek oblega. Wszystko mu jedno było przeciw temu lub temu walczyć, byleby walczyć przeciw komuś.

Zbigniew tymczasem znowu w młodzieńcze uzbroił się siły, uczuł dawną żądzę chwały i, powstawszy z łoża boleści, nową odrodzony mocą, pośpieszył bronić najdroższéj istoty i wojnę zakończyć.

Ale nie szło mu po myśli, bo coraz liczniejsze szeregi zamek otaczały i codzień nieprzyjaciele rośli w potęgę, kiedy on w ciasnym obrębie, z malejącem woj-

skiem, wytężał wszystkie środki i sztuki i męstwa na odparcie grożącéj burzy, która, zaciemniając widnokrąg, z coraz większym rykiem doń się zbliżała. Ale serce Zbigniewa właśnie w takich okolicznościach nabierało nadludzkiéj prawie siły. Umiał dostrzegać niedostrzeżone wrogów pomyłki, piękne nadzieje wskazywać towarzyszom i z słabą garstką stawiać się potężnym wojskom.

Pośród boju twarz jego jaśniała nadziemskiem męstwem i zapałem. Niktby w niéj wtenczas smutku lub tęsknoty nie dostrzegł. Lecz kiedy po uciszeniu wojennéj wrzawy znużeni spoczywali męże wśród jęków ranami pokrytych towarzyszy, bladość grobowa na jego lica wracała i wzrok tracił ogień, ożywiający go pośród rzezi i mordów. Unikał ludzi, nawet Mestwina, oddalał się od żony, a kiedy prosiła o wykrycie przyczyny smutków, odpowiadał na jéj zapytania milczeniem rozpaczy. Księżna sądziła, że takie postępowanie jest skutkiem zabiegów Mestwina, choć jéj odkrył nareszcie Zbigniew prawdziwe swoje położenie, dodając jednak, że się spodziewa wkrótce przybycia Ludwika ze Żmigroda, jednego z rycerzy, których miał po swoich zamkach.

Nie możemy tu opuścić okoliczności, która, ocalając zamek od niespodzianego napadu, zwlekała jego zdobycie, a ta była, że Mestwin tajemnemi środkami dowiadywał się często o zamiarach nieprzyjaciół i wykrywał je księciu.

ROZDZIAŁ XIX.

Podłość nikczemną widać z jego czoła.
Kłamstwem jego usta zieją
I w czyste serce i w duszę anioła
Piekielne trucizny leją.
Drżyj, nieszczęśliwa, niema już sposobu!
Już sny przeminęły złote
I ten sam szatan, który zgnębił cnotę,
W piekło powiedzie ją z sobą.

Bezimienny.

Spełniały się po części groźby Mestwina. Nieszczęśliwa Hanna z Ciechanowa pędziła dni i nocy w srogich niepewnościach. Rzadko męża widziała, oddalona od świata, daremno chcąca zrzucić ciężar, gnębiący skołatane serce; najpiękniejsza niegdyś Mazowsza dziewica straciła stopniami niezrównane wdzięki. Oko, któreby niegdyś mogło w nieśmiertelnego anioła natchnąć ziemskie myśli, straciło dawną żywość w potoku łez, codziennie wylewanych. Lica, gdzie kwitnęły róże, pokryły się bladością, a usta tak miłe, tak ponętne, zwiędły od westchnień, wydartych z śnieżnego łona, radością kiedyś poruszonego, a teraz srogiemi trapionego tęsknotami. Uleciały marzenia młodości, znikły przyszłego szczęścia nadzieje wśród dzikich okrzyków walczących współobywateli i zamachów zbrodni.

Zbigniew, nie odstępujący żony z początku, teraz od niéj uciekał, w samotnéj zamykał się komnacie, a Hanna sądziła, że jego serce mniéj żywiéj już bije do ukochanéj

istoty. Nie, miłość równa zawsze, może nawet podwajana przeszkodami, napełniała duszę Zbigniewa, ale, lękając się wyrzutów żony, unikał z nią rozmowy.

Zresztą pamięć na ojca, na troski, sprawione jemu, na dumych wrogów, których nie mógł pokonać, na ubóstwianą chwałę, któréj tak wielkie zagrażało niebezpieczeństwo, zatruwała inne księcia uczucia, a kiedy łzy wylewała w drugiéj stronie zamku ulubiona jego, on, siedząc przy stole, wściekle ściskał pałasz i w tajonéj rozpaczy nocy całe przepędzał. Czasem odzywał się głos w duszy, przepowiadający zwycięstwa i sławę; przez chwilę orzeźwiało go to przeczucie, jak powiew wiatru, co spiekłe lica wędrownika pustyni ochładza, lecz wkrótce potem wracała smętność i czarne myśli nieprzerwanym cisnęły się tłumem.

Katarzyna wszelkiemi sposobami starała się panią pocieszać i oddalać od jéj umysłu ciemne obrazy. Nieraz słodkim głosem dumki jéj śpiewała, nieraz skracała długie wieczory opowiadaniem powieści i dawnych podań; unikając smutnych i nieszczęśliwych wypadków, wybierała wesołe zdarzenia, uciechy dwojga kochanków, malowała w prostych i wymuszonych wyrazach tańce i skoki włościan, miłe łąki, okryte igrającą młodzieżą, i ciche chatki, gdzie szczęście przebywa. Wdzięczna Hanna dziękowała powierniczce za jéj czułość, ale łzy córki Wszebora obficiéj płynęły, kiedy porównywała obrazy, wystawiane przez Katarzynę, z ciemnemi murami, które ją otaczały. Nareszcie Katarzyna ośmieliła się raz pani zapytać o przyczynę smutku; księżna odpowiedziała westchnieniem.

— Bo — rzekła Katarzyna — gdybym mogła się domyśleć, czego pragniesz, natychmiastbym ci to przyniosła.

Uśmiech mimowolny okrasił usta, odwykłe od niego.

— Dobra Katarzyno, nie pragnę niczego, oprócz...— i tu zamilkła.

— Powiedz, dokończ, droga moja pani! Wszystko dla ciebie uczynię, wystaram się wszystkiego, może potrafię twoim życzeniom zadosyć uczynić, jeśli nie sama, to może przez kogo innego.

— Przez kogóż, dobra dziewczyno? któż w tym zamku myśli o Hannie? kto rozumie jéj łzy i boleści? kto się troszczy o słabiejące zdrowie, o niknącą piękność, o strapione serce, któremu nieliczne bicia pozostają? Gdzież znajdziesz pomoc dla mnie? Czy myślisz, że wzruszysz tych zdziczałych wojowników piersi, twardsze od żelaza, je pokrywającego? Zostaw mnie, zostaw i dozwól przynajmniej srogą opłakiwać dolę!

— Tak mówisz, pani, jak gdyby ci już żadnéj nie pozostawało nadziei, jak gdyby szlachetny nasz książe już nie miał miecza ku twojéj obronie.

— Ach! Zbigniew, Zbigniew — zawołała Hanna — on mi kiedyś ziemię w niebo zamieniał, ale wcisnął się wąż do raju i raj w piekło sią obrócił.

— Któż jest tym wężem? — zapytała córka Gierdy — wskaż go mężowi, pani, a on w proch go zetrze i śladu potworu nie zostanie na ziemi!

— Gdybym to mogła uczynić — krzyknęła księżna — jeszczebym znalazła uciechy w tem życiu, jeszczebym odzyskała spokojność! Ale nie, czegoż mam się łudzić próżną nadzieją? Grób mój już stoi otworem i codziennie zbliżam się do niego.

— Nie rozdzieraj mi serca, księżno i pani moja! Porzuć tę ciemną mowę, te niezrozumiane wyrazy, odkryj tajemnicę, a ręczę, że potrafię przywrócić ci szczęście! — i padła Katarzyna do nóg Hanny z Ciechanowa i ściskała jéj kolana, łzami oblewając podaną sobie rękę.

— Katarzyno — rzekła po chwili księżna — święta przysięga moje usta zamyka, ale mogę ci wyjaśnić po części przyczynę moich boleści. Widzę zadumanego ciągle Zbigniewa, poznaję w jego wzroku, tak żywym dawniéj, smutek jakiś; rzadko przemawia do mnie, a wtenczas głos jego cichy i poruszenia dziwne; rzadko bawi przy mnie, z moich objęć się wyrywa — nie, on mnie już nie kocha!

— Mylisz się pani, mylisz — przerwała Katarzyna — książę oddany tobie, ale wojna, straty, niebezpieczeństwa trapią jego umysł.

— Dla kogóż ta wojna, te straty, te niebezpieczeń-

stwa? — rzekła księżna — dla kogóż codzień naraża się śmierci? dla kogóż Polska rozerwana srogiemi bojami? Dla mnie, dla mnie to mój ojciec walczy z moim mężem, dla mnie szlachetny Mieczysław wystawia się zgubnym ciosom, myśląc, że odbierze lat młodych oblubienicę, dla mnie nieszczęścia zgromadziły się nad królewską rodziną, z mojéj przyczyny najdzielniejszy w Polszcze bohater, książe Zbigniew, dobył szabli na brata! I jakżeż teraz nie mam być smutną? Czy chcesz, bym z uśmiechem radości patrzała na tylu ludzi ginących? bym z dawną wesołością słyszała jęki i krzyki Polaków? Już mi wszystko obrzydło, samo przyrodzenie czarnym kirem okryte przed mojemi oczyma; znieść nie mogę promieni słońca, kiedy myślę, że ich część się nurza w krwi moich braci.

— Powiedz mi, pani i księżno moja — rzekła Katarzyna — jaką ulgę przynieść ci mogę, a zgadzam się na najokropniejszą karę, jeśli ci jej nie przyniosę!

— Niema ratunku, niema ulgi dla mnie! Już ziemia przestała mnie łudzić, od niejakiegoś czasu wzgardziłam śmiertelnemi myśli, a niebo, cel życzeń i modlitw, niezadługo otworzy się przedemną.

— Może sądzisz — rzekła córka Gierdy — że ja tylko tobie poświęcona w tych miejscach, a przecież znam człowieka, któryby wszystko oddał dla ciebie i na twój rozkaz na śmierć samą się odważył.

Wzdrygnęła się księżna, wspomniawszy oświadczenia Mestwina, ale po chwili zapytała się z uśmiechem niedowiarstwa:

— Któż to jest?

— Ulrych, giermek rycerza Mestwina z Wilderthalu — cichym głosem wyrzekła dziewczyna.

— Mestwin! — krzyknęła Hanna, powstając z krzesła i surowo spoglądając na Katarzynę. — Kto cię z nim zapoznał? gdzieś go widziała? co ci mówił? Potargaj z nim związki, pożegnaj go na zawsze, jeśli przy mnie chcesz zostać! Uciekaj, uciekaj od niego, jeśli nie chcesz w zmartwieniu i boleściach zstąpić zawcześnie do grobu! Już i do niéj — dodała — wkradł się zbrodniarz, już tu sieci zastawił! Zgubionam, otoczył

mnie wrogami! Katarzyno, kiedyż widziałaś się z Mestwinem?

— Pani — odparła, spuszczając oczy, Katarzyna — nie zrozumiałałaś mnie, nie widziałam się z Mestwinem, ale z jego giermkiem Ulrychem.

— To wszystko jedno. Kto służy u zbrodniarza, sam jest zbrodniarzem.

— Nie, pani moja, on nie jest zbrodniarzem, on cię szanuje i uwielbia, nie cierpi swojego pana, codzień łzy wylewa nad jego okrucieństwem; wierz mi, Hanno z Ciechanowa, Ulrych do ostatniéj kropli gotów wylać krew za ciebie!

Tu dopiero opowiedziała Katarzyna, jak, odkrywszy zmartwienie Ulrycha, w częstych z nim rozmowach przekonała się, że przywiązanym jest do księżny i że swego pana nienawidzi. Dodała następnie, że obłuda mieścić się nie może pod tak szlachetnemi rysami, że z takim zapałem ofiarował swoje usługi młodzieniec, że widoczną była szczerość jego mowy, nakoniec, że ręczy za jego przebiegłość i odwagę. Z początku z obrzydzeniem słuchała Hanna z Ciechanowa opisu osoby, tak blizko dotyczącéj Mestwina, ale kiedy dowiedziawszy się o nieszczęściach Ulrycha, wystawiła go sobie w kwiecie młodości wyrwanym matce i ojczyźnie, pozbawionym nadziei, dręczonym od srogiego ciemiężyciela, porównała los własny z jego losem. Uczuła litość w sercu dla opuszczonéj sieroty i przestała się dziwić, że nieszczęśliwy nieszczęśliwéj swe usługi poświęca, że młodzieniec, rzucony w odmęt burzliwego świata, pragnie łożyć ostatki pędzonego wśród utrapień i niesmaków życia na wykonanie rozkazów równie jak on skołatanéj przez nieszczęścia istoty, któréj zagrażał ten sam, co jemu, nieprzyjaciel.

— Dziękuję ci, Katarzyno — rzekła — za twoją troskliwość, za twoje starania. Zbłądziłam, zowiąc go zbrodniarzem, ale cóż on może mi pomódz?

— Oznajmij, księżno i pani moja, co chcesz, co żądasz, a wtenczas powiem, w czem Ulrych może ci pomódz!

— Ach! widzę — przerwała Hanna — że ufasz

w niego, jak gdyby w najlepszego rycerza, najroztropniejszego człowieka. Zapewnie serce żywiéj ci bije na jego wspomnienie?

— Nie, pani — odparła Katarzyna, kładąc rękę na piersi. — Nie powoduje mną miłość w téj okoliczności, serce moje oddane komu innemu, oddane giermkowi, a może już i rycerzowi teraz. Nie zapomniałaś zapewnie o Henryku z Kaniowa. Nieraz mi on powiadał, że często odwiedzał zamek ciechanowski z panem swoim, księciem Mieczysławem. Ale teraz nie o tem mowa — dodała, płonąc się od wstydu — nie mam teraz osobistych widoków na uwadze, jedynym moim celem jest twoje bezpieczeństwo i szczęście.

Przycisnęła księżna wierną cierpień towarzyszkę.

— Chciałabym sama się zapewnić o jego uczciwości. Czy możesz go tu przyprowadzić?

— Stawi się przed tobą za pierwszym rozkazem, a za kilka słów, usłyszanych od ciebie, życie ci poświęci. Lecz upraszam cię, pani, odkryj mi swoje zamiary!

Dumała Hanna przez chwilę. Powstawszy nareszcie, zwróciła oczy ku obrazowi Matki Boskiéj.

— Natchnij mnie siłą i stałością — rzekła — bo uczynię z siebie ofiarę dla niego! Katarzyno, trudną rzecz trzeba wykonać, trzeba mi się widzieć z księciem Mieczysławem.

— Z księciem Mieczysławem? — powtórzyła zdziwiona dziewczyna. — Jakże to uskutecznić? Jakże się przedrzeć przez mury zbrojnych? A twój mąż, pani, cóż na to powie?

— Właśnie dla niego, właśnie dla ocalenia mu zmartwień i niebezpieczeństw odważę się na tak niepewne przedsięwzięcie. Może mi hańba lub zguba nagrodą będą, ale wypełnię świętą powinność i względem męża i względem ojca. Wyrwę ich z pośrodka mordów i klęsk, trapiących ojczyznę, oszczędzę ziomkom krwi, należnej krajowi i, jeślim własnem szczęściem dała powód do nieszczęść, teraz może swojem nieszczęściem błogie dni innym przywrócę. Znam dobrze szlachetnego Mieczysława. Jak tylko się dowie, że jego oblubienica

własnego serca życzeniem komu innemu rękę oddała, rzuci oręż, krwią bratnią zbryzgany. Tak, wykonam obowiązek i Polki i żony i córki. Jeśli mi nic nie pomożesz, jeśli się z Mieczysławem nie mam widzieć, możesz porzucić Hannę z Ciechanowa, któréj niedługie dni na téj ziemi zostały.

— Ja cię nigdy nie opuszczę, pani moja — ozwała się dziewczyna. — Dopóki żyć będę, dopóty zostanę przy tobie. Dzisiaj jeszcze Ulrycha do ciebie przywiodę.

Cały zamek we śnie spoczywał, kiedy Katarzyna wprowadziła giermka rycerza z Wilderthalu do komnaty księżnéj Hanny z Ciechanowa. Przypomniał sobie młodzieniec wszystkie pana nauki i uzbroił serce w twardą chytrości powłokę, a jednak stanął pomięszany przed niewiastą, któréj miał zagubę przyśpieszyć. Niedługo wprawdzie trwał ten stan w jego duszy, a przyklęknąwszy, oświadczył w wyrazach najgłębszego uszanowania gotowość do zupełnego się jéj poświęcenia.

Uprzejmie przejęła to oświadczenie księżna.

— Zapewniam cię — rzekła — o naszéj łasce i wdzięczności, a jeśli nie będę mogła ci jéj dowodami stwierdzić, bądź jednak pewny, że Hanna z Ciechanowa zawsze o tobie pamiętać będzie.

— Pamięć twoja, księżno — odparł Ulrych, odwracając oczy od Hanny, gdyż obawiał się wrażenia, sprawionego widokiem oblicza przecudnéj urody — najmilszą i najpiękniejszą będzie mi nagrodą. Odwrócę zamachy niegodziwych od świętéj twojéj głowy — dodał z zapałem — ocalę bóstwo, które zstąpiło w poziome śmiertelnych mieszkania, a jeśli, nie dokonawszy przedsięwzięcia, zginę w najsroższych mękach, twój obraz i przypomnienie obecnéj chwili osłodzą boleści i żelazo okrutnika zamienią na kwitnącą różę. Przebacz, pani, że śmiem tak mówić, ale przepełnione serce nie zna granic i wylewa się przed tobą, ufne, że mu za złe nie weźmiesz tego, co czuje i czuć nigdy nie zaprzestanie!

Może, uniesiony widokiem Hanny, szczerze mówił Ulrych w téj chwili, bo oko jego błyszczało ogniem

uniesienia i rumieniec prawdy krasił mu lica. Może też dla lepszego pokrycia zamiarów, których był narzędziem, wmawiał w siebie zupełnie różne od swojego położenie i przez chwilę mocą żywéj wyobraźni przenosił się do innych okoliczności, bo trudno wierzyć, żeby osiemnastoletnie serce już tak wygórowało w chytrości, że mogło jéj nadać tak uderzający pozór nieskażonéj prawdy. Bądź co bądź, Hanna z Ciechanowa zupełnie mu uwierzyła i odtąd już jéj los stał się nieochybnym. Wytłómaczywszy giermkowi smutku przyczynę, jak to już Katarzynie uczyniła, oświadczyła, że koniecznie wypada się z Mieczysławem widzieć.

— Pani — zawołał Ulrych, przygotowany od Mestwina na wszystkie odpowiedzi — nie możesz tego w tym zamku uskutecznić, boby największe niebezpieczeństwo zagrażało synowi Bolesława. Niedaleko stąd przy brzegu Wisły jest kaplica, rozpadła w gruzy, cierniami pokryte; tam bez żadnéj obawy możesz z księciem się rozmówić.

— Ale jakimże sposobem wyjść z zamku? — rzekła księżna.

— To już do mnie będzie należeć — odparł Ulrych. — Z twoich komnat, księżno i pani moja, jest wyjście, jeśli się nie mylę, na brzegi Wisły; żołnierz zwyczajnie jeden go tylko strzeże, łatwo strażnika przekupić. Zresztą w nocy, którą naznaczysz na widzenie się z Mieczysławem, bo tego w dzień w żaden sposób uczynić nie podobna, spiącemu panu pierścień z palca zdejmę, a za ukazaniem tego znaku puści cię żołnierz.

— I ja tam dopiero czekać będę na Mieczysława? — rzekła księżna. — To być nie może. Kogóż poszlę do obozu? kto go uwiadomi?

— Twój sługa — rzekł Ulrych, przyklękając na nowo.

— Nie, młodzieńcze, nie narażaj się dla mnie na gniew pana i ciosy wrogów!

— Alboż to piezwszy raz Mestwin posyła mnie do obozu, księżno i pani moja? Ma on tam tajemnicze związki z jednym wodzem; powtarzam ci, pani, że wszystko ułatwię, naznacz tylko dzień i godzinę!

Pomyślała księżna i rzekła po chwili:

— Pojutrze, o dwunastéj w nocy — a potem, obróciwszy się do obrazu Matki Boskiéj, złożyła ręce i cichą modlitwę królowéj niebios zasłała.

Ulrych spojrzał raz jeszcze na Hannę z Ciechanowa, a groźne wyrzuty rozdarły mu sumienie; wzrok księżny, przyćmiony łzami, wzruszył jego serce i przez chwilę stał niepewny, czy, rzuciwszy się do stóp anioła wyzna szkaradną zdradę, czy też daléj pójdzie wskazaną przez Mestwina drogą. Przyzwyczajenie do zbrodni przemogło nareszcie i, oddawszy głęboki pokłon, zwolna odchodził. Jeszcze przy drzwiach komnaty srogą wytrzymał walkę z pasującą się w duszy cnotą, ale mylne wyobrażenie o wierności, winnej panu, któremu służył od dzieciństwa, zwyciężyło. Postąpił krokiem daléj — i już ostatnia nadzieja zginęła dla córki Wszebora.

ROZDZIAŁ XX.

Dlaczego nie idziesz za mną? Rozumiesz, że ta godzina dwakroć uderzy? Zapomniałżeś o twojéj obietnicy?

Guy mannering, Walter Skot.

Spokojnie przez całą noc spał Mestwin z Wilderthalu. Ocknąwszy się nad rankiem, ujrzał przy łożu stojącego Ulrycha z wyrazem zadowolenia na twarzy; podniósł się rycerz i zapytał giermka:

— A cóż, jakże się udało?

— Przedziwnie, jak najlepiéj — odparł młodzieniec.

— A więc dzień zemsty się zbliża! — zawołał Mestwin, nie mogąc pomiarkować nagłego uniesienia.

— Jutro będziesz mógł jej los rozstrzygnąć — przerwał Ulrych i opowiedział panu rozmowę przeszłego wieczora.

— Ulrychu — rzekł rycerz, odzyskawszy zwyczajną zimność — równieś odważny, jak przezorny; nie mogłeś mi większéj wyświadczyć przysługi.

Słuchał téj pochwały z obojętnością młodzieniec, a potem rzucił się do nóg panu.

— Mestwinie — zawołał — daruj méj słabości, ale wyrzuca mi sumienie, żem oszukał tak cnotliwą, tak piękną niewiastę! Choć przyzwyczajony jestem do obłudy, wczorajsza zdrada tyle mi kosztowała, że gdyby nie spełnienie twych życzeń było jéj celem, dla wszystkich rozkoszy i bogactw świata niktby mnie do niéj nie przymusił. Przyszło mi nieszczęśliwą, opuszczoną Hannę pod barwą szczerości naprowadzić na

brzeg niezmierzonéj otchłani, musiałem okazywać najpiękniejsze uczucia przed tem nadludzkiem stworzeniem, musiałem napełniać jéj serce chwilową radością, żeby potem wszystkiego ją pozbawić. Przebacz, drogi panie, jeśli cię błagam i zaklinam, żebyś jéj śmierci nie zamierzał, byś nie niszczył najmilszych nadziei Zbigniewa, a zarazem i najwznioślejszego utworu Boga!

— Gdybym — rzekł posępnie Mestwin — nie sądził, że tylko chwilowe obłąkanie sprawiły na dziecinnem sercu oczy, którym piękności odmówić nie można, jużby mój sztylet przeniósł się z tego stołu w środek twoich piersi. Milcz, giermku, lub wspominaj raczéj o litości słabym dziewczynom i zniewieściałym mężom, ale nie temu, który jej nie zna i znać nigdy nie będzie!

Powstał Ulrych i kilka kroków w tył się cofnął. »Uczyniłem, co mogłem, pomyślał, niech teraz Bóg obroni Hannę, a jeśli ją opuści, czegóżbym miał o nią się troszczyć?« Takiem rozumowaniem przytłumił ożywiające się jeszcze raz sumienie i z wypogodzonem obliczem zapytał pana o dalsze rozkazy.

Nic nie odpowiedział Mestwin, ale wyskoczył z łoża i zaczął się ubierać. Znać było na jego twarzy zamyślenie z niepewnością połączone; lecz ta wkrótce znikła i, spinając ostatnią sprzączkę u pancerza:

— Ulrychu — rzekł — zapominam o niegodnéj słabości, która cię przez chwilę tak daleko od obowiązków i wierności, mi należnéj, odwiodła. Jeszcześ pracy nie skończył, zostają niebezpieczne trudy, które, nie wątpię, że pomyślnie uskutecznisz. A naprzód dzisiaj w nocy wypada ci się udać do Skarbimira. Nieraz odbywałeś tę podróż, masz mój pierścień na przekonanie skąpca, że ja cię przysłałem, bo, choć tyle razy już cię widział, mógłby bez tego dowodu obawiać się jakiéj zdrady lub podstępu. A nareszcie posłuży ci ten pierścień dla żołnierza, stojącego na straży przy drzwiach, któremi Hanna na własną wyjdzie zagubę. Starego skąpca niechybnie musisz przyprowadzić do mnie; uważaj dobrze, do mnie, ale nie do téj komnaty. Znasz podziemne lochy, znasz salę grobową, któréj sam Zbigniew,

pan tego zamku, nie zna. Tam przywiedziesz podskarbnika, bo tajemnie trzeba całą rzecz odbyć, a potem chcę się nacieszyć bojaźnią Skarbimira.

— Nie widzę tu nic trudnego — odparł młodzieniec. — Wejdę do mieszkania Skarbimira, jakem to tyle razy uczynił, znaglę go do pójścia za mną. Poruszę kamień między trzema krzakami i...

— Ciszéj, ciszéj, chłopcze — rzekł Mestwin, kładąc mu rękę na ustach — dalszego opisu nie potrzebuję. Jak tylko się ściemni, udaj się w drogę, a dwiema godzinami później przyprowadź Skarbimira do sali grobowéj! Nie zapomnij chustką mu oczy zasłonić!

— Nie zapomnę, rycerzu — rzekł Ulrych — ale chciałbym wiedzieć, jak później mam sobie postąpić?

— W dzień naznaczony o dwunastéj stawisz się przed Hanną i powiesz, żeś wszystko ułatwił, bo uwiadomienie Mieczysława ja biorę na siebie. Zakazuję ci pierwéj się widzieć z tą niewiastą, której ciało wkrótce ziemia przysypie — dodał rycerz, obawiając się wrażenia, któreby mogła piękność księżny na umyśle giermka uczynić. — Dalsze postępowanie nie ma już żadnéj dla ciebie trudności. Dasz ten worek żołnierzowi, a gdyby to nic nie pomogło, pokażesz ten pierścień, a potem doniesiesz mi, że Hanna z Ciechanowa wyszła do kaplicy.

— Z której nie wróci — przerwał Ulrych.

— Owszem, wróci — odparł srogo Mestwin — ale nie do kochającego męża, wróci do śmiertelnego wroga. O nic więcej się nie pytaj, a teraz podaj mi szyszak!

Wdział hełm rycerz i wyszedł do walki. Zwyczajne boje zakończyły się dnia tego bez żadnéj znakomitéj z obu stron korzyści. Zbigniew zamknął się w swojéj komnacie, Mestwin z Jordanem i Krystynem z Mortoga zasiadł do stołu, a tymczasem słońce ustąpiło panowania nad czystem niebem królowi nocy, który, napół zanurzony w błękicie, wznosił się powoli na sklepienia, migające rzuconemi przemożną ręką Stwórcy światami.

Otworzyły się drzwi w północnéj części murów zamkowych i wyszedł niemi człowiek wysmukłéj po-

stawy i ciemnego ubioru. Skórzany szyszak, na który daremnie padały księżyca promienie, krył mu głowę. Szeroki kaftan czarny, nie wydający pana swoim blaskiem, piersi obwijał, dwa sztylety tkwiły z obu stron rzemiennego pasa, na którym wisiał krótki pałasz, a pierścień Mestwina błyszczał na prawicy, rękawicą nie zakrytéj. Szerokim krokiem wyleciał w pole młodzieniec, oddalając się od brzegów szumiącéj Wisły, i coraz podwajał szybkości biegu, jak gdyby chciał gwałtownością poruszeń ciała przytłumić wzruszenie duszy. Ale uznał wkrótce, że darmo pragnął przygłuszyć wyrzuty serca i wyrugować z pamięci obraz kobiety nieszczęśliwéj i ufnéj w człowieka, mającego ją zgubić, przez udane poświęcenie i najszkaradniejszą obłudę. Zwolnił więc kroku i obtarł spocone czoło, bo upał dzienny, choć nocną rosą zmniejszony, jeszcze czuć się dawał. Spojrzał w górę i zmarszczył brwi na widok tylu świecących na niebie wrogów, mogących w każdéj chwili go wydać. Ale zaraz potem uśmiech, dowodzący zaufanie w własne siły i zręczność, rozjaśnił twarz nieco posępną, która po jego zniknieniu znów przybrała pozór powagi i smętności, nie zgadzającéj się ani z wiekiem ani ze zwykłem Ulrycha usposobieniem.

Darmo starał się czarne myśli oddalić, wyjmując sztylety jeden po drugim, poprawiając osuwającą się szablę i przypatrując pięknemu i uroczystemu widokowi nocy letniéj, strojnéj we wszystkie przyrodzenia wdzięki. Opuścił więc głowę na piersi i, oddawszy się całkiem smętności, przechodził powoli szerokie błonie, dzielące go od bielejących z daleka namiotów, do których zdążał.

Pole okryte było rzadkiemi krzewami jałowcu i poziomą leszczyną, świetniejącą kroplami upragnionéj przez cały dzień rosy. Nad temi zaroślami wznosiły się gdzieniegdzie brzozy z opadłemi na dół gałęziami lub wysokie sosny, rozrastające się dumnie nad nizkiemi krzewinami, które się u ich stóp czołgały. Nie dość jednak licznemi były te drzewa, żeby mógł Ulrych

w przypadku potrzebną w ich cieniu znaleźć ochronę, gdyż zewsząd przeciskające się między ich liście promienie księżyca pole naokół oświecały, jeśli nie równym dniu jasnemu blaskiem, przynajmniéj dostatecznym na rozpoznanie człowieka i sprowadzenie największych nieszczęść na młodego giermka, który już nieraz odwiedzał nieprzyjacielski obóz i Skarbimira z Gulczewa. Ale na to zwykle burzliwe i ciemne nocy obierał, a teraz w niczem nie miał nadziei, oprócz w mieczu i niezgiętéj odwadze.

Już mógł każdy namiot odróżnić, rozpoznać przechadzających się w pewnéj odległości od siebie strażników, rozeznać rozmaite godła, zawieszone nad namiotami rycerzy, i widzieć błyszczące stosy broni, złożonéj pod płóciennemi opony. Zagrażające niebezpieczeństwo zmieniło kierunek jego myśli, a choć w tak przykrem był położeniu, uczuł ulgę w duszy i wolne od ciężaru serce.

Schyliwszy się, zaczął się czołgać od drzewa do drzewa, od krzewu do krzewu, od kamienia do kamienia, odpoczywając często w tak męczącéj drodze. Nareszcie zbliżył się znacznie do wałów i czekał, aż żołnierz, strzegący téj ich części, kilka kroków w bok odejdzie. A właśnie, kiedy odwrócił się strażnik i, nucąc pieśń wojenną, odstąpił od miejsca przeciwległego Ulrychowi, stanął w mknieniu oka giermek na dość wysokim kamieniu i, natężając wszystkie siły, skoczył z niego tak zręcznie i tak lekko, że nie usłyszał żołnierz, jak upadł w rów, wykopany za okopem, na którym się strażnik przechadzał. W jego głębi, usłanéj w tem miejscu szczęśliwym trafem murawą, czekał młodzieniec, aż znów nie odejdzie żołnierz, który był wrócił na stanowisko, a kiedy kroki jego oddalające się usłyszał, znów się rzucił z rozciągnionemi ramionami pośród namiotów, zaraz obok wystawionych. Strażnik widział coś przy świetle księżyca i położył rękę nad oczyma, żeby lepiéj ten przedmiot rozeznać, ale, kiedy jego palce oparły się o czoło, już wszystko znikło. Słyszał wprawdzie niedaleko szelest, ale podo-

bniejszym on był do sprawionego przesuwaniem się jaszczórki lub węża, niż krokami człowieka. A przecież były to kroki uchodzącego młodzieńca.

Lotem błyskawicy biegł Ulrych pośród uspionego obozu. Nie zatrzymywały go w drodze ciała żołnierzy, spiących na ziemi; przeskakiwał je z nadzwyczajną zręcznością, a kiedy który oczy otworzył, rzucał się giermek w mgnieniu oka na ziemię i twarz odwracając od rozespanego nieprzyjaciela, oszukiwał go, rozciągając się lub też sen głęboki udając, a żołnierz, biorąc go za towarzysza, wracał po krótkim czasie do stanu, z którego wyrwał go odgłos kroków Ulrycha, który, porwawszy się, z podwojoną szybkością leciał do pana Gulczewa.

Przybył nareszcie do niewielkiego, w czworokąt wystawionego z drzewa budynku, którego drzwi dębowe podwójnym opatrzone były zamkiem. Zapukał Ulrych, a głos z wnętrza zapytał się natychmiast:

— Czy to ty, Bardanie?

— Tak jest — odpowiedział młodzieniec, pragnący wejść jak najprędzej, a zaraz ogromny klucz zakręcił się w każdym zamku i drzwi się otwarły. Zdyszany Ulrych wszedł natychmiast, przymykając wejście za sobą i ujrzał się w małym, brudnym pokoju, napełnionym ogromnemi skrzyniami, których podniesione wierzchy mnóstwo pieniędzy i kosztownych sprzętów ukazywały. Lampa gliniana oświecała mdłem światłem zgromadzone bogactwa, pomiędzy którémi stał Skarbimir z Gulczewa bez zbroi, w szerokiéj, czarnéj sukni, podartym pasem podwiązanéj. Zbladł na widok zbrojnego człowieka i ledwo stłumionym mógł wykrzyknąć głosem:

— Bardanie! zdrada! Bardanie! żołnierze!

— Czy chcesz całe wojsko przebudzić, nierozważny starcze? — ozwał się młodzieniec, odkrywając twarz z pod przyłbicy. — Czy sądzisz, że po twoje skarby przychodzę? Wpatrzże się w moje rysy, panie Gulczewa!

Ale przerażony Skarbimir, nie zważając na te słowa, spiesznie zamykał skrzynie i nieustannie wołał:

— Bardanie, zbójcy! Bardanie, do mnie!

— Milcz! — surowo odezwał się giermek. — Jestem Ulrych, przybywam od Mestwina z Widerthalu.

Dopiero wtenczas poznał Skarbimir nieraz już widzianego posłańca i w cichości poszedł drzwi zaryglować, a potem:

— Jutro — rzekł — uradzili wodzowie, żeby napaść ze strony...

— Tu nie o jutrzejszy dzień idzie, ale o dzisiejszy — przerwał Ulrych.

— Czegóż więc chcesz? — z wróconą bojaźnią zapytał Skarbimir.

— Byś przywdział zbroję i szedł za mną! — odparł giermek.

— Ja, za tobą? o tej godzinie, w nocy? ja z tobą mam iść? gdzie? Po co? Czyś zmysły utracił? Do kogo?

— Do Mestwina z Wilderthalu — odrzekł Ulrych, pokazując błyszczący pierścień, na którego widok zadrżał Skarbimir i mało co na ziemię nie upadł.

— Nie pójdę, nie, twój pan oszalał.

— Milcz i chodź za mną, bo podobne słowa srogo mógłbyś przypłacić, gdyby mnie chęć wzięła, panu je mojemu powtórzyć! Mestwin potrzebuje ciebie, nie zwlekaj więc, panie podskarbi, a ja ci ręczę, że niema tu podstępu, o czem już ten pierścień powinien cię przekonać. Powtarzam więc, przywdziéj zbroję i chodź za mną!

Usiadł starzec na drewnianym stołku i głowę skrył w obie ręce; przerażenie opanowało słaby umysł i kilka chwil w pewnym stanie odurzenia zostawał. Nareszcie smutna konieczność stanęła mu przed oczyma. Dla ocalenia i sławy i życia, musiał wykonać rozkazy Niemca. Dopóki szło o zdradzanie ziomków dla dogodzenia własnéj złości, podejmował się wszystkich Mestwina poleceń, ale kiedy przyszło narażać się samemu z uzbrojonym posłańcem i udać się do wroga, czekającego nań może z dobytym żelazem, gorzko zaczął opłakiwać nierozmyślność swoją i przeszłe zbrodnie, które teraz tak wielkie nad nim prawo Mestwinowi nadawały.

Byłby może długo jeszcze dumał wśród steku trapiących myśli i srogich wyrzutów sumienia, gdyby głos Ulrycha nie wyrwał go z zamyślenia; przekonał go wtedy, że nic nie mógł przedsięwziąć na odwrócenie niebezpieczeństwa. Bo choć łatwem mu było w tej chwili krzykami obóz przebudzić, pewnym był, że go późniéj czy wcześniéj dosięgnie zemsta rycerza z Wilderthalu, a potem widział przed sobą pałasz i sztylety, mogące go o śmierć przyprawić, nimby żołnierze zdołali wybić drzwi do jego mieszkania. Powstawszy więc zniżył się potężny pan Gulczewa, mnogich władca skarbów, do próśb i błagań, zaklinając giermka, by zlitował się nad wiekiem, pewną mu obiecując nagrodę.

Do żywego obruszony taką podłością, zimno odpowiedział Ulrych, że nic mu nie zagrażało oprócz gniewu Mestwina, jeśli się spóźni lub nie zechce usłuchać jego woli. Wtenczas chytremu Skarbimirowi nowa myśl przyszła do głowy.

— Jakże wyjdziem z obozu? — zapytał giermka.

— Prawda, że trudno, byś tak wyszedł, jak ja się wkradłem do niego — odparł młodzieniec — ale zawołaj Bardana, któremu we wszystkiem się zwierzasz i każ mu oddalić z wałów żołnierza, ich strzegącego z téj strony, pod jakimbądź pozorem.

Znikła ostatnia trudność, a Skarbimir, zmuszony koniecznością, przypasał szablę drżącą ręką, pancerzem trwożliwe okrył piersi i czapkę, podbitą żelazem, włożył na skronie, z których zimny pot się sączył.

Wtem zapukał ktoś do drzwi; za ich otwarciem wszedł Bardan, który, natychmiast poznawszy dobrze znanego Ulrycha, przywitał się z nim i chciał długą mowę zacząć. Lecz giermek milczenie mu nakazał i w kilku słowach wytłómaczył, czego żądał od niego.

— Ale pierwéj, nim odejdziesz do wałów — rzekł Ulrych — daj mi puhar wina na pokrzepienie sił, trochę drogą zwątlonych.

Przyniósł Bardan rostruchan pełny miodu. »Gdyż — mówił — nie stać mojego pana na tak drogi napój, jakiem jest wino«.

Z uśmiechem pogardy wychylał młodzieniec po-

daną czarę, kiedy tymczasem Bardan śpiesznie odchodził do okopów. Potem obejrzał sztylety, kilka razy pałasz napół wyjął i schował do pochwy, pomógł Skarbimirowi do zapięcia płaszcza cynową klamrą i, pozwoliwszy skąpcowi dość długiego czasu na zamknięcie wszystkich skrzyń i zaryglowanie drzwi dębowych, szybko z nim wyruszył. Lecz wkrótce postrzegł, że towarzysz został z tyłu i musiał, wróciwszy nazad, wspierać jego drżące ciało i niepewne kroki. Ostrożnie mijał leżących żołnierzy i zaklinał starca, by, wstrzymując westchnienia i ciężki oddech, pośpieszał. Ale kiedy to nic nie pomogło, zaczął mu grozić gniewem niecierpliwego Mestwina, a na to wspomnienie tak się Skarbimir przeraził, że zupełnie ostatek mocy utracił na blizkim kamieniu. Wtenczas gniewny Ulrych podniósł go silnem ramieniem i, napół dźwigając, napół stawiając na ziemi, doprowadził do wału, na którym stał już oddawna Bardan. Natychmiast sługa oparł szeroką deskę na obu brzegach rowu, a po niéj przeszedł Skarbimir. Giermek, gardząc podporą, przeskoczył fossę, stanął na okopie, a stamtąd podał rękę starcowi, który po wielu usiłowaniach weszedł nareszcie i z równą trudnością zeszedł z drugiej strony. Wtenczas uradowany młodzieniec zachęcił go kilkoma słowami i, pożegnawszy Bardana, któremu pan zalecił, żeby miał czujne oko na swoje mieszkanie i skrzynie, zniknął wraz z towarzyszem wśród otaczających krzaków.

Prędzej zaczął iść Skarbimir, ale jego chód dalekim był jeszcze od szybkości, wymaganéj po nim od Ulrycha.

— Czegóż Mestwin żąda odemnie? — rzekł Skarbimir.

— Co żąda, to wypełnisz, mości podskarbi, bo inaczéj nie na długoby ci się zdały skarby, które widziałem.

— Jeśli Boga się boisz, jeśli matkę kochasz — zawołał starzec, padając do nóg giermkowi — nic nie mów o tem panu, a za to ci dam...

— Ani ja, ani pan mój nie potrzebujemy twoich pieniędzy — przerwał młodzieniec. — Lepiéjbyś kroku

podwajał i nie uniżał się przed człowiekiem, który gardzi skarbami, a wkrótce nauczy się i ich posiadaczem pogardzać.

Powstał Skarbimir i szedł daléj. Ochłonąwszy nieco z bojaźni, przywołał na pamięć znajome wybiegi i całą chytrość, którą wszystkich umiał oszukiwać oprócz jednego Mestwina i tak zręcznie zaczął zadawać pytania giermkowi, tak sztucznie go podchodził, że dowiedział się po części z ust Ulrycha, że szło teraz o Hannę z Ciechanowa. Nie podobna opisać radości, która napełniła duszę podłego skąpca, kiedy się przekonał, że zamiary niemieckiego rycerza nie jemu, ale innéj osobie nieszczęściem zagrażały.

Dodało mu to odkrycie nowéj mocy, pokrzepiło słabnące nogi i wkrótce potem doszedł miejsca dość odległego jeszcze od zamku, gdzie zatrzymał się Ulrych i oświadczył, że ma rozkaz podskarbiemu oczy zawiązać. Na te słowa dreszcz przeszedł po kościach Skarbimira, ale musiał uledz młodzieńcowi, a wtenczas postąpił Ulrych kilka kroków daléj, prowadząc towarzysza za rękę, potem nawrócił, poszedł w bok i znów wstecz się cofnął, a nareszcie stanął między trzema krzakami jałowcu nadzwyczajnéj wielkości, których iglaste gałęzie unosiły się nad szerokim i podługowatym kamieniem. Natężając wszystkie siły, podniósł go Ulrych i na bok przewalił. Ziemi pod nim nie było, ale natomiast żelazna, na kilka stóp szeroka krata. Za pchnięciem znajoméj sprężyny odsunęła się i ukazała schody, w głąb wiodące, których niewiele stopni dostrzedz było można wśród ciemności téj otchłani. Rozkazał młodzieniec Skarbimirowi ostrożnie po nich zstępować, dodając, że zaraz za nim pośpieszy. Rad nie rad musiał się odważyć na tak niebezpieczną drogę z zakrytemi oczyma pan Gulczewa.

Ulrych zakrzesał ognia, uderzając o krzemień stalowym sztyletem. Zapalił małą lampę, którą się opatrzył wychodząc z zamku, a wtenczas, słysząc głos Skarbimira, wołającego o pomoc, skoczył w otwartą przepaść. Przez chwilę oświeciły jeszcze promienie księżyca bladawą rękę, podnoszącą się z ciemności

na zasunięcie kraty, a zaraz potem, zapewnie za uderzeniem drugiéj sprężyny, kamień, jak gdyby sam z siebie, nąchylił się zwolna i upadł z łoskotem na żelazne pręty.

Znikło wszystko i znów tajemne wejście do zamku księcia Zbigniewa zamieniło się w puste miejsce, w którem trzy jałowce ocieniały kamień, mchem porosły.

ROZDZIAŁ XXI.

Jakże może tak ważne zamiary odwlekać?
Czyż aż do dnia sądnego będę tutaj czekać?

Zamek księcia Zbigniewa był wystawiony na piaszczystym brzegu Wisły, który w tem miejscu pokrywał twarde skały, rozległe przestrzenie, napełnione kamiennemi opoki, składającemi niewzruszoną ogromnego budynku podporę. Pod murami więc szerokie rozciągały się lochy, częścią przyrodzeniem, częścią ręką ludzi utworzone w odległych od teraźniejszego czasach, kiedy jeszcze światło chrześciaństwa nie jaśniało w pogańskiéj krainie. Późniéj założyciel zamku, odkrywszy przestronne i ciemne lochy, umiał je sztucznie rozprzestrzenić, a właśnie podczas oblężenia posłużyły za skład rozmaitéj broni i żywności.

Zbigniew, odwiedzając podziemne te miejsca, poznał wszystkie te zakątki, ale tylko do pewnéj granicy, pozostałe przestrzenie, stopą jego nietknięte, zupełnie nieznane mu były. A jednak często odwieczne milczenie, w nich panujące, przerywał odgłos ludzkich kroków, śmiało po nich błądzących, i uśmiech szyderczy, godny okropnych ciemności i strasznych otchłań, z pośród których się wznosił. Wtenczas przerażone gady rozstępowały się na wszystkie strony a obudzone z długiego snu opoki i kamienne ściany, przesyłały aż do wód z daleka szumiącéj rzeki przerywane słowa, szatańskim wyrzeczone głosem, które się czasem wydobywały z piersi, nawykłych do zbrodniczych uczuć, ale w których bijące serce nigdy bojaźni w życiu nie zaznało.

Była wśród ciasnych przejść i krętych manowców obszerna sala, daleka od miejsc, Zbigniewowi znajomych, zachowująca ślady pracy ludzkiéj. Jednakże cztery ściany, w skale wykute, z otworem, w kształcie drzwi wyrobionym, były owocem długich trudów, które nareszcie przezwyciężyły opór twardego przyrodzenia. W każdéj z nich widziano długie i ciasne pieczary, po części jeszcze zasklepione, lecz największa ich liczba, stojąca otworem, ukazywała w głębi bielejące się czaszki i kości, ostatki już bez wątpienia oddawna zeszłych z téj ziemi.

Na środku sali wznosił się grób czworokątny, przywalony ogromnym kamieniem, na którym łuk z pałaszem wyryty okazywał, że takiem godłem uczcili towarzysze znikłego z ich grona wodza. Naokoło tych broni niewyczytane dziwne głoski, w wieniec ułożone, dopełniały zapewnie hołdu smutnych poddanych lub braci, który ich ręce oddawna już bezsilne, a może rozsypane w około, zimnemu powierzyły głazowi. Zresztą nic już nadzwyczajnego nie było w tych miejscach, a miałki, płowy piasek, żadną nie umilony trawą, leżał spokojnie w mieszkaniu zapomnienia i śmierci.

W téj właśnie sali, tego samego dnia, w którym Ulrych wyprawił się do obozu dla sprowadzenia Skarbimira z Gulczewa, mała lampa, stojąca na grobie, oświecała opartego na nim człowieka, który zupełnie czarnym obsłonięty płaszczem i wzniosłym na głowie hełmem, dumał, czekając, jak się wydawało, na czyjeś przybycie, bo druga jeszcze osoba w zamku znała schronienie, w którem on teraz przebywał. Twarz jego wystawiała pozorną spokojność, ale często na niéj ukazywały się silne wzruszenia, bardziéj do skutku gwałtownych namiętności, niż do zwyczajnego zadowolenia, pochodzącego z nadziei dokonania zamiarów, podobne. Czasem też szyderski uśmiech rozszerzał usta, gotowe do miotania okropnych bluźnierstw, ale, jak gdyby dla doświadczenia własnéj mocy nad sobą, wstrzymywał się gość tych podziemnych przepaści, kiedy już miał wymówić srogie przekleństwa, i w ciągłem milczeniu zatapiał wzrok ognisty w otaczające ciemności, które

pochłaniały bezsilne małéj lampy promienie, jak tylko się odważyły opuścić własne ognisko.

Wtem oderwał się kamień z wierzchniéj części sali, czasem nadpsutéj, i runął przed stopami rycerza z przerażającym łoskotem, nie ruszył się jednak z miejsca wojownik i nie odwrócił na chwilę wlepionego wzroku w otwór północnéj ściany, skąd zapewnie spodziewał się kogoś. Zmienił tylko położenie ręki, na któréj oddawna się opierał, a wtenczas roztworzył się płaszcz szeroki i okazał ciemną szatę, ściśnioną u dolnych piersi bogatym pasem, w którym tkwił większy od zwyczajnych sztylet. Zresztą żadnéj innéj nie było broni przy jego boku, a znak rycerstwa, szczerozłoty łańcuch, otaczał mu szyję.

Dobył mąż czarny sztyletu i jego ostrzem poprawił knot u lampy, która na chwilę świetniejszym zabłysnęła blaskiem, a wkrótce potem znów wróciła do dawnego stanu. Jeszcze przez długi czas spokojnie stał rycerz, ale nakoniec zaczęły się okazywać znaki jego niecierpliwości w poruszeniach twarzy, w częstéj zmianie położeń i nareszcie w szybkim pochodzie, którym okrążał starożytny grobowiec. Zbliżał się czasami do otworu i zdawał się z natężoną słuchać uwagą, lecz żaden odgłos uszu jego nie dochodził oprócz odległego szumu, jak gdyby wody, o głazy się roztrącającéj; wtenczas dopiero kilka słów wymówił:

— Może go zabili... Może tamten iść za nim nie chce... Gdyby przez tego skąpca ostatnie moje nadzieje zniknąć miały!...

I spojrzał na sztylet, a podwoił szybkość kroków, płaszcz zarzucił na drugie ramie i znów lampę poprawił, przypatrywał się otaczającym grobom, rozrzuconym kościom i brał do ręki nietknięte od ich rozprzęgnienia się czaszki, rzucał je z gniewem, tratował po nich i z dzikim uśmiechem słyszał pękające pod stopą kości. Lecz to nic nie pomagało, czas uchodził, a nikt nie przybywał.

Już niecierpliwość rycerza najwyższego doszła stopnia, kiedy usłyszał w oddaleniu odgłos ciężkiego stąpania, pomięszany z lekkiem suwaniem się dobrze

znanéj stopy. Natychmiast poskromił żywą niecierpliwość i, oparłszy sie o szeroki grobowiec, czekał niewzruszenie na ukazanie się przybywających. Twarz jego przybrała barwę surowej powagi i niezmięszanéj niczem spokojności, choć chwilę przedtem najgwałtowniejsze malowała uczucia.

Wtem wszedł otworem północnéj ściany młodzieniec trzymający lampę w jednym ręku, a drugą wiodący starca z zasłoniętemi oczyma. Na znak, dany przez męża w czarnym stroju, odkrył mu je towarzysz, a Skarbimir z Gulczewa, zbladły i okropnym rażony widokiem, stał o kilka kroków od Mestwina z Wilderthalu.

— Spóźniłeś się, Ulrychu — rzekł srogim głosem rycerz niemiecki. — Cóż to się ma znaczyć?

— To znaczy, rycerzu i panie mój — odparł giermek — że zamiast odważnego rycerza miałem zniewieściałego starca za towarzysza drogi.

— Więc twoja w tem wina — ozwał się znów zwolna Mestwin — Skarbimirze z Gulczewa, podskarbi króla Władysława!

— Daruj — odpowiedział Skarbimir — przyjacielowi, to jest najniższemu słudze!

— Nie usprawiedliwiaj się napróżno, trwożliwy panie Gulczewa — przerwał Mestwin — ale pamiętaj, że taką opieszałość umiem śmiercią nadgradzać! Teraz słuchaj mnie z uwagą, jeśliś zdolny do słuchania człowieka, który długo czekał na ciebie, oparty na tym grobie wśród milczenia nocy i śmierci!

— Słucham — rzekł Skarbimir — słucham, potężny panie i władco, tyle cię szanuję...

— Nie wysilaj się na daremne pochlebstwa, bo wiem, że nie mnie, ale ten sztylet szanujesz! Wypełń więc wszystkie moje rozkazy, jeśli się nie chcesz bliżéj z nim zapoznać!

— Słucham — powtórzył upokorzony Skarbimir.

— Trzeba, żeby jutro z rana dowiedział się wasz Mieczysław, że Hanna z Ciechanowa chce z nim mieć tajemną rozmowę w kaplicy, leżącéj ponad brzegiem

Wisły. Zapewnie nieraz ją widziałeś, łatwem ci będzie ją opisać.

— W tem ostatniem niema żadnéj trudności, ale co do pierwszego nie wiem, jak sobie postąpić, nie pojmuję, jakbym ci miał w téj okoliczności usłużyć.

— Chwila — rzekł zimno Mestwin — w któréj przekonam się, żeś mi na nic niezdatny, będzie ostatnią twojego życia.

Przerażony podskarbi prosił o czas do namyślenia się i usiadł w kącie na małym kamieniu. Tymczasem Mestwin po cichu rozmawiał z Ulrychem, a potem stanął naprzeciwko dumającego starca, wlepiając bystry wzrok w zsiniałe od bojaźni rysy.

— Czy już niemiłe ci życie — zawołał rycerz z Wilderthalu — że tak długo nadużywasz mojéj cierpliwości?

— Dozwól mi jeszcze trochę czasu!

— Patrz — rzekł szydersko Mestwin — na tę drobną garstkę popiołu, bielejącego się nad rozognionym knotem mojéj lampy, jak śnieg nad ognistą górą; kiedy on na dół opadnie, a ty jeszcze nie wynajdziesz sposobu wykonania moich zleceń, możesz pożegnać się z Gulczewem i Kościelcem.

Myślał Skarbimir, że rycerz doda: »i skarbami«, ale kiedy tego słowa nie usłyszał, uczuł ulgę w ledwo już bijącem sercu i, wstawszy po chwili, oświadczył, że wszystkiemu zaradził.

— Mów więc, a zwieźle tylko! — rzekł Mestwin.

— Wiesz zapewnie, potężny rycerzu, że posiadam rzadką sztukę pisania i czytania, z któréj i Hanna z Ciechanowa słynie, którą ojciec tak starannie wychował. Napiszę więc list do księcia Mieczysława, wyłuszczę w nim mniemane żądanie... to jest prawdziwe żądanie księżny — dodał starzec, widząc, że Mestwin brwi zmarszczył — podpiszę: »Hanna z Ciechanowa«. Znam jéj pismo, bo nieraz Wszebor, chlubiąc się z rozległych córki wiadomości, mi je pokazywał, oddam księciu...

— Ale jakże ten list dostanie z rąk twoich? — rzekł rycerz.

— Pewny jestem, że rozkochany Mieczysław nawet o to się nie zapyta; w przypadku mogę odpowiedzieć, że Bardan, naczelnik mojego wydziału, schwytał człowieka, wydającego mu się być szpiegiem, że ten człowiek list mu oddał i przyniósł mi go Bardan. Ja wyczytawszy słowa: »Do księcia Mieczysława«, pośpieszyłem mu oddać przyniesione pismo. A co, czy nie zręcznie?— zapytał starzec z pewnym rodzajem dumy i chełpliwości.

Rzucił nań łagodniejszym Mestwin wzrokiem, ale zarazem wszystkie namiętności, które dotąd gnębił siłą żelaznéj woli, wyrwały się z pod jéj przemocy i tłumnie wybuchnęły. Z jednéj strony radość, z drugiéj nasycona już napół zemsta zmięszały się w nieładzie w wzburzonem sercu i już rycerz nie mógł ukryć w sobie niezwykłego uniesienia. Groźnie rękę wyciągnął i zaśmiał się śmiechem piekła. Zapominając o przytomności zważającego na każde słowo, na każde poruszenie starca, wykrzyknął:

— Nie chciałaś wejrzeć na błagającego Mestwina, musiał on znosić obelgi od ciebie, a teraz jakaż ci pozostaje nadzieja? Czyż nie lepiéj było odwdzięczyć miłością za miłość, przywiązaniem za przywiązanie? Dumna Polko, w zamku potężnego Zbigniewa, któryby ostatnie wysilenia łożył na twoję obronę, gotuje się twoja zaguba i nic już jéj nie odwróci. Zdradzisz go napozór, on uwierzy zdradzie i zginiesz. Obiecałem ci boleści, już oddawna cię trapią. Druga część obietnicy spełni się niezadługo. Nie pod żelazem...

Wtem Ulrych uchwycił pana za ramię i wskazał na Skarbimira, ale zapóźno, bo tajemnicę odkrył już chytry starzec. Natychmiast ustąpiło uniesienie Mestwina, jak zwykle za zmianą jego myśli, i poznał zaraz nieroztropność swoją i korzyść, którą z niéj mógł ciągnąć Skarbimir. Zbliżył się więc do niego z posępną twarzą i z dobytym sztyletem, a przykładając broń do piersi truchlejącego podskarbiego:

— Zapomnij — rzekł — o tem, coś słyszał!

Schylił się aż do ziemi Skarbimir, a te słowa tak szczególnym i nadzwyczajnym wyrzeczone były głosem,

że ciągle odtąd brzmiały w uszach starca, jak gdyby go ostrzegając o niebezpieczeństwie zdradzenia władającego nim pana.

Ale Mestwin, chcąc go jeszcze bardziéj zachęcić do poruczonéj sprawy, w krótkich oznajmił mu wyrazach, że upadek dumnego Sieciecha będzie niezawodnym skutkiem wypełnienia okrutnych zamiarów.

Na to zapewnienie, któremu sam rycerz nie wierzył, radość przejęła duszę Skarbimira i przysiągł w jéj głębi ślepe posłuszeństwo odebranym zleceniom.

Wtenczas skinął ręką rycerz niemiecki i kazał giermkowi odprowadzić pana Gulczewa. Ulrych zawiązał oczy towarzyszowi i wyszedł z nim północnym otworem.

Mestwin przez chwilę został niewzruszony na miejscu, a poglądając na rozsypane wokoło kości, zawołał:

— Wkrótce twoja głowa, twe lica, do róży świeżo rozwitéj podobne, taką postać przybiorą.

Schylił się i podniósł czaszkę z ziemi.

— Witam cię, przyszły obrazie Hanny z Ciechanowa!

A potem rzucił daleko od siebie ostatki pięknego może niegdyś ciała i z lampą w ręku wyszedł z grobowéj sali.

ROZDZIAŁ XXII.

Pociągiem zemsty i zbrodniczą radą
Postąpił z swoim panem z jak największą zdradą.
Bezimienny.

Nazajutrz po widzeniu się Skarbimira z Mestwinem nie ujrzano żadnego w obozie nieprzyjacielskim poruszenia i z wielkiem załogi zadziwieniem cały dzień bez walk upłynął. Jordan z Gozdawy i Krystyn z Mortoga, wciąż stojąc na basztach, starali się dostrzedz wszystkich obrotów przeciwnego wojska i domyśleć się przyczyny niezwykłéj spokojności. Mestwin ze zwykłą rozwagą dawał głośno rozkazy, towarzysząc księciu Zbigniewowi, który przechadzał się po wałach z schyloną głową i obchodził wierne hufce, witające go okrzykami, nie budzącemi już teraz ognia i młodzieńczego zapału w smętnem sercu.

Są bez wątpienia wieszcze w duszy człowieka przeczucia, rokujące mu blizkich nieszczęść nawałę. Może są one tylko skutkiem wyobraźni, wylatującéj za przeznaczone krańce na odkrycie ciemnéj przyszłości, może też duchy innego świata, przyjazne nam kiedyś za życia, w chwili stanowczéj wokoło nas się gromadzą i, jedyną świadcząc w ich mocy przysługę, jakąś niepewność i smutek wlewają w serce, żeby je przygotować do niespodziewanego ciosu.

Bądź co bądź pewnem jest, że w dolegliwem teraz był książę Zbigniew położeniu, bo choć nigdzie tak blizkiego i grożącego nie upatrywał niebezpieczeństwa, choć

spodziewał się, że tego samego dnia w nocy wkradnie się do zamku z mnogim orszakiem Ludwik ze Żmigroda, przeczuwał on niezrozumiane i tajemnicze cierpienia i dlatego właśnie, zniżywszy wyniosłą głowę, nie czuł dawnéj radości, słysząc okrzyki i wrzaski żołnierzy.

— Mestwinie — rzekł ponuro — przygotuj wszystko na przyjęcie Ludwika ze Żmigroda, który dzisiaj ma przybyć! Właśnie zbierają się chmury i sądzę, że noc burzliwa ułatwi mu wejście do zamku. Nie spodziewam się, by natarli na nas swoim zwyczajem nieprzyjaciele, bo już wieczór się zbliża. Odejdę do komnaty, przygotuj jednak wszystko na przypadek, a gdybyś zobaczył rozwijające się przeciwników szeregi, donieś mi o tem natychmiast! — Po tych słowach oddalił się książe, przechodząc blizko żony pokojów, chciał ją odwiedzić, ale przypomniawszy sobie, że ją widział zrana smutną i pomięszaną, a nie czując się na mocy jéj pocieszenia, podwoił kroku i zamknął się w własnéj komnacie. Tu dopiero zapadł w głębokie dumanie, a jeśli kiedy słodkie zabłysło wspomnienie, odpędzały go zaraz czarne myśli, bez ustanku się snujące.

Nieszczęśliwy Zbigniew wywoływał z głębi przeszłości gorzkie pamiątki, z żalem patrzał na strawioną wśród zbytków i występków młodość, na zużyte w niegodnych sprawach siły, na pogrążoną przez siebie w otchłań smutków Hannę z Ciechanowa, którą oderwał od świata i, pozbawiwszy najmilszych uciech, nie umiał w najprzykrzejszych chwilach pocieszyć. Myśl, że może córka Wszebora, zwiedziona dziwacznem jego od niejakiegoś czasu postępowaniem, sądzi, że zapomniał o jedynéj lat młodych oblubienicy, o aniele, który najpiękniejszemi natchnął go pomysły i szczęściem obdarzył, tak go przeraziła, tyle razy stawiła się przed jego umysłem, że już porywał się i, przypominając dawną uprzejmość, oddawna zaniedbane miłosne wyrazy i gorejące oświadczenia, chciał, pobiegłszy do żony, u jéj stóp błagać przebaczenia winy, kiedy ktoś do drzwi zapukał. Poszedł je otworzyć z wyrazem gniewu na twarzy, ale ten znikł za ukazaniem się Mestwina z Wilderthalu.

— Czy myślą szturm przypuścić? — zawołał książe

z iskrzącemi się od zapału oczyma, w nadziei, że zamęt walki wyrwie go z pod ciężaru trapiących uczuć.

— Nie, panie i książe mój — odparł rycerz — przyszedłem cię uwiadomić o rzeczach, które największéj uwagi, a zarazem stałości umysłu wymagają.

Nie słyszał Zbigniew ostatnich słów Mestwina. Jak tylko dowiedział się, że niema przeciw komu walczyć, upadł na krzesło i, nakazawszy ręką milczenie powiernikowi, wlepił oczy w przeciwną stronę i do opuszczonych na chwilę powrócił utrapień. Wreszcie ozwał się w te słowa:

— Mestwinie, jedyny mój przyjacielu, nie uwierzysz, jakem się od jakiegoś czasu zupełnie odmienił. Zapewnie w téj posępnéj twarzy, w téj schylonéj postawie, w téj drżącéj ręce i ustach zbladłych nie poznajesz dawnego Zbigniewa, którego miecz błyszczał nad wszystkiemi mieczami polskiéj krainy, którego głowa wznosiła się ponad wszystkie dumnych panów głowy. Gdzież się podziała żywość moja? gdzie uleciał młodzieńczy zapał, wrzący w piersiach, którym już dzisiaj lekka cięży zbroja? Odpowiesz, że choroba, że rany to sprawiły. Nie, nic ziemskiego, żadnéj ostrze szabli, żadna słabość na świecie nie była zdolna tak mnie żniżyć i pognębić. Ileż razy okryty ranami, krwią własną oblany, myślałem jeszcze o zwycięstwie, wyglądając z niecierpliwością chwili wyzdrowienia, chwili, w któréjbym mógł ująć oręż na nowo, i zemścić się na wrogach! Pamiętam, jak lotem orła wzbijały się moje myśli, jak nadzieje uśmiechały się nie zatrutemu żadną boleścią umysłowi, a teraz wzrok schylam ku ziemi, uciekam od towarzyszów broni, od żony nawet. Unikam Hanny, najmilszéj istoty na świecie, dla któréj jeszcze czuję miłość w przekwitłem sercu. Jéj spojrzenie, przejmujące dawniéj wszystkie żyły ogniem namiętności, spada teraz na mnie, jak na bryłę zimnego lodu. Czasem trąba bitew obudzi mnie ze snu, a wtedy tylko czuję, że mi serce bić nie przestało, ale krótko trwa przemijające wrażenie, a wszystko dokoła czarnem, ciemnem, posępnem się wydaje. Szczęście ucieka na odgłos kroków moich i nawet przypomnieć sobie nie mogę chwil,

które zapełniły część śmiertelnego życia niebieską radością. Zdaje się, jak gdyby piekło wyrzekło moją zagubę, bo mi wydarło i nadzieję i pamięć tych nadziei.

To mówiąc, zakrył twarz obuma rękoma. Zapewnie nie chciał, by Mestwin dostrzegł gorzką łzę, spływającą po bladawych licach.

Wahał się zrazu rycerz na zadanie ostatniego ciosu nieszczęśliwemu panu, ale nie było czasu do stracenia; szybko upływały godziny, a z niemi i zemsta zbliżała się sroga, zemsta, dla któréj tyle środków użył Mestwin i tyle zbrodni wykonał. Przybrawszy zatem najzimniejszą postać, przemówił do Zbigniewa:

— Przeminą te chwilowe troski. Teraz zaś, książe i panie mój, zbierz wszystkie siły, bo się dowiesz z ust, które ci nigdy nie skłamały, o spełnieniu się ich dawniejszych proroctw!

— Cóż chcesz mówić? — przerwał syn Władysława z przerażeniem na twarzy.

— Chcę mówić i powiadam, książę i panie mój, żeś się połączył z niewiastą nie godną twojéj miłości.

— Nędzny! — przerwał piorunnym głosem Zbigniew — pamiętaj, że mówisz o swojéj księżnie, o żonie twojego pana!

— Nigdy jéj nie nazwę księżną moją — odparł śmiało Mestwin — bo nią być nie może Hanna z Ciechanowa, zdradzająca najświętsze obowiązki.

— Czy więcéj od jednego życia posiadasz, że tak lekce teraźniejsze ważysz? — zawołał Zbigniew, okryty rumieńcem gniewu, porywając szablę ze stołu.

— Gdybym tysiąc razy mógł umierać i odżyć, nie wahałbym się ostatnie życie dla ciebie poświęcić i nieraz ci już tego dowiódłem. Ale uspokój się, wysłuchaj mnie i przekonaj się o prawdzie słów moich! Jeśli cię oszukam, możesz ten miecz w moje piersi utopić.

— Ja mam ciebie słuchać, niegodny oszczerco? — krzyknął książę, wlepiając oczy w oczy Mestwina; ale rycerz wytrzymał rażące spojrzenie Zbigniewa i nie zniżył własnego wzroku. — Ja mam słuchać potwarze, rzucane na najcnotliwszą niewiastę na ziemi, na drogą moją Hannę, na anioła, co umilał zbrodnicze życie

i na wieki związał mnie do siebie niezerwanym łańcuchem? Czyż to od dzisiejszego dnia wiem, że ją nienawidzisz? Czyż to pierwszy raz ją obmawiasz? Od kiedym ją zapoznał, zawsześ mnie odwodził od niéj, odradzałeś zaślubienie, radziłeś najbrzydszą obłudę, a teraz, kiedym już zgnębiony prawie nawałą prawdziwych i urojonych nieszczęść, przychodzisz mi ostatnią wydzierać pociechę. Oddal się, wychodź, precz mi z oczu!

Mestwin nie ruszył i kroku.

— Czyż już przestałem być panem w własnym zamku? — zawołał Zbigniew z rosnącem uniesieniem. — Nawet, gdybyś co wiedzał, zakazuję ci odkrywać.

— A, to co innego! — odpowiedział z najzimniejszą krwią Mestwin. — Zaiste, panem jesteś swojéj woli i możesz nawet żony Mieczysławowi odstąpić.

Imię niecierpianego człowieka obudziło wściekłość w duszy Zbigniewa. Przypomniał sobie dawne jego związki z Hanną i zbladł nagle, śmiertelne osłabienie zwątliło siły, poduszczone gniewem. Dreszcz zimny rozlał się po całem ciele i przejął go mrozem. Nie mogąc utrzymać się na nogach, musiał usiąść, a pot kroplami spływał po zlodowaciałem czole.

Poznał Mestwin, że sposobna nadarzyła się pora, i, nie dając czasu do namyślenia się księciu, zaczął opowiadać ułożone fałsze z pewnością, saméj szczerości właściwą. Wyłożył dawne przestrogi, oświadczył się z przywiązaniem bez granic, a nareszcie opowiedział, jak Ulrych podsłuchał przypadkiem rozmowę księżny z Katarzyną, z któréj się wydało, że Hanna pała miłością ku Mieczysławowi, że znienawidziła męża i że się będzie widziała z dawnym kochankiem o dwunastéj w nocy nad brzegiem Wisły, w starodawnéj kaplicy. Zresztą nowem kłamstwem przebiegły rycerz wytłómaczył księciu sposoby, których użyła Hanna na porozumienie się z synem Bolesława. Nie przepomniał dodać o rzadkiéj mowie księżny i o jéj listach. Wszystko zaś tak prosto, tak jasno wyłuszczył, że już niepewność i podejrzenia zaczęły się wkradać do serca Zbigniewa.

Wtenczas za świśnięciem Mestwina wszedł do komnaty giermek, który, przez pana przyprowadzony, czekał w przedpokoju.

Na rozkaz pana śmiało powtórzył młodzieniec, co rycerz przed chwilą opowiadał, a podczas swojéj mowy widział wciąż wzrok księcia Zbigniewa, starający się odkryć napróżno najmniejszego w jego rysach pomięszania lub trwogi. Ulrych z niepospolitą odwagą łączył poświęcenie dla pana bez granic, wiedział, że go może zgubić najmniejszą oznaką przerażenia. Zresztą już najtrudniejszą część okropnéj i tajemniczéj sprawy, sobie poruczonéj, wykonał oddawna. Kiedy mógł wytrzymać widok łez księżny, nie miał go już późniéj przerazić gniew potężnego Zbigniewa; kiedy nie padł do nóg boskiéj córce Wszebora, mało zapewnie mogła mieć na nim wpływu rozpacz syna Hermana. A zatem dopełniały się zamiary dzikiego Mestwina i książe ujęty w sidła, szatańską uwite zręcznością, otoczony głośnemi przeciwko żonie dowodami, wątpił, czy żyje, czy też przebywa w obłędu i ułudzeń krainie.

Powstał nareszcie z siedzenia i miotając naokoło pomięszanym wzrokiem:

— Gdzież jestem? — zawołał — gdzie się dostałem? Czy już piekło wyciąga ramiona po należną zdobycz? Czy już zemsta niebios dręczyć mnie zaczyna? Ostatnie marzenie tego życia, ostatnie urojenie, wiążące mnie jeszcze do świata, zniknęło. Ale nie, wyście sobie rękę podali i fałsz na waszych ustach. Mestwinie, zmiłuj się nademną, wszak to nieprawda, com słyszał? Hanna jest moją żoną!

— A zarazem kochanką księcia Mieczysława — odparł rycerz.

— Przypomniałeś mi — krzyknął książe — tem nazwiskiem, że wszystko się zakończyło i że dla mnie świat bezludny wokoło. Nieprzyjaciel wydarł mi więc najmilszą pociechę! W krwi jego, przysięgam, zanurzę się cały! Ale cóż ta krew pomoże? Alboż ona dostatecznem wynagrodzeniem będzie za życie, odtąd żadnéj nie znające pociechy? Mestwinie — dodał, zbliżając się do rycerza i ściskając mu rękę — daj mi sposób godnego pomszczenia się na nim, połóż na jednéj szali

miłość zdradzoną, zniszczone radości, zatracone szczęście, życie, ogołocone ze wszystkich rozkoszy, młode lata, zwiędłe u ich początku prawie, serce, szarpane wszystkiemi rozpaczy mękami, na drugiéj zemstę jakąkolwiek! Jeśli ona zrównoważy się z tamtemi ciężary, moje dobra, moje majątki i godności tobie oddaję. Wszystko u stóp twoich składam, bylebym mógł widzieć jego cierpienia, wpatrzeć się okiem żmii w ostatnie chwile wroga; lecz te ostatnie chwile tak się różnić powinny od zwyczajnych zgonów na ziemi, jak różne są męki piekła od uciech niebieskiego raju! Rozumiesz mnie?

Wtenczas Mestwin kazał oddalić się giermkowi, rozkazując po cichu, żeby mu doniósł, jak tylko księżnę wyprowadzi. — Zatrzymanie księcia w tym pokoju już na siebie biorę — dodał, a Ulrych odszedł.

Wtedy rycerz z Wilderthalu srogim ozwał się głosem:

— A cóż się stanie z niewiastą, co zdradziła najświętsze obowiązki i tak ogromną skalała się zbrodnią? Czy przepuścisz jéj bezkarnie własne nieszczęście? Czy dozwolisz, książe i panie mój, by z twoich objęć rzucała się w objęcia znienawidzonego Mieczysława i z nich na twoje wracała łono?... By, depcąc wszystkie świata prawa, podzielała się wdziękami z mężem i jego śmiertelnym wrogiem?

Milczał wciąż Zbigniew.

— A więc — głośniéj zawołał Mestwin — książe Zbigniew odpuszcza winy Hannie z Ciechanowa, wystawia się na żarty całéj Polski! Wojownik nieustraszony w bojach, niezmiękczony jękami konających ofiar, ulega przemocy niegodnéj kobiety i na jéj spojrzenie zapomina o sławie! Zrzuć już zbroję, synu i wnuku tylu królów, zawieś oręż nad łożem rozkoszy, przywdziéj suknię niewieścią i weź do ręki wrzeciono, albo raczéj każ sobie okuć dzielną kiedyś prawicę w pęta, gnuśnością narzucone, i, czołgając się u stóp zdradnéj żony, z uśmiechem radości i niedołęstwa patrzaj na własną ohydę i własne zhańbienie! Na wszechwładny rozkaz otwieraj drzwi jéj komnat Mieczysławowi i dozwól synowi Bolesława cieszyć się posiadaniem Hanny z Ciechanowa!

— Milcz — rzekł osłabiony książe — nieludzki człowiecze! W twoich piersiach nigdy słodkie nie urodziło się uczucie. Różny od innych ludzi, od dzieciństwa powlókłeś członki twardą stalą, a od niéj i serce twoje swoję oziębłość przejęło. Czyż znasz, co to miłość, Mestwinie? Czyż kiedy doznałeś jéj słodyczy? Wiedz, że choć okropna prawda odsłania się przedemną, wiedz, rycerzu, że jeszcze kocham tę niewiastę i wątpię, by tak anielskie rysy pokrywały tak nizką duszę! Wiedz — zawołał całemi piersiami — że się waham, że wątpię, że nie wierzę waszym potwarzom! Jéj obraz, tkwiący w moim umyśle, odpędza podejrzenia i czuję niczem nieosłabione przywiązanie w sercu. Mestwinie, radzę ci, nie powtarzaj wyrzeczonych dopiero co obelg, bo o niéj wtenczas marzyłem i słabo twój głos dochodził moich uszu, ale gdybym teraz co podobnego usłyszał, nie zważałbym na dawnego przyjaciela i wiernego sługę, widziałbym tylko szatana, chcącego ostatnią pociechę mi wydrzeć i zniszczyć ostatnią srogich cierpień ulgę, a sam rozważ, o ile taka myśl może unieść człowieka, który gotów zrzec się wiecznego i doczesnego życia, byleby usłyszał usprawiedliwienie ukochanéj istoty! Walczyłem dla niéj, a ona miałaby o tem zapomnieć? Patrzyła na krew, płynącą z moich piersi, a wiedziała, że dla niéj płynie; słyszała jęki moich żołnierzy i pewną była, że dla niéj giną, że dla niéj poświęcam i ojca miłość i narodu przywiązanie, że dla niéj znoszę oziębłość przyjaciół — i ona miałaby mnie zdradzić? Nie, na św. Stanisława, to być nie może! Sam Bóg nie dałby wdzięków anioła podłemu stworzeniu. Nie, Mestwinie, nie mów nic daléj, nie ozywaj się więcéj, bo możebym uważał za święty obowiązek przebłagać oczernioną piękność śmiercią jéj wroga!

— Nigdy trwoga nie zamknie ust moich, panie — odparł rycerz — tem bardziéj, kiedy, prawdę mówiąc, chcę twoję sławę ocalić.

— Zaklinam cię, Mestwinie, byś milczał. Dowiódłeś mi tyle razy przyjaźni wśród bitew, niebezpieczeństw, teraz dowiedziesz mi jéj daleko lepiéj zatajoniem tego, o czem się dowiedziałeś. Nie chcę zasłony żadnéj

rozdzierać, zapomnę o twoich słowach, bo, gdybym nie mógł zapomnieć, wolałbym nie żyć na ziemi, ale zapomnę za pierwszem jéj spojrzeniem, za pierwszym uściskiem zapomnę. Wszakżeś mi nic nie odkrywał, Mestwinie, nie prawdaż, nic nie mówiłeś? Proszę, błagam cię, odpowiedz jeno »nie«, a wszystko, co zechcesz, uczynię!

— Nigdy! — krzyknął Mestwin — nigdy podobną nie zmażę się podłością. Jeszczebym z rusztowania wołał na ciebie: »Książę i panie mój, zdradza cię niegodna żona«!

— A więc zgiń i milcz umarły, jeśli żywy milczeć nie umiesz! — zawołał Zbigniew, rzucając się na rycerza z pałaszem w ręku.

Z największą spokojnością odsłonił piersi Mestwin z Wilderthalu i, oderwawszy szablę od boku, stawił się bezbronny gniewowi Zbigniewa, którego wzniesiona opadła prawica, a wkrótce potem sam książe prawie bez zmysłów oparł się na łoże, spoglądając łzawem na powiernika okiem.

— Straciłem rozum — rzekł — Mestwinie, ale zarazem i jedyne szczęście...

Wtenczas łzy, wstrzymywane dotąd, oblały lica niezgiętego dawniéj wojownika i westchnienia wydobyły się z piersi, w których czułe, choć zatwardziałe długim do występków nałogiem, biło serce. Rumieniec wstydu zapłonił twarz bladawą księcia, który, przerywając czasem płacz swój wykrzyknikami boleści, odwracał oczy od dzikiéj twarzy Mestwina, któréj rysów w téj chwili mógłby sam władca piekieł mu pozazdrościć.

— Ah! jakżem już osłabły, ah! jakżem już znękany! — wołał Zbigniew. — Hanna, moja Hanna mnie opuszcza! O Boże, zlituj się nademną!

— Sądziłem — przerwał Mestwin — żem się zaciągnął pod dzielnego bohatera znaki, ale ciężką popełniłem omyłkę: szlochającą niewiastę teraz widzę przed sobą.

— Przekonamy się zaraz, rycerzu — rzekł — o prawdzie słów twoich. Bądź łaskaw towarzyszyć mi do

Hanny! Oświadczę jéj nasze podejrzenia, a może odkryjemy, że się słuch twojego Ulrycha w tym razie omylił.

Poznał Mestwin, że największe zagrażało mu niebezpieczeństwo, ale nie stracił odwagi, gotów najczarniejszych użyć wybiegów na jego odwrócenie.

— Dobrze — odpowiedział, udając największą obojętność — nie odstąpię cię, panie i książe mój, bo przepaść blizka twoich kroków i potrzebujesz towarzysza, któryby cię na brzegu wstrzymał, lub też z tobą w jéj otchłań się rzucił.

— Co znaczą te słowa?

— Znaczą one, książe i panie mój, że zbrodnicza niewiasta zdoła przybrać barwę niewinności. A kto jéj uwierzy, już jest nad brzegiem przepaści. Zresztą postępuj podług swojéj woli, lecz jaki dowód mieć będziesz, kiedy się zaprze? Wątpię, żebyś chciał mojego giermka stawić przed nią i własną żonę przymusić do bronienia się od zarzutów sługi. A potem, przypuszczając, że jest niewinną i że Ulrych się przesłyszał, daremniebyś ją zmartwił i trwogi nabawił. Lepiéj, kiedy o dwunastéj sam się przekonasz.

Przyłożył rękę do gorejącego czoła Zbigniew i wahał się długo. Nie wiedział, co począć, bo namiętności, burząc jego duszę, odejmowały rozwagę i zimny rozsądek.

— Książę Zbigniewie — dodał Mestwin — jesteś panem swojéj woli, ale usłuchaj rady przywiązanego człowieka, który ci wierny był dotąd i zawsze szanował i kochał, który życie twoje nieraz własnego niebezpieczeństwem obronił. Jakieżbym miał powody do rozjątrzenia twojego serca, do zatruwania twojego szczęścia? Wierz, że ważne i bardzo ważne powody znagliły mnie do odkrycia ci prawdy, bo tu szło o twoją sławę i jako najwierniejszemu przyjacielowi twojemu, droższą mi jest ona od własnego i nawet od twojego życia! Chciałem tobie tak okropnego ciosu oszczędzić, ale, rozważywszy straszne skutki, wyniknąć mogące z tak występnych przyczyn, uczułem dosyć mocy w sobie na oznajmienie mojemu panu, że Hanna

z Ciechanowa straciła wszystkie do jego miłości prawa. A niemałéj potrzebowałem odwagi, niemałego poświęcenia na wytrzymanie wybuchań gniewu człowieka rozkochanego w osobie, którą oskarżam o tak ciężkie zbrodnie. Do ciebie należy osądzić i czystość moich zamiarów i przywiązanie tak wielkie, że się naraziło na śmierć i gorsze od niéj wyrzuty, żeby ostrzedz pana o okolicznościach, wszystkie jego nadzieje niszczących.

Zawsze prawie rady Mestwina, odrzucane z początku przez Zbigniewa, brały potem górę nad jego umysłem, czy dlatego, że zimna rozwaga Niemca miała niezaprzeczoną wyższość nad uniesieniem i zapalczywością księcia, czy też dlatego, że syn Władysława niezrównaną pokładał ufność w wierności i niejednemi dowodami stwierdzonem przywiązaniu powiernika. Również i teraz uległ Zbigniew przewadze rycerza z Wilderthalu i, nie mogąc sam oznaczyć swojego w téj mierze postępowania, skierował je podług myśli i chęci Mestwina.

— Przystaję — rzekł — na twoje uwagi, ale pamiętaj, że, gdyby Hanna się niewinną okazała, nicby ci nie mogło życia ocalić! Doszłem do takiéj ostateczności, że mi trzeba żonę lub przyjaciela postradać, bo zemsta, obudzona we mnie, wymaga jakiéjkolwiek ofiary. Przygotuj się do śmierci Hanny z Ciechanowa, albo do własnego zgonu!

— Pozwalam ci jeszcze wątpić, książe i panie mój — odparł Mestwin — ale za kilka godzin o wszystkiem się przekonasz. O dwunastéj przybędę do ciebie i razem udamy się do kaplicy.

— Nie wytrzymam! — zawołał Zbigniew. — Pobiegnę do niéj! Mówię ci, że nie wytrzymam, Mestwinie.

— A gdzież się podziała stałość umysłu i męstwo, żadną nie zrażone przeciwnością? — rzekł rycerz. — Czyż tylko w bojach mężem być przystoi? Czyż tylko, kiedy zbroja kryje serce, ono się odważnem okazać powinno? W domowem życiu często trudniejsze zachodzą sprawy, niż na pobojowisku, i nietylko z szablą w ręku bohater jest bohaterem.

— Możesz sobie tych kazań i przestróg oszczędzić — zawołał książe — bo moje ucho nie przyzwy-

czajone do nich! Mówię ci po ostatni raz, że nie mam dosyć sił na przepędzenie tylu godzin w tak okropnéj niepewności. Niecierpię jéj teraz, za chwilę będę ubóstwiał. O Hanno z Ciechanowa, czegóżbym nie dał, żebym mógł, jak dawniéj, z słodką rozkoszą twe imię wymawiać!

— Jedyny więc tylko środek — rzekł Mestwin — pozostał w tym razie. Zamknę cię w komnacie, a o przeznaczonym czasie przyjdę, uwalniając, przekonać ciebie o obłudzie żony i powrócić wyższym celom nad ziemską i nizką miłość.

Milczenie Zbigniewa uważał Mestwin za przystanie na podobny sposób; odwrócił się więc i, wyszedłszy, zamknął drzwi żelaznym kluczem, który schował pod zbroję.

— Więc już zapewniłem jéj zagubę! — pomyślał i z niewypowiedzianem uniesieniem, które brał za radość, oddalił się od komnaty nieszczęśliwego pana.

ROZDZIAŁ XXIII.

Król: Widziałeś?
Inkwizytor: Widziałem.
Król: Słyszałeś?
Inkwizytor: Słyszałem.
Król: O wściekłości! a więc podejrzenie...
Inkwizytor: Stało się pewnością.

Alfieri, Filippo.

— Już czas, księżno i pani moja — rzekł Ulrych, wchodząc do pokoju Hanny, a pierścień Mestwina złowróżbne blaski rzucał z jego ręki.

Czekała już księżna, gotowa narazić się na niebezpieczeństwa i obmowy, żeby dopełnić świętego żony i świętszego jeszcze Polki obowiązku. Spojrzawszy łagodnym na giermka wzrokiem, odpowiedziała, że natychmiast pośpieszy, prosząc, by się do drugiéj oddalił komnaty, gdzie Katarzyna już była.

Zostawszy samą, jeszcze raz swój postępek i skutki z niego wyniknąć mogące, rozważyła. »Może niesława, może wieczna okryje mnie hańba, myślała, lecz mój Zbigniew i sławę i szczęście odzyska. On tyle dla mnie uczynił, niech więc i ja coś dla niego uczynię! On nie zważał na obmowy, kiedy szło o Hannę, a jabym miała niemi się trwożyć? Nareszcie gdyby świat cały, gdyby on nawet powstał na mnie, sumienie moje spokojnem pozostanie«.

— I Ty wiesz — zawołała, odwracając się do obrazu Matki Boskiéj — że nigdy występna myśl mojéj nie ska-

ziła duszy... — Uklękła potem i, złożywszy śnieżne dłonie, wzniosła je ku niebu.

— O Królowo, uwieńczona światłością! zakryj mnie skrzydłami Twojéj opieki! Przejrzyj skrytości mojego serca, oświeć mnie promieniem nieśmiertelnéj Twojéj chwały, a jeśli nieznane mi nawet jakie nizkie uczucie kryje się w jego głębi, spraw, bym z tego nie powstała miejsca; jeśli zaś czyste i cnotliwe mną powodują zamiary, daj, bym Zbigniewa szczęściu wróciła!

Po téj modlitwie wstała, czarną zasłonę zarzuciła na siebie i, pożegnawszy ostatniem spojrzeniem pełną tylu wspomnień komnatę, wyszła do drugiéj, a stamtąd, nie rzekłszy i słowa, przebiegła kaplicę z Katarzyną i smętnym Ulrychem. Córka Gierdy otworzyła drzwi, na brzeg Wisły wiodące, pierwszy giermek naprzód wyleciał, ale tak szybko i tak dziwnym sposobem, że zadrżała pomimowolnie księżna, która z Katarzyną pozostała z tyłu.

— Strażniku — rzekł po cichu młodzieniec do przechadzającego się żołnierza — otwórz te drzwi, tylko prędko! — Chciał jeszcze coś mówić, ale słowa na ustach skonały i ledwo drżącą ręką mógł dorzucić worek, dany przez Mestwina.

— Czy śmierci szukasz — odpowiedział głos chrapliwy — że chcesz słabym srebrem zwalczyć żelazo mojego topora?

Zadrżała Katarzyna, stojąca z swoją panią w kaplicy. Był to głos jéj ojca... Zadrżał i giermek, ale nie z bojaźni.

— Radzę ci, żebyś wziął i otworzył.

— A ja rady tak przyjmuję, psie podły! — zawołał Gierda i ciężki jego topór błysnął wśród ciemności, lecz Ulrych zręcznym skokiem uniknął śmierci a topór wbił się głęboko w ziemię.

— Gierdo, co czynisz? — krzyknął Ulrych. — Czyś mnie nie poznał? — i to mówiąc, stanął między dzikim mordercą a jego orężem.

— Poznałem i dlatego właśnie chciałem dar szatanowi posłać — i po tych słowach szabli dobył.

— Jeśliś mnie poznał, to i to zapewnie poznasz —

rzekł młodzieniec, podnosząc rękę naprzeciwko światłu, wychodzącemu z napół otwartéj kaplicy.

— O, nieraz widziałem go już — odparł Gierda, spuszczając oręż. — Teraz wszystko wypełnię. Wszakże nam książe zalecił równie ten pierścień, jak jego własny szanować.

— Puścisz więc, Gierdo, dwie osoby, za mną idące, i zachowasz głębokie o tem milczenie! Są to, przyjacielu — dodał ciszéj — dawne... domyślisz się zapewnie, książe nie chce, by żona wiedziała...

— Rozumiem — rzekł żołnierz z hucznym śmiechem. — Na cóż mi ten worek dałeś?

— To dar od księcia.

— Niech żyje Zbigniew, pan nasz! — zawołał Gierda, a drzwi, pchnięte jego ręką, otworzyły się w murze.

Gwizdnął Ulrych i dwie postacie przesunęły się w ciemności przed żołnierzem, który, nie chcąc badać tajemnic pana, oczy odwrócił.

— Trzymaj te drzwi otwarte! — rzekł giermek i wyszedł w pole wraz z towarzyszkami.

Księżna mu czule podziękowała, a jednak każdy jéj wyraz przebijał mu serce. Burzliwa i ciemna noc nie dozwoliła uważać Hannie z Ciechanowa, jak nagle zbladł i zadrżał cały. Katarzyna, odzyskawszy przytomność, utraconą na widok ojca, zaczęła namawiać księżnę do przyśpieszenia kroku.

Ulrych wśród świstu wichru i huku piorunów odprowadził księżnę aż do zarośli, zamek otaczających. Tu stanąwszy, oznajmił pomięszanym głosem, że musi ją opuścić, i wskazał niedalekie światło.

— To lampa, paląca się w kaplicy. Tam cię, księżno, czeka Mieczysław, muszę cię pożegnać. Stać będę tymczasem przy drzwiach, strzeżonych przez Gierdę i pilnować, żeby nikt nie nadszedł.

— Dziękuję ci raz jeszcze — rzekła Hanna i szybkim z Katarzyną oddaliła się krokiem.

Łzy spłynęły po licach młodzieńca:

— O Boże, zlituj się nad nią, bo moja powinność wzywa mnie gdzieindziéj! — mówił zalany łzami młodzieniec. — Czemuż topór Gierdy nie przybił mnie do ziemi!

A potem puścił się jak strzała, wyrzucona z cięciwy, przeleciał pole, przebył bramę, komnaty, galerye i drzwi pokoju Mestwin z trzaskiem odemknął.

— Już się stało! — zawołał i upadł napół zemdlony.

— Takeś zdyszany — rzekł siedzący rycerz — jak gdybyś z długiéj wracał podróży, a jednak kaplica stąd niedaleka.

— Ale, panie — odparł ponuro Ulrych — podczas krótkiej drogi można wiele uczuć doznać

— Zapewnie — szydersko odparł Mestwin. — Ale oddaj mi pierścień i powiedz, czyś go użył!

— Musiałem. Dane wprzód pieniądze nic nie pomogły.

— Któż taki stoi na straży? — zapytał rycerz.

— Nieszczęśliwym trafem Gierda pilnuje tam murów.

— Szkoda — rzekł zimno Mestwin — szkoda, dobry żołnierz.

— Nie rozumiem znaczenia tych słów, rycerzu.

— Człowiek, który widział mój pierścień, musi i mój sztylet zobaczyć — spokojnie odparł Mestwin. — Czyż nie pojmujesz, że mógłby mnie zdradzić? Zapomniałem ci się pytać, czyś do samej kaplicy księżnę odprowadził?

— Zostawiłem ją o pół drogi, bom daléj iść nie mógł.

— Jeszcze dziecinne serce — z politowaniem ozwał się rycerz — bije w twoich piersiach, ale mam nadzieję, że nadejdzie czas, w którym na takie wypadki mało albo wcale zważać nie będziesz.

— Śpiesz się, panie, do księcia Zbigniewa!

— Nie czas jeszcze — odparł rycerz. — Niechże wpierw ona dójdzie do kaplicy! Pięknieby było, żebyśmy ją na drodze spotkali, a wiem, że, jak tylko puszczę mojego orła z klatki, do któréj go wsadziłem, to poleci, nie wstrzymany żadnym głosem ni namową. Ale cóż to się znaczy? Zupełnieś zbladły, do trupa podobny! Wstydź się, chłopcze, takiéj słabości!

— Cóż mam robić, panie, kiedy czułą we mnie Bóg wlał duszę!

— Zahartuj serce — odparł rycerz, kładąc hełm na głowę — uzbrój piersi przeciw litości i rozczuleniu!

Zatamuj łzy w oczach! Patrz przez lat wiele na zbrodnie, poznaj przebiegi ludzi, dowiedz się o ich obłudzie i skrytościach, a wzgardzisz podobnemi sobie i uważać ich będziesz za nędzny proch, przeznaczony twoim stopom! Wtenczas krzyk boleści, jęk rozpaczy miłemi staną się dla ciebie. Wylanie krwi nienawistnéj przyjemniejszem ci będzie, niż odwilżenie ust spiekłych chłodnym napojem. Wyraz cierpienia na obliczu bliźniego napełni twą duszę rozkoszą, a klęski ludzkości twoim żywiołem, twojem życiem się staną. — Teraz już czas. Ulrychu, żegnam cię, zemsta wzywa mnie rozkazującym głosem; innego od niéj na ziemi nie uznaję pana, więc idę. — To mowiąc, wyszedł, zmierzając do komnaty Zbigniewa.

Któż zdoła opisać stan serca Zbigniewa w tym dniu wyrocznym, w którym odleciały go najmilsze nadzieje? Kto potrafi zimnemi słowy oznaczyć ścierające się w jego duszy namiętności? Raz w zupełnem odrętwieniu, nic nie postrzegał, zapominał o wszystkiem. Myśli jeszcze opuszczały ziemię, ale też nie sięgały nieba; zatrzymane w połowie między światem rzeczywistym, a krainą wyobraźni usypiały w bezczynności, to znowu, nabrawszy nadprzyrodzonéj siły, przedstawiały mu wszystko przybrane w żywsze i jaśniejsze od prawdziwych farby. Czuł on wtenczas nieznośny ogień, rozlewający się po żyłach, krew rozhukanym strumieniem biła do głowy, oczy ciskały płomieniste wejrzenia, a dla rozpalonych liców darmo szukał ochłody. Zdawało mu się, że otaczające przedmioty nowego życia nabrały, że ściany z płomieni go opasywały, że chmury, przed chwilą posępnéj białości, rozogniły się nagłą zmianą i że wicher niewstrzymany, rozrzucając budowle i mury, wziął górę nad zwykłym przyrodzenia porządkiem. Wszystko naokoło się chwiało przed błędnym wzrokiem, łoskot walących się głazów, łamiących się murów uszy mu przerażał. Porwany wirem niepowściągnionéj wyobrazni, darmo zakrywał oczy: straszne i niepojęte obrazy ścigały go zawsze i zdawało mu się, że świat cały zaczyna swoje rozprzęgnienie od dnia, w którym stracił to, co mu najmilszem na tym świecie było.

Lecz po chwili ustawała gorączka, gasła powoli namiętność, nim miotająca, i znów wszystko zimną przybierało postać, wszystko wracało do dawnego stanu, a wśród rzeczywistości nic odpowiadającego uczuciom duszy nie widział i nowa męczarnia na miejscu przyszłéj go dręczyła.

Noc pokryła ziemię. Żadnéj w tem nawet nie spostrzegł różnicy, nie zwrócił uwagi na ogarniające go ciemności, nie zapalił lampy. Błyskawice oświecały pokój, czasami piorun grzmiał w górze, ale jakież płomienie mogły rozżarzonym w jego piersiach wyrównać, jakiż piorun zastanowić, kiedy tak okropny cios spadł na jego głowę? To przechadzał się szybko, to kładł się na łoże. Odpiął pas żelazny, zrzucił pałasz, zdjął rękawice, bo mu wszystko ciężyło. Hanna i Mieczysław wciąż przed nim stali. Rzucał się czasami pierwszéj do nóg, drugiemu sztylet w piersi zatapiał, poglądał ponuro na żonę, to znów, zapomniawszy o jéj zdradzie, ściskał ręce, całował w usta — ale znikome postacie usuwały się myśli, goniącéj w niezmierzonem polu, którego już nie ograniczał rozsądek. Złudzenia coraz nowe następowały i, stawiając go na szczycie rozkoszy i szczęścia, chwilą potem w bezdenną strącały przepaść. A jednak dźwigała się jeszcze z niéj dzielna dusza, i ten umysł, choć przywalony ogromem rozpaczy, w samem pomięszaniu i szaleństwie jeszcze był wielkim.

Wtem zakręcił się klucz w drzwiach żelaznych, błysnęła pochodnia i zbrojny ukazał się Mestwin. Jak tylko Zbigniew otwarte wnijście zobaczył, bez zbroi, bez oręża wybiegł z pokoju i pędem błyskawicy poleciał do komnat żony.

— Hanno! Hanno! — zawołał.

Nikt nie odpowiedział, i daléj mówić nie mógł. Wtem spojrzał na łoże i nowa nadzieja zajaśniała w oczach. Zbliżył się, rozemknął zasłony, ale nie znalazł nikogo i okropna prawda stała przed nim, wszystkich niepewności pozbawiona.

— A więc Bóg mnie ukarał — krzyknął i wzniósł pierwszy raz w życiu wzrok pełen wyrzutów ku niebu — ukarał... bo tem tylko mógł ukarać!

Rycerz z Wilderthalu wszedł wtenczas i nie mógł wstrzymać zwykłego uśmiechu. Ściągnął książe rękę do miejsca, gdzie zwyczajnie tkwił sztylet, ale szczęściem dla Mestwina leżał on teraz zapomniany w pokoju Zbigniewa.

— Urągasz się! — zawołał cichym głosem i zbliżył się do Mestwina, a wzrok jego tak był strasznym, że nawet rycerz niemiecki przez chwilę uczuł przejmującą bojaźń, lecz zaraz potem ścisnął rękę Zbigniewa.

— Książe, chodź za mną i poznaj, o ile miłość kochanki różni się od wierności przyjaciela!

Nie opierał się syn Władysława, podbity zimną towarzysza powagą, a wkrótce potem, wiedziony przez Mestwina, przechodził pole, dzielące zamek od starożytnéj kaplicy.

Deszcz spadał zwolna z czarnych chmur, niebo zasępiających, błyskawice już nie migały i grzmot czasem tylko w oddaleniu się odzywał. Czyste powietrze, lekkim poruszone wietrzykiem, przypominało pierwsze chwile upłynionéj wiosny; i panowanie spiekłego lata musiało chłodnéj nocy ulegać. A jednak każda kropla, spadająca na głowę księcia, zdawała mu się gorejącą iskrą, murawa, po któréj stąpał, rozpalonym żarem, każdy powiew wiatru ognistą zawieją.

Prowadził go za rękę Mestwin i szybko zbliżali się do niedalekiéj kaplicy, w któréj zawieszona lampa bladawe rozsyła promienie na otaczające gruzy i krzewy, pod rosą się uginające. Wtenczas rycerz zwolnił kroku i prosił Zbigniewa, by, wróciwsz do przytomności, szedł ostrożniéj i jęki wstrzymywał.

Poszedł za prośbą książę, czując, że nadchodzi chwila, w któréj ostatecznie przyjdzie los własny i żony rozstrzygnąć; ale właśnie w takiéj chwili najsroższą męką stała się ostrożność, poradzona przez Mestwina. Ciężéj mu było teraz wstrzymać westchnienie, niż kiedyś jęki, przez najżywsze bóle wydzierane, któtka droga bardziéj go zmęczyła niż podróż, nieraz odbywana w żelaznéj zbroi, wśród odludnych piasków i skwaru letniego słońca.

Kaplica wznosiła się z pomiędzy krzaków i murów,

po części już rozpadłych. Szczyt jéj nie wysoko sięgał ponad ziemię, a podwoje i bluszcze, wijąc się po nim zastępowały odpadłe od sklepienia części. Właśnie ze strony zbliżającego się Zbigniewa było małe okienko, opatrzone żelazną kratą; w niem migały się mdłéj światłości promienie od gorejącéj wewnątrz lampy, zasłanianéj czasami ciałem, które w długim i łamanym cieniu odbijało się na zewnętrznych gruzach i nierównéj w tem miejscu ziemi. Ten cień niewyraźny znikał i wracał co chwila, a zdało się jednak Zbigniewowi, że poznał w nim zbroję i rysy Mieczysława. Zimny mróz serce jego przeszył, piekielna radość napełniła duszę Mestwina. Podsunął się bliżéj. Zbigniew stał schylony pod oknem, wahał się powstać, nie wiedział, co czynić, zbierał wszystkie siły, natężał wolę, a jednak nie mógł zmienić położenia. Nareszcie wsparł go Mestwin swoją ręką, a wtenczas nagle podniósł się książe. Chciwy wzrok zarzucił wewnątrz kaplicy, gdzie ujrzał niewiastę niezrównanéj piękności i klęczącego u jéj kolan mężczyznę. Tą niewiastą była Hanna, tym mężczyzną syn Bolesława Śmiałego. Książe ani słowa nie wyrzekł, ale wydarł sztylet z pasa Mestwina i rzucił go do góry.

Mestwin, widząc jego zamysł, rękę mu silnie zatrzymał i, odprowadziwszy na bok, cichym zapytał głosem:

— Czy wiesz, co to zemsta, książe?

Zbigniew obłąkanym spojrzał na towarzysza wzrokiem.

— Czy nie wolisz — rzekł rycerz — kroplami wysączać nad niemi puhar goryczy, niż go wylać odrazu? Czy nie wolisz długo patrzeć na drgające ich członki i nasycać się widokiem stopniowanéj śmierci, któréj bóle co chwila wzrastają, niż nagłym zgonem zdrajców obdarzyć i w krwi niegodnéj szlachetną zmazać prawicę?

Okropna bladość rozlała się po licach Zbigniewa.

— Już widziałeś — dodał Mestwin — zbrodnię. Teraz nad karą pomyślemy.

Po tych słowach omdlewającego pana zawiódł daleko od kaplicy i, wszedłszy między kilka drzew wyniosłych, dozwolił mu usiąść na kamieniu i stracone

zebrać zmysły. Wkrótce potem zerwał się nagle książe i, podnosząc rękę ku niebu:

— Przysięgam — zawołał — jéj śmierć i śmierć jego! Niewiasta zdradzająca męża, nie znajdzie litości i u Ciebie, o Boże!... Kara Twoja nigdyby jéj nie ominęła... Dozwól więc, Panie świata, bym ją sam przyśpieszył!... Mestwinie! — dodał — teraz już jestem spokojny... Wszak już nie mam żony... wszak sam na świecie zostałem... ale wskaż mi obiecaną zemstę, bo jeśli nie potrafisz tego, nic cię od śmierci nie ocali!

— Książe i panie mój, pomówiemy o tem w twojéj komnacie. Tymczasem wracajmy do zamku!

Poszli oba, a wkrótce czarne mury im się ukazały pośród ciemności. Wtenczas Mestwin prosił księcia, by mu naprzód pójść pozwolił.

— Chcę — rzekł — odmierzyć sprawiedliwość żołnierzowi, tak dobrze strzegącemu twoich murów, że dwie niewiasty mogą z nich o każdéj porze wychodzić.

— Jak chcesz — odparł zimno książe.

Mestwin przyśpieszył kroku i zawołał na Gierdę. Wyszedł dziki żołnierz i ostatnim ukłonem przywitał przyszłego mordercę. Skinął nań rycerz i na sam brzeg Wisły zaprowadził, wskazując potem przeciwną stronę.

— Czy widzisz — rzekł — ten ogień?

Obrócił się Gierda i darmo śledził oczyma płomień, o którym mówił Mestwin.

— Niema żadnego ognia.

— Patrz dobrze, a ujrzysz — odparł rycerz i, wzniósłszy sztylet morderczy do góry, z całemi siłami zanurzył go w plecy Gierdy — a ujrzysz ognie piekła! — dodał z szyderskim uśmiechem.

Runął olbrzymi Gierda na ziemię, lecz cała jego wściekłość ozwała się jeszcze w ostatniem skonaniu. Zrzucił szyszak i, tocząc się po piasku, doczołgał się do stóp rycerza i, wspierając się jedną ręką o brzeg spadzisty, drugą objął rycerza i ścisnął go uściskiem umierającego wroga. Uczuł rycerz zatrzymany w łonie oddech i słyszał pękające na piersiach żelazo. Nie tracąc więc czasu, drugi cios zadał, a wtenczas opadł Gierda i jeszcze dosyć miał siły do wyrwania sztyletu

z szerokiéj rany; trącił go zbrojną nogą rycerz z Wilderthalu, dopełniając powtórnego w tem samem miejscu zabójstwa. Przybywając, Zbigniew usłyszał już tylko jęk, pomięszany z szymem fali ciało unoszących.

— Gdyby nie twoje namowy, i Mieczysław jużby tak zginął — zawołał książe.

— I jedno tylko cierpienie doznał — odparł Mestwin — kiedy ich tysiąc doznać może.

— Śpieszmy się więc, śpieszmy! — krzyknął Zbigniew. — Każda chwila, zwlekająca jego zagubę, jest nową dla mnie śmiercią.

— Dam ci moje rady — rzekł rycerz — ale przysiąż, że pójdziesz za niemi i że niewieścia czułość nie splami dzielnego serca. Mieczysław i Hanna zginą! Przysiąż, że nie odmienisz rzuconego na nich wyroku!

Nie wahał się książę i piorunnym głosem zawołał:

— Niech moja dusza marnie z tem ciałem zginie i nie dozna obiecanéj nieśmiertelności, niech każdy dzień mojego życia dzisiejszemu podobnym się stanie, jeśli choć jednem słowem, choć tajemną chęcią odwołam śmierć Mieczysława i téj, która niegdyś moją nazywała się żoną!

— Dobrze — rzekł Mestwin — poznaję Zbigniewa.

I wszedł z księciem do zamku.

Dostawszy się do swojéj komnaty, usiadł książę na krześle i obtarł twarz, deszczem i potem okrytą. Dopóki go niepewność dręczyła, dopóty był najnieszczęśliwszym z ludzi, prawda, choć tak sroga, zupełnie odkryta, wróciła mu spokojność, lecz tylko pozorną. Chciał wmówić sam w siebie, że nie dba o tę, która go zdradziła, pogardza Hanną, ale właśnie pragnienie zemsty, pożerające jego duszę, dowodziło, że nieograniczona miłość zamieniła się na nieograniczoną zawiść, że wielkie serce, w najczulszych zwiedzione nadziejach szukało ulgi w drugiéj ostateczności. A jednak i w zemście saméj pozostały miłości ślady. Jeszcze na wspomnienie córki Wszebora rozdarte serce żywiéj biło. Z tem wszystkiem postanowił Zbigniew przygnieść namiętność siłą woli, wyrugować ostatki przywiązania ciągłem o zemście przemyśliwaniem, lecz trzeba było

całéj jego dzielności na ukrycie pod barwą surowéj powagi i zimnéj spokojności żaru, w piersiach tlejącego.

— Mów — rzekł do Mestwina — i pamiętaj, żebyś dogodził moim żądaniom! Wynajdź, czegoby szatan wynaleźć nie potrafił!

— Jeśli uskutecznię taki rozkaz — odparł żartobliwie Mestwin — to duch ciemności powinien zejść z swojego tronu i własnego mi miejsca ustąpić.

— Mów! — powtórzył Zbigniew.

— Chcesz, panie, okropnéj zemsty — rzekł rycerz — a więc posłuchaj, a jeśli nié zadrżysz, powiem, że nas wspólnie piekło wydało! Hanna kocha Mieczysława, niech więc zginą powolnem skonaniem obok siebie i niech jęki córki Wszebora połączą się z jękami syna Bolesława! Abraham z Hamburga dostarczy mi trucizny, zastawiemy w wielkiéj sali biesiadę, obładujemy stoły srebrem i złotem i puhary śmierci uwieńczym różami rozkoszy. Wyślij jutro Krystyna z Mortoga do Mieczysława, oświadcz, że chcesz pokój zawrzeć, przyjm go wraz z innemi panami w swoje podwoje! Wiem, że przybiegnie rozkochany młodzieniec, przyprowadzi z sobą Sieciecha, Skarbimira, Wszebora. Wszebora osobliwie, mój panie i książe. Czy czujesz, jak miło będzie córce umierać przy ojcu? czy rozumiesz ten nowy rodzaj zemsty? Zasiądą do stołu, Mieczysław i jego kochanka wypiją truciznę... dalszy opis twoje oczy zastąpią.

Zadrżał Zbigniew i zbladł na chwilę, lecz potem powstał i przycisnął do piersi zbrodniarza.

— Dobrze — zawołał — niech Mestwin pomści Zbigniewa, niech piekło odbierze piękność, godną nieba! Przyjmuję, przystaję, poślesz jutro Krystyna.

Zamilkł tu książę, ale później, miotając wzrokiem na wszystkie strony, całemi piersiami zawołał:

— Gromadźcie się, duchy zbrodni, uwieńczcie moje i mojego powiernika skronie! Wzywam was do walk. Odpowiedz, szatanie, odpowiedz, czybyś zdołał powziąść taki zamiar lub przystać na podany sobie? Nie, nigdybyś takiéj nie czuł, nie pomyślał zemsty, boś nigdy nie czuł takiéj, jak ja, miłości. Rumieńcie się od wstydu, duchy czarnych przepaści, śmiertelny człowiek wziął

górę nad waszą nieśmiertelną złością i namiętność, w łonie syna ziemi zrodzona, przezwyciężyła wszystkie wasze uniesienia i zapędy! Jeszcze raz dzięki ci, Mestwinie; pamiętaj wykonać, coś powiedział, niech cię żadne wyrzuty nie wstrzymują!...

— Wyrzuty, książe i panie mój? — odparł rycerz. — Nie rozumiem tego słowa i nigdy go nie zrozumiem.

— Aż kiedy prawica boska zacięży nad tobą — rzekł ponuro Zbigniew.

Mestwin uśmiechem odpowiedział i, pożegnawszy pana, odszedł do siebie.

Wróćmy teraz do nadobnéj Hanny i szlachetnego Mieczysława, który u jéj nóg zrzekał się najpiękniejszych w życiu nadziei.

Księżna, zostawiwszy Ulrycha, kończyła z Katarzyną swą drogę. Doszedłszy starożytnego budynku, z bijącem sercem weszła do sieni, podpartéj dwoma kamiennemi słupami, i następnie do saméj kaplicy, w której wiecznie paliła się lampa nad małym ołtarzem, okrytym wieńcami, przynoszonemi przez okolicznych mieszkańców. Nie zastała jeszcze nikogo, klękła więc przed krzyżem z dębu czarnego i ponowiła modlitwę. Ledwo wstała z kamiennych stopni ołtarza, aliści szybkie kroki słyszeć się dały. Wszedł po chwili człowiek pałający miłością i rzucił się do nóg dawno niewidzianéj kobiety, która przyjaźnią tylko i szacunkiem mogła odpowiadać na jego uczucia.

Była to krótka ale najpiękniejsza chwila w życiu Mieczysława. Schylony klęczał u stóp anioła, ciągle jego wyobraźni przytomnego, widział kochankę lat młodych wróconą sobie, w jego mniemaniu nadszedł czas oswobodzenia oblubienicy i wyrwania jéj z rąk nienawidzonego wroga.

— Hanno, droga Hanno, — zawołał — błogosławmy niebu, że nam widzieć się dozwoliło, że uwolniło cię od srogiego ciemiężcy! — I, to mówiąc, ściskał rękę księżny i drżące usta przybliżał do różanych liców.

— Książe Mieczysławie! — rzekła Hanna.

— Cóż znaczy — przerwał młodzieniec — tak zimne słowo? Czyż ja księciem jestem dla ciebie? Czyż

godności ludzkie jeszcze mogą znaleźć miejsce w twojéj pamięci? Czyż twoje serce, Hanno, zna mnie tylko księciem? Widzę, żeś się przyzwyczaiła tak nazywać mojego wrog, że dumny syn Władysława przymuszał cię do wymawiania czczego, nic nie znaczącego nazwiska. Ale też bądź pewną, że straszna kara nie ominie Zbigniewa, że ta ręka wprzódy w zimnym grobie skościeje, nim opuści miecz, wzniesiony na głowę tego, który tak długo drogą kochankę poniżał!

— Książe Mieczysławie — powtórzyła Hanna, a Mieczysław zbladł — nie miotaj gróźb na własnego brata i na męża stojącéj przed tobą niewiasty!

— Męża?! — krzyknął syn Bolesława — męża? Mów lepiéj wydziercę, zabójcę, zbrodniarza, uciemiężyciela!

— Książe — z powagą ozwała się Hanna — ręczę ci, że Zbigniew jest moim mężem i że moje serce nigdy dla innego miłości nie znało. Szacuję cię, Mieczysławie, uwielbiam twoją szlachetność i właśnie dlatego, żem na nią rachowała, przybyłam tutaj widzieć się z synem bohatera i zobaczyć, czy zdoła podbić własną namiętność, zakończyć niegodne z bratem i ziomkami walki i wrócić szczęście téj, którą kiedyś kochałeś.

— Kiedyś? — zawołał Mieczysław. — Zawsze, ciągle, wiecznie cię kochać będę, lecz tyś mnie nigdy nie kochała!

Skinęła Hanna na Katarzynę, a córka Gierdy wyszła do sieni, gdzie zastała rycerza zbrojnego, a chwila potem przyciskał ją do piersi Henryk z Kaniowa.

Zbliżyła się wtenczas Hanna do Mieczysława i, spoglądając nań wszystkich podbijającym wzrokiem:

— Proszę ciebie, Mieczysławie... ale prawda, nie mam prawa o nic prosić.

— Rozkaż, pani! — zawołał młodzieniec. — Ale może chciałaś mnie doświadczyć? Powiedz, może Zbigniew nie jest twoim mężem?

— Wierną przysięgłam mu miłość, a sługa boży pobłogosławił téj świętéj przysiędze.

— Żegnam cię więc, młodości — zawołał Mieczysław — żegnam cię, ziemio! Bo cóż mnie tu zatrzyma, co zwróci moje oczy na tym świecie, kiedyś znikła

z mojéj drogi? Jakaż myśl osłodzi tęsknoty i cierpienia? Przez całe życie zmierzałem do jednego celu, darłem się na skały, gdzie kwitła róża, przebyłem przepaści, przeskoczyłem otchłanie, a różę zerwał kto inny i nadzieja w przekwitłem sercu umarła.

— Nie — przerwała rozczulona Hanna — nie sprawdzą się twoje słowa. Przeminie chwila smutku, znajdziesz godniejszą miłości, piękniejszą odemnie kochankę, połączysz los swój z losem niemniéj kochającéj dziewicy.

— Pani — rzekł smutny młodzieniec — nie wskazuj mi szczęścia, każdy twój wyraz pomnaża moje męczarnie! O wielki Boże! czym mógł spodziewać się kiedy, że ta, którą-m tak kochał, przywita długo niewidzianego zimnem słowem, nie odpowie uczuciom, niczem we mnie niezatartym, że odrzuci kochanka i poważną radą zaleci spokojność sercu, którego życiem dotąd jéj wspomnienie było... Lecz mów, księżno, rozkaż, a wypełnię!

— Otrzyj więc szablę z krwi bratniéj, odstąp od zamku mojego męża, wypełń tę pierwszą i ostatnią prośbę moją! Czuję, że nie mam prawa niczego wymagać od ciebie, że, odrzuciwszy twoje uczucia, powinnabym lękać się twoich wyrzutów, ale Mieczysławie — tkliwym głosem dodała — bądź pewny, że wdzięczność, że słodsze nawet od obowiązków wdzięczności uczucie powstanie w mojéj duszy dla ciebie, że, widząc cię tak szlachetnym i cnotliwym, uznam, że gdyby nie było Zbigniewa na świecie, tobym Mieczysława kochała!

— Pierwszy raz słyszę z ust twoich to słowo połączone z mojem imieniem — rzekł książe — i dla téj chwili wszystkie poświęcam niechęci, na twój rozkaz przytłumię gniew i zemstę. Pani, już zamek twojego męża świętym się dla mnie staje, bo ty w nim dobrowolnie przebywasz. Wszystko mi już niemiłem oprócz nadziei, ostatniéj na tym świecie, że, kiedy wspomnisz o Mieczysławie, to stanie ci w pamięci poświęcenie, rzadkie między ludźmi, i że bez niechęci lub zawiści usłyszysz imie człowieka, którego na miejscu młodéj

oblubienicy zimny grób oczekuje. Bo nie spodziewam się, Hanno, by zwiędła dusza mogła długo ożywiać te piersi. Wkrótce usłyszysz żałobne pienia, a jeśli wtenczas łza zrosi twoje powieki, wierzaj mi, ulubiona, że ta łza stanie mi za długie życie żadną nie umilone nadzieją! Jutro ujrzysz z wież swojego zamku rozchodzące się wojska, upadające namioty. Życzę ci szczęścia, błogich chwil młodości, życzę ci szczęścia ze... Zbig...

Lecz tu ścisnęły mu się usta i język wymówić nie mógł imienia, którem brzydziło się serce. Ukłonił się księżnie i postąpił ku drzwiom, ale wzrok Hanny odwołał go jeszcze.

— Nie, księżno — odparł ponuro młodzieniec — nigdy nie łącz tych imion! Lepiéj nie wspominaj o Mieczysławie, jeśli nie możesz choć na chwilę zapomnieć o Zbigniewie! Nie żądaj, bym dłoń przyjazną mu podał, bym się zbliżył do niego! Na takie poświęcenie, Bogiem, nie człowiekiem, być potrzeba. Nie zagoją zadanéj mi przez niego rany ani czas, ani uciechy. Pozwól, bym szczerze wynurzył uczucia, które aż do ostatniéj chwili we mnie pozostaną! Żadna siła ni potęga nie mogłaby mnie wzbronić miłości ku tobie, a nienawiści ku synowi Władysława. Nie obawiaj się jednak szalonych wściekłości zamachów, nie patrz przerażonym wzrokiem na szablę, u boku wiszącą, — przysięgam, że nigdy nie wydobędę jéj na tego, którego miłość twoja ochrania! Rozdzielamy się teraz, nasze drogi, dotąd przynajmniéj w moich zjednoczone marzeniach, odwracają się od siebie. Zasiądziesz na książęcym tronie, pokryjesz boskie czoło purpurą i zadziwisz świat cały blaskiem niezrównanych wdzięków. Ja rzucam zbroję, zdzieram oznaki dostojeństwa, zrzekam się sławy, bo jéj dzielić nie możesz... Żegnam cię, księżno...— I znów chciał odejść, ale wyższa nad stałe przedsięwzięcie siła zatrzymała kroki i zgięła kolana przed stopami ubóstwianéj istoty... — Ostatni raz przemawiam dawną mową do ciebie... — i, uchwyciwszy kraj śnieżnéj szaty córki Wszebora, do ust go przycisnął. — Ulubiona Hanno, ostatni raz żegnam cię na tym świecie!

To mówiąc, wzniósł oczy do nieba, ale, jak gdyby okropnem rażony odkryciem, spuścił je zaraz na dół.

— Żegnam cię — dodał — na wieki, już i w niebie nie zbliżę się do ciebie, boś mnie nigdy nie kochała na ziemi!

— A mój ojciec, drogi mój ojciec! — zawołała Hanna, ale nie słyszał już tych słów Mieczysław, bo jak tylko skończył mówić, porwał się i wyleciał z kaplicy.

— O Boże, ześlij pociechę na tak szlachetne serce! — rzekła księżna cichym głosem, łzami nadobną twarz oblewając.

Weszła wtenczas z radością w oczach Katarzyna po długiéj z lubym rozmowie i przypomniała zadumanéj księżnie, że czas wracać do zamku.

Czekał już u bramy Ulrych. Córka Gierdy darmo starała się w pośród ciemności rozeznać poległego już ojca. Ze zwykłą usłużnością zaprowadził giermek księżnę do jéj komnat, a ostatni raz na ziemi sen nawiedził powieki Hanny z Ciechanowa.

ROZDZIAŁ XXIV.

Okiełznaj rumaka i biegnij w zawody
I żwawo Kraigdala zapraszaj na gody!
Ballada szkocka.

Jeszcze słońce nie wydobyło się z ciemnych chmur, wschodnią część nieba pokrywających, kiedy Ulrych wpadł do komnaty Mestwina i pana spiącego obudził.

— Rycerzu, odstępują nieprzyjaciele, cofają się tłumnie! Z murów sam widziałem, jak ich orszaki do miasta wracają, zwijają namioty, zasypują rowy, rozrzucają wały.

— Natychmiast zawołaj do mnie Krystyna z Motorga! — krzyknął Mestwin i wyskoczył z łoża.

Wyszedł Ulrych, a tymczasem zarzucił suknią na siebie rycerz i lekką wdział kolczugę. Niedługo czekał na Krystyna, bo wkrótce potem ukazał się rycerz z Motorga w zupełnéj zbroi. Mestwin prosił, by usiadł i, kazawszy się oddalić giermkowi, tak przemówił:

— Z woli najjaśniejszego Zbigniewa, księcia i pana naszego, udasz się, rycerzu, do księcia Mieczysława i zaprosisz go z wszystkiemi panami na biesiadę, którą wyprawia nasz książę dla uświęcenia pokoju.

— Pokoju? — zdumiony powtórzył Krystyn. — A, do dyabła, to coś nowego! Co, już nie będzie wojny? To muszę się wybierać z tego zamku. Czy nie słyszałeś o jakiem oblężeniu, o jakiéj kłótni w Polszcze? Bobym zaraz tam pośpieszył.

— Teraz śpiesz się wykonać księcia rozkazy!

— Nigdym jeszcze z pokojem i zgodą na ustach przed wrogiem się nie nie stawił. Nieznane mi to rzemiosło. Dla nauki każ mi dać puhar, rozumie się dobrego i starego węgrzyna!

Sam Mestwin nalał mu ogromną czarę. Po jéj kilkakrotnem wychyleniu wyszedł Krystyn i, przypasawszy pałasz, na Prusakach zdobyty, puścił się w drogę.

Niemało się zdziwił, kiedy go nikt u wejścia do obozu nie zatrzymał. Żołnierze, nie spozierając nawet na niego, zwijali namioty i zbierali sprzęty. Wały rozsypane, na pół zarzucone rowy i leżące wszędzie oręże i ubiory dziwny przedstawiały widok. Zdawało się, jak gdyby nieprzyjaciel szybkim napadem rozbił trwożliwe orszaki i rozrzucił zbywającą zdobycz. Przeszedł więc rycerz pomiędzy zatrudnionemi tłumami, nie odpowiadającemi na jego zapytania, ile razy chciał się dowiedzieć o namiocie księcia Mieczysława.

— Co nam do tego? — wrzeszczeli starzy żołnierze. — Niech cię piekło pochłonie! Długośmy się bili i niema żadnego plonu; bez żadnéj korzyści odstępujemy od murów krwią naszą zbryzganych, jak tchórze musimy uciekać, kiedy możeby za kilka dni Zbigniew się poddał.

Młodzi zaś, śmiejąc się, wojennemi piosnkami Krystynowi odpowiadali.

— Rycerz, nie wiedząc, gdzie się udaje, coraz się daléj posuwał, unikając męczącemi podskoki uderzenia walących się namiotów i wyrzucanych z nich zbroi przez krzyczących żołnierzy. Błądząc przez długi czas, doszedł nareszcie otwartego miejsca, gdzie już kilka tylko namiotów pozostawało. Siedział tam na koniu młodzieniec w bogatéj zbroi i ręką wskazywał otaczającym sługom przeznaczoną każdemu z nich pracę. Naokoła stali w ozdobnych pancerzach rycerze, z których jeden często rozmawiał z siedzącym na koniu, a drugi, już starzec, pochyliwszy głowę, zdawał się dumać głęboko. Zbliżył się do tego grona Krystyn z Mortoga i gniewnym głosem zawołał:

— Na wszystkich czartów, służących pod znakami

szatana, powiedzcie mnie, gdzie ten książe Mieczysław? Od godziny go szukam i znaleźć nie mogę.

— Czego żądasz od niego? — odpowiedział młodzieniec, zwracając oczy, smutkiem przyćmione, na rycerza, którego twarz zarumienioną pokrywały krople sączącego się potu.

— A co tobie do tego? — odparł Krystyn — powiedz mi tylko, gdzie namiot księcia! Wszystkich się pytam, a nikt mi dotąd nie odpowiedział.

— Któż cię przysyła? — zapytał powtórnie mąż, siedzący na koniu.

— Już mi cierpliwości nie staje! — krzyknął Krystyn, wyrywając miecz z pochwy. — Mów, gdzie Mieczysław, bo inaczéj stawię się przed nim z twoją krwią na moim pałaszu!

— Jeśli więc tak pragniesz wiedzieć, gdzie książę Mieczysław, powiem ci, że tu jest i że ja nim jestem.

— Przepraszam — wcale nie zmięszany zawołał Krystyn — przepraszam, mości książe, alem niecierpliwy zwyczajnie. Przysyła mnie książe i pan mój Zbigniew, zowię się, nawiasem, Krystyn z Mortoga i nie jednego z twoich żołnierzy zabiłem. A więc pan mój i książe zaprasza cię dzisiaj z wszystkiemi panami na biesiadę. Winem rozlew krwi zakończycie, a pokojem miłą mi nadewszystko wojnę. To niegodziwem jest, to niesłychanem, tak wcześnie pokój zawierać. Na Boga, gdyby zależało odemnie, całe-bym życie walczył i rąbał wrogów, w nocy-bym nawet się potykał, w dnie powszednie bitwy zwodziłbym, w święta po mszy już mały pojedynek-by mnie zaspokoił.

Zaprosiny Zbigniewa niezmiernie zadziwiły Mieczysława, ale pomyślał, że żona wszystko mu powiedzieć musiała. Z początku chciał je odrzucić, ale, kiedy wystawił sobie, że jeszcze raz ujrzy Hannę z Ciechanowa, że jeszcze nadarza się sposobność pożegnania się z kochanką i oglądania boskich jéj wdzięków, nim znikną dla niego na zawsze, odpowiedział Krystynowi, że nie omieszka za kilka godzin przybyć do zamku z swojemi panami.

Nierad temu Sieciech brwi zmarszczył, ale mieniąc, że wstydemby się okrył, opuszczając księcia, idącego do wroga, który czarną może knuł zdradę, przystał na ten układ. Wszebor, który zupełnie prawie przytomność umysłu stracił od chwili, w któréj się dowiedział o zamęściu córki, pomięszanem tylko na księcia i posłańca poglądał okiem.

Krystyn, dodawszy słów kilka o sztuce robienia mieczem, odszedł sążnistym krokiem i wkrótce potem zdał sprawę Mestwinowi z odbytéj wyprawy, przeklinając zarazem cały obóz i mówiąc, że żołnierze Mieczysława nie znają grzeczności, winnéj znakomitym rycerzom.

Potarł sobie ręce Mestwin z wyrazem zadowolenia i, odwróciwszy się, rzekł po cichu:

— Nie sądziłem jednak, żeby taki z niego był szaleniec. Myślałem, że długo przynajmniéj trzeba go będzie namawiać, ale jak najlepiéj się stało, sama zwierzyna leci na oślep w zastawione sidła. Żegnam cię, rycerzu, pójdź do mnie i pokrzep się węgrzynem, ja muszę gdzieindziéj się udać!

Posłuszny radzie, pośpieszył Krystyn z Mortoga do komnaty niemieckiego rycerza, gdzie zastawszy Ulrycha, zaczął z nim długą rozmowę o sztuce wojennéj, odwilżając usta wybornem winem.

W północnéj wieży, na wysokiem piętrze, był niewielki pokój, w którym siedział teraz starzec, otoczony mnóstwem ksiąg i narzędzi. Często, kiedy wszystkie światła w zamku pogasły, migał się tam jeszcze przez żelazne kraty kaganiec, oświecający mozolne mędrca prace. Schylony nad trudnem do wyczytania pismem, lub z piórem w ręku, dochodził on przyczyn, poruszających ludzkie ciało i skutków, nań od innych przedmiotów wywieranych; właśnie teraz w naukach starał się odkryć nową dla cierpiących ulgę i co chwila ciężkie książki dźwigał z ziemi i przewracał ich pargaminowe kartki. Przed nim na stole leżały ciężkie kości i trupia głowa. Daléj świeciły przy promieniach słońca, przez okno się przedzierających, noże i kleszcze rozmaitéj wielkości, ogromna szkatuła, na pół roztwarta,

rozliczne ukazywała narzędzia, a u stóp Abrahama z Hamburga rozciągniony był na podłodze trup zabitego w oblężeniu żołnierza, obłożony woniami i korzeńmi. Przy ścianach stały rzędem oparte ciała wojowników, obwinięte w zasłony, napojone ostremi płynami, oddalającemi od nich zepsucie śmierci i skutki czasu. Dwie szafy strzegły drzwi, na pół roztwartych, któremi właśnie teraz wychodził młody sługa i zarazem uczeń Abrahama, chcący po długich pracach na wolnem odetchnąć powietrzu; pomimo rozkazu nauczyciela zostawił flaszki rozłożone po wszystkich kątach i szybkim krokiem się oddalił.

Wkrótce potem ciężkie stąpania słyszeć się dały po schodach, wiodących do mieszkania lekarza, a on jednak nie odwrócił głowy i oczu nawet nie podniósł. Po kilku chwilach wszedł Mestwin z uśmiechem posępnym na ustach, ale obrócony tyłem mędrzec nie zważał na jego przybycie.

— Witam cię — rzekł rycerz.

Te słowa nie otrzymały żadnéj odpowiedzi.

— Przybywam z prośbą do ciebie.

Zamyślony starzec sądził, że uczeń, zapalony miłością nauk, wrócił do niego.

— Zapewne chcesz — odpowiedział więc — zrozumieć, jak krew rozlewa się po żyłach i po sercu, ale teraz nie mam czasu.

— Wcale tego nie żądam od ciebie, choć pod innym względem potrzebuję twojéj pomocy.

— Dozwól mi kilka chwil wolnych, a tymczasem wyléj na tego trupa płyn, zawarty w czarnéj flaszce! Jest to lekarstwo ze wszystkich najmocniejsze, mogłoby nawet martwe ciało ożywić, ale od czasu Eliasza Bóg dwunastu pokoleń nie dozwolił tak twórczéj siły słabemu człowiekowi. Przepowiadam ci jednak, że przyjdzie czas, w którym nowe płyny odkryją w przyrodzeniu. Nie wiem, jakiego one będą gatunku; może śmiertelni potrafią wykraść niebu cząstkę piorunów, a wtenczas umarli wstaną z grobów i śmierć zaginie.

— Do szatana, starcze, powiedz mi, jaka trucizna najmocniejsza!

— Poradź się, mój uczniu, dzieł Al Darema, tu leżących, lub raczéj Jana z Alkontares, oto je masz! — i wtenczas odwrócił się starzec podając księgę, ale poznawszy Mestwina, powstał i nizko się ukłonił.

— Trucizny mi daj, trucizny, Abrahamie!

— Jakiéj? Czy wolisz płyn ten jasny? On zabija natychmiast.

— To mi się na nic nie przyda.

— Może ten czarny przypadnie ci do smaku: zwierzę, które go wypije, dwa lata jeszcze pędzi życie wśród boleści...

— I takiego nie potrzebuję — przerwał rycerz. — Daj mi trucizny, niechybne sprawującéj skutki w pół godziny, ale niech zarazem głos zupełnie w piersiach przytłoczy!

Rozjaśniło się czoło starca, radość zabłysła w oku.

— Właśniem taką wczoraj odkrył! — krzyknął z uniesieniem. — Jest to najpiękniejszy wynalazek, nikomu dotąd nieznany. Zapewne ci już mój uczeń o nim mówił, on wszystko rozgaduje. Chcesz bez wątpienia dziwnych jéj skutków na zwierzęciu jakiem spróbować?

Porwał Mestwin flaszkę, pełną morderczego płynu.

— Tak — zawołał — na najpodlejszem zwierzęciu, bo na człowieku! — i wyszedł, a starzec, nie dosłyszawszy prędko wymówionych wyrazów, znów w zawiłe nauki się pogrążył.

Szybko przebiegł rycerz schody, schowawszy truciznę za giętką kolczugę. Uniesienie dzikiéj radości ukazywało się w gwałtownych poruszeniach, lecz kiedy kogo napotykał, zmieniał zaraz wyraz twarzy na surowy i posępny. Zmierzał przez długie ganki i ciemne korytarze do komnaty Zbigniewa, rozemknąwszy podwoje wszedł do niéj po cichu, zamykając spieszno drzwi za sobą.

Tajemna rozmowa nie długo trwała, a kiedy wychodzący ukazał się Mestwin, znać było na twarzy wyższy jeszcze zadowolenia stopień. Żarzącemi się oczyma miotał na wszystkie strony, jak gdyby chciał

odkryć jaką okropnym zamiarom przeszkodę i odkrytą znieść natychmiast, lecz, nim oddalił się z przedpokoju księcia, umiał sobie poważną nadać postawę i stanu duszy jeden ślad tylko w szyderskim uśmiechu pozostał.

Z tym więc nieodstępnym najczarniejszych uczuć godłem zwrócił kroki do mieszkania ofiary swojéj zemsty i za kilka chwil stanął przed Hanną z Ciechanowa, któréj blade lica i zsiniałe usta wydawały smutki tęsknoty, ale zarazem rozlany był na czole urok czarujący, a w oczach świetniał ogień, wyższy nad wyrzuty ludzi — i zdawało się, że jasność przyszłéj nieśmiertelności już zabłysła nad bliskiem rozprzęgnienia ciałem.

Nie czuła księżna zwyczajnéj niespokojności za ukazaniem się zbrodniarza, bo cnota wzniosła ją tak wysoko nad podłe nieśmiertelnych zamachy, że nią uszlachetnione serce już bojaźni nie znało.

Grzecznym ukłonem przywitał ją rycerz z Wilderthalu i, nim przemówił, długo wlepiał wzrok posępny w piękność, którą niezadługo zimna śmierć w swoje miała okuć więzy. Lecz, różny od innych ludzi, nie uczuł żadnéj zgryzoty sumienia, owszem, na widok nadludzkiéj urody tem większą pałał żądzą jéj zgładzenia, bo jemu przeznaczoną nie była. Z niewymowną więc radością tak zaczął:

— Pani, twój mąż, a mój pan i książe, kazał ci oznajmić, że dla dogodzenia twoim chęciom złożył oręż i pokój zawarł; dziś jeszcze sproszeni na biesiadę dawni jego nieprzyjaciele przybędą do zamku. Prosi cię, byś przyjęła z należną okazałością księcia Mieczysława i innych panów, między któremi i twój ojciec będzie. Sam zaś Zbigniew, nagłą wstrzymany słabością, spodziewa się, że go w téj okoliczności zastąpisz; może przy końcu biesiady, do któréj już wszystko sporządziłem, książe się ukaże dla przywitania miłych gości.

— Powiedz księciu — odparła Hanna, przewidując jakieś nieszczęście — że jego rozkazy świętemi są dla mnie!

Chciał Mestwin jeszczcze coś dodać, ale księżna drzwi mu wskazała i musiał odejść. Ostatni jego wzrok przepowiadał zagubę.

Zrozumiała go Hanna i mocniejsze nad względy ludzkie jéj serce zwróciło się ku niebu, ku pierwszéj ojczyźnie, którą niezadługo oglądać miała.

ROZDZIAŁ XXV.

. . . I skonania blizka
Padła niema, to nogi ściskając książęce
To załamane k'niemu wyciągając ręce.
Mickiewicz.

Nadzwyczajny ruch panował w zamku Zbigniewa. Wszędzie biegli to żołnierze, to sługi w bogatych ubiorach noszący sprzęty i kobierce, które rozciągali w ogromnéj sali, przeznaczonéj do biesiady. Stół, cały środek téj komnaty zajmujący, dźwigał złote i srebrne naczynia, w których spoczywały świeże owoce, pomięszane z wonnemi kwiatami, puhary, lśniące się drogiemi kamieńmi, odbijały blask stu pochodni, unoszących się nad tyloma pysznemi świecznikami. Palące się kadzidła lekkie rozsyłały dymy po całéj przestrzeni, a tymczasem tłoczyli się ludzie, obciążeni obiciami, które, rozwinąwszy, zawieszali na ścianach i kolumnach, ozdobnych bogatemi kolczugami i pancerzami. Wieńce z lilii i dębowych liści, sztucznie rozrzucone, plątały się ze zbrojami, zewsząd połyskującemi; słowem najświetniejsze ujrzano przygotowania na przyjęcie księcia Mieczysława i obfite skarbce Zbigniewa na ten koniec wypróżniono z zapełniających ich bogactw.

Już wieczorna gwiazda zabłysła na niebie, kiedy otworzyły się bramy z łoskotem na głos chrapliwego rogu. Mestwin, postąpiwszy o kilka kroków, powitał w imieniu Zbigniewa księcia Mieczysława, który przybył na koniu z Sieciechem, Wszeborem i Skarbimirem.

Za niemi ukazywał się mały orszak, złożony tylko z Jarosza z Kalinowy, Bardana i Henryka z Kaniowa. Nie chciał bowiem szlachetny syn Bolesława z liczniejszemi towarzyszami przybyć do wroga. Ufający zawsze w cnotę innych, nie posądzał Zbigniewa o czarne i zgubne zamiary, a potem pragnął dać dowód ukochanéj Hannie, o ile jéj zamek i jéj męża, choć niecierpianego, zawsze poważa, dlatego jedynie, że był jéj mężem.

Puszczono wszystkich na podworzec zamkowy, gdzie stojący żołnierzy z wszelkiemi uszanowania znakami przyjęli znakomitych gości, a wtenczas znów bramy zawarto i rycerz niemiecki oznajmił synowi Bolesława, że nagle zasłabł brat jego, ale że to żadnéj przeszkody nie stawia wesołéj biesiadzie, przygotowanéj dla uświetnienia upragnionéj zgody, gdyż sama księżna zastępować będzie chorego męża.

Na te słowa zadrżał Skarbimir, Sieciech mimowolnie miecza się dotknął, ale Mieczysław uczuł spadający ciężar z serca, gdyż przytomność Zbigniewa zatrułaby jemu całą smętną przyjemność, którą sobie obiecywał z widzenia raz ostatni i pożegnania na zawsze najdroższéj kochanki.

Wszebor ani się zasmucił, ani uradował, gdyż od rana w zupełnym stanie odrętwienia zostawał, jego umysł albowiem, niespodzianym ugodzony ciosem, całkiem dawną siłę utracił. Szedł on z towarzyszami z pochyloną głową, nie wiedząc dokąd się udaje, i kilka razy nawet mówił Sieciechowi, iż mu się zdaje, że przybył do swego ciechanowskiego zamku.

Zaprowadził Mestwin księcia Mieczysława do gotowéj sali i, prosząc, by poczekał przez chwilę, poszedł donieść Hannie o przybyciu gości.

Powoli, przybrana w lśniące od złota suknie, wyszła z swoich komnat księżna. Każdy krok, zbliżający ją do miejsca, w którem się ojca zastać spodziewała, pomięszanie jéj pomnażał, nareszcie stanęła na progu sali zbladła i z drżącemi pod sobą nogami. Lecz kiedy miłość ku ojcu przemogła nad trwogą, sprawioną przez pamięć zwyczajnéj jego surowości, nie zważając na licznych wodzów, szybko postąpiwszy naprzód, nie wi-

tając się z nikim, padła do nóg pana Ciechanowa i rękę ojcowską do bladych ust przycisnęła.

Nie poznał starzec córki i kilka kroków odstąpił; lecz, kiedy głos dziecięcia uderzył mu uszy, zdało się, jak gdyby całą siłą woli gromadził uszłe z osłabłéj duszy wspomnienia, jak gdyby dawnemi uczuciami chciał gwałtem rozdarte napełnić serce. Zbliżył się do klęczącéj księżnej i pocałunek złożył na anielskiem czole; nawet rękę wyciągnął i zaczął znak krzyża, lecz właśnie w téj saméj chwili opuściła go pamięć i stanął jak wryty, obracając na wszystkie strony wzrok, nie wyrażający już, jak dawniéj, wewnętrznych uczuć, bo już tych uczuć nie było.

Szczęściem nie domyśliła się księżna prawdziwego stanu ojca i powstała, a wtenczas z prawdziwie z królewską godnością przyjęła wojewodę krakowskiego i podskarbnika, choć łza stoczyła się z oczu, kiedy przyszło spojrzeć na Mieczysława.

Mestwin stał z boku, dając licznym sługom rozkazy, a jednak żadne słowo, żadne poruszenie nie uszło jego uwagi, a im bardziéj zbliżała się straszna godzina dla osób, poświęconych jego zemście, tem więcéj rozjaśniało się czoło zbrodniarza.

Wtenczas wszedł do sali Jordan z Krystynem z Mortoga, niewiadomi gotujących się nieszczęść; oba, ukłoniwszy się księżnie, uścisnęli Sieciecha, wielbiąc męstwo, które nieraz niebezpieczeństwem im zagrażało. Nie mniéj też uprzejmie przywitał się z nimi wojewoda krakowski i zaczął rozmowę o piękny zamku obronie. Mieczysław, przystąpiwszy do księżny, powtarzał smutne oświadczenia i obietnice. Wszebór stał za nim, a twarz jego nic nie wyrażała oprócz cielesnych boleści, przez wiek, znoje i tęsknoty prowadzonych.

Wtem Henryk z Kaniowa nachylił się do ucha Mieczysława i, kilka słów wymówiwszy po cichu, prosił jednego z ludzi dworu Zbigniewa, by wskazał mu Katarzyny komnatę, i natychmiast z nim się oddalił.

W głębi sali, zasłonionéj przez grube arkady, w łuk zagięte, i kolumny z marmuru, i w miejscu, do którego kilka tylko śmielszych światła dochodziło promieni, stał

wysoki mężczyzna w ogromnym, czarnym płaszczu. Często chował się za filarami, choć ta ostrożność niepotrzebną była, gdyż nikt nie myślał, opuściwszy środek sali, świetnéj przepychem i blaskiem pochodni, pogrążać się w jéj ciemne i żałobne zakątki. Bezpiecznie więc mógł mąż nieznajomy z obranego stanowiska poglądać na osoby, stół biesiadniczy otaczające. Kilka razy zwrócił oczy na Mieczysława, z Hanną rozmawiającego. Wyrazów nie podobna mu było usłyszeć dla szmeru i odległości, lecz rumieniec księcia, gwałtowne jego poruszenia oznaczały niezgasłą namiętność, coraz więcéj żywości nabierającą, a wtenczas mąż czarny podniósł rękę i sztylet wyrwał z pod płaszcza; ale nim do ostrza go z pochwy wyciągnął, znów schował i tylko strasznym pojrzał wzrokiem na księżnę, tak strasznym, że mógłby życia istotę w martwego trupa przemienić. Wnet jednak potem oczy odwrócił w inną stronę, jak gdyby popędliwéj chciał uniknąć pokusy, i, oparłszy się o kolumnę, choć jego lica bladły i rumieniły się naprzemian, stał w milczeniu. Jéj godziny już w jego myśli były liczone; właśnie teraz wnieśli słudzy ciężkie, srebrne półmiski i złożyli je na uginającym się pod naczyniami stole.

Wtenczas Mestwin w imieniu księcia Zbigniewa i małżonki jego zaprosił Mieczysława do biesiady, a następnie wojewodę krakowskiego i pana Ciechanowa. Do Skarbimira nie raczył i słowa przemówić. Najwyższe siedzenie pana zamku próżnem zostało, niższe nieco zajęła księżna, z drugiéj strony książęcego krzesła zasiadł Mieczysław, a przy saméj Hannie posadzono Wszebora; po nim następował Sieciech, daléj rycerze domu Zbigniewa, a na samym końcu Jarosz z Bardanem miejsca zajęli. Mestwin nie usiadł, ale zatrudniał się porządkiem całéj biesiady.

Na wszystko uważający tajemniczy mąż w czarnym stroju, posunąwszy się cichym krokiem daléj, stanął przy jednym z najbliższych stołu filarów.

Poważna rozmowa, wszczęta między Sieciechem a Jordanem, to ustawała, to znowu się zaczynała. Mieczysław, przedzielony od ukochanéj książęcem siedzeniem Zbi-

gniewa, kilka słów tylko czasem mógł do niéj mówić. Wszebor spijał w milczeniu puhar starego wina, nie domyślając się wcale, że siedzi przy córce. Często łzawe oczy nań księżna zwracała i napotykała zawsze zimny wzrok ojca, a uważając znamię pomięszania zmysłów za oznakę gniewu, trapiła się smutkiem, podwojonym nieprzytomnością męża, któryby jeden tylko zdołał ją pocieszyć.

Smutna więc i rzadko ożywiona rozmową ciągnęła się biesiada, choć przepych naczyń, dobór potraw i napojów, połączony z miłą kwiatów i kadzideł wonią, powinien był ją najświetniejszą uczynić. Ale, choć brzmiały rycerskie trąby i słodkie piszczałki, choć wszędzie lały się drogie wina i rozsypane paliły się bursztyny, wszystkie twarze, piętnem posępności nacechowane, sprzeczny z okazałością, ich otaczającą, przedstawiały widok.

Jeden tylko Krystyn z Mortoga, zachowując zwyczajną wesołość, użalał się na prędkie wojny zakończenie i rozprawiał to z Jordanem, to z Bardanem o różnych broni rodzajach i gatunkach najlepszych rumaków.

Kiedy już ostatnie wniesiono danie, złożone z najwykwintniejszych utworów ówczesnéj sztuki kucharskiéj, zbliżył się do księżny dotychczas oddalony Mestwin z lśniącym się od szafirów i dyamentów puharem, i, klęknąwszy przed nią, rzekł:

— Księżno, jest zwyczaj, że pan tego zamku, wypiwszy do połowy tę czarę, oddaje ją najznakomitszemu gościowi, który ją winien do reszty wychylić. Teraz, w nieobecności księcia Zbigniewa, ten obowiązek na ciebie spada.

Po tych słowach złożył w ręce Hanny błyszczący roztruchan i kiwnął na grających w drugiéj stronie, by przestali. Może chciał wszystkie uczucia, przez muzyczne tony rozpierzchnione, zebrać na tę jedną chwilę, w któréj miał zemstę nasycić, a choć ta chwila tak ważną, tak wyroczną dlań była, nie wydał ani głosem, ani twarzą żadnego wzruszenia; owszem, im bardziéj ona się zbliżała, tem więcéj zimnéj krwi nabierał i, nie dozwalając namiętnościom wrzeć w piersiach, z spokojną

rozwagą gotował się do patrzenia na tak długo oczekiwany widok, który przez wiele dni i nocy cały jego umysł zajmował i wszystkich chęci był celem.

Wzięła w śnieżne dłonie Hanna z Ciechanowa puhar i powstała z siedzenia.

Dzikim wzrokiem ścigał wszystkie ofiary poruszenia Mestwin, natężył wzrok i słuch, jak gdyby podwojonéj chciał doznać rozkoszy, a z milczenia, zalegającego całą salę, wzniósł się dźwięczny, choć nieco drżący głos córki Wszebora.

Ostatnie słowa na ziemi z całym wdziękiem piękności i słodyczy wymówiła. Twarz jéj rozjaśniona, oczy, w niebieskich promieniach błyszczące, zachwyciły wszystkich, a Mieczysław uczuł odnawiającą się w sercu namiętność i rozpacz.

— Książe — obracając się do niego, rzekła Hanna — niechaj dziś błogi pokój zwaśnionych połączy rodaków i niech zaginie pamięć okrutnéj niezgody! O mnie walczyłeś, kiedym już twoją być nie mogła. Przyjm za to wobec zgromadzonych tu panów, wobec ojca mojego, szczere dziękczynienia serca, które mnie cię szacować każe i wdzięczność ci winną oświadczyć! Na znak zgody przyjm odemnie ten puhar zwyczajem naszych naddziadów!

To mówiąc, podniosła do ust, które na chwilę wszystkie wdzięki róży odzyskały, puhar śmierci, a potem podała go księciu, a Mieczysław do dna go wychylił. Lecz, kiedy chciał oddać roztruchan, ujrzał kochankę zbladłą i rozciągnioną na krześle, a sam uczuł truciznę, w piersiach się rozlewającą jak ognisty potok, i, opuściwszy nieszczęsny puhar, upadł na własne siedzenie, nie mogąc nawet jęku najmniejszego wydać, choć najsroższe bóle rozrywały spiekłe wnętrzności.

Wtenczas Mestwin, nasycający wzrok tym obrazem, klasnął w ręce, a wnet mąż czarny, dotąd stojący za oddalonym filarem, wystąpił z poza niego na środek sali. Tu płaszcz zrzucił na ziemię i książę Zbigniew bez zbroi, z wiernym tylko mieczem u boku ukazał się przerażonym i zdumionym tego zdarzenia widzom.

— Giń! — zawołał groźnie, wyciągając prawicę ku

synowi Bolesława — Odkąd Boga i rycerstwa święte zgwałciłeś ustawy, uwodząc występku a teraz i kary spólniczkę, przestałeś być godnym mojego żelaza. Trucizna jego zastąpiła miejsce, giń więc przeklęty, i niech żaden z was, tu przytomnych, nie biegnie im na ratunek, bo, nimby dobiegł, jużby ten sztylet tkwił w jego piersiach!

Tych słów domawiając, zebrał całą odwagę, by spojrzeć na nieszczęśliwą księżnę, ale kiedy zoczył wszystkie jéj członki drżące, usta zsiniałe, ściśnięte zęby, włosy rozwiane, przeląkł się własnéj zbrodni i odwrócił wzrok pomięszany. Wtenczas ognisty rumieniec rozlał się po jego twarzy, włosy powstały na głowie, pierś wzdęła się wstrzymywanym namiętności wybuchem i okropny wyraz uniesienia zajaśniał posępną światłością w żarzących się oczach.

— Wszeborze — krzyknął — takeś córkę wychował? Dzięki ci składam, wpoiłeś w serce piękne uczucia! O, tak, zdradziła człowieka, który jéj wszystko poświęcił. Ojcze téj występnéj niewiasty, sam wydaj na siebie wyrok, czyś nie godzien straszliwéj kary!

Ale pan Ciechanowa nie słyszał lub przynajmniéj nie rozumiał tych wyrazów, bo w ciągłem odrętwieniu spokojnie poglądał na umierającą przy nim i nieznaną już córkę.

Na domiar nieszczęścia o uszy konającéj Hanny obiły się słowa Zbigniewa. Nieszczęśliwa widziała jeszcze osłabionym wzrokiem męża zapamiętałość i u brzegu wiecznego rozstania nie mogła odpowiedzieć na zarzuty, bardziéj serce rozdzierające, niż sama trucizna. Czasami tylko, kiedy ból się zmniejszał, by zaraz potem srożéj udręczać, zwracała oczy na męża, ale nigdy nie mogła spotkać wejrzenia Zbigniewa. Jedyna ta pociecha, wydarta ostatnim iéj chwilom, nierównie okropniejszemi je czyniła. Nareszcie zebrawszy ostatek mocy, wzywała w myśli Boga, nie dla siebie, ale dla Zbigniewa, dla ojca. Mieczysław rzucał się obok niéj i, pianą okryty, to czołgał się na podłodze, to bezsilną ręką starał się miecza dobyć, by się zemścić tak srogiego i zdradzieckiego zgonu.

Przystąpił do niego z założonemi na piersiach rękoma syn Władysława i z wściekłem uniesieniem wpatrywał się w rysy wroga, zeszpecone boleścią. Za nim stojący rycerz z Wilderthalu zatapiał przenikający wzrok w twarz księżny, na któréj cała moc trucizny nie zdołała jeszcze zatrzeć ostatku piękności. Każde poruszenie nieszczęśliwéj, każdy znak cierpienia, każdy postęp śmierci, zwycięsko walczącéj z życiem, stawał się nową uciechą dla okrutnego Mestwina, a jeśli kiedy zachmurzyło się jego czoło, to z bojaźni, by zaprędko nie ustały boleści, szarpiące poświęconą na zagubę ofiarę.

Nareszcie wrodzone uczucie ludzkości przemogło w Zbigniewie nad żądzą zemsty i pomimowolnie cofnął się o kilka kroków od Mieczysława, który, nie mogąc mówić, jeszcze śmiałym wzrokiem wytrzymywał posępne nieprzyjaciela wejrzenia. Ramiona syna Władysława opadły i dreszcz lodowaty wstrząsł silnem ciałem, ale w téj saméj chwili uczuł usta z tyłu będącéj osoby przyciśnięte do własnéj ręki. Przejęty trwogą i rozpaczą, już zaczynającą nim miotać, odwrócił się książe i ujrzał żonę, ostatnie tchnienie wyziewającą na jego drżącéj dłoni. Jeszcze chwilowy uśmiech słodyczy okrasił twarz smętną, napiętnowaną zgonem, modlitwa krótka, jak myśl przemijająca, ale czuła, jak pierwsze westchnienie miłości, wzniosła się ku niebu, poprzedzając czystą duszę, która już opuściła martwe ciało Hanny z Ciechanowa, choć jéj śnieżna ręka jeszcze przedłużonem ściśnięciem żegnała się z dłonią, tyle razy dla nićj w srogie uzbrojoną żelazo.

Ten widok zwątlił całą siłę Zbigniewa i już schyliwszy się ku ziemi, miał upaść bez zmysłów, kiedy przedłużony, okropny uśmiech wyrwał go z słabości. Podniósł oczy, ujrzał twarz Mestwina, a cała wściekłość zdradzonéj miłości na nowo podżegnęła osłabłe piersi. Skoczył do Mieczysława, którego prawica trzymała na pół wydarte z pochwy żelazo. Podniósł sztylet i trzymał go w górze nad głową śmiertelnego wroga i oczy zatopił w bladawem jego licu, ale wtem rozciągnął się na ziemi syn Bolesława, rzucił raz jeszcze dumnym

naokoło wzrokiem, a potem skłonił młodzieńcze skronie i przynajmniéj zgonem z kochanką połączony skonał.

Wszyscy w osłupieniu i trwodze patrzyli na tak niespodziane i okropne zdarzenie. Nikt podczas mąk obojga nieszczęśliwych nie pomyślał o ich pomszczeniu; jak gdyby do swoich miejsc przykuci, spoglądali z przerażeniem na młodość, opuszczającą ziemię, na piękność, przyćmioną boleściami, na wściekłość księcia i zimną rozwagę Mestwina. Lecz kiedy wszystko się zakończyło, jak gdyby piorunem uderzeni porwali się z dotychczasowego odrętwienia. Pierwszy Sieciech, dawszy znak Jordanowi, dobył ogromnego miecza i, zmierzając wprost ku księciu, zawołał:

— Zbigniewie, zerwałeś wszystkie związki, łączące poddanego do syna monarchy, umieraj więc z mojéj ręki!

Jordan i Krystyn z Mortoga zasłonili pana, uśmiech pogardy mignął na ustach Zbigniewa, i za świśnięciem Mestwina orszak zbrojnych żołnierzy wdarł się do sali z głośnemi okrzykami.

Wnet mnóstwo dzikich wojowników otoczyło Sieciecha, Wszebora, Skarbimira, Jarosza i Bardana.

— Uchodź, Sieciechu — zawołał Zbigniew — z mojego zamku, zostaw te trupy! Dusze, ożywiające ich za życia, zbrodnią i zdradą oddychały. Oddałem zbrodnię za zbrodnię i zdradę za zdradę. Oddalcie się wszyscy! Precz stąd, dopóki bramy otwarte, ich zawarcie oddzieli was na zawsze od świata!

— Uchodźmy! — drżącym głosem rzekł pan Gulczewa. — Puśćcie mnie, puśćcie mnie, dobrzy panowie!

— Czy się jeszcze wahasz? — zapytał Zbigniew, a sklepienie z migającéj stali wzniosło się nagle ponad głową odważnego wojewody.

— A więc odejdę — odrzekł zwolna Sieciech — odejdę, mości książe, lecz mam nadzieję, że przyjdzie czas, w którym, nie strzeżony tłumem siepaczów, sam stawisz się moim, już raz doznanym, ciosom.

Ten wyraz obudził w sercu Zbigniewa chęć nowéj zemsty.

— Dobrze! Rozstąpcie się, żołnierze!

Lecz Mestwin wystąpił i zawołał:

— Panie mój i książe, jeśli go zabijesz, powiedzą, żeś go zamordować kazał.

Natychmiast uczuł Zbigniew słuszność téj uwagi i powtórzył rozkazującym głosem:

— Precz stąd wszyscy!

Zmuszony koniecznością, wojewoda porwał w swoje objęcia siedzącego dotąd przy zmarłéj córce Wszebora i wraz z towarzyszami zamek opuścił.

ROZDZIAŁ XXVI.

...Jéj rozum znękany
Opuścił ster myślenia, wzrok jéj dziko lata,
Blask, co świeci w jéj oku, nie jest z tego świata.
Byron.

Pamięta zapewne czytelnik, że Henryk z Kaniowa przed biesiadą jeszcze wyszedł z sali w towarzystwie jednego z sług dworskich, który się ofiarował go zaprowadzić do komnaty. W milczeniu postępował za nim dumający młodzieniec, nie zważając na miejsca, po których go wiedziono. Nareszcie poznał, że jest w lewem skrzydle zamku, najbliżéj Wisły leżącem, i wnet potem wskazał mu przewodnik drzwi z dębu czarnego. Rzucił się Henryk, miłością wiedziony, i rozemknął podwoje, ale okropny obraz nagle jego oczy uderzył i śmiertelny mróz ścisnął mu serce, wrzące przed chwilą ogniem najsilniejszéj namiętności.

W pokoju, czarnemi obiciami zasępionym, leżała niewiasta, srogiemi dręczona bólami. Rumieniec gorączki podwajał zdaleka urok wdzięków, w oczach płonął nadzwyczajny ogień, po którego natężeniu łatwo można było się domyśleć, że już nie długo miał ożywiać tak świeże dawniéj i zawsze rozweselone lica; paciorki różańca, rozsypane na ziemi, i krzyż z kości słoniowéj, pęknięty na dwoje, dowodziły nieszczęśliwego stanu osoby, przypatrującéj się jemu dzikim wzrokiem z łoża śmierci. Stanął o kilka kroków od niéj Henryk i nie mógł wstrzymać żałośnego westchnienia.

Obudzona tym głosem lat jego młodych kochanka, odpowiedziała jękami i, wskazując na sztylet i szyszak, niedaleko na podłodze leżący:

— Zabili, zabili go — zawołała — on go zabił, a jednak tak był wierny zawsze, tak mnie on kochał!

Nie mógł już dłużéj wytrzymać rycerz i, rzuciwszy się, przycisnął do piersi drogą Katarzynę; z przerażeniem wtenczas uczuł krew, gwałtownie we wszystkich jéj żyłach bijącą, i widział płomienie choroby, coraz bardziéj ogarniające twarz, do róży dawniéj podobną. Najczulszemi wyrazami zaklinał oblubienicę, ażeby się nie oddawała rozpaczy, choć nie znał jéj przyczyny, prosił o wytłómaczenie tak nagłéj słabości.

— Wczoraj — rzekł — tak piękną, żywą, tak wesołą byłaś!

— Bo wczoraj jeszcze ojca miałam — odparła Katarzyna.

— Któż go zabił, kto? — krzyknął Henryk wzniesionym głosem. — Mów, a znajdziesz mściciela!

Wskazała dziewica na leżący szyszak i, nie mogąc daléj mówić, schyliła twarz rozognioną na miękkie wezgłowia.

Podniósł Henryk szyszak i sztylet. Ten ostatni niemieckiego był kształtu i po pilnem przejrzeniu spostrzegł na nim wyrytego węża.

— To oręż Mestwina! — zawołał.

— A to szyszak mojego ojca — odparła Katarzyna i posępnie spojrzała wokoło. — Mojego ojca! Tak, ten, który mi dał życie, który własne tyle razy dla Zbigniewa narażał, taką nagrodę odebrał z rąk Mestwina! Przyniósł mi dzisiaj żołnierz ten hełm, znaleziony na brzegu Wisły obok sztyletu.

— Zapewnie go opuścił Niemiec, zadawszy cios śmiertelny, a ciało pchnął w rzekę — przerwał Henryk, wpatrując się w szyszak, okryty czarnéj krwi plamami.

Katarzyna znów wpadła w obłąkanie i z niewinnéj, wesołéj dziewczyny słaby tylko ślad pozostał na ustach, które wśród płomienistych rysów twarzy, rozognionego wzroku, przeszłych, błogich chwil piętno zachowały.

— Droga, ulubiona kochanko — zawołał Henryk, zbliżywszy się do łoża — nie rozpaczaj, oddal od siebie okropne obrazy! Postradałaś ojca, ale ja ci zostaję, ja, który wszystko uczynię dla Katarzyny, który pomszczę niewinność i zbrodniarza spętanego do twoich stóp przywlokę. O jedyna życia mego nadziejo, nie opuszczaj mnie, poznajże głos Henryka, głos tyle razy słyszany, który dawniéj wśród lasów, niesiony po rosie, dolatywał zdala do twoich uszu! Dawniéj widziałaś za granicami, naznaczonemi oku ludzkiemu, białe pióra mojéj czapki, połysk mojéj szabli, a teraz blizko ciebie niepoznany stoję! Ja jestem, Katarzyno, ja, twój Henryk, obudź się, patrzaj na mnie!

Patrzała nań kochanka, ale jéj oczy nie miłością świetniały; ponury ogień w nich błyszczał, a ręce, wyciągnięte ku leżącemu sztyletowi, dowodziły przedmiotu nieustannych myśli.

— Katarzyno — zawołał już w rozpaczy młodzieniec — wierz moim słowom! Jeszcze szczęście wszystkie róże swojego wieńca złoży na twoich skroniach. Błogie dnie młodości nie upłyną nam wśród trosk i udręczeń, rozwidni się przyszłość luba. Wystawisz grób ojcu, wiosna go przyozdobi swojemi kwiatami. Co dzień, ale wsparta na mojem ramieniu, odwiedzać go będziesz; odzyskasz, coś straciła, w tem, co ci zostało. Ziemia jeszcze przedstawi ci miłe obrazy, jéj ułudy nie zginęły dla twojego serca; uspokój się, zdaj się na opiekę Boga i obronę mojéj szabli, a pomszczę ciebie i szczęście ci wrócę!

— Szczęście — przerwała córka Gierdy — jest to marzenie! Szczęście! Nierozsądny, szalony był, kto pierwszy to słowo wymówił na ziemi. Szczęście na tym padole zgryzot? O nie, to kłamstwo, to słodka trucizna, któréj szumne nadano imie. Precz stąd! Ty mnie kusisz, ty chcesz mnie wciągnąć w przepaść, ty kłamiesz, ty jesteś szatanem... — i, podnosząc się nagle, odpychała go rękoma — ty kłamiesz, bo masz śmiertelną ludzką postać, a wymówiłeś słowa bez znaczenia na ziemi, ty jesteś człowiekiem, a mówisz o szczęściu! — Potem

osłabiona, z przerażeniem na twarzy, opadła, przyciskając spiekłe czoło do żelaznych łoża prętów.

— Pomnij na Boga i świętą Jego sprawiedliwość! — zawołał rycerz. — Zlituj się nademną, zlituj się, ulubiona! Czyż chcesz mojéj śmierci?

— O, nie, Henryku! — odrzekła dziewczyna głosem, nie oznaczającym już pomięszania, na chwilę bowiem ustąpiła gorączka i bladość zajęła miejsce rumieńca, kryjącego dotąd jéj lica. Lecz po tych słowach daremno siliła się coś daléj mówić; ruszała ustami, ale żaden głos z nich nie wychodził i nadaremno Henryk z Kaniowa, objąwszy ją w ramiona, przyciskał kochankę, jak gdyby chciał część własnego życia z swych piersi w jéj łono przelać.

Wtem szybkie kroki dały się słyszeć na poblizkim korytarzu, w oddaleniu wzniosły się tłumne głosy, ozwał się szczęk orężów i wnet drzwi z hukiem się otworzyły i wpadł młodzieniec. Henryk sięgnął do oręża, ale nowoprzybyły, choć był pomięszany i dzikim wzrokiem patrzył naokoło, nie zdawał się mieć nieprzyjacielskich zamiarów, owszem, przybiegł do rycerza i, ścisnąwszy za rękę, zawołał:

— Przynajmniéj jednego ocalę! — i spojrzał na Katarzynę, która, usiłując powstać, z trudnością imie Ulrycha wymówiła.

— Chodź — rzekł giermek — twój pan otoczony, wojewoda w niebezpieczeństwie!

Dobył pałasza Henryk:

— Gdzie? Prowadź!

Ale zatrzymał wylatującego z komnaty Ulrych.

— Wierz moim słowom, sam nic nie zdziałasz, biegnij lepiéj do obozu!

— Już niema obozu, wojsko do miasta się przeniosło.

— A więc do miasta biegnij, jeśli ci miłe życie twojego pana!

— Wskaż wyjście! — po chwili namysłu odpowiedział rycerz.

Ulrych klucz mu oddał i oznaczył miejsce, przez które przeszedłszy, mógł się dostać na otwarte pole.

Rzucił Henryk wzrokiem miłości na kochankę, któréj już widzieć nie miał, i wyleciał z pokoju. Namiętność ustąpiła miłości w prawem sercu rycerza.

Ulrych sam został przy łożu Katarzyny. Przez niejaki czas niewzruszony na nią poglądał, ale nagle łzy przedarły się przez powieki i czułość niedopsutéj jeszcze duszy ozwała się dla pocieszenia ostatnich chwil nieszczęśliwéj ofiary.

Walczył jeszcze z sobą giermek, ale zdało mu się zbrodnią ukrywać prawdę i nie wyznać zdrady przed tą, któréj zgonu po części był sprawcą. Rzucił się więc do stóp łoża i w obłąkaniu wyrzekł:

— Już się wszystko zakończyło, księżna nie żyje, Mieczysław wypił z nią truciznę, a ja was zdradziłem! Chciałem ci przynajmniéj jednę wyświadczyć przysługę, ratując kochanka. Zasługuję na twoje przekleństwa, ale nie przeklniesz człowieka, który ocalił to, coś najdroższego na tym świecie miała.

Rażona okropnem wyznaniem, córka Gierdy uczuła w duszy tysiączne cierpienia. Śmierć ojca i śmierć ukochanéj pani spadła na jéj serce, jak piorun niebios, który dzieła pracy ludzkiéj w proch zamienia, a jednak w wzroku, przez nią rzuconym na klęczącego giermka, znać było więcéj przerażenia niż gniewu. Ostatnie słowa Ulrycha odwróciły myśl stroskanéj córki i przyjaciółki do miłéj nadziei, że luby przynajmniéj ocaleje, że zostanie ktoś po jéj zgonie na ziemi dla błagania za nią Stwórcy i że choć jedno serce zadrży na jéj wspomnienie. Łzy giermka przekonały ją o szczerości jego zgryzot i sama płakać zaczęła. Jakaś smętność, łagodniejsza od dotychczasowego żalu, rozlała się w jéj duszy. Żegnała się spokojniéj z otaczającym światem, z większą ufnością podnosiła oczy ku niebu, którego cząstkę tylko widzieć mogła przez wzniesione okno. Kilka gwiazd, świecących na czystym błękicie, obudziło jéj przeczucia i nadzieje. Zdało się umierającéj dziewicy, że promień blizki nieśmiertelności przedarł się przez kraty, że dusza, wkrótce odlecieć mająca, przywdzieje złotą jego barwę i w okazałości anioła wzbije się do Stwórcy. Pośród tych myśli uczuła powolne omdlenie, ujmujące mięk-

kiemi więzami wszystkie członki. Im bardziéj wznosił się jéj umysł, tem mniéj doznawała cielesnych boleści; a kiedy nareszcie zdało się jéj, że już zaczyna nadpowietrzną drogę i słyszy harmonijne arf anielskich dźwięki, jéj ziemska powłoka zupełnie czuć przestała i wszystkie uczucia zgromadziły się w daleko szlachetniejszéj części życia, w odlatującéj duszy — i już Katarzyna skonała.

Opuścił Ulrych zdrętwiałe ciało i wyszedł, zakrywając twarz obuma rękami.

Tymczasem Sieciech śpiesznie przechodził wraz z towarzyszami pole, dzielące zamek od miasta. Bardan z Jaroszem podpierali drżącego Wszebora, który, uśmiechając się czasem, wspominał o bojach, w młodości odbytych. Już byli blizko miejskich okopów, kiedy tetent koni, w najszybszym wypuszczonych pędzie, dał się słyszeć i wnet potem ukazał się na rumaku rycerz w zupełnéj zbroi, wiodący za sobą orszak pancernéj konnicy. Wojewoda z zadziwieniem poznał swoich ludzi.

— Gdzie tak pędzicie? — zawołał, kiedy go już mijali.

Poznał ten głos naczelnik hufca i przybiegł do wojewody.

— Czy już niema nadziei? Gdzie książe?

— Ciszéj — przerwał Sieciech — ciszéj, już po wszystkiem! Zdrada zakończyła życie bohatera.

Na te słowa ciężki jęk wydał rycerz i podniósł przyłbicę, a wszyscy poznali Henryka z Kaniowa.

— Przysięgam zemstę! — zawołał i ubódł konia ostrogą, ale Sieciech go zatrzymał.

— Zawarte bramy, setne hufce ich strzegą, zginiesz i zginiesz bez zemsty.

Ta uwaga uderzyła młodziana i zwrócił konia.

— Do króla lecę — zawołał — sprawiedliwość mi odda!

— Zaczekaj, jeśli Bóg ci miły! — krzyknął Sieciech. — Nic nie zrobisz, przerazisz słabego Władysława, zemdleje i na tem się skończy. Poczekaj do jutra, poproszę biskupa, by go o tem uwiadomił!

— Biskup właśnie dzisiaj wyjechał — ozwał się Skarbimir — i dopiero za dwa dni wraca.

— Więc król za dwa dni się dowie — rzekł Sieciech.

— Na Boga, mości wojewodo krakowski — krzyknął Henryk — tak mówisz o tem okropnem zdarzeniu, jak o najprostszéj rzeczy! Puszczaj mnie, wojewodo, puszczaj!

— Nic z tego nie będzie — stanowczym głosem odparł Sieciech — i jeśli rozważysz moje słowa, przystaniesz na mój zamiar, inaczéj każę cię przytrzymać.

Złożył ręce na piersi Henryk i dumał, nareszcie rzekł spokojniéj:

— Niech się wola boska dzieje, ale przysięgam zemstę!

I wszyscy obrócili ku miastu.

ROZDZIAŁ XXVII.

Przekleństwo ojca wszystkie na ziemi niweczy nadzieje.

La Bruyére.

Drugi już dzień był upłynął od zawarcia pokoju i rozpuszczenia wojska oblegającego, a jeszcze nic pewnego nie wiedziano w Płocku o losie księcia Mieczysława. Rozległy się wprawdzie pogłoski, ale ciemne, tak powikłane, że z nich niczego dojść nie można było.

Niektórzy utrzymywali, że syn Bolesława został na godach u brata jego, ale dlaczegóż, pytali się drudzy, wyłączył Zbigniew od nich Sieciecha? Dlaczegóż przybiegł dawny giermek księcia wśród nocy do miasta i, obudziwszy śpiących żołnierzy, poleciał na ich czele, a kilka chwil później wrócił? To wszystko szerokie otwierało pole domysłom, to bliższym, to dalszym od prawdy. Ta niepewność była skutkiem ostrożności Sieciecha, który, oczekując biskupa Stefana, zabronił towarzyszom odkrywać zdarzenia tak okropnego i tyle nieszczęśliwych skutków pociągnąć mogącego. Smutek jednak, rozlany po twarzy Henryka z Kaniowa, wymowniéj od słów oznaczał stan jego serca; stąd niektórzy dziwne i rozmaite wyciągali wnioski, a wszyscy gotowali się do odebrania wieści o wielkiém nieszczęściu.

Już noc nadeszła i deszcz jesienny zaczął spadać na ziemię, wiatr silny pogasił kagańce, palące się przed bramą królewskiego zamku, i w zupełnéj pogrążył go ciemności. Rzadko kto tamtędy przechodził i ulice bez-

ludne smutnem ciągnęły się pasmem czarnych domów, oblanych rzęsistemi potokami. Wewnątrz zamku nie widziano już światła oprócz w jednéj z komnat, w prawém skrzydle leżących. Tam bowiem nietylko lampa świeciła, ale oprócz niéj jeszcze zapalony w szerokim kominie ogień buchał jasnym płomieniem. Przy ognisku siedział w krześle wojewoda krakowski z puharem w ręku, za nim stał Wolimir z Moskorzewa, którego wesołość i zwyczajne żarty nie mogły pobudzić już do śmiechu dumającego Sieciecha, trochę daléj Skarbimir z Gulczewa małemi, błyszczącemi oczyma wpatrywał się niewzruszony w twarze towarzyszów, jak gdyby chciał koniecznie domyśleć się ich uczuć.

— Dobrze się stało — rzekł Wolimir — żeśmy wyprawili starego Wszebora do Ciechanowa, bo cóżby tu robił?

Tu przerwał mu odgłos zbrojnéj stopy, zbliżającéj się powolnemi krokami do drzwi komnaty.

— Cóż to za sokół, tak późno przylatujący? — zawołał pan Moskorzewa.

Ledwo tych słów domówił, aliści otworzyły się podwoje i ukazał się mąż wysokiego wzrostu w zupełnéj zbroi i z spuszczoną przyłbicą. Wszystkie jego poruszenia, chód, postawa, nadzwyczajną powagę i godność wydawały. Podniósł śmiało głowę, jak gdyby pogardzał otaczającymi, i, nie powitawszy żadnego z nich, dobrze znajomy drogi, zbliżył się do drugich drzwi i zniknął w długim korytarzu, wiodącym do komnaty króla Władysława.

Rzucili się za nim Wolimir i Sieciech, ale skinął tylko ręką rycerz, a kiedy posuwali się daléj, stanął i założył ręce na piersi.

— Ja się zowiesz? Kto jesteś? — krzyknął Sieciech. — Tu króla mieszkanie.

— A więc dobrze — odparł nieznajomy — bo właśnie chcę się z królem widzieć.

Po tych słowach podwoił kroków rycerz, otworzył drzwi komnaty Władysława i przymknął je za sobą.

Wolimir już miecza dobywał, sądząc, że to może jaki morderca, ale Sieciech go wstrzymał,

— Wracajmy, głos jego poznałem!

Król polski siedział w szerokiem krześle, a jeden z jego dworzan w bogatym ubiorze odmawiał mu litanie, stojąc o kilka kroków, kiedy wszedł mąż zbrojny. Ten widok przeraził monarchę, ale rycerz odkrył przyłbicę, a Władysław rozciągnął ramiona i ścisnął niemi ukochanego syna.

— Dobrześ zrobił, Zbigniewie, żeś sobie ojca przypomniał. Dobrześ zrobił, żeś zawarł pokój, żeś zaprosił Mieczysława do siebie. Piekne tam musiałeś wyprawiać gody, zaiste szkoda, że mi wiek nie dozwolił dzielić waszéj radości. Dobrześ zrobił, synu, o, dzięki ci Boże! Niechże cię pobłogosławię, mój synu!

Zbladły i pomięszany stał przed ojcem Zbigniew, bo, idąc do niego, nie spodziewał się takiego przyjęcia, nie spodziewał się słyszeć słów tak łaskawych; przybył zobaczyć jeszcze raz ojca i oddalić się na długo, może na zawsze. Ale kiedy zamiast gniewu dobroć, zamiast przekleństw błogosławieństwo go spotkało, wzdrygnął się na myśl, że tak dobry, czuły ojciec zobaczy za chwilę wszystkie nadzieje powiędłe i radość zniszczoną. Jednak klął przed rodzicem i schylił czoło, a Władysław położył mu ręce na głowę i wezwał Boga sprawiedliwości, by nagrodził cnotę syna i ciągle nad nim czuwał.

Po tym tkliwym obrzędzie powstał książe i kazał oddalić się dworzaninowi.

— A więc — ozwał się Władysław — już Wszebor odzyskał córkę, Mieczysław narzeczonę, a ty czyste sumienie.

Milczał Zbigniew, starając się oddalić chwilę wyznania, ale, słysząc pochwały Władysława, uczuł, że niegodnem było dłużéj uwodzić ojca i króla, a kiedy monarcha zapytał się po drugi raz:

— Więc już pewno mój synu, Mieczysław i Hanna na zawsze zostali połączeni?

— Tak — odpowiedział uroczystym głosem — połączeni na zawsze w grobie! — Potem rzucił się do stóp króla i w krótkich słowach zdradę żony opowiedział i zbrodnię wyznał.

Trudno opisać wrażenie, jakie uczyniła na duszy ojca mowa księcia. Kołysany dotąd miłem złudzeniem, że Zbigniew wrócił na prawą drogę, ujrzał w jednéj chwili wywrócone nadzieje i syn szlachetny, który poświęcił ojcu i krajowi najgorętszą namiętność, zamienił się w jego oczach na wyrachowanego zbrodniarza i zimnego brata i żony mordercę. Nie przygotowany do tak strasznéj nowiny, uderzony nagłem odkryciem bez poprzednich domysłów lub przeczuć, uczuł starzec cały ciężar lat i rozpaczy, spadający na serce. Krew w żyłach się ścięła i przez chwilę nic nie wiedział, nic nie słyszał. W obłędzie i zamęcie wyobrażeń zdawało mu się, że już ziemię porzucił i cierpi męki piekła, których tak za życia się obawiał, a tymczasem książe Zbigniew wciąż klęczał u stóp jego i czekał ostatniego wyroku. Choć i on zapewnie w okropnem był położeniu, zachował jednak całą spokojność i pewny rodzaj dumy, pochodzącéj z uczucia dopełnionéj powinności, bez obawy i trwogi, błyszczał na ponurem czole, jak ostatni promień zachodzącego słońca, który, czarne przedzierając chmury, jeszcze raz żegnał się z zieloną łąką i srebrnym strumykiem.

Wtem wrócił do życia król Lechii, a zarazem do najsroższych cierpień; ujrzał przy sobie syna i z drżeniem odsunął krzesło, wyciągnął bladawe ręce, twarz odwrócił i pamięć na brata, którego syn zginął, na nieszczęśliwego Wszebora, któremu daremno sprawiedliwość obiecywał, zajęła zupełnie jego umysł. Zdawało mu się, że występki syna nań spadną w dniu ostatecznego sądu i że Bóg sam każe mu Zbigniewa ukrócić.

— Morderco! — zawołał. — Precz z moich oczu! Bez woli ojca, sprzecznie z chęcią narodu pojąłeś za żonę oblubienicę brata, by potem potargać związki, święte przed niebem, godną piekła zbrodnią. Wyrzekam się imienia ojca, nie znam już ciebie, oddaję cię boskiéj i ludzkiéj sprawiedliwości, nic cię nie ochroni od wyrzutów i zgryzot! Rycerzem i księciem być już przestajesz, spadłeś poniżéj człowieka! Dzieci cię palcami wytkną, wołając: »To morderca brata i żony!« Zgi-

niesz marnie, przepowiadam ci, zginiesz od żelaza zabójcy, zginiesz z najbliższéj ręki! Bóg odwraca oblicze od ciebie, a ja cię przeklinam...

Lecz jak tylko wyrzekł to słowo wyroczne, zatrzymał się, jak gdyby sam nie wierzył sobie, spojrzał na księcia, a kiedy ujrzał szlachetną jego postawę i głowę pokornie, choć jeszcze z ostatkiem dumy, schyloną przed ojca wzrokiem, zalał się łzami i, zapomniawszy o wszystkiém, o synu tylko pamiętał.

— Nie, Boże — zawołał — nie wysłuchaj nierozważnych słów człowieka w rozpaczy! Odwołuję to, com wymówił!

— Już się stało, panie i ojcze mój — rzekł poświęcony na wszystko Zbigniew — ostatnie nieszczęście już mnie dotknęło. Straciłem ubóstwianą dawniéj istotę, imie moje, świetne niegdyś, pokryłem zasłoną obrzydzenia i zawiści. Tego jeszcze nie dostawało, ale i to rączem przyleciało skrzydłem. Może prędzéj obarczony ludzi i ojca przekleństwami życie zakończę, a wtenczas lepiéj będzie! Teraz żegnam cię, ojcze, jeszcze dzisiaj opuszczam to miasto i udaję się do mojego zamku na Pomorzu. Żegnam cię, kochany ojcze.

To mówiąc, ze łzami w oczach ścisnął kolana króla i ostatni pocałunek złożył na jego ręce.

— Nie, nie przekląłem cię — rzekł osłabiony Władysław.

— Już się stało — odparł mocnym głosem Zbigniew — i twój wyrok już zapisany w księdze przeznaczenia.

Po tych słowach oddał głęboki pokłon i wyszedł; ale jak tylko drzwi oddzieliły go od jedynéj osoby, od któréj niższym się uznawał na ziemi, zmienił i postawę i wyraz twarzy. Schyloną dotąd z uszanowaniem głowę podniósł wysoko, smętność zamknął w głębi serca, a jéj znamie spędził z bladawego lica, na którym pycha się została. Zamiast chwiejących się kroków poważny chód przybrał i nieustraszona śmiałość zabłysła na czole, jak gwiazda nocy na błękicie niebios. Kiedy doszedł do komnaty, gdzie siedział wojewoda z towarzyszami, groźno spojrzał na wszystkich i prawicę

złożył na rękojeści miecza, a potem, obracając mowę do Sieciecha, rzekł:

— Zatrudnij się, wojewodo krakowski, pogrzebem tych, co mnie zdradzili! Ich ciała leżą w biesiadowéj sali. Takie zlecenie daje ci syn twojego króla, odjeżdżając na Pomorze.

Wszyscy, milcząc i osłupieni, słuchali tego głosu, który tyle razy grzmiał w bojach, a teraz jeszcze po najokropniejszych wypadkach nic z swojéj mocy nie stracił, a choć brzydzili się widokiem tak okrutnego człowieka, choć się już zdawało, że patrzą na poświęconą sprawiedliwemu gniewowi niebios ofiarę, przejęci śmiałością nie śmieli ani odpowiedzieć, ani najmniejszem nawet poruszeniem wewnętrznych uczuć wyjawić.

Zostawił ich książę i tym samym poważnym, którym wszedł, krokiem oddalił się od wojewody, dosiadł konia, czekającego nań przy bramie i puścił się wśród ciemności dobrze znaną drogą do swojego zamku.

Stały już tam pod bronią szeregi, mające towarzyszyć księciu w dalekiéj drodze. Nielicznemi pochodniami oświeceni, żołnierze podobni byli do czarnych duchów, oczekujących na zdobycz, a kiedy Zbigniew wleciał między nich na rumaku, pianą okrytym, kilka tylko okrzyków: »Niech żyje nasz książe!« zmięszało się z świstami wiatru. Jordan i Krystyn objęli dowództwo nad hufcami, porzucającemi zamek, który przez trzy miesiące był świadkiem ich poświęcenia dla pana i dzielnéj odwagi.

Książę odmienił konia i naprzód wyruszył. Mówili późniéj żołnierze, że, choć wiatr gwałtowny i ciemność wydzierały ich uszom głosy, a oczom przedmioty, niezawodnie zdało im się, jakoby Zbigniew westchnął odjeżdżając i, wyciągnąwszy ręce, załamał je w zozpaczy. Pochodnia przez jedną tylko chwilę oświeciła twarz jego, a choć błyszcząca przyłbica nie kryła liców, odbił się promień o coś świetnego na nich i przez chwilę tylko zdała się ta twarz okryta jaśniejącemi łzami.

Wtem rycerz z Wilderthalu zawrócił konia i, przybiegłszy do orszaku, z tyłu postępującego, skinął na jednego z ludzi, go składających. Wnet wysunął się on

z szeregów i, zaprowadzony przez Mestwina pod mury zamkowe, spytał się o rozkazy.

— Pomyślałem i rozważyłem — rzekł rycerz — a stąd wypływa, że się tu zatrzymasz wraz z ludźmi, w zamku pozostałemi. Bądź na pogrzebie waszéj wielmożnéj księżnéj! Ach! ach! ach! jakże się nam udało, mój giermku! Gdyby stary skąpiec chciał się z czem wygadać, gdyby mnie wydać zamyślał, niech twój sztylet pierwéj jego serca dójdzie, niż jego słowa otaczających uszu! Nie spuszczaj go z oka, wszędzie mu bądź towarzyszem, ale nieznacznie, a potem przybiegnij do nas na Pomorze!

— Stanie się, jakeś rozkazał, panie i rycerzu mój — rzekł Ulrych, a Mestwin spiął konia ostrogami i zniknął.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Wszyscy znają zachwycającą tkliwość pogrzebnego obrzędu. Któryż bowiem człowiek tyle był szczęśliwym, że nigdy nie przyszło mu odprowadzać do grobu ukochanéj istoty? Ale jestże co tkliwszego, kiedy ten obrzęd ma za przedmiot zwłoki niewinności i piękności, zwiędłéj w kwiecie życia?

Washington Irving.

Nad wieczorem, przy pogodzie jesiennéj, mnóstwo ludu napełniało pole, dzielące Płock od zamku, opuszczonego przez księcia Zbigniewa. W tym zbiorze tylu osób wszystkich stanów największy panował porządek i nawet lekiego nie słyszano szmeru. Wszystkich oczy spuszczone na dół i posępne twarze dowodziły niespokojnego oczekiwania jakiegoś zdarzenia, a zdala dzwony kościoła katedralnego nieustannie brzmiały; z drugiéj zaś strony, z dziedzińca zamku, wznosiły się smutne śpiewy księży i zakonników. Setne pochodnie, czerwonawego dymu obłokiem przesłonięte, błyskały nad murami i basztami. Czarna chorągiew, zatknięta na wieży, niewzruszona stała, bo najmniejszy nawet powiew wiatru cichości nie przerywał. Uroczysty zapewnie był obraz, roztaczający się przed okiem widza. Tu tłumy ludu w bojaźliwem milczeniu, tam gmach żałobny, oświecony światłem żałoby i uwień-

czony sztandarem śmierci, pienia, unoszące się po powietrzu, dochodziły uszu otaczających. Nie były to lekkie, wesołe pieśni, przy godach lub świętach używane, ale surowe, uroczyste tony, wznoszące się ku niebiosom za duszami, które porzuciły ziemię; było to harmonijne wynurzenie żalu, bardziej do ogólnego jęku niż do śpiewu podobne. Ruch nadzwyczajny ukazywał się w zamku; wszędzie biegali słudzy, księża, rycerze, wodzowie, a nareszcie za znakiem, danym z wieży, zaczął się smutny obrzęd pogrzebu Hanny z Ciechanowa i Mieczysława.

Najprzód z bram zamkowych wyszedł arcybiskup Stetan ze zgrozą na czole, a krzyżem złotym w rękach; za nim tłoczyło się mnóstwo zakonników i duchownych, a każdy z nich trzymał pochodnią. Posuwali się krok za krokiem, odmawiając modlitwy głosem poważnym i smutnym; dopiero za niemi okazywały się mary, na których wierni, starzy żołnierze nieśli syna tego, pod którym Kijów zdobyli. W zupełnéj zbroi leżał młodzieniec i z spuszczoną przyłbicą, bo aż zanadto okropne ślady zostawiła trucizna na jego twarzy; ręce, w krzyż złożone, trzymały rękojeść miecza, który, tyle razy zwycięski, szedł dzielić los pana w zimnym grobie.

Stąpał za ciałem księcia dzielny jego rumak, pokryty całkiem czarną zbroją, a prowadziło go czterech giermków w żałobie. Daléj szedł orszak żołnierzy z spuszczonemi dzidami i w ciemnych pancerzach.

Dopiero za tym hufcem następował wóz, purpurowem suknem pokryty i przez sześć koni ciągniony. Na purpurze spoczywała w śnie śmierci piękna jeszcze Hanna z Ciechanowa. Oczy zawarte i zsiniałe usta śmierci znamie nosiły, ale nad czołem wznosił się wieniec z mirtu, przeplatający swoje zielone listki z złotą książęcą koroną. Włosy, rozpuszczone z obu stron, spadały, jak dwa błyszczące z kwiecistéj góry strumienie. Ubiór raził przepychem oczy patrzących, które dopiero spocząć mogły na twarzy, z któréj anielską słodycz jeszcze ani śmierć

ani zepsucie zetrzeć nie zdołały. Wszystkim łzy w oczach stawały, a tymczasem przesuwał się wóz, niosący do ostatniego mieszkania zwłoki niewiasty, któréj nieba pozazdrościły ziemi.

Zaraz za księżną na niższym wozie leżała nieszczęśliwa Katarzyna. Jéj ubiór składał się z śnieżnéj sukni, niebieską wstęgą przepasanéj, z krzyża srebrnego na piersiach i wieńca z róż białych. Obok jéj mar postępował Henryk, chcący odprowadzić aż do ostatniéj granicy tego świata drogą oblubienicę. Szedł rycerz z Kaniowa z posępnem czołem, a czasem odrywając wzrok od lubéj Katarzyny, ścigał nim niesionego Mieczysława i, nagle przechodząc od cichéj ponurości do gwałtownego gniewu, otoczony trupami tylu drogich osób, pozbawiony prędkiéj zemsty, tłukł piersi żelaznemi rękawicami lub wściekle to wyjmował, to chował do pochwy swój oręż.

Tu dopiero, za ostatnim wozem, tłoczyły się tłumy pospólstwa, panów, rycerzy, to pieszo, to konno. Wojewoda krakowski na czele swojego orszaku, Wolimir z Moskorzewa i wielu innych; ale pomiędzy wszystkiemi szedł zbladły i drżący człowiek w brudnych i starych sukniach. Wiek podeszły był u niektórych wymówką jego bojaźni, bo mógł się straszyć na widok śmierci, wyciągającéj już do niego ramiona; ale bliżsi jego znajomi powtarzali sobie do ucha imie Skarbimira z Gulczewa i dziwne z jego bladości wyciągali wnioski.

Wtem nagle fale runącego ludu uniosły go w pędzie aż do miejsca, gdzie stanęli żołnierze, niosący księcia, i wozy, na których leżały zwłoki Hanny z Ciechanowa i jéj towarzyszki. Tu zatrzymały się tłumy, a biskup płocki zaczął odmawiać modlitwę wraz z otaczającem go duchowieństwem.

Pan Gulczewa, zewsząd ściśnięty i popychany, musiał stać wprost naprzeciw ciał osób, których zgonu po części był przyczyną. Przerażający ten widok, smętne wszystkich twarze przejęły starca bojaźnią, śpiewy, wznoszące się ku niebu, zdały mu się wołać o pomstę na sprawców zbrodni. Powoli mięszać się

myśli zaczęły, w każdego oku zapalczywość spostrzegał, każdy oręż błyszczący zdał mu się w własne skierowany piersi, uległ nareszcie pod ciężarem wspomnień i upadł zemdlony. Zaraz otoczyli go właśni ludzie, którzy się przez tłum przedarli, a wojewoda krakowski kazał go zanieść do miasta.

Przerwany na chwilę tym przypadkiem, obrzęd ciągnął się daléj z tą samą powagą i uroczystością, jak pierwéj. Coraz bardziéj mrok zapadał, a szkarłatne na zachodzie chmury co chwila bladszemi się stawały. Wtenczas zapalono niezliczoną ilość pochodni i całe zgromadzenie, uwieńczone tysiącznemi światłami, daléj się posunęło. Zbroje, bogate duchownych ubiory, suknie panów połyskiwały zdala, a pochodnie, niesione przy wozie księżny, zlewając czyste promienie na twarz bladawą, złotą jéj barwę nadawały i były obrazem na ziemi promieni chwały, otaczających jéj duszę w niebiosach. Niebo białawą, przezroczystą mgłą pokryte, przyćmionemi tysiącznemi oczyma patrzało na obrzęd pogrzebu tak, jak gdyby smutek ziemi mógł się był udzielić sklepieniom nieśmiertelności; a każda kropla rosy, spadającéj w cichości na pola, wydawała się być łzą, posłaną od aniołów w hołdzie nieszczęśliwym.

Wszystkich myśli zwróciły się do Boga. Obraz posępnéj nocy, towarzyszący posępniejszéj jeszcze śmierci, przejmował niezrozumianą, nadludzką trwogą. Wszystkie serca, czy to pod rąbkiem niewieścim, czy pod żelazną zbroją ukryte, zarówno temu wpływowi podlegały. Nie było różnicy w uczuciach tak różnych stanem i zatrudnieniami ludzi, każdy zapominał o rzeczywistości, pogrążając się w marzeniach, a tymczasem zbliżali się do kościoła katedralnego, którego dzwony coraz głośniéj słyszeć się dawały.

Za przybyciem do świątyni stanął biskup i lud cały pobłogosławił, a potem kazał wnieść ciała umarłych pod święte sklepienia. Wszystkie ściany i filary, czarnem suknem obite, żałobny widok przedstawiały. W środku kościoła Mieczysław, obok Hanny postawiony, zwrócił wszystkich oczy. Po odśpiewaniu mo-

dlitw i litanii przystąpił Stefan do pochowania ich zwłok. Do dolnych grobów znieśli ciała najznaczniejsi panowie i urzędnicy, a tam zimny kamień przywalił serca tak piękne, tak namiętne za życia. Mniejszy głaz z marmuru zakrył obok Katarzynę przed oczyma Henryka — i wszystko się zakończyło.

ROZDZIAŁ XXIX.

Już nad nim Boga rozciągnięta ręka.
Melodye hebrajskie.

Już tydzień upłynął po pogrzebie, kiedy dnia jednego przybył do biskupa płockiego zdyszany Bardan i po krótkiéj z nim rozmowie prędko się oddalił. Wnet potem Stefan wraz z kilkóma duchownemi i dworzanami udał się do mieszkania podskarbnika królewskiego, gdzie nadzwyczajne panowało zamięszanie. Na samym progu spotkał szanowny kapłan wojewodę krakowskiego, który mu oznajmił, że od czasu pogrzebu wpadł skarbnik w niebezpieczną słabość, nie wstrzymaną żadnemi sztuki lekarskiéj środkami, i że teraz, czując blizki koniec, prosił, by wezwać biskupa, wobec którego i kilku innych panów chciał wyznać ciężkie jakieś winy.

Zmarszczył brwi biskup na te słowa i gorzko westchnął.

— Czyż zawsze zbrodnie — zawołał — ziemię ci w obrzydzenie podawać będą, o Boże! — i szedł za Sieciechem.

Pokój, w którym leżał pan Gulczewa, nosił oczywiste jego skąpstwa dowody. Ściany, żadném nie zasłonięte obiciem, pokryte były ogromnemi plamami wilgoci, która gdzieniegdzie nawet w kroplach się sączyła. Kilka słomianych stołków widziano tu i owdzie stojących, a łoże z najgorszego drzewa stało przy brudnym stole. Twarz Skarbimira, zawsze odrażająca,

okropniejszą jeszcze teraz się stała. Wyrzuty sumienia wyryły na niéj ślady swojéj zemsty, a oczy, dawniéj tak żywe, napół przymknięte były, bo już światło słońca było ciężarem zbrodniarzowi. Naokoło stali w przerażeniu dworzanie i sługi, a między niemi znany przez Bardana Ulrych, który podług rozkazu pana na krok nie odstępował podskarbnika od czasu jego zasłabnięcia. Często zostawał z nim sam na sam, lekarstwa mu podawał, ale nie miał serca zabijać bezbronnego i czekał, aż ostateczna konieczność do tego go zmusi. Zdziwił się wprawdzie nieco za przybyciem biskupa i zaczął mieć podejrzenia. »Może, pomyślał, chce przestraszony blizkością zgonu, wyznać wszystko? Ale, na Boga, dopełnię mego pana rozkazy, bo wierność pierwszą jest cnotą, a potem ten stary skąpiec nie godny ani życia, ani imienia człowieka«.

Zbliżył się wojewoda z biskupem, za nimi szło kilku innych panów, pomiędzy któremi wmięszał się i Henryk z Kaniowa.

Na widok Stefana podniósł się trochę Skarbimir i głowę schylił, a potem osłabionym ozwał się głosem:

— Panowie, czuję śmierć blizką. Szanowny kapłanie, już kończę życie, ubogi, biedny, samotny, widzisz: nie mam nawet porządnéj komnaty ani dobrego łoża, gdziebym spokojnie dech ostatni mógł wyzionąć. Ale to wszystko zniósłbym jeszcze, gdyby nie okropne wspomnienia. Tak... daléj mówić nie mogę, wzdrygam się.

— Chrześcianinie umierający — rzekł mocnym Stefan głosem — skrucha i żal mogą cię z toni piekła wznieść pomiędzy szczęśliwych aniołów. Wyznanie winy przedemną samym, jeśli się ciebie tylko tyczy, przed wszystkiemi, jeśli i inne osoby dotyka, jest twoją powinnością; bez jéj wypełnienia nie trafisz do nieba.

Przerażony Skarbimir spuścił oczy, a potem się odezwał:

— Ah, jakąż sławę zostawię po sobie?

— Obieraj — zawołał Stefan — ziemską sławę lub szczęście niebieskie!

— Ah, męki piekła! Wyznam wszystko. Tak, biskupie płocki, ja jestem przyczyną śmierci księcia Mieczysława i Hanny z Ciechanowa...

Ale tu daléj mówić nie mógł.

Wtem wszczął się rozruch między otaczającemi; przedarł się przez nich młodzieniec i zbliżył do łoża z przeciwnéj strony téj, gdzie stał wojewoda. Sieciech dostrzegł coś dziwnego na twarzy Ulrycha i położył rękę na szabli, a tymczasem giermek schylił się ku podskarbiemu dla podania mu lekarstwa, a postawiwszy potem flaszkę na stole, szybko sztylet wyciągnął i wzniósł do góry; ale prędzéj jeszcze wojewoda długiéj szabli dobył i w mgnieniu oka podstawił ją pod spadającą rękę młodzieńca. Odleciała odcięta od ramienia prawica, ściskająca sztylet, a Ulrych ciężki krzyk wydał i upadł bez zmysłów. Natychmiast wojewoda schwytać go i w kajdany okuć rozkazał, Arcybiskup zaś ledwie oddychającego już Skarbimira po drugi raz zaklął, by wyjawił skryte i tak ciężkie, jak wydawało się, zbrodnie. Ale Skarbimir ostatni raz już pasował się z śmiercią, okropny rumieniec wystąpił mu na lica i wzdęły się żyły, ciągnące się sinemi pasmami na czole. Gardło gwałtownemi ruchami dowodziło trudności oddychania, a nareszcie wybuchnęła nosem, ustami i uszami czarnym krew potokiem. Biskup przycisnął do ognistych liców krzyż srebrny. Ciężkie westchnienie wydał podskarbnik i, podniósłszy się trochę, umoczył palce w własnéj krwi, a potem niekształtnem pismem na ścianie napisał: »On wie«. Po tem ostatniem wysileniu utracił całą siłę i upadł na zbroczone łoże. Chwilą potem ustały jego gwałtowne ruchy, rozciągały się drgające członki i zmartwiały.

— On wie — powtórzył biskup i wskazał na Ulrycha, który, odzyskawszy zmysły, wściekle poglądał na odciętą rękę i bezwładne już ramie.

Natychmiast wojewoda, Henryk z Kaniowa i insi, otoczywszy młodzieńca, zaczęli mu liczne zadawać pytania; ale giermek Mestwina z pogardą na nich poglądał, usta ściśnięte trzymając. Najsroższe bóle ża-

dnego jęku mu nie wydzierały. Spokojny, śmiałym wzrokiem odpowiadał na badania otaczających, a choć pęta ciało mu ściskały, dusza jego wolną się wydawała, a choć krew sączyła się z rany, nie słabł umysł i z podwojoną męką podwójnéj nabywał siły.

Niecierpliwy Sieciech dobył miecza i groźnie wzniósł go ponad głowę Ulrycha. Młodzieniec uśmiechem wzgardy i objętności wyraził wewnętrzne uczucia i najmniejszego znaku przerażenia nie dał. Długo jeszcze starali się przytomni dowiedzieć się czego, lecz milczenie giermka wciąż trwało. Rozgniewany wojewoda kazał wtenczas kilku żołnierzy zawołać, oświadczając, że najokropniejsze męki zdołają usta mu otworzyć. Biskup nie zgodził się na to i prosił wszystkich, by odstąpili, a sam, zbliżywszy się do młodzieńca, tak słodkim głosem przemówił:

— Dzielnąś okazał odwagę i męstwo, lepszéj sprawy godne. Dopóki równi tobie wojownicy zadawali ci pytania, mógłeś sobie mieć za chlubę utrzymanie milczenia, którego ani groźby ani boleści zerwać nie zdołały, ale teraz jako chrześcianina, jako syna Kościoła zapytuję cię w imieniu Pana twego i Boga, powiedz, co wiesz w téj ciemnéj sprawie! Twoje serce jeszcze nie tak zatwardziałe, by się nie wzdrygało na myśl zostawienia zbrodni bez kary. Możesz niewinności, choć już znikłéj z téj ziemi, wrócić jéj ozdoby i sławę, a więc zaklinam cię, powiedz, co wiesz o Mieczysławie, i, jeśli to w twojéj mocy, nie dozwól, mój synu, by na pamięci Hanny z Ciechanowa ciężyła plama hańby i zdradzonych powinności!

Na imie Hanny z Ciechanowa zmieniła się zupełnie twarz młodzieńca, wyraz oporu i nieugiętéj woli ustąpił niezrozumianéj jakiéjś czułości. Łza zgasiła ponury ogień, dotąd błyszczący mu w oczach, ale jeszcze wahanie znać było na ustach, napół otwartych. Z czoła wyniosłego zeszła burza gniewu i rozpaczy, ale natomiast osiadła tam chmura żalu. Jedno słowo, jedno wspomnienie trafiło do serca i czułość obudzona dzikie namiętności w ciele łzami zatopiła. Dłużéj już nie mógł wytrzymać i drżącym głosem zawołał:

— Świadkami jesteście wszyscy, że trwoga przystępu do mojéj duszy nie miała. Pozbawiony ręki i wszelkiéj obrony, okuty w wasze kajdany, nie schyliłem czoła i na chwilę, nawet bladość bojaźni twarzy mojéj nie okryła. Męki najsroższe nie wydarłyby tajemnicy z głębi piersi; ale kiedy wezwał mnie biskup płocki na świadka, kiedy kazał mi w ostatnich życia chwilach uwolnić umarłą piękność od sromotnego zarzutu, wypełnię powinność chrześcianina i rycerza.

— Zelazo moje nieraz nasiąkło krwią nieprzyjaciół lub wskazanych ofiar, i umiałem przytłumić wyrzuty sumienia. Słyszałem pienia śmierci i dźwięki wzywających na wieczny spoczynek dzwonów, i przytłumiałem wyrzuty sumienia. Teraz wszystko odkryję. Kilka chwil do życia mi pozostało, poświęcę je prawdzie, ale niech wasze usta szyderczego śmiechu nie przybierają, niech wasze oczy wzrokiem pogardy na mnie nie patrzą! Nie róbcie sobie znaków, bo nie przed waszą uległem przemocą, bo nie wasz oręż mnie przeraził; ale uczucie powinności usta mi rozemknęło!... Słuchajcie!

Tu dopiero zaczął opowiadać znajome nam wypadki, wyjawił przyczynę śmierci księżny i Mieczysława, usprawiedliwił Zbigniewa, Mestwina uniewinnić się starał, wystawując szał namiętności, który go opanował i nie zostawił żadnéj rozsądnéj myśli miejsca w jego duszy.

Wszyscy w podziwieniu i trwodze tych słów słuchali, spoglądając na człowieka, któremu w samych zbrodniach pewnego rodzaju szlachetności i cnoty odmówić nie mogli.

Ulrych, skończywszy mowę, schylił czoło i przez chwilę dumał głęboko, a potem prosił, by mu zdjęto okowy. Na znak biskupa uwolniono go od kajdan, a młodzieniec, z dumą zrzuciwszy żelazne łańcuchy, zbliżył się do Sieciecha.

— Panie krakowski — rzekł smętnym głosem, wznosząc ramie, pozbawione ręki — tobiem winien okropną ranę, wytrąciłeś mi oręż na wieki i z nim sławę, mnie czekającą. Kto w tych wiekach niezgód i zaburzeń zechce spojrzeć na nędznego kalekę, ogołoconego z pra-

wicy? Nikt okiem litości nawet na mnie nie spojrzy i nie żądam litości. Zawód mój zakończył się na ziemi. Cięcie twojego miecza oddzieliło mnie od chwały, a zarazem od życia, a jednak nie czuję zemsty ku tobie; zrzuciłem z serca ogromny ciężar i ta rana mniéj mi dolega. Lecz może jeszcze potrafię się dobić sławy — dodał, jak gdyby wracała nadzieja do jego serca. — Pozwólcie mi tego miecza, spróbuję nim władać lewą ręką!

Jeden z przytomnych ze łzami w oczach podał mu oręż.

— Teraz — zawołał młodzieniec z nadzwyczajnem uniesieniem — nie lękam się już ani waszych mąk, ani szubienic! Nie zginie Ulrych haniebną śmiercią zbrodniarzów, bo jeśli pełnił zbrodnie, miał jednak czułe serce. Patrzcie, jakie lewéj ręki cięcie!

I nim go kto mógł wstrzymać, utopił w piersiach krótki i ostry pałasz i upadł na ziemię.

Biskup wzdrygnął się i podniósł oczy do nieba, a wszyscy obecni odwrócili je od okropnego widoku. Jeden Henryk z Kaniowa zachował krew zimną, czyli raczéj wściekłość nie dozwoliła mu uczuć litości i przerażenia; wystąpił z grona towarzyszy i stanął przy trupie Ulrycha. Tu wyjął z pod kolczugi pukiel ciemnych włosów i, umoczywszy je w krwi nieszczęśliwego, zawiesił na szyszaku między trzema białemi pióry.

— To są włosy księcia i pana mojego. Przysięgam dopóty ten znak nosić na hełmie, dopóki go powtórnie nie zanurzę w krwi drugiego mordercy, Mestwina z Wilderthalu. Niechaj Bóg Ojciec, Bóg Syn i Duch Święty słyszą tę przysięgę i niech święty Stanisław i szabla moja ku pomocy mi będą!

To powiedziawszy, wyszedł, ściskając rękojeść miecza.

W kilka dni późniéj pochowano Skarbimira, ciało Ulrycha za cmętarzem w dół rzucono. Sieciech zaś, chcąc przywiązać do swojéj służby rycerza z Kaniowa, kazał go do siebie zaprosić; ale nadaremno Jarosz z Kalinowy przebiegł wszystkie Płocka ulice, nigdzie nawet i śladu Henryka nie znalazł. Żołnierze,

stojący u wałów miejskich w dzień śmierci podskarbiego, donieśli potem wojewodzie, że rycerz, podobny z postawy i ubioru do znikłego, lotem błyskawicy przeleciał już blizko nich w nocy na czarnym rumaku i że przez chwilę wśród cieni wieczora ujrzeli migającą się zbroję na jego piersiach, kiedy pędził drogą, na północ wiodącą.

ROZDZIAŁ XXX.

Skąd przychodzisz tak nierano?
Kto jesteś? jakie twe miano?
Kiedy się tobie przypatruję z blizka,
Zdaję się, że cię kiedyś widziałem...

Dziady.

Musiemy teraz przenieść czytelników naszych daleko od Płocka, do jednéj z okolic Pomorza, oświeconéj w téj chwili zachodzącego słońca promieńmi. Dzikość największa panowała wówczas w téj krainie, nieuprawne pola leżały odłogiem, a pokrzywy, chwasty i ciernie rosły, gdzieby mogły kłosy w złotych płynąć przed wietrzykiem falach. Zbliżający się wieczór jeszcze posępniejszą barwę nadawał przedmiotom. Wzgórza to zniżającym się, to podnoszącym wieńcem otaczały liczne jeziora, których wzdęte silnym wiatrem wody wydawały się zdala przy purpurowym blasku słońca niezliczonemi falami z płomienia. Lasy, już jesienną przyodziane szatą, zarastały wielką część przestrzeni. Z blizka można było rozeznać zielone liście, pomięszane z żółtemi i czerwonemi. Daléj zaczynały się stapiać z sobą te kolory, a wzrok, sięgający aż do ostatku widnokręgu, postrzegał już tylko szare ogromy, zdające się olbrzymiem pasmem łączyć ziemię z czystym niebios błękitem.

Jedyny ślad pracy ludzkiéj w téj dzikiéj puszczy, była droga często wijącemi się roślinami zarosła lub ogromnemi kamieńcami zawalona i niekiedy w ciasną przechodząca ścieżkę; kręciła się ona ponad wodami,

ustawała u stóp wzgórzów, gdzie kilka tylko śladów ciężkich wozów pozostawało, lecz z drugiéj strony znów ukazywała się szeroka i dobrze odznaczona, by trochę daléj zniknąć pośród zarośli i kamieni różnego rodzaju i wielkości. Właśnie w jednem z miejsc, gdzie trudną była do rozeznania, ostatnie promienie słońca oświecały młodego rycerza, siedzącego na koniu, który się zatrzymał, by, jak się zdawało, zaczekać na człowieka, schodzącego w oddaleniu z spadzistéj skały. Jeździec i rumak długą zmęczeni byli drogą, bo pierwszy nieustannie pot z czoła obcierał, a drugiego całkiem biała piana okryła. Za siodłem leżał mały tłómoczek, zawierający zapewnie ubiór i żywność rycerza, a blizko lewego strzemienia wisiał topór, używany w owoczesnych bojach. Zbroja, pokrywająca nogi młodzieńca, błotem zbryzgana, dawny połysk straciła, kiedy tymczasem pancerz jaśniał stalowemi, na nim wyrobionemi ozdoby. Twarz jego, choć nosiła znamiona znużenia, wyrażała oprócz tego jakąś ciężką tęsknotę, połączoną z piętnem niestartéj woli. Hełm, w kilku miejscach porysowany nadybanemi w podróży gałęźmi, dziwne miał znaki, bo wśród trzech piór białych, połamanych i kurzawą okrytych, tkwił pukiel czarniawych włosów, zeschłą krwią zbroczony.

Poglądał rycerz w górę, jak gdyby chciał poznać, ile chwil do nocy nie dostaje, to znowu wyciągał rękę i wołał do siebie znakami niedalekiego już wędrowca. Im bliżéj tamten przystępował, tem chciwiéj młodzieniec zatapiał w nim oczy i starał w sobie dawne obudzić wspomnienia. Nieznajomy, ubrany po myśliwsku, rączym postępował krokiem, trzymając ogromny łuk w ręku. Kołczan, wiszący z tyłu, wypróżniony był do połowy z grotów, a ogromny szary orzeł zarzucony był przy nim. Twarz myśliwca, spalona od słońca, wyrażała pewien rodzaj niedbałéj o nic odwagi. Już tylko mały rów dzielił go od rycerza, kiedy ten wykrzyknął:

— Witam cię, Krystynie z Mortoga.

Zdumiony Krystyn zatrzymał się na chwilę, a potem zawołał:

— Niech mnie tysiąc Prusaków posiecze, jeślim cię

już gdzieś nie widział! Kto jesteś? Skąd? Ach! wiem, nic nie mów, wiem! Henryk z Karnowa... z Karnowa lub coś podobnego.

— Lub z Kaniowa — przerwał rycerz, wyciągając rękę do dawnego wroga.

— A cóż tu robisz na Pomorzu? — przerwał rycerz.— Czy przychodzisz służby szukać u naszego księcia?

— Przybywam owszem służbę jego zmniejszyć o jednego człowieka — odparł groźno młodzieniec.

— Czy do mnie stosuje się ta mowa? — krzyknął rycerz z Mortoga, dobywając miecza.

Męski zapał Krystyna wycisnął uśmiech zbladłym ustom Henryka.

— Nie — odpowiedział — nie ciebie szukam, bo szanuję rycerzy godnych tego imienia, a szczególnie tak mężnego, jak ty, mój Krystynie.

— Dobrze, dobrze, mój Henryku, ale nie lubię na darmo dobywać pałasza. Spróbujmy się choć trochę, do pierwszéj krwi, nie żądam więcéj! Mój drogi, mój kochany Henryku, do pierwszéj krwi tylko!

— Krystynie — uroczyście zawołał młodzieniec — nie żartuj sobie! Ważna, najważniejsza w mojem życiu sprawa przygnała mnie z dworu Hermana w te posępne puszcze. Jużem blizki celu i nie myślę w dziecinnéj walce narażać siły, przeznaczone dopełnieniu świętego obowiązku.

— Jeśli tak, to zgoda, ale daj słowo, że nie czyhasz na życie mojego księcia i pana, bo inaczéj powinnością stanie się dla mnie pierwéj cię twojego pozbawić!

— Przysięgam, że nie, bo Zbigniew niewinny; inaczéj moje żelazo żadnéj nie czyniłoby różnicy między jego lub innego piersiami.

— A więc wszystko między nami skończone.

— Krystynie, bądź łaskaw wskazać mi drogę do zamku księcia! Zapomniałem już, jak się nazywa; czy jeszcze daleko? Ledwie mógłem się w tym przeklętym kraju drogi dopytać.

— Zowie się Waplew, stoi nad Czarnowodą, na skale tak wysokiéj, że z niziny jest podobniejszym do

orlego gniazda, niż do potężnego gmachu. Dobrze zrobił książe Zbigniew, że zabił tego Ottona de Strontheim i zamek na nim zdobył, bo, na Boga, wszystkie panów polskich wojska nie potrafią go stąd wyrugować. Powiem ci szczerze, że mnie się nudzi; niema ani wojny, ani kłótni, ani pojedynków, a trudno księcia opuścić — taki smutny, taki nieszczęśliwy, już nawet z Mestwinem nie rozmawia. Ale dlaczegóż takeś się wzdrygnął? A toż i Mestwin dziś na łowy wyjechał; ja w inną stronę się udałem, bo nie lubię tego Niemca.

— A kiedy wróci? — przerwał Henryk.

— Niezawodnie jutro. Lecz muszę psy przywołać.

Po tych słowach przyłożył trąbkę do ust i wydał głos chrapliwy, który w jednéj chwili wzniósł się w górę, a potem, spadając, rozległ się wokoło. Natychmiast odpowiedziały dalekie naszczekiwania, a choć wiatr przeszkadzał, co chwila głośniejszemi się stawały, nareszcie z różnych stron przybiegły ogromne brytany i sześć ich otoczyło pana, wyszczerzając ostre na Henryka zęby.

— Cicho, cicho, Obal! Precz Warda stąd, cicho! — zawołał Krystyn, i natychmiast posłuszne psy legły u stóp myśliwca.

— Teraz, gościu, wskażę ci najkrótszą drogę do zamku, bylebyś szedł stępo i nie odbiegł mnie, jak duch na czarnym koniu.

— Idźmy, idźmy więc! — zawołał Henryk.

Ale droga wcale się nie zgadzała z niecierpliwością młodego rycerza, bo, coraz bardziéj trudniejszą się stając, prowadziła naszych wędrowców to w głębokie jary, to na strome wzgórza, z których wierzchołka mogli jeszcze dostrzedz kilka chmur, oblanych promieńmi zapadłego słońca. Lasy, któremi przechodzili, błota, w których grzęźli, zdawały się być dobrze znajomemi Krystynowi, bo, śmiałym idąc krokiem, ledwo czasem spojrzał na ziemię, a najwięcéj z wzniesioną głową śpiewał dumki wojenne, kiedy tymczasem dzielny rumak Henryka zapadał w trzęsawiska lub, wszystkich sił dobywając, ledwo mógł się dostać na szczyt spadzistego wzgórza. Mrok, powoli zapadający, przymnażał jeszcze trudności, ciemne bory podwajały jego cienie, a jeśli czasem wi-

dok się rozprzestrzeniał, gęsta mgła, unosząca się nad wodami, przesłaniała go oczom naszych rycerzy.

Już ptaki rzadko się odzywały, już kilka gwiazd zabłysło, kiedy przybyli na brzeg oschłego jeziora, którego powierzchnia, dawniéj wodą zalana, teraz zarosła była mnóstwem sitowiu i uginającéj się trzciny.

— Jeszcze się tędy przeprawiemy — rzekł Krystyn — a potem, stanąwszy na tamtym wzgórku, zobaczym blizki zamek i Czarnowodę.

— A już czas — odparł Henryk — bo mój biedny koń ledwo już się wlecze!...

Po tych słowach zeskoczył z siodła i, prowadząc rumaka za uzdę, wszedł pomiędzy zarośle, ale z każdym krokiem nowe rodziło się niebezpieczeństwo, coraz więcéj ziemia grzązką się stawała, i już słyszał Henryk szelest przeciskającéj się pod spodem wody. Krystyn jednak ze zwykłą niedbałością zagrzewał go do pośpiechu i bez żadnego przypadku doszli nareszcie do wspomnionego wzgórka, skąd już prawdziwie wspaniały widok przedstawił się im przy świetle księżyca.

Niedaleko wznosiła się niebotyczna skała, żadnem drzewem ni rośliną nie pokryta, a na jéj wierzchu zmęczone oko nie dobrze już dostrzedz mogło białawych czterech wież, połączonych murem, w kwadrat wystawionym. Ognie, błyszczące z okien zamkowych, do małych gwiazdek podobne były. Na najwyższéj wieży buchał ogromny płomień, zawsze w nocy zapalony dla zbłąkanych wędrowców. U spodu płynęła szeroka Czarnowoda, a choć srebrne księżyca promienie igrały z jéj falami, zachowywała jednak smętną barwę, od któréj nadano jéj imie; płaczące brzozy nad brzegiem i dęby stuletnie rosły w ulice, jak gdyby przez sztukę wytknięte, a daléj ciemny bór pozostałą część równiny zalegał; kilka chat, rozsypanych u stóp skały, zamek dźwigającéj, służyło za stajnie dla koni księcia, nie mogących dójść do wzniosłego mieszkania pana.

Noc, pokrywająca okolicę, księżyc, błyszczący na niebie, ogień, z wieży wybuchający, jak gdyby drugi księżyc na ziemi, i samotność otaczająca dokoła, wystawiały obraz okropnéj dzikości, a zarazem, uderzając

oczy Henryka, najczarniejszemi zajętego myślami, wprawiały go w pewien rodzaj szału.

Przeniesiony z ludnéj krainy do samotnéj puszczy, wyrwany tak nagle z rąk miłości i rzucony w objęcia zemsty, nie miał jeszcze czasu do uśmierzenia burzliwych uczuć, a teraz namiętne uniesienie nim owładło. Zdawało się, jak gdyby okropne tych miejsc odległych przyrodzenie w zgodzie było z jego sercem, i wystawiał sobie, że widzi krew Mestwina, płynącą, jak strumień wezbrany, po skale. Ognie, zapalone w zamku, wydawały mu się płomieniami piekła — i wyciągał ramiona, by, jak aniół śmierci, wzlecić nad poziom, dolecić ofiary i życie jéj przeciąć.

Wkrótce jednak żarty Krystyna wyrwały go z tego dumania, i, wsiadłszy na konia, znów zaczął daléj postępować. Niezadługo u stóp skały stanęli.

— Zostaw konia w téj chacie! — rzekł Krystyn.

Henryk zaprowadził zmęczonego rumaka, a za rozkazem towarzysza przyjął go do swojéj stajni mieszkaniec chaty, a potem oba, zebrawszy siły, zaczęli wązką i węzłowatą drogą wdzierać się na skałę. Po wielu trudach stanęli u bram rozległego zamku, strażnik je otworzył, usłyszawszy głos Krystyna z Mortoga, a za nim wszedł Henryk z Kaniowa.

ROZDZIAŁ XXXI.

Hamlet: Zdaje mi się, że widzę.
Horatio: Gdzie?
Hamlet: Przed oczyma duszy mojéj.
Szekspir.

Podwórzec zamkowy, z czterech stron wieżami zakończony, pustym był teraz. Kilku tylko rycerzy, żywo między sobą rozmawiających, stało na środku i z daleka jeszcze przy świetle pochodni poznał między niemi Henryk ogromną postawę Jordana z Gozdawy.

Krystyn wziął towarzysza za rękę i zbliżył się do znajomych.

— Zapoznajcie się z nim! — krzyknął. — To jest Henryk z Kaniowa, rycerz niezłomnego słowa i niezłomnéj szabli. Jordanie, to już dawna dla ciebie znajomość.

— Tak — rzekł uprzejmie, nieco zdziwiony, Jordan — tak, znamy się dobrze. Nieraz iskry sypnęły się z ścierających się naszych mieczy, i widziałem, że żaden rodzaj śmierci go nie straszy. Ale dlaczegóż tu przybyłeś? Książe nasz drży z wściekłości na wspomnienie Mieczysława, niebezpieczeństwa ci grożą.

— Setne już przebyłem — odparł młodzieniec — by się na to ostatnie narazić, a kiedy jużem tak blizki, pewno się nie cofnę. Upadnie gniew księcia przed mojemi słowy; mam ważne mu do odkrycia tajemnice, i prosiłbym którego z szanownych rycerzy, by doniósł Zbigniewowi, że żądam w téjże saméj chwili posłuchania u niego.

Podniósł wtenczas rękę Jordan z Gozdawy i wskazał na najwyższe okno naprzeciwko wieży.

— Tam jest mieszkanie naszego pana od czasu przybycia do téj krainy. Tam samotny przesiaduje dni i nocy. Jeden tylko Mestwin go odwiedza, ale i to rzadko. Nikt inszyby się nie ośmielił przerwać ponure myśli Zbigniewa, a Niemiec teraz na łowy wyjechał.

— Upraszam, zaklinam was — przerwał Henryk — uczyńcie zadosyć memu żądaniu!

— Ja ręczę — zawołał Krystyn — że on złych nie ma zamiarów.

— Niechaj będzie aniołem — krzyknęło kilku — lecz żaden z nas nie przyjdzie spiącego lwa budzić!

— Zaniechaj zgubnego zamysłu — rzekł Jordan — bo ci szczerze powiem, że cię śmierć niechybna czeka!

— Lepiéj zrobisz, kiedy wyjdziesz z tych murów, nim cię sokole oko Zbigniewa ujrzy z góry.

— A więc żaden mi nie odda téj przysługi? — zapytał spokojnie Henryk.

Milczenie wszystkich było dostateczną odpowiedzią.

— Jeśli tak, to sam pójdę! — zawołał.

Ale jeszcze raz Jordan starał się go odwieść od zamysłu.

— Pamiętam — rzekł rycerz z Gozdawy — że w wojnie z Prusakami jakiś wódz ich, olbrzym z postawy, a bohater z odwagi, schronił się do takiéj wieży wśród ciemnego boru. Z toporem w ręku i szablą u boku dostałem się za nim na wierzchnią część budynku. Toporem drzwi wyrąbałem, a szablą Prusaka zabiłem i jego głowę przez okno, jakby jabłko, wyrzuciłem. Ale tu co innego. Księciu winne uszanowanie, lecz nie bojaźń, mnie wstrzymuje.

— Gdyby — odparł z zimną krwią młodzieniec — setne kopie i szable téj wieży broniły, jeszczebym sam jeden na nie się rzucił, by dopełnić świętéj przysięgi...

Po tych słowach oddalił się, zostawując wszystkich w zadumieniu, i zniknął im z oczu wśród grubych murów niebotycznéj wieży.

Zaraz w sieni napotkał wązkie schody, które w licznych, ciemnych zakrętach nad jego wznosiły się głową.

Gdzieniegdzie tylko stojące kagańce oświecały je częściami. Poszedł niemi i, stukając orężem o kamienne stopnie, śmiało postępował, aż nareszcie doszedł ostatniego piętra, gdzie się schody zakończały żelaznemi drzwiami, napół otwartemi w téj chwili.

Młodzieniec rzucił ciekawym wzrokiem wewnątrz komnaty i ujrzał siedzącego męża z twarzą między dłonie zakrytą. Na blizkim stole paląca się lampa oświecała leżący sztylet, okręcony różaną przepaską.

Przypomniał sobie Henryk, że ją miała w dzień śmierci u łona nieszczęśliwa Hanna. Nie zwlekając dłużéj, wszedł śpiesznie rycerz z Kaniowa, ale Zbigniew, zatopiony w dumaniu, podniósł dopiero czoło, kiedy już od kilku chwil stał przed nim dzielny młodzieniec.

Zdziwiony syn Władysława porwał się z gniewem i wlepił iskrzące oczy w twarz Henryka. Dawne pamiątki ozwały się w duszy, patrzył się, zbliżył i poznał, a wnet uchwycił oręż i wzniósł go na towarzysza śmiertelnego wroga, nie przemówiwszy i słowa.

— Książe! — zawołał Henryk, nie wiedząc, jak uniknąć grożącego ciosu — Hanna była niewinną!

Wypadła szabla z rąk Zbigniewa, a łzy zalały mu lica na wspomnienie tak drogiego imienia.

Henryk nie stracił sposobnéj pory i, nie dając czasu Zbigniewowi do namysłu, zawołał:

— Synu najjaśniejszego króla i pana mojego, przybyłem z Płocka do tych miejsc odległych, by ci odkryć tajemnicę. Hanna i Mieczysław byli niewinnymi. Mestwin wszystko uknuł i Mestwin jest zbrodniarzem.

Po tem oświadczeniu, opowiedział księciu wyznania Ulrycha, wyszczególnił najdrobniejsze okoliczności i sam słowem rycerskiem zaręczył, że w owéj pamiętnéj nocy widzenia się księżny z Mieczysławem całą ich rozmowę słyszał i z niéj poznał, że Hanna ciągle kochała męża najczystszą miłością i że Mieczysław najszlachetniejsze poświęcenie uczynił.

Twarz Zbigniewa rozmaite przybierała wyrazy podczas mowy rycerza, lecz kiedy oczywiste ujrzał dowody, jakiś rodzaj smętnéj radości zabłysnął w oczach. Zgiął kolana i ręce załamał, wznosząc je ku niebu:

— O Boże! — zawołał — dzięki Ci składam, żeś nie dozwolił, bym dłużéj posądzał niewinność ulubionéj, niewinność téj, która mi najmilszą na tym świecie była. Zginęła z mojego rozkazu, ale ostatnia jéj myśl była błogosławieństwem dla mnie. Zmiękcz się więc w gniewie Swoim, o Panie świata, i ulżyj ciężar przygniatającego mnie życia! Tak — dodał, powstawszy — wolniéj teraz odycham. Tak, równeśmy sobie oddali usługi. Jam ci życie ocalił, ty mi spokojność, to jest część spokojności, wróciłeś.

— Książe — przerwał Henryk — niedawnoś życie mi darował, teraz większego daru jeszcze wymagam.

To mówiąc, zbliżył się do Zbigniewa, klęknął i zarazem z szyszaka odpiął warkocz włosów, w krwi zmoczony:

— Panie — rzekł poważnym głosem — to są włosy nieszczęśliwego twego brata. Dopókim ciebie miał za jego mordercę, dopótym pragnął je w krwi twojéj zbroczyć; lecz kiedym się dowiedział od Ulrycha, że inny sprawił to wszystko, przysiągłem, że je w krwi jego zanurzę. Wymagam więc od ciebie, byś mi dozwolił walczyć z Mestwinem z Wilderthalu.

Na imie Mestwina twarz księcia, przez chwilę rozjaśniona, czarną pokryła się żałobą, wszystkie namiętności uśpione obudziły się w piersiach z podwojoną siłą. Żyły czoła nabrzmiały krwi potokiem, rumieniec wściekłości oblał lica, oczy zaiskrzyły się płomieńmi i usta się otworzyły, lecz zamiast wyrazów, krzyk okropny i przeraźliwy z nich wybuchnął, a rękę wyciągnął książe Zbigniew i groźno dobył miecza.

— Przysięgam — rzekł po chwili — że nikt inny odemnie Mestwina nie zabije! Ach! zginiesz, zbrodniarzu, zginiesz! Zbyt długo rozciągnięta przez ciebie zasłona wzrok mój ćmiła — rozerwana teraz. Pozbawiłeś mnie szczęścia, sławy, wszystkiego, ja cię tylko życia pozbawić mogę! O Hanno! O ojcze mój! O Mieczysławie! — I tu znowu łzy wytrysnęły i upadł książe na blizkie krzesło.

— Nie narażaj się, panie — rzekł rozczulony Henryk — na żelazo tego Niemca! On niegodny twéj ksią-

żęcéj ręki. Dozwól mi dokonać przysięgi i zyskać chlubę, że pana mego i ciebie zarazem pomściłem!

Długo Zbigniew nie mógł ukrócić swego żalu, każde wspomnienie dodawało goryczy smutkowi; po długiem dumaniu słabym rzekł głosem:

— Rycerzu, nie mogę zadosyć twéj prośbie uczynić. Powtarzam i przysięgam, że Mestwin z mojéj zginie ręki! Ach, czegóż on mnie pozbawił Hanny! Gdyby mi godności, bogactwa, chwałę był odjął, berło wytrącił, darowałbym mu jeszcze, ale Hannę! O Hanno! o kochanko! o żono moja!. . On z mojéj ręki zginie!

Te ostatnie słowa wyrzekł stanowczo i, podniósłszy oręż w górę, spojrzał wzrokiem, grożącym zagubą. Po chwili namysłu dodał:

— Czuję, że ci największą przykrość robię. Lecz rozważ, o ile moja zemsta twoją przechodzić powinna! Ja płaczę za żoną, za sławą, za bratem, niegodnie zabitym. Ciebie wszyscy kochają, zaczynasz piękny zawód i masz nadzieję — mnie, doszłego do pół drogi życia, odbiegły złudzenia i pociechy. Nadzieja, dawniéj wzywająca na górne chwały sklepienia, błyszcząca dawniéj dla mnie, jak słońce na czystem niebie, nagle zniknęła, wszystko odpadło, radość pożegnała się z rozdartem sercem. Każdy wzrok mnie ściga zgrozą, każde usta przekleństwami. Oddzielony od lubéj, odrzucony przez ojca, zwiedziony od przyjaciela, stoję na brzegu przepaści, nie mogąc ani wprost się rzucić, an wstecz się cofnąć i muszę ciągle trzymać wlepione oczy w jéj otchłanie. Tobie młodość, tobie przyszłość się uśmiecha. Miną twe smutki, jak chmury, co nad twoją głową szybko ulatują, a zostanie się niebo czyste i jasne. Dla mnie świat zniknął, jedna została się zemsta, a powiedz teraz, czy chcesz mnie téj ostatniéj pociechy pozbawić? Czy chcesz spiekłym wędrownika ustom ostatnią kroplę odmówić, kiedy pełne masz puhary pieniącego się napoju? Mów, Henryku, czyż możesz tego żądać?

Stał młodzieniec z spuszczoną głową i milczał.

— Co mogę uczynić, to uczynię — ciągnął daléj

Zbigniew. — Powierz mi ten pukiel włosów, sam go w krwi zbrodniarza umoczę, a potem oddam!

Henryk nie rzekł i słowa, lecz wyciągnął rękę i oddał swój skarb księciu.

Drżały palce Zbigniewa, kiedy ściskał włosy Mieczysława; przeszedł się potem kilka razy po komnacie, nareszcie stanął i rzekł do Henryka:

— Jutro przed zachodem słońca odbierzesz je. Lecz gdybym nie wrócił?... Wtenczas ci wolno ścigać po całéj ziemi Mestwina. Wtenczas przekazuję ci, Henryku z Kaniowa, zemstę własną i tylu nieszczęśliwych ofiar. Teraz żegnam cię, nie mów nic o tem nikomu i rozgość się w moim zamku!

— Książe — odparł rycerz — nie zostanę w tych murach. Mógłbym w nich zobaczyć wroga, po którego życie tu przybyłem, a ten widok pomięszałby wszystkie władze mojéj duszy; wola nadaremnąby się stała wstrzymania namiętności. Pomimowolnie wyrwałaby moja ręka szablę z pochwy i zatopiła ją w piersiach Mestwina. Zejdę na dół i tam w jednéj z chat, nad rzeką stojących, zaczekam na wypadek walki. Jakikolwiek on będzie, bądź pewny, książe Zbigniewie, że w Henryku z Kaniowa, masz człowieka opłakującego twoje nieszczęścia, a może będziesz miał w nim mściciela.

Po tych słowach ukłonił się i wyjść zamyślał, ale Zbigniew go jeszcze zatrzymał!

— Nie myślę — rzekł — wobec mojego dworu staczać walki z Mestwinem, zawiodę go w głąb lasu za rzeką. Czekaj mnie jutro aż do zachodu słońca na tym brzegu! Jeśli noc zapadnie, a ja nie wrócę... lecz nie, zemsta doda sił téj ręce, a ta pierś nie potrzebuje, by jéj co odwagi dodało!

Henryk się oddalił, a Zbigniew został sam z swojemi myślami. Już było późno, lampa dopalała się na stole, mdłemi promieńmi oświecając komnatę. Książe jeszcze kilka razy pokój okrążył, a potem rzucił się na łoże. Pamiątki młodości z głębi duszy powstały, przeszłość rozwinęła się przed myślą, a urok jéj wdzięków sroższym czynił obraz przyszłości. Miłość, chwała już zniknęły, zimna rzeczywistość miała już aż do grobu

towarzyszyć synowi Władysława. Widział przeszłe uciechy i radości zwiędłe, a przyszłe gromy nieustannie grzmiały w przerażonem uchu.

Utracił jedyną istotę, która mogła przynosić mu ulgę w utrapieniach, utracił ją przez zbrodnię. Naraził się na nienawiść ludzi i przyjaciół, zniechęcił naród, któremu kiedyś mógłby był przewodniczyć do sławy. Wszystkie marzenia wielkości, któremi karmiło się serce w tęsknotach, upadły, wszystkie nadzieje okropna zbrodnia wydarła, a ta, która miała być aniołem opiekuńczym życia, pełnego dzieł i chwały, zstąpiła zawcześnie do grobu, pchnięta jego własną ręką. Umarła niewinna dla spełnienia widoków Mestwina. Najcnotliwsza niewiasta padła ofiarą zamachów, knowanych przez zdrajcę, i nierozważnych namiętności męża, którego tak kochała. Ojciec w rozpaczy, naród w żałobie są skutkiem jego czynów. A cóż powiedzą potomni? Jakimże wieńcem przyszłość ozdobi skronie, które miało się wynieść nad wszystkich bohaterów czoła? Czyż strumienie krwi wylanéj nie wzniosą się na zagrodzenie jego imieniu drogi do nieśmiertelności? Czyż okrzyk trwogi i przerażenia narodów nie przytłumi odgłosu dawnych dzieł i zwycięstw? A tak w jednéj chwili widział zniszczone szczęście i zniszczoną chwałę, dla któréj rzucał się na miecze wrogów, o któréj marzył od dzieciństwa. Już się wzbijać zaczynał, jéj skrzydłem wzniesiony, ku niebu, a teraz jeden czyn, jedna zbrodnia zwróciła go do ziemi i upadł pomiędzy prochy i kości zapomnianych i przeklętych na świecie, a siły zwątlone nie dozwalają mu jeszcze raz się podźwignąć, i musi żyć, i musi żadnego celu w życiu nie upatrywać, bo sam własną winą najszlachetniejsze, najpiękniejsze dwa cele, chwałę i miłość, na wieki utracił.

Takie myśli snuły się w wyobraźni Zbigniewa, lecz nareszcie, znękany, opuścił głowę i wpadł w odrętwienie, do snu podobne, choć snem nie było. Ociężałe powieki napół tylko zakrywały oczy, a uczucia boleści i żalu odzywały się ciągle.

Dogorywająca lampa to bledsze, to żywsze rzucała promienie na przeciwną ścianę, na któréj zawieszona

była całkowita zbroja z hełmem u góry, z przepaską na pancerzu i mieczem u przepaski. Przemijającym zbroja oświecona blaskiem, raz jaśniała, jak gdyby przed światłem słońca, to znów w zupełną pogrążała się ciemność. Wreszcie po długiem konaniu zgasła lampa, a jednak widział jeszcze Zbigniew zbroję i zdało mu się, że oczy, wlepione w niego, żarzyły się z pod przyłbicy szyszaku. Chciał się porwać, ale nie mógł i pozostał na miejscu. A tymczasem zdało mu się, jak gdyby oderwała się od przeciwległéj ściany zbroja, i jak gdyby się mąż jakiś w nią przyoblekł; a wnet druga postać ukazała się w śnieżnych szatach i mąż zbrojny podał jéj rękę i oboje, płynąc w powietrzu, zbliżyli się do siedzenia Zbigniewa, a wtenczas przerażony książe poznał w rycerzu Mieczysława, a w niewieście nieszczęśliwą Hannę.

Zbigniew dobył wszystkich sił, oparł szeroką prawicę o stół dębowy, ale podnieść się nie mógł. A niewiasta w śnieżnych szatach, rzucając nań okiem słodyczy, wskazywała niebo; lecz mąż zbrojny okropnem wejrzeniem spoglądał z pod szyszaka, otworzył usta i wyrzekł: »Zemsta, zemsta!« A mury długiem echem powtórzyły: »Zemsta!« Dobył rycerz z pod pancerza świetnego puhara i pokazał go księciu pełnym trucizny. Po drugi raz otwarły się jego usta, zawołał: »Mestwin!« i powtórzył: »Zemsta!« A wtenczas Zbigniew zebrał całą moc swoją, wyciągnął ramiona ku ulubionéj, i zdało mu się, że uśmiechem nadziei odpowiedziała jemu. W téj chwili wraz z groźnym towarzyszem znikła, zbroja jak dawniéj wisiała na ścianie, a Zbigniewa ciężki sen opanował.

XXXII.

Umiera. — Lecz nikt dla niego nie czuje litości. — Swiat szeroki, a żadne w nim serce dla niego nie bije.

Bezimienny.

Przybył rycerz z Wilderthalu o wschodzie słońca z łowów i zaraz stawił się przed księciem... Krótkiemi słowami przywitał go Zbigniew:

— Przywdziéj najlepszą zbroję, przypasz miecz niezawodny i chodź za mną!

Poznał Mestwin z twarzy księcia, że niezwykłe pomięszanie duszę jego trapiło, lecz nie domyślał się jego przyczyny. Usłuchał rozkazów pana, sądząc, że Zbigniew ma jakąś wyprawę na celu. Ukrytemi w murach drzwiami wyszedł z nim z zamku i szedł na brzeg Czarnéjwody.

Zbigniew skoczył w milczeniu na łódkę, a Mestwin poszedł za jego przykładem.

— Książe i panie mój — zawołał — czyżby nie lepiéj było wziąć z sobą kilku zbrojnych?

— Nie potrzebujemy—odparł uroczyście Zbigniew— innego świadka, jak nieba... Odbijaj!

Odbił rycerz od brzegu, a łódka, pędzona wiatrem, szybko przerzynała wody. Dzielnie popychał ją wiosłem Mestwin, a złote jesiennego słońca promienie odbijały się w każdéj kropli, wzlatującéj w powietrze, czarne fale, konając u boków statku, w białą zamieniały się pianę i daleko za niemi pierwszy brzeg się oddalał, kiedy przeciwny coraz się zbliżał. Nareszcie dopłynęli, a książe wyszedł na ziemię i Mestwin za nim.

Gęstym był las, przez który się przedzierali, krzewy i wysokie trawy utrudniały drogę, wzniosłe sosny, płaczące brzozy, żałobne świerki i ogromne dęby plątającemi się gałęźmi wydzierały oku błękit niebios, gdzieniegdzie tylko przebijający. Za zbliżeniem się kroków ludzkich odlatywały sójki, kruki opuszczały gniazda, a sęp żarłoczny z żalem odstępował gałęzi, z której zdobycz upatrywał.

— Jakiż cel naszéj wyprawy? — zapytał Mestwin. — Jeśli łowy, tośmy o małéj rzeczy tylko zapomnieli: o łukach i strzałach.

— Poznasz ten cel niezadługo — odpowiedział Zbigniew i szedł daléj z zadziwionym rycerzem. Doszli nareszcie miejsca, w którem rozstępowały się drzewa i gdzie nizka trawa z żywszą rosła zielonością przy drobnym, sączącym się wśród kamieni i leśnych kwiatów, strumyku. Tu zatrzymał się książe i, dobywając wszystkich sił, zawołał:

— Mestwinie, ziemia, choć tak rozległa, nie potrafi nas dwóch razem objąć! Jeden poledz musi. Znam twoje zbrodnie, Ulrych wszystko wyznał przy śmierci. Broń się, szatanie!

Z początku stał Mestwin z krwią najzimniejszą, lecz gdy usłyszał, że Ulrych zginął, nadaremno chciał wstrzymać łzę, co samotna przedarła się przez powieki. Zgrzytnął zębami i dobył miecza.

— Zbigniewie, wiesz wszystko, śmierć między nami rozstrzygnie, lecz nim zginę lub ty zginiesz, odkryję ci: Ulrych był moim synem! O Bianko, o nieszczęśliwa! Uwiodłem ją, skonała mi na rękach; młodym byłem wtedy, odtąd skamieniało moje serce. Jednego tylko lubiłem Ulrycha, a jednak, wstydząc się przywiązania do człowieka, chciałem to ostatnie przytłumić; posyłałem syna na niebezpieczeństwa, przyzwyczaiłem do zbrodni. Ah, Hanna miała rysy Bianki! Dowiedz się, że to serce pała płomieńmi, które muszą zawsze zniszczyć cel jego miłości! Srogi, okrutny z przyrodzenia, byłem obcą istotą na ziemi, nie znałem tego, w czem ludzie szczęście pokładają. Chciałem także się wynieść, czułem także czasami przywiązanie do ciebie... Ale widzę,

mości książe — dodał z szyderskim uśmiechem — że cię moje wyznania nudzą. Doniósłeś mi pierwszy o śmierci syna, zgiń za to! Zgiń — krzyknął wściekle — zgiń, mężu Hanny z Ciechanowa!

I starły się ich miecze i wyroczna dla obu zaczęła się walka. Z rozpaczą i najdzielniejszą odwagą potykał się Mestwin, lecz ramie Zbigniewa wspierały wszystkie namiętności, skupione w jednéj chęci zemsty, a mogące się w sercu człowieka urodzić.

Walczyli w samotnem miejscu, pod sklepieniem niebios, z takim zapałem, jak gdyby narodów los zależał od wypadku bitwy i jak gdyby tysiączne okrzyki dodawały im męstwa.

Mestwin nie tracił rozwagi, a Zbigniew namiętnie nacierał, lecz tak namiętnie, że cała przeciwnika rozwaga musiała uledz uniesieniu księcia i zwycięskie żelazo nieszczęśliwego bohatera przeszyło pierś rycerza.

Upadł Mestwin, a książe umoczył w krwi jego włosy brata. Lecz nie mogąc dłużéj znieść widoku umierającego człowieka, którego tak długo uważał za przyjaciela, chciał odejść, kiedy Mestwin dobył głosu z przebitych piersi:

— Zbigniewie, zaklinam cię na męki piekła, dobij mnie!

Pierwszą myślą księcia było uczucie litości, lecz stanął mu w pamięci obraz, przeszłéj nocy widziany, i odsunął rękę od sztyletu, odwrócił oczy i spiesznie się oddalił...

* * *

Na brzegu Czarnéjwody stał rycerz na koniu. Słońce już wzbiło się w górę, a on, niewzruszony, zdawał się czekać na kogoś. Błyszczała jego zbroja, a rynsztunek cały dowodził, że się do długiéj przygotował podróży. Często zwracał niespokojny zwrok na drugą stronę rzeki i wlepione tam trzymał oczy, jak gdyby chciał przebić lasów gęstwiny. Często natężał ucho, przysłuchując się dalekim głosom, lecz nic nie słyszał oprócz krakania drapieżnych ptaków lub dzikich zwierząt. Na-

reszcie bystrem okiem dostrzegł zbrojnego męża, wychodzącego z pomiędzy ostatnich drzew boru. Natychmiast żywym rumieńcem okryły się jego lica i konia na sam brzeg skierował.

Wtem z przeciwnéj strony wsiadł rycerz w łódkę i poznał go Henryk z Kaniowa, a wtenczas, nie mogąc wstrzymać niecierpliwości, ubódł dzielnego konia ostrogą i rzucił się w rzekę. Płynący rumak z odważnym jeźdźcem podnosił czoła nad falę, jak gdyby chciał się im urągać. Zagrzewał go Henryk słowami i głaskaniem, a koń, dumny z swego ciężaru, prędkim biegiem przecinał wody. Spotkała się łódka z Henrykiem w połowie rzeki i mąż, na statku w zamyśleniu siedzący, wyciągnął rękę i oddał jeźdźcowi pukiel, krwią świeżą zlany. Uchwycił go Henryk, przycisnął do piersi i, milczącym ukłonem żegnając księcia, odwrócił konia, dopłynął brzegu i, puszczając wodze dzielnemu rumakowi, skierował go ku rodzinnéj ziemi — i zniknął.

* * *

Upływały godziny a zbrodniarz nie mógł umrzeć. Leżał na ziemi, otoczony krwi strumieńmi, spiekłe pragnienie garło mu rozdzierało; słyszał szmer blizkiego strumyka, widział przesuwające się wody przed sobą, a nie mógł do nich się doczołgać. Z początku jaśniejące słońce w połowie niebios biło mu w oczy nieznośnym blaskiem, a nie mógł oczów zamknąć ni odwrócić — i przeklinał słońce.

Opanowało go odrętwienie, krew powolniéj z szerokiéj rany płynąć zaczęła i przez wiele chwil nic nie czuł; lecz znów potem, za zbliżeniem się wyrocznéj godziny, cierpienia się ponowiły i przytomność, najsroższe dla niego cierpienie, wróciła.

Przebiegł wśród boleści, śmierci towarzyszących, życia całego liczne wypadki, a nie przypomniał sobie żadnego czynu, żadnego słowa, żadnéj myśli, coby go obronić mogła przed sądem Boga. Spojrzał w górę, a słońce opuściło wzniosły tron niebios i zstąpiło za wysokie drzewa, oblewając je czerwonawą zachodu

jasnością. Gromadziły się nad jego głową orszaki żałobnych ptaków, z początku w odległych przestrzeniach błękitu krążące, lecz potem, zlatując coraz niżéj, czarnym opasywały go wieńcem i pomieszanemi głosami zapowiadały blizkość ostatniéj chwili.

Ryk dzikich zwierząt grzmiał ze wszystkich stron lasu, i zdało się umierającemu, że widzi ich płomieniste oczy, spoglądające nań z pomiędzy zielonych i żółtawych liści.

Chłód jesiennego wieczoru dolegał rozdartéj piersi i krew, sącząca się z niéj kroplami, ścinała się na mroźnym wietrze. Nareszcie stanęło słońce na granicy widnokręgu — i Mestwin żałował słońca. Przedmioty zmięszały się przed jego wzrokiem, coraz bardziéj krakania i ryki się zbliżały, a nareszcie czarne sępa skrzydło przysłoniło konającemu ostatni promień słońca, a boleść, sprawiona zatapiającemi się jego szponami w piersiach, była ostatniem uczuciem Mestwina na ziemi.

ZAMKNIĘCIE.

Dalsze życie księcia Zbigniewa i Wojewody krakowskiego należą do dziejów.

Co się zaś tyczy innych osób naszéj powieści, w krótkich słowach opowiemy ich koniec, o ile ten nam jest wiadomy po wielu poszukiwaniach i staraniach, w tym względzie czynionych.

Wszebor w kilka miesięcy po zgonie córki umarł w swoim ciechanowskim zamku.

Wolimir z Moskorzewa ciągle swój urząd piastował, przerywając nudy życia żartami i ulubionemi łowami. Lecz ta ostatnia namiętność przedwczesny sprowadziła mu koniec, gdyż dnia jednego znaleźli go słudzy napół w błocie zatopionym, z sokołem jeszcze na ręku, który już umarłego nie chciał odlecieć pana.

Jordan z Gozdawy towarzyszył wciąż księciu.

Krystyn z Mortoga, pokłóciwszy się z jednym rycerzem o to, czy lepiéj prostym lub krzywym potykać się pałaszem, zginął w pojedynku, twierdząc do ostatniego tchnienia, że proste szable są najlepszemi.

Henryk z Kaniowa od chwili rozstania się ze Zbigniewem znika nam zupełnie z oczu; nie wiadomo, gdzie się podział. W mnóstwie chronik jego szukaliśmy śladów, ale nadaremnie; nareszcie napadliśmy przypadkiem na rękopism Wilhelma, arcybiskupa Tyru, który krzyżowe wojny opisuje, i tam na następne trafiliśmy słowa:

»Za moich czasów widziano jeszcze za północną bramą Hierozolimy, na polu między czterema palmami, grób, przywalony kamieniem, na którym ten, już nieco starty, był napis:

HIC J.CET H.NR.CUS DE K.NIO. EQUES
POL.NUS BE.LICA VIRT.TE I.SIGN.S, QUI
TRIDIE P.ST C.PT.M U.BEM ET CAESIS
INF.DE.IBUS EX VULN.RIBUS ACCE.TIS
M.RT.US E.T.

KONIEC.

SEN ELŻBIETY PILECKIEJ.

Dwoiste życie nasze; sen ma świat udzielny
Wśród otchłani, nazwanych bytem i nicestwem,
Nazwanych, lecz nieznanych. Sen ma świat udzielny,
Z rzetelną władzą rządząc nad marzeń królestwem.

Byron.

WSTĘP.

Przedmiot do następującego utworu podały mi wypadki życia Elżbiety Pileckiej, żony Władysława Jagiełły i królowej polskiej. Była ona córką Ottona z Pilcy, możnego wojewody sandomierskiego; w kwiecie młodości poznała dzielnego rycerza z Morawii, na dwór ojca przybyłego. — Porozumiały się ich serca, i Elżbietę uwiózł rycerz wśród nocy z zamku ojcowskiego, ale odkryto ich ucieczkę i natychmiast Otton poszedł w pogoń za córką. Dogoniwszy ją, zwiódł z morawskim rycerzem walkę i zabił go. Okrutny rodzic, odebrawszy córkę z rąk kochanka, zmusił ją do oddania ręki Granowskiemu, kasztelanowi nakielskiemu. — Miała z Niego Elżbieta jednego tylko syna, któremu Jan dano imię.

Po śmierci Granowskiego polubił ją sobie Władysław Jagiełło i wziął za żonę. Kiedy zaś przyszło do koronacyi, sprzeciwił się jej Mikołaj Trąba, arcybiskup gnieźnieński, mówiąc, że to małżeństwo niezgodnem było z powagą majestatu. — W takim stanie rzeczy król Władysław użył do koronacyi Elżbiety Jana Rzeszowskiego, arcybiskupa lwowskiego. — Elżbieta umarła 1419 r., a jej zwłoki złożono w kaplicy, w której później Stefana Batorego pochowano.

SEN.

Arfo Minstrelów! Arfo, do którejże chwili
Spać będziesz w szumie liści, w mruczeniu strumienia?
Walter-Scott.

1.

Marzenia i ułudy młodości, gromadźcie się naokoło mnie! Często niespokojnemu sercu przyszłość w promienistem okazujecie świetle. Innej teraz po was wymagam przysługi. Wróćcie mi przeszłość! Unieście mnie w odległe czasy, pomiędzy innych ludzi, ale zawsze na tej samej ziemi, na ziemi ojczystej, której zeschła garstka milszą jest duszy i oku, niż połyskujące wszystkiemi tęczy farbami kamienie na skroniach możnych! Waszemi wsparty skrzydłami, niech, porzuciwszy dzisiejsze uciechy, pogrążę się w upłynionych czasu falach, na których odbije się promień niezgasłej chwały! Niech moje pienia wyrwą ze snu śmierci śpiących w stalowych zbrojach rycerzy! Niech, pieniem sławy obudzeni, powstaną nagle z pod ciężących głazów i dawno zapomniane przedstawią obrazy! — Niech wrócą zwołane brzmieniem lutni dziewice Lechii i piękność zatartą z ziemskich wydobędą prochów! Zakwitnijcie na nowo, róże, mięszające się dawniej do ich splotów! Odzieleńcie się, gaje, poświęcone miłości, a choć głuche milczenie nieszczęścia oddawna was zaległo, odżyjcie jeszcze na chwilę w śpiewach poety!

2.

Słońce wiosenne wzbiło się na błękity, niedawno z pod jarzma ciężkich chmur uwolnione, a promienie jego lały się w niezmierzoną przestrzeń, oświecając pełną życia i wdzięku okolicę. Nad nią panował zamek, wzniesiony na górze, zieleniejącą pokrytej murawą. Ciemne baszty, dumne wieże, grube mury, most zwodzony, żelazne po wszystkich bokach kraty i strzelnice czyniły go panem rozciągającej się przed nim równiny, a pływający w powietrzu sztandar nosił znaki i godła Ottona z Pilcy, wojewody sandomierskiego.

3.

Piękne ogrody opasywały zamek kwiecistemi ramiony. Mięszały się w nich dzikie północnych lasów wychowańce z wysmuklejszemi południa drzewami. Dąb, z którego wieniec chwały bohaterom splatają, wznosił się dumnie nad poziomą różą, zwracającą oczy piękności, a brzoza płacząca zlewała rosę jutrzenki na rosnące pod jej stopami fiołki. Ścieżki, drobnym posypane piaskiem, w niezliczonych zakrętach prowadziły to w rozkoszne gaje, to w ciemne ulice, zachęcające posępnością do smętnego dumania. Lecz kiedy dalej kto kroki posuwał, dziwną postrzegał zmianę. — Z czarnego lasu na miłe wychodził łąki, na otwarte błonia, umajone kwiatami, których połyskujące farby tysiącznemi blaski oko raziły. Tu strumień wił się splotami węża, tam znowu gwałtownemi wody rozbijał się o kamienie i konającemi falami z brzegiem ukochanym co chwila się żegnał. Dalej wzgórki, stopniami rosnąc, w olbrzymią przechodziły górę, u której szczytu migały szklanne nadobnych mieszkańców szyby. Tu przepaść zatrzymywała nierozmyślne stopy, ale ją otaczały kwieciste krzewy i powój splątanemi wieńcami łączył przeciwne jej brzegi. Tam skała, obnażona z ozdób przyrodzenia, śmiałym w niebo wzbijała się słupem, a na jej wierzchu spuszczona sosna lub świerk żałobny samotne rozciągał gałęzie. Szumiący potok wrzał pomiędzy spadzistemi opokami, zamglewając powietrze

drobną pianką, której każda kropelka na błyszczącą zamieniała się tęczę, a nareszcie poważna Pilica, tocząc kryształowe wody pośród ubarwionych wybrzeżów, zakończała srebną wstęgą ogrody Ottona Sandomierskiego. Blizko rzeki był gaj różowy, ze wszystkich najpiękniejszy gajów. Z obu stron strzegły go czarne skały, uwieńczone orlemi gniazdami, a wewnątrz siedzenie z murawy codzień żywszą zieloność przybierało; kwiaty, wonią zapełniające przestrzeń, wiosenne rozwijały wdzięki, a głos słowika, jedynego tych miejsc mieszkańca, co wieczór dawał hasło promienistym gniazdom do świecenia nad ziemią, co wieczór przywoływał na tron niebios, osierocony od słońca, mniej świetnego, lecz milszego czułym sercom króla. Wtenczas urok czarujący rozlewał się na całą naturę i usypiające kwiaty, miłym kołysane wietrzykiem, schylały ociężałą od rosy głowę. Świat, opuszczony od śmiertelnych władców, przechodził pod opiekę niezrozumianych istot. Duchy, spływając na srebrnych chmurach, zastępowały miejsce słabych ludzi, w których przemogło do spoczynku nawykłe ciało. Rozciągając z świetnych promieni uwite skrzydła, czuwały nad ziemią, wolno w przestrzenie puszczoną, iskrę zapału wlewały w uśpionych bohaterów lub przyszłych nieszczęść przeczuciami ostrzegały wolę, wystawioną na zamachy zbrodni. A kiedy młoda dziewica przychodziła dumać nad brzegami Pilicy, lekkie błękitów niebieskich syny zlatywały się naokoło. Ukryci pośród róż i kwiatów, czarującym wpływem młode serce napawając, oddzielały je przezroczystemi skrzydłami od zmysłowego świata i przenosiły do górnych siedlisk nieśmiertelności.

4.

Już powiew wieczoru, wznoszący na skrzydłach wonne kwiatów westchnienia, zaczął igrać z różami gaju. Słońce znikło z nieba i ciszej płynęły fale Pilicy. Pomiędzy ścieżkami, prowadzącemi do »Gaju czarów«, jak go nazywano, ukazała się postać niewieścia, ale tak cudna, tak piękna, jak gdyby była mieszkanką

gwiazd, ku którym wzniesione trzymała oczy. Biała szata w lekkich fałdach obwijała wysmukłą kibić. Lica świeżością podobne były do różanego światła jutrzenki, mięszającego się do fal srebrnego strumienia. Rozwiane włosy bursztynowemi pierścieniami pieściły się wietrzykiem, a ich barwa tak świetną była, jak gdyby igrający promień zaszłego słońca, wmięszawszy się do nich i nie mogąc już z jedwabnych wydostać się splotów, w złotem po nich roztopił się świetle.

Na czole godność i spokojność niebiańska się odbiła. W oczach tylko znać było ogień, wyrażający zmienne dziewiczych piersi uczucia; bo raz błyszczał, jak gwiazda wieczorna, to znów, cichą łzą przyćmiony, jak księżyc mgłą obwiany, napół tylko świetniał, a wtenczas najmilej, najczulej tłómaczył budzącą się namiętność w sercu piękności. Westchnęła lekko dziewica i weszła pod różane gaju sklepienia. Tam, patrząc z siedzenia z murawy na kryształową rzeki powierzchnię, strojną odbitemi z nieba gwiazdami, myślała o nadziejach i o przyszłości. Myślała Elżbieta, córka Ottona z Pilcy, o młodym kochanku, o Archeldzie z Haldy, rycerzu, niedawno przybyłym z Morawii na dwór potężnego jej ojca. Pierwszą pałająca miłością, wszędzie szczęście upatrywała; błogie dni sobie obiecując, w rajskiej marzyła ułudzie. Wtem wietrzyk doleciał do raju i miękkim tchem ją obwionął. Duchy otaczające wyciągnęły przeźroczyste dłonie i usypały z nich drobne, barwą tęczy umajone, kwiaty, w nadziemskich błoniach uszczknione. Pod ciężarem woni uległy śnieżne Elżbiety powieki i sen wieczny przeniósł ją w krainę urojeń. Urojeń teraz, ale prawda później! I to piękne, to ponure, to miłe, to smętne obrazy snuć się zaczęły przerywanem pasmem przed jej wyobraźnią.

5.

Zdało się marzącej dziewicy, że przy świetle lampy, z trudnością przedzierającem się przez ciemną komnatę, widzi klęczącego u kolan rycerza — i zaraz go poznała dziewica i imię Archelda z Haldy wyszło z jej

ust uśpionych. Twarz wojownika nie nosiła piętna dzikości, owszem, łagodne, szlachetne rysy zdobiły lica, pokryte miłości rumieńcem. Szyszak, błyszczący srebrem, unosił się nad promieńmi czarnych włosów. Kolczuga, zdobna błękitną przepaską, zdawała się podnosić i zniżać pod namiętnemi serca biciami. Oręż strzegł boku, a rękojeść złota swoim blaskiem zdawała się przyszłych zwycięstw przepowiadać chwałę.

»O luba, mówił rycerz, już stoją na podwórzu konie, słyszysz? tętnią ich kopyta; noc piękna, śpi zamek, księżyc tylko patrzeć będzie na naszą ucieczkę. Nie zwlekaj, zaślubiona już mi sercem oblubienico! Nie zwlekaj!« A słowa młodzieńca podobne były do miłego szmeru błyszczącego strumienia; przenikały one aż do duszy Elżbiety, jak promienie wiosennego słońca do kielicha świeżo rozwitej róży, i jakaś moc nadludzka rzuciła ją w objęcie Archelda. I uniósł ją rycerz przez ciemne zamku galerye, przez kręte schody, wązkie przejścia i podłużne sale aż na szeroki dziedziniec. Tu lekko posadził ją na czarnym swoim koniu, sam obok niej skoczył i przy świetle księżyca wyruszył wraz ze zbrojnymi towarzyszami.

6.

A tu zaszła zmiana w obrazach jej widzenia. Zdało się marzącej dziewicy, jak gdyby kochanek na rączym koniu zawiódł ją w odludną i dziką okolicę, najeżoną zewsząd skałami i lasami pokrytą. Niebo, przed chwilą tak czyste, przybrało mglistą i szarą pomrokę, oddzielającą ziemię od ożywnego słońca. Rośliny, drzewa posępną miały postać, liście wyschłe dziwnej były zieloności, wpadającej w czarną barwę, przez zimę nadaną, wody, naokoło rozlane, wlokły się mętnemi falami, odbijając ciężkie chmury, w górze zamięszane. Złowieszcze ptaki krążyły nad głową i przeraźliwe ich krzyki mięszały się do dźwięku trąb i rogów, z daleka się odzywających. Przez taką krainę unosił Archeld dziewicę i, zatapiając ostrogi w boku zadyszanego konia, mijał z kilkoma towarzyszami góry i skały, lasy i jeziora.

Pomimo tej szybkości grzmiał ciągle goniący za niemi w powietrzu odgłos trąb i rogów, i czasem zdawało się Elżbiecie, że dalekie słyszy tętnienia. W biegu tak rączym nie mogli sprostać rycerzowi jego towarzysze; jedni zostali z tyłu, drudzy padali znużeni wraz z końmi na ziemię, a choć lotem błyskawicy oddalała się od nich dziewica, zawsze zdawało się jej, że widzi rozciągnięte nieszczęśliwych ciała. Nareszcie sam jeden Archeld z Haldy został na koniu — ostatni z jego orszaku legł przy spadzistej skale; za chwilę potem jego własny rumak rozciągnął się na piasku, a kochanek porwał oblubienicę i, przyciskając do serca, wydobył ją z pod zabitego konia. Wtenczas głos rogów zdał się powiększać i, coraz bardziej rosnąc, całą przestrzeń napełnił. Mignęły wśród drzew otaczających zbroje i proporce i pancerna jazda wystąpiła z ciemnego boru. Na jej czele poznała Ottona z Pilcy, ojca swojego, a przy nim niecierpianego człowieka. Zdało się wtenczas Elżbiecie, że ją Archeld, silnem dźwignąwszy ramieniem, wniósł na wysoką skałę i tam stanął z dumą orła, króla ptaków, wyzywając na równinie pozostałych wrogów; a wrogi poszły na skałę, i Otto zagrzewał ich z niziny, stojąc obok tego, który był dla serca nieszczęliwej, jak wąż jadowity dla lękliwej ptaszyny. Zbrojne szeregi wdzierały się po przepaściach i sterczących urwiskach; Archeld z Haldy, trzymając w prawicy jaśniejący oręż, jak miecz anioła śmierci, podpierając lewą oblubienicę, czekał na nie z odwagą bohatera, poświęconego śmierci. Cała skała, okryta zbrojnymi, w każdem miejscu błyszczała to szyszakiem, to pancerzem, i zdało się Elżbiecie, że kamienna opoka w stalową przemieniła się górę. Doszli nareszcie szczytu mordercy i szczęk broni się rozległ i wielu ich poległo. Archeld bronił najdroższego skarbu z wściekłością rozpaczy. Ale córka wojewody uczuła, jak coraz bardziej drżało podpierające ją ramię, postrzegła strumienie krwi, wylewające się z pod zbroi, i cała góra zdała się jej zalaną purpurowym potokiem; porwane nim ciało Archelda runęło ze szczytu opoki i, rozdarte przez ciernia i głazy, padło u stóp pana z Pilcy. A su-

rowy ojciec wziął rękę córki i połączył ją z sędziwą ręką swojego towarzysza, — i natychmiast rozległy się okrzyki: »Niech żyje Otton, niech żyje Granowski! I jego małżonka, córka wojewody, Elżbieta z Pilcy, niech żyje!«

7.

A tu po raz trzeci zaszła zmiana w obrazach jej widzenia. Zdało się marzącej dziewicy, że przebywa wśród posępnych murów. Ogromne wieże, żelazne kraty, głębokie rowy i mosty zwodzone dzieliły ją od świata; ale nad wzniosłe wieże i czarne kraty posępniejszym był pan tych miejsc, ubielony już swym starości włosem. Zapadłe oczy ciskały ponure błyskawice, i, kiedy patrzała nań nieszczęśliwa żona, zawsze obok widziała pokrwawionego Archelda, który, wróciwszy z świata duchów, uśmiechał się jeszcze smętnie do oblubienicy, ale sztylet zemsty wzniesiony trzymał nad jej ciemięzcą. I zdało się Elżbiecie, że dni, miesiące i lata powoli upływały dla niej w tym zamku, w tem więzieniu; jedyną pociechę miało jej serce strapione w dziecięciu, igrającem na matki kolanach, a to dziecię rosło co dzień i ono jedno wiązało córkę Ottona do ziemi.

8.

A tu znów zaszła zmiana w obrazach jej widzenia. Oto zdało się marzącej dziewicy, że słyszy pogrzebowy dźwięk dzwonów i że, w żałobne ubrana szaty, trzymając syna za rękę, postępuje za trumną człowieka, którego jej serce nigdy nie kochało. Tłum ludzi cisnął się wokoło. Zbrojne hufce z spuszczonemi dzidami, służalcy z udanym smutkiem szli za ciałem znienawidzonego, a jego wdowa kryła głowę między czarne zasłony, a każdy z otaczających starał się wzrokiem przedrzeć te zasłony i jej łzy wyśledzić, a ona łez wylewać nie mogła — i wdowa Granowskiego była jeszcze kochanką Archelda.

9.

A tu zaszła zmiana w obrazach jej widzenia. Zdało się marzącej dziewicy, że spadły z niej żałobne szaty,

a natomiast błyszczące przyodziały ją suknie. W obszernym pałacu przeglądała się w srebrnych zwierciadłach i ujrzała róże, na nowo na licach zakwitające. Otaczały ją okazale przybrane niewiasty, pazie na jej widok kornie czołem bili o marmurowe posadzki, i dzielni rycerze przed nią zginali kolana. Spojrzała przez okno, a naród cały powitał ją okrzykami; odwróciła oczy, a bogate kobierce, jedwabne obicia, złote stropy, alabastrowe filary, porfirowe naczynia, jaspisowe ściany, kryształowe sklepienia uderzyły wzrok zdziwiony.

Wszędzie głowy, lśniące złotem i drogiemi kamieniami, schylały się przed nią. A wtem rozstąpiły się rzędy naokoło stojących dworzan i wszedł poważnym krokiem mąż wysokiej postawy, z koroną na skroniach i berłem w ręku. Na czole błyszczała odwaga, pomięszana z ostatkiem nie startej przez wiele zmian dzikości, a jednak Elżbieta uczuła bijące serce z radości za jego zbliżeniem, a mąż, uwieńczony wieńcem królów, wziął jej śnieżną rękę i zaprowadził do drzwi komnaty.

10.

A tu po raz ostatni zaszła zmiana w obrazach jej widzenia. Zdało się marzącej dziewicy, że w ogromnym kościele stoi wpośród tłumów, oświeconych tysiącznemi pochodniami. Wonne kadzidła paliły się na jaśniejących ołtarzach, wznosząc lekkich dymów obłoki. Spiew poważny sług boskich rozległ się po przestrzeni, dosięgając zagiętych sklepień, rażących blaskiem ozdób, poświęconych Panu nad pany. Pomiędzy mnóstwem osób, zapełniających świątynię, rozeznała Elżbieta męża z koroną, który, siedząc na tronie, rozciągnął berło nad swoim narodem i rzekł do niego: »Obieram poddankę za żonę.« Wszyscy milczeli i milczeniem przystawać się zdawali. Wtem ozwał się głos ponury, groźny, i wystąpił z ściśniętych tłumów duchowny w świetnym ubiorze. Twarzą surową przeraził patrzących i, śmiałemi wyrazy przemawiając, sam jeden stawił się naprzeciw życzeń króla i narodu. Ale drugi duchowny,

w równie błyszczących strojach, z łagodnością na twarzy, podniósł się z siedzenia i zgodził się z chęcią monarchy, a wtenczas okrzyki: »Niech żyje król Władysław i małżonka jego, Elżbieta!« przytłumiły głos pierwszego. Powstał mąż z berłem. Zszedł z tronu i podał rękę córce wojewody. Zabrzmiały muzyczne tony, ozwały się pienia, pochodnie podwojoną błysnęły jasnością — i klękli oboje przed wielkim ołtarzem. Duchowny drugi zbliżył się do drżącej Elżbiety. Po chwili uczuła ciężar, unoszący się na splotach własnych włosów; podniosła oczy, a rażący połysk drogiej korony oblał jej twarz anielską,—i kochanka Archelda była królową Lechii.

* * *

Właśnie w tem miejscu szmer lekki obudził dziewicę, i pierwsze jej wejrzenie padło na klęczącego rycerza. Rumieniec okrasił jej lica i, wsparta na ramieniu Archelda z Haldy, wróciła do zamku dumnego wojewody.

ODMIANY TEKSTU.

PAN TRZECH PAGÓRKÓW.

Tekst według autografu.

GRÓB RODZINY REICHSTALÓW.

Tekst według wydania w »Rozmaitościach warszawskich« *1828, nr. 18—22.*

WŁADYSŁAW HERMAN I DWÓR JEGO.

Skrócenia: Władysław Herman i dwór jego. Powieść historyczna z dziejów narodowych XI-go wieku przez N. K. W Warszawie, 1830, 8°, t. I, str. 198, t. II, str. 218, t. III, str. 185 i 3 nl. = *A.* — *Autograf, zawierający czternaście pierwszych rozdziałów = R.* — *Tekst według A.*

Tytuł w R:

Zbigniew
Powieść z dziejów
XI-go wieku.

Nad przekreślonem następnie słowem »Zbigniew« *napisane:*

Hanna z Ciechanowa.

U dołu ręką poety:

Ofiarowana 1-go stycznia 1829 roku.

poczem ręką jenerała Krasińskiego dopisane:

W. Krasińskiemu
przez
Syna
Z. Krasińskiego.

Z boku ręką jenerała Krasińskiego:

Wydrukowany w 1830 roku pod tytułem »Herman i dwór jego«.

Str. 89 w. 3: po błoniach rozlanych] po polu rozlanych *R; w. 4:* zboża zieleniły] zboża (uzieleniały) zieleniły *R; w. 11:* szarpane namiętnościami, nie umiały cenić] szarpane namiętności nie umiały czuć *R; w. 16:* kilkoma drzewami] kilkuma drzewami *R; w. 21:* wyryty napis] wyrznięty napis *R*

Str. 90 w. 29: w najsroższej niepewności] w najsroższej męce *R*

Str. 91 w. 12: uwiadomił mnie, że] uwiadomił mi o tem, że *R; w. 15:* ścisnął mu kilka razy rękę] ścisnął kilka razy mu rękę *R; w. 21:* opuściłem zaraz] Zaraz opuściłem *R; w. 31:* krzyki obiły nam się o uszy] krzyki uderzyły nam uszy *R; w. 34:* ale ja, pomnąc na ciebie] ale pamiętny na ciebie *R; w. 37:* z kilkoma] z kilkuma *R*

Str. 92 w. 4: a gotowe] i gotowe *R; w. 17:* przychylnego ma we mnie] przychylnego sobie ma we mnie *R; w. 26:* przyjemność i rozkosz] przyjemność i wesele *R; w. 34:* przepaść bezdenna otworzy się] przepaść bezdenna otwarła się *R*

Str. 93 w. 3: uprzedzić kapłana] zamówić kapłana *R; tamże:* Bo postanowiłem oddawna] Bo (dziś) postanowiłem, jak wiesz, to oddawna *R; w. 10:* mej woli] mojej woli *R; w. 30:* na głos Mieczysława] za krzykiem Mieczysława *R; w. 38:* rycerzy, poległych pod mojemi ciosy] wrogów, co legli pod mojemi ciosy *R*

Str. 94 w. 6: pocóż? Zrób kilka] pocóż? albo nie możesz wszystkich tego świata użyć rozkoszy bez kilku zdań przez kapłana wymówionych — Zrób kilka *R; w. 18:* wieloma... zbrodniami] wieluma... zbrodniami *R; w. 23:* Jażbym miał pogrążać ją w nieszczęściu, okrywać] I jażbym miał pogrążać ją w nieszczęście i na-

sycając dzikie namiętności okrywać *R; w. 40:* takeśmy postanowili] takieśmy postanowili *R*

Str. 95 w. 9: panu, z którego] Panu swemu, z którego *R; w. 11:* że aż zgięła się zbroja, pokrywająca mu szyję] że aż zbroja szyję mu pokrywająca się zgięła *R; w. 25:* szukał... czynić krzywdę] szukał... krzywdy *R; w. 35:* o tęż] o tąż *R; w. 40:* przed nimi] przed niemi *R*

Str. 96 w. 9: kochać go mogło] kochać mogło *R; w. 10:* skażone namiętnościami] skażone namiętności *R; w. 18:* to do szlachetności, to do cnoty] to do szlachetności, to do zbrodni, to do cnoty *R; w. 22:* nie jednę popełnił] nie jedną *R; w. 32:* jakem cię obraził, tak gotów jestem] jeślim cię obraził, gotów jestem *R; w. 36:* pałasz zetrze się] spotka się *R*

Str. 97 w. 6: wiem, żeś do mnie przywiązany, jak klinga do rękojeści] wiem, (że jesteś) żeś do mnie przywiązany jak klinga do pochwy *R; w. 13:* niewiasta] niewiasta, przez mnichów nauczona *R; w. 15:* niszczyć] zniszczyć *R*

Str. 98 w. 1: siadaj na koń] siadajmy na koń *R; w. 7 po słowie:* i oba wyruszyli] Koniec Rozdziału I-go *R*

Str. 99 motto: w twem sercu] w sercu twem *R; tamże:* ani pragnę] ani chcę *R; w. 4 przed słowem:* Piękne rysy] Na twarzy znać było niedbałość i słabość charakteru *R; w. 9:* Na blizkim stole] Na (stole) bliskiem stole *R; w. 13:* świadczyły o bogobojności] świadczyły bogobojność *R; w. 20:* Ciasne, wysokie] Ciasne i wysokie *R*

Str. 100 w. 12: Nie masz] Niemaszże *R; w. 14:* rozpoczniemy śledztwa] śledztwo *R; w. 32:* a śmierć i zaguba] O, śmierć i zguba *R*

Str. 101 w. 13: czy tak z bratem się obchodzić trzeba] czy tak trzeba z bratem się obchodzić *R; w. 22:* ocierając] obcierając *R*

Str. 102 w. 18: dla ocalenia siebie i Hanny] i Hanny, która go nadewszystko kochając pozwoliła na swoje porwanie *R; w. 21:* nieprzyjaciołmi] nieprzyjaciółmi *R; w. 25:* Nareszcie] Nareście *R*

Str. 103 w. 13: próżnemi skargami] próżnemi skargi

R; w. 18: życie i sława Polki] życie i sława Polski *A; w. 31:* z większem uszanowaniem] z większym *R*

Str. 104 w. 6: wdajcie się do Syna Bożego za nami, wdajcie się do Boga] udajcie się do Syna... udajcie się do Boga *A; w. 22:* w pośpiechu] w prędkości *R; w. 30:* przechwalać się z podłego i karygodnego czynu] chwalić się podłym i karygodnym czynem *R; w. 31:* pośpiech jeden] prędkość jedna *R; w. 35:* zbliżył się do niego] skoczył do niego *R*

Str. 105 w. 4: uniknąć] unikać *R; w. 10:* jako Polak przeciw Polakom] jako Polak Polakom *R; w. 17:* odparł Zbigniew — i zostanę] odparł Zbigniew i został *R; w. 23:* Władysław Herman do syna swą mowę obrócił] Władysław Herman się przeżegnał, po drugi raz ucałował obraz Matki Boskiej i odmówiwszy różaniec ze złota i kości słoniowej wyrobiony, do syna swą mowę obrócił *R*

Str. 106 w. 4: Powstał i, przechodząc się] Powstał przechodząc się *A; w. 8:* jakżem znudzony] jużem znudzony *R; w. 10:* kiedy surowe mogę ci dać rozkazy] kiedy mogie ci srogie dać rozkazy *R; w. 14:* aż nadto] aż zanadto *R; w. 15 po słowach:* wyrzeczone groźby] — Zbigniewie, przebłagaj ojca, to moja rada, ozwał się głos cichy — obrócił się książe i ujrzał Mestwina pokazującego pałasz wyjęty z pochwy małemu Bolesławowi. *R; w. 29:* pomyślał] myślał *R; w. 33:* objęcia, niech] objęcia i niech *R; w. 34:* nie ośmieli i oba] nie ośmieli, nikt, i oba *R*

Str. 107 w. 7 po słowach: wyszedł z Mestwinem] Koniec 2-go Rozdziału *R*

Str. 108 w. 4: rozciągała się równina. Z drugiej zaś toczyły się fale] rozciągała się równina, na której kilka chat rozsypanych dostrzedz można było, które tworzyły przedmieście stolicy — z drugiej zaś płynęły fale *R; w. 6:* w oddaleniu] w oddali *R; w. 9:* wznosiły się] się wznosiły *R; w. 10:* Dowodziły tego wysokie mury.... z drzewa zrobiona] Wysokie mury... z drzewa zrobiona tego dowodziły *R; w. 18:* środku dziedzińca] środku tego dziedzińca *R*

Str. 109 w. 7: warowne budowali] warowne sobie

budowali *R; w. 19:* w jednem oknie] w jednem oknie *R; w. 22:* pałaszem o kamienie] pałaszem o mury i kamienie *R; w. 24:* ogłaszające czas, przeznaczony na spoczynek] ogłaszające, żeby każdy szedł na spoczynek *R; w. 29:* wpuścił męża] wypuścił męża *A; w. 34:* on mi już] on ci już *R; w. 35:* córkę moją Katarzynę] Córkę Katarzynę *R; w. 37:* Ale gdyby szło, potężny panie] ale gdyby szło, dodał cichym i nieznacznym głosem — gdyby szło *R*

Str. 110 w. 2: zapewnie poznali] zapewnie już poznali *R; w. 8:* zmieniła się w żywy] zmieniła się na żywy *R; w. 19:* z kosztowną] z (drogą) kosztowną *R; w. 37:* dowodził, że wytrwał długie wojny] dowodził długie wojny *R; w. 38:* oparta o ścianę, zdawała się] oparta o ścianę, tam sztandar spływający na ziemię zdawał się *R*

Str. 111 w. 6: wschody] schody *R; w. 17:* kamieniami] kamieńmi *R; w. 22:* co się] co (zwabić może) się *R; w. 25:* a Pismo święte... leżało] a książka, zawierająca Pismo święte... leżała *R; w. 31:* rzęsistem] rzęsistym *R; w. 35:* z założonemi rękoma] z rękoma założonemi *R*

Str. 112 w. 18: to jej spojrzenie] takie jej spojrzenie *R; w. 30:* wieczną przysięgnie wiarę, którą] wieczną poprzysięgnie (ci) wiarę, którąm *R; w. 35:* mające wypłynąć z tego kroku] mające spłynąć z powodu tego kroku *R*

Str. 113 w. 5: przyjm usługi tej ręki, nawykłej] przyjm rękę nawykłą *R; w. 9:* głowę. Tymaczasem Zbigniew] głowę, a Zbigniew tymczasem *R; w. 11:* mogą mnie zapewnić o milczeniu] mają mnie zapewnić o milczeniu i wierności tego kapłana *R; w. 12:* sposób zachowania] sposób dla zachowania *R; w. 16:* W kilka chwil] Kilka chwil *R; w. 17:* jaki sprawia] który sprawia *R; w. 37:* nieznośną] nieznaną *R*

Str. 114 w. 9: podwoił się] podwajał się *R; w. 26:* dni jego skracał] dni jego skracał. Zresztą mniejsza o to — cała różnica, że jutro mniej jedną mszą będzie w klasztorze *R; w. 28:* zimnego serca] zimnego serca. — A zdaje mi się, Panie i książe mój, że w kraju,

gdzie królowie zabijają biskupów, wolno prostemu rycerzowi prostego zamordować zakonnika. *R; w. 29:* pytał Zbigniewa] pytał się Zbigniewa *R; w. 30:* zechce sam pozostać] zechce być samym *R*

Str. 115 w. 3: bardzo po wczorajszych pogróżkach wątpię] bardzo wątpię *R; w. 12:* całą mą duszę] całą duszę *R; w. 23:* uklęknąwszy przed nią] uklęknąwszy *R; w. 28:* prosił ją] ją prosił *R; w. 30:* Chyba dla ciebie uczynię tę ofiarę] Chyba tę dla ciebie uczynię ofiarę *R*

Str. 116 w. 5: nim w swoje zamknie cię kłęby] który cię później w swoje zamknie kłęby *R; w. 9:* uwolnij się od] uwolniony od *R; w. 19:* przewidywania] przewidywanie *R; w. 26:* nieprawne ci wskazywał] nieprawne wskazywał *A; w. 26:* wiódł twe kroki] wiódł młode twe kroki *R; w. 28:* często szlachetnego] często ze szlachetnego *R; w. 34:* Jednę] Jedną *R*

Str. 117 w. 5: odezwał] ozwał *R; w. 9:* Raz podsycała mnie chęć sławy, to znów żądza... wielkości] Raz chęć sławy, znów żądza... wielkości mnie podsycały *R; w. 11:* Zdradą pozbywałem się wrogów, głuchym byłem na jęki niewinności] Zdradą i dzielnym bojem pozbywałem się wrogów, za nic miałem łzy niewinności *R; w. 18:* kocham Mestwina] kocham (Zbigniewa) Mestwina *R; w. 27:* kochać mnie] mnie kochać *R; w. 30:* Zapomnij o zbrodniach] Zapomnij więc o zbrodniach *R; w. 32:* za nic w świecie] za rozkosze nieba *R*

Str. 118 w. 2: szlachetnem sercem] szlachetnem niegdyś sercem *R; w. 9:* zapominam] (zapomniał) zapominam *R; w. 12:* z tej toni] od złego *R; w. 16:* wzniesione zagubę] wzniesione zagubę. I ognie piekła w drugim życiu nie zatrwożą nieśmiertelnej duszy. Zniosę je z stałością, przystojną na rycerza i Zbigniewa. *R; w. 18:* czoło, zaświetniał] czoło i zaświetniał *R; w. 24:* cóż] a cóż *R; w. 37:* córkę, on może myśli, że ją] córkę. Myśli zapewnie Wszebor, że ją *R*

Str. 119 w. 6: Przyrzekam ci przed Bogiem na miłość, którą czuję ku tobie, że przytłumię] Ja, książe Zbigniew, rzekł, i pan mnogich zamków i włości, przy-

rzekam przed Bogiem i przysięgam na pismo święte, które zesłał na ziemię, że przytłumię *R; w. 8:* gniew] gniew sprawiedliwy *R; w. 9:* krzywdy ojcu mej żony] krzywdy Wszeborowi z Ciechanowa, ojcu żony mojej, Hanny z Ciechanowa *R; w. 26:* że Mieczysław żyje] że żyje *R; w. 34:* nieszczęść] nieszczęścia *R; w. 37:* Nie, zginie Mieczysław] Nie zginie Mieczysław. *Słowa te należą w R do przemówienia Hanny. W. 38:* zguba] zaguba *R*

Str. 120 w. 5: zawołał Zbigniew, przyciskając nadobną żonę do łona] zawołał Zbigniew i zbliżył się do żony i w jej objęciach zapomniał o niebie i ziemi. Koniec 3-go Rozdziału *R*

Str. 121 w. 2: do jednej] do (komnaty) jednej *R; w. 4:* stole, zastawionym dzbanami i puharami, pełnemi... wina] stole, na którym stały dzbany i puhary pełne... wina *R; w. 6:* wyprawy, odbytej w zamiarze szukania] wyprawy, którą odbyli szukając *R; w. 15:* po tylu trudach] po długich trudach *R; w. 20:* o jej sławę obawiać] obawiać o jej sławę *R; w. 22:* przepędzić w smutku i rozpaczy] przepędzić w żałości i smutku *R*

Str. 118 w. 3: istoty] dziewicy *R; w. 15:* władzca piekieł] anioł piekieł *R; w. 26:* szczęścia i pomyślności] szczęścia i pomyślności dlatego, że niewidoma władza zamierza mą zgubę *R; w. 27:* ufnem w Bogu] ufnem w Boga *R; w. 28:* ratować] uratować *R; w. 31:* powlokę] powlekę *R; w. 32:* dobędę jeszcze szabli] wydobędę jeszcze szablę *R; w. 39:* nielicznego orszaku] nielicznego z kilku żołnierzy orszaku *R*

Str. 123 w. 3: jak najprędzej go pozbyć] jak najprędzej się jego pozbyć *R; w. 8:* podskarbnika] Podskarbnik (!) *R; w. 9:* jeszcze zgrzybiała starość] jeszcze starość *R; w. 14:* już siwe mieszać się] już się siwe mieszać *R*; *w. 14:* ubiór] a ubiór *R; w. 16:* rdza] rzdza *R; w. 18:* Pierścień tylko złotem i drogiemi kamieńmi błyszczał na wyschłej jego ręce] Pierścień tylko, w którym spoczywał kawałek prawdziwego krzyża, błyszczał na wyschłej jego ręce złotem i drogiemi kamieńmi *R; w. 20:* panie z Gulczewa] panie Gulczewa *R; w. 22:*

nieznacznem] nieznacznym *R*; *w. 30:* nareszcie] nareście *R*; *w. 31:* pysznem] pysznym *R*; *w. 36:* odpowiedzią Mieczysława. Skarbimir drugi] odpowiedzią Mieczysława.

— Ale dzisiaj podwójny wydatek zmniejszył moje dostatki, jeśli dostatkami nazywać można zebrane potem czoła pieniądze, ledwo wystarczające na utrzymanie moje na dworze królewskim — ale i za to dziękuję niebu — i to mówiąc wzniósł oczy do góry — bo wszyscy zakonnicy klasztoru Benedyktynów, oprócz jednego, który zginął temu kilka dni, modlili się za prędkie uwolnienie córki pana Ciechanowa, którego prawdziwie można wielkim i bogatym nazwać, bo co do mnie, jestem nędznym sługą księcia mego i Pana.

To mówiąc drugi... *R*; *w. 39:* więc brwi zmarszczył] a Wszebor brwi zmarszczył *R*

Str. 124 w. 1: niebo usłuchało... i raczyło] Nieba usłuchały... i raczył (!) *A*; *w. 12:* niepotrzebnych przydatków] niepotrzebnych długości *R*; *w. 17:* Bardanie] Bordonie *R*

Str. 125 w. 10: dziewczyną, a ojciec] dziewczyną, jeśli tak chrześcianinowi mówić się godzi. — A ojciec *R*; *w. 13:* opuść wszystko] zostaw wszystko *R*: *w. 18:* Bardan] Bordon *R*; *w. 22:* czarę miodu] czarę węgierskiego wina *R*; *w. 23:* Bardan] Bardon *R*; *w. 40:* szablę w ręku] w moim ręku *R*

Str. 126 w. 5: Chodź raczej do] chodź do *R*; *w. 12:* zatrzymał księcia] zatrzymał księcia (za rękę) *R*; *w. 26:* a ochłonąwszy] i ochłonąwszy *R*; *w. 32:* Bardanie] Bordonie *R*; *w. 33:* i na moich] i nieraz na moich *R*

Str. 127 w. 1: które ten] które dosyć ten *R*; *w. 3:* czas zrzucenia] czas zrzucić *R*; *w. 8:* będzie ci się starał dopomódz] będzie starał ci pomódz *R*; *w. 10:* przystoi] przystoję *R*; *w. 12:* gniewu jest godzien] gniewu godzien *R*; *w. 22:* przejrzeć] przetrząsać *R*; *w. 24:* zgadzamy] zgadzam i dziękuję za radę *R*; *w. 26:* Ale byłoby lepiej] Ale lepiejby było *R*; *w. 28:* coraz bardziej zbliżać się] coraz się bardziej zbliżać *R*; *w. 34:* otwartą drogą idzie] otwartą idzie drogą

R; w. 36: przełamuje] zrzuca *R; w. 37:* mówię ci] ci mówię *R; w. 40:* najjaśniej...] najjaśniejszy... *R*

Str. 128 w. 2: czasu i żegnam] czasu. Żegnam cię *R, w. 12:* niech się sam Skarbimir zostanie] niech sam Skarbimir się zostanie *R; w. 15:* Czy tak] Czyż tak *R; w. 22:* z komnaty] z komnaty. Koniec 4-go Rozdziału *R*

Str. 129 w. 15: z swojemi żołnierzami] z swojemi żołnierzy *R; w. 19:* leżała] spoczywała *R; w. 22:* spuścił był głowę] spuścił był głowę i zamknął oczy *R*

Str. 130 w. 3: Jakem sokolnik] Tak, jakiem sokolnik *R; w. 6:* roztoczył skrzydła] roztoczył (pióra) skrzydła *R; w. 8:* wymówionem] wymówionym *R; w. 11:* idę teraz... to oznajmić] idę to teraz... oznajmić *R; w. 20:* Odpłacisz mi to] Odpłacisz mi ten *R; w. 24:* na którem] na którym *R; w. 29:* zachmurzone] zachmurzone u ciebie *R; w. 31:* nie wrócona ojcu] nie wrócona ojcu? a jednak codzień pięć razy różaniec mój odmawiam, prosząc Boga o zakończenie smutków waszych *R; w. 38:* sprawiedliwości się domagam] sprawiedliwości domagam się *R; w. 39:* wyrwij mnie] wyratuj mnie *R*

Str. 131 w. 18: i znów się obrócił do króla] i znów się do króla obrócił *R; w. 20:* której wykonanie może ci przykrem będzie] której skutkiem będzie utrudzenie twoje *R; w. 25:* że się lękał] że się bał *R; w. 32:* i rozkazał] i (dał) rozkazał *R; w. 33:* obejrzeć] obejrzyć *R; w. 40:* Boże, dodaj mi mocy, pokrzep] Wszyscy święci Biskupi, męczennicy i apostołowie, dodajcie mi mocy i pokrzepcie *R*

Str. 132 w. 7: udzielił mocy mej duszy] zesłał moc i stałość w moją duszę *R; w. 9:* Czuję, że to moja] Czuję, to moja *R; w. 17:* o jutrzejszej] o (dzisiejszej) jutrzejszej *R; w. 22:* Hetmanie] Sieciechu, Hetmanie *R; w. 24:* uwiadomił... o wezwaniu] pospieszył... z wezwaniem *R; w. 38:* że to książe] że tu książe *A*

Str. 133 w. 24: podobnym; legniesz] podobnym i legniesz *R; w. 27:* Mieczysław i Wszebor] Mieczysław z zachmurzonem czołem, Wszebor *R; w. 34:* zaczął nakarmiać] zaczął karmić *R*

Str. 134 w. 2: z królewskim] królewskim *R; w. 4*: pozawieszane] rozwieszone *R; w. 24*: było kilka niższych, przeznaczonych] kilka niższych przeznaczonych było *R*

Str. 135 w. 2: zdobione] zdobne *R; w. 9*: poblizkie siedzenia z drugiej strony zajmowali] na poblizkich siedzeniach z drugiej strony siedzieli *R; w. 12*: podówczas biskup płocki] Biskup płocki naówczas *R; w. 23*: My wszyscy jesteśmy psami, król dojeżdżaczem, Wszebor myśliwym, a książe Zbigniew dzikiem osaczonym] My wszyscy jesteśmy psy, król dojeżdżacz, Wszebor myśliwy, a książe Zbigniew dzik osaczony *R*: *w. 29*: Trudno się obejść] Trudno obejść się *R; w. 38 zamiast zdania*: Lecz w tem ucichły rozmowy i żarty, a król Władysław wszedł do sali — *znajduje się w R następujący ustęp*:

— Nie dziwię się, że Władysław Herman tak się lubi modlić — ozwał się Skarbimir z Gulczewa — bo tak piękne ma różańce, wszystkie ze złota lub kości słoniowej.

— U mnie najlepszym różańcem jest dobra szabla, dzielny koń i wierny mój topór — przerwał mu Sieciech — choć jednak nie myślę temi słowy ubliżać świętemu Kościołowi. — Tylko chcę powiedzieć, że wysłuchawszy jednej mszy, pewno na drugą nie zostanę. Wolę siąść na konia i hasać po polu w ciężkim pancerzu i kopią u toku.

— Ja zaś z sokołem moim — zawołał Wolimir z Moskorzewa — nic niema przyjemniejszego nad łowy — porywają się ptaki, odkrywam kaptur, puszczam sokoła, widzę, jak dzielnemi skrzydłami wznosi się w górę, to znów opada, ściga, zabiega, spoczynku nie daje i nareście pod obłokami, wśród czarnych chmur, dogania zdobycz, szpony w niej zatapia i świetny zwycięstwem wraca na mój głos. — To życie dopiero, to zabawa! — Niech żyją łowy, niech żyje sokół i niech żyje król Władysław, bo oto wchodzi do sali! —

Str. 136 w. 2: synowca; zbliżając] synowca i zbliżając *R*: *w. 6*: otoczony] obtoczony *R; w. 12*: spływał

mu z ramion] z jego ramion (spływał) spływał *R; w. 22*: do monarchy] do słabego monarchy *R*

Str. 137 w. 13: łupiestwa] wydarcia *R; w. 16*: między synami] synami *R; w. 20*: skrócić namiętności poddanych i burzliwych poskromić gniewów] skrócić poddanych namiętności i burzliwe poskromić gniewy *R*; *w. 22*: dzikie, otaczające nas narody] dzikie narody, nas otaczające *R; w. 33*: wzywają na modlitwę rycerzy dźwiękiem niesłuchanych już dzwonów] wzywają dźwiękiem niesłuchanych już dzwonów na modlitwę rycerzy *R; w. 40*: Przykład tego właśnie teraz się wydarzył] Przykład tego teraz oto właśnie się wydarzył *R*

Str. 138 w. 5: dowiedział się bowiem] bo dowiedział się był *R; w. 6*: Bardana] Bordona *R; w. 8*: przez niebiosa] przez same niebiosa *R; w. 12*: nareście nabrał] nareście, zwróciwszy oczy na obraz najświętszej Panny, dotknąwszy się drogiej Relikwii, na piersiach wiszącej, nabrał *R; w. 17*: wdzięków i cnoty] gładkości i cnoty *R; w. 20*: ledwo ze snu] ledwo co ze snu *R; w. 21*: nikogo z porywających] nikogo z przeciwnej strony *R; w. 32 słów*: mówił dalej Władysław *niema w R; w. 33*: oto przytomny] o, tu przytomny *R; w. 36*: poddani] poddani nasi *R; w. 40*: nie czas już] już nie czas *R*

Str. 139 w. 8: tajemnica i milczenie] Skrytość, tajemnica, milczenie *R; w. 36*: bliżej tronu stojący] bliżsi tronu *R*

Str. 140 w. 8: czy czasem nie jęczy w srogiem więzieniu Hanna z Ciechanowa] czy czasem w nich nie jęczy w srogim Hanna z Ciechanowa więzieniu *R; w. 16*: dobywszy z pochew oręże... świadczyli się niebem] dobywszy oręża... świadczyli się nieba *R; w. 29*: przerwał mu Zbigniew głosem, do pioruna podobnym, i postąpił] przerwał mu głos, do pioruna podobny i Zbigniew postąpił *R*; *w. 35*: a czoło jego] a czoło *R; w. 37*: nieporuszeni] z początku nieporuszeni *R; w. 39*: opuszczonem] opuszczonym *R*

Str. 141 w. 4: wstrzymał go] uderzył mu oczy *R*: *w. 5*: o własnej zemście] o dogodzeniu własnej ze-

mście *R; w. 10*: w której jedyną pokłada] w której (jedyna jego została nadzieja) jedyną pokłada *R; w. 18 słowa*: książe *niema w R; w. 26*: znów] znowu *R; w. 35*: nareszcie] nareście *R*

Str. 142 w. 1: wychodzić] przychodzić *R; w. 18*: Poszedł] Przeszedł *R*: *w. 36*: Nareszcie] Nareście *R; w. 38*: a potrawy] a smaczne potrawy *R; w. 39*: usprawiedliwieniem się] usprawiedliwianiem się *R*

Str. 143 w. 2: niecierpliwemu] niecierpianemu *R; w. 21*: rozwalę żelaznym toporem bramę do jego jaskiń] rozwalę bramę żelaznym toporem, dojdę do jego jaskini *R; w. 25*: stać] stawać *R; w. 26*: nadzieja w orężu... Ale wróćmy] nadzieja w orężu została, chwycę się jego, bo same nieba każą mi córkę ocalić, a choćby i nieba nie kazały, serce mi każe. — Ale (wracajmy) wróćmy *R; w. 33*: przedzieliła] podzieliła *R*; *w. 37*: za potomkiem] za (synem) potomkiem *R*

Str. 144 w. 7: czyż tak dowodzicie] czyż dowodzicie *A; w. 18*: Te słowa wróciły] Te słowa, jak niegdyś Zbawiciela rozkaz, uciszający wzdęte morza fale, wrócił (!) *R; w. 33*: ojca narodu] ojca (króla) narodu *R; w. 40*: zguba] zaguba *R*

Str. 145 w. 25: serce Sieciecha] serce (wojewody) Sieciecha *R; w. 38*: ściśnięciem] (ściskając rękę) ściśnięciem *R*

Str. 146 w. 10: przysięż mi, że] przysięgnij, że *R; w. 17*: zgonem syna] zgonem syna. Okrutny Biskup przymusił mnie — prawda, nie ma dzieci. — Panno Maryo, módl się za nami w godzinę śmierci — Amen. Koniec Rozdziału 6-go *R*

Str. 147 w. 2: znów] znowu *R*

Str. 148 w. 5: trąba, wzywająca ich do walki] trąba bitew *R; w. 10*: bo ręka] bo (ręka się jeszcze jego) ręka *R; w. 17*: w błyszczącej zbroi odbitemi słońca zachodzącego promieniami] w błyszczącej odbitemi słońca zachodzącemi promieńmi *(rzeczownika brak!) R; w. 23*: najładniejsze] najludniejsze *R*: *w. 27*: z wielkim orszakiem] z niewielkim orszakiem *R; w. 30*: Bardan] Bordan *R; w. 32*: bo jego ręka, skora do liczenia pieniędzy, niezdatną była] bo jak jego

ręka skora do liczenia pieniędzy, równie tak niezdatną była *R; w. 38*: wieżę, z której w milczeniu] wieżę, w milczeniu *A*

Str. 149 w. 2: słyszany był] słyszano *R; w. 3*: które przez] które (ksią) przez *R*; *w. 4*: gromadziły się] (stawały) gromadziły się *R*; *w. 15*: obozowem] obozowym *R*; *w. 19*: giermkowie] giermki *R; w. 24*: patrzeli jeszcze przez niejakiś] patrzali jeszcze przez jakiś *R*

Str. 150 w. 1: oblewały] (oblekały) oblewały *R; w. 11*: z swojemi myślami] z swojemi myśli *R; w. 13*: przybrał siły] przybrał (więcej mocy) siły *R; w. 17*: chwilowo] (po zachodzie) chwilowo *R; w. 22*: korytarze] korydarze *R; w. 30*: jego niemocy] jego rozerwaniu *R*; *w. 31*: wyzywał] wzywał *A*

Str. 151 w. 14: kilkoma] kilkuma *R; w. 18*: łask ci moich] łaski ci mojej *R; w. 22*: zabijać] (otruwać) zabijać *R; w. 25*: chrześciańskiem] chrześciańskim *R; w. 39*: łatwo mi przyjdzie] łatwo mi będzie *R*

Str. 152 w. 24: wznieść] wznosić *R; w. 29*: nakłaniały] nakłoniły *R*

Str. 153 w. 25: mające się zacząć] się mające zacząć *R; w. 37*: spokojność przeciw wściekłości] spokojność wściekłości *R*

Str. 154 w. 8: jej serce żywiej] jej żywiej serce *R; w. 11*: tęż samą] tę samą *R; w. 14*: i drżąca] i (Katarzyna) drżąca *R; w. 20*: Książe Mieczysław i mój ojciec] Mój ojciec i książe Mieczysław *R; w. 37*: zwycięstwem] ale zwycięstwem *R*

Str. 155 w. 15: jednem] jednym *R*; *w. 16*: wolał jednak uwiedziony] wolał uwiedziony *R; w. 26*: jego córka mogła] jego mogła *(rzeczownika brak!) R; w. 37*: Tak, Hanno, łatwoby mi przyszło] Tak, Hanno, ogień, rozlewający się po twoich żyłach, miłość, obejmująca twą duszę żarem namiętności, z początku cofnęłaby się na wspomnienie cnoty, ale później za ukazaniem się Zbigniewa, za prośbami jego poszłabyś w ślady tylu nieszczęśliwych ofiar. Łatwoby mi przyszło *R; w. 38*: w zbrodnię] w zbrodnią *A*

Str. 156 w. 9: teraz córkę] teraz (swą) córkę *R;*

w. 10: ciebie kochać i tobie] ciebie wiecznie kochać, tobie *R*; *w. 14*: nie powinny] nie powinne *R; w. 17*: zgromionemi wrogami] zgromionemi wrogami — Zbigniew jeden tylko *R*

Str. 157 w. 2: chmurami] chmury *R; w. 9*: Bardanie] Bordonie *R; w. 16*: Bardanie] Bordonie *R; w. 20*: Skarbimir z Gulczewa dowódzcą mnie mianował mówiąc] Skarbimir z Gulczewa sądzi, że wszyscy święci w niedostatku zbroi, pochodzącego z niedostatku pieniędzy, zeszlą męstwo i zdrowie na ludzi tu przytomnych, których mianował mnie dowódzcą, mówiąc: słuchaj Bordonie *R; w. 23*: dostatków] dostatków i kościół, który wystawiłem... *R*

Str. 158 w. 1: Dajże pokój! — przerwał] Dajże pokój z swoim kościołem — przerwał *R: w. 3*: pójdź] pódź *R*

Str. 159 w. 12: nad wszystko] nadewszystko *R; w. 22*: żołnierze] żołnierz *R; w. 30*: i twarzy napiętnowanej szczerości wyrazem] i szczerości wyrazem twarzy napiętnowanej *R*

Str. 160 w. 23: trzeba się... pocieszyć] trzeba cię... pocieszyć *R*

Str. 161 w. 12: choć nie mniemam, abym mógł wam wiele dopomódz własną osobą] choć nie myślę, światową uwiedziony próżnością, bym wiele wam dopomógł własną osobą *R; w. 14*: wycięczyły] wyniszczyły *R; w. 18*: zawsze gotów jestem] zawszem gotów *R*

Str. 162 w. 9: kto to jest] co to jest *R; w. 21*: jakem] jakiem *R; w. 23*: z tyłu zaś straż] z tyłu straż *R; w. 27*: może przeszkodzi] przeszkodzi *R; w. 36*: przed nim krucyfiks] przed nim ogromny krucyfiks *R*

Str. 163 w. 24: przyjaciołmi] przyjaciółmi *R; w. 36*: zostanę i będę walczył, dopóki] zostając, nie zaprzestanę boju, dopóki *R*

Str. 164 w. 4: przywitał się] witał się *R; w. 12*: nam ją odbyć] nam się odbyć(!) *R; w. 14*: rozbitym] rozciągnionym *R; w. 15*: serca] serce *A; w. 32*: zachmurzone] (zachmurzające się) zachmurzone *R; w. 34*: rycerza i Polaka] i rycerza i Polaka *R*

Str. 165 w. 7: zmarszczkami] marszczkami *A*; *w. 16*: Sieciech zawołał: — Daremna praca] Sieciech — Daremna praca! — zawołał *R*; *w. 26*: Zbigniew jest zbrodniarzem] Zbigniew zbrodniarzem *R*

Str. 166 w. 2: Na Boga, nie zostanę] Na Boga, że się nie zostanę *R*; *w. 29*: uciekł... i wrócił] uciekając... wrócił *R*

Str. 167 w. 1: najwyższemi dostojeństwy zaszczyconych] zaszczyconych najwyższemi dostojeństwy *R*; *w. 17*: Jeden tylko] Jeden tu tylko *R*

Str. 168 w. 7: Za przybyciem Stefana] Kiedy Stefan przybył *R*; *w. 8*: kilkunastu] kilku *R*; *w. 13*: z oczu] z oka *R*

Str. 169 w. 13: najmniejszej trwogi] najmniejszej w ruchach swoich trwogi *R*; *w. 19*: Mestwina] (Zbigniewa) Mestwina *R*; *w. 22*: niosła] nosiła *R*

Str. 170 w. 3: Hanny] (Zbigniewa) Hanny *R*; *w. 12*: szydzącym] szydzącym (głosem) *R*; *w. 28*: krętych] krętych (schodach) *R*; *w. 31*: łatwo było] łatwem było *R*; *w. 38*: nareszcie] nareście *R*

Str. 171 w. 8: u szyszaka] u szyszaku *R*; *w. 37*: korytarzów] korydarzów *R*

Str. 172 w. 3: jednakeśmy] jednakieśmy *R*; *w. 5*: wysłuchać twoich przełożeń] wysłuchać twe przełożenia *R*; *w. 8*: Mestwin] (Zbigniew) Mestwin *R*; *w. 13*: prosimy] prosiemy *A*

Str. 173 w. 22: zrzeczenia się dumy] zrzucenia się z dumy *R*; *w. 23*: nagrodę] nagrody *A*; *w. 39*: nie schowam] nie położę *R*

Str. 174 w. 2: Znów] i znów *R*; *w. 19*: Tu biskup] a tu Biskup *R*; *w. 24*: ciężką wyrządzoną mu krzywdę] ciężką (wyrządzoną mu) krzywdę *R*; *w. 28*: stanął znowu biskup] stanął Biskup *R*; *w. 33*: kij pielgrzymi] kij pustelniczy *R*; *w. 35*: by wysłuchał ciebie] o wysłuchanie ciebie *A*

Str. 175 w. 1: pośród] w pośród *A*; *w. 21*: że ci... zataję] bym ci zataił *R*; *w. 23*: rozgłosiło] rozgłosiło (żeś) *R*; *w. 28*: skazany jesteś] skazanyś *R*; *w. 28*: spojrzyj] spójrz *R*; *w. 29*: zamordowania] zabicia *R*; *w. 30*: Kacie] Sykucie *R*; *w. 32*: jej się] się jej *R*;

w. 34: myślimy] myślemy *A*; *w. 35*: Wystąpił] (Zbigniewie) Wystąpił *R*

Str. 176 w. 1: zarodków] zarodkach(!) *R*; *w. 32*: polu i każden rycerz.w jego] polu — każden w jego *R*; *w. 37*: nareszcie] nareście *R*

Str. 177 w. 3: gotowe] gotowem *R*; *w. 8*: widzieć] widzić *R*; *w. 13*: Ty, kacie] Sykucie *R*; *w. 26*: utraciła] straciła *R*; *w. 37*: Ty, kacie] Sykucie *R*; *w. 38*: prędko i bez spowiedzi] prędko — prędko i bez spowiedzi *R*; *w. 40*: porwali się na nieszczęśliwą ofiarę] porwali nieszczęśliwą ofiarę *R*

Str. 179 w. 10: okrutny] okropny *R*; *w. 15*: uchodzącego] (ulat) uchodzącego *R*; *w. 31*: własnem] własnym *R*

Str. 180 w. 15: niejeden] niejeden (nie) *R*; *w. 23*: Bardan] Bordan *R*

Str. 181 w. 4: orszaki. Krzyżowały się] orszaki (oddzielił się wreście od księcia i poszedł z swojemi boczną stronę zamku zdobywać). Krzyżowały się *R*; *w. 12*: nie można] nie można (było) *R*

Str. 182 w. 9: Zbigniew] Zbigniewa (!) *R*; *w. 17*: gdyby tamten] gdyby wróg *R*; *w. 22*: kilkoma] kilkuma *R*; *w. 29*: kilkoma] kilkuma *R*

Str. 183 w. 25: zostać] zostawać *R*; *w. 26*: im na pomoc] mi na pomoc *A*; *w. 31*: nie takichem ja] nie takich ja *R*; *w. 38*: w szerokiej czarnej sukni] w szerokim stroju *R*

Str. 184 w. 38: dla siebie przyjemność] dla siebie boską przyjemność *R*

Str. 185 w. 17: z zamku] (zamkowy) z zamku *R*; *w. 36*: każdemu] każdego *R*

Str. 186 w. 12: tłum walczących] tłum wolnych *A*; *w. 15*: których] które *R*

Str. 187 w. 8: Steifroka] Heyfroka *A*; *w. 24*: w smutku i zgubie najgłębszej] w smutek i zgubę najgłębszą *R*; *w. 28*: kiedy wszystko] kiedy wrzaski ustały, kiedy wszystko *R*; *w. 40*: wpadał] wpadł *A*

Str. 188 w. 4: jednem] jednym *R*; *w. 6*: drugiem] drugim *R*; *w. 8*: Nareszcie] Nareście *R*; *w. 28*: do broni] dobrani *A*; *w. 34*: zaścielał] zaścielał *A*

Str. 189 w. 11: zabiedz] zapobiedz *A*

Str. 190 w. 13: Nareszcie] Nareście *R*

Str. 191 w. 5: rotami] roty *R; w. 12:* liczbę namiotów opuszczonych, pozbawionych już swoich rycerzy] liczbę opuszczonych, pozbawionych już swoich (panów) rycerzy namiotów *R*

Str. 193 w. 6: odwrócenia ich] ich odwrócenia *R; w. 23:* sieni, znikł] sieni i znikł *R*

Str. 193 w. 8: rozjaśnił] rozjaśniał *R; w. 29:* biskupa] (Stef) Biskupa *R*; *w. 30:* na łożu, osłonionym bogatą makatą] na łożu słoniowym, bogatą pokrytym makatą *A; w. 31:* ciągłemi modły] ciągłemi modły do mnóstwa obrazków, tu i owdzie rozwieszonych *R*

Str. 194 w. 4: Starałem się] Starałem *R; w. 8:* zapewne] zapewnie *R; w. 21:* swoich zamiarów] swoim zamiarom *R; w. 25:* przerażająca] pożerająca *R*

Str. 195 w. 7: tyloma] tyluma *R; w. 12:* twoim] (swojem) twojem *R; w. 28;* syna mojego i ojczyzny razem. — Miłościwy mój panie] syna mojego — I ojczyzny razem, miłościwy mój panie *R; w. 35:* wszędzie mu] mu wszędzie *R*

Str. 196 w. 2: mam słuszne] mam (nadzieję) słuszne *R; w. 6:* niegodnych] niecnych *R*; *w. 15:* przeciwko] (teraz) przeciwko *R; w. 40:* prawda jest] prawdą jest *R*

Str. 197 w. 2: przyjęła jeszcze w powiciu i napiętnowała] przyjęła i jeszcze w powiciu napiętnowała *R; w. 8:* i jeśli] Jeśli *R; w. 19*: wstępu do przybytku cnotliwych] wstępu do świętej Jerozolimy — Święty Apostoł odepchnie go od świetnych siedzib wybranych i strąci do piekła *R*

Str. 198 w. 10: chce sam] chce się sam *R; w. 20*: przydatnem] zdatnem *R; w. 32*: odzywają] ozywają *R; w. 35*: niewątpliwie, że] nie wątpię, że *R*

Str. 199 w. 21: lecz na męstwie] na męstwie *R; w. 24*: osądzenia] osądzania *R*

Str. 200 w. 20: tysiące] tysiąców *R; w. 24*: by tylko] tylko *R; w. 37*: przed jego murami] przed nim *R*

Str: 201 w. 3: Czyby jaka] Czyby (naprzykład)

jaka *R; tamże*: turnieje] turniej *R; w. 12*: słabość] bo wiek, słabość *R; w. 17*: siwek lub kobusów stada] gromada siwek lub kobusów *R; w. 34*: w tym] w tem *R*

Str. 202 w. 12: Kapłan, szacując] To mówiąc, złożył ręce i głośno zaczął odmawiać Litanię do Matki boskiej, a kapłan, szacując *R; w. 14*: danego] dane *R; w. 17*: pogodzimy] pogodziemy *R; w. 21*: Polsce] Polszcze *R; w. 22*: wywczasowawszy] wyspawszy *R; w. 33*: dziewiczych] dziewiczych. — Koniec Rozdziału 11-go. *R*

Str. 203 w. 17: Jarłuty] Jarluty *R; w. 18*: godzinę] godzinę całą *R; w. 19*: swojej godności imiona] swoje godności i imiona *R*

Str. 204 w. 1: Nie łudź] Nie nudź *R; w. 14*: całym] całem *R; w. 34*: Powroza! powroza!] powroza nam trzeba *R*

Str. 205 w. 5: co innego, przecie] co inszego przecię *R; w. 20:* złotą klamrą] słabą klamrą *A: w. 27*: Enguerranda de Montemor] Engerranda de Mortemar *A; w. 37*: że nie trochę dalej go książę wystawić kazał] że (go) nie trochę dalej kazał go książe wystawić *R*

Str. 206 w. 14: najpiękniejszych] i najpiękniejszych *R; w. 39*: że go król] że król *R*

S. 207 w. 13: czarne] czarne (oczy) *R; w. 20*: rycerskiem] rycerskim *R; w. 24*: władcy] władcę *R; w. 29*: wypuszczone, z której] wypuszczeni, którzy *R*

Str. 208 w. 14: Jeśliście dobrzy Polacy, wasze serca z jego rozkazów cieszyć się powinny — rzekł Skarbimir. — Ale niech kto chce] *Pierwsze zdanie należy w R do przemówienia Wszebora, słów*: rzekł Skarbimir *niema, słowa zaś Skarbimira obejmują jedynie ostatnie zdanie*: Ale niech kto chce *itd; w. 36:* ojcem wyrodnym] ojcem bez wnętrzności *R*

Str. 209 w. 14: Piję] Pijem *A; w. 28:* wszystkie najlitościwszych niebios] wszystkie niebios *R*

Str. 210 w. 16: To nie może być, ani mogę temu wierzyć] Nie może być — nie mogę wierzyć *R*

Str. 211 w. 24: trafnym] trafnem *R; w. 38:* nareszcie] nareście *R; w. 39:* równem] równym *R*

Str. 212 w. 10: mnie nie wstrzymywały] mnie wstrzymywały *R*

Str. 214 w. 5: ciosowego] stosowego *R; w. 15:* nareszcie] Nareście *R; w. 21:* przygotowanym] przygotowany *R*

Str. 215 w. 4: że cię słuchać] że ją słuchać *A; w. 16*: mowa] przemowa *R; w. 21*: dreszcz śmiertelny... wstrzymywał] dreszcz śmiertelna... wstrzymywała *R; w. 27*: postanowił je przerwać] wziął na siebie go przerwać *R*

Str. 216 w. 1: Ale] Ależ *R; w. 3:* wrzucić] rzucić *R; w. 5*: zemdleje] zemgleje *R; w. 36*: upadłem] padłem *R; w. 40 po słowach*: następującej treści *znajduje się w R*: — Tylko oszczędź nam swojej wymowy — przerwał książe — krótko i zwięźle wszystko nam opowiedz!

Str. 217 w. 5: pierwszy ten wyraz niepotrzebny] pierwszy: tego imienia niepotrzebne *R; w. 26*: drugiem] drugim *R*

Str. 218 w. 20: przebywa] przebywasz *R*; *w. 24*: oniemieją] oniemią *R*; *w. 31*: mojemu ojcu] Władysławowi, mojemu ojcu *R*

Str. 219 w. 39: odprawiłem] odprawiałem *R*

Str. 220 w. 8: mię] mnie *R*; *w. 32*; swoim] swojem *R*; *w. 40*: przysięgam więc] — dzięki św. Stanisławowi i najświętszej Matce Boskiej — przysięgam więc na te święte imiona *R*

Str. 221 w. 11: miotanych] miodowych *R*; *w. 34*: pod znaki jego nieprzyjaciół] pod jego nieprzyjaciół znaki *R*

Str. 222 w. 2: zatajona] tajona *R*; *w. 7*: w mojej] w (swojej) mojej *R*; *w. 28*: tylu jest niedoświadczonych] tylu niedoświadczonych *R*; *w. 33*: namiętności umieją] namiętności, wzrósłszy, umieją *R*; *w. 38*: wypełniaj] wypełń *R*

Str. 223 w. 24: sprzeciwiać] sprzeciwić *R*; *w. 29*: zgubą] zagubą *R*; *w. 31*: Budową] Budowa (!) *R*; *w.*

33: patrzał] (z pogardą) patrzał *R*; *w. 40*: namiotu] namiotów *R*

Str. 224 w. 8: To] i to *R*

Str. 225 motto: zbójca śmie mi] zabójca śmie mnie *R; w. 3:* często] (dosyć) często *R; w. 6:* kręcące się] krążące się *R; w. 6:* u wieży] w wieży *R; w. 14:* przystępujemy] przystąpiemy *R*

Str. 226 w. 3: rzucane] rzucone *A: w. 4*: ściany] ścianę *A*; *w. 7:* skórą, blizko] skórą, a blizko *R; w. 12:* odznaczając] rozróżniając *R; w. 20:* w srebrną świstałkę] srebrną świstałką *R; w. 21:* naokoło] około *R; w. 36:* Ulrychu] Ulrych *A*; *w. 39:* nareszcie] nareście *R*

Str. 227 w. 12: dziecie] dzicie *R; w. 27:* współtowarzyszów] spółtowarzyszów *R; w. 33:* mojem] moim *R*

Str. 228 w. 1: Na szatana cię] Jak szatana i jego dwór kocham, tak cię *R; w. 5:* zwracać się będą] zwracać się tylko (się) będą *R; w. 9:* pożyczywszy] pożyczysz *R; w. 10 słów:* wykonać to będziesz w stanie *niema w R; w. 12:* moja wymowa] mój pałasz *R; w. 17:* Czyż] czyś *A*; *w. 25*: wypełnić z ochotą, co zechcę] wypełnić, co zechcę *R*; *w. 33*: Mestwin] (Zbigniew) Mestwin *R*; *w. 36*: lepiej mi nie usłużyło] lepiej nie usłużyło *A*; *w. 38*; Na szatana i piekło] Na Boga i szatana, na niebo i piekło *R*; *w. 40*: ona moją żoną] to moja żona *R*

Str. 229 w. 33: przechodami] manowcami *R*

Str. 230 w. 2: słowa od: Książe *aż do*: chwale *należą w R do odpowiedzi Mestwina. — W. 14*: znowu] znów *R; w. 24:* czaty w zamku] w zamku czaty *R; w. 30:* swoją krew] krew swoją *R*

Str. 231 w. 19: ewangelią] Ewanielią *R; w. 23:* mnogie gotując sobie przez to nieszczęścia] mnogie nieszczęścia sobie tem gotując *R; w. 27:* była to... cecha... namiętności, połączonej] był to... szał namiętności, połączony *R; w. 37:* rozmową] (wyrazy) rozmowę *R*

Str. 232 w. 2: znaki] oznaki *R; w. 18:* musisz być moją] musisz być moją, muszę owładnąć tobą — poruszę wszystkie świata siły, bylebym przez jedną chwilę

ciebie mógł przyciskać do łona *R; w. 22:* mowa ta zuchwała nie powinna] podobne żarty nie powinneby *R; w. 27:* Zuchwałą mową zowiesz] Ty żartami to zowiesz *R; w. 28:* najżywszy obraz miłości, którą dla ciebie pałam] żartami nazywasz namiętność, niczem niewstrzymaną — żartami nazywasz uniesienie, niezwykłe dotąd we mnie *R*

Str. 233 w. 7: przed Bogiem] przed dumnym Bogiem *R; w. 9:* Hanno] Hanno, Hanno *R; w. 12*: groźby] żarty *R; w. 32:* kiedy] (tak prędko) kiedy *R*; *w. 35*: chciałaby] chciała *R*

Str. 234 w. 12: Co to jest cnota] Co to jest wiara, co to jest cnota *R; w. 23:* Jest to mara i widmo] Są to mary i widma *R*; *w. 15*: w głowie mędrców] w głowie księży i mędrców *R; w. 37*: krokiem] kroku *R*; *w. 39*: ani żona... ani córka] i żona... i córka *R*

Str. 235 w. 5: gorycze na cię] gorycze (spłyną) na (ciebie) cię *R; w. 6*: godziny życia twojego] życie twoje *R; w. 16*: Opuszczona] (Odrzucona przez) Opuszczona *R; w. 26*: stać się przegrodą między] stanąć między *R; w. 34*: księżna uroczyście] uroczyście księżna *R*

Str. 236 w. 2: Nareszcie] nareście *R; w. 11*: oderwać od niej] od niej oderwać *R; w. 16*: wróconem] wróconym *R; w. 17*: wyjawienia] objawienia *R; w. 23:* nareszcie] nareście *R; w. 27:* nad nami] nad nami. — Koniec Rozdziału 14-go i zarazem Tomu 1-go. *R*

SEN ELŻBIETY PILECKIEJ.

Tekst podług rozprawy prof. Jana Bołoz Antoniewicza w »Przeglądzie polskim« z r. 1896, r. XXXI, kwartał I. str. 83—92.

OBJAŚNIENIA WYDAWCY.

PAN TRZECH PAGÓRKÓW.

Str. 3 w. 9—10. »Oparty mieczem na grobie ojczyzny, całun jej w sztandar zmieniłeś zwycięski«. Ojciec poety, hr. Wincenty Krasiński, był dowódzcą słynnego w bojach napoleońskich pułku »Szwoleżerów«, którego wiekopomnym czynem było zdobycie Somo-Sierry (r. 1809).

Str. 3 w. 11 i 19: wierszom tym brak pełnej liczb zgłosek.

Str. 4 w. 8: »Za twe męstwo« — tak w autografie; powinnoby być »Za twoje«, bo wierszowi brak zgłoski.

Str. 4 w. 11: i temu wierszowi brak dziesiątej zgłoski.

Str. 5 w. 1: »W Mazowszu jest miejsce, zwane Opinogórą«. — Opinogóra, wieś w powiecie ciechanowskim, posiadłość rodziny Krasińskich. Tu przepędził poeta znaczną część swej młodości, tu także w pałacu gotyckim, zbudowanym wyłącznie dla niego przez ojca, przebywał w późniejszych latach zawsze, ilekroć z zagranicy przyjeżdżał do kraju.

Str. 6 w. 2: »blizkie miejsca urodzenia nieśmiertelnego wieszcza«. — Sarbiewo, wioska rodzinna Macieja Kazimierza Sarbiewskiego (1595—1640), najznakomitszego nie tylko z polsko-łacińskich, ale wogóle z wszystkich poetów nowożytnych, którzy pisali po łacinie.

Str. 8 w. 4: »Dzierzanie, horda sławiańska«. — Naruszewicz, z którego poeta czerpał swe wiadomości

historyczne, dotyczące Polski, zna tylko Drewlan. Mieli oni zajmować zachodnią część Podola od Czerwonogrodu i część Podgórza ruskiego. (Por. »Hist. narodu polskiego« t. I. część II. str. 571 i n.)

Str. 15 w. 6: »Poświst na tronie z chmur« — Poświst, według Naruszewicza słowiański bóg wiatru.

Str. 15, w. 16: »Panu pioruna« — tj. Perunowi (Perkunowi). Por. obj. do t. I. str. 382.

GRÓB RODZINY REICHSTALÓW.

Str. 25 w. 6: »pod dowództwem Tyllego«. — Jan Tilly, znakomity wódz niemiecki z czasów wojny trzydziestoletniej.

Str. 25 w. 11: »w Egrze«. — Eger (słowiańska nazwa: Cheb), miasto w północno-zachodnim zakątku Czech.

Str. 25 w. 19: »młody ich pułkownik, hrabia Wallenstein«. Albrecht Wallenstein (właściwie: Waldenstein) urodził się w r. 1583, z początkiem więc opowieści liczy 37 lat życia.

Str. 29 w. 21: »alchimista« powinnoby być: alchemik, człowiek, zajmujący się alchemią, tj. nauką, dążącą do odkrycia ciała (»kamień filozoficzny«), któreby zdołało przemienić nieszlachetne kruszce w złoto.

Str. 32 w. 8: »jej i Wallensteina horoskop«. — Horoskop, przepowiednia przyszłych losów, wyczytana w gwiazdach.

Str 38 w. 13: »wkrótce zajęli wierzyciele«. W pierwodruku stoi: »zajęli dłużnicy«, widoczna omyłka druku lub *lapsus calami* młodego autora.

Str. 43 w. 2: »do wsi Leitmeritz« — po słowiańsku: Lutomierzyce; dziś miasto, leży nad Łabą w północnych Czechach.

Str. 61 w. 15: »zawdzięczającego niełaską zbawienie Niemiec« = odwdzięczającego się niełaską za zbawienie Niemiec.

Str. 63 w. 2: »pułkownik Lesle« — właściwie: Leslie; postać to historyczna — z pochodzenia Szkot.

Str. 68 w. 27: »pułkowniku Butlerze«; Walter Butler, Irlandczyk z pochodzenia, postać historyczna.

Str. 78 w. 16: »order złotego runa« — por. obj. t. I. str. 355.

Str. 80 w. 1: »Dnia następującego«. Wallensteina zamordowano dnia 25 lutego 1634.

Str. 81 w. 14: »zmieniło się na miejsce mordu i rzezi«. — Uczta ta i jej przebieg jest skreślony według historyi.

Str. 83 w. 8: »Rozciągnął więc ręce, jak gdyby chciał się rzucić w objęcia przyjaciela...« — Tak samo opisuje śmierć Wallensteina Schiller w »Historyi wojny trzydziestoletniej«. Por. rozprawę prof. J. B. Antoniewicza w »Przeglądzie polskim« 1896, zeszyt z kwietnia str. 21.

WŁADYSŁAW HERMAN I DWÓR JEGO.

Str. 90 w. 2: »kopia spoczywała przy jego stopach«. Kopia = lanca, grot, osadzony na długiem drzewcu.

Str. 90 w. 4: »szyszak« — por. obj. t. I. str. 380.

Str. 90 w. 31: »na puklerzu nosił węża«... — puklerz (z francuskiego *bouclier)* = tarcza, pawęż. Por. też obj. t. I. str. 379.

Str. 92 w. 36: »rozkochany Mieczysław«. Mieczysław, syn Bolesława Śmiałego, ur. w r. 1069. Żonaty był od r. 1088 z Eudoksyą, córką Świętopełka, księcia kijowskiego. Fabuła więc powieści mija się zupełnie z prawdą historyczną — zgadza się z nią jedynie w tem, że ks. Mieczysław zginął rzeczywiście od trucizny w r. 1089.

Str. 93 w. 36: »Dopiero 24 rok życia mego liczę«. Rok urodzenia ks. Zbigniewa nie jest znany Naruszewiczowi. W r. 1089, w którym rozgrywa się akcya powieści, przebywał Zbigniew w klasztorze niemieckim, oddany tam przez ojca, który z rozmaitych względów chciał się go pozbyć z kraju.

Str. 95 w. 26: »Niedawnemi jeszcze laty ów sławny Wilhelm«... — Wilhelm Zdobywca, naturalny syn księcia normandzkiego, Roberta II., a po jego śmierci władzca Normandyi, zdobył w r. 1066 Anglię i zasiadł na jej tronie, rozpoczynając nową dynastyę tego państwa.

Str. 99 w. 20: »mały Bolesław«. — Bolesław Krzywousty urodził się w r. 1085, w czasie akcyi powieści liczył więc czwarty rok życia.

Str. 101 w. 29: »słaby ojciec«... — W istocie Władysław Herman nie był tak rozkochany w Zbigniewie, o czem świadczy choćby to tylko, że trzymał go zdala od siebie w klasztorze.

Str. 103 w. 38: »Synowcze«. — Naruszewicz nazywa Mieczysława »synowcem« króla i za nim używa tej nazwy Krasiński; dziś określamy ten rodzaj pokrewieństwa słowem »bratanek«.

Str. 106 w. 17: »jak królowi Hebreów« — tj. Dawidowi. Syn jego, Absalon, wywołał powstanie ludu przeciwko ojcu.

Str. 110 w. 15: »kolczugę« — por. obj. t. I. str. 381.

Str. 149 w. 11: »widziano znany topór Sieciecha«. — »Topór«, herb Sieciecha.

Str. 154 w. 23: »tysiąc... mieczy tych murów bronią« — składnia, zastosowana do treści, a nie do formy podmiotu *(constructio ad sensum)* — powinnoby być: »broni«.

Str. 170 w. 23—25: Super aspidem et basiliscum ambulabis et conculcabis leonem et draconem = będziesz chodził po żmii i bazyliszku i będziesz deptał po lwie i smoku.

Str. 178 w. 37: »Ty, kacie« — zapewne tylko błąd drukarski, zamiast »Sykucie« (por. w. 40), jak jest w autografie.

Str. 184 w. 17: »jak o tem Ben Masudi pisze«... — Ali-Abul-Hassan Masudi, znakomity pisarz arabski, żył w dziesiątym wieku po Chr.

Str. 188 w. 1: »pokrysowane zbroje«, tj. zbroje, mające już liczne kreski, znaki od uderzeń mieczów.

Str. 201 w. 17: »siwek lub kobuzów stada«; siwka = odmiana cyranki; kobuz = rodzaj małego sokoła.

Str. 207 w. 38: »requiescat in pace = niech spoczywa w spokoju.

Str. 208 w. 20: »i jeśli nie językiem, to orężem ojczyźnie się przysłużyć«. — Tak jest zarówno w autografie, jak w pierwodruku; niewątpliwie błąd, zamiast: »jeżeli nie orężem, to językiem«.

Str. 211 w. 9: »prawdziwyby uszczerbek poniosła« — rozumie się: powaga królewska (por. w. 5).

Str. 304 w. 16: »niewyczytane, dziwne głoski, w wieniec ułożone«. — Mowa tu o piśmie runicznem, którego niegdyś używały ludy skandynawskie. Przypuszczenie, które zdaje się podzielać Krasiński, że Polacy także używali tego pisma, nie jest dotychczas udowodnione. — »niewyczytane« = nieczytelne.

Str. 366 w. 18—19, brzmi w pierwodruku: »pewny rodzaj dumy, pochodzącej z uczucia dopełnionej bez obawy trwogi i powinności« — niewątpliwie błąd drukarski.

Str. 393 w. 17: »wola nadaremnąby się stała wstrzymania namiętności« — przestawić: wola (chęć) wstrzymania namiętności (oburzenia) stałaby się nadaremną.

Str. 402 w. 5—9 należy uzupełnić, wstawiając zamiast kropek odpowiednie litery: *Hic jacet Henricus de Kaniow, eques polonus, bellica virtute insignis, qui tridie post captam urbem et caesis infidelibus ex vulneribus acceptis mortuus est.* To znaczy: Tu spoczywa Henryk z Kaniowa, rycerz polski, bardzo dzielny w boju, który w trzy dni po zdobyciu miasta (tj. Jerozolimy) i wycięciu niewiernych umarł wskutek otrzymanych ran.

SEN ELŻBIETY PILECKIEJ.

Str. 406 w. 19: »Odzieleńcie się« — neologizm (nowotwór językowy) = zazieleńcie się na nowo, okryjcie się znowu zielenią.

Str. 408 w. 28 i n.: »Ukryci... oddzielały... i przenosiły«. — Pierwsze słowo zastosowane do wyrazu: »syny błękitów«, następne do wyrazu: »duchy«.

Str. 409 w. 31: »Urojeń teraz, ale prawda później«.— Powinnoby być: »ale prawdy«, bo są to dopełniacze wyrazu: »kraina«.

Str. 411 w. 18: »niecierpianego człowieka« tj. kasztelana Granowskiego.

Str. 413 w. 34: »duchowny w świetnym ubiorze« — tj. Mikołaj Trąba, arcybiskup gnieźnieński.

Str. 413 w. 37: »drugi duchowny« — tj. Jan Rzeszowski, arcybiskup lwowski. Por. »Wstęp« na str. 405.

DOSTRZEŻONE OMYŁKI DRUKU.

Str.	4	w.	13	*zamiast:*	Tam, go	*czytaj:*	Tam go
»	90	»	14	»	zapewne	»	zapewnie
»	91	»	12	»	mnie	»	mię
»	91	»	30	»	pochmurnem	»	pochmurnym
»	93	»	18	»	odważyłem	»	odważałem
»	95	»	2	»	nieroztropnemi	»	nieostrożnemi
»	97	»	25	»	zuchwałymi	»	zuchwałemi
»	100	»	4	»	sterany	»	styrany
»	109	»	12	»	panujący	»	sam panujący
»	111	»	28	»	wreszcie	»	wreście
»	115	»	38	»	z jej serca	»	jej z serca
»	122	»	39	»	licznego	»	nielicznego
»	125	»	36	»	pomyślimy	»	pomyślemy
»	144	»	5	»	zbrojne	»	uzbrojone
»	146	»	10	»	przysiąż	»	przysięż
»	147	»	1	»	musimy	»	musiemy
»	159	»	23	»	sposobniejszymi	»	sposobniejszemi
»	161	»	19	»	wsławionemi	»	wstawionemi a do tego skromnemi
»	170	»	23	»	basilicum	»	basiliscum
»	183	»	28	»	miejsce	»	miejscu
»	189	»	15	»	dosiągnijcie	»	dosięgnijcie
»	191	»	8	»	ze swojemi	»	z swojemi
»	197	»	24	»	do uszu	»	uszów
»	228	»	22	»	innym	»	inszym
»	229	»	31	»	Zapewne	»	Zapewnie
»	230	»	34	»	spostrzegła	»	postrzegła
»	233	»	16	»	zostawiła	»	zastawiała
»	233	»	27	»	zapytał	»	zapytał się
»	289	»	20	»	przejęła	»	przyjęła
»	405	»	13	»	z Niego	»	z niego
»	409	»	11	»	gniazdom	»	gwiazdom

LP
K896 5K

Krasiński, Zygmunt, Hrabia
Pisma ... Syd. ... Józefa Kallenbacha.
Vol.4.

499056

University of Toronto
Library

DO NOT
REMOVE
THE
CARD
FROM
THIS
POCKET

Acme Library Card Pocket
LOWE-MARTIN CO. LIMITED